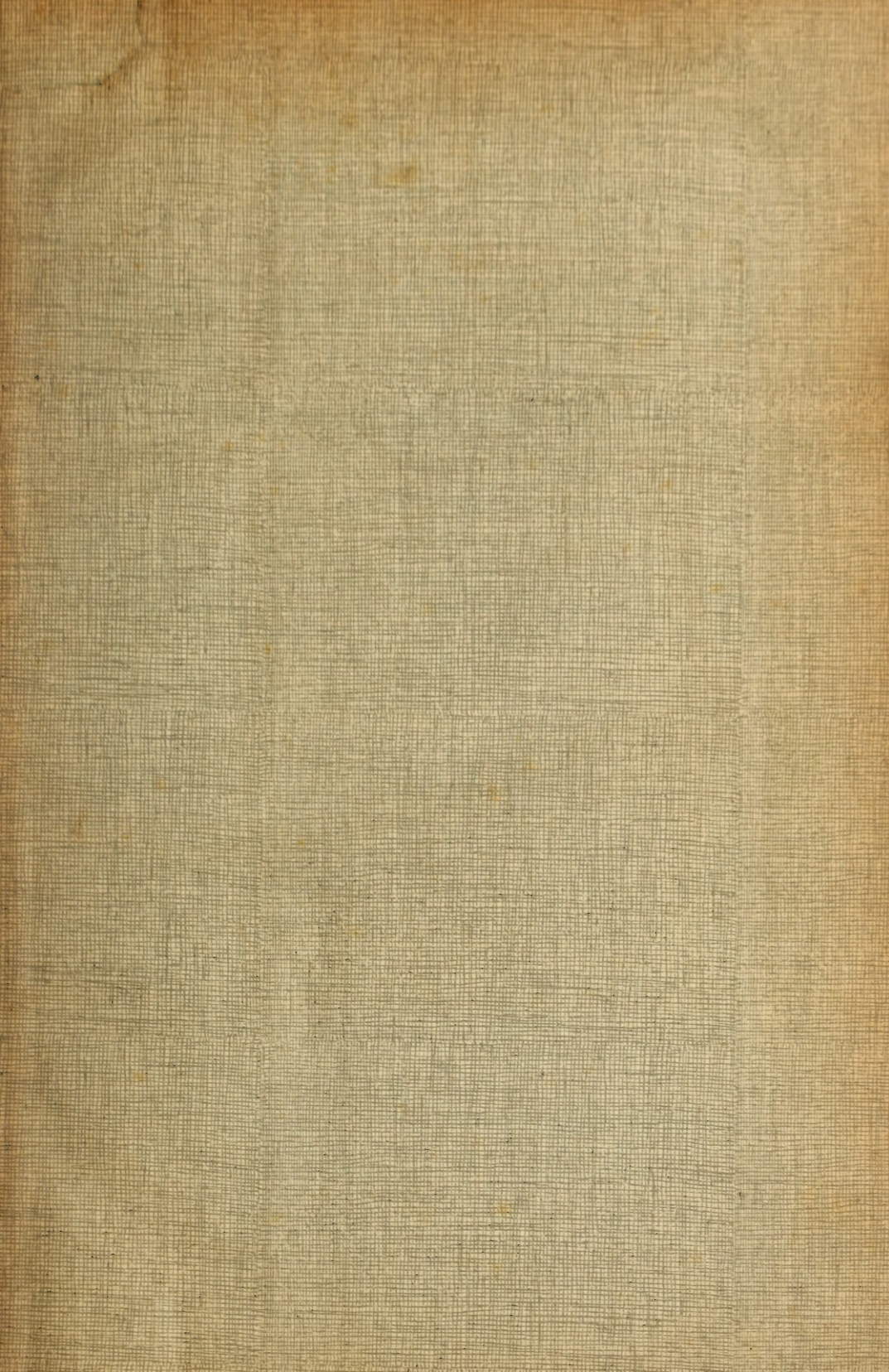




3 1761 08822291 4



Presented to  
The Library  
of the  
University of Toronto  
by  
THE ADAM MICKIEWICZ  
CENTENNIAL COMMITTEE,  
TORONTO





# WIEK XIX

## STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

ŻYCIORYSY, STRESZCZENIA, WYJĄTKI

POD REDAKCJĄ

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO, IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO, AURELEGO DROGOSZEWSKIEGO, HENRYKA GALLEGO, GABRYELA KORBUTA i MANFREDA KRIDLA

TOM IX

NAKŁADEM

GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ  
POZNAŃ—WILNO—ZAKOPANE

WYDAWNICTWA ZAKŁADU HAR. IMIENIA OSSOLIŃSKICH  
L W—WARSZAWA—KRAKÓW  
POZNAŃ—WILNO



L.P.C  
WG455

630966

14.3.56

SKŁADY GŁÓWNE:

„THE POLISH BOOK IMP. CO., INC.“ — NEW-YORK  
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU SP. AKC.“ — KATOWICE

Z Drukarni Zakładu Nar. im. Ossolińskich we Lwowie  
pod zarządem Józefa Ziemińskiego

## WYKAZ ŻYCIORYSÓW I WYPISÓW.

Wspomnienie o prof. Bron. Chlebowski . . . . .	Str. VII
------------------------------------------------	-------------

### CXXVII.

LENARTOWICZ TEOFIL (1822—1893)

opracował Br. Chlebowski.

Wiersz do poezji . . . . .	18
Kalina . . . . .	19
Mazur za wołami . . . . .	20
Jak to na Mazowszu . . . . .	21
Wiochna . . . . .	23
Mały świątek . . . . .	25
Zachwycenie . . . . .	29
Bitwa raclawicka . . . . .	32
Rzym Italja . . . . .	34
W Genui w pałacu Dorjów . . . . .	35
Wiersz na cześć 25 lutego 1861 r. w Warszawie . . . . .	35

### CXXVIII.

ZIELIŃSKI GUSTAW (1809—1881)

opracował Henryk Galle.

Kirgiz . . . . .	41
Samobójca . . . . .	45

### CXXIX.

CZAJKOWSKI ANTONI (1816—1873)

opracował Gabrjel Korbut.

Pająk . . . . .	50
Do Norwida . . . . .	51
Baśń o żelaznym wilku . . . . .	54
Do mojej myśli . . . . .	56

## CXXX.

NARCYZA ŻMICHOWSKA (1819—1876)

opracował Aureli Drogoszewski.

	Str.
Szczęście poety . . . . .	87
Fantazja . . . . .	91
Do moich dziewczynek . . . . .	94
Poganka . . . . .	98
Wstępny obrazek . . . . .	115
Adeodat . . . . .	120
Z listów N. Ż. do rodziny i przyjaciół . . . . .	126

## CXXXI.

DEMBOWSKI EDWARD (1822—1846)

opracował Manfred Kridl.

Twórczość jako żywioł polskiej filozofji . . . . .	143
Piśmiennictwo polskie w zarysie . . . . .	147

## CXXXII.

KAMIEŃSKI HENRYK (1812—1865)

opracował Gabrjel Korbut.

Filozofja ekonomji materialnej . . . . .	161
O prawdach żywotnych narodu polskiego . . . . .	165
Katechizm demokratyczny . . . . .	170

## CXXXIII.

BALIŃSKI KAROL (1817—1864)

opracował Gabrjel Korbut.

Do współtowarzysza wygnania . . . . .	181
Farys-wieszcz . . . . .	182
Do Narcyzy . . . . .	187

## CXXXIV.

MAJORKIEWICZ JAN (1820—1847)

opracował Manfred Kridl.

Powaga w myśleniu i życiu . . . . .	199
Historja, literatura i krytyka . . . . .	203

## CXXXV.

BARTOSZEWICZ JAN (1821—1870)

opracował Tadeusz Kupczyński.

Szkice z czasów saskich . . . . .	217
Znakomici mężowie polscy XVIII w. . . . .	220



## CXXXVI.

CYGANERJA WARSZAWSKA.  
DZIEKOŃSKI JÓZEF BOHDAN (1815—1855)

opracował Gabrjel Korbut.

Pająk . . . . .	str.
Sędziwój . . . . .	228
	233

## CXXXVII.

ZMORSKI ROMAN (1824—1867)

opracował Gabrjel Korbut.

Lestaw . . . . .	259
Do Liszta . . . . .	269
Anioł niszczyciel . . . . .	271
Wieża siedmiu wodzów . . . . .	272
Na grobie J. Słowackiego . . . . .	278

## CXXXVIII.

WOLSKI WŁODZIMIERZ (1824—1882)

opracował Gabrjel Korbut.

Zapał . . . . .	285
Fantazja wieczorna . . . . .	286
Liszt . . . . .	288
Ojciec Hilary . . . . .	290
Fryderyk Szopen . . . . .	292
Domek przy ulicy Głębokiej . . . . .	295

## CXXXIX.

WILKOŃSKI AUGUST (1805—1852)  
i WILKOŃSKA PAULINA (1815—1875)

opracował Henryk Galle.

Ramoty i ramotki . . . . .	316
Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem w Warszawie . . . . .	320

## CXL.

SCHMITT HENRYK (1817—1883)

opracował Tadeusz Kupeczyński.

Rokosz Zebrzydowskiego . . . . .	331
Narodowość polska i jej podstawy . . . . .	334

## CXLI.

BALIŃSKI MICHAŁ (1794—1864)

opracował Bronisław Chlebowski.

Jan Śniadecki i Tadeusz Czacki . . . . .	342
------------------------------------------	-----

## CXLII.

MALINOWSKI MIKOŁAJ (1799—1865)

opracował Gabrjel Korbut.

	Str.
Z listów do Lelewela . . . . .	350
Z księgi wspomnień . . . . .	356

## CXLIII.

LUDWIK KONDRATOWICZ (1823—1862)

opracował Aureli Drogoszewski.

Dyferencja . . . . .	377
Urodzony Jan Dęboróg . . . . .	380
Hetman polny . . . . .	394
Lalka . . . . .	395
Lirnik wioskowy . . . . .	397
Dedykacja gawęd gminnych . . . . .	399
Stare wrota . . . . .	400
Ułas . . . . .	408
Wyzwolenie włościan . . . . .	417
Cupio dissolvi . . . . .	418
Chatka w lesie . . . . .	419

## CXLIV.

ŻELIGOWSKI EDWARD (1816—1864)

opracował Aureli Drogoszewski.

Z wielkich mych bólów . . . . .	434
Jordan . . . . .	434
Boże mój . . . . .	441

## CXLV.

GROZA ALEKSANDER KAROL (1807—1875)

opracował Henryk Galle.

Starosta kaniowski . . . . .	449
Mozajka kontraktowa . . . . .	455

## CXLVI.

WIELOGŁOWSKI WALERY (1805—1865)

opracował Bronisław Chlebowski.

Emigracja polska wobec Boga i Narodu . . . . .	465
------------------------------------------------	-----

---

## BRONISŁAW CHLEBOWSKI

1846—1918.

Po długiej, 10-letniej przerwie ukazuje się nowy tom „Stu lat myśli polskiej”. W ciągu tego czasu wydawnictwo poniosło wielką, niepowetowaną stratę. Ubył z grona redakcji zmarły w marcu 1918 Bronisław Chlebowski. Ubył człowiek, którego prace stanowią chlubę wydawnictwa, którego niepospolita indywidualność, jasna, głęboka i prawa myśl, serce płonące szczerem umiłowaniem wszystkiego, co wielkie, silne i piękne, głębokie pojęcie zadań historyka literatury, odczucie, zrozumienie i przeżycie jej dziejów, trzeźwość w ocenie, sumiennosc i intensywnosc skupionej pracy, oraz niewyczerpana energia duchowa — budziły podziw i cześć. Współpraca z Chlebowskim była dla nas nauką, rozkoszą i podniesieniem duchowem. Jego skromność, prostota, uczynność i bezinteresowność sprawiały, że był nam bliski i drogi jako człowiek. Tem większy żal, żeśmy go utracili, że nie wrócą już te zebrania, które ożywiła i którym niezapomniane piętno nadawała jego wielka dusza.

W pracy nad tomem IX-tym Chlebowski brał jeszcze czynny udział. W uznaniu niespożytych zasług Jego dla wydawnictwa, w uczuciu wdzięczności za dzielenie z nami pracy i udzielanie nam bogatych skarbów swego umysłu, w serdecznym żalu za utraconym współtowarzyszem-przewodnikiem, poświęcamy mu ten tom, ostatni już, na którym widnieć będzie Jego imię. W dążeniu zaś do dokończenia rozpoczętego z Jego współpracownictwem dzieła, w trosce o to, by wydawnictwo utrzymać na tym poziomie, na jakim je postawiły Jego prace — widzicie będziemy najgodniejszy sposób uczczenia Jego pamięci.

KOMITET REDAKCYJNY.



## LENARTOWICZ TEOFIL

(1822 — 1893)

Najpopularniejszy z grupy poetów mazowieckich, w których twórczości wypowiedziała się dusza pokolenia, dojrzewającego w ciężkich warunkach życia narodowego w Polsce rosyjskiej w okresie lat od r. 1832 do 1860, urodził się Lenartowicz 27 lutego r. 1822 w Warszawie, w ubogim domku dzielnicy nadwiślańskiej (Rybaki), z biednej rodziny szlacheckiej h. Pobóg. Ojciec, majster mularski, odumarł go w siódmym roku życia; matka wysłała zamąż ponownie za woźnego, pijaka, który chłopea wypędził z domu. Kilka lat przebywał na wsi pod Pułtuskim u krewnych, biednych także ludzi, pasając czasem z rówiennikami konie i gęsi. Uczęszczał następnie w Warszawie do szkoły powiatowej (czteroklasowej), po skończeniu której już w r. 1837, a więc w piętnastym roku życia zaczął pracować w kancelarji adwokata. W r. 1840 zostaje kancelistą przy jednym z sądów, w dwa lata później, dzięki poparciu interesujących się próbami rymotwórczemi młodzieńca, otrzymuje miejsce sekretarza w kancelarji Senatu z płacą 1800 zł. Na posadzie tej pozostawał do r. 1848, w którym, porwany przez ruch ówczesny, opuścił Warszawę i Królestwo, by rozpocząć życie tułacza.

Jakim wpływom zawdzięczał rozwinięcie się duchowe, nie wiemy, nie mając na to świadectw. Ciężkie koleje lat młodszych, jak sam poeta wyznaje, rozbudziły i umocniły w nim uczucie religijne; pobyt na wsi zbliżył z ludem. O lekturze lat młodzieńczych daje wskazówki, skreślone dopiero w r. 1893, odnoszące się zresztą do całego koła młodych poetów, uczestniczący w nim Karol Brzozowski. „Byliśmy tymi kochankami muz — pisze po upływie lat pięćdziesięciu — co pełni życia, uroku młodości, silni wiarą i nadzieją, lubili bajać i śpiewać, jak ptactwo wiosenne po lasach... Cokolwiek wyszło z pod pióra wielkich, żyjących zagranicą wieszczów naszych...

to z pewnością było w rękach naszych. Z jakim to zachwytem, zapalem czytaliśmy „Pieśni Janusza“ lub wygłaszali z pamięci ustępy z „Dziadów“, „Przedświtu“, z „Pieśni o ziemi naszej“, a czasem i z nas któremu wyrwała się gorąca improwizacja“. („Przewodnik Nauk. i Liter.“ 1893).

Popęd do wierszowania, które dawało świadectwo uzdolnienia duchowego i wyróżnienie towarzyskie, echuje nasze społeczeństwo aż do r. 1860. Rozkwit wielkiej poezji zmienił swym wpływem formy, zwiększył wymagania, lecz wzmocnił jeszcze skłonność. Lenartowicz, jak i całe współczesne mu grono młodych poetów, zaczyna od tworzenia wierszy, będących co do formy i treści echem ich różnorodnej, dorywczej lektury, odbiciem dostarczonych przez nią wrażeń, obrazów, myśli, form. Pomieszcza swe wiersze, od r. 1841 poczynawszy, w wydawnictwach, będących organami koła młodzieży, usiłującej zamartw po r. 1831 życie duchowe rozozdździć zapalem sere gorących. Te próby rymotwórcze Lenartowicza spotykamy w „Nadwiślaniu“, „Przeglądzie Warszawskim“, „Jaskółce“, „Sнопku Nadwiślańskim“, a wreszcie w „Bibliotece Warszawskiej“ (od r. 1843). Pomieszczony w tym ostatnim miesięczniku wiersz „Do poezji“ zwrócił na młodego wierszopisa uwagę ogółu. Deotyima w swym „Pamiętniku“ (Warszawa 1910, str. 10) pisze: „Matka moja znalazła w „Bibliotece Warszawskiej“ wiersz „Do poezji“, podpisany nieznanem nikomu nazwiskiem... Wiersz był porywający i tak ją zachwycał, że zaczęła się dopytywać o autora. Przyprowadzono chłopca nieśmiałego, niepozornej postaci. Ale ta nieśmiałość prędko prysła; młody poeta okazał się w rozmowie istnym kameleonem: naprzemian to poważny, to rzewny, to znosząc wesoły aż do pułoty, nasz sielankowy pan Teofil umiał nawet i kłus „tańceć“. Wiersz powyższy, którego całą wartością jest ped uczuciowy, odbity w rytmice i melodji słowa, gdy obraz i styl satyryczny o wpływie pseudoklasycznych wzorów, a osnowa odgry chaotyczną w pojęciach i ich powiązaniu — zdobył młodzieńcowi wstęp do głośnego salonu Łuszczewskich i siwierzony opinią gromadzącą się tam wyborni towarzystwa patent na poezję. Rozbitości to niewątpliwie ambitne rojenia w młodej duszy i skłoniła do pracy nad zgromadzeniem ubogich zasobów umysłowych.

Przedmioty następnych utworów, pomieszczonych w „Warszawie“, „Przeglądzie Naukowym“, „Nierapuniandze“ (Noworocznik na r. 1845), „Albumie Warszawskim“ Wągwłkiego świadczą o rozszerzeniu się horyzontu umysłowego Lenartowicza. Są to: „LaoXoon“ z gułlem z Horacego, fantazja p. t. „Muryki“, wiersze: „Italia“, „Kochanowski“, Stępniki bliższe z Wopziesim, palniską nletyle do pamiawania się z dawną literaturą, której wiersz pisał z wypisami ogłasi ten twórca w r. 1843. He do miazszawania się wierzeniami i podantami ludu, które tenże zdobył i obrobił w głośnych „Kłochdałi“.

Wpływ demokratycznych i patrijotycznych dążeń i popieł młodych poetów i działaczy ówczesnych (Koło Zmichowski, Zmorski, Wolski) ukazał dotychczasowemu wierszopisowi znaczenie ludu i wartość znanego mu tak i drogiego świata ludowego: przyjaźń z młodym muzykiem Komorowskim, odczuwającym piękno melodii ludowych, oddziaływała też na zwrocenie twórczości ku sferze duchowej wiesniaka mazowieckiego. Rozbudzona powodzeniem pierwszych utworów ambicja podniecała do rywalizacji z gronem skupionych w Warszawie młodych współzawodników, pragnących stać się śpiewakami, a po części kierownikami duszy narodowej. Gdy w r. 1845 grono to składał w hołdzie Wojciekiemu, jako badaczowi rzeczy ojczystych, puchar złoty w dniu jego imienia, Lenartowicz przemawia w imieniu ofiarodawców. Żywy i porywczy z natury, współubiega się on z młodszymi o dwa lata: Wolskim i Zmorskim w chaotycznej, nieujętej w żadne karby twórczości, odbijającej podniecenie wyobraźni i uczucia przez lekturę, idee demokratyczne i patrijotyzm. Wytworzony w duszy młodzieńca-samouka zamęt uczuć, myśli, obrazów, widoczny w wierszu „Do poezji”, znalazł jaskrawszy swój wyraz i szersze odtworzenie w poemacie dramatycznym: „Pierwsze przedstawienie Hamleta” (w 4 częściach, motto z psalmu 36), ogłoszonym r. 1847 w „Dzienniku Mód Paryskich” i osobno, nakładem Dobrzańskiego we Lwowie (str. 71). Lenartowicz właściwościami duszy i artyzmu, szczupłą sferą swego świata duchowego, przedstawia wielkie podobieństwo z Boh łanem Zaleskim. Jak „Dumka Kosińskiego” podbiła młodemu, nieznanemu przybyszowi z Ukrainy, dusze współczesnych, odczuwających w rytmie wypowiedzeń rwącego się do boju Kozaka, łętno własnego serca, wspomnienia świeżych jeszcze bojów, tak ogłoszona r. 1844 „Kalina” Lenartowicza, uskrzydłona melodią Komorowskiego, stała się odrazu pieśnią narodową, wyrazem ukochania i zidealizowania duszy ludowej, z której wyjść miało odrodzenie polskości. W przeciwstawieniu do wielkiej poezji, której przedstawiciele, pochodzący z obszarów Litwy i Rusi, mogli jedynie czytelnikom polskim ukazywać duszę ludu białoruskiego czy małopolskiego, Lenartowicz, Mazur z pochodzenia, podobnie jak całe grono współczesnych mu poetów grupy warszawskiej, wprowadza do literatury, wraz z rytmem i nutą pieśni pól mazowieckich, duszę tego licznego i dzielnego ludu, stanowiącego najsilniejszy, najżywotniejszy czynnik plemienny w wytwarzaniu się współczesnej Polski. Podobnie jak Zaleski, w odtwarzaniu duszy ludowej ogranicza się do sympatycznych, radosnych, dodatnich jej uczuć, pragnień, rojeń, wzruszeń, smutków, nie chce wiedzieć o jej krzywdach, mściwości, namiętnościach, nienawiściach. Jak Goszczyński w „Zamku Kaniowskim” odsłaniał i uwydatniał strony duszy Ukrainca, pominięte w dumkach Zaleskiego, tak teraz znowu rówieśnik Lenartowicza, Wolski w „Ojcu Hilarym”, a później w „Halce” wy-

śpiewał tony i stany duszy ludowej, usunięte przez Lenartowicza. Pomieszczony w „Snopku Nadwiślańskim” z r. 1845 wiersz „Gołąbek” odbija tę ograniczoność skali uczuciowej, sfery wyobraźni i myśli dwudziestotrzyletniego poety. Gołąb — a stąd i gołębnik polskiej, w każdej wsi polskiej, to symbol dzievic „mej ziemi”. Ozdobą tych dzievic jest „niewinność wesola, pogoda, blask czoła”. O ile w pierwszej połowie wiersza obraz ruchliwości świata ptaszego wsi polskiej podczas poranku majowego jest dość udatny, o tyle wypełniająca drugą połowę wiersza refleksje, wysnute ze znaczeń symbolicznych gołębia, rażą nieudolnością powiązania myślowego i pseudoklasyecznością wysłowienia. Jakże daleko śpiewakowi „Kaliny” do muzyki niebogatyh myślowo, ale ezarujących szczerością, prawdą, wdziękiem i głębią uczuciową liryk refleksyjnych twórey „Śpiewu poety” i „Rusałek”.

Sam Lenartowicz stwierdził tę ograniczoność swej twórczości, wyrażając się w wierszu ogłoszonym r. 1856 w „Nowinach Lwowskich”, iż muza jego „jak skowronek towarzyszy oraczowi przy pługu... świergoce jak ptaszę, śmieje się i cieszy jak dziecko; a jeżeli płacze, to łzami radości”. Wobec przemagającego w wielkiej poezji wyrazu cierpienia narodowego, jej mesjaniecznych dążeń, podniosłych nawoływań i wymagań, pogodny, dźwięczny, żywy ton fujarki pastuszej Lenartowicza podbijał dusze czytelników, przynosząc im pokój, radość i pogodę wsi polskiej, ukazując lud wiejski nie w ówczesnej jego biedzie, ciemności, nieufnem odosobnieniu, ale w radosnem podnieceniu, ożywieniu, pozwalającym zapomnieć o ciężkiej rzeczywistości stosunków społecznych, a upajać się radością z osiągnięcia upragnionych, a tak dalekich jeszcze przekształceń w doli i duszy ludu. Melodje Komorowskiego torowały drogę tym pieśniom do sere polskich. Prócz Kaliny otrzymały muzyczne uzupełnienie: Maciek, Sierota, Oryle, Kurpie. Podniecony wraz z całą ówczesną młodzieżą przez rewolucję lutową r. 1848, rwie się do czynnej działalności i uprzedzając grożące mu uwięzienie, w dniu 18 sierpnia 1848 r. przekrada się wraz z Karolem Brzozowskim przez granicę, po wysłuchaniu mszy w kościełku myszyńskim, w ziemi Kurpiów, i na Działdów i Brołnicę podąża przez Prusy do Poznania, gdzie znajduje oparcie w domu Moraczewskiego Jędrzeja, patrioty i demokraty gorącego. Stamtąd udaje się do Krakowa i tu rozpoczyna żywą, różnorodną działalność. Naucza historii polskiej w szkole wieczornej dla Żydów, założonej na Kazimierzu przez „Towarzystwo Wzajemnej Nauki”, przemawia podczas obchodu 28-ej rocznicy usypiania Kopca Kosciuszki (w dniu 16 października), a jednocześnie wierszem p. t.: „Tyrtusz”, deklamowanym w Teatrze Miejskim, wywołuje zapal i pobudza Aneczka do napisania znanego poematu pod tymże tytułem. Ogłasza teraz w Krakowie zbiór dawniejszych przewaznie, lecz w czesci tylko drukowanych oddzielnie utworów p. t.: „Polska Ziemia” (Kraków 1848, czescie druga Poznań



1850) ludzież „Cztery obrazy”, przedstawiające cierpienia narodowe i ukazujące w magnatach wrogów narodu. Dla zaznajomienia ludu z postaciami przeszłości pisze: „Szopkę” (Wrocław 1849). Gdy rosnąca w siłę reakcja polityczna uniemożliwiła poecie-demokracie dalszy pobyt w granicach państwa pruskiego, w których przebywał po opuszczeniu Krakowa, chroni się Lenartowicz do Brukseli (r. 1850), a następnie osiedla się na czas dłuższy w Paryżu (1851—1855), z kolei w Rzymie (1856—1860), a w końcu we Florencji, gdzie spędzi blisko połowę swego życia, aż do zgonu, przypadłego 3 lutego 1893. W czasie pobytu w Rzymie poznał mieszkającą tam Zofję Szymanowską, siostrę żony Mickiewicza, zdolną malarkę, którą poślubił w dniu 15 października 1861 r. Syn, który przyszedł na świat w r. 1863, zmarł wkrótce, a żona w kilka lat potem zakończyła życie w Miłostawiu (1870), w domu Mielżyńskich. Udzielili oni gościny chorej, potrzebującej wiejskiego powietrza i wygód, których nie mógł dostarczyć walczący ciągle z brakiem funduszków tułacz-poeta. Pod wpływem żony i z jej pomocą wziął się Lenartowicz, mieszkający od r. 1860 we Florencji, do rzeźby, z myślą zdobycia sobie na tej drodze środków bytu, jakich nie dawała mu twórczość literacka, którą, naprzemiany z rzeźbiarską, wypełniał sobie ciężkie dni długiego, samotnego życia. Obok cierpień fizycznych, długoletnich (kamienie żółciowe), ciężkie położenie materialne — w ostatnich latach dopiero pobierał skromną zapomogę w sumie 600 franków, z funduszu imienia Szajnochy — a przytem zawody ambicji, podnieconej uznaniem i rozgłosem, zyskanym w pierwszym dziesięcioleciu półwiekowej prawie twórczości, odczuwającej boleśnie obojętność, z jaką przyjmowano dalszą, coraz obfitszą, coraz szerszy zakres przedmiotów i donioślejsze a trudniejsze zadania podejmującą produkcję, wytworzyły stan stałego rozdrażnienia fizycznego i moralnego, w którym ten brak uznania ze strony krytyki i nie spieszącego z nabywaniem dzieł poety ogółu — wydawał się mu najwyższą niesprawiedliwością, zaślepieniem, dowodem zwyrodnienia moralnego społeczeństwa, niezdolnego w zmateralizowanej duszy dostrzec piękna prawdziwego i dzielić z poetą jego tęsknot i pragnień patriotycznych.

Już w pierwszym okresie (1840—1855) twórczości, któremu zawdzięczamy najlepsze, jedyne trwałą wartość mające, liryki i liryczne obrazki, odtwarzające sferę uczuć i wierzeń duszy wieśniaka mazowieckiego — spotykamy równocześnie z niemi utwory, osnute na innych przedmiotach, noszące wyraźne piętno naśladownictwa („Szopka“ na wzór „Szajne-katarynki“ Pola) lub zamiaru dorównania współczesnym młodym poetom w ich młodzieńczą przesadą i burzliwością nacechowanych pomysłach romantycznych i wypowiedzeniach („Pierwsze przedstawienie Hamleta“, poemat w 4-ech częściach, Prolog do poematu „Srebrny Spiew“ w „Dzienniku Mód Paryskich“ r. 1847, „Simara“, scena dram. w „Albumie Literackim“

z r. 1848, „Polska ziemia w obrazkach”, Kraków 1848 — echo pieśni Pola — Druga część r. 1850 w Poznaniu).

Pobyt w Krakowie i Wielkopolsce, a następnie w Paryżu, zetknięcie się z wielu wybitnymi ludźmi, Mickiewiczem zwłaszcza, możliwość swobodnego wypowiedzania się i ogłaszania utworów, zdobywane uznanie podniecają twórczość poety, widzącego w niej teraz swą powinność, swą służbę narodową. Wielej poeci. „wielkoludy”, jak ich nazywa Norwid, przysłaniający swym cieniem rosnący zastęp młodszych pieśniarzy, zamilkli po r. 1848. Młodzi pragną ich zastąpić. Norwid, Baliński, Zmorski, Lenartowicz — synowie Mazowsza przeważnie — chcą być wyrazicielami duszy ludu polskiego nieznannej „Wielkim”, a zarazem nowych potrzeb duszy polskiej, wywołanych zmienionymi warunkami bytu i nowymi prądami pojęć. Jeden Lenartowicz, osiągający w tych latach właśnie w utworach takich, jak: „Wiochna”, (Bibl. Warsz. 1853), „Mały Świątek” (tamże), „Wyroki” (Leszno, 1853 w książce „Pokłosie”), „Zachwycenie” i „Błogosławiona” (1854 — poświęcona Józefowi Bohdanowi Zaleskiemu i ogłoszona w „Szkółce dla Młodzieży” i osobno Poznań 1853), najpełniejszy wyraz swego artyzmu, opanował dusze czytelników świeżem pięknem, wdziękiem i prostotą tych lirycznych obrazków, odpowiadających formą i treścią skromnemu zakresowi ówczesnej umysłowości i uczuciowości ogółu. Współczesny, z r. 1851 pochodzący „Promethidion” Norwida podobnie jak dawniejszy z roku 1847 „Król Duch”, długo będą czekać, nim nadejdzie pokolenie, zdolne się zainteresować takimi utworami. Przygnębione przez katastrofę r. 1846, podniecone wraz z całą Europą przez „wiosnę ludów” r. 1848 i na nowo zawiedzione w swych nadziejach, popadło społeczeństwo polskie w okresie od 1850 do 1857 w stan apatii i zubożenia dla wyższych celów życia, stan odczuty i scharakteryzowany wymownie w wypowiedzeniach się Norwida i Zmichowskiej. W tym okresie rządy słabych, drzemających, zamkniętych w ciasnym kole zadań życia powszedniego dusz polskich, objęło trzech pokrewnych zakresem uzdolnień, umysłowością i uczuciowością poetów: Pol, Syrokomla i Lenartowicz. O ile pierwsze liryki tego ostatniego: „Kalina”, „Mazur” i inne, zawdzięczały swą popularność melodjom Komorowskiego, przemawiającym silniej i bezpośrednio do dusz, niż pokrywane przez nią słowa poety, o tyle znowu teraz „Wiochna”, „Mały Świątek”, „Wyroki” swą własną muzyką języka, rytmu, wdziękiem i prostotą w odtworzeniu świata ludowego i tak z nią bliskiego i łatwo się zespalającego wewnętrznego świata poety, wysunęły Lenartowicza na pierwsze miejsce w tej trojcy popularnych śpiewaków. Podczas gdy Syrokomla i Pol byli śpiewakami duszy szlacheckiej (drobna szlachta przeważnie) i mieszczańskiej (Gawęda o kilmskim Pola), to Lenartowicz wprowadza do literatury duszę ludu wiejskiego, polskiego, oczyszczoną z obniżających jej piękno cech realnych i zabarwioną sympatycznie

dla ówczesnych czytelników przez uwydatnienie, zidealizowanie jej religijności, polskości, dobroci, wdzięku naiwnego, wesołości. Zarówno ludowcy-demokraci, jak pańjoci-konserwaliści, katolicy czy wolnomyslni, ulegali urokowi lirycznych obrazków Lenartowicza, ukrywających te rysy duszy ludowej, któreby mogły do niej zrażać, unikających — wysuwanych w utworach Wolskiego — cierpien, krzywd i nienawiści ludu w stosunku do panów, a ukazujących tak w duszy Wiochny jak „Mazura za wołami”, radość i pogodę życia, zaciemnianą jedynie przez przelotne ogólnoludzkie smutki, tęsknoty, niepokoje. Ni ówczesni ludowcy-doktrynerzy, ni poeci, współzujący z ludem, lecz przenoszący w jego duszę własne ideały i dążenia — nie troszczyli się o poznanie i ukazanie realnej duszy ludu, istotnych cech jego charakteru i warunków bytu. Przedstawiano wieśniaków takimi, jakimi chcieli ich widzieć, podobnie jak w swoim czasie Zaleski odtwarzał Kozaków ukraińskich wedle ideału swych młodzieńczych marzeń i ukochań, chcąc pozyskać w ten sposób serca czytelników. Jak Zaleski widział w sobie tęsknego Kozaka, tak Lenartowicz przypisuje sobie duszę chłopską.

Pod wpływem ruchu słowiańskiego w r. 1848 i utrzymującego się ciągle od początku wieku XIX w duszach polskich mglistego słowianizmu, marzy Lenartowicz o federacji ludów słowiańskich, z republikańską formą rządu, polegającą na wybieranym co lat dziesięć naczelniku z różnych kolejno plemion i dodanym mu do boku wiecu stareów. Słowiańskim tym marzeniom daje wyraz w „Gładjatorach”, napisanych r. 1856 w Rzymie, a wydanych r. 1857 w Paryżu (str. 32). Motto, wzięte z pierwszych słów monologu Kassandry (z Odprawy posłów), wskazuje, iż lirnik mazowiecki zapragnął zająć stanowisko wieszczka i nauczyciela, dającego rady i nauki Słowianom i własnemu społeczeństwu. Biorąc za punkt wyjścia rzymski posąg konającego gładjatora, w którym Byron i Mickiewicz upatrywali Słowianina, snuje marzenia słowiańskopolskie. Wypowiedziawszy swe ubolewanie nad losem Słowian, poddających się w niewolę i ze sobą waleczących dla uciechy Cesarów, zwraca się do Polaków, Czechów, Rusinów, by w bratnim uścisku zakończyli dotychczasowe boje, i upaja się wizją wielkiego wiecu wyzwolonych plemion, wśród których staje wolne plemię Lechitów, „naród gładjatorów”. Utwór ten, a zwłaszcza wysuwająca się z niego myśl polityczna, której rzeczywistość ówczesnych stosunków słowiańskich tak wymownie przeczyła, wywołał ostrą, lecz przeważnie słuszną i trafną krytykę Klaczki („Wiadomości polskie” nr. 48 z r. 1857). Krytyk ten, niedawno podnoszący wartość liryk Lenartowicza (w artykule z r. 1855 w „Revue Contemporaine”) teraz, mając na uwadze twórczość lat ostatnich, zarzucał mu ciasnotę jego świata i monotoność na jedną nutę śpiewanych pieśni. Odnosnie do „Gładjatorów” zarzuca lirnikowi mazowieckiemu nieznamość i nierozumienie dziejów Rzymu i pierwotnych stosunków

plemion słowiańskich, a w głoszeniu braterstwa Słowian, wobec brutalnego deptania tej idei we współczesnych stosunkach, widzi poniżenie godności narodowej, małoduszną czułośćkowość. Ten ostatni zarzut był niesłuszny; Lenartowicz był zawsze gorącym patriotą, grzeszył tylko słabością umysłu, niezdolnego do głębszego i szerszego ujmowania i rozwijania idei, działających na jego uczuciowość. Krytyka ta wywołała protest bezimienny, pomieszczony w „Dzienniku Literackim“ (z r. 1858), usiłujący obalić zarzuty Klaczki i uznający w „Gładjatorach“ poezję męską i białą jak marmur, w której pióro stało się niejako dłutem. Klaczko odpowiedział obrońcom, uwydatniając ich nieudolność krytyczną. Niezrażony krytyką Klaczki, a podniecany rosnącym uznaniem współczesnego z nim ogołu, nie przestaje Lenartowicz przerabiał w różny sposób tych samych motywów i wyśpiewywał swych liryk na jedną wieź nutę. W pomysłach, pojęciach, tonie, języku odzywają się często przypomnienia Zaleskiego, Pola, Kochanowskiego niekiedy. Z tego czasu pochodzi „Mały Świątek“, gawęda napisana pięciogłoskowym wierszem, odtwarzającym z senną monotonością kołyszącego umysł rytmu mały istotnie świątek myśli i zainteresowań poety. „Stara kronika, rymy Janowe; oto czem moją zasilał głowę... Myśl moja cicha, jak moja chata, nad dym ojczystej wioski nie wzlata... Oko nie sięga dalej i szerzej... Czyż większa mądrość człeka potrzebna?... O jak to miło przy tym kominie wędrować myślą w marzeń krainie!”

Olbrymia większość ówczesnych czytelników polskich czytała to z zachwytem, z wzruszeniem przynajmniej, bo spotykała tu odbicie własnej duszy, jej równie ciasnego „świątku“. Wprawdzie niezadługo, bo w r. 1858 poeta wyrwie się z tego wąskiego kola zainteresowań i wyśpiewa bitwę raclawicką wierszem, tonem i językiem pieśni ludowej, lecz nie znajdzie w sobie ni rzeskości i życia Janusza, ni siły i męskości Goszezyńskiego, by odtworzyć mgliste i blade rysujące się w jego wyobraźni postaci i bieg akcji bojowej. W duszy poety, niezdolnej do głębszego ujęcia postaci i faktów dziejowych i plastycznej wizji, wielcy ludzie i doniosłe wypadki — czy to z historii Rzymu, Francji czy też Polski, przedstawiają się jak mgliste, rozplywające się cienie, o których poeta opowiada rozwlekle bądź językiem gawędziarza, nie mogącego znaleźć właściwego słowa, stąd szeroko i niejasno rozwodzącego się, bądź stylem naiwnego zakonnika-kronikarza. Głosne wówczas i budzące zachwyt opowieści Królodworskiego rękopisu, tłumaczone i naśladowane przez polskich poetów (Bielowski i Siemiński), rozbiegane przez Mickiewicza w wykładach paryskich, są, obok gawęd i klekt Wójcickiego, wzorami dla Lenartowicza, który przyswoiłszy sobie punkt widzenia i uczuciowość „chłopa“ z nad Narwi, nie dostrzega dość jasno różnicy między prostotą, a prostaczą nieudolnością, między opowieścią Odyssei, a gawędzeniem Wójcickiego.

Nieznajomość życia odległych wieków i języka wieku XVI,

którego formami się posługuje dla nadania archaicznego kolorytu opowieści, pozbawia obrazy dziejowe wyrazistości, prawdy, tonu właściwego. Czytelnik zwykły muzy się, słuchając bezbarwnej, beztreściowej gawędy, obeznany lepiej z życiem dawnem i językiem, dostrzeże w każdym wierszu anachronizmy i niewłaściwe, mylne użyte wyrazy staropolskie. Dość po dacie rozpatrzeniu baczniejszemu początek takiej opowieści, jak: „Słówko o Piotrze Duńczyku”.<sup>4)</sup> by zrozumieć ubóstwo treściowe i niedolność artystyczną, cechującą przeważną część obfitej produkcji rymotwórczej poety, trwającej do zgonu, płynącej z najszlachetniejszych zamiarów, lecz bezwartościowej najczęściej, bo przekraczającej coraz śmielej ciasną sferę „światła” poety i skromną skalę tonów jego „lirunki”, usiłującej brzmieć tonami wieszczych harf Wenedów i surm wojennych eposu heroicznego.

Na tę błędną drogę, prowadzącą do zawodów i rozczarowań, gnębiących poetę i ukazujących obojętne na jego twórczość społeczeństwo, a zarazem i ludzkość współczesną w pesymistycznym oświeceniu, jako staczającą się przez swe zmaterjalizowanie do upadku — wpłynął niewątpliwie przykład Zaleskiego, który także w „Duchu od stepu” wdrapywał się na niedostępne jego umysłowi i artyzmowi wyżyny, by powtarzając i rozwijając najslabsze myśli „Księg Narodui Pielgrzymstwa”, spełniać zadanie wieszczanauczyiciela.

Wstrząsające duszę polską wypadki lat 1861—1864 osłabiły mocno urok i wpływ pieśni Lenartowicza na ogół. Wydanie zbiorowe poznańskie z r. 1863 ukazało się w chwili, kiedy tony „Lirunki” ani wzruszyć ani potłuszyć, ani pocieszyć serc nie mogły. Poeta, przebywający stale we Florencji, zatracający tym sposobem związek duchowy z ogółem, napróżno stara się umocnić te węzły i utrzymać się na stanowisku śpiewaka narodowego. Dojrzewająca i rosnąca pod wpływem rozgrywającego się dramatu dziejowego dusza polska znajdzie swego wyraziiciela w wielokroć bogatszym umyśle i artyzmem Asnyku, którego utwory początkowe wydają się Lenartowiczowi niemal wstrętnymi. Wrazem usiłowań Lenartowicza, chcącego w tych latach utrzymać się na stanowisku poety narodowego, jest powieść poetyczna o „Marcinie Borelowskim Leluwelu”, dowódzcy z r. 1863, w formie pieśni, ludowym stylem i tonem nacechowanej. Borelowski był rzemieślnikiem z zawodu,

<sup>4)</sup> Początek ten brzmi:

Na dworze Bolesławów z Danji przybyły  
Był podówczas Piotr Duńczyk, rycerz doznany,  
A jako był samemu królowi miły,  
Wierę, iż go szacował nad swe dworzany,  
I z nim pijał, z nim jadał, rady się badał,  
Na nim rękę łuskowaną bezpiecznie składał  
I onego Duńczyka przyjmował gościnnie  
I obdarzył go raezyl Grabstwem na Skrzyźnie.

stąd ludowo-demokratyczny charakter utworu. Chęci i uczucia gorące twórcy nie znajdują jednak należytego wyrazu w luźności układu, rozwlekłości i pospolitości wysłowienia. Przesada hołdu poety, widzącego w Borelowskim zbawcę narodu, zwiastuna nowej epoki, nie mogła pozyskać uznania czytelników. Wiersz na rocznicę zgonu Kościuszki z okazji obchodu w Solurze r. 1865, pisany uroczystym wierszem, pełnym archaizmów, wprowadzający ducha bohatera, przemawiającego do potomnych, nie mógł znaleźć echa w duszach, szukających w poezji wyrazu dla swej nowej, bogatszej o wiele umysłowości i skupionej, zahartowanej przez ciężkie przeżycie uczuciowości. To coraz boleśniejże dla poety nieporozumienie ze społeczeństwem, składającym mu dowody uznania za jego wytrwałą służbę, dawną twórczość, ale obojętnem na coraz obfitszą produkcję lirnika wiejskiego, występującego w charakterze rapsoda, wieszca — wytwarzało wraz z ciężkimi warunkami bytu materialnego, stan ciągłego rozdrażnienia i rozgoryczenia na świat cały i rodaków. Jak Krasiński w swych wizaach gorączkowych, tak i Lenartowicz w życiu współczesnem i kulturze widzi same tylko pojawy upadku, zgnilizny, zmaterjalizowania. Zarówno duchowieństwo, jak arystokracja, mieszczaństwo, artyści, poeci — wszystko to samoluby, pyszałki, warjaci. Jeden lud wiejski — z którym zresztą się nie styka — nie traci sympatji poety. W chwilach rozgoryczenia nie waha się w listach swych i w wierszowanych wypowiedzeniach wygłaszać najjadliwszych charakterystyk i sądów o wielkich poetach i artystach polskich, jak: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Żmichowska, Ujejski, Matejko, Asnyk. Zarzuca im pychę, obłudę, niewiarę, brak serca. Oburza się, iż Matejko „zapackał” kościół Panny Marji. „Niechby babrał wozownie a nie tykał kościoła”. Wprawdzie w chwilach uspokojenia, zwłaszcza gdy spotkał się z protestem przeciw podobnym sądom, cofał swe wyrzeczenia, przyznawał, że powtarza dawne emigranckie plotki, ale to w wybuchy, często ponawiające się, świadczą o wysokim stopniu rozdrażnienia i rozgoryczenia poety, cierpiącego wskutek obojętności ogółu i starającego się zwalczać tę obojętność polemowaniem coraz nowych, coraz nieodpowiedniejszych zakresowi uzdolnień zadań. W r. 1865 ogłasza poemat „Polskie śluby” (na tysiąclecie chrześcijaństwa w Polsce), w r. 1866 ukazuje się „Aniela ziemi, srebrny spiew” (Lipsk, str. 87), zbiór nowych utworów ukazuje się w r. 1870 p. t. „Ze starych zbroic. Rytm” (Lwow, str. 301 — poematy z dziejów polskich, od Mierczysława do Jana III) i „Album włoskie” (Lwow, str. 198). W dwa lata potem wychodzą w Poznaniu „Echa nadwiślańskie” (T. 1, str. 287), zbiór drobnych lipek, którego drugi tom nie ukazał się wobec słabego pokupu. Przechodzą również bez zwroconia uwagi „Lasty o Adamie Mickiewiczu”, zwrócone do syna, Władysława (Paryż 1875, str. 72) Ogłoszony staraniem i pomocą żyjących „Wybor poezji” (Kraków, 1876, cztery tomy,

nakładem autora), mieszczący poniekąd całą dotychczasową twórczość, przynajmniej wszystkie wybitniejsze utwory, nie rozchodził się prawie. Mimo to przypisujący „zgniliznie” świata tę obojętność poeta nie powstrzymuje swej produkcji. Podejmuje ponowne opracowanie pomysłu swej „Jagody” i w przeciwstawieniu do małego areydziała, jakim jest pierwotny obrazek liryczny, tworzy nudną, rozwlekłą opowieść, którą swym kosztem ogłasza życzliwy autorowi Gustaw Zielinski (Toruń 1879). Jednocześnie pracuje nad wielkim poematem „Dacja”. Idąc za hipotezą Bielowskiego, widzącego w Dakach przodków Polaków, opiewa dzieje ich podboju przez Rzymian i powstanie pod wodzą Deccebała, zakończone porażką, upamiętnioną na kolumnie Trajana. Poemat ten, 14-zgłoskowym wierszem skreślony, pozostał w rękopisie, złożonym w Bibliotece Ossolińskich.

Pracuje również nad poematem: „Założenie Poznania”, rozpoczętym jeszcze w r. 1873. Utwór ten, o którym sam autor pisał w liście z 1874, że jest „dziki i rozeczochrany”, nie ukazał się w druku. W liście do Zmorskiej (wdowy po Romanie) z maja r. 1878 pisze: „Nigdy nie byłem więcej usposobiony do pisania — jakieś dobre duchy siadają na mojem drzewie... Jestem spokojny i czasami cały jak we łzach. Ludzi coraz bardziej znosić nie mogę, listów z kraju nie czytam, żeby tej ciszy wewnętrznej nie stracić. Czytam Biblię i podróże“. Zamiast natchnienia jednak owe „dobre duchy” zsyłają pocie płynność wierszowania i łatwość poprawnego, sentymentalizmem przesiąkniętego wysłowienia, pozwalające mu snuć pozbawione plastyki, barwności, życia wewnętrznego i ciepła, potoczyste opowieści. W tym czasie również ciągnie dalej dawniej rozpoczęty poemat o Janie Sobieskim („Ostatni rycerz”) i drugi o Kościuszcze („Pierwszy kміeć”). „Życie dobrych ludzi (pisze poeta do Darowskiego, r. 1880) nakładam najmiłościwszemi, najdobrańszemi kolorami; zdaje mi się, że oni żyją, poruszają się koło mnie, a nasz naczelnik wychodzi coraz lepiej... z początku nie rozumiałem go, dziś pojmuję zupełnie. Bogusławskiego piosenki... opowiadania ojca, który służył pod Kościuszką, pomagają mi, ale najwięcej nieskończona, nieopisana miłość, jaką mam dla tej ślicznej postaci“. Przysłuchujący się tonom serca swego lirnik nie mógł naturalnie dostrzec dysharmonji jego tkliwej uczuciowości z heroicnością postaci takich, jak Sobieski i Kościuszko, a przytem ubóstwa rysów w wizerunkach, kreślonych na podstawie tak ubogich danych, jak opowieść ojca, prostaka, i piosenki Bogusławskiego (co do Kościuszki). Utwory te staraniem Mieczysława Darowskiego ukazały się wraz z innymi we Lwowie r. 1881 p. t.: „Rytmy narodowe” (str. 202). Na te lata przypada działalność Lenartowicza jako członka związanej w r. 1879 z inicjatywy prof. Santagaty włoskiej Akademji Adama Mickiewicza w Bononji. Nieco wcześniej założył Artur Wołyński Muzeum Kopernika w Rzymie. Obie te instytucje nie zna-

laży poparcia świata naukowego włoskiego i przestały istnieć ze śmiercią założycieli. Lenartowicz oprócz przemówień na posiedzeniach (O pismach politycznych Mickiewicza, sprawie Polski i Wajlenrodzie) wygłosił cały szereg odczytów o literaturze polskiej, za co otrzymał na przedstawienie uniwersytetu bonońskiego order korony włoskiej, tytuł profesora i 1000 franków ze szkatuły królewskiej rocznie za wykłady. Funduszem tym musiał się dzielić z panią Malwiną Ogonowską, lektorką języków słowiańskich. Wykłady Lenartowicza wyszły we Florencji r. 1886 p. t.: „Sul carattere della poesia polono-slava” (str. 196). Streścił je po polsku i ocenił dr. Sas w „Przewodniku Naukowym i Literackim”. Poeta w swym zarysie objął cały rozwój literatury od Reja (Żywot człowieka poczciwego) do połowy w. XIX. Słaba znajomość przedmiotu i uboga umysłowość wykładającego, przy gorącym patriotyzmie i zapale dla poezji ludowej, cechują te ubogie w treść zarysy. W r. 1883 ukazują się „Cienie syberyjskie” (Lwów, Bibl. Mrówki), rozpoczęte r. 1873, a dokończone 1879. „Nigdy nie byłem lepiej usposobiony, pisze twórca do Zmorskiej — duch Adama, widziany we śnie, pochmurzy, bolejący, kazał mi kończyć aż do dzisiejszej chwili dzieje niepisane. Widziałem, że się gniewał na moją śpiewność i kazał mi patrzeć na ogień i słuchać huku dzwonów”. Utwór ten miał stanowić — w intencji poety — jakby dalszy ciąg „Dziadów”. Czując potrzebę wypowiedzenia swych pesymizmem i goryczą nacechowanych sądów o współczesnej ludzkości i własnym społeczeństwie, a zarazem swych uraz i żalów do ludzi, rozpoczął jeszcze w r. 1872 pracę nad udratyzowaną satyrą p. t.: „Piekielna komedja”. Cieszy się zawczasu, że jak wyda bezimiennie, nikt nie domyśli się autora, tak będzie różnym od dotychczasowych utworów. „Powiadam ci, pisze w liście do krewnego, w r. 1873, że to batożek nieposledni, który tak wyrobuję, tak wykończę, jak Celliniego figurki, każdy ustęp, choć jak nie wiem zjadliwy, będzie okrągły jak perła, przynajmniej takbym chciał”. Czy chęciom dorównało uzdolnienie, można powątpiewać. Utwór ten, wykończony podobno około r. 1878, nie ukazał się dotąd w druku, może z korzyścią dla pamięci autora, który roid sobie, iż ukazaniem się wywoła oburzenie ogólne. „Słomazarna muza dzisiejszych poetów, ogłaszanych przez Kraszewskiego za geniuszów, przerazi się czerwoności mojej. Jezuity wrzasaą jednym chórem anatema i demagogi ukręcają mi postronek, a jednak ja to wydam, bo coś mnie pali i kusi, jak muchę: lec w ogień, spa się... Serce mam rozdarte widokiem najfatalniejszego upadku narodu”. W r. 1881 zaczął pisać nowy utwór dramatyczny: „Żgon Sokratesa”, przerabiany kilkakrotnie co do układu i tytułu, ogłoszony dopiero po śmierci autora, p. t.: „Sędziowie ateńscy” (Lwów, 1895, str. 85) Mimo starannego opracowania szczegółów da greckiego, starannej budowy wiersza białego — rymowany w chorałach i pieśniach — postać Sokratesa, podobnie jak wszyscy wciety białe



w utworach Lenartowicza — straciła swą wielkość i majestat. Zamiast mędrca, stwierdzającego swym zgonem nieśmiertelną prawdę, ukazuje nam poeta zanego, znużonego życiem starca, spragnionego śmierci. Gorycz swą wyraża poeta w określeniu ludzkości, jako zbiorowiska „pysznych, głupców i gaganów”, nurzających się w błocie jako swoim żywiole. W r. 1886 powstał nowy dramat: „Nieszczęśli”. W liście do Konopnickiej pisał poeta: „Są tam gorzkości. Ano trudno. Niezawsze można być miodowym... Moi „Nieszczęśli” jest to coś bardzo dramatycznego, na co edytora pewniebym nie znalazł... I może lepiej tak, bo zakończę żywot pod szarą sukmaną lirnika, a nie w płaszczu z iskier i płomieni, w które mnie moja dziwaczna Pröteowa natura przystrajała”. Korespondencja, którą użytkował H. Biegeleisen w książce, poświęconej życiu i dziełom poety, odśladania nam jaskrawe przeciwieństwa, stanowiące istotę ciężkiego życia i związanej z temi warunkami twórczości. W sprzeczności ze skargami na obojętność i zmaterializowanie ludzi, klątwami, złorzeczeniami na arystokrację, otrzymuje poeta od ziomeków, a w tem od przedstawicieli arystokracji, dowody pamięci, uznania i poparcia materialnego. August Cieszkowski opiekuje się zdrowiem poety, wozi go do miejsc kuracyjnych swoim kosztem, zamawia i hojnie opłaca roboty rzeźbiarskie. Mielżyńscy opiekują się chorą żoną poety, która kończy u nich życie. Pani Capelli, z domu Dzieduszycka, gości w swej willi włoskiej poetę i popiera jego rzeźbiarstwo. Ks. Marcelina Czartoryska, Przeździecka nabywają jego roboty i dają zamówienia, Kraszewski i prasa polska przy każdej sposobności podnosi zasługi poety, donosi o jego działalności, wystawia rzeźby, wykłady bonońskie. W czasie kilkumiesięcznego pobytu w Krakowie odbiera hołdy i dowody życzliwości zarówno od arystokracji i duchowieństwa, jak od świata naukowego (uniwersytetu), literackiego, dziennikarskiego. Lwów wysłał specjalną deputację z dyplomem honorowym i albumem pamiątkowym. „Gdybym był zarozumiałym, pisał wtedy poeta, mógłbym myśleć Bóg wie co o sobie; szczęściem, że się znam i wiem, że niczem jestem, marnością i nędzą”. Przesycony hołdami skarży się: „Godność moja już mi kością w gardle staje i niczego więcej nie pragnę, jak coprędzej uciec od tych owaacyj i od tych herbat i obiadów i wizyt”. Choć od czasu do czasu uznaje sam, iż twórczość jego w szczupłych zamyka się granicach, choć czuje się tylko ludowym lirnikiem, to jednakże ciągle podejmuje zadania, przechodzące zakres jego uzdolnień, pragnie być śpiewakiem przeszłości i jej wielkich postaci, sędzią i satyrykiem współczesnego życia, i zadowolony z dokonanych dzieł, oburza się na wydawców i czytelników, obojętnych dla tych utworów. Wysoka artystyczna wartość pieśni i obrazków lirycznych z okresu lat 1842 do 1860, wnoszących do poezji polskiej, odbity i załamany w uczuciowej duszy poety świat duchowy wieśniaka mazowieckiego, ujęty w wdzięk i muzyką słowa, nacecho-

wane formy; wytrwała, z dobrą wiarą, choć z ubogim wynikiem prowadzona w rozległym zakresie dalsza praca twórcza na obczyźnie, wśród ciężkich warunków, w walce z chorobą i niedostatkiem, wyznaczają Lenartowiczowi skromne, ale trwale stanowisko wśród śpiewaków, wyrazicieli duszy polskiej, w okresie jej ścieśnienia i osłabienia we wszystkich dzielnicach polskich. Krzepić tej duszy nie był zdolny, ale ją uspokajał pogodą i słodyczą swej liryki, zidealizowanym, jednostronnym odbiciem świata ludowego.

## WSKAZÓWKI BIBLIOGRAFICZNE.

Wydania częściowe i zbiorowe. Liryki Lenartowicza ukazywały się od r. 1841 najprzód w miesięcznikach i noworocznikach warszawskich, jak: „Przegląd Warszawski”, „Nadwisłania”, „Biblioteka Warszawska”, „Przegląd Naukowy”, „Niezapominajki”, „Album Warszawskie”. Od r. 1847 ukazują się w „Dzienniku Mod Paryskich”, wydawanym we Lwowie, i „Wieśniaku” piśmie ludowym, wychodzącym w Krakowie r. 1848. Pierwszy zbiorek p. t.: „Polska ziemia w obrazach” wychodzi r. 1848 w Krakowie (część I, druga litografowana), a następnie drugie wydanie w Poznaniu r. 1850. „Cztery obrazy”, poświęcone Wojciechowi Stattlerowi, w Krakowie r. 1848, str. 38, „Szopka” (Wrocław 1849, str. 71). Następnie od r. 1850 nowe liryki i obrazki pomieszcza Lenartowicz w „Szkolce dla dzieci”, wydawanej w Poznaniu przez E. Esfkowskiego (tu wyszły: „Mały Świątek” i „Zachwycenie”), w dzienniku „Krzyż a Miecz”, którego redaktorem był Karol Baliński, a jednocześnie i w „Bibl. Warsz.” (z r. 1853 „Wiochna”, „Mały Świątek”), w „Pokłosiu” (zbiornik liter. 1853, Leszno) i „Nowinach” Iwowskich. Zbiór 27 liryk osobno ogłaszanych pojawił się r. 1855 w Poznaniu (Żupański) p. t.: „Lirenka”, (str. 209). Część tego zbioru (13 utworów) wyszła w Warszawie — z cenzurą petersburską — pod tym samym tytułem („Lirenka”, M. Frühling, str. 110). Współcześnie zaczęły się ukazywać nowe utwory w „Dzienniku Literackim” Iwowskim (od 1853) i „Do latka do czasu” (od 1856). Wiersz „Wynaney do narodu”, wyszedł w Paryżu, r. 1856 (str. 6), także współcześnie „Gładziatorowie” (str. 32), a następnie w r. 1859 „Bitwa racławicka” z dotychczas. Wysockiemu (str. 59 — oznaczona jako część pierwsza całości, mającej się składać z ośmiu pieśni). „Święta Zofja” wyszła r. 1857 w Poznaniu (str. 22), „Zachwycenie i Błogosławiona”, (Warsz. 1857 i Poznań z ilustr. Zaleskiego 1861, str. 33). Wraz z rosnącą w tych latach popularnością poety minął się zbiorowy wydania i przedruki oddzielnych obrazków. W r. 1858 wydano w Warszawie staraniem Belejowskiej Junony „Poezje” (XI. No-

wofecki), będące zbiorem (w 2 częściach), świeżych przeważnie utworów. Prawie wszystkie pisma polskie literackie pomieszczają nowe poezje Lenartowicza („Dzwonek” i „Czytelna dla młodzieży” w Lwowie, „Niewiasta” w Krakowie), „Bitwa raclawicka” wychodzi r. 1861 w Naumburgu i 1862 r. w Berlinie i 1864 r. w Paryżu w „Bibl. Ludowej” i 1878 w „Bibl. Mrowki”. Nowy poemat „Cesarz”, według francuskiej prozy Legenda — wychodzi w Poznaniu (r. 1861 Żupański, str. XVI i 44, ded. Sewer. Mielżyńskiemu). Współcześnie okazuje się w Warszawie „Żywot św. Jana Chrzciciela”, ze zbioru starych pisarzy włoskich wyjęty... na język polski z niektórymi odmianami... wytłumaczony (Warsz. 1862 — druk Ungra, aprobała kościelna, str. 106). Nowe zbiorowe wydanie poezyj ogłasza r. 1863 Żupański (Poznań t. I, str. 213, t. II str. 301). Weszły tu prócz dawniejszych, jak: „Bitwa raclawicka” i świeże utwory, wywołane wypadkami ówczesnymi. Po r. 1864 słabnie wpływ Lenartowicza na ogół, ale zwiększa się ilościowo twórczość. W drukarni „Ojezyny” w Bendlikonie (Szwajcarya) wychodzi z okazji poświęcenia w r. 1865 tablicy pamiątkowej na domu, w którym umarł Kościuszko, wiersz p. t.: „Orzeł” i osobno „Wiersz na rocznicę zgonu T. Kościuszki”. Tamże również wychodzi r. 1865 „Opowiadanie mazowieckiego lirnika, t. I. Marcin Borelowski-Leleweł”, (str. 31). Tegoż roku w Poznaniu (Żupański) wychodzi wiersz: „Polskie śluby, na tysiącletnią rocznicę zaprow. chrześcijaństwa w Polsce” (str. 39, pośw. Libeltowi). W r. 1866 ukazują się w Lipsku (Engelhardt) „Anioł ziemi, srebrny śpiew” przez T. L. Prolog, pięć pieśni (Hellada, Judea, Roma, Kaledonia, Polska i zakończenie (Syberja), str. 88. Pojedyncze utwory pomieszcza teraz poeta w pismach warszawskich: Bibl. Warsz., Tyg. ilustr., Kłosy. lwowskich: Tygodnik Nauk. i Liter., Dziennik Literacki, Dzwonek, Strzecha i w dreźnieńskim „Tygodniu”. Rok 1870 przynosi dwa zbiorowe wydania nowych utworów: „Ze starych zbroie” w zbiorze Bibl. Narodowa, t. III, Lwów 1870, Richter, str. 301. Mieszczą się tu pieśni i poematy historyczne, poczynając od Mieczysława aż do części poematu o Janie III. W końcu dodane przekłady, z serbskiego głównie. Drugi zbiór: „Album włoskie” jako ezwartý tom, (Bibl. Narod., Lwów, Richter, 1870.) poświęcony młodzieży polskiej, mieści na 198 stronach, 38 utworów, osnutych na wrażeniach włoskich.

W r. 1871 ukazuje się w Dreźnie: „Do artystów polskich w sprawie Muzeum Rapperswyłu” (str. 18, z ryciną). R. 1872 wychodzą w Poznaniu (Żupański) „Echa nadwiślańskie”, zbiór drobnych liryk i opowiadań, patriotycznej i ludowej osnwy. Tom I, str. 287, tom drugi nie wyszedł. Do liczby pism, pomieszczających utwory L. przybywają: Tyg. Mód i Powieści, Ruch Literacki (Lwów) i Dziennik Lwowski. W r. 1874 wychodzi „Szopka” poraz trzeci w Bibliot. Mrowki. Książka zbiorowa „Sobótka”, na cześć Goszezyń-

skiego wydana r. 1875 mieści urywek poematu: Jung Blankenheim (wódz z r. 1863). W r. 1875 wychodzi nakładem autora w Krakowie (W. Anczyce) „Wybór poezyj” tom. IV, str. 326, 349, 370 i 315. Od r. 1879 do pism, mieszczących utwory L. przybywa „Przegląd Lwowski” i dwa pisma ludowe: „Pszczółka” i „Wieniec”, wydawane przez ks. Stojałowskiego.

W r. 1880 wychodzi w Warszawie „Jagoda mazowieckich lasów” przez Au. Li. (Gebethner) poświęcona Gustawowi Zielińskiemu (str. 62). W r. 1881 „Rytmy narodowe” (Lwów, str. 202), poświęcone Mieczysł. Darowskiemu (mieszczą one poematy o Sobieskim, Kościuszcze i Pieśni gminne) „Chorągiew słowiańska do grobu św. Cyrylego w Rzymie” (Lwów 1881, str. 32). „Złote serce” Wiersz ku czci ks. Pijara, Stan. Konarskiego. (Kraków. Nakładem ks. Pijarów. 1882, str. 15). „Cienie syberyjskie” (Bibl. Mrówki, tom 177, Lwów 1883, str. 93). „Głosy lutni Teof. Len. w sprawie pomnika śp. Marji Bartusówny” Lwów 1888, str. 10). „Słowo o Bohdanie Zaleskim” (Lwów — Gubrynowicz, str. 54). „O Kościuszcze” przez Czest. Pieniążka i o bitwie raclawickiej przez T. Lenart. z 2 ryc. Jul. Kossaka (Lwów. nakł. Macierzy, str. XLII i 46). „Trzeci maja”, wiersz ofiar. młodzieży warsz. (Kraków 1891, str. 8, odbitka z „Myśli”). „Lenartowicziana” I, II (Kraków. Bartoszewicz, str. 30). „Poezje”, wyd. pośmiertne. (Lwów, dwa tomy, Gubrynowicz, 1895, str. 333 i 257). „Sędziowie ateńscy” (Lwów. 1895, str. 85). „Wybór poezyj” (Petersburg. Grendyszynski, wyd. miniat. z portretem, str. 349). „Poezje” (Warsz. 1899 — „Gazeta Polska” — Wybór, str. 148). Po zgonie poety drobne niedrukowane utwory, pojawiały się w „Tyg. Ilustr.”, „Gazecie Polskiej”, „Kurjerze Warsz.”, „Słowie Polskiem”, „Tyg. Liter.” lwowskim, „Bluszczu”, „Wędrowcu”, „Pracy” (Poznań), „Przeglądzie Liter.” (Kraków). Osobno ukazał się: „Żywoł starego żołnierza”. Pogadanka zimowa. Wstępem i objaśnieniami zaopatrzył A. E. Balicki. (Kraków. 1905, str. 59). Korespondencje literackie L. o sztuce i literaturze włoskiej, pomieszczała Biol. Warsz. z r. 1869 i 1870 i Tyg. Ilustr. z r. 1867, 8 i 9. Korespondencja L., obejmująca przeszło 1000 listów, pisanych do najbliższych mu osób, ma się podobno ukazać w druku. Oprócz pojedynczo ogłoszonych w różnych pismach listów, wydał Paweł Bryła „Listy L. do X. C. (w wyjątkach. — Spraw. gimn. Stanisławów 1893) Przekład włoski poezyj L., dokonany przez Marcucciego, wyszedł p. t. „Poeste Polacche di T. Len. recitate in versi italiani da Ettore Marcucci. Firenze 1871, pag. XXI et 173 (Są to przeważnie liryki z Albumu włoskiego). Francuski przekład wyszedł r. 1881, p. 4 „Poetes illustres de la Pologne au XIX siècle. Derniere série. Theophile Lenartowicz. Nice — Paris 1881, str. 181. Tymczasem był znany mianak Charles de Noire Isle (Karol Przeczulicki) superceja swa uienafolna robotą przekładane utwory. Niemieckiego przekładu (Lrenki) i Zacharyszona dokonał czesnowo Aug. Woycke (Berlin Nicolaisalle Buch. 1871 str 411

Opracowania biograficzne i krytyczne. Pierwsze oceny utworów młodzieńczych L. spotykamy w „Przeglądzie Warszawskim” z r. 1842, t. III w rozprawie Józefa Czajkowskiego „Spojrzenie na piśmiennictwo krajowe” i w „Tygodniku Literackim” (Poznań, 1843) w rozprawie Edwarda Dembowskiego „Młoda piśmiennictwo”. Życiorysy z wizerunkiem pomieścili W. Grochowski w „Tyg. Ilustr.” (1861 r. t. IV) i K. Wł. Wóyciecki w „Kłosach” (r. 1873, nr. 405), K. Widman („Strzecha” Lwów 1868), Sawicz Zabłocki („Ruch Literacki” Lwów, 1876, nr. 48—52). Oceny twórczości dał „Przegląd Tygodniowy” w artykule „Grupa poetów z 1840 r. C. Norwid i T. Lenartowicz” (r. 1879, nr. 41—45). Czesław Jankowski „Publiczność i poeci” (Dodatek do „Kraju” z r. 1888 nr. 20) Gwido „Autobiografja poety” (Dod. do „Kraju” r. 1888, nr. 48—49).

Opis pogrzebu, obchodów pogonnych, mowy i t. p. pomieściła „Nowa Reforma” w specjalnym numerze (131) z 11 czerwca 1893 r. i kilku następných. Ostatnie chwile poety i wspomnienia z pobytu w Krakowie podał „Czas” z lutego r. 1893 (nr. 31—33). Wychodzący w Krakowie tygodnik „Świat” poświęcił poecie cały zeszyt (r. 1893). Spis utworów L. podała „Gazeta Narodowa” z r. 1893 (nr. 31 i 36). W. Wolski: „Wspomnienie o T. L.” (Tydzień, dod. do „Kurjera Lwowskiego” 1893 r. str. 90). Jan Kasprzewicz: „Wieś mazowiecka a poezja L.” (Tydzień, r. 1893, str. 190) „Hołd lirnikowi mazowieckiemu przez rodaków w Krakowie 12 czerwca 1893”. (Życiorys, spis prac, przemówienia pogrzebowe, rozprawa Bełcikowskiego o twórczości L. — str. 107 i portret). K. Bartoszewicz: „Lenartowicziana” (Kraków, 1893, str. 30). J. Kasprzewicz: „Lirnik mazowiecki, szkice literackie” (Lwów, 1893, str. 109 z portretem). J. Tretiak: „O poezji L.” (Czas, r. 1893, nr. 132 i 133). P. Bryła: „T. L. szkice biograf.” („Spraw. gimn. Stanisławów, 1893, str. 39). St. Tarnowski: „T. L.” („Przegląd Polski” Kraków, 1893, t. 26, str. 392—443) „Tygodnik Ilustrowany”. poświęcił L. cały numer z 24 stycznia 1903 r. Ign. Matuszewski: „Z życia i działalności T. L. na podstawie listów poety” (w zbiorze „Twórczość i twórcy” (Warsz. 1904, str. 325—337). St. Lam w „Przeglądzie Wielkopol.” (Poznań, 1913, nr. 7 i 8). T. Narbutt Monczuńska: „Ze wspomnień o L.” („Kurjer Lwowski”, styczeń 1913). Henryk Biegeleisen: „Lirnik mazowiecki, jego życie i dzieła — w świetle niedzanej korespondencji poety” (Gebethner i Wolff, 1913, str. 350, dwa portrety). Monografja ta mieści szczegółową bibliografję utworów L., ich przekładów, pism o L., pamiątek i portretów L., wreszcie spis rzeźb i wiadomość o listach, ogłoszonych i zebranych do wydania. Powyższa wskazówka bibliograficzna jest oparta na zebranym przez p. Biegeleisena materiale.

Utwory liryczne z okresu 1841—1855.

**Wiersz do poezji.**

(r. 1843)

a) Kochanko ducha, dziewico słońca,  
Z mieczem i w zbroi hartownej!  
Nikt się nie oprze, gdyś jest walcząca,  
Nikt się nie oprze, dziewico słońca,  
Twojej piękności czarownej!

Gdy miecz ukazesz, gdy hełm przywdziejesz,  
Białoramienna dziewico!  
Gdy na wiatr sztandar śnieżny rozwiejesz,  
Zapał szalony w serca rozsiejesz,  
Rycerze bronie pochwyca.

Uchwyca tarcze, miecze ostrzone  
Wstrząsną w żyłastych prawicach,  
Z krzykiem rozpaczy rzuca się w stronę,  
Gdzie im ukazesz grody zniszczone —  
Na których widok zapłomienione  
Piekło wystąpi na licach.

A gdy bohater padnie w obronie,  
Ty znijdziesz w szacie anioła  
I wieniec chwały włożysz na skronie —  
Zwycięstwo będziesz śpiewać przy zgonie,  
I śmierć mu przejdzie wesola.

Ty zimne duchy ogniem zapalasz,  
W wary przemieniasz chłód lodów!  
Ty jedna cudem ludy ocalasz,  
Niezwyciężone tłumy obalasz,  
Poezjo, matko narodów!

Ty męczennikom, pod ręką kata  
Rozpiętym w bólach śmiertelnych,  
Stawiasz obrazy lepszego świata,  
Gdzie myśl ostatnia z krzyża ulata  
Do Boskich krain weselnych!

Ty im, czarowna dziewico słońca,  
Nim śmierci doświadczą chłódów,  
Za życie męczarni — swiatłość bez końca  
Ukazesz zdala w promieniach słońca,  
Poezjo, wiaro narodów!

Na czarodziejskie twoje skinienie  
 Stanie się niebo na ziemi,  
 Dzikiej niezgody zgasną płomienie,  
 Na twej czarownej palmy skinienie  
 Ludzie się staną świętymi.

Na kogo twoje wejrzenie padnie,  
 Ten ziemi świeci na wieki,  
 W imieniu twojem serca owładnie,  
 Ludziom ich przyszłe losy odgadnie,  
 A czas je spełni daleki.

Ty będziesz wiązać dłonie szermierzy  
 W czas ślubnych świata obchodów;  
 W oltarzach stawisz duchy rycerzy,  
 Przez ciebie ludzkość w siebie uwierzy,  
 Poezjo — prawdo narodów!

### Kalina.

(r. 1844)

b) Rosła kalina z liściem szerokim,  
 Nad modrym w gaju rosła potokiem.  
 Drobną deszcz piła, rosę zbierała,  
 W majowym słońcu liście kąpała.  
 W lipcu korale miała czerwone,  
 W cieniu z gałązek włosy wplecione.  
 Tak się stroiła, jak dziewczę młode,  
 I jak w lusterko patrzyła w wodę.  
 Wiatr co dnia cesał jej długie włosy,  
 A oczy myła kroplami rosy.

U tej krynicy, u tej kaliny  
 Jasio fujarki kręcił z wierzbiny  
 I grywał sobie długo, żałośnie,  
 Gdzie nad krynicą kalina rośnie!  
 I śpiewał sobie: dana! oj, dana!  
 A głos po rosie leciał co rana.  
 Kalina liście zielone miała  
 I jak dziewczyna w gaju czekała.  
 A gdy jesienią w skrzynkę zieloną  
 Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,  
 Biedna kalina znać go kochała,  
 Bo wszystkie swoje liście rozwiała,  
 Żywe korale wrzuciła w wodę,  
 Z żalu straciła swoją urodę.

## Mazur za wołami.

(Wyjątek).

C) Płaszę śpiewa, bo płaszę,  
Bo ma w lesie swobodę,  
Dziewcę śpiewa, bo nasze,  
Bo wesole i młode,  
Bo ma liezko jak róża,  
I nie mała, nie duża.

I ja sobie zanucę,  
I ja czasem wesoly:  
Jeno woły nawrócę,  
Wołyż moje! hej, woły!  
Albo ja to sierota?  
Albo jaki niepota?

Mam ja rolę i chatę,  
I poszyte stodółki,  
I bydełko rogata,  
I dwa konie, i pszczołki,  
I kobietę Jagusię,  
I dzieciątko malusie.

Pan Bóg łaskaw na człeka:  
Grady biją zdaleka,  
U mnie zboże się kłosi,  
Deszczyk przyjdzie, porosi,  
Albo lunie jak z cewki  
Na ogrody, przysiewki.

Jak to woły się cieszą,  
Kiedy jarzma nie czują,  
A rogami się czeszą,  
A patrzą się, a żują.  
Idzie słonko po niebie...  
A no! woły, od siebie!

Jakoś ciężko pług chodzi,  
Ale ziemia obrodzi,  
Dla kaleki, żebraka  
Daje ziemia nieboga.

Dla sieroty, dla ptaka,  
Przyjaciela i wroga.  
Byle posiać na dobie...  
A no! siwy, a k'sobie!

Danaż moja! oj, dana!  
Ludzie idą do siana,  
Brzęku, brzęku po stali,  
A dalejże, a dalej!  
Mają zboża Kujawy,  
Mają łąki na paszę,  
Ale gdzie im bór ćmawy,  
Takie łąki, jak nasze!

Oj, Bachorza, Bachorza!  
Same błota i trzciny,  
I jeziora jak morza,  
I doliny, doliny.  
Gdzie się człowiek obróci,  
Wszędzie serce zasmuci.

A to u nas inaczej:  
Szumią gaje w równinie,  
Ani świata zobaczy,  
Jak stryj brodę rozwinie;  
Jeno w górze u szczytu  
Jasny kawał błękitu.

Raniusieńko, jak zorze,  
Słychać ptaków śpiewania;  
Skowroneczek już orze,  
A przepiórka pogania.  
Wiatr po liściach szelesci,  
Coraz widniej, niebiesiej.

Każde przy swej robocie:  
Bocian chodzi po błocie,  
Słowik śpiewa, a śpiewa,  
Żołna\*) lasy rozsiewa.

\*) Żolna — dzięciol czarny lub zielony



Przyśpiewują na głosy  
To wiwilgi, to kosy,  
I człek myśli, że w raj,  
A on w kraju, oj, w kraju...

Na zachodzie pogoda,  
W jasnem niebie wesele,  
Dał Bóg ludziom oj, wiele!  
Może jeszcze co doda:  
Może zboża dorzuci...  
Może Polskę powróci.

Twardo panu kmieć służy,  
I biedyśmy zażyli.  
Może życia przydłuży,  
Może nieba przychyli,  
I od grzechów rozgrzeszy,  
I na dzieciach pocieszy.  
Słońko schodzi po niebie,  
A no! woły, od siebie.

Już z południa dał ko,  
Ludzie z miasta się wleką,  
Idzie baba śród drogi,  
Wiedzie krówkę za rogi.  
Chłopak pędzi, a krzyka,  
Że aż kłatają się szkapki:  
Grajek wziął się do smyka.

Spuścił nogi przez drabki,  
Dyłu, dyłu! od ucha,  
Kto ma uszy, niech słucha.

Środkiem włódark się toczy,  
Nawdział czapkę na oczy,  
Zajrzał w dzbanek niedużo,  
A nogi mu nie służą.

Szumią lasy, hej, lasy,  
A w karczemce grzmia basy.  
Kiedy skakać, to skaczą,  
A kiedy pić, to piją,  
A jak płakać, to płaczą,  
A jak bić się, to biją...  
To już u nas tak idzie,  
Na połówkę nie niema:  
A pocierpieć jak przyjdzie,  
To i to się wytrzyma.

O! i dzwoni już dzwonek  
Na wieśniaczym kościele,  
Dzięki Bogu za dzionek,  
Za serdeczne wesele,  
I za wszystko, co miłe,  
I za wszystko, co boli,  
W ciężkiej pracy za siłę,  
I za uśmiech w niedoli.

Już i zorza przygasa,  
A no, woły! do lasa,  
Na podwórko, przed chatę,  
Pod te sosny garbate.

### Jak to na Mazowszu.

(r. 1850)

d) Po szerokiem polu modra Wisła płynie,  
Pochylone chaty drzemią na dolinie,  
Nad wodą zgarbiony stary dąb żyłasty,  
Kędy bielą płótna wesołe niewiasty.  
Po łące stąpają bociany powolne,  
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,  
A z borów cienistych leśnej okolicy  
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.

Po niebie obłoki jak bieluchne runo,  
Słoneczkiem przeciekłe, pod błękitem suną;  
Na wodzie, na Wiśle, wśród ciszy poranka  
Płynie łódź flisowska, jak szara cyranka.  
A za nią ładowne pszenicą galary,  
Szum wiosel na falach, i śmiechy, i gwary.  
Po boru jagody dziewczę rwie we wrzosie  
I śpiewa miłemu: pędź głosie po rosie —  
Po długiej dolinie tęskne tony cieką,  
I słychać piosenkę daleko, daleko...  
I gdzie się obróciśz, nad Wisłą, nad Bugiem,  
Brzmi nuta serdeczna za byłym, za pługiem,  
Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju,  
Jakby jedna dusza była w całym kraju.  
Oj! śliczna to ziemia to nasze Mazowsze!  
I czystsza tam woda, i powietrze zdrowsze —  
I sosny rośniejsze, i dziewczki kraśniejsze,  
I ludzie mocniejsi, i niebo jaśniejsze.  
Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?  
Gdzie mi się rozśmieje tak rażno dziewczucha?  
Gdzie mi pokażecie taką chatę lichą,  
Taki bór szumiący, taką łąkę cichą?  
Kędy ja usłyszę tyle ptactwa wrzasku?  
Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?  
Serce moje, serce do tych lasów goni,  
Do Wisły, do Wisły, — oj, tęskno mi do niej!...  
Szczęśliwe kuliki, szczęśliwe rybitwy,  
Co nad nią powietrzne zawodzą gonitwy!  
Oj, Mazur, ja Mazur, pomiędzy obcemi  
Zmarnuję ja młodość na nieswojej ziemi.  
Kiedym szedł do ludzi, cały dzień padało.  
Pod wieczór się za mną słońce obejrzało —  
Oj! poczerwienione, jak oczy matczyne,  
Co, mnie błogosławiąc, patrzyła w dolinę.  
Wiatr szumiął po polu, a pszeniczne kłosa  
Strząsały na ścieżkę krople jasnej rosy;  
Po boru, po lesie, przez gęstwinę ciemną  
Na gałęziach wrony krakały nade mną,  
Sierocemu sercu tak się wydawało,  
Jakby coś w powietrzu po lesie płakało.  
Spojrzałem przed siebie — nikogo nie było,  
Kilka ciemnych sosen w ziemię się chyliło;  
Daremno po drodze patrzałem za siebie  
Jedna tylko gwiazdka mrugała na niebie  
I ta utonęła w ciemnej, mrocznej tali,  
Nie było nikogo — i poszedłem dalej...

I dalej, i dalej, w świat szeroki, długi —  
 Bywajcie mi zdrowe, mazowieckie smugi!  
 Skrzypki, moje skrzypki, od serca zagrajcie,  
 A wy też, Mazury, chętnie posłuchajcie.  
 Niech ci Pan Bóg szczęści, ziemio mazowiecka,  
 Plakatem nad tobą od małego dziecka,  
 I myślałem nieraz, siedzący na progach,  
 Czemu tyle krzyży stoi na twych drogach?  
 Dziś tulam się oto i tęskliwie żyję —  
 Westchnieniem się żywię i łez się napiję.  
 I tak schodzi zima i za zimą lato —  
 Boże dopuszczenie — chwała Mu i za to!  
 Zagrajcie, skrzypczki, niechaj wdzięczne granie  
 Cichy wiatr zamiesie, gdzie moje kochanie.  
 — Witajże mi, witaj, kraino kochana,  
 W boleści, w tęskności — oj, dana! oj, dana!

### Wiochna.

(r 1853)

e) Już słońce powstało  
 I przegląda się w rzeece;  
 Oj, na rosę, na białą,  
 Polecę ja, polecę!  
 Jak to z brzozy płaczącej,  
 Co wyrosła nad rzeką,  
 Krople rosy świecącej  
 Zwieszają się i cieką.  
 Jakie jasne obłoki  
 Na niebieskim przestworze,  
 Jakie czyste potoki...  
 O mój Boże! mój Boże!...

Jaskółeczka przed bramą  
 Wciąż uwija się wkółko;  
 Ja nie jestem jaskółką,  
 A potrafię tak samo.  
 Teraz matki się boję,  
 Lecz niech ogień roznieczę,  
 Niechno krówki wydoję,  
 Polecę ja, polecę!...

Jak to dobrze Bóg zrobił,  
 Że ten śliczny świat stworzył,  
 Tak cudnie go ozdobił,

Tyle kwiecica rozmnożył.  
 I ze dał mi braciszka,  
 Z którym codzień się pieszczę...  
 Pójdę cicho, jak myszka,  
 Zajrzeć, czy też śpi jeszcze?  
 Śpi w kolebce — więc dalej,  
 Prędko ognia trza skrzesać;  
 Jak się ogień rozpali,  
 Pójdę włosy uczesać.

A robotaż to nudna  
 Te warkocze do ziemi,  
 Płatnina och, żmudna  
 Tak tam bawić się z niemi...  
 Kiedy mówią o oczach,  
 W których ja nic nie widzę,  
 I o moich warkoczach,  
 To się tylko nawstydzę.  
 I skarżę się, mój Boże!  
 Że mam oczy uroczne...  
 Może prawda, — a może...  
 Ale cóż ja z tem pocznę?...

Mateńka mi powiada,  
 Że ja wcale nie rosnę.

Niechno tylko popada  
Ciepły deszczyk na wiosnę:  
Niech ja na deszcz wyskoczę,  
A dobrze się przemoczę,  
To nim skończy się burza,  
Już urosnę tak duża!...

Pająk przędzie, oj, przędzie  
Swoje szare włókienko;  
I ja umiem tak cienko,  
I moje też tak będzie.  
Bo ja przecież coś umiem:  
Kądziel przędę, i pielę,  
I na książce rozumiem,  
I zaśpiewam w kościele.

Jakem raz na święcone  
Ulepiła baranka,  
Co miał wełnę kręconę  
I klęczące kolanka —  
To się bardzo dziwiono,  
Bo tak siedział, jak żywy,  
Jak baranek prawdziwy  
Z chorągiewką czerwoną.

Jak zrobiłam w Trzy Króle  
Świętą Pannę i Syna,  
I czarnego murzyna  
Ze skarbami w szkatule,  
I z liliją staruszka,  
I z lirenką pastuszka,  
To się ludzie zbiegali,  
Z całej wioski lecieli,  
I za głowę się brali,  
Matce wierzyć nie chcieli.

A gaiki, a wianki  
W listki srebrne i złote,  
Jakie chcecie równianki  
Jak najpiękniej upłote.  
Kwiatki lubię ognićcie,  
Boże drzewko, lilije,  
I to, co tak na liście  
I na pątki się wije...

Oj, niedobra to córka,  
Co się prozno zabawia,

Dalejże do podwórka,  
Trzeba ciągnąć żórawia.  
Oj! ta, dana... A cicho! —  
Matka będzie się gniewać;  
Podkusiło mnie licho,  
Chciałam sobie zaśpiewać...

Idzie w górę wiaderko,  
Z boku woda się leje,  
Spojrzę w wody lusterko,  
W niem ja druga się śmieję.

Jak też to tam głęboko,  
Nim się wiadro zabrodzi,  
To aż wzdryga się oko,  
Aż mnie zimno przechodzi.  
Nie spolka mnie nic złego,  
Choć nad studnią tak stoję,  
Nie boję się niczego...  
Oho, prawda! nie boję?...  
Najprzód straszą mnie bąki,  
Co latają w ogrodzie,  
Żółte osy z nad łąki  
I jałówka, co bodzie.

Potem boję się tęczy  
Na wilgotnym obłoku,  
Choć się do mnie tak wdzięczy.  
Pijąc wodę z potoku,  
Bo ta tęcza świecąca,  
Gdybym poszła, broń Boże!  
Z ziemi uniesc mnie może  
Do białego miesiąca.

Wreszeie trwożą mnie grzmoty  
I piorunów trzaskania,  
Kiedy niebios blask złoty  
Tak się strasznie odślania.

Lecz w kościele nie czuję  
By najmniejszej bojaźni,  
Mnie tam radość przejmuję,  
W sercu jeszcze mi razuję;  
Tak mi rzeżwo, wesole,  
Jak u matki w chałupie; —  
Ludzie szepczą wokół;  
Ot, cieszy się — bo głupie...

A có mi tam, niech sobie!..  
Mnie ogarnia myśl błoga.  
Co ja robię?... có robię?...  
Raduję się do Boga.  
Kiedyc może skowronek,  
Wylatując nad kłosa,  
Jak świt tylko, jak dzionek,  
Trzepotać się w niebiosy,  
To i mnie nikt nie wzbroni  
Przed ołtarza jasnością  
Złożyć oto tak dłoni  
I spoglądać z radością.

U spowiedzi gdym była,  
Ksiądz, co ludzi spowiada,  
Mówił: gdybym zgrzeszyła,  
Że pokutę mi zada.  
Więc umyślnie dlatego  
Dziś zgrzeszyłam od rana:  
Na stół miodu złotego  
Usączyłam ze dzbana.  
Niechże zada raz przecie,  
Bobył sobie myślała:  
Otóż żyłam na świecie,  
A pokutym nie znała.

Jako ptaszek na roli,  
Prześpiewałam dni płochę  
I nie znałam niedoli.  
Oj! znam ci ją, znam trochę...

Już trzy razym płakała,  
I serdecznie, moj Boże!

Raz — gdy babka skołała  
W tej tam ciemnej komorze,  
A drugi raz — gdy w nocy  
Ludzie po wsi biegali,  
Krzycząc nagwał pomocy,  
Że kościółek się pali!  
A trzeci raz — gdy w progi  
Przyszedł dziadek pochyły,  
Taki oto ubogi,  
Ale dobry i miły;  
I piosenka zabrzmiała  
O Polaku w niewoli.  
Wtędym bardzo płakała,  
Bo mnie zaraz tu boli.  
Całowałam go w rękę,  
— Nie smućcie się, dziadulu,  
A łzy żalu i bólu  
Upadły mu w lirenkę.

Z za mgły słońce powstało,  
Wronka kracze na roli, —  
Nie wiem, co mi się stało,  
Coś mnie smuci, coś boli...  
To chce mi się zapłakać,  
To mnie pusta myśl lechce,  
Weselić się i skakać  
I chciałabym i nie chcę...

### Mały świątek.

(r. 1853)

„Wsi spokojna, wsi wesola,  
Któryż głos twej chwale zdoła?“

*Jan Kochanowski.*

(Podajemy tu jedynie wybitniejsze części).

**f)** Jak to ja sobie  
Domek ozdobię,  
Ten modrzewiowy  
Dworzec ojcowy!  
Najprzód przed drzwiami  
Lipę zasadzę,

Wkoło płotami  
Sad oprowadzę.  
Stawię przy wodzie  
Świętego Jana,  
A na ogrodzie  
Gniazdo bociana.

Będą przy stawie  
Chodziły pawie,  
Pod stodolami  
Na ziarno pszenne  
Białe gołębie,  
Goście codzienne.  
Jeśli kto do mnie  
Łaskaw przyjedzie.  
To słup przed sienią  
Stoi na przedzie.  
Przy nim mosiężne  
Wiszą kółeczka,  
Gdzie się przewleka  
Długa uzdeczka.  
A zechce bawić —  
To jak zwyczajnie:  
Konia postawić  
Każe się w stajnię.  
Gdzie koniczyną  
Poza drabiną  
Przy czystym żłobie  
Przegryzie sobie.  
A że wypędzić  
Pragnę lenistwo,  
A lubię ryby  
Oraz myślistwo.  
Więc już psów chmara —  
Bo od ogara  
Aż do jamnika,  
Co lisy dusi,  
U mnie być musi.  
A mam u siebie  
Starego dziadka,  
Co sieci robi:  
To będzie siatka.  
Słowem, co chcecie,  
U mnie znajdziecie:  
Ryby i grzyby,  
Mąka i łąka.

Teraz we dworze  
Jak ją ułożę?  
Wszedłszy do sieni,  
To być powinna

Zaraz najpierwsza  
Izba gościnna.  
W niej stół dębowy,  
Szafa u ściany,  
W której cynowy  
Dzban pobielany.  
A zaś na ścianie  
Obraz Łazarza,  
Co to psy liżą  
Rany nędzarza.  
By mieć w pamięci,  
Że w szczęściu jedni,  
A drudzy ludzie  
Straszliwie biedni...  
A w drugiej stancji,  
W mojej siedzibie,  
Co kto ukochał.  
Z tem się tam zdybie.  
Nad mojem łóżkiem  
Bartosz z Kościuszkim,  
Stefan Czarniecki,  
Pogromca szwedzki —  
I Jan Zamoyski,  
I ten pan wojski,  
Jan Kochanowski.  
A zaś nad niemi,  
Nad dziećmi swemi,  
Twarz Matki Boskiej  
Jaśnie — a wdali  
Zbroja ze stali.

Teraz brou moja,  
Mysliwska zbroja:  
Fuzja wyborna,  
Choc niepozorna.  
Siec dla ptaszynka,  
Berło naroga,  
Szabla na wroga  
I noz na dzika.

Stara kronika,  
Rymy Janowe —

Oto czem moja  
 Zasilał głowę.  
 „Tam człowiek prawie  
 Widzi na jawie“  
 Cne ojców sprawy,  
 Bitwy, zabawy.  
 Żelazna wiara,  
 Husarja stara  
 Skrzydły sępiemi  
 Rwie się od ziemi.  
 Tam sejmy sławne  
 I zjazdy dawne,  
 Za świętą sprawą  
 Bożych aniołów  
 Toczą się zwawo  
 W murach kościołów.  
 Zbroje i luki,  
 Zgiełk różnej broni  
 Widać tam jasno,  
 Jakby na dłoni.

\* \* \*

Myśl moja cicha,  
 Jak moja chata,  
 Nad dym ojczystej  
 Wioski nie wzlata.  
 Oko nie sięga  
 Dalej i szerzej,  
 Jak do tych lasów,  
 Jak do tych krzyży,  
 Jak do tej wody,  
 Co płynie srebrna.  
 Czyż większa mądrość  
 Człeku potrzebna?

\* \* \*

. . . . .  
 . . . . .

Mroźna, pogodna  
 Nadchodzi zima.  
 Jak brylantowe  
 Drzewa się świecą,  
 Pyłki srebrzyste  
 W powietrzu lecą.

Zamarzły wody,  
 Białe zagony,  
 Po drodze gładne  
 Włóczą się wrony.  
 Śniegi ubite  
 Pod nogą skrzypią.  
 A wiatry szczypią  
 Lice odkryte.  
 Więc się na komin  
 Drzewa nakłada  
 I z starą księgą  
 Przed ogniem siada.  
 Dwa psy ogary,  
 Przyległszy blisko,  
 Drzemią spokojnie,  
 Patrząc w ognisko.  
 To ogień buchnie,  
 To iskra pryśnie;  
 Szabla na ścianie  
 W półksiężyc błysnie.  
 Na okna kwiaty  
 Zaszły śnieżyste,  
 Na które miesiąc  
 Promienie czyste  
 Rzuca zwysoka  
 I brylantuje.  
 Na szklistej kanwie  
 Srebrem haftuje.  
 Izba w półcieniu,  
 Wszystko w uspieniu.  
 O — jak to miło  
 Przy tym kominie  
 Wędrować myślą  
 W marzeń krainie!  
 Płomień opada,  
 Węgle się zlocą,  
 Popiół osiada,  
 Iskry rrigocą,  
 A człowiek sobie  
 Bóg wie co snuje!  
 Z żaru, z popiołów  
 Zamki buduje;  
 Kościołów dachy  
 Ze złotej blachy;  
 Jasne, przeczyste  
 Chaty ojczyste.

I sam ze sobą  
W milczeniu gwarzę,  
O jakichż cudach  
Wówczas nie marzę?  
Cisza wokoło...  
Tylko piosenka  
Z chałup, gdzie drobne  
Świecą okienka,  
Jakby z za światła  
Do mnie dolata.  
Tam prądki ciągną  
Pod strzechą starą  
Ze lnu, konopi  
Długą nić szarą.

A z serca ciągną  
Nici srebrzyste:  
Długie powieści,  
Pieśni ojczyste.  
To jak Pan Jezus  
W ludzkiej postaci  
Schodzi do chatek,  
Do biednej braci.  
I między dzieci  
Trzódkę maleńką  
Rozdziela dary  
Najświętszą ręką.

\* \* \*

Tak marzy wioska  
W cichej dolinie, —  
A Matka Boska,  
Co górą płynie  
Nad schylonemi  
Dwory i chaty,  
Wiodąc aniołów  
Orszak skrzydlaty,  
Z niebios wysokich  
Zniża się w locie  
I błogostawi  
Cichej prostocie.  
A wtedy ludzie,  
Snem słodkim zdjęci,

Schylają głowy  
I śpią jak święci.  
I czego ludzkie  
Nie dojrzy oko —  
Tam nad gwiazdami.  
W niebie wysoko,  
Widzę tę Panią  
W jasności złotej.

A dusze zmarłe,  
Dzieci, sieroty,  
Starce, dziewczyny  
W liljowej bieli...  
I ci, co w wojnie  
Walcząc, zginęli,  
Przy swej Królowej  
W śnieżnym obłoku,  
Jak pełne róże,  
Jawią się oku.

Matka-Królowa  
Z świętą Dzieciną,  
Przy niej szczęśliwą.  
Po niebie płyną,  
A wyciągnięte  
Ku ziemi dłonie  
Ziarenka złote  
Sieją na błonie

I w serca ludzkie  
Temi ziarnami,  
Co to się zowią  
Bujnemi łzami.

I okrywają  
Tą lamą złotą,  
Co to się zowie  
Na świecie enotą.  
I oczyszczają  
Tym jasnym zdrojem,  
Co to się zowie  
Serca spokojem.

Duch prosty słyszy  
Ten głos w przestrzeni:  
„Ubodzy, cisi  
Błogostawieni”.



Zachwycenie <sup>1)</sup>.

(r 1854)

g) Matulu moja, powiedzcie przecie,  
Coscie widzieli na tamym świecie?

„O, moje dziecko, bylam ja w raju,  
Gdzie drzewa rosią jak w naszym gaju,  
Sane jablonie i wiekie grusze;  
Na nich najczystsze umarłych dusze  
Za dobry żywot, za świętą cnotę  
Poprzemieniane w owoce złote,  
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,  
W ciepłym się słońcu pięknie kołyszą;  
Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,  
Bo zaraz lecą w górę do nieba,  
Potem widziałam jasne niebiosy,  
Ową pszenicę z złotymi kłosa,  
Co się pochyla pod Boże nóżki:  
Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.  
Potem widziałam przeróżne kwiatki:  
Te w Bożych łąkach prześliczne bratki,  
Co się na ziemi bardzo kochali,  
A potem w niebie powyrastali“.

„Mateńko moja, proszęż ja ciebie,  
Co też tam robi Pan Jezus w niebie?...  
Co robi w niebie Gwiazda Zaranna,  
Królowa nasza, Najświętsza Panna?...“

„O! moje dziecko, o! kochające,  
Jezus owieczki pasie na łące,  
Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę  
I nie boją się, takie łaskawe:  
A to są dusze błogosławione,  
Które cierniową zniosły koronę.  
Matka Najświętsza dla ludzkiej nędzy  
Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy,  
I jużby wszystkie dzieci sieroty  
Miały koszulki z onej roboty,  
Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej,  
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,  
Tych srebrnych nitok babiego lata,  
Co się na naszych płotach oplata“.

<sup>1)</sup> Zachwyceniem lud nazywa sen letargiczny, podczas którego dusza uśpionego przebywa w świecie nadziemskim.

„Matulu moja, czyście widzieli,  
Co też tam robią święci anieli?”

„Anieli z nieba świecą nad nami  
Bardzo wysoko temi gwiazdami,  
A słysząc ludzi proszących głosy,  
Z litości płaczą kroplami rosy;  
Rosa upada na obszar ziemi  
I przez tę litość zboże się pleni”.

„Jest też, jak u nas, matulu droga,  
Taka wesołość u Pana Boga?”

„O! moje dziecko, jak ci się zdaje,  
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje”.

„A czy tam grają tak aniołowie,  
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?”

„O! jeszcze piękniej, jeszcze weselej  
Na złotych skrzypkach grają anieli”.

„A gdzie się uczą przeróżnych pieśni?”

„Tam, gdzie się uczą ptaszekwie leśni  
I nasi ludzie: — w rumianej zorzy,  
We łzach radości, w miłości Bożej...”

„Matulu moja, powiedzcie ino,  
Widać tam naszą wioskę jedyną,  
Naszą chałupę, bydło na smugu,  
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?  
Widać tam dziewczę, co zbiera ziele —  
I tego dziada, co przy kościele  
Siedzi i wgórę wyciąga ręce,  
Na małym wzgórkcu, przy Bożej mące?”

„O! widać wszystko, gdzie się kto ruszy,  
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy;  
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,  
To zaraz z żalu anioły bladną,  
A ile razy dobrzy, enotliwi,  
To się i niebo całe ożywi”.

„Powiedzcie teraz, matenko droga,  
Co tam jest więcej u Pana Boga?”

„Potem widziałam — strasznej wielkości  
Dwóch archaniołów stało w jasności,  
Trzymając wielką księgę otwartą,  
A Piotr apostoł kartę za kartą  
Przewracał zwolna z smutkiem głębokim  
I patrzył na świat żalostnym wzrokiem.  
Bo w owej księdze wszystko tam stoi:  
Co tylko człowiek na świecie zbroi —  
I co się stało i co się stanie,  
Jest o tem w niebie jasne pisanie;  
Kiedy śmierć czeka nędznego blisko,  
To zaraz anioł czyta nazwisko“.

„Słuchajcie ino, matulu droga,  
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?“

„Nie, moje dziecko, przed Stwórcą świata  
Tyle aniołów na skrzydłach lata,  
Że jest okryty jakby obłokiem,  
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem:  
Tylko z promieni, co stamtąd lecą  
I na wybranych czołach się świecą,  
Przedwieczną jasność oglądać może  
Ubogi człowiek, stworzenie Boże“.

„A jak daleko, Matko, do nieba?  
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?“

„Bogać tam, miesiąc, ó moje dziecię,  
Iść tam potrzeba przez całe życie,  
Czyniąc po drodze dobrego wiele,  
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,  
Kochając ludzi, jak braci własnych,  
To wkońcu dojdzie do niebios jasnych,  
I Piotr mu święty, apostoł Boży,  
Złocistym kluczem niebo otworzy“.

„Toście wy dużo, matko, widzieli,  
I pewniebyście wrócić tam chcieli;  
Więc jak pójdziecie, mateńko droga,  
To i mnie z sobą weźcie do Boga“.

„O! ty zostaniesz, małe pacholę,  
Bo któżby gęsi wypędzał w pole?  
Ktoby po lesie zbierał jagody?  
Graniastą krówkę pędził do wody?“

Ktoby niósł ojcu w pole dwojaki?  
Ktoby na ogień przynosił krzaki?  
Tak, moje dziecko, moje kochane,  
Ty się zostaniesz — ja nie zostanę”.

„Ej, co tam gadać, wy nie umrzecie,  
Jest ci już dużo na tamtym świecie.  
Powiedźcie lepiej, jak też to było,  
Jak się błękitne niebo skończyło“.

### Bitwa raclawicka.

(r. 1858)

(Urywek z większej całości).

**h)** Zaparskały wszystkie konie, Wyciągnięty, jak rozpięty,  
Zabrzękły pałasze; To skrzydłami wrzuszony...  
Maszeruje opłotkami Popatrzał się nasz Kościuszko:  
Polskie wojsko nasze. Niema żywej duszy.  
Maszeruje, nie żartuje; — Chociaż niema żywej duszy,  
Kraj jak malowany; Ani żadnej trwogi,  
Idą nasi, w trąbki grają, Sprowadzieź mi przewodnika,  
Biją w tarabany. Co zna wszelkie drogi;  
Opłotkami, szeregami, Trza mi cieleńka nie zdaleka,  
Konnica, piechota; A z tej samej wioski,  
Małe dzieci zadziwione By prowadził, a nie zdradził  
Patrzyły z za płota, Ten naród krakowski. —  
Powłaziły na gałęzie,  
W te zielone gąszcze,  
I na wierzbach, na topolach  
Siedziały, jak chrząszcze.  
Tyle naszych idzie, jedzie,  
Jak gościniec długi:  
Lecz Kościuszki nie poznali.  
Bo był, jak i drugi.  
A ci ludzie, co poznali,  
To mówili sobie:  
Że też taka wielka dusza  
W tak małej osobie. —  
Kołem, kołem, ponad siotem  
Krąży sokół siwy,  
Pochował się przed sokotem  
Wszelki ptaszek żywy.

Więc się skłonił przed Kościuszką  
Wojt, gospodarz seńny,  
Z pod kościoła sprowadzony  
Staruszek sześćty.  
Ten choć oczy dawno stradał  
W okropnym pozarze,  
Gdzie co leży, jak należy  
Dokładnie pokaże.  
Krzywym węzem się podpiera,  
Ręką za wiatr maca,  
I przez ścieżki nieznanome  
Drogę sobie skraca.  
— Już ja dawno słyszał o tem,  
Rzekł, sięgnąwszy ręką,  
Zesćcie, ojcze, pokarali  
Wrogów pod Dabienką

A pierw jeszcze powiadali,  
Jak to po zwyczaju,  
Zeście kędyś wojowali  
Aż w murzyńskim kraju,  
Że wam pereł uryjańskich  
W podarunku dano,  
Jakby grochu łuszczonego  
Węborek w kolano.  
I że za te perły drogie,  
W morzu wybierane,  
Przyjechaliście wykupić  
Ojczyznę kochaną. —  
A Kościuszko z wdzięcznym  
[śmiechem:  
— Serdeczny ojezulu,  
Gdybyć można garścią pereł  
Ująć Polsce bólu...  
Lecz że kraju nie wykupić,  
Gdy go wróg przywłaszczy,  
Jak jagnięcia nie wyprosić  
Z głodnej wilka paszczy,  
Więc już szczerze, jak żołnierze,  
Przy pomocy nieba,  
Utraconą Polskę naszą  
Krwią odkupić trzeba.  
Krwią przeczystą, nie pogańską  
Ale chrześcijańską,  
Każdą kroplą odważoną —  
Perłą uryjańską:  
Takiemi to perły, ojeze,  
Co nam w żyłach płyną,  
Wykupimy Polskę naszą,  
Mateczkę jedyną.  
— Prawdać, prawda, Naczelniku,  
Na mój rozum kmiecy:  
Kto chce na chleb zapracować,  
Musi zgarbić plecy.  
Niechżeć tedy Bóg pomaga  
I Matka Gidelska,  
W polskiej roli wyorana  
Królowa Anielska;  
Niechżeć tedy... — i przycichnął  
Starzec siwowłosy,  
Wbił kolana w grząską ziemię,  
Ręce wzniosł w niebiosy,  
I na oczy pociemniałe,

Co nie widzą słońca,  
Na te smutne oczy białe  
Wyszła łza gorąca...  
I przygarniał poźólkłemi  
Dłoni wietrzyk polny,  
I brzęk szabli narodowej,  
I głos pieśni wolnej...  
Madaliński i Kościuszko,  
Piechota, ulani,  
Stali nawpół rozrzuwieni,  
Nawpół zadumani.  
— A cóż mówisz, Jenerale?  
Wszak to szlachcie prawy!  
I potoczył po narodzie  
Wzrok serdecznie łzawy.  
Matko Boża, Pani świata,  
Ojeze Zbawicielu...  
A serce w nim zakolała,  
Jako dzwon Wawelu:  
Co przepadło, to przepadło,  
Co żywe, to żywe,  
Nie nadobne, co nadobne,  
Lecz co sprawiedliwe.  
Dziadku! dziadku, wstańcie  
[z ziemi! —  
Lecz starzec nie wstaje,  
Tylko ręką na powietrze  
Nieme znaki daje:  
— Idźcie, idźcie prostą drogą,  
Idzie z wami taki,  
Co z rozkazu Matki Bożej  
Prowadzi Polaki.  
Idzie, idzie po powietrzu,  
Ziemi nie dotyka...  
A mnie dajcie ucałować  
Ręce Naczelnika... —  
I odwiedli nabok dziada,  
Dziatwa na koń siada;  
Mgła w dolinach się rozrzedza,  
Opada, opada.  
A z pode mgły rozpędzonej  
Jakby skrzydłem ptaszem  
Kraj szeroko się wynurza  
Siwem polem naszym:  
Krzemienisty, kamienisty,  
Pełen traw i wzgórzy,

Przecinany, poszarpany,  
Jak po wielkiej burzy.  
A gdziegdzie w ciszy złotej,  
Której nie nie budzi,  
Stoją brzozy jak sieroty  
Po odejściu ludzi.  
Mgła opada na nizinach,

Leci za kraj świata,  
Anioł Boży z dolin, wzgórz,  
Sive mgły rozmiata.  
I wyczyścił całe pole  
Jak oka źrenice,  
I pokazał... tam Moskali,  
A tu — Raclawice.

### Rzym Italja.

(pomiędzy r. 1856 — 1860)

i) W Italji pięknej tej  
Wciąż pamięć żyje Romy,  
Purpurę świetną jej  
Podarły czasów gromy.

Duch wolny w mężu tym,  
Bogactwo: pług i chata, —  
Alić nie dojrzysz w nim  
Powagi Cyncynata.

A przecież z ruin tych  
Nie starły blasków deszcze:  
Wyblakły purpur szych —  
Gdzie spojrzysz — widać jeszcze.

Porzuci spokój chat,  
Walecznych Rzymian wzorem,  
Lecz w łonie waszych rad  
Nie będzie wam Nestorem.

Wyjdź w pole, pastuch tam,  
Owity w płaszcz, nad drogą  
U czarnych rzymskich bram  
Konsula zdradza togą.

Spaloną wolnych kość  
Rozniosły hord kopyta,  
Cezarów pychę, złość  
Ogarnął jezuita...

Matrony rzymskiej twarz  
Co krok cię wita w Rzymie,  
W posągu twarz tę znasz:  
Kornelja jej na imię.

I w czarnym płaszczu swym  
Jak w głowniach ukrył żary:  
Italjo, znam twój Rzym  
I twoje znam Cezary...

Jak różny włoski rym,  
Latynów męska mowa,  
Taki Scypionów Rzym,  
Taką Italja nowa.

A gesta — został gest,  
Konsulów gest pastucha:  
Z purpury szczątek jest,  
Rzymskiego brakło ducha.

Nie wskrzesi męskich dusz,  
Pod ciężką śpiących ziemią,  
Których wz iluż rzymskich wzgórz  
Mauzolea drzemią.

Lecz światu gorzej z tym  
Italji kształtem nowej,  
Ze ten z marmutów Rzym  
Nie pyszni się nad głowy...

Nie ludzi, bogów rzecz  
Odnawiać karty dzieji;  
Jedyny rzymski miecz  
Przypasał wódz z Kaprei.

Ha, pomysł, jakbyś drzał  
Po rzymskich ulic biał,  
Bronzowy głyby miał  
Pchnąć koma Aureli...

Gdybyś na szyi swej  
Skreconą czuł obrożę;  
To szczęściem wdowy tej  
Opustoszałe łożo...

Italskich krzyżów lot  
Nie orłów wartkiem piórem:  
Jowiszów włoskich grzmot  
Nie straszny nad Augurem.

### W Genui w pałacu Dorjów.

**j)** Niechże znużone oko odpoczywa  
Pod kolumnami w tej czarownej stronie,  
Skąd widzę każdy okręt, co nadpływa,  
Nim kotwa jego w przystani utonie.  
Przez błękit, co tu wpośród kolumn świeci,  
Szczęśliwą życia wspominając wiosnę,  
To nieścigniona jaskółka przeleci,  
To się zapędzą gołębie zazdrosne.

Najłżejszy wietrzyk w sosny nie powieje,  
Nad morzem miasto i port błękitnieje;  
Muzykę słyszę w takt srebrnej fontanny,  
A w piersi moje wpada powiew ranny;  
Słucham i patrzę na modry świat morza,  
Jak drugi Dorja, genueński doża.

Czarowna ziemia, i nikt się nie żali,  
Oprócz gołębia, co jęczy pod drzewy,  
A w skwarnem słońcu krzykliwych czikali  
Wkoło wesołe wołanie i śpiewy;  
Rybak tam łódkę wyciąga na żwiry,  
Niewiasty w dzbany czerpią wód szafiry;  
Czar mnie ogarnia, wszystkie zmysły chwytą,  
Oko w błękitach rozciągniętych tonie,  
Na brzeg mię morski wabi Afrodyta;  
O smutki moje! czyż was nie odgonię?...

### Wiersz na cześć 25 lutego 1861 r. w Warszawie.

(1861)

**k)** Dojrzewa owoc łez,  
Już bliski bólów kres,  
Jęków i łkań.  
Zdziwiony słucha wróg,  
Z nad grobu woła Bóg:  
Łazarzu wstań!

Pochwalne hymny nuć,  
Spowicia grobów zrzucó,  
Świadectwo złożó:  
Że jest na niebie Pan,  
Że wszelki ból mu znan,  
Żeś wezwan już...

Patrz, jaki wkoło dziw,  
Żeś westchnął, żeś już żyw,  
Łazarzu mój;  
Toż jam obiecał ci,  
Że przejdą bólów dni,  
Ze śmiercią bój.

Mówilem do twych usz  
Harf brzękiem, grzmotem burz;  
Tak mówi Pan,  
Co bólow stawia kres,  
Co liczy krople łez  
I ilość ran.

Powstałeś, jakoś padł,  
A wróg przed tobą zbladł  
I dał ci cześć.  
Święty go przejął srom,  
Pokłonił się twym łzom,  
Ócz nie śmiał wznieść.

Zawstydził się swych strzał,  
Boś z nagą piersią wstał,  
A miecz twój — jęk;  
I tak się spełnił cud,  
I stopniał lodów lud,  
W łez morze zmiękł!

Bezbożnych zdała rzesz,  
Mówilem: wierz! o wierz!  
Jam stworzył świat!  
Jam ci odebrał dech,

Proch na cię miótl i śmiech  
W żalobie lat.

Byś poznał ludu szloch,  
Byś poznał, żeś jest proch,  
Proch, cień i nic.  
Tak pychy twojej róg  
Ukrócił w grobach Bóg,  
Twych butność lie.

W grób twój złożyłem zwłok,  
Lecz ducha'm obmył wzrok,  
By przejrzał raz,  
Nieziemskie oko wzbil  
W świat potęg, cudów, sił,  
Byś z źródła prawdę pił  
Na przyszły czas.

I tyś, jak jelen kniej,  
Pił z czystych źródeł jej,  
W jej patrzył zdroj.  
I cały grobu wiek  
Tyś krzyża mego strzegł,  
Łazarzu mój!

To dziś już grobów dość,  
Skruszona wrogów złość,  
Coć gniotła krtań:  
Spowicia grobów złóż,  
Łzom twoim koniec już:  
Łazarzu, wstań!

Opracował BRONISŁAW CHLEBOWSKI (1914 r.)



## ZIELIŃSKI GUSTAW

(1809 — 1881)

Autor popularnego „Kirgiza“, jeden z epigonów wielkiej naszej poezji romantycznej, urodził się Gustaw Zieliński na Kujawach, we wsi Markowicach, dnia 1 stycznia 1809 r., jako syn Norberta, pułkownika kościuszkowskiego, i Kazimiery Zielińskich. Uczył się zrazu w Toruniu, potem w Warszawie i w Płocku. Ukończywszy szkoły z odznaczeniem, wstąpił w r. 1827 na wydział prawa i administracji uniwersytetu warszawskiego, a więc równocześnie z Zygmuntem Krasieńskim. W r. 1831, jako ochotnik, później podoficer korpusu artylerji, bił się pod Paprotnią i Królikarnią, w pamiętne dni 6 i 7 września bronił Warszawy, aż wreszcie z korpusem Rybińskiego wyruszył zagranicę. Ale już w następnym roku, korzystając z amnestji, powrócił do kraju i osiadł na małym folwarczku, usłanionym mu przez stryja Józefa. Z tego też czasu datują się pierwsze jego próby poetyckie, mające przeważnie charakter liryk osobistych. W r. 1833, za stosunki, zresztą przelotne z oddziałem partyzanckim, działającym w pow. lipnowskim pod dowództwem Kaliksta Borzewskiego i Artura Zawiszy, Zieliński został aresztowany i wysłany na Syberję. W dalekiej podróży na wschód azjatycki najwięcej zwracał jego uwagę szczegóły etnograficzne: postać zewnętrzna, ubiór i obyczaje ludów tamtejszych, Czuwaczów, Czeremisów, Wotjaków, Tatarów, Ostjaków, Samojedów; z zapalem też mówi w swoich listach o zachwycających i majestatycznych krajobrazach dzikiej przyrody syberyjskiej. W Tobolsku, gdzie przebył rok, trapiła go „ośmiomiesięczna zima i całoroczne nudy“; przykrość położenia sładziło mu towarzystwo Polaków - zesłańców: Konstantego Wolickiego i Stanisława Dołkiewicza. W Tobolsku napisał Zieliński kilkanaście drobniejszych poezyj oraz pierwszy swój dłuższy utwór, poemat p. t. „Samobójca“ (1835, drukowany w Toruniu w r. 1878), z wyraźnymi reminiscencjami „Marji“, „Dziadów“ cz. III, „Kordjana“, „Żmii“, dumek Zaleskiego. W końcu w 1835 r.

przeniesiono Zielińskiego do odległego o 30 wiorst od Tobolska miasta Iszyna, gdzie przebył lat kilka, dzieląc czas między książkę i czasopisma, twórczość poetycką, wycieczki w stepy dla tem dokładniejszego poznania kraju i ludzi, pogawędki w liczniejszym nieco, niż w Tobolsku, gronie Polaków. Interesuje się też ruchem literackim i w listach do Zygmunta Komornickiego wypowiada rozumne, nacechowane głębszą znajomością sądy o autorach polskich, francuskich i niemieckich. W Iszymie poeta ukończył zaczęty jeszcze w kraju dramat historyczny p. t. „Zbigniew” (1839), który, zgodnie z życzeniami autora, pozostał w rękopisie. Chmielowski, który czytał manuskrypt, twierdzi, że charaktery są tu kreślone „w sposób ogólnikowy i bardzo małą liczbę rysów sumiennych wykazać mogą”, rozmowy zaś „przemieniają się na rozprawy i rozmyślania”, że brak wreszcie „Zbigniewowi” takich „świeżych i oryginalnych pomysłów, ażeby same przez się zająć mogły i zakryły niedostatki akcji” (wstęp do wydania zupełnego „Poezji” Gustawa Zielińskiego z r. 1901, str. 153). Widoczne stąd, że „Zbigniew”, jak i wiele innych utworów poetyckich Zielińskiego, nie wznosi się ponad poziom szablonu literackiego. O wiele wyżej stoi poeta, gdy czerpie natchnienie nie z książek, lecz z życia otaczającego, zwłaszcza z barwnych, podniecających wyobrażeń wrażeń orjentalnych, krajobrazowych i etnograficznych. Wycieczka w stepy iszymskie, zaludnione przez wędrujące hordy Kirgizów, tak niepodobnych do „owych czułych, płaczących, kochających, wzdychających postaci arkadyjskich pasterzy i pasterek”, mieszkańców wymarzonej w XVII w. krainy czułości, „p a y s d u T e n d r e”, zawdzięczamy poemat opisowy p. t. „Stepy” i powieść p. t. „Kirgiz”. „Stepy” poprzedza wstęp, prozą pisany, zawierający charakterystykę plemienia Kirgizów i zamieszkanego przez nich kraju. Sam poemat rozpada się na cztery pieśni: I) Step, II) Góry, III) Bajga, IV) Śpiew; początkowo tytuł jego brzmiał: „Fantasmagorje”. Poszczególne części utworu nie są dostatecznie zharmonizowane: nastroje krajobrazowe w pierwszej pieśni, refleksje filozoficzne w drugiej, obrazy z życia kirgiskiego w trzeciej i czwartej. Całość technicznie zapatem romantycznym, podnieconym lekturą „Farysa” i „Sonetów krymskich”, choć nie brak wzmianki o „Herkulesie przy boku Omfali” (całość ukazała się w druku w r. 1856, w Poznaniu). „Kirgiz”, drukowany po raz pierwszy w Wilnie w r. 1842, a potem wielokrotnie do ostatnich lat przedrukowany, zarówno w ozdobnych, ilustrowanych edycjach, jak i w tanich wydaniach szkolnych i ludowych, to korona twórczości Zielińskiego, jedyny jego utwór, który pozostał w pamięci narodu. Swą wielką popularność zawdzięcza ten poemat przedewszystkiem doskonałemu zespoleniu pierwiastków twórczych, czego nie było w „Stepach”, harmonijnej budowie, zwartej, zajmującej akcji, a potem malowniczym obrazom stepu (piękny opis burzy), oraz życia i obyczajów kirgiskich. Wreszcie „Kirgiz” czaruje wy-

obrażnią i chwytają za serca połotem romantycznym, farysowym pędem w przestrzeń bezkresną — ku swobodzie. Młody Kirgiz, bohater poematu, uciekający z miejskich „jurt kamiennych“, dąży wprawdzie tylko do wolności osobistej, ale zarazem jest symbolem marzeń i pragnień zarówno samego poety, oddalonego o tysiące mil od ukochanych i ojczyzny, jak i współczesnego mu pokolenia Polaków. A wysokie napięcie rozigranych w duszach bohaterów napiętności (gwałtowne pożądanie swobody młodego Kirgiza, nienawiść jego do Bija, miłość płomienna ku Demeli) na tle podobnie rozhlukanych żywiołów (burza, pożar stepu) podnosi urok romantyczny „Kirgiza“, jak i gorący kolorystyczny wschódni, nie konwencjonalno-literacki, ale wiernie oddający rzeczywistość, trochę może tylko stylizowaną. „We wszystkich tych szczegółach — mówi słusznie Chmielowski — widnieje chęć odtworzenia rzeczywistości, tu i owdzie jeno uidealizowanej“ (tamże, str. 191). Niższe są znacznie, prawdopodobnie też napisane w Iżymie, dwie powiastki: „Koń Beduina“, ułożony wierszem, a osnuty na motywie, zaczerpniętym z dzieła Lamartine'a „Podróż na Wschód“ (o koniu, który pana swego wyzwolił z niewoli), i pisany prozą „Antar“, opowieść fantastyczna o młodym Arabie i przemienionej w gazelę czarodziejce. Jeszcze mniej wzbudzają zaciekawienia dwa obrazki poetyckie, na tle konwencjonalnie odtworzonej przeszłości narodowej osnute: „Jan z Kępy“ i „Giermek“. W chwili, gdy „Kirgiz“ dał się poznać czytającej publiczności polskiej, autor jego, po 8-letnim wygnaniu, powrócił już do kraju (koniec 1842 r.) W dwa lata potem ożenił się, w pięć lat odziedziczył znaczny majątek ziemski po stryju i zaczął prowadzić spokojny, nie zakłócony już żadnymi przygodami romantycznymi żywot ziemianina-obywatela, nie uchylającego się od obowiązków publicznych: jako radca dyrekcji głównego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, jako sędzia pokoju powiatu lipnowskiego, jako członek rady przemysłowego oddziału rolniczego przy Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych, jako członek komitetu Towarzystwa Rolniczego, jako przewodniczący rady powiatowej powiatu lipnowskiego, wreszcie jako założyciel pierwszej w kraju spółki obywatelskiej, p. n. „Domu Zleceń rolników płockich“, rozwijającej swą działalność między r. 1858 a 1865. Wysoce poważany w kołach ziemiańskich za swą pracowitość w sprawach publicznych i prawosć charakteru, nie znajdował sympatii u żywiołów radykalnych, nie sprzyjał bowiem ruchowi r. 1863 i niechęci swej ku niemu nie ukrywał. Stosunek swój do prądów rewolucyjnych i socjalistycznych wyraził Zieliński w ciekawym bardzo wierszu, napisanym w r. 1865 i dodanym później do „Samobójcy“, „w miejsce przedmowy“. Z dłuższych utworów powstały w tym okresie: poemat fantastyczny p. t. „Pokusy“, o kolorystyce wschodniej, urywek dramatyczny p. t. „Czarnoksiężnik Twardowski“ (wydrukowany w Warszawie w r. 1856), komedyjka prozą w 5 odsłonach p. t. „Panna

włościanka“, pozostająca dotąd w rękopisie, wreszcie powieść historyczna p. t. „Manuela“, opowiadanie o przygodach romantycznych młodego oficera polskiego w Hiszpanji w r. 1808 i o tragicznej miłości jego do pięknej Hiszpanki Manueli, na szeroko zakreślonym tle zdarzeń historycznych z epoki napoleońskiej (utwór ten ukazał się w druku jako dodatek powieściowy do „Tygodnika Ilustrowanego“, ze znacznymi skróceniami). Próbował także Zieliński sił swoich w monografiach historycznych, jako autor nie ukończonej rozprawy p. t. „O ziemi dobrzyńskiej, badanie historyczne, z mapą“ (w „Bibliotece Warszawskiej“, r. 1861, t. III) i „Wiadomości historycznej o rodzie Świnków oraz rodowodu pochodzącej od nich rodziny Zielińskich herbu Świnka“ (2 części w 3 tomach, drukowane w Toruniu w r. 1881). Podczas druku ostatniego tomu tej pracy śmierć go zaskoczyła (dnia 23 listopada 1881 r.), w 73-cim roku życia. Talent mało oryginalny, żyjący głównie pokarmem duchowym, dostarczonym mu przez wielkich poprzedników, zwłaszcza Mickiewicza, Zieliński miał jedną chwilę w życiu, która uczyniła go poetą samodzielnym, odpowiadającym pieśnią podniosłą na podniety zewnętrzne: chwilę zetknięcia się z dziewiczą przyrodą stepów kirgiskich i równie dziką duszą ich mieszkańców. Dodajmy do tego gorące umiłowanie haseł romantycznych, a otrzymamy główne czynniki estetyczne „Kirgiza“, jedynego dzieła Zielińskiego, które ocalało od zapomnienia.

## WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

A) Pisma Zielińskiego. Pierwsze wydanie „Kirgiza“ ukazało się w Wilnie w r. 1842, potem utwór ten niejednokrotnie był przedrukowany w wydaniach kosztowniejszych, a także szkolnych i popularnych. Wyróżnia się piękna edycja lipska z r. 1857, z 20 drzeworytami i 4 litografjami i chromo-litografjami rysunku hr. Al. Ryszczewskiego, w ósemce dużej (powtórzone w r. 1867, Lwów - Poznań). Przekłady niemieckie: „Kirgiza“: A. von Bahna (Berlin, 1851) i Ottona Koniskiego (Berlin, 1855), A. von Weissa (Lipsk, 1858), rosyjskie: Michajłowskiego (1857) i Grebienszczykowa (Tomsk, 1910, z ilustracjami), czeski: Józefa Kollarza. Z innych utworów Zielińskiego ukazały się za jego życia w osobnych wydaniach: „Czarnoksiężnik Twardowski, dwa ustępy z dramatu, osnutego na podaniach gminnych“ (Warszawa, 1856) oraz „Stepy, poemat“ (Poznań, 1856), przełożone na niemiecki przez A. von Weissa (Lipsk, 1858). Pierwsze wydanie zbiorowe ukazało się w Warszawie w r. 1846 i zawiera: Jana z Kępy, Giermka, ulamek z poematu „Samobójca“, Kirkiza, Stepy, Konia Beduina i Wiersze różne. Najpełniejsze wydanie

zbiorowe wyszło staraniem rodziny w Toruniu w roku 1901, z wizerunkiem poety, poprzedzone monografią obszerną, napisaną na podstawie listów i dokumentów przez prof. P. Chmielowskiego, w dwóch tomach: I) drobne wiersze, w młodości pisane, drobne wiersze późniejsze i II) Jan z Kępy, Giermek, Samobójca, Stepy, Kirgiz, Kon Beduina, Antar, Pokusy, Czarnoksiężnik Twardowski, Przekłady. Nie weszły w skład tego wydania: 1) Dramat p. t. „Zbigniew” (pozostaje w rękopisie); 2) komedyjka prozą w 5 aktach p. t. „Panna włościanka” (rękopis), 3) powieść historyczna z czasu kampanji hiszpańskiej w r. 1808 p. t. „Manuela” (drukowana w Warszawie, w dodatkach do „Tygodnika Ilustrowanego, ze znacznemi skróceniami), 4) O ziemi dobrzyńskiej, badania historyczne, z mapą, w „Bibliotece Warszawskiej”, 1861, t. III), 5) Wiadomość historyczna o rodzie Świnków, oraz rodowód pochodzącej od nich rodziny Zielińskich, herbu Świnka, 2 części w 3 tomach (Toruń, 1881), 6) artykuł o prawie rolniczym w dawnej Polsce (Encykl. Rolnictwa 1879, tom V), 7) Starożytności dobrzyńskie (w „Wiadomościach Archeologicznych” (t. II, Warszawa, 1874). Nadto drobniejsze prace w „Bibliotece Warszawskiej” i w „Encyklopedji Powszechnej” S. Orgelbranda.

B) O Zielińskim pisali: 1) Chmielowski P. Życiorys i ocena dzieł we wstępie do toruńskiego wydania „Poezycji” z roku 1901; 2) Koźmian. Rozbiór „Kirgiza” w „Przeglądzie Poznańskim” z r. 1846; 3) Tyszyński A. O. „Kirgizie” („Rozbiory i krytyki”, III); 4) Kaszewski K. „Gustaw Zieliński” („Tygodnik Ilustrowany”, 1861); 5) Korotyński W. „Gustaw Zieliński” (Tyg. Ilustr., 1881); 6) Sokołowska. Gustaw Zieliński „Kłosy”, 1881); 7) Zieliński J. Przyczynek do biografji autora „Kirgiza” („Tygodnik Ilustr.”, 1895, I); 8) Zdziechowski M. Byron i jego wiek t. II; 9) X. Gustaw Zieliński i nieznanne jego listy („Tygodnik Polski”, 1901); 10) Gomulicki W. Autor „Kirgiza” w literaturze i w życiu („Kraj”, 1902); 11) Matuszewski Ign. Djabeł w poezji (II wydanie Warszawa, 1899); 12) Zatey H. Wstęp do „Kirgiza” w wydaniu F. Westa (Brody, 1908); 13) Jellenta C. Wszeczpoeemat i najnowsze jego dzieje (1894); 14) Galle H. Autor „Kirgiza” (Biblioteka Warszawska, 1909, I); 15) Tenże. Śpiewak „Kirgiza” („Tygodnik Ilustrowany”, 1907, T. 1).

## A) Kirgiz, powieść.

(1842)

Bohaterem poematu jest młody Kirgiz, nie wskazany z imienia. Kiedy jeszcze był dzieckiem, zamordowano mu ojca, a jego samego porwano i zaprzędano kupcom w niewolę. Wyrósłszy z lat dziecięcych, zateśnił młodzieniec do stepów, do wolności i uciekł z „jurt kamiennych” miasta syberyjskiego. Od tej chwili zaczyna się poemat, na którego czele widnieje

płomienny monolog wyrrywającego się ku swobodzie i ku zemście za śmierć ojca Kirgiza; młody bohater, przebywszy burzę w stepie, spotyka wreszcie aul kirgiski, gdzie go przyjmują z wylaną gościnnością. Nieszczęście chciało, że głową aulu jest Bij, zabójca ojca młodego Kirgiza, i że ów młodzieniec pokochał pierwotną, ognistą miłością od pierwszego wejrzenia 16-letnią hożą Demełę, córkę Bija. Gdy w jego sercu toczy się walka między miłością a zemstą, Bij dowiaduje się od starego czarownika, kim jest jego gość, ale zabić go w aule nie może, bo nie pozwalają na to prawa gościnności, ściśle u narodów wschodnich zachowywane. W jesieni Kirgizi ruszają w drogę. Niby bawiąc się w wyścigi, młody Kirgiz i Demeła wysuwają się nieznacznie na najlepszych koniach daleko przed tabór i postanawiają uciekać. Wtedy Bij, nie mogąc ich doścignąć, każe zapalić w trzech miejscach step. Płomienie ognia biegają z wiatrem szybciej niż konie i wkrótce pochłaniają ciała obojga nieszczęśliwych kochanków. Podajemy poniżej dwa celniejsze urywki: ustęp liryczny oraz obraz burzy w stepie.

I.

a) „Dość! — dość żyłem nie sobie..  
Duszno, ciasno, jak w grobie,  
Żyć zamkniętym w ścian w czterech niewoli..  
Mnie tu nuda zabije!..  
Ha!... tam chyba ożyję,  
Gdzie powietrza.. gdzie stepów dowoli..

Bom na stepach się rodził:  
Wiatr pustyni mnie chłodził,  
Gdym na koniu biegł stada dozierać..  
Ciągłe widne niebiosy  
I step, lśniący od rosy..  
Ach! tam tylko i żyć i umierać!

Berkut, <sup>1)</sup> z gniazda gdy dzieckiem  
Wzięty sidłem łowieckiem,  
Sądysz — zbratał się z tobą, człowiecze?  
O, poczekaj, niech z wiosną  
Pióra w skrzydłach porosną,  
Puść go tylko, on wie, gdzie uciecze!

Koniu! i ty u toku  
Tęsknisz, choć ci obroku  
Ani wygod nie zbywa stajennych —  
I ty nie tuś się chował..  
Ciebie Kirgiz hodował..  
Nam nie użyć w tych jurtach kamiennych!

<sup>1)</sup> Berkuty są to wielkie orły stepowe, które Kirgizi układają do polowania (*Przyp. Poety*).

Noc — pomyślna do jazdy:  
Świeci księżyc i gwiazdy,  
Biały tuman po łąkach wiję się...  
Śpij — nie czekaj nas, panie!...  
Na dzień dobry w świtanie  
Wiatr ci chyba wieść o nas przyniesie”.

\* \* \*

Lecą, — w lewo i w prawo  
Mkną przedmioty tak żwawo,  
Że nie poznać: dom, wzgórze, czy drzewo...  
Lecą — jeździec wzniosł czoło,  
Spojrzał — stepy wokoło...  
Przed nim, za nim, na prawo, na lewo.

Tu skończyły się drogi;  
Wkrąg — jak zajrzysz — rozłogi  
Puste, równe, faliste, szumiące.  
Gdy w nich Kirgiz żegluję,  
Któż mu drogę wskazuje?  
Niebo tylko przez gwiazdy lub słońce.

Lecą, — któż ich dogoni?...  
Tylko trawa się kłoni,  
Gdzie ją rumak w przelocie dotyka;  
Ślad i jeździec — to chwila,  
Wnet się trawa odchyła,  
Jeździec przemknął — a za nim ślad znika.

Ziola, twory — w śnie drzemią...  
Między niebem a ziemią  
Nikt nie czuwa, nie żyje — w pustyni;  
Jeździec powiódł oczyma:  
Tak — nikogo tu niema,  
On sam — w środku w tej ciemnej świątyni!

W tem czarnoksięskim kole  
Kraina mroku w dole,  
Lecz jej krańców wzrok jeźdźca nie sięga, —  
Kraina światła — w górze  
Iskrzy w ciemnym lazurze,  
Środkiem jasna przesłania ją wstęga.

b) Pędzą chmury za chmurami  
Coraz większym, gęstszym tłumem,  
Aż ostatnia z świstem, z szumem,  
Przeświecana błyskaniami,  
Dudni, huczy, grzmi. —

Deszcz kropkami padł wielkimi...  
A kwiat stepu, spragnion wody,  
Chwyta usta zawędnętemi  
Te powietrznych pól jagody,  
Rozpłynione w łązy.

Głucho... nagle strasznym blaskiem  
Cała chmura w zygzak pękła;  
Step rozwidniał — ziemia jękała,  
Gdy w jej łono huknął z trzaskiem  
Piorunowy strzał!

I z czarnego zaraz stropu  
Deszcz ulewny rzeką lunął,  
Jakby w nowy dzień potopu  
Cały obłok się usunął  
I step zalać chciał.

Niebo przez pól się otwiera  
I zamyka na klucz gromów...  
Step wodami wyżej wzbiera,  
Powódź znosi świat atomów.  
Robaczków i ziół.

Odtąd błyski bezustanne,  
Jakby niebo było szklane,  
Jakby z niebios Boża chwala  
W strumień jasny się rozlała  
Na zamierzchły dół.

Odtąd huk już nieprzerwany —  
Jakby, z posad swych zachwiany,  
Świat się z dawnych zrębów ruszył,  
I zapadał, walił, kruszył  
W nieskończoną toń!

A na stepie w jasną chwilę  
Jeden tylko punkt ciemnieje: —  
Duch?... wszak stoi na mogile?...  
Głaz?... wszak burza nim nie chwije?...  
To jeździec i kon.



## B) Samobójca.

(r. 1865)

„Na własnej pierś skrwawiłem me pięćcie,  
Przeciw niebu ich nie wzniosłem”.

**B)** Kończyłem drogę — wtem nagle przede mną...  
Ujrzałem przepaść straszliwą i ciemną;  
Pa-zeza otchłani, jak krater, ziejąca,  
W obie się strony ciągnęła bez końca;  
Iśń niepodobna... ni też cofnąć biegu,  
Więc smutny siadłem na skale przy brzegu  
I wzrok miłości w tę stronę zwróciłem,  
Gdzie wiodła droga, którą już przebyłem! —

Szlak ów przebyty nie wciąż był kwiecisty,  
Rosły tam ciernie i sterczały głązy,  
Lecz jak w pustyni dzikiej i piaszczystej.  
Tu, owdzie wdzięczne migają oazy; —  
Dalej, za szlakiem, był horyzont mglisty,  
Gdzie w mgły przezroczu tak cudne obrazy,  
Że, jako dziecię do swej matki łona,  
Ku nim się rwała dusza utęskniona.

Długo wzrok miłym poilem widokiem,  
Aż mnie z głębokiej obudził zadumy  
Jakiś krzyk dziki, rzucany przez tłumy,  
Co do przepaści rączym biegły skokiem;  
Tłumy wółnagie, całe w krwi i pianie,  
Gnane przez furje z ohydnym obliczem,  
Smagane z wężów ukreńonym biczem;  
Jak potępieńcy, spadały w otchłanie.

Jedna z tych furyj, widząc mnie na stronie,  
Zwróciła kroki i staje przede mną: —  
„Czego tu szukasz?... i oko twe tonie  
„W ów świat miniony, odziany mgłą ciemną.  
„Patrz! jak się niebo zaciąga chmurami,  
„Patrz! jaka burza zrywa się za nami;  
„Gdy gromy hukną, gdy luną zatopy,  
„Ziemia z pod twojej usunie się stopy.“ —

„My śpieszym zdobyć dla siebie świat nowy,  
„Idź z nami, — widzisz chorągiew na przedzie  
„Krwawą i napis ognistemi słowy:  
„Wszystko godziwe, co do celu wiedzie“, —

„Świat naszych życzeń jeszcze noc okrywa,  
„Ale mrok pierzchnie, gdy rzucim paliwa,  
„I błysnie luna z tak licznych płomieni,  
„Że przy niej słońce w obłok się zamieni“.

„Tam w głębi, słyszysz, świst machin i młoty ;  
„To są cyklopów dzisiejszych roboty ;  
„Olbrzymie łuki przez przepaście wiążą,  
„Nurt rzek zwracają, łono ziemi drażą.  
„Oni przez lądy i przez oceany  
„Ścielą nam drogi do prędszej wygranej ;  
„I zajdziem dalej, parci siłą pary,  
„Niż wy na skrzydłach fantazji i wiary.“ —

„Przepaść nie straszna!... tylko się odważyć!...  
„Ale kto z nami, musi się obnażyć.  
„Zrzucić strój zdarty odwiecznej roboty  
„Sumienia, wiary, i sławy, i cnoty ;  
„Nam, co idziemy osiąść nowe światy,  
„Potrzebne szersze, wygodniejsze szaty,  
„Niż te, co nosił syn cieśli — którymi  
„Wolę i rozum skrępował na ziemi.“ —

„Życie za krótkie i czekać za długo,  
„By świat zdobywać pracą i zasługą.  
„My chcemy — dziejów poczynając kartę,  
„Wydrzeć — co tylko może być wydarte :  
„Burzyć — to nasza idea przewodnia ;  
„A środki — sztylet, trucizna, pochodnia.  
„Gdy wszystko stare wysieczem i zwalim,  
„Wtenczas wzniesiemy nową Jeruzalem“ . —

„O! nie! nie!...” rzekłem. „W pokorze i wierze  
„Chrześcijanie palmę wynieśli ze zgonu.  
„I z Bogiem w sercu szli dawni rycerze  
„Zatknąć znak święty na murach Syjonu.  
„A wy! bez Boga, bez cnót, bez zapachu,  
„Bez żadnej myśli dodatniej — przewodniej —  
„Wy karty, z piętrem podłości i zbrodni,  
„Frymarkiem, chcecie do śc do ideału!” —

„Do wielkich czynów — wielkich cnót potrzeba!  
„Pokory! aby dostać się do nieba!...  
„Wam niedys bratnie Timura zastępy  
„Znikły w pustyniach, pożarte przez sępy.

„Bo zbrodnia królko dźrzy berto świata,  
„Bóg dobrej sprawie tylko da zwycięstwo.  
„Cóż wam zostanie?... sława Herostrata!...  
„I wieczne!... tak, wieczne przekleństwo!...

„Ja tu zostanę z mą lutnią na brzegu,  
„Nim ją na wieki do przepaści rzucę;  
„Nim brzeg zapadnie, ów kres mego biegu,  
„Ustęp, podjęty w mej drodze, zanucę.  
„Pieśń to nienowa i stare już dzieje,  
„Smutna — jak wieher, co po grotach wieje;  
„Prosta — jak życie, złamanej istoty,  
„W której nie wygast głos prawdy i cnoty“.

Opracował HENRYK GALLE.

## CZAJKOWSKI ANTONI

(1816 — 1873)

O życiu tego głośnego i poczytnego niegdyś w Warszawie za rządów paszkwiewiczowskich poety szczupłe jeno bardzo i urywane posiadamy wiadomości. Urodzony w r. 1816 (13 czerwca) w Krakowie, był synem Pawła Czajkowskiego, zmarłego w r. 1839, profesora literatury polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, poprzednika Michała Wiszniewskiego. Nauki szkolne pobierał zapewne w grodzie podwawelskim; tu też, w Wszechnicy Jagiellońskiej, studiował nauki prawne i uzyskał stopień doktora obojga praw po napisaniu „Rozprawy historycznej o prawach kobiet“ (druk, w r. 1836 w Helcia „Kwartalniku Naukowym“).

Około r. 1837 przeniósł się Czajkowski do Warszawy; przez lat kilka (1837 — 45) urzędował tu w sądownictwie; w r. 1841 był sekretarzem jeneralnego prokuratora w Królestwie. W tym czasie wystąpił publicznie jako poeta; poezje swoje ogłaszał najprzód w różnych czasopismach ówczesnych, najczęściej w „Bibliotece Warszawskiej“, ale już w r. 1841 wydrukował w Warszawie pierwszy swój zbiorek, p. t. „Niektóre poezje“,<sup>1)</sup> a w kilka lat potem drugi, obszerniejszy („Poezje“, Warszawa, 1845), w którym skupił wszystkie wówczas napisane utwory poetyckie, własne i tłumaczone. Wśród nich znalazły się najpiękniejsze i najpopularniejsze jego poezje, jak „Do Wisły“, „Śmierć Stefana Czarnieckiego“, „Do Augusta Cieszkowskiego“, „Pająk“, „Kurdy“, „Do mojej myśli“, „Walka Michała z szatanem“, jeden z najgłębszych i najoryginalniejszych; poetyckie transkrypcje podań i baśni ludowych, jak „Madej“, a przedewszystkiem poemacik, z zacięciem ludowem napisany — „Baśń o żelaznym wilku“. Do najudatniejszych utworów Czajkowskiego należą jego przekłady „Beppa“ Bajrona i „Hermana

<sup>1)</sup> „Wydanie Władysława Bentkowskiego“. Poprzedzone ciekawą przedmową: „Wydawca do czytelnika“ (V — XXIV).

i Doroty" Goethego. We wszystkich tych utworach uderza czytelnika dbałość o wykwint i artyzm formy — słowa i wiersza; refleksyjność jest też jedną z cech jego talentu, pokrewnego talentowi młodszego nieco Felicjana Faleńskiego, który o lat dziesięć później wystąpił jako debiutant na widowinę twórczości poetyckiej. Czy się znali osobiście, niewiadomo; Faleński w wspomnieniach swoich o tem nie mówi; w każdym razie były to, jak się zdaje, natury bardzo sobie bliskie i równie skupione; obaj rzadko się wywnetrzali, a wybuchy uczucia tłumili. Przyjaźnił się natomiast Czajkowski z Cyprianem Norwidem. Z „cyganerją” ani jeden, ani drugi się nie łączył; nie należał też do niej Faleński. Jedynym śladem jakiegoś stosunku Czajkowskiego do tej cyganerii jest głośny wiersz jego „Pająk”, umieszczony w jednym z jej wydawnictw (w „Jaskółce” r. 1843 Zmorskiego i Dziekońskiego). Zapisał się zato później do „ecchu głupców”, zbierających się u Wilkońskich, do którego nietylko cyganie mieli zaszczyt należeć.

W r. 1842, pod wrażeniem „przecudownego”, jak się wyraża, wiersza Norwida, który ten na zebraniu u Leona Łubieńskiego czytał za powrotem z wędrówki po kraju, odbytej wraz z Władysławem Wężykiem, pisze Czajkowski ku chwale jego jakby hymn, dłuższy, oryginalny w pomysle, utwór: „Do Norwida”; obiega wiersz ten w odpisach po salonach warszawskich i dostaje się aż na emigrację; niechętny bowiem Norwidowi Konstanty Gaszyński wspomina o nim w r. 1851 w liście do Siemieńskiego, jako o jednym z czynników, które jakoby wbiły autora „Promethidiona” wraz z pochwałami salonów w niepomierną pychę. Wywdzięczył się Czajkowskiemu Norwid wierszem „Pióro”, wpisany własnoręcznie do pamiętnika autora „Pajaka”. Wiersza „do Norwida” nie ogłosił Czajkowski współcześnie; dopiero w lat kilkanaście potem umieścił go w dodatku książkowym do „Słowa” petersburskiego z r. 1859, redagowanego przez Jozafata Ohryzkę. Był już wtedy Czajkowski od lat kilku profesorem prawa polskiego w uniwersytecie w Petersburgu; a w r. 1859 należał wraz z Spasowiczem, Żeligowskim i kilku innymi, do redakcji krótkotrwałego „Słowa”. Spasowicz, który o tem wspomina, nie daje nam żadnych bliższych wiadomości ani o życiu, ani o działalności Czajkowskiego jako profesora w Petersburgu, z którym kolegował w wszechnicy nadnewskiej, ani nie kreśli nawet jego charakterystyki.

Od wyjazdu z Warszawy twórczość poetycka Czajkowskiego niemal ustala; oddany poważnej pracy zawodowej i wykładom z katedry, nie miał zapewne na to czasu; od czasu do czasu tylko ogłaszał w „Bibliotece Warszawskiej” jakiś wiersz własny lub jakiś przekład, zwykle pod względem formy starannie wykończony.

Zmarł Czajkowski w Petersburgu, dnia 9. lutego 1873 r.

## BIBLIOGRAFJA.

Twórczością Czajkowskiego mało się dotychczas zajmowano. Pisali o nim: Chmielowski w W. Encykl. Powsz. Ilustr. t. XIV (1895) i w „Historji liter. polskiej“, t. V, str. 156 — 158, i Matuszewski w książce „Djabel w poezji“ wyd. 2. (Warszawa, 1899), str. 266 — 268.

### A) Pająk.

(„Jaskółka“. Pamiętnik ułożony przez K. Zmorskiego. J. Dziekońskiego. Warszawa. 1843. Str. 69 — 71.)

Pająk się Matce Boskiej sprzeciwia:  
Bo chociaż Ona przędzie tak cienko,  
On cieniej snuje swoje krosienko  
I w srebrne barwy jaśniej oszkliwia —  
Więc nie grzech zabić pająka.

Lecz pająk wieszczek, po srebrnej sieci  
Z rana nieszczęścia zwiastować leci;  
A gdy wieczorne godziny wieją,  
Wróżbita, złotą cieszę nadzieją —  
Więc szkoda zabić pająka.

A pająk muzyk, na gruzach gości,  
I starym grodom z bratem słowikiem  
Promieniejącej barwy językiem  
Kwili gdzieś w kątku dunki przeszłości —  
Więc żal zabijać pająka.

A pająk prorok, w złocistej sali,  
Na brudnej przędzy pierś swą kołysze  
I szarym kłębkim po ścianie pisze  
Baltazarowe: „Bóg cię obali“ —  
Więc strach zabijać pająka.

A pająk kapłan, kraty ostania,  
Więźniów pociesza, urny zaprzędzie.  
I z trupich główek tęczą dobiedzie  
Po hymnach śmierci, hymn zmartwychwstania —  
Więc grzech zabijać pająka.

A pająk mędrzec, gdy mu sieć zmiotą,  
W nadziejach piersi swej nie rozleni,  
Ale ze starych serca promieni  
Wnet rzeczywistość uplecie złotą —  
Jak nie iść w ślady pająka?...

### B) Do Norwida.

(1842)

(„Słowo”. 1859. Str. 144 — 149.)

Orle, rodzinne przemierzasz	Ja słuchałem zadumały,
[obszary,	Ja słuchałem sercem bliski,
Pijesz słońce, a nad ziemią	Ja, przychodzień od kołyski
Dwa się twoje skrzydła ciemną:	I od grobów naszej chwały.
Skrzydła miłości i wiary.	
Skrzydłem miłości w stare	Ziemo nasza! twoje dzieje
[uderzyłeś dzieje,	Wiatr po snopach w polu wieje;
A na skrzydle się wiary	Prawi myszka gminowładna,
[szmaragdzą nadzieje.	Jak stryjowie poszli na dna,
Ptaku ewangelisty, gdy ci nucić	A jej naród zjadł Popielea.
[przyjdzie,	I jaskółka w gniazdku prawi:
Gdy pierś twoja nabrzmieje	Niech Bóg Piastom błogosławi,
[ewangelji pieniem,	Niech ich w dzieciwie uwesela.
Ty nas poisz nadzieją, pamiętką,	A sąsiedzi i pasieki
[cierpieniem,	Mówią: Boże, szczęście na wieki,
Orle Norwidzie.	Boć też naród był pasieczny,
A na twoich zakłęć nutę	Rolny — wolny i stateczny.
Stają duchy mgłą osnute,	
Gdzieś poźółkły oset stary,	Ziemo nasza! twoje dzieje
To szarańcza — to Tatary.	Wiatr po starych grodach wieje;
Pył pogaństwa wzbity w chmury,	Błyszczą skrzydła obok stali,
To korowód Łysej Góry,	Na rumakach młódź się wali,
Skalne druty i puklerze,	Lecą na Ruś lub na Niemce,
To skamiali gdzieś rycerze.	To zaborce, to rozjemce.
I bard wielki swego czasu	Z obcych krajów zwyczaj nowy:
Siadł pod lipą Czarnolasu,	Każdy szlachcic i herbowy,
A w Babinie łowczy stary	I na tarczy jastrzęb strzyże,
Łowi ptactwo na ogary,	Lub podkowy, albo krzyże;
A pan krajeży szaty plami;	Gonitw, łowów znak to stary,
Tyleś prawil między nami,	I znak nowy cichej wiary.
A jak prawil — to kaskada,	Odtąd dawna równość znika,
Co wśród wonnych kwiatów	Wyższy rycerz od rolnika;
[spada,	Rolnik, jako ptak domowy,
I śnieżysta, perlejąca,	Zamknął w domu swe narowy,
Patrzy tęczę w oczy słońca.	Stary rozum swój przechował;

Rycerz — sokół strząsał pierze,  
W nowej bujał atmosferze,  
A król orłem mu przodował.  
Pierzchaj sępie — krogulico,  
Wpół pogańska rzesza wali,  
Zabrzmiało Boga-Rodzico!  
Tam po słupach Dniepru, Sali,  
Aż gdzie trąby wodną nutą  
Naszą chwałę grają suto.

Ziemio nasza! twoje dzieje  
Wiatr po Warnie — Wiedniu wieje,  
Tyś twe szable jako kwiaty  
Sypla Bogu na krucjaty;  
Bóg w ofierze wziął ci z łona  
Rycerskiego Jagiellona,  
A pod Janem na twe syny  
Spuścił niezwiędłe wawrzyny.  
Bóg dał tobie obraz boski  
Matki Boskiej Częstochowskiej,  
Obraz święty, nieskalany,  
Wiarą naszą wyzłacany.  
To nie olej, ani gwasza,  
Ale dobra Matka nasza;  
Żywa Matka i Królowa,  
Syna w modry rańtuch chowa,  
I tak patrzy przerabana,  
Że padamy na kolana.  
Jej twarz ciemna w serce

[wpadnie,

I jak w studni świeci na dnie,  
I tak dna samego trzyma,  
Że już głębiej myśli niema;  
Tyś tak w sercach poszła

[z nami

Bić się, tutać za Alpami,  
I przy Tobie umierali  
W St. Domingo i gdzie dalej.

Ziemio nasza! twoje dzieje  
Wiatr po starej szopie wieje;  
A do szopy, niby snopy,  
Ciągnie szlachta pod okopy.  
Jak pszenica świecą pany,  
Wojewody — kasztelany,

A poselska Izba zwita  
Z możnej szlachty — niby z żyta,  
A jak owsik członkiem bodzie  
Drobna szlachta na zagrodzie;  
I duch Boży patrzył z nieba,  
Bo na króla młócić trzeba;  
A kto szlachcic, dasz mu, Boże,  
To i królem zostać może.  
A król u nas to jak wieniec,  
Co go niesie młody żeniec;  
Stawia wieniec gdzieś na ławie,  
A hasają po murawie;  
A król u nas to pieszczochą,  
Co ją naród — Matka kocha,  
To swawoli jej na straży  
Stawia czujnych pieczętarzy,  
To ją senat z ziemstwem niańczy,  
To lud za nią w polu tańczy,  
I pod godłem świętej wiary  
Siecze Turki i Tatary.

A lud u nas to rój pszczelny,  
Pozłocisty i weselny;  
Swarem brzęczy koło ula,  
Skrzydłem-koniem lotno hula.  
A podrażnij go człowiecze,  
Żądłem-szablą wnet usiecie;  
Na bartniki lub niedźwiedzie  
Pospolita chmurą jedzie;  
A gdy niema w domu zgody,  
Dał podbierać nieraz miody.

Ziemio nasza! twoje dzieje  
Wiatr przez stary Babin wieje,  
I dowiepem karty zagnie;  
Oj, babinskie wilcze zęby,  
Dumnej siedmiogrodzkiej gęby  
Wystraszyły obce jagnię.  
Patrzaj, Szwedzik krezowany  
Wpadł pomiędzy Krakowiany,  
I królewską hardą nogą  
Biegł na zamek do kościoła;  
A tam króle dookoła  
Chcą przemówić, a nie mogą,



Bo im marmur, pierś kruszcowa  
Nie da giąć się w polskie słowa.

Więc im Szwedzik hardy-karli,  
W twarz zaglądał — bo pomarli.  
Wśród kościoła lutrza owca  
Do Lokietka biegł grobowca,  
Aż tu prażał Starowolski:  
Królu, mówi — ten król polski  
Trzykroć przemocą zwalezony,  
Trzykroć wrócił do korony.  
A Szwed groźnie: ja wam ręczę,  
Że wasz Kazimierz już nie wróci.  
A książd na to pychę cuci,  
Jakby patrząc w losów tęczę,  
Rzekł ten starzec osiwiwały:  
Bóg wszechmocny, los niestały.  
I opadła Szwedu głowa,  
I nie rzekli już i słowa.  
To mi babińskie wyrazy,  
Takim sztofem pal dwa razy.

Czasem smutny Babin bywał.  
Na elekcji to ostatniej,  
Kiedy prymas okrąg bratni  
Do głosowania przyzywał;  
A pan ruski wojewoda  
Dumał w sercu: tronu szkoda;  
Jakiś szlachcie na szkapinie  
Przed swych braci się wywinie  
I zakrzyczy w pierwszym

[rzędzie:

Niechaj książę królem będzie,  
Boć pan szczodry i bogaty.  
Więc w śmiech szlachta —  
[było z czego,

Bo zalecał im szczodrego,  
A sam miał dziurawe szaty.  
Książę musnął po bułacie,  
I rzekł: dzięki, panie bracie,  
Tak zbył sucho pana brata  
I wykrzyknął kandydata.

W końcu kucharz Włoch czy  
[Niemiec,

Ale pewno cudzoziemiec,  
Przy ostátku babinował,  
Kiedy karla w wazę chował.  
Król to przyjął wśród radości  
Przez współczucie dla małości.

Pehlę w chomącie i sto czynów  
Dałbym jeszcze do babinów,  
Lecz już o nich skończymy  
[wreszcie,

A mnie fale dalej nieście.  
I cóż robić, kiedy fala  
Wszystko niszczy i obala.  
O, ty Noe! W arce twojej —  
Przyszły zaród świata stoi;  
Bóg świat stary w arkę schował,  
By nim nowy odbudował.  
Niema dębu bez korzenia,  
Biją źródła przy ruczajach,  
A na starych obyczajach  
Wiek się nowy rozzielenia.  
I Norwidzie, twoje fale  
Gdzieś z ódwiecznych źródeł płyną,  
To tak tęskne, jako żale  
Tkliwej matki za dzieciną;  
To znów męskie i ogniste,  
Topisz potem na lzy czyste;  
To nam niesiesz stare drzewa,  
Wybujale i omszone;  
To znów słońce się rozlewa  
Na twe nurty zapienione  
I uperla malowanki,  
Jasne, jako sny kochanki;  
Nurt rozlany i głęboki,  
A twa siła wyżej sięga.  
Lecisz — pryskasz pod obłoki,  
A jaskrawa uczuć pręga  
Z ziemi w niebo pędzi wiry,  
Jakby struny boskiej liry;  
A ja, bracie, jako rzeka,  
Co na piaskach spławu czeka.

### C) Baśń o żelaznym wilku i o pięknym królewiczu.

(Z podania gminnego.)

(„Poezje“. Warszawa. 1845. Str. 124 — 134.)

Czytelniku!

Siódmy wiek, jak baśń miła  
U nas się rozgościła,  
I od krucjat Henryka <sup>1)</sup>  
W narodzie się pomyka;  
Palestyńska a cichá,  
Czarodziejstwem oddycha.

A z tej wschodniej kądzieli,  
Na tem odwiecznem krośnie,  
Wciąż przedziwo się bieli,  
I cienkie zgiełko rośnie;  
Chodzą cewki, a na nich,  
Obok jasnych, jordanich,  
Nieraz także zabłysły  
Szare nitki z nad Wisły.

Bo baśń tkacza, barwiasta,  
Różnowzora, a żywa,  
Gdy czas nici pozrywa,  
Naszem przęstem się zrasta;  
I na zszytym obrusie  
Siedzą kawki nie strusie.

A gdy bocian, to ptaszę,  
Co to nasze, nienasze,  
Co to siada na kole,  
Co się u nas wykole,  
Co się u nas opierzy,  
U nas weźmie lot chyży,  
I wygląda dzióbato  
Nad folwarkiem lub chatą,  
Z działawą swoją uleci,  
Gdy go zima wystrasza;  
Wtedy nasza, nienasza,  
Baśń pod strzechę zaświeci,  
Przy wrzecionie, kądzieli  
Długi wieczór weseli.

Prawi dziaduś a prawi,  
Wkoło siedzą ciekawi,  
Dym się wali z komina;  
Słucha Wojtek w kozuchu,  
Słucha Kachna, Maryna,  
O kopciuszku, piecuchu,  
O zbójcach, królewicach,  
I zaklętych dziewicach.  
Wierzą wkoło ciekawi,  
Dziaduś prawi a prawi:  
Jak król jakiś wędrował,  
Jako owce hodował.  
Tylko mu niedowierza  
Kuba, kawał żołnie za;  
Widać to zaraz po nim,  
Że się w świecie przecierał!  
On mówi: Król Hieronim,  
Ani Dawust, generał,  
A niechże ich Bóg strzeże!  
Gdzież tam byli pasterze.  
Sam umie historyje,  
Jak się syrena myje,  
I prawi o kampanji,  
Co ją odbył w Hiszpanji.

Starą baśń w garderobie  
Służebne szepcą sobie;  
Inne tam znowu życie:  
Księżniczki w aksamicie,  
I koronkach, stanikach,  
Królewice w płaszczykach,  
Haftowani, złoceni,  
Jak na bal postrojeni,  
A każdą serce pika  
Mieć takiego chłopczyka.

Starą baśń w gabinecie,  
Badacz sciska i gniecie;  
Raz z niej naksztalt zecera

<sup>1)</sup> Książę sandomierski, syn Bolesława Krzywoustego.

Stare głoski wybiera;  
To gdy cała popruta,  
Wyszukuje jej kości,  
Chce znów złożyć mamula  
W swej pierwotnej wielkości.

I ja baśnie chcę pisać;  
Aż tu przy mym stoliku  
Wiatr się zaczął kotysać.  
Staje bajek bez liku,  
A we środku na straży  
Dwóch największych bazarzy.  
Jeden miał wąs lechicki,  
Drugi urodą dziwił:  
Ten Ignaacy Krasiecki,  
Tamten Karol Radziwiłł.  
Patrzę już od chwil kilku,  
A nie witam ich przecie.  
Wtem o *żelaznym wilku* <sup>1)</sup>  
Sama bajka się plecie;  
Więc posłuchaj tej baśni;  
Jeśli nie chcesz, to zaśnij.

\* \* \*

Piękne jest piękne,  
A brzydkie jest brzydkie.  
*Nie - Szekspir.*

Był sobie król przed laty,  
Bardzo możny, bogaty,  
I miał dóbr swych dziedzica,  
Pięknego królewica,  
A królewic ów młody  
Poszedł w świat na przygody.  
Szedł daleko, daleko,  
Ponad wodą, nad rzeką,  
Szedł przez pola i bory,  
Mijał wioski i dwory,  
Aż gdzieś pałacu blisko  
Natrafił na karczmiszko.

Byłoto właśnie pono,  
Gdy parobków godzono,  
Więc że był kawał zucha,  
Wzięto go za pastucha.  
Past owce przez czas długi,  
Wkońcu wziąć miał zastugi;  
Już też zbiegło trzy lata,  
Tu ni brata, ni swata,  
Ani zwierzyć się komu,  
Więc zatęsknił do domu,  
I szedł panu dziękować,  
Z zasług się porachować.  
Aż osiołek doń rzecze:  
Usłuchaj mnie człowiecze!  
Zyskasz na tem, bądź pewny,  
Lepiej wyjdiesz, niż drugi,  
Gdy poduszkę królewny  
Za twe weźmiesz zastugi.  
Toć zwierz pełen poznania,  
Więc królewic się kłania,  
I wnet roi układy,  
Trzymać się osłej rady.  
Idzie w pałac na salę,  
Król tam siedzi wspaniale,  
Gdy go ujrzał, czempredzej  
Chciał mu dawać pieniądze,  
On zaś pomny przestrogi,  
Ujął króla za nogi;  
A że miał edukację,  
Taką wyciął orację:  
Nie szkoduj się, o Panie!  
Schowaj twoje grosiwo;  
Nie chcę go, jako żywo,  
Lecz niech mi się dostanie,  
A że dasz, jestem pewny,  
Poduszczyna królewny.  
Król więc idzie do łózka,  
Gdzie leżała poduszka,  
Bierze jąśka z fałbaną  
I daje go, jak chciano.

<sup>1)</sup> Przystawie: „Plecie jak o żelaznym wilku“ jest dotąd w użyciu. Jakby ten wilk żelazny wyglądał, niewiadomo; to tylko pewne, że zamiast łba miał głowę, że łapy jego były kosmate, że gdy chciał, palił oddechem, że nietylko wył, ale i ryczał, że biegł krokami sążnistemi, że jadał słowiki i że był bardzo grzeczny; sposób zaś jego myślenia, niniejsza bajka wykaże.

Królewic, dobra dusza,  
Śmiało z nim w drogę rusza,  
Idzie polem, lasami,  
Nuci sobie czasami,  
To dla niebian, dla ziemian,  
To znów gwizdże naprzemian,  
To się patrzy, to nuci,  
To się śmieje, to smuci;  
Boć miał dosyć frasunku,  
Że nie zrobił sprawunku,  
Lecz obdarty, ubogi  
Z długiej powracał drogi.

Już też w smutnej potrzebie  
Przeklął ośła i siebie,  
Aż ciekawość go bierze  
Przejrzeć w poduszce pierze;  
Więc usiadł koło drogi,  
Nuż pruć, aż tu dwa rogi,  
Za niemi łeb, a dalej  
Pyszny baran się wali.  
Za nim drugi i trzeci  
Kędziorami się świeci.  
Więc poduszka zakłęta,  
Beczą tryki, jagnięta,  
*Me, me*, huczy po łące,  
Skacze owiec tysiące,  
I jak fala za falą  
Wciąż z poduszki się wala.

A królewic w kłopotcie,  
Jak pędzić takie krocie,  
Jak poradzić w tej biedzie,  
Aż wilk żelazny idzie;  
Więc w prośby: Panie wilku!  
Tu się od godzin kilku  
Wala owce na drogę,  
Zatrzymać ich nie mogę.  
Ach! w tym strasznym kłopotcie  
Dopomóż mi, klejnocie!  
A wilk żelazny na to:  
Zgoda! — lecz za zapłatą —  
Wnet pomogę waszei,  
Lecz przyrzecz, że twe dzieci  
Bez żadnego wyparcia,  
Oddasz mi do pożarcia.  
A królewic tak duma:  
W pole wywiode kuma,  
Nigdy się nie ożenię,  
Więc mu dam przyrzeczenie:  
I na tym fundamencie,  
Skomplanował się święcie.  
Wilk pobiegł na manowce,  
W poduszkę wagnał owce,  
Królewic podziękował,  
I do domu wędrował.  
.....  
.....

### D) Do mojej myśli.

(Tamże. Str. 122 - 123.)

I gdzież moje marzenia, moje sny młodzieńcze?  
Wyście ucichły, pierzeły, jak przelotne stada!  
Któreż ja bóstwo dzisiaj pieśniami uwienczę?  
Gdy głos mój kamienieje i w nucie nie spada!

Styrałem wiek na niezem, zestarzałem duszę,  
Stępiał rozum, osłabła wyobraźnia młoda.  
Stare mary po mozgu dawną nutą głuszą,  
Wyśpiewując: o! wieszczu, szkoda ciebie, szkoda!

Wieszcu! czyliż pieśń twoja usnęła na wieki?  
Obudź się, nastrój bardon, uderz smiało w struny,  
Nuć chwałę twoich ojców, nuć ubiegłe wieki,  
Śpiewaj przeszłość i przyszłość, nasz wieszcu natchniony!

Mnie dziś nie śpiewać, myśl ma, ta moja królowa,  
W chaotycznej wielkości rozkoszując, drzymie;  
Czyż się zechce kształtować i łamać na słowa,  
I wielka, bezimienna, skarłowacieć w imię!

Posłuchaj, myśli! spały marmury przez lata;  
Nierozbudzone w kształty, jak ty moja myśli;  
A wtem Fidjasz, Kanowa i Thordwaldsen przyszli,  
Z głązów wyrzeli Jowisz i Zbawiciel świata.

Myśli! wystąp z chaosu, nabierz świeżej krasy,  
Zawdziej formy, bądź mistrzem i materją razem,  
O myśli! kiedyż przyjdą te szczęśliwe czasy,  
Że ty, myśli! mej myśli staniesz się rzeźbiarzem.

## NARCYZA ŻMICHOWSKA

(Gabryela)

(1819 — 1876)

Świetny okres rozkwitu polskiej poezji romantycznej był dla kraju początkowo smutną epoką zupełnego bezwładu umysłowego i moralnego, później czasem stopniowego i nieśmiałego dźwignania się z niemocy i ponawianych prób uprawy leżącej odłogiem niwy narodowego bytu. Wątle ziarna nie wschodziły lub ginęły marnie, bądź wskutek okoliczności zewnętrznych, bądź wskutek wyjąłowania miejscowego gruntu. Surowe rządy zwycięzcy, tępiącego bezwzględnie wszelkie samodzielniejsze objawy życia społecznego, bierność zwyciężonych, i wreszcie wstrząśnienia ogólno-europejskie, potęgujące reakcję w łonie samego społeczeństwa, lękającego się śmielszych rzutów myśli, wszystko zmierzało do tego samego wyniku. Stan taki odbija się również w literaturze. Echa romantyczne zgłuchły, barwy wypłowiły, treść zwyrodniała. Najsmutniej sprawa przedstawiała się na kresach, za Bugiem. Lecz w byłej Kongresówce, bliższej Zachodu, jakkolwiek spustoszenia były większe, ruiny krwawsze, intensywniejszemi były snąć tlejące iskry ukrytego życia. Jednym z najbardziej znamienitych objawów dążenia do otrząśnięcia się z apatii było utworzenie się około r. 1842 luźnej grupy osób, otrzymującej później nazwę eutuzjastów i entuzjastek. Grupa ta budzi z zapomnienia hasła romantyzmu z przed r. 1831, przechowuje je, czerpie nowe zasoby ideowe bądź bezpośrednio ze źródła, od emigracji, bądź za pośrednictwem Poznańskiego, i otrzymane dziedzictwo usiłuje samoistnie rozwijać zarówno w pojęciach o twórczości i sztuce, jak w filozofii idealistycznej, tak wreszcie w zamierzeniach czynu narodowego i społecznego. A zarówno twórczość i pogląd na świat i czyn, dla których szukano oparcia w sferze prawd absolutnych, winny były wyrastać z podstawy demokratyczno-ludowej. Rozbieżności między temi

dwoma zasadami nie było, jeżeli objawy życia ludowego i jego tęsknoty, może nieświadome, miały być znamieniem prawdy absolutnej i konieczności rozwojowych ludzkości.

Ogniskiem, dokoła którego grupowali się entuzjaści, był Przegląd Naukowy, założony w r. 1842 przez Edw. Dembowskiego i redagowany przez niego wspólnie z Hip. Skimborowiczem, od jesieni zaś 1843 r. do czasu zamknięcia pisma (w połowie 1848 r.) kierowany wyłącznie przez ostatniego. Przegląd stał się wyrazem myśli i czynu romantycznego nie wyłącznie przez swoją treść, gdyż ta z konieczności była uboga, a nadewszystko abstrakcyjna. Najżywotniejsze zagadnienia musiały przybierać tu postać sporów i wywodów literackich i filozoficznych, jak za czasów walki klasyków z romantykami. Można dodać, że entuzjazm, który wypełniał piersi szczupłej garstki osób, pozostających w bliższym lub dalszym stosunku do Przeglądu, musiał energię swoją ujawniać w dziedzinie twórczości abstrakcyjnej, gdyż obszar praktyczny zakreszony był promieniem, niezbyt daleko sięgającym, i zamykał się w dziedzinie jednostkowych wysiłków. Lecz pismo stawało się ośrodkiem skupienia. Tu wytworzył się salon literacki, ów „ogień kominkowy“, który narzucił poniekąd formę utworom Gabrieli i dostarczał jej nieraz pomysłów. W tym salonie, przy tym ogniu kominkowym omawiany był i ustalony romantyczny dogmat uczucia, jako najwyższej, najświętszej sankcji twórczości, prawdy i czynu, a więc moralności. Tu serca i umysły chorowały na „przekrwienie kosmologiczne“, używając wyrażenia Żmichowskiej, gdyż na każde zagadnienie padało z wysoka światło owej filozofji, która była po niemiecku idealistyczną, od absolutnej bowiem idei się wywodziła, ale po narodowemu za punkt wyjścia i za cel obierała: wolę, czyn, urzeczywistnienie. Jakie urzeczywistnienie? Dobro, prawdę, sprawiedliwość w stosunkach osobistych, w stosunkach płci, w stosunkach społecznych i narodowych. Tu entuzjastki broniły swych praw do godności ludzkiej, do nauki, twórczości, praw do zasługi i ofiary dla ojczyzny. Tu wcześniej i dosadniej, niż na łamach Przeglądu, omawiana była sprawa ludu z punktu widzenia „sprawiedliwości społecznej, a w perspektywie przyszłości narodowej. Niewszystko to mogło znaleźć dostateczny wyraz w piśmie, gdzie nieraz „ten i ów rozgada się o prawnictwie, o kategorjach filozoficznych, o naukach przyrodniczych, a co mu tam gra na dnie duszy, to w pełni tonu właściwego przechowuje na rzeczywistą pieśń swej biografji, wygłasza dopiero w zawodzie swoim obywatelskim, rodzinnym“.

Jeżeli pismo samo przez się nie mogło w zupełności spełniać roli, do której było przeznaczone, bądźco bądź z grona skupionych przez niego osób promieniowały już w dalszą przestrzeń nowe idee i nakazy obowiązków społecznych. „Rzeczywista zaś pieśń biografji“ wcielała się nieraz w koła lub kółka bardziej zwarte,

t. zw. przez Żmichowską „kospiracji“, schodzące już na pole czynu bardziej konkretnego, którego celem pozyskanie ludu dla zadań ogólnonarodowych. Co prawda, praktyczna wartość tej działalności była nikła. Stosunki między szlachtą a ludem były obojętne, często nieufne lub nawet wrogie. Demokraci Przeglądu, nie mogąc wpłynąć na szlachtę, zwracali się do ludu w myśl Prawd Żywoźnych z hasłem: wszystko dla ludu przez lud — choćby przeciwko szlachcie (jakkolwiek t. zw. konieczności nie chcieli ogłaszać za cel), ale kończyło się na tem, że „inicjowany starał się ugruntować przekonanie inicjowanego“ (t. j. przekonywał przekonanego); „od czasu zaś do czasu znalazł się jakiś ochotnik, co między tłumem głośniej się odezwał, zaszedł między rzemieślników, trącił kieliszkiem o kieliszek chłopski — tutaj usłyszał jakiś concept... tam znowu sam coś dowcipnego powiedział...“ (List Żmichowskiej do Sew. Elżanowskiego II 30.)

Obok Edw. Dembowskiego i H. Kamińskiego, Gabryela była najświetniejszą gwiazdą plejady entuzjastów, najlotniejszym duchem ich grona i najenergiczniejszą sprężyną. Przez pisma swoje, przez urok bezpośredniego obcowania, przez rozgałęzione stosunki osobiste, wywierała wpływ szerszy niż inni, przyciągając do siebie nadewszystko młode, zdolne do uniesień serca. Imię jej stało się wreszcie symbolem dążeń całej grupy, a zwłaszcza symbolem emancypacyjnego ruchu kobiet w piątym i szóstym dziesiątku lat ubiegłego wieku. Późniejsze pionierki sprawy kobiecej, z Orzeszkową na czele, były spadkobierczyniami entuzjastek, które mniej się wprawdzie troszczyły o prawo do pracy i o normy prawne, lecz pragnęły dla siebie praw ludzkich i obowiązków obywatelskich. W gronie najbliższych swemu sercu była otoczona Gabryela atmosferą miłości i uwielbienia. „Narcyza Gabryela, mówi we wspomnieniach swych Skimborowicz, szlachetnie piękny kwiat naszej ziemi, lilja biała poezji, archanioł ducha rodzinnego i krajowego, najszczytniejsza niedawnych jeszcze chwil postać, którą nazwano dopełnieniem trójcy wieszczów: Adama, Juliusza i Zygmunta, postać pełna uroku i wpływu w swoich czasach“.

Przyszła poetka i entuzjastka urodziła się w dn. 4 marca 1819 r., otrzymując na chrzcie imiona Józefy, Kazimierzy, Narcyzy. Matka, Wiktorja z Kiedrzyńskich, umierając, zostawiła dziesięcioletnie swoje z kolei dziecko trzydniową sierotką. Ojciec Z.-j., Jan, pisarz żupy solnej w Nowem Mieście nad Pilicą, nie był zamożnym człowiekiem, po śmierci żony żył samotnie, dzieci u krewnych znalazły opiekę. Narcyza do sześciu lat przebywała na wsi u stryjenki Tekli, którą matką nazywała i o której najrzetwiejsze wspomnienie zostało jej do końca życia. W szóstym roku opiekować się dzieckiem zaczęła wujenka Kiedrzyńska. Z tych czasów pozostało wspomnienie „pieszczoty prawdziwie rozpieszczającej“ ze strony starszej siostry Kornelji. Jednakże pamięć tej pieszczoty nie przeważała



ogólnego poczucia braku rodzinnego ciepła zarówno w owej dziecięcej epoce, jak i w samotnych latach nauki szkolnej. „Ranek mój był ciemny i słotny, południe mgliste i bezbarwne, przed wieczorem słońce się obejrzało i świeci, choć zachodzi”, pisała Gabryela w r. 1858 (Listy I, 94), ogrzana miłością dawnych przyjaciół i młodzieży.

W r. 1827 oddano Narcyzę na pensję Z. Wilczyńskiej; po ukończeniu jej, chcąc zdobyć kwalifikacje do pracy nauczycielskiej, wstąpiła Żm. w 1833 r. do t. zw. Instytutu Guwernantek (Instytut rządowy wychowania panien), i ukończyła go we dwa lata później. Z lat tych pozostała żywa wdzięczność dla kierowniczkę pensji i instytutu Z. Wilczyńskiej, która wyróżniała zdolne uczennice i opiekowała się nimi. Jednak najwięcej zawdzięczało dziewczę własnej pracy. Już wtedy „wszystkich ludzi jak braci, polską ziemię jak matkę kochała”, oburzała się na niesłuszny kast podział, na smutny los niewolników, już wtedy sądziła się do wzniosłych przeznaczeń powołaną. W r. 1831 chciała opuścić pensję, stać się Tyrteuszem, brać na się trudne zlecenia, a dla wypróbowania siebie sypiała na podłodze, wystawiała się na zimno i t. p. Choroba osłabiła siły. Narcyza przekonała się, że jeszcze nie podola zamierzonemu zadaniu. W całym tem przejściu, w rozmyślaniach dziewczęcia, zaznaczył się w zarodku przyszły los entuzjastki i jej charakter. Miłość ku bliźnim, co „sięgała tak daleko, jak Indyj błonia, jak Afryki pustynie”, oburzenie na niesprawiedliwość, postanowienie, samotnie w duszy wypiastowane, wola, dążąca do natychmiastowego wykonania tego, co powołaniem się wydało. To były elementy już w samej naturze, w całej organizacji duchowej złożone. I na dobitkę — niedomaganie fizyczne, często i w epoce dojrzałości kładące tamę zamierzeniom.

Po ukończeniu instytutu przez dwa lata przebywa w Mężeninie u wujostwa Kiedrzyńskich. Poświęciła ten czas na bardziej samoistną naukę i na rozmyślania. W dalszym ciągu jednak pochylał się nad Gabryelą ranek ciemny i smutny. Od dzieciństwa, od czasu niefortunnego zamiarów na pensji w r. 1831, imię starszego brata, Erazma, zmuszonego do przebywania na emigracji, było otoczone wśród rodzeństwa bałwochwalcą niemal czcią. W każdym marzeniu o szczęściu, w każdej nadziei na przyszłość jego ukazywała się postać. Lecz odmienny był stosunek starszego pokolenia. Erazm był demokratą, wierzył w czarodziejskie wyrazy: równość, dobro ludzkości, wolność... I wszyscy, jak wyznaje Narcyza, jednym głosem potępili go i żałowali. Przykład Erazma, według słów Ż., o dwadzieścia lat ją zestarzył. Uniesienia — tak wnioskowała młodociana filozofka — były ludziom obce, były dla nich objawem dążeń nieuchwytnych i szkodliwych nawet. Poczęła wówczas pilnie rozglądać się wokoło siebie... Najczęściej oko jej padało na ludzi smutnej epoki martwoty i przygnębienia. Najlepsi,

najenergiczniejsi opuścili kraj, ginęli na obczyźnie. Ci, co pozostali, zamknęli się w najciaśniejszej sferze prywatnych i rodzinnych za-  
biegów, odtrącając wszelką myśl szerszych dążeń, wszelkie mar-  
zenia o możliwości wysileniu ku celom odleglejszym. Młodszy uży-  
wali nadmiar sił w hulankach, zabawach, grze w karty i t. p.  
Poczynająca autorka przysłała tedy do wniosku, że istotą natury  
człowieka jest egoizm i bezwład moralny i umysłowy. Ludzie na-  
dewszystko pragną spokojnego snu, więc apostołowie Królestwa  
Bożego na ziemi spotkać się muszą jedynie z dotkliwą, bolesną  
sercu Narczyzy ironją... Jeżeli ludzkość odżegnywa się od ideałów,  
są one mrzonką. I historia, jak się jej zdało, wyrok taki potwier-  
dziła. Wobec tego najrozsądniej jest zamknąć się w kole rodzin-  
nych stosunków i świadczyć ludziom dobrze o tyle tylko, o ile  
się do tego sposobność nadarzy.

Jak widzimy z tego, Żm. usiłowała wynaleźć sankcję filozo-  
ficzną i historjozoficzną temu stanowi rzeczy, jaki zapanował  
w kraju po r. 1831. Przyszła demokratka z lekceważeniem mówi  
o dążeniach na szerszą zakrojonych modłę. Wyczuć się tu daje  
jednak pewien podkład goryczy i zawodu z powodu konieczności  
wyrzeczenia się dawnych, dziecinnych, ale niezapomnianych rojeń.  
Widoczny jest w tem także popęd do czynnego udziału myślą  
w otaczających zjawiskach i skłonność do uogólnień i uczuciowego  
ich zabarwiania. To wszystko cechować będzie Żm. od pierwszych  
chwil świadomego życia do ostatnich jej tchnień. Że myśli jej ten  
nie inny kierunek obecnie przybrały, wyjaśnić to można niepodo-  
bieństwem dla Narczyzy znalezienia jakiejś praktycznej drogi dzia-  
łania. Prawda, byli gdzieś ludzie inaczej myślący i w innych  
przebywający warunkach, ale Narczyza spotkać ich miała później  
dopiero. Niełatwo zresztą wyzbywała się tego, co było zdobyczą  
jej godzin samotnych. Dlatego wykrzyknie przy spotkaniu się  
z Dembowskimi: ach, jacy oni jeszcze młodzi! Dlatego niebawem,  
gdy spełni się jej marzenie dzieciństwa i wczesnej młodości —  
zobaczenia się z Erazmem — zacięte będzie z nim staczące walki  
przekonaniowe. Samodzielność Narczyzy już teraz jest wielka, a prze-  
konanie nabiera mocy wiary religijnej. Dlatego przez całe życie  
najnamiętniejsze i najgwałtowniejsze spory Narczyzy będą znaj-  
bliższymi i najukochańszymi, tak chciałaby ich mieć na zupełną  
własność swoją i tak myśl jest dla niej prawdą żywą, nie obojętnym  
do życia dodatkiem. Możnaść spotkania się z Erazmem zawładnęła  
N. poniekąd swej energii. Gdy starsza jej siostra, jako nauczycielka,  
mogła wychylić się zagranicę i jakiś czas przeżywać z bratem,  
dopóty „dąsała się i napierała“, jak pisze, aż rodzina wreszcie  
i ją na guwernantkę wykierowała. Los tym razem posłużył Ż-j.  
W połowie r. 1837 przyjęła miejsce nauczycielki u Zamoyskich,  
w rok później wraz z dziewczką wyjechała do Paryża. Brat, ubogi  
pracownik, mieszkał w Rheims, i niekiedy przyjeżdżał dla zoba-

czenia się z siostrą do Paryża. Wpływ, jaki wywierał, znajomości, jakie jej wytwarzał — pisze biograf Żm-j — nie podobały się arystokratycznej rodzinie ordynatów. Jakkolwiekbądź straciła Narcyza swe miejsce w końcu roku 1838. Okoliczność ta spowodowała, iż Żm. na jakiś czas (w pierwszych miesiącach 1839 r.) zamieszkała u brata w Rheims, żywiąc się wraz z nim „chudą emigrancką strawą“, przyglądając się bliżej życiu sfer pracujących. Przykre zajęcie, skutek którego nagle ujrzała się samotną na obczyźnie, wytworzyło być może odpowiedni moment psychologiczny, w którym młoda dziewczyna pozyskana była dla przekonani demokratycznych Erazma. Zresztą narazie miały one dla niej znaczenie raczej teoretyczne, nie widziała bowiem dla nich żadnego zastosowania w swem życiu, wciąż trapiąc się swoją nieużytecznością; a była to już właściwość jej natury, i każdego także jej poglądu społecznego, filozoficznego, religijnego, psychologicznego, że żadne przekonanie, żadna myśl nie miały dla niej znaczenia, jeśli nie pociągały jakichś praktycznych następstw. Z Rheims powraca Żm. do Paryża, gdzie ma znówu učenje. Korzystając z wolnego czasu, czytuje dużo, stosując się do wskazówek brata, zwiedza muzea, przesiaduje w bibliotece, uzupełniając i rozszerzając swe wykształcenie, zapoznając się z filozoficznymi i społecznymi prądami ówczesnej Francji, ogłędając dzieła sztuki plastycznej i gromadząc zasób wrażeń i wiedzy na późniejsze życie.

W dn. 12-m września, po pożegnaniu się z Erazmem, puściła się Żm. w podróż do kraju, zatrzymując się po drodze w Poznańskiem dla poznania się z krewnymi. Podróż ta samotnie odbyta, była na owe czasy aktem wielkiej samodzielności. Przez następne kilka lat Ż. znów oddaje się zawodowi nauczycielskiemu. Na ten czas przypada wejście autorki w świat literacki, wtedy ugodził w nią pierwszy ciężki cios, i w tej dobie wreszeie musiała przeboleć pierwszą stratę swych współtowarzyszy. Pociąg do pióra obudził się w Żm. już dawniej. Najwcześniejsza znana nam powiastka „Wędrowiec“ pochodzi z r. 1834. Przed wyjazdem do Francji zostawiła już w biurku swem wiele „bazgroł“, o których kilkakrotnie wspomina w listach, jeden zaś wiersz był drukowany w Pierwiosnku z r. 1838. W wędrowkach swych po kraju zawadziła kilkakrotnie o Warszawę, zwłaszcza podczas pobytu w domu Kisielnickich (w drugiej połowie 1842 i w r. 1843), spędzając w stolicy po kilka miesięcy. Młodzieńczy, entuzjastyczny, za nową „Odeę do młodości“ uznany wiersz „Szczęście poety“, drukowany w Pierwiosnku z r. 1841 pod pseud. Gabryeli, i „Wyjątek z podróży kobiety“ w Bib. Warsz. tegoż roku, zwróciły uwagę na młodą autorkę. Zawijazują się stosunki literackie. W tece tymczasem spoczywało już wiele innych rzeczy, które stopniowo tylko zdobywały miejsce w pismach, albo też i nie zdobywały go wcale. W r. 1841 gotowe już są „Dańko z Jawuru“, „Fantazja“,

„Prządki“, „Maina i Kościej“, nieznanym nam „Lech“. Myśl autorki zajmuje również i sprawa kobieca, czego dowodem jest artykuł o kobietach, zarówno jak obrazek „Zagadnienie“. W roku następnym 1842 autorka pisze lub drukuje parę wierszy, obrazek „Burza“ i „Zwaliska Luksoru“. Rok 1843 daje „Trzy pieśni gęślarza“ i urywki z poematu „Lilja“, który przez następnych lat parę będzie nieziszczonym złotym snem Gabryeli. Najróżnorodniejsze przyczyny stawały na zawadzie. Ruchliwe życie Ż-j, brane przez nią na siebie obowiązki, w których spełnianie wkładała całą duszę, różne troski i nieszczęścia, wreszcie zdrowie wątłe, na miesiące odbierające sprawność władzom twórczym. Wszystko rozbijało natchnienie i odbierało procesowi twóczemu ciągłość pracy. Do ciszy zaś i spokoju, umożliwiających niezbędne skupienie ducha, próżno wzdychała Gab. przez całe życie — z wyjątkiem jednego, klasztornego jego okresu.

Co do utworów omawianej przez nas młodzieńczej doby twórczości, posiadają one tak pod względem treści, jak i formy szczególne cechy, wyodrębniające je od dzieł późniejszych. G. przeważnie pisuje obecnie wiersze, które przecież w całości jej puścizny znikomą zaledwie cząstkę będą stanowiły. Zarówno wierszowane rzeczy, jak pisane prozą, są prawie bez wyjątku lirycznymi fantazjami, gdy tymczasem w okresie późniejszym ustali się forma rozpraw lub opowiadań, wygłaszanych wobec grona osób, tworzących rodzaj akademji towarzyskiej. Co do treści — zarysowuje się tu zupełnie osobisty ideał „szczęścia poety“, ideał marzycielskiego snu, w którym wszelka brzydota, wszelkie zło ziemskie ginie z oczu. Zapewne, pieśń ma wysokie znaczenie w pojęciu Gabryeli dla ludzkości, chroci ją od zmaterializowania, nie daje zgasnąć idealnym uczuciom, dążeniom. Gdyby ludzkość pieśnią pogardziła, straciłaby z oczu wszelki cel, zniknęłaby, egoizm pożarłby sam siebie („Fantazja“). Pieśń uczy wytrwałości, pieśń wraza w sumienie przekonanie, że Bóg „dla człowieka w człowieku nie stworzył sługi, lecz brata“... Ale Gabryelę zajmuje obecnie nietyle stosunek pieśni do świata, ile stosunek twórcy do pieśni. Był to wyraz młodzieńczych marzeń o powołaniu własnym, jako poetki, i doznawanych rozkoszy w chwilach natchnienia. Taki proces twórczy staje się niejako sam dla siebie celem; boski mu naznacza G. początek; nie może granic wyznaczyć jego potędze. Wszelkie cuda natury i fantazji, wszelkie głębie duszy ludzkiej, świat cały, nieskończoność, wszystko to staje na rozkazy poety, jego królestwo stanowi świat rzeczywistością swą przynajmniej równy zmysłowemu. „Może równo z bohaterów czyny“ bogowie „zwazyli jeden sen Mainy“; kto ma mądrość i siły, niech idzie wśród ludzi; „lecz kto ma serce tylko do uczucia, do pieśni, ten niech całe życie przesni“. Zdawać się może, że Zmichowska sobie ten dział zostawia. I ta cześć dla artyzmu, uwielbienie jego żywiołowej, samorządnej

potęgi przez długie lata przetrwa w Gabryeli, nie stając bynajmniej w sprzeczności z jej skrajnymi demokratycznymi idealami.

Idealy te zresztą i obecnie znajdują swój wyraz w jej utworach. Niepróżno nazywa siebie Narcyza dzieckiem ducha Erazma „Dańko z Jawuru” (powieść dla dzieci z czasów Łokietka) budzi sympatię dla chłopca przez jego idealizację i przez obrazy krzywdy mu wyrządzonej. „Wyjutki z podróży kobiety” znamionują powrót do wiary dzieciństwa o dalekiej przyszłej epoce, w której na całej ziemi zapanuje miłość i sprawiedliwość... W „Prządkach” rozwija autorka program życzliwego zbliżania się warstw wyższych do ludu na tle stosunków towarzyskich. Wszystko to zapewne, pomijając niewyrobioną formę, ma cechę niedojrzałego marzycielstwa, lecz w warunkach jej bytu — gdy, jak mówi o sobie, przewożono ją w różnych kierunkach jak rzecz bez woli, bez chęci — w warunkach podobnych ideal życia w śnie był objawem przynajmniej osobistego protestu przeciw martwocie otaczającej Żm-ą atmosfery i wskazywał cel w twórczości, idylla zaś „Prządek” wydawać się mogła jedynym konkretnym programem działania. Zastanawiać jednak musi w tych pierwszych próbach dążność do szerokiego uogólnień, opartych zresztą o idealistyczne podstawy, jak zwykle bywało w tych czasach. Niekiedy Żm. w sposób zadziwiający w pomysłach swych zbliża się do Krasińskiego. Ukazuje się również to pojęcie, które stanie się zasadą całego życia Żm., że wiara musi w sobie zawierać pierwiastek czynny. Odnajdujemy je w każdym ruchu, myśli i uczuciu Gabryeli, w jej postępowaniu, jak zresztą odnajdziemy w praktyce i teorii ogólnego prądu entuzjastów.

I jeszcze jeden rys wcześniejszych utworów Żm-j podkreślić należy. W myśl ogólnych zasad romantyzmu, w myśl przekonania, że z głębin duszy ludowej mamy oczekiwać zarówno odrodzenia siły twórczej, jak i narodu, autorka usilnie pragnie nadać poematom swym i obrazom barwę ludową, co niekiedy sprowadza się do parafrazy klechd ludowych, jak w „Prządkach”, bądź przybiera postać całkiem fantastycznej, bo na niepewnych źródłach i śmiałych konstrukcjach opartej teogonii prasłowiańskiej. („Maina i Kościej”, „Lilja”). Niekiedy rys ten, z późniejszych dzieł znikający, mógł służyć za osłonę wobec podejrzliwej ówczesnej cenzury. („Trzy pieśni gęślarza”).

Podczas tych lat, kiedy powstają wspomniane dzieła, znajduje Gabryela moralne oparcie, pomoc, gorącą zachętę w najbardziej może kochanym z całego rodzeństwa Janku, dlatego pewnie, że moralna jego istota ukształtowała się pod przemożnym wpływem utalentowanej a gorącego serca siostry, ona to go bowiem ocalała od lekkomyślnego trwonienia życia. Zbliżeni byli do siebie wiekiem, pojęciami, dążnościami. Niestety, przyszła choroba nieuleczalna — suchoty. Próżno tygodnie i miesiące całe spędzała Narcyza,

ezuując przy nim. Jego śmierć w dn. 30 mr. 1843 była dla niej gromem, niszczącym w niej na jakiś czas wolę życia. Jej organizacja psychiczna, tak wybitnie, namiętnie nawet, teoretyzująca, tak często w gorączkowym podnieceniu przeobrażająca każdy fakt i każde zagadnienie w drobny jedynie szczegół jakiejś rozległej syntezy, organizacja ta samą pracą myśli żyć nigdy nie mogła. Ż. nie umiała być samotną; potrzebowała zawsze oparcia w jakimś wyłączeniu, lecz indywidualnym ukochaniu. Wprawdzie idei swej nigdy nie wyrzekła się, kochała tylko tych, co umysłowym wzrostem swym, dobrą wolą i dążnościami jej dorównywali. Ale takie bezwzględne, bezpamiętne, rzechy można, ukochanie mieć musiała. Znosiła z pokorą, z rezygnacją, gdy się kruszyły jej osobiste nadzieje, gdy coraz dalej odbiegało od niej marzone „szczęście poety“, ale niechętnie była, kiedy ją spotykała strata lub zawód w tem, co ukochała indywidualnie, i w tem, co miało związek z ideą. Otóż taki stan przygnębienia objął G. po śmierci Janusza. Zdawało się jej, że z zawodem autorskim musi wziąć rozbrat; na stan jej wpłynęło i wyczerpanie fizyczne, będące skutkiem całorocznej choroby. Nie chciała jednak ulec. Podniętą była dla niej ta okoliczność, iż zaczęła dostrzegać tu i ówdzie objawy budzenia się z tej martwoty, która przed kilku laty doprowadziła ją do filozofij rezygnacji. Wiedziała, „że jakiś duch skryty czynnie po wszystkich stronach kraju nurtował, przeciw wskrzeszonemu szlachectwu oddziaływał opinią, przeciw zepsuciu i próżniactwu młodzieży religijną nadzieją i zamiłowaniem narodowości“. Polska jej dumą, jak mówi, aż pod niebo rosła. Najbliższe stosunki osobiste łączą Żm. w 1843 z kilku osobami z kółka Przegl. Nauk. i ze „Związku Narodu Polskiego“. Jest to rodzina Dzwonkowskich i Dembowsey, Edward i żona jego Aniela. Nie była jednak wówczas Żm. uczestniczką zebrań w redakcji Przegl. Nauk., nie była też wtajemniczoną w spisek. Sama przez się jednak pragnęła dla siebie pracy pożytecznej; wpadła wówczas na myśl założenia nowego typu szkoły dla dziewcząt w Poznańskiem, tam tylko bowiem powstawać mogły instytucje, posiadające rozleglejsze obywatelskie zadanie. Projekt rozbił się o brak środków. Tymczasem w końcu sierpnia i na początku września 1843 r. nastąpiły aresztowania wskutek wykrycia Związku Narodu Polskiego. Wtedy Żm. dowiodła, jaki zasób energii spoczywał w jej duszy. Przeciwna konspiracji, uznaje jeden działaniu środek — wycelowanie. Tworzy projekt rozłania po kraju całym szkolek i sal ochrony. Na to krząta się nad zapewnieniem więziom i skazańcom ulg przez skłótki. „Schołzę nogi, głos w piersiach zużyję, a jeśli i to jeszcze naprożno, będę mogła przynajmniej bez grzechu założyć ręce i samemu Bogu na ostatecznym powieszcie sądzić: „Tyś tego nie chciał“. Za obowiązek swój uznaje obecnie porządane w kraju. Teraz dopiero siłą współczucia i siłą czynnego, jakkolwiek „filantropijnego“ tylko na razie udziału pozyskaną została Żm. dla

dążności demokratycznych. Wprawdzie i teraz świadoma była, iż „sama w sobie jest systemem, stronnictwem, wiary wyznaniem”, jednak uczyniła wybór, by nie zostać samotną, więc bezczynną, i „przystąpiła — według jej słów — do najczynniejszych — z początku współczuciem, teraz współmyślą, a szczęście Boże i współdziałaniem” w przyszłości. Perspektywa czynu znowu przedstawiła się jej, i znowu złudnie — w postaci zakładu naukowego w Poznańskim. Przyjęła tam zobowiązanie prywatne w domu Turnów, opuszczając Warszawę, by się uchronić od pewnych powikłań, które spadły na nią wskutek oświadczenia się o jej rękę Jana Baranowskiego (dyrektora obserwatorium). Ucieczka ta może się tłumaczyć tą okolicznością, że serce jej nie było obojętne — jak można przypuszczać — dla jednego ze spiskowców, Władysława Dzwonkowskiego.

W Poznańskim (1844) miała znowu dom Dembowskich, miała inne, przeważnie literackie znajomości, przez dom Moraczewskich, historyka Jędrzeja i jego dzielnej siostry, również autorki, Bibjanny. Z Bib. Moraczewską (Felicją we Wstępnym obrazku), z Teklą Dobrzyńską (Seweryna) zawiązała wtedy ścisłe przyjazne stosunki, czego dowodem jest wieloletnia korespondencja. Zbliżyła się również z Zofją z Kamińskich Mielecką, później Węgierską (Augusta), którą gorąco broniła przez zarzutami płochości. W Poznaniu wychodzi pierwszy książkowy zbiór Gabryeli „Wolne chwile“ w r. 1845. Oprócz utworów już wspomnianych, umieszcza tu autorka Capriccio, utwór najpewniej w Objezierzu (u Turnów) pisany. Występuje tu już charakterystyczna forma opowiadania pewnej historii życiowej, jako przykładu, ilustrującego tezy, omawiane przez grono zebranych osób. Zapewne jest to echo pogadanek w salonie Moraczewskich. Treścią utworu jest przeciwstawienie prawdy uczucia pięknemu frazesowi. (Poeta Julian rozmarza 18-o letnie dziewczę, by z tego zrobić piękną poezję.) Poraz pierwszy zamiast marzycielskich czułościowych fantazji autorka daje nam pewien fakt psychologiczny, analizuje go i ocenia wreszcie z pewnego ogólniejszego stanowiska, które tu jest stanowiskiem entuzjastki.

Pobyt Żm-j w Poznańskim trwał zaledwie dziewięć miesięcy. Projekt pensji znowu spełził na niczem, policja zaczęła robić trudności, w dodatku dokuczały mocno Żm-j plotki z powodu jej ekscentrycznego rzekomo zachowania się. Dużo przykrości przysporzyła jej sprawa niejakiego Adolfa D., o którym nie chciała Ż. ukrywać, że nie na zbyt pochlebną pod względem politycznym zasłużył opinię w Kongresówce 27 lut. 1845 opuszcza dzielnicę, w której zamierzała poświęcić się pracy obywatelskiej. W tym właśnie czasie przeżywa znowu dziwny, niemniej ciężki, bardzo osobisty dramat, który pozostawił ślad w jej twórczości. Źródłem przejścia była natura Żm-j, pożądająca zawsze jakiegoś nad zwykłą miarę wielkiego, a zupełnie wyłącznego ukochania. Przed wyjazdem w Poznańskie czuła się po niedawnej śmierci Janusza bardzo

nieszczęśliwą i osamotnioną. Gdy w takich warunkach stanęła na drodze jej życia postać, która okazała jej współczucie, N. przyłgnęła do niej całym sercem. W marcu 1849 Żm., gotując się do wyjazdu, objędziała rodzinę. Zbliżyła się do niej wówczas jedna z entuzjastek, Paulina Zbyszewska. Łącznikiem między obiema kobietami była wspólna troska o przyszłość kraju, demokratyczne uczucie, wspólne pojęcia o samoistości kobiety. Swemi zdolnościami, w których Żm. dopatrywała się geniuszu, objawami uczucia względem nowej przyjaciółki, wreszcie śpiewem i kompozytorskim talentem, wzbudziła w sercu Nareczy uwieblenie i miłość. Nadmienić wypada, że Ż. na muzykę była wrażliwa do ekstazy. Uwieblenie swe i przyjaźń posunęła do tego, że wpadła niemal w niewolę, żądając, rozumie się, wzajemnie równie wielkiego i bezinteresownego uczucia. Z geniuszem — pisała później — pierwszy raz w życiu do czynienia miałam, zmierzyłam go moją poziomą miarą, uwielbiłam, ukochałam, ale nakoniec chciałam być także najlepiej, najwyłącznie kochaną (L. III, 217). Po powrocie z Poznańskiego znowu Ż. utknęła na jakiś czas w Kurowie u Zbyszewskiej i przekonała się, że była dla niej rodzajem eksperymentu; że Zb. dla szczególnego efektu, dla wyzyskania wrażeń artystycznych pozwalała się otaczać atmosferą uwieblenia.

Nie zdziwi nas zatem pełny grozy wykrzyknik w „Pogance” o jakimś psychologu: „to anatom serca ludzkiego”. W dodatku Zb. natura widocznie zupełnie nieznównoważona, przechodziła od objawów nadmiernej czułości do wprost odpychającego zachowania się, poniżającego w stosunkach bogatej dziedziczki do ubogiej przyjaciółki. Trudno sądzić, czy istotnie Zb. była w tym wypadku tak przewrotną artystką życia, jak to jej zarzuca Żm.; ale z pewnością mamy tu do czynienia z jakimś kaprysem, z uczuciem nieskończenie mniej szczerem, niż to, które dawała Nareczy. Toteż przeboleła swój zawód nieomal głębiej niż śmierć Janusza, może dlatego, że obecnie zachwiała się jej wiara w serce ludzkie. O stanie swym po zerwaniu stosunków ze Zb. mówi Żm. „Marja”<sup>1)</sup> z litosci chrześcijańskiej odwiozła mnie na pocztę, poczta steinkelerka, niewiem poco, do Warszawy zatoczyła, Wincenta (Zabłocka) w Warszawie znalazła jak rzecz jakąś martwą i bezużyteczną, rozgrzała z Anną (Skimborowiczową) przy sercu swojem, oddała siostróm. Wśród sióstr w domu... przyległam spokojnie, jak „zdzobło trawy pod śniegiem” (L. III, 218). Paul. Zb. nieraz usiłowała zbliżyć się do Żm., o przebaczenie prosiła, ale już stosunki poprzednie nawiązać się nie dały. W wiele lat później zaledwie zdobył się Ż. na sąd o Zb., wprawdzie bezwzględny i surowy, ale już obo-

<sup>1)</sup> Marja Boleska, z córka Meraczewskiej, była nauczycielką w domu Zbyszewskich.



jętny, jak o osobie obcej. Długo jeszcze będzie trwać rozżalenie i pamięć, że Paulina była jej „losem”.

Wyjazd z Kurowa, pobyt kilkunastodniowy w Warszawie, i wyjazd do sióstr (Glogerowej i Lewińskiej) do Rzeczycy odbyły się w lipcu 1845 r. Na tę chwilę przypada zawiązanie serdecznych stosunków z W. Zabłocką i A. Skimborowiczową, a oprócz wspólnych pojęć i ideałów najmocniejszym łącznikiem była ta okoliczność, że obie stały obok niej jak siostry i ciepłem uczucia ogrzały zamartwiałe serce Gabryeli w chwili nadzwyczaj ciężkiej. Obie one, zwłaszcza Anna, później Kazimiera Ziemiecka (brałowa Eleonory), otoczyły Żm. tą atmosferą gorącego ukochania, jaka była jej niezbędna. W Rzeczycy w ciągu jesieni 1845 r. powstaje najpiękniejsze dzieło Żmiechowskiej — *Poganka*. Spokój wsi i cisza rodzinnego życia, odgradzając autorkę od świata, sprzyjały twórczości, ból serca żywił obrazy krwią, nasycił barwami. I oto rozłacza przed nami poetka widziadło jakiejś ukrytej wyspy, oazy, w której pogodnie płynie życie kochającej się rodziny, w której wszelako każdy z członków posadał wyłączone jakieś ukochanie — widziadło cichej ostoji wśród burz otwartych przestrzeni. Genjusz — jak przez długi czas wydawać się będzie Ż-j — stanął na jej drodze. Genjusz przedstawił się jej od strony groźnej, niszczyielskiej. I postać artysty Cyprjana staje się wcieleniem potęgi żywiołowej, wzbijającej się ponad wszelkie względy ludzkie i pochłaniającej i tworząc samego i tych, co na swe nieszczęście w okrąg jego bezpośredniego oddziaływania weszli. Wszak to Cyprjan zasiał w sercu brata Benjamina pożądania, które go do zguby, do śmierci moralnej doprowadziły, uczynił zaś to bez troski o następstwa, by podpatrzeć grę rysów fizjognomji, by ujrzeć na oczy wymarzoną przez siebie postać, znaleźć poszukiwany wyraz piękna i namiętności. Benjamin znowu przestaje być niemal żywym, w warunkach codzienności bytującym człowiekiem, jest uosobieniem tej siły wyłącznego a bezdennego uczucia, której źródła w sercu autorki były. I to jest znowu potęga, śmiercią tchnąca. Niema w tem żadnej przestrogi i żadnej nagany. Jest w tem jedynie stwierdzenie pewnej nieubłaganej konieczności, w naturę ludzką włożonej, i nie pomogłyby tu żadne biadania i rady — więc i biadać i przestrzegać nie warto. W tego rodzaju rzutach i jasnowidzeniach spoczywa wartość i może nawet wielkość *Poganki*. Takiej siły artystycznego widzenia nie wykazał żaden z współczesnych Żm-j pisarzy w kraju, malujących ludzi powszednich, powszednie stosunki i rozmarzenie poetów w stosunku do świata. Ale próżnobyśmy upatrywali w powiązaniu wypadków *Poganki* choćby cień najłżejszej tęsknoty za mniej wysoką temperaturą uczuć. Entuzjastka nie zaprzeczyła ani swemu przekonaniu, ani naturze swej. Owszem, dobrze, że tak jest, mówi obrazami swemi. Wielkie szczęście (wprawdzie i wielkie nieszczęście) może być następstwem jedynie wielkiego ukochania. Benjamin stał się

bankrutem moralnym. Tak. Ale dlatego, że ukochał poganę. Więc obecnie pośrodku wszystkich osób i zdarzeń staje postać naczelną — Aspazja. Przeciwwstawienie pogaństwa chrześcijaństwu polega na zwykłej u romantyka antytezie: chwila a nieskończoność, materja i duch, egoizm i poczucie solidarności z ludźmi. Więc Aspazja jest poganą, nie żyje bowiem duchem i w nieskończoność swemi pożądaniami nie wybiega — jej dziedzią do chwila obecna, szła, użycie. Ale ta chwila, to nie rozkosz jedynie w najpospolitszem znaczeniu. Aspazja wszystko piękno natury i wyobraźni, wszelkie zdolności i wiedzę, wszelkie skarby ducha rozpoznaje, oceni i na własność zabierze dla przeżycia pięknego mgnienia, dla ustrojenia się, na użycie zupełnie osobisty jednej godziny. Więc wszystkie klejnoty marnotrawi, potem odrzuca. Zapewne, Aspazja nie jest portretem Pauliny Zbysz. Osoba rzeczywista nie była bochantką, jak stworzona przez wyobraźnię. Raczej mielibyśmy w bohaterce Poganek upostaciowanie t. zw. lwic.... Ale w tem, co jest z pewnego punktu widzenia rdzeniem tej istoty, bogato uposażonej, lecz z gruntu egoistycznej i uczuciowo chłodnej, goniącej jedynie za przelotnymi, nerwy łechcącymi wrażeniami — to wsiąkło w nią, jako osad gorzkiego doświadczenia Narcyzy w stosunku do niedawno tak bałwochwalczo uwielbionego ideału. Jeżeli zechcemy zdać sobie sprawę z założenia utworu, jako całości, musimy przyjść do wniosku, że zamyka się ona w treści samej, w garści faktów natury psychologiczno-społecznej, składających się na barwny, często fantastyczny świat Poganek. Jakie siły działają, jakie mogą działać w duchu człowieka? Jak się one krzyżują wzajemnie? Oto zadanie do rozwiązania.

Co do sposobu wykonania, możnaby uczynić zarzut np. ze względu na użycie efektów czaroksięsko-baladowych, albo ze względu na zatarcie granicy między życiem prawdziwym a bajką, zwłaszcza dotyczyłoby to całkiem fantastycznej kariery Benjamina — lecz uwagi takie objęłyby jedynie punkty podrzędne. „Poganka” właściwie nie jest powieścią psychologiczną w zwykłym znaczeniu, w którejby autorka winna była baczyć pilnie na warunki realnego prawdopodobieństwa w szczegółach powszechnego życia. To raczej poemat, w którym pewne usposobienia ludzkie niemal wyodrębniają się i olbrzymieją w kosmiczne potęgi. Poetka wprawia je w ruch, śledzi ich starcia się do najdalszych konsekwencji, dając im wolny lot, jakby nie istniały warunki rzeczowe, poniekąd kształtujące, kierujące i nadewszystko krępujące realne objawy ludzkich namiętności, charakterów i t. p. I naturalnie, że autorka musi stworzyć pewną przestrzeń własną, w której postaci z jej świata poruszają się mają. A realizm lub fantastyczność to już kwestja jedynie wyboru tych czy innych środków, i tylko w punkcie zetknięcia się tych dwu stron odczuć można pewne dysonansy. Wymagania prawdopodobieństwa dotyczą tu tylko konsekwencji rozwoju pewnych stanów

i dążności duszy ludzkiej i harmonji między różnemi ich elementami. Czytelnika pociąga sama oryginalność takiego traktowania; potęga objawów ducha ludzkiego i szereg misternie wyrzeźbionych postaci i scen, to życie bogate, bujne, urozmaicone, które autorka włożyła w swój twór, i wreszcie odbicie własnej duszy poetki, jej złożna cześć i podziw dla wszelkich ducha ludzkiego żywiołów. Żadnego tępićby nie chciała. Na jej wysoką miarę etyczną — Benjamin i Aspazja grzeszyli, z całego bowiem świata snuli rozkosz dla siebie, nie z siebie nie wysnuwając dla świata. Lecz miłość zdolna uświęcić człowieka i grzech przeobrazić w dobro. Poganka winna stać się duszą w chrześcijaństwie odrodzoną. Z dwu istot pięknych i doskonałych ma się zrodzić w przyszłości piękna i doskonała chwila. Psychologia Żmichowskiej ma tedy korzenie w nieskończoności i w nią ostatecznie wsiąka. A pomiędzy jednostką i społecznością istnieje zawsze stosunek. Nie zewnętrzny jednak. Barwę i znaczenie nadaje mu to, co samoistnie w głębinach istoty powstaje. Benjamin mówi o sobie, że uczyni, co mu każą, co uznają za jego obowiązek. Nawet da się ukrzyżować. Tylko — dodaje — o „bracia moi, choć skonom, nie zbawię... bo nie kocham was“. Zniszczono jego bogactwo duchowe, zniszczono samą zdolność kochania. I oto staje przed nami w pełni idealistyczny dogmat Gabryeli — entuzjastki: uczucie, jako najwyższa, jedyna potęga.... O sobie jednak nie mogła powtórzyć słów Benjamin: nie zbawię was, bo nie kocham... Jej nie zniszczył złowróżbny genjusz. Żdźbło trawy ukryło się pod śniegiem, owionęły je ciepłe powiewy wiosny, ogrzało słońce. Sam proces twórczości miał ożywe znaczenie<sup>1)</sup>.

W końcu r. 1845 spółka wydawnicza zaproponowała Żm-j uloženie systematycznego kursu nauk dla domowego nauczania. Propozycję tę przyjęła Żm. z zapalem, w znacznej bowiem mierze odpowiadała jej przekonaniom o potrzebie wychowania nowego pokolenia, któreby otrząsnęło się z grzechu odrętwienia, sobkowstwa, obojętności dla kraju. Praca zresztą zapewniała jej niezależność materialną. Często teraz odwiedza Warszawę, w latach właśnie 1846 — 8 odbywają się posiedzenia przy ogniu kominkowym w mieszkaniu Skimborowiczów; wreszcie Żm. przenosi się do Warszawy na stały pobyt (w końcu r. 1846). Pędzi życie bardzo ruchliwe, zbiera u siebie młodzież klas rzemieślniczych, odbywa pogadanki, czytuje książki. Echo tego znajdujemy w „Księdze pamiątek“, w której znaczna część akcji odbywa się w dworku rzemieślnika, w której spotykamy mgliste zresztą bardzo aluzje do wypadków 1831 r. W połowie 1846 skarży się, że nie może znaleźć ludzi

---

<sup>1)</sup> Rękopis był złożony do druku w maju 1914 roku. W r. 1916 w wydawnictwach Tow-a Nauk. Warsz. ukazało się studjum prof. M. Manna o Pogance Żmichowskiej, w którym autor rozwija problemat stosunku tematu powieści i jej kręcaji do osobistego dramatu Żmichowskiej.

nie z wiary, lecz z żelaza ochrzczonych, choć wie, że są, i ze smutkiem przypuszcza, „że jako żyła w szlacheckich przywilejach“, tak może nie będzie danem jej umrzeć inaczej, tylko szlachecką śmiercią (t. j. z rąk ludu). Zapewne grupa Przegl. Nauk. po smutnej przestrodze z r. 1843 odgradzała się od działań spiskowych. Nie mogąc inaczej, pragnie przynajmniej na jednostki wydać to, co ma w duszy dobrego, i wierzy w użyteczność swej pracy. Przyglądając się stosunkom, ze smutkiem widzi, że nad szlachtą zawisł wyrok przeznaczenia, ale tę konieczność przyjmuje, podzielać przekonania Prawdowskiego. Widocznie wkońcu udało się jej odszukać ludzi z żelaza, w tym czasie bowiem zostaje „konspiratorką“ (według terminologii, użytej w wierszu „Dziedzictwo Eryka). Przez Bib. Moraczewską utrzymuje stosunki z Poznańskiem i emigracją.

Mimo to jednak praca nad kursem posuwa się powoli i w Przegl. N. umieszcza Gabryela artykuły, pomiędzy nimi piękną i żywą recenzję o Spekulancie Korzeniowskiego. I pole twórczości wreszcie nie leży odłogiem. Powstaje wtedy „Księga pamiętek“, powieść na większe obliczona rozmiary, niż Poganka. Założenie jest to samo, co w poprzednim dziele: znaczenie artyzmu w stosunku do jednostki i społeczeństwa, prawda uczucia, jako nakaz w postępowaniu jednostki zarówno względem siebie samej, jak i innych, obowiązek społeczny. Tylko schodzi tu poetka z hymnu do prostej powieści, mimo to nie zawsze uwzględniając warunki pracy życiowej. Rzecz jest wykonana bardzo po literacku, trzeźwiej, rozprawy zagłuszają mowę obrazów. Lecz i tu mamy bardzo subtelną analizę, kilka postaci, naczelnie zaś wśród nich miejsce zajmuje główna bohaterka Marja Regina. Jest to znów kreacja pokrewna Aspazji, mimo, że na pozór niewiele jest wspólnego między fantastyczną królową czarodziejskiego zamku i czarodziejskich uczt i szaleństw, a skromną panią mieszczańskiego saloniku warszawskiego, dysputującą, filozofującą i bawiącą się w artyzm. Ale też wskutek tego może chłodna i nigdy żadnej ustawy nie przekraczająca, choć tak niezależna w swych pojęciach. Marja Regina bliższą jest swego pierwowzoru, niż Aspazja. I znów o portretowaniu ścisłem być nie może. Charakter analizy psychologicznej jest ten sam, co zwykle, jest ona oparta o jakąś zasadę ogólną. Szczegóły zawsze są objawami jakiejś prawdy, w znaczeniu raczej etycznym, niż przyrodniczym. Zboczenia są rzeczą przypadkową, i chodzi o to, by zbadać przyczyny i drogi tych zboczeń. Konkretnie objawy wskutek tego tracą same przez się swą wartość, są raczej ilustracjami, niżeli właściwą, niezależną treścią fantazji i uwagi. Pragnąc przeprowadzić jakąś tezę, ujmując ją nadewszystko w sformułowaniach teoretycznych, korzystając stale z formy pogawędek i sporów między zgromadzonymi, autorka nieraz rozdaje im role, każe poruszać coraz to inne

punkty zagadnienia, niezawsze zważając na to, czy ten lub ów aforyzm ścisłe przypada do osoby, do sytuacji. Chociaż znówu znać, że pewne postacie nawiązują rysami żywych osób; a kwestje same rodzą się ze spłotu życiowych wydarzeń. Punktem wyjścia jest zawsze coś przeżytego, niekiedy gorąco bardzo, ale nie coś tylko przemyślanego. Naogół biorąc, Księga pamiątek zawiera ciekawe karty, jest mimo to uzupełnieniem, rozświetleniem, ponownym rozpatrzeniem zagadnień i przedmiotów, które zrodziły Pogankę. Życie nie nadbiegło jeszcze falą, rzucającą pod stopy Gabryeli nowe zupełnie, nieznane jej jeszcze bogactwa.... Owszem, fala nadbiegła, ale przewalając się przez jej głowę, na długo uniemożliwiła jej pracę twórczą na szerszą skalę.

W sierpniu czy wrześniu 1848 Skimborowicz z żoną zostali aresztowani. Żm. spędza przeważnie czas u sióstr w Rzeczyce, pracując nad dalszemi częściami kursu (Geografją), ale zagląda i do Warszawy, nie ustając w swych zabiegach. 25 października 1849 roku przyszła kolej i na nią. Wśród uwięzionych wcześniej znajdowali się i przewodnicy spisku; niektórzy z nich, między nimi imiennik Żm-j Nareyz Tehórzewski, nie umieli zachować tajemnicy, i to stać się miało powodem aresztowania Narezy. Ze sprawą tą kojarzy się inna — przejęta została dawna (z r. 1844) korespondencja Zbyszewskiej ze Żm. i oto obie zostały osadzone w klasztorze Karmelitanek w Lublinie, może z braku miejsca w Cytadeli Warszawskiej. Lecz Zbyszewską, za którą wstawiał się lubelski marszałek szlachty Jezierski, uwolniono już w grudniu tegoż 1849 r., Ż. zaś przebyła w zamknięciu blisko dwa i pół lata; na prośbę rodziny, gdy zdrowi jej mocno szwankować zaczęło, pozwolono zamieszkać (d. 9 lut. 1852 r.) przy siostrze Hortensji Duninowej w Lublinie. Nowe panowanie przyniosło i Żm. ulgi. W maju 1855 r. mogła opuścić Lublin i przenieść się do Warszawy. Czas próby przebyła z wielką godnością, uważając, że przeznaczenie włożyło na nią obowiązek przestawicielstwa drogiej sprawy. W ciągu długich samotnych miesięcy w głębiach jej umysłu i sumienia odbywała się praca, doprowadzająca do znacznych przeobrażeń dotychczasowej jej wiary narodowej i filozoficznej. Przystała być demokratką, jak mówi, t. j. przyszła do przeświadczenia o bezowocności działań spiskowych według modły Kamińskiego. Odrodził się pesymizm lat młodzieńczych. Dochodziły do jej celi wieści o zachowaniu się społeczeństwa, nie umiającego otrząsnąć się z apatji moralnej i szczęśliwego nawet przez ten swój stan. Jego niemoc i bierność sięgały tych granic, w których zanikać poczyna odporność i godność nawet. Z drugiej strony stanęła najwyraźniej przed jej oczyma nikłość wysiłków nielicznej garstki energiczniejszych i szlachetniejszych jednostek wobec bezwładnej masy narodu. Sposób działania i naiwność zabiegów dosadnie scharakteryzuje później we wspomnianym

liście do Elżanowskiego. Wymarzony, a zdawało się jej w czasach, gdy sama była konspiratorką-demokratką, — bliski cel odrodzenia narodu i społeczeństwa, oddalać się począł, ledwie nie zniknął z oczu. W gorączkowym poszukiwaniu wyjścia moralnego oparcia dostarczyły jej nowe, mistyczne pojęcia o stosunku Boga do ludzkości. W zwykłym biegu rzeczy według praw mechanicznych przy czyny i następstwa, garstka świętych nie przeważały w najdalszej nawet przyszłości i wielkiej ciżby złych i niezmiernie masy istot bezwładnych. Lecz poza mechanizmem zależnych od siebie warunków istnieje siła wszechogarniająca i twórcza — miłość. Bóg miłuje ludzi i jest nawzajem przez nich kochany, i to jest łącznikiem między Bóstwem a ludzkością. Bóg prowadzi ludzkość do celów jej przeznaczonych, i ciąglem dodatniem działaniem naturę ducha (ludzkiego) musi prostować i podnosić ku sobie. Idealne zatem cele stają się rzeczywistością czynną, chociaż wcielenie ich widziane jest jeszcze w dalekiej mgle. Tak Żm., jak mówi, tracąc Polskę na ziemi, w Bogu ją odnajduje, to staje się dla Gabryeli pewnością i objawieniem. System ten wymagał uzupełnienia w kilku kierunkach. Trzeba było zrozumieć i wierzyć, że Polska, jakkolwiek w tak smutnej ukazująca się moralnej postaci, jest przecież niezbędną w ogólnej harmonji świata; trzeba było zdobyć podstawę, która dostarczyłaby pewności, iż wysiłki indywidualne w ogólnej sumie nie są stracone, że przez nie chociaż wolno, chociaż w szeregu wielu pokoleń, staje się jednak woła Boża na ziemi. I wreszcie należało znaleźć wyjaśnienie, czemu prace dnia dzisiejszego nie wydają widomego plonu. Co do pierwszego zagadnienia, znajduje Żm. rozwiązanie w osnowie utworu „Głos pański w więzieniu”. Miłość jest tą potęgą, co świat odkupi, a ziarna z miłości w wybranej ziemi swojej Pan przechowuje.... Dlatego wypełnit z niej wszelkie korzenie, zostawiając jeno cierpienia i smutki. Z posiewu zaś miłości wyrośnie cnota. W innych krajach wojują, piszą, myślą przędą. Lecz jeśli Polskę stracą, to gdzież kochać będą? W innych krajach dostatek ksiąg, bistoru, złota. Ale dla innych krajów skąd weźmie się cnota? Nowa Polska musi do spiechlerza ludzkości „wydać swoje żniwa”. Jeśli taka pewność istnieje, to już do zwątpienia niema powodu, choć się serce zakrwawi wskutek ciiosow spadających, choć ból sciska na widok małości współczesnych. Smutek staje się obecnie cechą szlachectwa jednostek, oznaką, że w nich iskry ducha nie zamierają, owszem przekazane będą przyszłości, że jednostki te nie dają swej wewnętrznej zgody na rzeczywistość. I wreszcie najbardziej bezpośredni związek czynów przeszłości z dniem dzisiejszym, wpływ takiego czy innego postępowania na przyszłość, rzuca nieraz światło, na błędy i winy i słabość pokolenia żyjącego, jak znnowa staje się podatęty do wysilen, by nowe skarby ducha, czynów wypracować i jutro je przekazać. Żm. przyjmując część systemu Towianczyków, może

raczej „Syna cieniów” i „Psalmu wiary”, t. j. przeswiadczenie o ponownem wcielaniu się dusz, niegdyś żyjących na ziemi; kojarzy się z tem wiara w konieczność pokuty za winy w dawnym życiu popelnione i w stopniowe doskonalenie się istot. Zaznaczyć tylko trzeba, że i upadek i wznoszenie się odbywa się zawsze przez winy i zasługi społeczne, przez ten czy inny stosunek czynny do bliźnich do narodu. Wiara taka miała dla Żm. moc krzepiącą. Dobro uczynione nie ginie (a znowu nie ginie dla społeczeństwa, jeśli ono może mieć doskonalszych członków i doskonalsze sługi). Tak może odbywać się ciągle dodatnie oddziaływanie Boga na ducha ludzkiego. W późniejszym swym utworze „Stary dwór w Świerszczowej” Żm. przedstawiła wzniesienie się potomków na wyższy poziom, a zarazem pokutę za winy, w przeszłym życiu popelnione.

W taki oto sposób przestała być Żm. demokratką w specjalnem ówczesnem rozumieniu, straciwszy wiarę w dawne, konspiratorskie środki, i odsuwając w dalszą przyszłość święty cel odrodzenia ojezyny. Nie było to przelotnym nastrojem. Gdy się zbliżały wypadki 1863 r., brała czynny w nich udział, o ile zmierzwały do wytworzenia nowych warunków życia na podstawie pracy i dążeń całego narodu, ale nie dała się porwać ogólnemu skrajniejszemu prądowi i zgrupowała wokoło siebie ludzi, zgodnie z nią myślących. Co do mistycyzmu religijnego Żm-j zaznaczyć należy, że zawsze odwracała się od poglądów, wskazujących w zaświatach pustkę. Teraz jednak pojęciowy stosunek do Bóstwa przekształca się w uczuciowy. Zbliżyć się Żm. usiłuje do form dogmatycznych. Mimo to jest widoczne, że zwrot ten posiada źródło społeczne i wskutek tego zachowuje odpowiednią barwę. Jak dla Polski stała się demokratką, tak też przez Polskę droga jej szła do Boga. Po wyjściu z więzienia, zniewolona samotnością, przestaje w Lublinie przeważnie z księżmi, ale dlatego, że wśród nich odnajduje inteligencję i dopatruje się pewnej siły społecznej. Chwali ich za dobre kazania, oczywiście jeśli nie mają charakteru wyłącznie dogmatycznego. O ile zaś dostrzeże w duchowieństwie obojętność na sprawy narodowe i ogólnie ludzkie, uciechę z reakcji, wyrażającej się we wzroście pobożności dewocyjnej i wierności wskazaniam duchownych pasterzy, natychmiast budzi się w niej odruch potępienia. Sama w tym czasie pisze „Wstęp do książki z modlitwami” (1854), w dziesięć lat później rodzaj homilji do słów „święć się imię twoje”, podkładając pod słowa modlitwy pojęcia: czynną miłość, za cel wskazując: Królestwo Boże na ziemi. „Bo Imię Boże to nie Bóg sam w Sobie, to nie Bóg w Niebie, tylko Bóg w pojęciach ludzkości i w sumieniu człowieka”. Nadewszystko pozostaje Żm. dawną entuzjastką, która sobie kłamu zadać nie może. Dla miłości W. Zabłockiej nie daje się nakłonić do spełnienia praktyk kościelnych, nie odczuwając w sobie żywego drgnienia

uczucia. Rogata zaś jej dusza każe zacięte walki staczać z W. Zabłocką, a trwożyć się o najdroższą Annę Skimborowiczową, właśnie z powodu ich zasady wiary ślepej, nierozumującej.

W więzieniu, w warunkach ciężkich, gdyż pozbawiona materiałów piśmiennych, zdołała Żm. skreślić parę utworów: wspomniany „Głos Pański“, „Do moich dziewczynek“ (w jesieni 1851), i być może „Wstępny obrazek“, będący hołdem, złożonym przez autorkę najbardziej kochanym lub najbardziej cenionym entuzjastom i entuzjastkóm, skupiając je w jedno grono w salonie Emilji (Skimborowiczowej), jakkolwiek mówi tu o osobach z różnych czasów i miejsc. Nie mówi o sobie nic; z listów wiemy, iż zadanie swe życiowe uważała za ukończone, przyjmując to z rezygnacją. Pokrzepieniem były dla niej listy od przyjaciół i rodziny, dostarczane przez pełną poświęcenia Teklę Dębską.

Mimo, że pobyt w więzieniu działał na zdrowie Ż-j zabójczo, niemniej pod względem moralnym lubelski okres był omal cięższym od poprzedniego. W celi klasztornej Żm. wyidealizowała Polskę, jeżeli nie w ludziach sobie współczesnych, to przynajmniej w jej istocie, w jej losie i przeznaczeniu. W Lublinie, wyrwana z dawnego koła sere gorących, musiała bezpośrednio stanąć wobec ówczesnej rzeczywistości polskiej. Obojętność na położenie narodu, połączona z brakiem godności, apatja umysłowa i zamknięcie się w kole powszednich interesów, małomiasteczkowa atmosfera wreszcie otoczyły ją zewsząd. Śmielsze słowo w ustach Żm. dziwiło, krępowało, gorszyło i odstraszało, znajomości z stosunków z nią się lękano, bo były niebezpieczne politycznie, a zresztą cały ton moralny, uczuciowy i umysłowy entuzjastki, znany bodaj z głuchej wieści, wywoływał obojętną lub lekliwą niechęć. Choc mileżała, podejrzewano, że surowo sądzi, więc żywno do niej rodzaj urazy. Nie widziała poprawy również w stosunkach między szlachtą i chłopami. W czasach głodu (1854) temu i owemu stanęła w myśli groza 1846 r., i wtedy wymownie radzili, jakby złemu zapobiec, przynając jedynie sobie wyjątkowość w postępowaniu. Dziw — dodaje z sarkazmem Żm. — gdzie się ci nie wyjątkowi podziwiają! Możemy z tego uważać, że zerwanie Żm j z demokratyzmem ma to swoiste znaczenie, które wyżej określimy, gdyż pozatem ani uczuciowy jej stosunek, ani pojęciowy do sprawy włoskiej nie zmienia się wcale. Tak tedy stan moralny społeczeństwa wydał się Gabrieli rozpaczliwym. Osobiscie czuła się obcą otoczeniu i zupełnie niemal osamotnioną; wprawdzie miała bliską istotę, która się do niej garnęła, Izę Bierzyńską, lecz tę rodzicę pod wszelkimi pozorami wyprawiali w świat, by jak najmniej z wyklętą Narcyzą się „wdawała“. Nie miała Żm wolności ruchu, korespondencja jej nawet odbywała się niemal w warunkach więziennych, bo list jak i znajomość mogła narazie Feliksa Duzina (szwagra), który wziął ją na swą odpowiedzialność, a zdaje się



obaw i przestróg nie szczędzono Narcezie, może w formie przyjaznej. Bądź co bądź ta zależność ciążyła jej bardzo. Nie miała Żm. pola po pracy, w którejby swoją mimo wszystko nie wyczerpaną energią mogła zużytkować. Oddała się nauczaniu dzieci (dorastające panienki lękano się jej oddać w opiekę), lecz praca ta, wymagająca wielkich wysiłków fizycznych, pochłaniająca wobec sumiennosci nauczycielki cały dzień, nieraz o głodzie, owoców zadawających nie wydawała. Nie miała w szczupłym domu siostry własnego kąpaka, nie miała potrzebnej ciszy. Tygodniami list jeden musiała pisać, a zdrowie nie dopisywało, nie mogła przesiadywać wieczorami... W takich warunkach, w stanie ogólnego przygnębienia nie było co myśleć o pracy literackiej. Tłumaczy zresztą przyjaciółkom, gdy do pracy takiej nakłaniają, że oprócz skarg na nieby się jej pióro zdobyć nie mogło, a tego właśnie nie chce. Tęsknota jednak do uniesień twórczych żyje w piersi. Gdy raz ktoś wspomniał jej o pisaniu, o mało w głos się nie rozplakała. Znamienna jest okoliczność, że gdy zaproponowano jej (w lecie 1854) dokonanie przerwanej przez zaszłe wypadki Geografji, po raz pierwszy wydało się Żm-j, że widzi blask jakiejś zorzy, chociaż otwarła się przed nią możliwość pracy erudycyjnej tylko, nie twórczej. Z czasów tych pochodzi tylko wspomniany „Wstęp do książki z modlitwami” i „Modlitwa do św. Cecylii”.

Gorzkie doświadczenie lubelskie odbija się na charakterze utworów, pisanych w Warszawie pomiędzy 1855 a 1861, w którym wychodzi zbiorowe wydanie pism autorki. Jednak stopniowo widnokrąg się rozjaśnia. Miała przecież już znowu przy sobie dawne, zaufane, choć uszczuplone kółko osób, co prawda moeno przez życie poteranych. Już sama możliwość pracy twórczej, której oddaje się teraz z gorączkowym zapalem, wpływa dodatnio na usposobienie Narcezy. Nowe panowanie sprowadza pewne ulgi, coraz częściej powracają z Syberji zesłańcy. Daje się odczuwać ogólne ożywienie, atmosfera moralna zaczyna się nieco oczyszczać. Wszystko to podnieca i prowadzi do równowagi duchowej, chociaż już nie jest obecnie Gabryela skłonna do entuzjazmu, raczej odpornie i nieufnie zachowuje się tak względem ludzi, jak i perspektyw. Nie dopisuje tylko zdrowie, gruntownie przez więzienie podkopane. Przyjaciółki przemocą wyprawiają Żm. do Karlsbadu (1857). Tam zawiązując bliskie stosunki z kilku osobami z Galicji, przekonując się, że w tej dzielnicy istnieją objawy odrodzenia ducha narodu. Otucha rośnie. W czasie tej wycieczki i następnej (1859) nawiązuje stosunki z emigracją, zawadza Żm. i o Poznańskie, stając się w pewnej mierze jak dawniej łącznikiem między wszystkimi dzielnicami, a zamierza rozciągnąć wpływy i na Ukrainę. W Warszawie otacza ją gromada siostrzeńców z wyboru... Ziarna, zasiewane przez entuzjastów, wschodzą. Te przyczyły ogólne, jak i osobiste sprawiły, że z piersi Żm-j wyrwa się okrzyk: „przed

wieczorem słońce się obejrzało i świeci, choć zachodzi". Zwłaszcza piękny był czas t. zw. Miodogórza (od jesieni 1858 r. do wiosny 1863 r.). Zajmowała wtedy Żm. (wraz z Julją Bąkowską) na Miodowej parę pokoików, urządzonych i wypięknionych przez młode dłonie „siostrzeńców”. Doznawała wówczas Narcyza dowodów szerszego uznania. W wigilję Bożego Narodzenia 1861 r. kobiety uczyły Gabryelę, ofiarując jej krzyż srebrny. Nie zadawałając się pomocą Julji Bąkowskiej na jej pensyjce, w r. 1862 urządza kurs „pogadank pedagogicznych”, które niezatarte wspomnienie pozostawiły w pamięci słuchaczek.

W r. 1861 ukazuje się czterotomowy zbiór (niezupełny jednak) pism Żm-j. Obok utworów, już wyżej omówionych, mieszczą się w nim i te, które powstały w ciągu ostatnich pięciu lat (od r. 1855), a drukowane były w różnych wydawnictwach warszawskich. Jest to „List niewiadomo czyj i niewiadomo do kogo”, „Kwestja podrzędna”, „Adeodat” i „Niektóre pisma bezimiennej autorki” t. j. „Pierwsze i Drugie zapytanie”, „Stary Dwór w Świerszczowej” i „Biała róża”. Utwory te spokrewnia z dawnymi formą, pogadank i rozpraw; zachodzi w tym względzie jednak ta niekorzystna zmiana, że rozprawy, wypierające prawie dialog, przysłaniają niemal zupełnie element opowiadania. Dodatnio pod tym względem wyróżnia się tylko „Stary dwór”, w mniejszej mierze „Adeodat”. Zaznaczone zmiany pozostają w związku z przewagą dydaktyzmu, a ten znowu wynika z psychicznej konieczności rozprawienia się z pewnemi cechami usposobień jednostkowych, posiadających jednak źródło społeczne i pociągających niepożądane następstwa, również społecznej natury. Tak np. „Adeodat” jest satyrą na obłudę, używającą świętych hasel za okrywę wewnętrznej nicości lub samolubstwa. „Biała Róża” jest wcieleniem specjalnej choroby — bezpłodnego rozmarzenia, rzekomo uszlachetniającego swym kierunkiem jednostkę, lecz rozwijającego się równoległe do życiowej bierności i niemocy. Talent autorki zachował swą siłę w tym stopniu, że mimo nużącej formy potrafiła stworzyć bardzo oryginalny typ istoty, żyjącej podwójnem życiem. W stosunku do rzeczywistości, jak spostrzegamy, przeważa nastrój pesymistyczny, jako skutek przeżyte więziennych i doświadczeń okresu lubelskiego. Gdy w „Liscie” nakreśliła kilka postaci idealnych, na zakończenie rzuciła z bolesnym sarkazmem pytanie „Ale, ze śladu osób w nich wymienionych nigdzie nie spotykam, to mi jest coraz przykrojszem zagadnieniem: Gdzie żyje owa plejada szlachetnych i wzajemnie kochających się towarzyszy?... Czy żyją? Czy są tacy, jakimi ich opisano? Czy też mnie dane będzie na własne oczy któregośkolwiek zobaczyć kiedy?”... Jak łatwą jest miłość bliźniego na „puszczy i na ementalrzu”, woła z goryczą i bólem Adeodat po próżnem poszukiwaniu człowieka.... Wiemy jednak, że metawem życzenie Narcyzy spotkania gromadki z Listu spełnić się miało.

Pod innymi również względami obecne utwory Ż-j są przeniknięte echemi z doby po r. 1849. Autorka zamyka w nie nowe swe poglądy na znaczenie jednostkowego żywota w szeregu pokoleń, a powracając do interesujących ją wciąż, jak w początku zawodu pisarskiego, zagadnień uczucia i twórczości, inaczej ich istotę i rolę w życiu oświecla. Gdy każe wierzyć np. że uczucie miłości musi uszlachetniać jednostkę, gdyż zmusza ją do usprawiedliwienia w myślach, uczuciach, czynach wysokiego wyobrażenia o sobie kochających, oczywistą jest rzeczą, że entuzjastka nie schodzi tu z dawnego swego stanowiska. Widoczne jest przecież także mocniejsze wyidealizowanie pewnych dążeń natury ludzkiej, wyczuć się daje niemal bolesne skupienie i napięcie uczucia, trzymającego się wybranych osób całą siłą woli, by się ocalić od wzbierających wokolo, błotnistych fal życia; z drugiej strony widzimy, że etyczne względy osobistej doskonałości zaczynają grać rolę decydującą. Mimo, że miarą doskonałości wciąż pozostanie użyteczność (dla bliźnich, społeczeństwa, narodu, przyszłości), oddziaływa to niekorzystnie na formę literacką, a odbija się również i na rozwiązaniu zagadnienia sztuki, problemu, snąc będnącego osobistą autorki sprawą. Poezja była w zaraniu działalności snem sześcicia dla tych, co do działania nie byli stworzeni, lub dla których pole czynu było niedostępne; później twórczość stała się potęgą, często groźną, kruszącą wszelkie zewnętrzne tamy, w sobie samej jedynie znajdującą swe prawo. Obecne życie artysty i pomysły jego autorka poddaje nakazom prawdy wieczystej, odrzucając dawniejszy ideał bezwzględny żywiołowej swobody w życiu, twórczości. Pojęcie doskonalenia się wewnętrznego połączone jest z wiarą Gabryeli w odradzanie się dusz. Lucjan („List“) przed śmiercią wspomina najdroższych i najszlachetniejszych ludzi, takie bowiem skarby, takie uczucia chce wziąć z sobą na dalszą wędrówkę. Z innej strony zagadnienie to, jak wspominaliśmy, oświecone jest w „Starym dworze“.

O stanowisku Ż-mj wobec rozwijających się wypadków 1860 do 1864 już wspominaliśmy. Nie pozostała bierną. Ideałem jej była jasna i czynna świadomość narodowa, coś w rodzaju pracy organicznej, ale posiadającej zakres szerszy i oparty o rekonjmie polityczne, które zdobywać należało. Odrodziła się w niej wiara w żywą siłę narodu, energicznie jednak opierała się prądom, które pchały naród do ruchu zbrojnego. Skądinąd z równą zdaje się nieufnością zachowała się względem Wielopolskiego, jak i A. Zamoyskiego. Naraziła się szlachcie gorąco wypowiedaniem przekonaniem, że tylko przez uwłaszczenie chłopów można stworzyć podstawy rozwoju narodu jego.

Cokolwiek mógł żywić względem Ż-mj ten czy ów przedstawiciel Tow. Rolniczego, nie dotykało to jej osobiście. Inaczej było w stosunkach do współwyznawców, gdy drogi zaczęły się rozchodzić.

Zerwała się długoletnia przyjaźń z entuzjastkami poznańskimi — Bibjaną Moraczewską i Teklą Dobrzyńską. Nie mogąc pogodzić się z brakiem rewolucyjności Narcezy, uskarżały się na jej despotyzm w starciach, wynikających z powodu różnic stanowiska, jak się zdaje jednak, obie w gwałtowności temperamentu Żm-j' nie ustępowały — zarzucały jej nachylenie się do towianizmu, jak ona znów Moraczewskiej zakrój heglowski. Stosunki zerwały się w połowie roku 1861. Moraczewska nie chciała pośredniczyć w działalności, z którą sympatyzować nie mogła. Zerwanie to mniej może odezła Żm., wirem wypadków porwana, otoczona współczującą młodzieżą, mając przy boku Jurgensa, najbliższego i najserdeczniejszego z tych czasów przyjaciela, Ale w połowie r. 1862 i z tej strony doznaje zawodu. Jurgens dał się porwać przez ruch, odwracając się nagle od najbliższych dotychczas znajomych i przyjaciół. Być może tu należy upatrywać przyczyn gwałtownego wstrząśnienia, doznanego przez Ż-chą. „Wszystko mi się potłukło, pozrywało, popsulo”, wyznaje. Poszukuje bezwzględnej samotności — nie chce widzieć ani „kochanych ani niekochanych”. Stan goryczy, jakby osłupienia, pustki zupełnej wewnętrznej, jakiego doznawała, można jedynie porównać z przejściem młodzieńczem, kiedy sprawczynią zawodu stała się Paulina Zbyszewska. Lecz wówczas było rozżalenie, jakiś element czynny, który znalazł ujście w pisaniu, teraz jedynie pustka i bezwzględna potrzeba ciszy i oddalenia, które znajduje u brata Hjacynta w Mieni. W końcu roku 1862 powołała ją znowu do Warszawy perspektywa pracy owoonej: mianowano ją nauczycielką geografji w Instytucie panien. Ale, że wykład oparła na geografji fizycznej, władza uznała, że uczy rzeczy niepotrzebnych. Wówczas (kwiecień lub maj 1863 r.) usuwa się na wieś do rodziny, przebywając w Olszowej, Pszczonowie, najdłużej u siostrzenicy Grodzieńskiej w Dębowej górze (do r. 1874), zmuszona patrzeć na powódź łez i krwi, jaka się rozlała po kraju. W pierwszych latach przygnębienie wyraża się w chorobliwie rozwiniętej potrzebie ciszy. By stumić ból, by nie myśleć, jak się wyraża, lekturą przesłania sobie rzeczywistość. Stopniowo jednak czuje się wciągnięta w koło zagadnień, jakie niósł z sobą nowy prąd umysłowy, zaznajomienia się z wynikami nauk przyrodniczych, zwłaszcza z ich metodą, z przyrodniczym i mechanicznym na świat poglądem. Jej umysł zachowuje swą niezależność, ogarnia szerokie widnokregi, na podstawie nowego materiału zapomocą nowych metod szuka rozwiązania wciąż tych samych społecznych, narodowych, etycznych zagadnień. „Pojęcie co do bliźniego ciśniejsze jest lub szersze, obejmuje rodzinę lub pokolenie, naród lub całe człowieczeństwo — ale grunt stosunku z Uziemem wszędzie ten sam... Każda nowa zdobycz na polu umiejętności raz po raz go zatwierdza. Darwinowa walka o byt w niczem mu się nie sprzeciwia — owszem warunki jego objasnia” (Listy P, 552.) Ideal jej

pozostając więc wciąż humanistycznym. Przechylając się na stronę t. zw. pozytywizmu, wymownie przecież bierze w obronę entuzjazm, który pozostaje potęgą, ma się jeno odłąd posługiwać pozytywnemi narzędziami. W r. 1867 siostrzenice złożyły się na podróż Żm-j do Paryża na wystawę powszechną. Chciała jednem spojrzeniem ogarnąć, jakie owoce wydaje duch czasu, rozwijający z siebie postęp materialny. Tak tedy ze Żm. stajemy u progu nowej epoki.

Działalność Zmichowskiej zamyka się w tym kilkunastoletnim okresie w granicach szerszych, niż dawniej. Uczy drobne dzieci siostrzenie, dzieci swoich umiłowanych dziewczynek niegdyś, którym rzuciła serdeczną zachętę i przestrożę z więzienia; na wezwanie młodych matek i nauczycielek przesyła rady, rozwija programy systematycznej nauki domowej. O politycznej działalności już teraz nie marzy. Co do pisarskiej — nie mogła o tej myśleć w pierwszych chwilach, kiedy cały jej świat zapadł w gruzy. Przeboleła tyle strat osobistych, zwłaszcza śmierć Jurgensa; oddalenie rozluźnia węzły przyjaźni z wielu bliskimi osobami, czego echa dają się słyszeć w ustępach „Kasi i Marynki“. Brakło jej też zapewne pożądanego spokoju, którego niezawsze dostarcza cicha wieś z hałasującą dzieciarnią... Listy niekiedy bardzo obszerne, traktujące często szeroko najrozmaitsze kwestje, które czas nasuwał, nie mogły zastąpić bezpośredniego obcowania z osobami, stojącymi na odpowiednim poziomie. Dziwnie pomyśleć, że Żm., którą grupa najlepszych w swoim czasie na swoim czelu postawiła, że Gabryela, która stanęła w pierwszych szeregach literatury, przez lat kilkanaście z powodu braku środków materialnych, choć gorąco i nagłąco przez wielbicieli wzywana, nie może przebywać w środowisku ruchu umysłowego. Pod koniec tego okresu dopiero zarobkowa praca nad przekładem dwu tomów „Historji Anglii“ Macaulaya pozwala Żm-j przenieść się do Warszawy (we wrześniu 1874). Z tych wszystkich powodów powieści i prace, rozpoczęte od r. 1863, — czego były „całe stopy“ — pozostały w stanie szkiców zaledwie. Cokolwiek bardziej posunięta została „Kasia i Marynka“, zawierająca piękne i ciekawe kartki. W Warszawie powstaje praca o przyrodniku Strzeleckim i szkic powieści pod tytułem „Czy to powieść“. Praca ta, jak i szkic o Strzeleckim, miała charakter historji minionej epoki w biografjach osób. Nadto zajęta była Żm. redakcją pism Hofmanowej, dając w 8-m tomie wstęp do pism dydaktycznych autorki „Pamiętki po dobrej matce“. Ale hałas miejski nie sprzyjał twórczości, nie sprzyjała i ta okoliczność, że ręka odmawiać zaczęła posłuszeństwa. Organizm się rozpręgał, chociaż umysł pozostał czynny do ostatniej chwili. Smutny był zachód życia, samotną czuła się Gabryela, przeżywszy najukochańszych: Wincentę, Kazimierę, Annę. Pozostała jej przy boku Julja Baranowska, dawniej Bąkowska. D. 24 gr. 1876 zęgnąła się z gromadką płaczących czcicieli i z rodziną, nazajutrz

25 grudnia zakończyła życie, po brzegi wypełnione troską, czynem, walką, myślą i cierpieniem. Zamknięty został romantyczny okres naszego rozwoju duchowego.

Gdybyśmy, chcąc wydać sąd o organizacji duchowej Gabrieli, brali wymiar jedynie z zewnętrznych oznak jej dzieł, gdybyśmy pamiętali tylko o nieskończonych rozprawach, monologach, komentarzach, rozmyślaniach, często nużących, zwłaszcza w dziełach późniejszych, może przyszlibyśmy do wniosku, że mamy przed sobą naturę zimną, zrównoważoną, pozbawioną gorętszych elementów, wyłącznie refleksyjną, skłoną do retoryki, a posiadającą mocne zacięcie moralizatorskie. I już wówczas pozostałaby do rozstrzygnięcia sprawa większej lub mniejszej siły argumentacji, głębokości i oryginalności wniosków, wartości morału. Gdy jednak wejrzymy w to źródło, z którego wypływa cała twórczość Gabrieli i cała wogóle jej działalność, jeżeli uwzględnimy pobudki dzieł, ustępów, kartek, rozważymy, ile wsiąkło treści z przeżytych chwil w sytuacje, sceny, postaci, jeżeli zwłaszcza wpatrzymy się pilnie w pomnik, który mimowolnie wzniosła sobie Żm. w listach, odsłoni się nieco wtedy dopiero tajemnica tej duszy bogatej i złożonej, a zniewalającej ku sobie nieprzeparcie swą czystością i wzniosłością. Całą jej istotę wypełniały i wiecznie w głębi się żarzyły ogień ukochania ideału, wiara w dostojęństwo człowieka, miłość i tkliwe współczucie dla cierpiących, wstręt i pogarda dla wszystkiego, co w sereu ludzkim było małością i złem, nienawiść i oburzenie na to, co było źródłem zła, niesprawiedliwości, krzywdy. Osobiście dla Żm. atmosfera serdecznych stosunków tak była niezbędną, że w niej serece jej rozrastało radością, biło przyspieszonym tętnem; tej pozbawione, kureczyło się w sobie, chłód je obejmował. Uczucia jej były mocne, temperament sprawiał, że objawiały się nieraz gwałtownie i namiętnie, były one wreszcie trwałe. Stąd, chociaż w charakterze Narezy była wielka impulsywność, chociaż usposobienie jej nieraz wydać się mogło fantastycznym i kapryśnym, oddawała się bowiem wrażeniom chwili z zupełną bezpośredniością, a przejścia od uniesień, od wybuchów radości do stanu smutku i przygnębienia były dość częste i nagłe, mimo to wszystko w jej życiu duchowym, w jej przywiązaniach osobistych, jak w ukochaniu ideałów była ciągłość, stałość i potęga, a z tych znowu rodził się wielki hart moralny, kryształowa czystość i wielka dostojność duszy. Tkliwość Żm-j, ta tkliwość, która kazała żalować zerwanego kwiatu (Ludwinka w „Pogance”), nie stała się lżawym i łatwym sentymentalizmem, wrażliwość — zmianą chwytliwych, przelotnych, niegłębokich nastrojów. Ojczyzna zaś, ideał etyczny, rzeczy niezmienne, były tak głęboko i osobiście przez Narezę przeżyte, że decydowały o stosunkach do osób. Kolidują między temi dwoma warstwami uczucie głęboko wstrząsała całą jej moralną istotę. Uczucie, jako próbiez doskonałości jednostki

i wartości jej tworów, było nie tylko dogmatem pojęciowym Gabryeli, lecz również i miarą naturalną, w głębinach duszy złożoną. Uczucie staje się podłożem systematów myślowych, ono też stanowi dla Gabryeli nakaz twórczości, daje w zakresie działalności szereg pięknych liryk. Nie była to jednak natura tylko czująca, tkwił w niej popęd do zamiany myśli i uczucia w czyn, do spełnienia rzeczy, za obowiązek uznanych. Imła się wówczas prac i zabiegów najprostszych i najcięższych, dokonywając zadania z największą wytrwałością i cierpliwością, czy to była elementarna nauka dzieci, czy pełne niebezpieczeństw krzątania się spiskowe. Tylko fantazja twórcza i naogół praca literacka nie znosiła przymusu, tylko tego nakazać sobie Gabryela nie mogła. Abstrakcyjne dątkowania niekiedy ją pociągały, lecz bronila się przed podobnymi upodobaniami, widząc w tem coś egoistycznego; marzenia bezprzedmiotowe były jej obce. Idee nabierały dla niej wartości dopiero przez możliwość urzeczywistnienia się. „Miłość ludzkości, nienawiść złego” człowiekowi „wystarczyć... nie może, trzeba indywidualnych łączników“. Te zaś stawiają nas wobec konieczności, żeby „w każdej chwili to załatwiać, co pod rękę popadnie i najdrobniejszym szczegółem nie gardzić“. Nie dość jednak tego, łącznik indywidualny między człowiekiem a ideą istnieje tam, gdzie jest „w każdej chwili i w każdej sprawie prawda indywidualnego uczucia“. (L. III. 296.) Niema dla Gabryeli skuteczności czynu samej przez się, w oderwaniu od osoby działającej; czystość moralna jednostki, czerpiącej pobudki w ukochaniu spełnionego dzieła, była dla niej nieodzownym warunkiem jego użyteczności. Stąd to pochodzi w pewnym okresie działalności Żm-j przesunięcie się idealnego punktu ciężkości w jej pojęciach i wymaganiach: moralna doskonałość jednostki zajmuje środkowe stanowisko w systemie.

Na usługi ukochaniom i upodobaniom Gabryeli wyobraźnia dostarczała pomysłów i kształtów, im też służył wiecznie czujny, wiecznie czynny umysł, spragniony wciąż nowych nabytków, w każdej sprawie zajmujący samoistne stanowisko, posiadający zarazem zdolność subtelnej rozróżniania odcieni, moc głębokiego przenikania w przedmiot, a zarazem popęd do rozwijania dalekich perspektyw i tworzenia rozległych syntez. Do tworów swych wprowadzie umysł jej czerpie materiał z zasobu pojęć, przez epokę gromadzonych, nigdy przecież samodzielności nie utraciła, a posiadała tyle giętkości, by przerabiać i asymilować nowe elementy, ukazujące się wraz ze zmianą prądów duchowych w społeczeństwie. Tak podczas panowania heglizmu, zwróciła się Żm. przeciw niemu, dostrzegając, iż on usprawiedliwia panowanie faktu historycznego, choćby się uczucie przeciw niemu buntowało. A przecież heglistami byli ze zcją i uwielbieniem przez Żm. wspomniani Edw. Dembowski i Jan Majorkiewicz. Tak później stanąwszy na swem antykonspiracyjnym stanowisku, opłacić to musiała ciężkim dramatem osobistym.

I umiała wreszcie znaleźć łącznik między swojemi dążnościami a ruchem pozytywistycznym.

Tak uposażona w bogactwa charakteru i umysłu, staje przed nami Żm. jako autorka i obywatelka, jeżeli pominiemy prywatną stronę życia. Zasługi jej w czterech skupiają się dziedzinach: w zakresie wychowania młodych pokoleń, w stosunku do sprawy emancypacyjnej niewiast, na polu działalności społeczno-narodowej i wreszcie w dziedzinie twórczości. O znaczeniu ruchu demokratycznego w okresie 1840—1848, i o roli w nim Żm. mówiliśmy już wyżej. Dążenia entuzjastek, jako przodowniczek niewieściech, stanowiły ruchu tego cząstkę. Co się tyczy sprawy wychowania, los nie był tu dla Żm. litościwszym, niż w innych względach. Nie stanęła nigdy na czele zakładu naukowego, jak o tem marzyła, jak dwukrotnie próbowała; o porażce swej na tem polu wspomina z westchnieniem jeszcze na schyłku żywota. Wpływowi więc na młode pokolenie życie wyznaczyło szczupłe granice. Jednak pomijając osobistą pracę Naręczy w zakresie najszerszym elementarnego nauczania, winniśmy wspomnieć, że liczna grupa nauczycielek przechowywała żywe wspomnienie jej „pogadank pedagogicznych“, i w czasie późniejszym zasilala się jej wskazówkami i radami. Ułożony przez nią „Wykład nauk“ dostarcza jeszcze jednego dowodu, jak wielostronna była jej praca.

Działalność pisarska Gabryeli odbywać się musiała w niesprzyjających warunkach, a mamy tu na myśli nie tylko zewnętrzne okoliczności, indywidualnie ją dotykające, lecz i ogólny stan rzeczy, który sprawiał, iż wieszcz musiał, według słów Słowackiego, piorun zostawiać w cenzurze. Nie wyrządzało to może znaczniejszej krzywdy autorom, którzy pozostawać lubili w szrankach codziennego życia, lecz dla Gabryeli było to równoznaczne z całkowitem usunięciem z zakresu twórczości wielu wzruszeń i myśli, najosobistej przeżytych, a że tworzyła tylko z wewnętrznej głębokiej potrzeby, więc cząstkę zaledwie swej duszy wyrazić mogła, i tu nawet słowa swe w tysiączne owijając osłonki. Z drugiej strony forma rozpraw, którą nadawała swym tworom, stanowiła zaporę między czytelnikiem a Gabryelą. Talent jej był natury liryczno-refleksyjnej, nie też dziwnego, że pomysły, sytuacje i wizerunki osób, jakkolwiek pełne treści wewnętrznej, niezawsze zarysowują się dość plastycznie w ruchu, w wyrazie zewnętrznym, w barwie i kształcie. Może zaważyła cokolwiek i ta okoliczność, że natura obdarzyła Żm. krótkim wzrokiem, zmysły nie dostarczały jej dostatecznego zasobu linii, kolorów, odcieni, gestów, barw. Natomiast zdolność jej frazeologiczna, swoboda użycia słowa zależna jest pewnie od subtelności uczucia, od ostrości myśli rozszczególniającej i od wielkiej, niekiedy nadmiernej wrażliwości Gabryeli na dźwięki. Jednak na koloryt jej utworów miały wpływ decydujący nie wspomniane przed chwilą okoliczności, lecz natura umysłu, który nie miał w sobie cech



obojętnej, bo bezosobistej ciekawości epika na objawy życia, na kształty konkretne, zajmujące już przez to, że istnieją. Zupełnie wolną od takiej ciekawości G. wprawdzie nie była, lecz umysł jej i wyobraźnia posuwała się natychmiast dalej. Mocne napiętności o wielkiem żywiołowym napięciu pociągały ją dlatego, że w niej budziły równie serdeczny oddźwięk. Stąd stałe, wciąż powracające tematy jej utworów — zagadnienie uczucia, jako dźwigni czynów i całego wogóle życia psychicznego i zagadnienie twórczości. W kombinowaniu zaś odcieni wyobraźnia jej była niewyczerpaną. Albo też ta czy inna rzeczywistość zwracała uwagę jej przez jakieś konsekwencje społeczne, przez stosunek do ideału etycznego. I znówu sprawa wymagała specjalnego, bynajmniej jednak nie epickiego traktowania.

Twórczość Gabr. obracała się najchętniej w zakresie zjawisk i zagadnień psychologicznych. Stąd też specjalna karta jej w historii literatury naszej, która poza takimi poematami, jak *Dziady* niezbyt chętnie lubiła sięgać w głąb dusz. Nie lubiła też takich wycieczek i nasza powieść obyczajowa. Zaslugę w pomienionym względzie dzieli z autorką „Poganki” Szyrmer, jako psycholog o parę lat ją wyprzedzający. Jest on konkretniejszym w swych obrazach, jest skrupulatniejszym badaczem, bardzo konsekwentnie kreślącym dzieje człowieka, a przynajmniej pewnego uczuciowego i umysłowego stanu. Jakkolwiek jednak miał on takie chwile rozgłosu i świetności, jakiej Żm. wśród szerszej publiczności nie zaznała nigdy, analiza jego, jakkolwiek zajmująca, w porównaniu z ujęciem rzeczy przez Żm., traci swą wartość. Nie mówiąc już o tem, że obraca się w specjalnej dziedzinie patologicznych kombinacji, występuje on wobec dostrzeganych objawów jako surowy sędzia, oparty o nieruchomy dogmat, karcąc za odstępstwo od niego. Analiza zamienia się w suchy morał. Świat Żmich-j jest bez porównania rozleglejszy, treść jego jest bogata, potok życia płynie szumnie, a za każdym jego skrzytem odślania się coraz to inny widok... Wogóle jeżeli ostrość widzenia Żm-j, głębokość jej tworów zestawimy z odpowiedniemi traktowaniem spraw duszy przez współczesnych jej pisarzy, musimy przyjąć do przeświadczenia, że są to rzeczy zupełnie niewspółmierne. Nie jest powieść Żm-j psychologiczną w przyrodniczym sensie. Nie obchodzi jej zazwyczaj rozwój pewnego określonego stanu psychicznego, nie dba o warunki konkretne jego powstawania. Przełomy w jej osobach odbywają się nagle. Nie obchodzą jej i charaktery. Można by rzec, że zwykle dla niej „ziarno duszy nagie pozostaje”, staje się czemś dla siebie i przez siebie istniejącem. Jednocześnie ukaże N. daleką jakąś perspektywę — szczęście osobistego, etycznego nakazu prawdy i godności, narodowego i społecznego obowiązku. Jak jeden z jej bohaterów „umie się przenieść w chwilę podaną na obrazie, umie się wtajemniczyć w osobistość przedstawionych osób,

a rozsądzić je według niezmiennych prawd Bożych sprawiedliwości". Ale to rozsądzenie nie jest potępieniem życia, instynktu, uczucia. Niczego, co w duszy żyje i rozkwita, Gabryela nie odrzuca, niczego nie chce niszczyć. I grzech na coś — według jej mniemania — przydać się może, zło przebóstwić się w dobro... Ten szacunek autorki dla człowieka, mimo jego zbroczeń, ukochanie pełni życia, jej wzrok przenikliwy, umysł lotny — to wszystko sprawia, iż niejedno z dzieł Gabryeli może bogactwem treści, subtelnością analizy, oryginalnością pomysłów, głębokością syntezy olśnić, ciepłem uczucia zniewolnić. Jej dusza dostojna, serce gorące, czyste, ideałom wierne, charakter niezłomny, musi wzbudzić cześć i dumę, żeśmy ją wśród nas posiadali.

### BIBLIOGRAFJA.

A. Pisma. Zbiorowe wydanie Pism Gabryeli ukazało się w Warszawie, w 5 tomach. Poza wydaniem zbiorowem: 1) Wiersz bez tytułu w „Pierwiosku” na r. 1839 2) Rozbiór „Spekulanta” Korzeniowskiego, Przegl. Nauk. 1846, t. III, 828—36. 3) Część elementarna Wykładu nauk, przeznaczona do pomocy w dom. wychow. Wydan. 2. Warsz. 1873. 4) Wykład nauk... Geografja cz. I. Warsz. 1857. 5) Dwa artykuły o pierwotnem wychowaniu dzieci do r. 7-go. Gaz. Pol. 1874, Nr. 63—4. 6) O Pawle Edmundzie Strzeleckim, Aten. 1876, I. 383—424, 538—96. 7) Pamiętnik pisany w młodym wieku, Świt 1886. 8) Wspomnienie regenta, Aten 1888, t. III, 36—53. 9) Wędrowiec, Bibl. Warsz. 1902, II. 162—8. 10) Utwory, dodane do Listów Żm-j, cz. t. I i II. Ponadto w listach i w innych źródłach spotykamy wzmianki o różnych artykułach i utworach poetyckich, te jednak dotychczas nie są odszukane i zebrane. Zaznaczyć należy antologję, ułożoną przez Żm-ą p. t. „Kwiaty rodzinne” w wyd. 3 z r. 1893 (wyd. 4 te z r. 1912 dopełnione przez Or-Ota), przekład 6 i 9 tomu Dziejów Anglii Macaulaya (Warsz. 1873—4), i Zeznania Narcyzy Żm. przed Komis. śledczą w Lublinie w r. 1851. Przegl. hist. 1920 i odb.

B. Listy. 1) Listy 2 ty, Krak. 1885. 2) Listy, t. III, Krak. 1906. 3) Listy do T. Dębskiej, Lwów 1890. 4) Listy do Lud. Michałowskiej, Świt 1886. 5) List do Henr. Dunina z r. 1865, Tyg. II. 1885, I, Nr. 127.

C. Opracowania i zyciorysy. 1) Stefan. Listy o pismach Gabryeli, Bluszcz 1871, Tygod. Ilustr. 1872 i 1873. 2) J. Szujski. N. Ż. Przegl. Pol. 1876—7, III, 162 3) P. Chmielowski. N. Ż. Kwartalnik Kłosow 1877 i w „Autorki Polskie”, 4) W. Żeleńska. Kłosy, 1877, I 5) Agaton Giller. N. Ż. Ruch literacki, 1877, I, 22, 39. 6) A. Świętochowski. N. Ż. Gazeta Handlowa, 1877 i Kalend. Gospod. dla Kobiet na r. 1877.

7) P. Chmielowski. Biesiada Literacka, 1877. 8) Sfinks (H. Skimborowicz). Gabryela i entuzjastki, Bluszczy. 1880. 9) Fel. Boberska. N. Ż. Krak. 1883 i w „Pismach” Lwów 1893. 10) St. Tarnowski. Listy, Przegl. Pol. 1884—5, IV, 329—34. 11) Biegeleisen. Z koresp. Gabryeli. Dod. do Przegl. Tyg. 1885. 12) P. Chmielowski. Wstęp do I t. „Pism” Ż-j. Warsz. 1885. 13) Tenże. Entuzjastki w „Autorki polskie” Warsz. 1885. 14) (pani Buchard). Wstęp do 1-go tomu Listów Ż-j. Krak. 1885. 15) Zdziarski. Tyg. II. 1885. 16) B (em?) Pozytywistka. Prawda 1885. 17) Jenike. Jeszcze słówko o Gabr. i entuzjastkach. Aten. 1892. III. 18) P. Chmielowski. Ż. i Ziemięcka. At. 93. IV. 19) A. Pilecki. Kobiety poetki. Warsz. 1895. 20) Zdziechowski. Byron i jego wiek. T. II. 642—51. 21) Ign. Chrzanowski. N. Ż. Alb. biogr. II. Warsz. 1901. 22) Tenże. Przedmowa do „Wyb. pism Ż-j” Warsz. 1901. 23) Tenże. Smutek Gabryeli. Wędr. 1902 i w „Okružach Literack.” Warsz. 1903. 24) W. Żeleńska. Pogadanki pedagogiczne. Bluszczy 1902. 25) Ella (Izabela Zbiegniewska). N. Ż. Bluszczy 1903. 26) Z. Bukowińska. Wspomn. o Ż. Świat kobiecy 1905. 27) J. Dicksteinówna. Trzy fazy w twórczości Ż-j. „Sfinks” i odb. Warsz. 1909. 28) Tejże. „Poganka (Prometeusz Paraklet. Warszawa 1913 r.). 29) M. Mann. „Poganka”, Geneza, źródła, artyzm, idea utworu. Warsz. 1916.

### Szczęście poety.

(1841)

(Pisma, Warszawa 1885, t. I, str. 1—6.)

Ach! być poetą! Czy wiesz, dziewczyno,  
Co to poetą być znaczy?  
To jest — mieć wszystkie skarby bogaczy,  
Rządzić cudowną, Boską krainą,  
Jakiej król żaden nie ma na ziemi,  
Którą ze szczęścia, z czystej mądrości,  
Z wielkiego uczucia, z nieskończoności  
Stwarza się siły własnymi.

Ach! być poetą! To jest być razem  
Wszystkiem, co żyje pod niebem, w niebie,  
Kropelką rosy, iskierką, głazem,  
Świat wielki przedzierzgnąć w siebie;  
Światu wielkiemu dumnie panować,  
I gwiazdy nocy, poranku zorze,  
Ciebie strumienie, wzburzone morze  
Według swej woli kierować.

Ach! być poetą! To ducha cudem  
Czas niedościgły ująć w swe szpony,  
Powieścią wieków zedrzyć zasłony,  
Hymnem przyszłości nucić przed ludem;  
W jednej godzinie przywłaszczyć sobie  
Długiego życia innych wrażenia,  
Pierwsze o szczęściu młodych marzenia  
I myśl ostatnią starców o grobie!  
Być męczennikiem za świętą wiarę,  
Aniołem Stróżem małej kołyski,  
Rycerską dłonią rzucić pociski,  
Albo kapłańską spełniać ofiarę;  
Nie być mężczyzną, nie być kobietą,  
Prawem, co ludzie mylnie nakreślą,  
Lecz być pojęciem, uczuciem, myślą,  
Dziewczyno! — to być poetą!

Jeśli ci się ujrzyć zdarzy  
Łzę w mem oku, smutek w twarzy,  
Jeśli w życia podróży  
Mówić ci kiedy będę,  
Że mi się czas już dłuży,  
I zmęczona usiędę  
Na spoczynek przy drodze,  
I żalom puszczyć wodzę,  
I skarżyć będę okrutności losu,  
Patrząc na współwędrowców, moich towarzyszy,  
Z których żaden nie usłyszysz  
Mojego głosu,  
Ani głosu natury, ani Stwórcy świata,  
Co woła wiekiem nędzy do przyszłego wieku,  
Że dla człowieka w człowieku  
Nie stworzył sługi, lecz brata...

Jeśli na widok zepsucia,  
Które się szerzy dokoła,  
Szyderstwem stępia uczucia,  
Pogardą nagina czoła,  
Trony myśli, któremi prawda tak się szczyci,  
Że one tylko być mogą  
Czystym zwierciadłem cnocie,  
Aż je zepsucie pochwyci,  
Niekazemną zdepcze nogą  
I zanurzy w swoim błocie;  
Jeśli na obraz nędzy, tęsknoty,  
Złego nad dobrem przewagi,

Nieonej obłudy, grubej ciemnoty,  
Zbraknie mi w sercu odwagi;  
Jeśli beczynnie opuszczę ręce  
I szalem dzikiej rozpaczy  
Najczystsze szczęście ducha poświęcę  
Za podłą rozkosz bogaczy: —

Wtenczas ty siostrę pociesz, dziewczyno,

Wspomnij jej tylko, że przez trzy chwile  
I ona była poetą.

Tak jest! Raz pierwszy, gdym poetą była,  
Dokoła się majowa łąka zieleniła,  
Jak szmaragdowe jezioro;

I byłam kwiatkiem, co na łące rośnie,  
Wonnem powietrzem łąki oddycha,  
Co się tak wdzięcznie uśmiecha wiosnie,  
Gdy wiosna jemu uśmiecha;  
Promień słońca mnie pieścił,  
Karcił deszczyk perłowy;  
Wietrzyk w listkach szeleścił,  
Rozpędzał czarne chmury,  
Dźwięcznemi gwarzył słowy  
Coś o cudaach natury,  
Coś o świata wielkości,  
O Bogu, o miłości.

A ja, piękniej przystrojona,  
Niżli szatą Salomona,  
Co go w dzień chwały okrywa,  
Ja, rosy szczęścia mając dostatek,  
Słuchając pieśni, byłam szczęśliwa,  
Byłam szczęśliwa — jak kwiatek.

Lecz potem obszar łąki zbyt mały,  
I w duszy inna myśl błyska;  
U ramion dwoje skrzydeł wytryska,  
Ja, z kwiatka orzeł, lecę nad skały;  
Lecę daleko, lecę wysoko,  
Słońce się z orła śmiać chciało,  
Orzeł mu spojrział dumnie oko w oko:  
Słońce się w obłok schowało;  
Ja dalej lecę, — gdzie burz siedlisko,  
Silnemi szpony rwę czarne chmury;

Zdziwiony piorun, widząc mnie blisko,  
Musiał ustąpić chybkiemi pióry;  
Ja wyżej lecę — aż tam, gdzie chciałam,  
Lot mój wstrzymałam.  
Spojrzę na dół: przepaść ciemna;  
Tylko bystre orła oczy  
Widzieć w niej mogą,  
Jak kolistą drogą  
Brudna, mała i nikizemna  
Ziemia się toczy;  
Ziemia — me dawne mieszkanie!  
Wzrok smutny, lecz hardy,  
Litości i wzgardy  
Przez gęste chmury  
Rzuciłam ku niej na pożegnanie,  
Potem go wzniosłam do góry;  
A com widziała wyżej od siebie,  
A ilem szczęścia czuła odrazu,  
Na to pod niebem niema wyrazu.  
To powiem tylko — braciom orłom w niebie.  
Potem raz trzeci zmiana istoty  
Czucie i myśl mą odmienia:  
Kwiatka rozkosze, orła poloty  
Zakułam w łono kamienia.  
„Kamień nie czuje“ — ludzie powiedzą.  
Och! nie wierz ludziom, dziewczyno!  
Żyły kamienia iskrami płyną,  
Choć ludzie o tem nie wiedzą.  
Byłam kamieniem — ni mędra oko,  
Ni wichru szaty, ni burzy wycie  
Nie wyśledziły skrytej głęboko  
Jasności ognia w granicie.  
Ja, głaz dla innych, a światło sobie,  
Całej przeszłości zebrałam wątek.  
W grób zakopałam i na tym grobie  
Strzegłam świątyni pamiątek.  
Tam z przeszłych złudzeń wszystko, co było  
Uciechą kwiatka, orła wielkością,  
Wszystko pod zimny pomnik się skryło  
Przed burz północnych wściekłością.  
Bo ja z nawałnic, ja z burz się smieję:  
Czyż mnie to piorun rozkruszy?  
Czyż mi wyszarpią mroźne zawieje  
Tajemnicę świata z duszy?  
Och, nie! ja wichur przetrzymam w biegu,  
Twardsze od twardych gromów mam czoło.

A chociaż śniegi spadną wokóło,  
Pierś mam zimniejszą od śniegu.  
Tylko, że pierś ta innym ukrywa  
Tlejącą iskrę dawnych omamień:  
Więc po raz trzeci jestem szczęśliwa,  
Jestem szczęśliwa — jak kamień.

### Fantazja.

(1843)

(Tamże, str. 163 — 8.)

Tysiąc wieków mijają, jak człowieka plemię  
Codzień świeżemi trupy zasilają ziemię,  
A ziemia, ich żyznemi sokami karmiona,  
Codzień też więcej bogactw wyrzucała z łona.  
Kędy dziś błotne bagna, zdradne trzęsawiska,  
Zgubnych wyziewów matki i gadów siedliska,  
Tam łąki wypłynęły, w nowe strojne szaty,  
I drzewa niebotyczne i barwiste kwiaty;  
A co tylko jest kruszców, lub drogich kamieni,  
To wszystko w cudnych kształtach na ziemskiej przestrzeni  
Tysiącem ogniów błysło od promieni słońca;  
A morza, zwyciężone od końca do końca,  
Cofnęły się przelękłe przed łądem, swym panem —  
I łąd nad niezmiernym zawisł oceanem,  
I był piękny, zielony, rozległy, szeroki,  
I dokoła go srebrne owiały obłoki;  
I zdawało się wtedy, że natura cała,  
Rześka, silna, z przeszłości swojej tak powstała  
Jak młodzian, co z dzieciństwa do życia się budzi.  
Gdzie była starość świata? — starość — w sercach ludzi.  
Człowiek sam jeden dźwigał ciężkie wieków brzemię,  
Dawnemi cierpieniami młodą smucił ziemię,  
I sam tylko był stary, zgrzybiały starością,  
Która śmieje się z czucia, pogardza młodością,  
Która w duszy polotach i serca słodczy  
Widzi grobu igraszkę, kruszcowy zysk liczy;  
Która wszystko, co tylko jest pięknością, cnotą,  
Przekuwa zimnym mózgiem na kłamstwo lub złoto.

.....  
Każdy był groźnym wrogiem lub wroga ofiarą;  
Przyjaźń zwano oszustwem, miłość śmieszoną marą.  
Sławę echem próżności, szczęście złem zuchwałem,  
Poezję próżniactwem, poświęcenie szaleń.

I tak bez wiary, uczucia, smutne było życie,  
Choć natura swe dary rozlała obficie,  
Choć cała kula ziemiska i niebios osłona  
Na wspólne szczęście wszystkich była urządzona.  
Raz tylko — w długiej wieków ludzkości kolei,  
Raz błysła odrodzeniem iskierka nadziei —  
Zjawił się człowiek nowy z młodzieńczym zapałem,  
Wzniósł się myślą szlachetną i sercem wspaniałem;  
A jak nad duchem ciemnie postać archanioła,  
Tak on, gdy inni w ziemię popuszczali czoła,  
Szukając reszty złota dla duszy pogrzebu,  
Śmiało stanął nad nimi, wniósł oczy ku niebu.  
I wzięwszy dzielną ręką wieszceży lutni tony,  
Zabrzmiął hymnem proroka wśród puszczy zdziwionej:

„Bracia, słuchajcie pieśni! — pieśń to anioł Boga!  
Pieśń to nauka wieków, przyszłości przestroga;  
To silny głos zwiastuna, co na puszczy woła,  
Jasny promień nad głową prawdy apostoła!

Bracia, słuchajcie pieśni! — Jak anioł odleci,  
Zginą wieków pamiątki, przyszłość zaciemnieje —  
Głos zwiastuna o twarde serca skamienieje,  
A jasny promień zgaśnie. — Kto z was go roznieci?  
Gdy wszystko będzie zimne, i martwe, i głuche,  
Kto wywoła na ziemię silnemi piersiami  
Z grobów życie, z wspomnienia przyszłości naukę?  
Kto was w niebo powiedzie jasności szlakami,  
Jeśli pieśń wieszczów zmilknie? O ziemscy mieszkańce!  
Póki Bóg jeszcze do was pieśnią się odzywa,  
Póki w dusze wybranych hymn natchnienia wlewa,  
Jako wonną oliwę w świątyni kagańce,  
Słuchajcie Jego głosu! Ludzie, bracia moi!  
W pokorze przed Nim wasze nachylajcie czoła,  
Otrzyjcie serce z pyłu ziemskich niepokoi:  
Dziś Bóg pieśnią — lecz kiedyś pio unem zawoła!

Ludzie, ludzie! gdzie wy dążycie  
Przez tży i zbrodnie?  
Stójcie, chwilowi przechodnie,  
Och, stójcie, bo zgasicie  
W kałuży krwi i błota  
Promienną iskrę żywota!

Ludzie, nie idźcie w te strony,  
Gdzie na trupach ludow



Wznoszą się trony  
Z podłości brudów,  
Gdzie w djamentowej koronie  
Kat siadł na tronie  
I każdemu, co karku w poddaństwo nie zgina,  
Żelaznem berłem wolną głowę ścina!

Ludzie, nie idźcie, gdzie bogacze świata  
Purpurą, złotem, zbytkami  
Uragają nędzy brata,  
Żywiąc się jego ciałem, pojąc jego łzami!

Ludzie, nie idźcie, gdzie głosem szylercą  
Duch piekiel kłamie Bogu i bluźni nauką,  
Żeby stokroć przekłętą sztuką  
Resztki nadziei wyszarpać wam z serca,  
I ciężej niżli ciała, w żelazne łańcuchy,  
W przewrotne fałsze okuć wasze duchy!

Och! nie idźcie tam, ludzie! Ludzie, bracia moi!  
Do mnie, do mnie! ja wszystkich przytulę.  
Moja pieśń ukoj  
Wszystkie troski; wszystkie bóle.  
Moje ramię obejmie jednym uściśnieniem  
Wszystkie ludy. — O bracia! pójdę mojem pieniem  
Budzić uśpione w obojętnej nocy,  
Z południa ku północy,  
Z zachodu ku wschodowi.  
Głos mój wypowie,  
Pieśń moja wyśpiewa  
Rozkaz Boga — cel ludzkości,  
Słowo braterskiej miłości,  
Ziemia będzie szczęśliwa!"

Umilkł wieszcz — a w długim milczeniu  
Zdały się tłumy ludu dziwić jego pienu;  
On drżący, jako jeszcze drżące lutni tony,  
Patrzył okiem w ich dusze, śledził bieg ich myśli,  
Aż głos jakiś zpośrodku zawołał: „Szalony!“,  
I ludzie powtórzyli — i poszli, jak przyszli —  
I on sam został tylko, głowę schylił smutnie,  
O sterczące skał brzegi rozbił swoją lutnię,  
I znowu spojrział w niebo ostatniem spojrzeniem,  
Ostatnią łzę uronił nad bratniem cierpieniem

I skonał. A ród ludzki szedł dalej bez celu,  
Ginał, niszczał — na ziemi zostało niewiele.  
Potem dwóch tylko ludzi — dzieci matki jednej,  
Ale dalsi od siebie, niż ziemia od słońca,  
Niżli niebo od piekła: bogaty i biedny.  
I biedny sięgnął ręką po brata dostatki,  
Z głodu zgrzytnął zębami. Własności obrońca,  
Bogacz, szkielet bez serca, dobył sił ostatki,  
Całym skarbów ciężarem cisnął w piersi brata,  
Aż nędzarz padł pod ciosem. — Sam bogacz wśród świata  
Dumnie powiódł oczyma i cieszył się z tego —  
Och! cieszył się samolub, że niema drugiego,  
Że jest sam. — Ale chmura płynęła po niebie  
Ostatnia, grom ostatni wyrzuciła z siebie  
I ostatniego w świecie zabiła człowieka —  
I wtedy pieśń harmonji zabrzmiała zdaleka,  
I drzewa się w miłosne posplatały wianki,  
I ziemia drżała szczęściem, jak łono kochanki.  
I w piękniejszej naturze wszystko piękniej żyło,  
I wszystko było dobrze — bo ludzi nie było!

### Do moich dziewczynek.

(1851)

(Tamże, str. 275—9.)

Dziewczynki moje, o moje kwiatki!  
Z kolebki dziecka, od piersi matki,  
Jak ręczo biegną po życia drodze;  
Ach! po tej samej, z której ja schodzę!  
Znam ją tak dobrze! znam każdy kamień  
I każdą ścieżkę błędnych omamień.  
Wiem, gdzie jest cięższa, a gdzie wygodna,  
Wiem, gdzie bezpieczna, a gdzie zawodna.  
Mogłabym przestrzec, powiedzieć tyle...  
Stójcie, dziewczynki, stójcie na chwilę! —  
Lecz między nami, jak świat od świata,  
Daleka przestrzeń, bo długie lata  
I ludzie krzyczą, śpiewają, piszą,  
Gdy ja zawołam, ach! czy dostyszą?

Dziewczynki moje, tam, gdzie biegniecie,  
Wy pewno piękność pochwyćcie chcecie,  
Cacko, gwiazdeczka, kwiatek, piosneczka,  
Tęczowe blaski, głośne poklaski.

Wioski spokojność, zbytków ozdoba,  
Wszystko was nęci, co się podoba.  
A za czem dążyć? co wybrać w świecie?  
Co najpiękniejsze? to wy nie wiecie.  
No, ja wam powiem, dziewczynki moje:  
Piękne są perły, diamenty, stroje,  
Piękniejsza jednak woda w strumieniu  
I lilja pełna w białym odzieniu;  
A od liliji, od czystej wody,  
Piękniejsza świeżość waszej urody;  
A od piękności hożych dziewczynek  
Jeszcze piękniejsza — łza uzalania,  
Cicha modlitwa, święte natchnienia,  
A najpiękniejszy — dobry uczynek.  
Lecz wy daleko! Tam zaś, mój Boże!  
Tam wszelką piękność inaczej może  
Ludzie oceniać, rozważać, zmierzać,  
Gdy ja tak mówię, ach! czyż uwierzą?...

Dziewczynki moje, wy się trwożycie,  
Bo o cierpieniu często słyszycie;  
Więc chociaż jeszcze przed wami leży  
Gościniec taki równy i świeży,  
Wy po tem polu gładkiem, szerokiem  
Już ostrożniejszym stąpacie krokiem.  
Śmiało, dziewczynki! To strachy płonne,  
Strachy pogańskie i zabobonne!  
Ach! ja wam powiem: jest cierpień mnóstwo:  
Piękna lub chleba głodne ubóstwo;  
I od ubóstwa gorsza choroba;  
I od choroby gorsza żałoba;  
I od żałoby, ach! gorsza strata  
Żywych serc bratnich w kałużach świata;  
I na i te straty, nad te cierpienia  
Najgorszy z wszystkich — wyrzut sumienia.  
A jednak śmiało, dziewczynki moje,  
Ja się niczego dla was nie boję.  
Ja wiem, że tutaj z litości Pana  
Na każdą troskę pociecha dana.  
Spokojna godność, wytrwałość z pracą —  
Ubóstwo znoszą lub też bogacą.  
Przeciw chorobie pomoc skuteczna,  
Lub w śnie ostatnim jest ulga wieczna.  
Dla tych, co płaczą w grubej żałobie,  
Zmartwychwstałego jest krzyż na grobie;  
A za odstępcę, za przemieszanie,

Za wszystko, co nas gorzko zawodzi,  
Dość znaleźć jedno szlachetne serce:  
Jeden poczciwy stu złych nagrodzi.  
A za grzech własny? o! jest pokora!  
Jest do poświęceń chęć bardziej skora,  
Jest pobłażanie drugim cierpliwsze,  
I są pokornie prace gorliwsze.  
Bo tak już chciało mieć prawo Boże,  
Że i grzech na coś przydać się może.  
Tylko się nigdy nie przyda na nic  
Dumnego serca pycha bez granic;  
I kiedy wszystkie łyzy, wszystkie grzechy  
Zbiera i święci anioł pociechy,  
Ten anioł we śnie nawet nie stanie  
Przy takim, który kochać przestanie.  
Toż baczność w drodze z tej tylko strony,  
Gdzie samolubstwem szlak jej skrzywiony...  
Lecz wy daleko! A tam znów ludzie  
W smutku, w potrzebie, w boleści, w trudzie  
Zapewne inne rady im dają...  
Gdy ja zawołam, czyż usłuchają?

Dziewczynki moje, wy się śpieszycie,  
Każda z was myśli, że dalsze życie  
Oddać jej musi, jak płatnik wierny,  
Ze skarbów świata procent niezmierny.  
A starcy na to kiwają głową:  
Dla starców szczęście — to kłamstwa słowo!  
Lecz ja wam powiem: jest szczęście przecie,  
Jest nawet wiele szczęścia na świecie.  
Szczęściami są wasze lata niewinne,  
Wpół młodociane, a wpół dziecinne,  
Bez doświadczenia, lecz bez kłopotów:  
Czy chleb powszedni na jutro gotów?  
Czy w źródłach uciech nie wyschła woda?  
Czy do wieczora wytrwa pogoda?  
Błogosławione pierwsze dni wiosny!  
Błogosławionys, wieku radosny!  
Słowik ci kwili, wonieją drzewa,  
O tobie Bohdan poeta śpiewa:

Żeś „sen na kwiatkach, żeś sen nasz złoty,  
Żeś „idealem wiary i cnoty“.

Lecz od tych marzeń, od tej swobody  
Jest większe szczęście, o wieku młody!

Jest większe szczęście — jest głos ponętny,  
Głos cichy, miękki, a nienamiętny,  
Głos, co tak szczerze, jak Bogu w niebie,  
Wymodli kiedyś: „Ja kocham ciebie”.  
A niż głos taki, niż ta zyskana,  
Więszem jest szczęściem miłość doznana.  
Gdy własno serce silniej uderzy,  
Gdy czuje, że mu cieplej i szerzej,  
Że się w niem, jakby ze snu, zbudziły  
Nowe zdolności i nowe sity...  
A większem szczęściem od tej miłości,  
Jest wielkie szczęście ludu całego;  
Prawo Chrystusa w rzeczywistości;  
Ze słowem Bożem — chleb dla każdego;  
Z życiem na ziemi — miejsce wśród tłumu;  
Ze światłem słońca — światło rozumu;  
Z pamięcią przodków — win odpuszczenie,  
I z pracą wszystkich — wszystkich zbawienie!...  
Dziewczynki moje, niech każda wierzy,  
Że się jej takie szczęście należy;  
Niech za niem goni, niechaj go szuka;  
Piękność, cierpienie, radość, nauka,  
To w pomoc tylko danem wam było,  
Aby się takie szczęście ziściło.  
Lecz wy daleko!...

Ach! tam inaczej

Może im szczęście kto wytłumaczy?  
Może je złudzi inną nadzieją?  
To, co im mówię, czyż zrozumieją?...  
O gdyby mogły!... Dziewczynki moje!...  
Lecz ja daleko, daleko stoję...  
I jeszcze dalej smutna odchodzę<sup>1)</sup> —  
Szczęść, Boże, lepiej dziewczynek drodże!

---

<sup>1)</sup> Pisane w więzieniu w jesieni 1851, kiedy Ż. sądziła, że będzie skazaną na wygnanie. Wiersz pisany dla siostrzenic w Rzeczyce.

## Poganka.

Powieść przy kominkowym ogniu opowiadana.

(1845)

(Tamże, t. II, str. 34—40.)

### I.

Wyobraźcie sobie państwo zieloną oazis w pustyni Sahary, wyobraźcie w świecie dzisiejszym, w świecie złota, srebra, miedzi i gałganów na bankowe papiery przerobionych, rodzinę liczną, ubogą, a szczęśliwą — w tej rodzinie lat temu dwadzieścia sześć, o godzinie pierwszej po północy, przy najpiękniejszym świetle księżyca, pełnią swoją rozświecającego najpiękniejszą noc sierpniową, urodziło się dziecię płci męskiej, dziewiąte z kolei, a rzecz dziwna, rzecz nadzwyczajna, przyjęte taką radością, takim błogosławieństwem, jak upragniony pierwszy potomek gasnącego już imienia, oczekiwany dziedzic wielkiego majątku.

Lecz nie, bluźnierstwem jest to porównanie — dziecię przyjęte taką miłością, jak wszystkie dzieci w miłości zrodzone — tem dziecięciem ja byłem. Nad przygotowaną dla mnie kolebką nie zaciężyła żadna skarga, ni to starszej siostry, że w domu nowy kłopot będzie i nowych trudów się przysporzy, ani dobiegającego swej młodości brata, że mu jedna ręka więcej do rozszarpania spodziewanej puścizny przybędzie, ani drobniejszego rodzeństwa, że się zaczną dla niego chwile przymusowej cichości, narzuconego rozsądku, uskąpionych pieśzczoł — ani matki, że z danem życiem jej życie się ujmie, że ją noce bezsenne, karmienie, prace hodowania czekają, — ani ojca nawet, że ciężkie czasy, że wychować będzie trudno, że na obmyślenie zawodu sił i sposobu już nie wystarczy. Dziwna rzecz, stokroć dziwna, tego wszystkiego nie było!

Matka z siostrami ze starej bielizny poszyły pieluszki moje. Jeden z braci na niespodziewankę uplotł zupełnie nową kołyskę, a ojciec, kiedy mnie poczeiwa babka na pokazanie w poduszce przyniosła, przeżegnał mnie krzyżem świętym. „Oto człowiek świata się narodził“, rzekł tylko i ze łzami w oczach i z uśmiechem na ustach poszedł cpośród do żony swej.

pocałował ją w czoło, pocałował ją w rękę i nie odszedł, aż póki osłabiona, lecz ciągle niewymownej słodyczy jaśniejąca radością, z nowo-narodzonym przy boku nie zasnęła spokojnie.

I takie były moje narodziny. Przez długi czas nie miałem imienia; zwano mnie tylko maleńkim, synkiem, pieśczołką, a narady odbywały się długie, jak zwać miano na później. Teresia, moja mała poprzedniczka w rodzeństwie, załatwiła wszelką wątpliwość; kiedy jej na starych obrazkach opowiadał jeden z braci historję synów Jakóbowych, tak się rozmiłowała w małym Benjaminsku, że gdy wieczorem wznowiono o wkrótce nastąpić mającym chrzcie moim rozmowę, dziewczynka, siedząca w tej chwili nad kołyską, uroczyście wzniosła swój paluszek do góry i powiedziała stanowczym głosem:

— Ty maleńki będziesz Benjaminskiem.

Od tej chwili nadano mi imię Benjamina.

Pocziwa Teresia! zapomniano jej powiedzieć, że Benjamin pierwszą wolą matki swojej zwał się Benoni, a Benoni to znaczy „syn boleści“; a matka moja, rodzeństwo moje, pochwyciło wyraz dziecięcia, bo im do serca przypadał, a ojciec go zatwierdził, bo takie było miano jego wielkiego bohatera, jego ideału wśród sławnych mężów — Franklina. Z tej czci dla Franklina możecie państwo odgadnąć cały charakter mego ojca, jeśli tylko trochę choć biegłymi jesteście w zauważaniu tych stosunków tajemnych, a zawsze logicznych, które upodobanie i różne sympatje człowieka z treścią jego własnej natury łączą. Co do mnie, taki mam w tym względzie przynajmniej instynkt, że raz, gdym w galerji Luwru widział pięknego, młodego człowieka, jak się długo z najspokojniejszym obliczem zatrzymał przed Katonem Velasqueza, co sobie piersi tak krwawo, tak okropnie rozdziera, powiedziałem zaraz — to zły człowiek — i sprawdziły się słowa moje: ten człowiek był anatomem ludzkiego serca; spotkałem go później na salach sądowych ciekawym bardzo widzem, a w ostatniej chwili świadkiem przeciw obwinionemu, na moje sumienie wierząc — obwinionemu niewinnie. Lecz wracając do osobistej biografji, już wiecie, pod jakim wpływem, w jaką atmosferę niejako dostałem się na tę ziemię, zstąpiwszy według dawnych, wstąpiwszy według nowszych, a odrodziwszy się według najpodobniejszych do prawdy mnie-

mań. Jak mnie tak długo usypiano, pieszczono, kołysano bez mojej wiedzy, jak ja rozwijałem się w tem cieple uczuć, w tej pogodzie szczęścia, jak mi cała treść mojej istoty nasiąkała niejako tą pieśnią miłości różno i wszechstronnej — och! gdybym mógł pamiętać! Ale ja nie, nie nie pamiętam, a jednak to było już życie moje, to była już przyczyna jakaś późniejszych następstw, chwila rodzicielka wszystkich chwil, wszystkich lat moich. Kiedy się pierwszy raz poczułem i obejrzałem na świecie, znalazłem już jej owoc w głębi ducha mego i stał mi się tem, co nazywają skłonnościami, charakterem, naturą. Każdy mnie kochał, ja się ocknałem, kochając każdego, ale to kochając tak niezbędną koniecznością organizmu, jak się oddycha, je, pije; przed kochaniem nie było dla mnie przeszłości, jak przed Bogiem nie było początku; lecz niedosyć na tem: ci wszyscy moi poza mną kochali jeszcze wszystkość w różnych objawach, w różnych jej kształtach, a było coś pięknego, świętego w wyborze tych kształtów i tych objawów; każdy coś kochał na swoją własność szczególną, tyłkoż bierzcie to w dosłownem znaczeniu, kochał — nie lubił.

Moja najstarsza siostra Julcia kochała dumki ukraińskie, a mój brat Adam kochał niebieskie oczy córki bliskiego sąsiada, a mój brat Józef kochał ziemię, której uprawą się trudnił, a moja siostra Ludwina kochała wodę bieżącą i kwiaty niezerwane, a mój brat Karol kochał psa, konia i strzelbę dwururkę, a moja siostra Bronisia kochała gwiazdy i niebo, a mój brat Cyprjan kochał obrazy, a moja siostra Terenia kochała powieści, a mój ojciec kochał książki, a moja matka kochała ludzi — i tak dla mnie pierwsze wrażenia z ich wszystkich ulubionych wrażeń się złożyły.

.....  
.....

Ludwinię moją, najmniej ładną, najcichszą, najtęskniejszą z całego rodzeństwa siostrę, pamiętam najdokładniej w obrazku, nad którym może najdłużej, może najpierwej główka moja rozmyślać zaczęła. Przy końcu naszego sadu, za rzędem wierzb bujnie rozrosłych, płynęła rzeczka mała, bezimienna, wąska, tak że się zdało przeskoczyć ją można, a żwirem drobniotętkim na dnie wysypana, że tylko liczyć, tylko zbierać jego ziarna



różnokolorowe; nad tą rzeczką usiadła sobie Ludwinia tuż przy brzegu, przegięła się nieco i w wodzie do połowy odbiła się jej postać, a woda odbita kołysała równo, ciągle, spokojnie, jak do snu. Zmęczony bieganiem, przykląkłem obok Ludwinki i zacząłem gałązką pluskać w srebrne kropelki.

— Nie budź mnie, Benjaminu — szepnęła tylko siostra, i to tak cieniutkim głosem, że ledwo dosłyszeć mogłem.

— Czy ty śpisz, Ludwinko? — spytałem.

— Śpię, śpię, braciszku — odpowiedziała jeszcze ciszej, ale ja patrzyłem w jej oczy i widziałem, że oczy, choć ku wodzie spuszczone, nie zamknięte, nie zaspane były.

— Och! żartujesz — zawołałem z pustotą i uderzyłem jeszcze mocniej, aż się cała nadbrzeźna woda zmaciła.

Ludwinka drgnęła, jak gdybym to ją był moją gałązką uderzył.

— Obudziłeś mię — rzekła bardzo, bardzo smutnie, i ja zaraz poczułem, że coś złego, coś najgorszego zrobiłem, przykrość temu, co już cierpiał.

— Ale kiedyś ty nie spała, — rzekłem na ostateczne usprawiedliwienie — tyś nie spała, Ludwinko — dodałem z prośbą. Siostra nie mi nie odrzekła na to, tylko mię wzięła na ręce i pochyliwszy się wraz ze mną, na uspokojoną wodę lekko palcem wskazała. Zobaczyłem siebie i Ludwinę. Jak zwierciadełko zabawił mnie ten obrazek, lecz zwolna, im dłużej w niego patrzyłem, tem zupełnie ogarniała mnie jakaś senność, a nie oczu, nie ciała, bo oczy miałem roztwarte, bo ciało silne, w jednymże utrzymanie wygięciu; była to raczej senność mojego odbicia, jakiejś cząstki ze mnie, co na drobno łamaną falę rzeczki padła i w jej kryształach chwiała się jednostajnie bez przerwy, bez zmiany.

.....  
.....

Brat Karol był leśnikiem, lubił konną jazdę, myślistwo, niebezpieczne wyprawy. Miał ulubioną klacz, Zittę, dużego czarnego brytana, Molocha. Pewnego dnia Karol posadził małego Benjaminą przed siebie na koniu.

(str. 46—52).

Dzień był prześliczny, mroźny wprawdzie, że aż śnieg skrzypiał, ale taki jasny, taki ubrylantowany słońcem, że aż w oczy ćmiło. Pędziliśmy z bratem, pędzili, aż nakoniec i w bór się wjechało. Ja się nie mogłem nacieszyć iskierkom różnolśniącym po drzew gałęziach, po drodze naszej rozsianym, i tej czarnej Zicie, i temu czarnemu Molochowi, wśród owej dokoła rażącej białości. Nagle Zitta strzygnęła uszami. Moloch stanął i sierści najeżył. Bratu różdęły się nozdrza, cmoknął ustami, jakby chciał powietrze ucałować, i konia zatrzymał.

— A to co będzie, Karolku? — spytałem.

— Cicho, cicho, to wilk.

O wilkach słyszałem tylko z powiastek Teresi, powiastki były okropne, lecz i moja ciekawość wielka. Brat się przechylił, popatrzył mi w oczy i tę rękę, którą mię obejmował, bardziej na lewy bok przesunął. Spojrzeniu jego dość spokojnemu odpowiedziałem spojrzeniem, jednak ręczyć nie śmiem, czy pod ręką brata coś tam w piersiach moich silniej nie zastukało.

— Dobrze, dobrze, wcale nieźle — poszepnął Karol sam do siebie, a potem głośniejsz dodął: — Zabijemy wilka, Benjamina!

— Jakto, czy i ja go zabiję?

— I ty, chłopcze, tylko uważaj, baczność, przytul się do mnie plecami, tak, dobrze — teraz — wziął fuzję, wymierzył, — teraz daj tu obie ręce, trzymaj, gdzie ja trzymam — i ułożył mi palce na kurku i na moich dopiero swój własny położy. W czasie tych przygotowań, mały punkcik na drodze zdala czerniący przybliżył się wolno, poważnie, jak monarcha w granicach państwa swojego, — było to ogromne wilezysko. Moloch warknął, Zitta parsknęła, Karol zawołał „psyt“ i znów wszystko ucichło, a wilk szedł naprzód nieustraszony, zuchwały. Ten wilk, dowiedzieliśmy się później, był sławny w okolicy. Dopiero na kilkanaście kroków od nas dał ogromnego susa. Moloch także nie mógł wytrzymać, rzucił się naprzód, ale Karol głośno zawołał znów: leżec! i Moloch przyległ, skowycząc wściekle i tarzając się po śniegu, jakby z rozpaczą upokorzenia. Wilk stanął, w tej chwili brat mi palce naciskał, strzał

wypadł i śnieg się zarumienił czerwoną farbą. Ale prędzej, niż to wszystko mogliśmy spojrzeniem objąć, zwierz skaleczony rzucił się prosto do piersi Zitty — klacz przeraźliwie zarżała i tak gwałtownie cisnęła na bok, że ja, który się ani siodła, ani brata nie trzymałem w tej chwili, spadłem jak kulka na ziemię. Kiedym się zerwał równemi nogami, pamiętałem w najdrobniejszych szczegółach obraz, który mi się przedstawił. Takich obrazów mam kilka w mej duszy; mimo wiedzy prawie odbity się w niej tak dokładnie, tak silnie, że czasem aż się sam wydziwić nie mogę, skąd mi do pamięci wracają wycieniowane obecnie jak bolesność. Z tego obrazu naprzykład widzę doskonale nietylko brata mego, co z siodła zeskończył, przede mną stanął i obie ręce rozgarnął, by mię własnemi piersiami lepiej od wszelkiego niebezpieczeństwa zasłonić; nietylko Zittę, która się wspięła pod przemożnemi łapami wilka, co choć targany przez Molocha, jej napierśnika trzymał się jeszcze, nietylko Molocha, co w kudły przeciwnika łeb zanurzył, w rozszarpane mięso tak pysk utopił, że mu go nawet już widać nie było; — nietylko wilka owego, jak na tylnych łapach wzniesiony, odwrócił się do nieprzyjaciela gwałtownem karku przegięciem: ale widzę krwawo-migotliwe jego spojrzenie, buro-żółty połysk sierści — widzę wszystkie zęby w rozwartej paszczęce i mógłbym je anatomowi wyrysować bez uchybienia żadnego.

Karol po tej pierwszej chwili niespokojności usunął się z przede mnie, wziął fuzję i z najzimniejszą krwią do rąk mi ją podał znowu, jednym rzutem oka wymierzył, za palec mój pociągnął, i wilczyśko ani zipnęło już nawet. Brat prosto poszedł do Zitty, piersi jej trochę okaleczone chustką przyłożył, rzemieniem trzrenzli obwiązał, Molocha pogłaskał, za uszy wytargał, w łeb szeroki pocałował, potem skoczył lekko na siodło i znów gwizdnał, żeby Zitta przede mną uklękła. Przez całą drogę rozmawialiśmy, jakie to śliczne z tego wilka będzie futro pod nogi dla matki, rozmawialiśmy o wielu innych rzeczach, tylko jeden wyraz żadnemu z nas do ust się nie przypłatał — wyraz „bojaźń”. Karol nie wspomniał go i w zapytaniu nawet dał mi uczuć szczęście pierwszego zwycięstwa, jako najnaturalniejszą własność, jako przynależne mojej ludz-

kiej istocie zdarzenie. Później coraz częściej brał mię z sobą na polowanie i kiedyś zabił pierwszego dzika, aż mię uściskał z radości, lecz uściskał dlatego, że dzik był pysznym odyncem, a nie dlatego wcale, że mu dałem na pięć kroków do siebie przypędzić i tak celnie trafiłem, jak gdyby kulę życzenie poniosło.

.....  
.....

O moim ojcu jużście słyszeli, mój ojciec taki poważny, taki uczony, taki dobry i łagodny. W szczupłym domku nie było osobnego pokoiku na jego księgi i papiery; lecz kiedy zasiadł do czytania, to bez nakazu, bez przymusu, prostym rzeczy i zwyczajów układem, tak wszystko cichło dokoła, że mógłbyś brzęczenie muchy usłyszeć. Ja w tem wzrosłem i nie pamiętam nawet, żeby mi kto w podobnych razach spokojność zalecał. Kiedy ojciec książkę roztworzył, matka szła pocihu na palcach przez pokój, siostry i bracia wychodzili najczęściej, lub które nieruchomie z robótką w kąciku zasiadało. Jednego dnia i ja tak zostałem, przerzucając ostrożnie, żeby mi nie nie szeleściwały, karty starego dzieła in 4-to, w którym były wszystkie wizerunki królów polskich. Och! mój Boże, jak to ja pamiętam. Cyprjan gniewał się na nie, a szczególnie że Wandzie dano rogatą czapkę, a Jadwidze ogromną kryzę, w której niby garbata i jakby dusząca się wyglądała. Lecz ja nie byłem tak surowym krytykiem, mnie codziennie jak coś nowego bawiły i myszy gryzące Popiela, i ogromna peruka Wiśniowieckiego, i łańcuchy Zygmunatów; bo też przyznać trzeba, że na wszystko zupełnie osobnym patrzyłem pryzmatem.

Tego dnia jednak na polowie skończyłem mój przegląd i zacząłem nie w książkę, lecz w twarz naprzeciw siedzącego ojca bardzo uważnie się wpatrywać, bo za okno wywieszona makolągwa przesłicznie śpiewać zaczęła i miałem wielką chętkę wybiegnąć do niej, a bałem się ojcu przeszkodzić, tembardziej, że drzwi się jakoś trudno zamykały i otwierały — kto wie nawet, czy klamka nie zażyty wysoko dla ręki mej była osadzoną. Patrząc ciągle uważnie, spostrzegłem, jak naraz ojciec brwi zmarszczył, i taki grozuy twarz jego przybrała

wyraz, jak gdyby się na kogo rozgniewał. Potem wsparł głowę na rękę i przez chwilę nie patrzył na książkę, lecz też przez tę chwilę wyraz gniewu zmienił się w wyraz jakiejś wielkiej, głębokiej boleści, a ciężkie i głośnie westchnienie z piersi mu się wydarło. — Ojeze, ojeze, co ci jest? czy cię co boli? — spytałem, prędko biegnąc ku niemu. — Ojciec smutnie się uśmiechnął, a dziś jeszcze daremniebym chciał wypowiedzieć gorycz tego uśmiechu na owem męskim, pełnem siły i dobroci obliczu. Bo mój ojciec był dziwnie pięknym mężczyzną. Równego jemu wiekiem, a równego młodzieńczą prawie rześkością i grą fizjognomji nigdy mi się spotkać nie zdarzyło. Była to twarz pociągła, trochę żółtawo-błada, nos rzymski, brwi czarne, mocno odznaczone, włosy od czoła rzadsze i gdzieś niedzie już srebrzejące wśród kruczej innych połyskliwości. Oczy, na które do połowy wypukła zachodziła powieka, wyrażały zwykle poważne zamyślenie i surowość jakąś, lecz zato w całym rysunku ust, dość wydatnych, było tyle tkliwej słodyczy, tyle pieśczoły prawie, że my dzieci nie bałyśmy się ani troszeczkę nawet całej surowości spojrzenia. Prawda, że też nas nikt nigdy ojcem nie straszył. Wyobraźcie sobie teraz, jakie wrażenie zrobić mógł na mnie gorzki uśmiech na tych zazwyczaj tak dobrych, tak łagodnych ustach.

— Ojeze, ojeze, co cię boli? — powtórzyłem z płaczem niedłwie.

— Mnie to boli — rzekł ojciec, wskazując na książkę.

— Szkaradna, niegodziwa książka! — zawołałem z oburzeniem i rzuciłem ją na ziemię.

— Źle robisz, synku — odpowiedział, podnosząc ją spokojnie.

— A cóż to jest, ojeze?

— Historja.

— A cóż jest w tej historii? <sup>1)</sup>

.....

---

<sup>1)</sup> Takiemi niedomówieniami tylko można było potrącać o losy ojczyzny.

Na wigilję Bożego Narodzenia pojeżdżały się dzieci ze wszystkich stron do domu rodziców. Benjamin, górnik, przybył z Węgier, w ostatniej chwili zjawił się z Włoch artysta Cyprjan, budząc niepokój śladami wyniszczenia w twarzy. Pochłonięty pomysłami obrazu, przedstawiającego Aspazję i Alcybjadesa, próżno poszukiwał odpowiedniego modelu mężczyzny, w któregooby obliczu kojarzyło się piękno, siła, pragnienie życia. Uderzony po długim niewidzeniu rysami Benjamin, jak cherubin pięknego, zapragnął na jego twarzy wywołać grę namiętności, w chęci tej ma swe źródło nocna scena.

(Tamże str. 63—72).

Nagle w parę godzin może, blask mię jakiś przebudził. Patrząc, aż tu Cyprjan stoi nad mojem łóżkiem.

W jednej ręce trzymał on zapaloną świecę, a drugą tak jej płomień obejmował, żeby cień w stronę Karola padał, całe zaś światło na mnie; przez rozchrzestaną koszulę widać było jego piersi zapadłe i wszystkie kości, z anatomiczną dokładnością z pod skóry się rysujące — rzekłbyś, że to szkielet jaki, zlekka tylko cielistą błoną pociągnięty, lecz zato całe życie trupich piersi do twarzy jego uciekło; była to twarz na ową chwilę grą nerwów i mięśni do pierwszej młodości wrócona, były to oczy ciepłym promieniem bijące, usta purpurą świeżej krwi wypełnione, czoło jakby od niewidzialnej gwiazdy jaśniejące — była to jednym słowem głowa wskrzesiciela na ramionach umarłego. Sprzeczność uderzająca, niesłychana, a cudna.

Pod jej urokiem, w chwili niespodzianego przebudzenia, nawet sobie wyrazów na zapytanie dobrać nie mogłem, przetarłem tylko oczy, zerwałem się i usiadłem. Brat lekko mię znów na postanie przechylił i dał znak milczenia.

— Cóż to jest? — spytałem go się wreszcie.

Cyprjan trochę brwi zmarszczył, siadł na brzegu łóżka, świecę jeszcze zupełnie ku twarzy mojej obrócił, ale nie odpowiedział.

— Cóż to jest? — powtórzyłem raz drugi.

Znowu milczał, lecz po chwili:

— O czem ci się śniło? — zagadnął mię wzajemnie.

— Nic a nic nie pamiętam — odrzekłem, gdyż tak było w istocie.

— To bardzo źle, Benjaminie; spróbuj, może przypomnisz sobie.

— Doprawdy, nie mogę ani słowa.

— A jabym dał sobie lewą rękę aż po sam łokieć uciąć, żebyś mógł.

— Nie czekaj na to, Cyprjanie, bo się przeziębisz jeszcze. Jak można z takim kaszlem w noc Bożego Narodzenia wstać boso i nawet płaszcza nie zarzucić?

Brat syknął i usta przygryzł.

— Ja pytam, co ci się śniło? — powtórzył z przyciskiem.

— Pomówimy o tem, tylko weź co cieplejszego na siebie, lub połóż się przy mnie.

— Słuchaj, Benjaminie, — rzekł brat z powściągniętą, ale widoczną niecierpliwością — mnie dalibóg żadne alpejskie zimno nie szkodziło; spałem kilka razy pod śniegiem, byłem na górach, gdzie mi oddech w ustach marznął, i wróciłem stamtąd zawsze zdrowszy, rzeświejszy; lecz jednego dnia, gdy się rozgniewałem, zaraz mi krew nosem i ustami buchnęła: przestrzegam cię o tej ułomności mojej, braciszku, nie gniewaj mnie. Bo to widzisz, mój drogi, — ciągnął dalej, jakby zgadując niespokojne zadziwienie moje — są chwile życia, których nie trzeba na drobniańskie wrażenia roztrwaniać: „a to się zaziębisz — a to weź co ciepłego — a to jedz — a to pij — a to tak — a to owak“. Cierpieć nie mogę całej tej trzygroszowej troskliwości. Jeśli na nią będziesz uczuciem szafował, to kiedyś w wielkiem przesileniu i serca ci zabraknie. Mnie jak o życie chodzi o przywołanie twego sennego widziadła, mnie w głowie przyszłość, sława... a ty kaszel przypominasz, i gdybym pozwolił tylko, byłbyś bżowemi ziótkami zaczął mnie częstować. Czyś ty Niemka rozkochana, czy siostra szpitalna? Toć to wytrzymać trudno!

— No, już nie, już nie nie powiem; lepiej ty mów, czego chcesz?

— Chcę wiedzieć, o czem ci się śniło?...

— A to dziwny człowiek! Chyba z natchnienia naprędcę jaki sen ułożę.

— I owszem, proszę, układaj...

— Otóż słuchaj — śniło mi się, że z drżącą lampką w ręku

spuszczałem się do głębokiej pieczary; w pieczarze były skarby tak wielkie...

— Kłamiesz, Benjaminie, ja ci mogę lepiej twój własny sen przypomnieć. Zastanów się tylko, czyś nie roił, że byłeś Grekiem w pięknych młodej Grecji latach?

— Och! nie, za to ci ręczyć mogę; we wszystkich snach przeszłego i przyszłego życia jestem zawsze tatrzańskim górnikiem, synem ojców moich.

— Alboż ty wiesz, Benjaminie? Może ci się też śniło, że byłeś poetą, lecz rozumiejmy się dobrze — nie takim poetą z piórem w ręku, z palcami w atramencie uwalanemi, nad drewnianym stolikiem, a do tego jeszcze w szlafroku i pantoflach — och! nie, może ci się śniło, że byłeś poetą w dawnych wiekach i na młodszej ziemi, że miałeś siedmiostrunną lutnię w dłoni, a nad sobą tylko niebo, a dokoła siebie, zamiast czterech ścian wilgotnego muru, przestrzeń bez końca i mur życiem bijących piersi. I wtedy śpiewałeś sobie pieśń wielką, głośną, śmiałą, a lud słuchał, czuł, wierzył i śmiał się i płakał, i w żelazne miecze dzwonił według tego, jak pieśń brzmiała. A pieśń twoja Benjaminie i wieniec olimpijski twój — bo dla tłumu wielu śpiewało, lecz ty sam zwyciężyłeś; tobie tłum padł pod nogi i bracia-mistrze się ukorzyli. No, cóż myślisz? snem takim czyżby śnić niewarto, chociażby potem zaniemieć na wieki...

— Prawdę rzekłeś, bracie, ty lepiej ode mnie moje sny pamiętasz; snem poety ja nieraz marzyłem, ale bez wieńca olimpijskiego, bez ukorzenia współzawodników, bez tłumów u nóg moich: marzyłem tylko, że wszystkie serca tętnem krwi mojej biły, że w mojem uczuciu spromieniło się każde w świat Boży rzucone uczucie, że byłem ze wszystkimi i wszyscy byli ze mną, nie niżej, nie dalej, tylko tuż pod bratniej ręki dotknięciem, tuż w samym dźwięku mej pieśni.

— Dobrze, dobrze, Benjaminie, ale dźwięk pieśni to jeszcze nie wszystko życia twojego; młody jesteś, młodosć sama przez siebie władzą i zdolnością, użyć jej musisz koniecznie — nadmiar siły trzeba ci przelać choćby w pustotę. Potrzebie gwałtownych ruchów trzeba stworzyć odpowiednie choćby i szaleństwo, bo przecież wszystkie arterje wzbierają czerwienią sokiem, niby lawą gorętszą; jeśli zbytku twojego nie ciśmiesz



na świata uciechy, to się natura wstecz cofnie i głębię ducha zatruje. Trzeba szaleć, Benjaminie. Czy snu takiego nie miałeś? Może też kiedy widziałeś sam siebie na wozie złocistym, jak, dzielnym rumakom cugli popuściwszy, biegłeś do mety z najślawniejszymi gonitw bohaterami — ty, taki młody, taki niewprawny. Daj pokój lepiej, bo tysiące patrzą na ciebie — tam rzędem kobiety, tu starce, które cię poważnie za nieroztropność zgromią, tam młodzi towarzysze, którzy próżność niewczesną wyśmieją, — daj pokój, tobie w gynecceum jeszcze piosnkami się niańczyć, albo według koloru na krosnach nitki rozsnuwać; daj pokój — ty dziecko, ty słaby, ty śmieszny, w głowie ci się zakręci, ręce ci zemdleją; — daj pokój, ha, może ci tak mówiono? Ale słuchać nie chciałeś, od zamętu, od hałasu mózg ci w głowie zakipiał, ręce drżą do cugli, oczy widzów magnetyzują cię prawie — im ich więcej, tem lepiej. Siadłeś na wóz i pędzisz — konie pianą parskając, obłok kurzu cię okrył, nieba nie widzisz, z samą przestrzenią się gonisz — czy jej uciekniesz, czy ją wyścigniesz? A słyszysz, jak się to śmieją — och! szyderstwo pospółstwa to harpja, co serce wygryza; obelga śmiechu to rozpalone pod czaszką żelazo! Śpiesz się, śpiesz — tam naprzeciwko sędziowie z baczmem okiem i meta już bliska; tobie pęd powietrza głos w piersiach tamuje, chciałbyś krzyknąć — jak krzykniesz, twoje rumaki nowych sił wydostaną... ha! krzyknąłeś i przy mecie jesteś — ty pierwszy! Spójrzj teraz po widzach, śmieją się z tych, co o tobie wątpili, bierz nagrodę i wychodź ze szranek z dumnym czołem, z hardym wzrokiem, i słuchaj, jak po drodze twojej jedni drugim z ust do ust podają: „to on, to on, zwycięzca hipodromu!...”

Brat zamilkł i patrzył na mnie. Juźcić przyznam się państwu, że było wtedy mówić do mnie o koniach, o wyścigach, o tych przemianach zwątpień i nadziei, to jak gdyby kto w oczach szulera najpiękniejsze tasował karty i pobrzękiwał złotemi stawkami; jakoś mi się ciepłej zrobiło, śmiać się zacząłem, a Cyprjan rozgarnął mi włosy i znów dalej mówił, lecz głos jego był uroczysty, głębszy, czasem trochę drżący nawet.

— Może też ci się śniło, Benjaminie, że miałeś głowę arabskimi wonnościami skropioną, tunikę z najcieńszej wełny

sydońskiej utkaną, wieniec różany na skroni, a te skronie wsparte o łono kobiety — lecz nie matki, nie siostry, nawet jeszcze nie kochanki twojej... Benjaminie, czy ty rozumiesz tę chwilę, w której kobieta jeszcze kochanką ci nie jest, a już kocha i kochana? — czy ty rozumiesz tę chwilę? A kobietę taką czy widziałeś? kobietę piękną, silną w namiętności, świętą w duchu swoim? Na jej czole taka myśli potęga, żeby mogła losami Aten kierować, a na jej ustach taka rozkosz, a w jej spojrzeniu taka wabność gorąca i przenikliwa... Czy ty śniłeś o niej? Ej! daj mi pokój z całą powszednich małżeństw uroczystością — co mi po tej dziewicy, która skromnie oczy spuści, jakby drzemać chciała, ustek niewinnie przysznuruje i nie mi nie da w życiu, prócz praw kodeksem zawarowanych. Och! jak innym piorun od świecy, tak inną moja piękna od tej, ze zwyczajowych przepisów uklejonej duszyczki. Tobie także, Benjaminie, inna zupełnie się śniła. Jej oczy jeśli spuszczone, to promień tylko nadziei lub wspomnień zbyt jaskrawy, więc przysłonięty; jej rumieniec to krew, to życie, co z przepelnionej organizacji gwałtownie nazewnątrz bije... a jej miłość!... Ty nie znałeś własnej potęgi, nie rozumiałeś świata, nie czułeś Boga, póki cię ona nie ukochała; piękność, szczęście, cud to miłość jest jej... Wierz mi, bracie, takie kobiety są, i możesz spotkać którą, i możesz kiedyś zapragnąć umrzeć w jej objęciach, żeby już potem nie być choćby nawet szczęśliwym inaczej. A nie nazywaj szczęścia podobnego zmysłowością, rozkoszy twojej rozpustą; zmysłowość będzie ledwie formą najorganiczniejszego wzniesienia się ludzkiej natury w pełność Bóstwa z duchem i ciałem, rozkosz sama w świadectwo przeciw rozpuście stanie. Zmysłowiec tak nie czuje, rozpustnik tak nie używa, jak ty czuć będziesz wszystkimi władzami duszy twojej, jak ty użyjesz całą męskością twej sily młodzieńczej. Gdybyś nie miał każdochwilowego uznania swej godności, gdyby ona nie była ową Medeą, co żywiołom rozkazuje, ale Medeą, która nigdy zbrodni nie popełni, bo wiecznie kochaną będzie; gdybyś ty po jej miękkich wezgłowiach hartowniej wśród spartańskich niewygód zasnąć potem nie umiał; gdyby ona z swych ust rozpieszczonych krwawym na torturach nie splunęła w potrzebie językiem; gdybyście oboje nie mieli tej wyobraźni, co

wam w poezję każdy całunek ozłoci, tej śmiałej myśli, co z każdej siły radosnej chwilę siły wyciągnie, co zawsze nową prawdę wykryje, lub nowy sposób na szczęście utworzy; gdybyście nie byli tak właśnie duchem potężni, inteligencją wzniesieni, przyznaniem szlachetni — tobyście i tak szczęśliwi nie byli, bo szczęście, słuchaj, niech ci się chociaż śni o tem, Benjamine — szczęście zupełne jest dane tylko temu, kto mnie najpokorniej dla dobra bliźnich cierpieć i najnamiętniej kochankę do drżącej piersi przycisnąć.

Ucichł znowu Cyprjan; ja go słuchałem jeszcze, dziwy mi się po głowie roily, wszystkimi jego słowami niby krew w żyłach wzbierała — jednak czulem potrzebę odparcia tych wrażeń.

— Kusicielu! — rzekłem zeicha.

Brat się nachylił, pocałował mnie w czoło, ale nagle świeca, którą trzymał, zadrżała, upadła z lichtarzem na ziemię i zgasła. Schwyciłem Cyprjana za rękę, ręka była zimna jak lód — krzyknąłem. Karol się obudził, wstał prędko, świecę znów zapalił i przy jej świetle ujrzeliśmy Cyprjana bez przytomności, na krawędzi łóżka przewieszzonego... Krew mu się kawałami z ust waliła... był przerażającej, żółtej jakiejś bladeści... myślałem, że już umarł. W tej chwili dzwonić w kościełku na mszę pasterską zaczęto...

Przepraszam państwa... muszę odpocząć trochę. Kiedy sobie ten obraz przypomnę, jest mi okropniej, niż wtedy było nawet.

### III.

A cała ta okropność czy też się domyślacie, skąd przyczynę wzięła; gdzie cel obrała sobie?... Cyprjan do wykończenia jakiegoś obrazu potrzebował moich rysów i układał je sobie w zamierzonych wrażeń odbicie; artystą, wielkim artystą był mój brat Cyprjan.

Ja wam powiem tylko: gdybym dzisiaj miał sławnych patriarchów zwyczajem, błogosławić najukochańsze dziecko moje i gdybym był wierzył w nieomylność mego błogosławieństwa, jak w czarosilne zaklęcie talizmanowej formułki, to nad głową schylnego u kolan moich wzniołszy oczy do nieba, z głębi duszybym wołał: „Niech z drogi twego życia

Bóg artystów usunie!“ Ha, gotowicie się rozgniewać na mnie, wy wszyscy zakochani w piękności i sztuce, a ja przecież nie o was mówię; sztuka i piękność, do życia wzięte użyciem, przynależą się każdemu, mnie, tobie, wam i im. Lecz być artystą wszakże to co innego, jak być używającym. Być artystą znaczy tylko być obdarzonym pewną ilością mózgu, który w pewnem miejscu czaszki tworzy pewną wypukłość, nie więcej, wiercie mi. Używający musi mieć serce do ukochania tego, co używa; ukochanie samo w sobie nie zamknie się nigdy. Ukochanie prześwieci w nieskończoność dobrą podniętą i czynem szlachetnym, ale artysta tworzy, nie kocha. — dzieło po dziele odpada od niego, chwila po chwili zstępuje w przestrzeń, ogranicza się kształtami i póty jest prochem, póty Salomonową słońca próżnością, póki jej obce nie przejmie uczucie, póki jej obcy rozbudzony entuzjazm w nieskończoność życia nie pchnie. Artysta tworzy tylko, tworzy zaś, bo ma zdolność i musi tworzyć, bo tego wymaga organizm całej jego istoty, bo pszczoła także musi miód wydawać, kwiat musi pachnieć, woda rzeki musi płynąć, — ale jak tworzy, naco tworzy? to jest w nim odrębnością, to już artystycznej nie stanowi natury. Czasem tworzy okropnemi sposobami: żeby odmalował konającą twarz Chrystusa, przybija do krzyża żywego człowieka i bok mu włócznią śmiertelnie rani. Żeby wyśpiewał piosnkę miłości, kładzie spokojne ucho na wzburzonej piersi, nastraja do gry krwawe żyły cudzego serca i przebiera po nich marmurowemi palcami dopóty, dopóki mu artystycznego nie wydadzą dźwięku, a jak wydadzą, to choćby też wszystkie struny pęknąć i splątać się miały, oddziera od nich palce, przenosi je coprędzej na kościane klawisze fortepianu, może na smyczka włosienie, i co podsłuchał, odgrywa dokładnie, i czem pamięć naciągnął, tem echo dętych instrumentów wypełnia. Czasem też artysta sam z siebie wymyśli wrażenie jakiegoś dźwięku, sam sobie wyrysuje nigdzie niewidziany obrazek. O! to jeszcze niebezpieczniej, bo wiecie przecież, że on uczuciem i miłością znieśmiertelnić tego nie może, on musi w kształty ująć, skończonością zawarować. Więc też szuka kształtu, dobiera sobie warunków, próbuje pomysłu swojego, a zawsze na żywych przykładach, jak doktorzy nowych lekarstw probują... podobno

tylko na zwierzętach żywych... No i cóż? czyż za to przekleństwo rzucić artyście? a jeżeli też wzamię cierpień i krwi waszej da nam jakie arcydzieło, prześliczny obraz, cudną nutę piosnki, to cóż? przeklinać także? O! nie, tylko niech ci, których kochają, zdała artystów idą drogą swoją... Patrzcie, co za ogień wyborny! świeci i grzeje — wyborny ogień! a jednak zwolna wszyscy usunęliście się od kominka i między nim a wami zostało puste, szerokie koło; genjusz artysty ogniem jest — rzucajcie mu na pastwę wszystko, co chcecie, tylko nie rzucajcie złotego szczęścia i serc, miłością bijących. Alboż wy to Sobejczykowie, lub Gwebry, czciciele tego, co świeci? Ja wam powiadam, światłość dla was, jak powietrze dla was, jak pokarmy i napoje dla was. Wyłączono już bóstwo z natury, nie biją dziś pokłonów słońcu, gwiazdom i księżycowi — wyłączenie i wy część waszą z użycia piękności i sztuki, postrącajcie artystów z ołtarzy waszych, bo to nowe bałwochwalstwo tylko, sobeizm intelektualny. Co jest Boskiego w artyście, to dane przez was i wam; co jest Boskiego w artyście, to właśnie rozłączać się z nim musi ciągle, żeby stanęło przed wami; co w nim Boskiego, to przez jego duszę sączy się niby olej skalny i nazewnątrz dopiero w zetknięciu ze wzrokiem waszym, i z myślą waszą, i z uczuciem waszem może się w blaski rozetlić; ale tam w głębi, tam tylko masa jakiejś czarnej ziemskiej gliny, trochę odmiennego gatunku. O tak, dobre mi słowo na myśl wpadło: artysta jest tylko odmiennym gatunkiem człowieka; co tam sądzić, ganić, chwalić, jest odmiennym i koniec. Niechże kto wielbi białość, a błękit potępia. Ja do Cyprjana żadnej nie mam urazy — biedny Cyprjan! jego życie stargane, zakłócone sny mojej młodości! czyż ja się mogłem domyślić, że to wszystko było planem jednego obrazu?

.....  
.....

Benjamin zaczyna marzyć o Aspazji, o wielkiej, pochłaniającej namiętności, o szczęściu. W warunkach fantastycznych poznaje (na Węgrzech, gdzie pracował jako górnik) panią czarodziejskiego zamku, Aspazję z portretu Cyprjana. Szaleje ta poganka, szaleje z nią cały jej świetny dwór. Oddał całe serce Benjamin tej, co skarby złota cisnęła na huczne biesiady, skarby umysłu na gawędki płonne, a piękność swoją stawiała na zadziwienie tylko.

I ona go pokochała — zniszczeniem. Truciznę szalu w żyły jego wsączyła. Nie dała mu odejść, gdy wzywali rodzice i bracia — w chwili, gdy na ołtarzu ojczyzny największe składali ofiary. Odjęła mu wszystkie skarby na użytek chwili: zapal, natchnienie, poczucie piękna, władzę marzeń; władzę szczęścia.

I wszystko pokolei odrzuciła, aż wreszcie się znudziła, innej szukając zabawy. W Benjaminie budzi się oburzenie na tyranię. Z zazdrości zabija człowieka, na którym z upodobaniem spoczęły oczy Aspazji. To staje się powodem zerwania, a Aspazja rozkoszuje się jeszcze jednym, ostatniem wrażeniem, jakiego mógł jej jeszcze dostarczyć kochanek.

(Tamże, st. 135—6)

I wróciłem do Aspazji, powiedziałem jej wszystko: Aspazja wysłuchiwała mnie bez oburzenia, bez wstrętu, ale zamysliła się głęboko — i po długim milczeniu rzekła zimnym głosem sądowego wyroku:

— Ja ciebie nie kocham, ty mię nie kochasz, rozstańmy się, Benjaminie.

Gdym usłyszał te słowa, ciemno mi się zrobiło i język mi zdrętwiał; potem przez chwilę patrzyłem na tę kobietę, i w mózgu moim postawa jej odbijała się z taką dokładnością, jak niegdyś postawa tego wilka, co Zittę za piersi chwycił.

Nie uszło mojej bacności ani jedno zawiązanie misternych kóteczek perłowej siatki, którą na włosach miała, ani jeden fałd jej kaszemirowej, jasno-zielonej sukni — pamiętam każdy odblask światła, który się łamał w dwóch przepysznych opalach na jej obnażonych ręku, bransoletami upiętych; pamiętam, jak trzymała te ręce, łokciami przed sobą wsparte o stół ciemny i w dziwaczne arabeski mozaiką wykładany; pamiętam, jak na zaciśniętych dłoniach brodę oparła, jak jej szyja wygięła się przez to, jak cała głowa wtył przetrzciała, jak jej to nadawało wyraz dumy i zuchwałstwa, jak mi spoglądała w oczy temi swojemi oczyma, które jej poczerniały prawie od czarnej krwi jej serec. Potem — och! potem — wzgarda płomieniem z piersi do ust mi buchnęła, rozgrzała mi się język, splonąłem z niego wszystkie obelgi, wszystkie moje męczarnie, wszystkie przekleństwa. Aspazja słuchiwała ich z tą samą spokojnością, jak pierwej, gdym jej mówił, że

przez nią i dla niej zabiłem człowieka. Ta spokojność wywołała ze mnie wściekłą i dziką myśl zemsty; przyszło mi na myśl, że jak ją zabiję, to przecież choć pod pehnięciem sztyletu zadrgną rysy jej twarzy i usta jękną boleścią... Chęć moja uprzytomniła mi się tak dobitnie, że gdy ją nagle ujrzałem prawie spełnioną, sam siebie się przeląknłem i uciekłem z pokoju... Dziwna rzecz — ani byście zgadli, czego ja najwięcej żałowałem, gdy z pierwszego uniesienia zawziętości ochłonąłem. Dziwna rzecz, że ja żałowałem, że Aspazji nie zabiłem dawniej, och! dawniej, kiedy ją kochałem jeszcze. Mnie rozpacz brała nie za kobietą, lecz za miłością moją. Nie mieć miłości, tracić tak najpierwszy istnienia swojego warunek, patrzeć tak na pogrzeb własnej duszy dlatego, że się na ohydę wybranego przedmiotu patrzyło, to okropnie! Czyż nie lepiej byłoby, czyż nie stokroć lepiej, gdybym był zabił Aspazję wtedy, jak ona ze mną razem na gwiazdy patrzyła, jak włosy i oczy moje całowała, słuchając zdala płynącej piosenki — czyż nie lepiej? Ja umarłą byłbym owinął we wszystkie pamiątki moje, i byłbym przechował na dnie serca bez uszkodzenia, bez zmayı grobowej, i byłbym ją kochał na wieki — i wtedy przypomniałem sobie te pierwsze prawie do mnie wyrzeczone słowa: Bóg kocha zniszczeniem i tajemnicą. Zrozumiałem je, łązy mi w oczach stanęły. Aspazja znikła z pamięci, został tylko żal niewymowny, rozpaczliwa ku przeszłości tęsknota, wydarcie się wszystkich władz ducha ku temu, co już minęło!

(Tamże, t. II, str. 1—5).

### **Wstępny obrazek**

(r. 1861)

Jaki to był prześliczny ów kominek, cośmy go kilka lat temu gronem dobrych znajomych z domu Emilki<sup>1)</sup> obsiadali, codzień prawie, przez całe długie, jesienne i zimowe wieczory! Niziutki, czarnym marmurem wyłożony, miał dokoła brązową galeryjkę od staczania się głowien zabezpieczającą, dwie żelazne podstawki, na których się drewnka układało — a drewnka

<sup>1)</sup> Anna z Sokołowskich Skimborowiczowa.

olszowe, takie suche, tak mało zostawiające po sobie węgla i popiołu, tak czyste, jasne, płomiennie, że choćbyś miał smutek na sercu, choć zgryzotę na sumieniu, to przy ich blasku i myśli ci się rozjaśnia, i droga zbawienia ukaże. Teraz jeszcze trzeba sobie wyobrazić, że ten kominek bezcenny znajdował się w dosyć dużym i wysokim pokoju, że ten ogień niepokalany rozświecał połyskami swojemi cztery bielutkie ściany, dwa gotyckie okna z przymkniętymi od ogrodu okiennicami, śnieżyste zwoje muślinowych firanek, złote ramy kilku miejscowych krajobrazów, karmazynowym adamaszkiem wybite meble, fortepian w głębi stojący — a począwszy od ósmej godziny, trochę na uboczu, stolik niewielki z całym herbacianym rynsztunkiem, ze szklankami, filiżankami i z świecącym samowarem, który w miarę dosypywanych węgla syczał lub warczał gotującą się w nim wodą. Im niepokodniej było na dworze, tem rozkoszniej lubowaliśmy się ogniem kominka i cichością pokoju, i muzyką samowaru — ach! bo nam wtedy tak dobrze było jednym z drugimi, ach! bo my wtedy kochaliśmy się tak szczerze, szanowali tak ufnie, spodziewali się tak niemylnie!... Dzisiaj? los nas rozwiął po szerokiej ziemi, obojętność, zapomnienie, gorzka uraza lub żal gorzki śladem za tymi lub owymi biega. Gdyby nam znów gościnne kto rozniecił ognisko, gdybyśmy się tak wszyscy dokoła niego zgromadzili — czyby się też zapomniało uraz? czyby już wszelką z serca zrzuciło tęsknotę? czy przyjaźń znówby zbliżyła dłonie, a pogodą czoła błysnęły? Nie, ja radzę, nie próbujcie nigdy powtórzenia przeszłości waszej. Kto kochał wtedy, niech już teraz ukochanych swoich nie spotyka, kto w trumnie złożył najdroższych, niech dziś wskrzeszonych nie ogląda. Kto stracił, niech nie odzyskuje, bo to okropność spostrzec po latach dwóch, trzech, dziesięciu, spostrzec, jak oni różni od tego, czem byli, lub jak my sami różnymi; zawieść się na nich lub na sobie, z wspomnienia mieć rozczarowanie lub w obecności zegar, bijący smutną niedołęstwa godzinę!.. Bogdajby to nam oszczędzonym zostało, nam wszystkim, cośmy wówczas siedzieli przy kominkowym ogniu i gwarzyli tak wesoło, tak swobodnie, tak pocziwie; a była nas dość liczna gromadka, a nieraz jeszcze ktoś z dalszych znajomych zawitał. Pamięć



moja wiernie mi przechowała każdego, i przechowała takim, jakim go miała w chwilach owych, nie takim, jakim jest teraz, lub jakim ja go być sądzę. Najpierw Emilka, pani domu, wdowa po mężu, który jej zatruł dni pierwszej młodości <sup>1)</sup> — była to — waham się w doborze wyrazów, anioł czy święta? — boć jeszcze między jednym a drugim wielka zachodzi różnica, w niej zaś do jednego i drugiego wielkie było podobieństwo. Anioł, posłannik, to duch czysty i spokojny, który prosto, jak rozkaz Boży, ku dobremu idzie. Święta, to córka tej ziemi, która w trudach i boleści walką i zwycięstwem dokupuje się nieba.

Otóż myśl Emilki była aniołem, jej serce świętej sercem — jak anioł nie wątpiła ona nigdy, cicha i spokojna, żadnym instynktem, żadną potrzebą ciała ani umysłu nie stanęła na poprzecz prawdom religji chrześcijańskiej, ale ta walka, unikniona w rozumie, przeniosła się do serca i serce cierpiało okropnie.

Występkі bliźnich, niedoskonałości ukochanych, klęski braterskie, stawały się dla niej żywym jak rana cierpieniem — oburzenia, skargi, potępiających wyroków nie znały usta Emilji; znała jej dusza zato okropność daremnych wysiłen i ciężkie próby strudzenia — wszystko jednak przetrwała, zawsze łagodna jak słońce, które złym i dobrym świeci, zawsze cierpliwa jak rzemieślnik, który dzień po dniu też samą robotę zaczyna, zawsze łatwa do oszukania jak dziecko, które samo nikomu nie skłamało jeszcze; bo ona anioł i święta — dwie istoty w połączeniu swoim tworzące taką kobietę, jaka za trzysta lat, najprędzej i najpochlebniej dla rodzaju ludzkiego licząc, będzie dopiero mogła żyć bezpiecznie, błogo i szczęśliwie.

Teraz miejcie się z nią na ostrożności, młode głowy i ufne serca. Emilka wam świat cały w swoje własne ubierze sukienki, pójdzie z wami szukać ślicznych, a dalszych niż niepodobieństwo obrazków, rozpieści was za łada pocziwą obietnicę, nie wyłaje nigdy, nie odepchnie nigdy, choćbyście na to sto razy zasłużyli, choćby to wam do zdrowia najpotrzebniej-

---

<sup>1)</sup> Szczegół, maskujący osobę. Mąż Emilji-Anny, wymieniony w dalszych kartach obrazka — Teofil Dzieciak.

szem było — chyba... lecz znów życie aniola płynie tak jasnym strumieniem, że zupełnie „czarne djabły“ nic z niem nie mają wspólnego. Stąd też zapewne Emilka w swoim własnym przekonaniu jest bardzo surowa, bo żadnemu z nich nie przebaczyła jeszcze, a inne odcienia popielate, sine, brudne, jej białości nie ujmują przecież, same nią wzbogacić się mogą. — Emilka nie wątpi o nikim. Śmiałam się z niej czasem, że gdyby od niej zależało, toby nawet Judasz był kiedyś zbawionym, i trzeba wyznać, że nigdy szczerze na ten żart nie odpowiedziała.

Obok Emilki, jako zupełną inność, Felicję<sup>1)</sup> sadzać lubiłam. Felicja była dla mnie ideałem obecnej chwili, miała się potrzebną do moralnych tego wieku zapasów, namiętne wszelkiego dobra pragnienie, gwałtowną złego nienawiść, sąd rozumu bez litości, miłość dla myśli swej większą niż dla ludzi, a jednak ludziom bratniej myśli rękę z pomocą wyciągniętą i życie całe wylane. Jak Emilja nie znała, tak Felicja nie rozumiała błędów i ułomności ludzkich. Emilji grzech bliźniego tłumaczył się nieszczęściem, lub enotą omyloną, Felicji upadkiem zupełnym; przed Felicją nie było sakramentu pokuty i łez oczyszczenia — jeśli wzgardą nie zaczęła, to przeszła obojętna, tuląc dokoła szaty swoje, aby gdzie mimowolnie ich skrajem kału brudnego nie dotknąć. Kiedy jej raz wymawiałam taką niemilosierzną sprawiedliwość, brakiem czasu mi się tłumaczyła. Według zdania Felicji, łatwiej nowe wznosić, niż zniszczone podźwigać; zniszczenie uważała ona za najgłośniejsze dla wszelkiej niedokładności następstwo i oddawała mu bez żalu zrywane stosunki, zapomniane imiona ustających na pół drogi towarzyszków swoich. Felicja choćby i za najartyściejszych wrażeń podarunek nigdy się spóźnić nie chciała. Czynność jej była zadziwiająca — od najprostszej jałmużny do najwznioślejszej około oświecenia bliźnich pracy, od gospodarstwa domowego do filozofji, od igły do poezji, od gawędki do nauczania — dni jej starczyły na wszystko i wszystko było dobrze lub pięknie, szlachetnie lub odważnie. Prawda, że też Pan Bóg do wszystkiego jej drogę ułatwił: od dzieci-

---

<sup>1)</sup> Bibjana Moraczewska

stwa otoczył ją kółkiem poczeiwej rodziny, dał jej kochającą matkę, wykształconych braci, położenie w świecie niezawisłe, wyższe zdolności umysłowe i prawą naturę.

Pieszczona, rozumna, śliczna, biała jak lilijka, jasna jak gwiazdeczka, tak snadnie wzbija się na wysokości człowieczeństwa, tak wygodnie zawarowała osobistość swoją w zatraceniu egoizmu, radość swoją w obowiązkach, że nie umiała sobie dobrać skali na mierzenie postronnych uchybień. Jej życie całe było czyste i tylko ciągle z niższej do wyższej przechodząc piękności, rozwijało się, niby dzieło muzyczne według praw rytmu i harmonji, w coraz śmielsze, bogatsze i wdzięczniejsze akordy. Nigdy Felicja nie miała powodu, żeby choć na chwilę o samej sobie zwątpić. Z okiem badawczem, nieustannie w głąb własnej duszy zwróconem, widziała tyle świętości, tyle prawdy w jej najtajniejszych zakątkach, że prawda i osobiste uczucia w jedno się dla niej zlały zupełnie, i że nakoniec, jak każda wyższych przeznaczeń istota, wierzyć sama w siebie zaczęła. Współwyznawców jej nie brakło; ja także należałam do ich liczby. Felicja, pełna wdzięku i uroku, odważna, dowcipna, otoczona przyjaźnią sere poświęconych, zazdrością niekzemnych, a szacunkiem ogółu, wyobrażała mi kobietę najzdolniejszą do przeprowadzenia w rzeczywistość wszystkich kobiecych o niepodległości marzeń. Ona jedna mogła stanąć tak silnie, że jej boleść nie zachwiała, tak wysoko, że jej śmieszność nie dosięgła, a tak pięknie i bezpiecznie, że aż innym z nią razem stanąćby się chciało. Wszystkie cnoty, które jedynie w normalnych warunkach bytu ludzkiego rozwinać się mogą, były właśnie cnotami Felicji; brakło jej wprawdzie cnót anormalnych, drobnych cnót cierpienia, lecz co tam dzisiaj po nich — cnoty cierpienia, pokora, skrucha i litość bez granic, rezygnacja niewyczerpnięta, to dobre dla ascetów, dla pustelników Tebaidy, lub męczenników Kolizeum. Nam trzeba cnót siły, cnót triumfu, nam trzeba koniecznie cnót szczęścia, żeby inni w nas uwierzyli i tak jak my cnotliwymi się stali. O! bo głównie o innych chodzi. Pojedynczej duszyczki Bóg chyba teraz nie wpuści do królestwa Swego; to samolubne zbawienie postów i umartwień, długich pacierzy i ciasnego życia, nie jest zbawieniem godziny dzisiejszej. Cierp, ale

żeby braciom twoim weselej było na świecie, módl się, ale żeby nieprzyjaciołom twoim jaśniej było w duchu — to Bóg kiedyś policzy cierpienia i przyjmie modlitwy twoje. Jak nie, to nie.

### Adeodat.

(1857)

Adeodat po długiej tęsknocie do Boga wśród samolubnych rozmyślań na puszczy, znajduje wreszcie drogę, wiodącą ku Niemu, a prowadzi ona przez miłość tworów Jego. Więc wychodzi z puszczy, szuka ludzi, by świadczyć im o Bogu, pozyskiwać dla prawdy i miłości. Spotyka ludzi w salonie, pod strychem, na ulicy, w chałupie — aż wreszcie kres poszukiwań swoich znajduje na cmentarzu. W salonie rozmawia z „Młodą osobą“. Rozmowa pochyla się od wrażeń z koncertu, lecz schodzi niebawem na tory osobiste. Adeodat szuka prawdy w stosunku między słowem i formą zewnętrzną a wewnętrzną. Treścią życia.

(Tamże, t. III. str. 191—231)

### *Młoda osoba.*

Czy pan dziwak tylko, czy rzeczywiście lepszy od drugich człowiek? trudna do rozsądzenia sprawa. Żeby jednak przypadkiem „lepszego“ nie obrazić, wolę już nawet dziwakowi dogodzić. Odpowiem na pana zapytanie, odpowiem śmiało i wyrażnie, bo ja przez skąpstwo może, a nie przez wstyd i lekceważenie milezę tam. Chciałeś pan wiedzieć, czy kocham? Więc tak jest, kocham, wkrótce nawet zamąż pójdę. A szczęśliwa, a dumna jestem wyborem moim: to ramię, na którym się wesprę, dobrych uczynków ułatwi mi spełnienie; to serce, któremu zaufam, nie zmarnuje miłości mojej na marzenia bez celu i samolubną pomyślność. Och! gdyby pan wiedział, jaka to dusza czysta, szlachetna, poświęcona! jakie wzniosłe o przeznaczeniu człowieka pojęcie! jakie na przyszłość zamiary!...

Lecz panowie przecież mogą się z sobą zapoznać... on tu dzisiaj będzie.

*Przyjaciółka nowo-przybyła*

(zbliżając się do młodej osoby).

Witam, witam piękną narzeczoną. Ach! moja droga,

cuda słyszałam o twoich przedślubnych upominkach: diamenty w broszce szczególnie mają być prześliczne. A co za ekwipaż się gotuje!... Brat mi powiedział, że najpiękniejsze konie z całego ciechanowieckiego jarmarku dla ciebie są kupione...

.....

Młoda osoba, cokolwiek zmieszana słowami przyjaciółki, prosi Adeodata, by zbyt pośpiesznego sądu nie wydawał, zapoznaje go z wchodzącym w tej chwili narzeczoną i oddała się, pozostawiając ich samych.

Przyjaciółka zapytuje półgłosem „Młodej osoby“, kto jest ten pan, który tak długie prawił morały i na odpowiedź: „To jakiś zaenany oryginał, któremu jednak miałam szczęście się podobać“, czyni wesołą uwagę: „Biedny! zapóźno przybywa.“ „Adeodat słyszy wszystko i dziwi się“. Tymczasem „Obywateł“ (narzeczoną) rozwija przed Adeodatem swoje teorie, ubolewając, że każdy obywatel „jest raczej ekonomem, niż panem w swoich dobrach: zasieje, zbierze, i eo się da z reszty, do kieszeni schowa“.

Kawałek kraju, kawałek królestwa na własność mu oddany, a słusznieby się rzecz godziła wydzierżawiony przez Opatrzność, zdaje mu się tylko materiałem, utrzymanie i przyjemności życia zabezpieczającym. Nikt względem niego szlachetniejszych nie pojmuje obowiązków nad obowiązek prostego wyzyskiwania. Są przecież, są ogromne, moralne obowiązki. Właścicielowi jakiejś części na tej ziemi niewolno się samolubnym odgradzać interesem, niewolno zasklepić w ciasnym kółeczku swoich potrzeb i życzeń. Myśli jego, prace, przedsięwzięcia wszelkie silnym cementem z całością łączyć się winny. Jakąby chciał kiedyś ludzkość widzieć całą, taką powinien starać się ojcowiznę swoją uczynić. Jeśli uznaje, że ludzkości byt dobry potrzebny, to niech się stara o byt dobry w ojcowiznie swojej: niech zasiewa odłogi, osusza błota, wznosi obszerne i porządne chałupy, hojnemi rękoma niech płacę zarobku sypie. Jeśli oświata jest w jego mniemaniu potrzebniejszą, to niech szkółki dogląda, dzieci egzaminuje, z przesądami starszych walczy. A jeśliby serce jego za religią głównie, za cnotą, za braterstwem między ludźmi tęskniło, to niechże cnotę i braterstwo szczepi; niech od pijaństwa odzwyczajają, rodziny godzi, obyczaje poprawia, niech się wspólnie

krząta, smuci, pociesza i modli. Widzi pan, ja to zowie królestwem, panowaniem obywatela. Na tym gościńcu przedewszystkiem chcę postępu i wszelkich możebnych udoskonaień; nowości przyjdą później, znajdują się w swoim czasie i miejscu, będą nawet pomocą te, co są trucizną dzisiaj.

### *Adeodat (rozrzewniony).*

Niech pan raczej bez wszelkiej przerośni powie, że gdy ludzie zaczną kształcić moralną swoją naturę i sumienie swoje, to dopiero na gościńcu prawdziwego postępu się wydostaną. Czy obywatele, czy urzędnicy, czy chłopi, czy panowie, dla wszystkich jedno prawo. Jeśli o królestwo niebieskie starać się będą, reszta przydana im zostanie. Nadużywano tych świętych wyrazów Ewangelji, utworzono z nich jakąś formułkę ascetycznego wyrzeczenia się i ubóstwa; tymczasem w nich tkwi najpraktyczniejsza, najważniejsza zasada ekonomji społecznej. Póki się ludzie nie zaczną starać o to, co jest dobre, sprawiedliwe i święte, póty im zawsze brakować będzie nawet tego, co jest wygodne, przyjemne i potrzebne. Wiek za wiekiem upływa i doświadczenie za doświadczeniem idzie, a nieomylność tego prorocstwa i mądrość tego przykazania stwierdza się coraz dowodniej.

### *Obywatel.*

Już-to zaprzeczyć trudno, że moralne udoskonalenie natury ludzkiej jest wspólną koniecznością dla szczęścia wszelkich stanów; ale przy dzisiejszym rzeczy układzie, dla nas szczególnie, postęp tak zwanych wyłącznie „obywatelskich” stosunków i zasad jest niewątpliwie głównem terażniejszości na przyszłość zadaniem. Same okoliczności to wskazują. Tu pan już masz gotowy do obrobienia materiał, masz przed sobą czas i przestrzeń, masz grunt, ludzi i władzę rozkazywania — idzie tylko o to, byś miał myśl w głowie, miłość w sercu i wiedział, co rozkazywać.

*Gospodarz domu (zbliżając się do obywatela).*

Ciężkie czasy, ciężkie czasy, dobrodziej! Urodzaje ogromne, żyto tanie, najemnik drogi! Po wieleż pan u siebie płaci?

*Obywatel.*

Po 40 groszy; ale i wódka trzy razy na dzień w przydatku.

*Gospodarz domu.*

Mój rządcą pisze, że i za 2 złote nie chcą w naszych stornach wychodzić. Ciężkie czasy, ciężkie czasy! A cóż ta sprawa pana z zarobnemi wsiami, czy już skończona?

*Obywatel.*

Niebardzo zręcznie mój adwokat mi ją pokierował; teraz pójdzie pod decyzję senatu.

*Gospodarz domu.*

Pod decyzję senatu? No, to właśnie doskonale się trafia: zapoznam pana z osobą, wielkie tam wpływy mającą. Musisz pan jednak godzinkę czasu wśród nas wiścierzy przepędzić. Wiem, że to będzie wielkiem poświęceniem z jego strony; lecz interes przed szczęściem, mój panie młody.

(Uśmiecha się znacząco).

Dam panu miejsce przy jego stoliku, zwykle on punkcik po pół rubelka grywa.

*Obywatel.*

Żal mi czasu, tego się nie zapieram; ale z wdzięcznością umiem cenić dobre chęci łaskawego pana i jestem na jego rozkazy.

(do Adeodata).

Pan nie z nami?

*Adeodat.*

Nie, nie z panami.

(Patrzy się za odchodzącymi i dziwi się).

Rozmowa z literatem równie niespodziewanie się kończy, bo ten, który gromił pisarzy, że brak im namaszczenia Bożego, iskry ożywecej, sam jest autorem dzieła, pisanego przeciw ludziom, nie za prawdą swego przekonania. Wyjaśnia sprawę po odejściu literata, przysłuchujący się z boku Urzędnik, który ze swej strony utrzymuje, że zdolności nie na wiele się przydadzą, gdy braknie im pokory, t. j. ukochania prawa Bożego i ofiary, t. j. zrzeczenia się swego samolubnego ja.

Pokory więc i ofiary! wołam ciągle do młodzieży naszej. Ale głos mój jest głosem wołającego na puszczy. Głowy zbyt pełne, serca zbyt puste u wszystkich. Pozbawione równowagi to, co zbyt pełne, nisko upada i w brudzie ziemskim się tarza; to, co zbyt puste, na powietrzu bez żadnej buja sobie podstawy — inteligencja służy zaspokojeniu potrzeb, serce dziwactwom chwilowym! Kto ma bystrzejsze umysłowe zdolności, używa ich na wyrobienie sobie kariery; komu serce uderza, to chyba do jakich rozmarzających utopij. Prawdy życia, zgody między swoim powołaniem a przeznaczeniem ludzkości, między jednostką a ogółem, między ideałem a możliwością, nikt dzisiaj w ustrój praktyczny nie sprzęże. bo nikt w sobie pokory nie ma, nikt ofiarować się nie umie; ofiarować dla myśli Bożej i dla prawdy ukochanej ofiarą prawdziwą, ofiarą Abła, ofiarą Izaaka na stosie, Chrystusa na krzyżu.

*Adeodat.*

Są jednak ludzie cichej duszy i pokornego serca, ludzie...

*Urzędnik.*

A ja panu powiadam, że ich niema. Gdyby takie drzewa rosły w naszych ogrodach, czy tam lasach, toć przecię znałoby je było po ich owocach. A gdzież — obejrzyj się pan dokoła — gdzie tu pokory i ofiary owoce? Nędza, ucisk, kłamstwo, zepsucie, martwota; oto są gorzkie jagody rozrastających się po ziemi naszej cierni.

Po dłuższej rozmowie wzruszony Adeodat woła: „Święte słowa pańskie”. Lecz tu się okazuje, że ów urzędnik jest właśnie tą wpływową osobą, która za przegraną do niego sumę pokieruje odpowiednio sprawą w senacie, zapewne na niekorzyść „zarobnych wsi”.

*Młody obywatel* (przychodzi i grzecznie się skłania).

Teraz na pana kolej znowu; robr już rozegrany.

*Urzędnik.*

A przy kim szczęście?

*Młody obywatel.*

Przy zasłudze, choć to się nieczęsto zdarza; pan gorą między nami.



(Oddalają się; Adeodat zostaje sam, patrzy za nim i dziwi się ogromnie. Po chwili wysuwa się niepostrzeżony z salonu).

*Adeodat (idąc przez sięń).*

Święte słowa! Tak jest, ci ludzie napamięć wszystkie święte słowa umieją!..

.....

*Adeodat na ementarzu.*

Kiedy z puszczy wychodziłem, to się przygotowałem na wielkie cierpienia, na szyderstwo, nienawiść, na kamienie potwarców i krzyże prześladowców. Dotychczas nikt mię jeszcze nie ukrzyżował, nie spotwarzył, nie zaczepił, nie wyśmiał urągliwie, a jednak smutnym i utrudzonym się czuję; bo mię wszędzie obojętność lodowatym opasała murem i wszędzie mi poznać dano, że się na nie braćiom moim nie przydam. Boże! wesprzyj mię w tym ucisku! nie wwódź mię na to pokuszenie! Zaiste, nie mam prawa zrażać się i przy pługu ustawać. Są już w ludzkości wszystkie do jej zbawienia potrzebne warunki; są władze potężne, które tylko w odpowiednie sobie użycie nie weszły; skarby, które tylko zagospodarzyć trzeba. Jest rozum, co doścignął wysokości słowa Twojego, Panie! — jest nawet serce niejedno, co ukochało Twą świętość; nędza tak ciężka, że litość Twoją wzruszyć może; siła wierzenia tak niezachwiana, że niąby góry przenosić się dały; jest wszystko, chociaż wszystko, niestety, w chaosie i rozstrojeniu. Gdzie wiedzą, co najlepsze, tam niczego, co dobre, spełnić nie umieją; gdzie pragną tego, co sprawiedliwe, tam przeciw temu, co zdrożne wytrwałej cierpliwości nie stawiają, gdzie ponoszą, co najdotkliwsze, tam do tego, co uszlachetnia, nie tęsknią; gdzie wierzą w to, co nadzmysłowe, tam jeszcze temu, co jawne, nie ufają. Słowom ludzkim brak wiary i miłości. Miłości ludzkiej brak spokoju i nadziei; cierpieniom ludzkim brak uświęcenia i godności; wierze ludzkiej brak słowa prawdy Twojej. Ale Ty, Panie! nad błędzącymi zachowałeś Sobie aż do skończenia czasów pełną tajemnic i grozy opiekę. Ty masz w ręku Swojem — śmierć. Grób zwolna chłonie wszyst-

kie grzechy i boleści, a wieczność zwolna prostuje wszelkie zboczenia, zaciera wszelkie skazy. Wobec grobu i śmierci któżby śmiał zwątpić o duchu człowieczym? któżby wrogowi swemu nie przebaczył? któżby nad nieszczęśliwym się nie rozweselił? Grób oczyszcza, grób usprawiedliwia, grób pociesza i łagodzi. Widzisz zbytek szalejący zuchwalstwem? Poczekaj chwilę — śmierć go ze złota i diamentów obdrze. Widzisz miecz obojętny w szalonego dłoni? Poczekaj chwilę — śmierć go wytrąci i skruszy. Widzisz lzy na zmienionej twarzy, krew na ranach świeżych? Poczekaj chwilę — śmierć wszystko uciszy: ku śmierci każdy biegnie i śmierć idzie ku każdemu. Śmierć z sądem, z zapomnieniem, z odpoczynkiem, z zagładą — a jednak.... śmierć z nadzieją poprawy i z wiecznością udoskonalenia! To, co mię jątrzy, co mię oburza, co mię dręczy i zniechęca, to jest chwila przemienna tylko. Czyż ja dla tej chwili jednej mam ludziom złorzeczyć i sam w drodze się cofnąć?... Nie, nie, bracia moi, bracia obojętni i oporni — kochać was będę wszystkich, was co umrzeć zepsucie, odżyć wyrokom Najwyższego musicie!...

Ach, jak łatwą jest miłość bliźniego... na puszczy i na cmentarzu!...

Z listów Narcyzy Żmichowskiej do rodziny i przyjaciół.

(Listy N. Żm., Krak. 1885, t. I, str. 163-4).

*r. 1850 (wrzesień).*

Moje drogie i ukochane, czyście wy nie rozumiały tego, co wam posłałam, czyście to wzięły za wyskok egzaltacji? Ja z przekonania najświętszego obiecałam, że nie mówić nie będę. — Zaiste, łatwoby mi przyszło się tłumaczyć, szczególnież byłoby chciała odpowiadać, czy mnie kto przyjmował, czy ja kogo przyjmowałam — lecz od słowa do słowa, skończyłoby się na tem, żebym musiała kłamać — a to jednak nie żarty. — Mówcie sobie, co chcecie — ja jestem zero, ale sprawa moja dzisiejsza jest Polską . . . . .

Jaką chcę, żeby Polska była, taką ja jestem. — cierpliwa, miłująca, cicha, a jednak odważna w prawdziwości swo-

jej. — Zresztą tak mi z mego osobistego gospodarstwa wypadło. — Tyle razy ja chciałam umrzeć, tyle razy prosiłam Boga, żeby was od kłopotów ze mną uwolnił, żeby mi wolno było to życie niecenione i nieużyteczne, te kilka lat coraz smutniejszej przyszłości, oddać za zreczywistnienie idealiku mojego. —

Napisałam jednak, co myślę o rządzie i o Polsce: że rząd nas psuje, a że moja Polska święta i poczciwa. — Teraz ofiarujecie mnie Panu Bogu i powiedzcie sobie: Adiu, Narcyzko. — Jednak z mej ekonomji politycznej to wypada, że kiedy na moją zgubę już ostatecznie się podpisałam<sup>1)</sup>, to trzeba, aby się ona komu innemu na ocalenie przydała. — Najlepiej będzie ocalić Andzię<sup>2)</sup>, tę moją kosztowną i drogą gumę arabską; niech ona da sobie wydrzeć jakie niby potępiające mię słowo, — niech powie coś o moich podróżach do Erazma, który chorował śmiertelnie i w więzieniu siedział — i mnie byłoby łatwo mówić o tem. — Teodozy<sup>3)</sup> ułatwiał drogę — już umarł. — Słowo przysięgi świętem jest, — niech mnie jak chcą biją, ja pomimo tego będę miała osobistą wdzięczność dla Jolszyna, że pierwszy zrozumiał, że mojej przysięgi nie cofnę. — Zresztą, może tak źle nie będzie, wy przecież módlcie się za mną. —

(Listy N. Ż. do Tekli Dębskiej, str. 41—2)

(Listopad 1851 roku).

I cóż ja poradzę z Orcią<sup>4)</sup>, kiedy to cudo uroiło sobie, że mi jej obiady nie smakują; mówiąc o jadle, miałam na myśli to, że czasem przy rewizji zupełnie wystudzą, a tu buch, moja siostrzyczka pięć potraw naraz przysyła. — Proszę was, skąd ja żołądka na upakowanie ich pożyczę; wprowadzie mój się już znacznie rozszerzył, ale takiej ilości nie wystarcza. Jak

---

<sup>1)</sup> Narcyza na śledztwie przysięgła, że na zadane jej pytania odpowiadać nie będzie, piśmiennie tylko gotową jest złożyć wyznanie swojej wiary — i rzeczywiście takie wyznanie złożyła w ręce generała Jolszyna.

<sup>2)</sup> Skimborowicza; w cytadeli warszawskiej od roku 1848 do 1851.

<sup>3)</sup> Krzywicki, poeta.

<sup>4)</sup> Hortensja Densinowa, siostra.

mi będziecie z tego, co wam napiszę, żałobne wnioski i lamenta wyprowadzały, nigdy ani słówka nie wspomnę o niczem. —

Ewcia<sup>1)</sup> mi raz przymówiła, że was ogólnikami zzywam, zaczęłam więc szczegółów dostarczać i ślicznie wysłałam na tem. Otóż proszę was, zachowajcie w swojej pamięci ten aforyzm: Narcyzie jest sto razy lepiej niż tym, co w Cytadeli siedzą, a chociażby i sto razy gorzej było pod względem wygod, toby się jeszcze nie obejrzała na to, bo ona do różnych kolei przywykła; na mrozie marzła, na deszczu mokła, na wietrze zębami dzwoniła, raz na dzień jadała i było jej dobrze, bo jeśli nie żelazny, to przynajmniej gutaperchowy Bóg jej dał temperament, jeśli nie w mocy, to w zdolności przetrwania celuje wszystkie znajome sobie białogłowy. — Otóż gdy z takim darem Opatrzności lub raczej pomimo daru takiego krzywię się czasem i przed wami skargi rozwodzę, to nie dlatego, żebyście się o mnie martwiły. . . . .

Wy się tem oburzajcie, słuszna rzecz, ale nie kłopotcie się w głębi serca, bo to na mnie spada jak woda na jaskółkę, przy pierwszej odebranej kartce ino trzepnę skrzydełkami, wnet wszystkie piórka suchuteńkie. — Mój Boże, mnie się żalić, a tam na Stasiu<sup>2)</sup> odzienie butwieje, a Stach ma febrę! — Niechże mi teraz trochę się mrozem okna umalują, zaraz na oczach ten obrazek stanie. . . . .

(Listy N. Ż., t. I, str. 194—7)

*Lublin, (listopad 1853 r.)*

Gdybym znów rozpuściła eugle wyobraźni, kaprysom, dziwactwom — nacóżby się to zdało? — Gdybym nawet odezwała się głośno tajoną w głębi serca boleścią, gdybym skarżyć, jęczeć, piszczeć, wdychać, w przestrzeń ręce wyciągać zaczęła — co za korzyść dla czytelników? — Bezwątpienia, mogłabym całą butelkę atramentu na to wypotrzebować — możeby ktoś powiedział, że ładnie piszę, a piąty, dziesiąty rozmarzyłyby się bezcelnie — lecz ja nigdy, Bóg widzi, nawet

<sup>1)</sup> Tekla Dębska

<sup>2)</sup> Stanisław Jarmund, więziony w cytadeli warszawskiej

Poganki mojej na efekt nie pisałam — chociaż w złudzeniu potrzeba wypowiedzenia jakiejś prawdy musiała mi autorską moją pracę złożyć. —

Dzisiaj tembardziej jeszcze własną naturą, własnym niedostatkiem najdokładniejsze mam poczucie tego, na czem drugim zbywa, czego drudzy są spragnieni, co jest w obecnej chwili dla ich ducha najpotrzebniejsze. — Otóż najpotrzebniejszą jest stanowcza pewność. — Pewność jędrna, zdrowa, twarda jak puklerz spartański, jak ukazy carskie. W godzinkach o ś-ej Barbarze ślicznego wyrażenia z Pisma ś go użyto: „Silną jako śmierć jest miłość“. — Silną jako zniszczenie jest siła tworzenia — silną jako zbrodnia cnota. — Gdyby tej siły w miłości nie było, gdyby kochanie, gdyby życie cofnęło kroku przed śmiercią — o, to już światby zamarł — i Bogaby nie stało — i Szatan-Nicość zwyciężyłby istnienie.

Tak więc na mocy tego prawa, w każdym głosie, co między ludzi idzie, szukamy przedewszystkiem takiego słowa, któreby równo brzmiało z przeciwników słowem.

Od lat wielu, może od niepamiętnych czasów duch przeżeczenia i zagłady tak śmiało, bezczelnie, ohydnie, a tak pewnie się nie odzywał, jeśli w odpowiedź jemu słudzy prawdy, pielgrzymi obiecaney Jerozolimy, wyznawcy Chrystusowi, rzucały tylko płonne wykrzykniki rozrzewnienia, albo znakami zapytania książki swoje poznaczały, to niech ich pierwej licho na Sybir porwie, boć lepszy jeden za dobrą sprawę wygnaniec, niż sto głupich lub niedołężnych, za myśl jałową kartek — właściwiej nawet mówiąc, lepiej aby dziś poczciwego człowieka zaknutowali — niż żeby ten poczciwy człowiek miał choć pół kartki nedorzeczności napisać. —

Poczciwych jedynie mam na uwadze w tej mierze — poczciwych, którzy na sakramentalnem bierzmowaniu terażniejszych wypadków sami przed sobą i przed drugimi wzięli sobie imię Polki lub Polaka, którzy w opinii współbraci, w nienawiści wrogów, w prześladowaniu rządu z większą czy mniejszą zasługą — o to nie pytać — byle z ogólnem przywiązaniem, w łączności jakiejś z myślą o Polsce stanęli. — Tacy ludzie odpowiedzialni są za ton i ważność każdego jawnie wyrzeczonego słowa — kiedy mówią dla drugich — (wolno im wszakże

mówić dla siebie; ja z wami, najdroższe moje, zawsze dla siebie mówię) — kiedy więc dla drugich mówią albo piszą, powinni tak mówić i pisać, żeby aż iskry z mózgów lub z serc bratnich wyprysły. —

Powinni tak się odzywać stanowczo, jak Mikołaj w swoim z 48-go r. manifeście według miary śmierci, a tak niezachwianie, jak ś-ty Paweł według miary życia. —

Wszakże znacie listy Apostoła narodów? Gdzież tam choć jedno drgnienie niepewności, choć półcień wątpliwego dociekania? Apostoł wszystko wie, widzi, głosi — zna i więcej nawet jak ludziom powiada. — Był w trzecim niebie — słyszał słowa, których śmiertelnym jeszcze powtarzać niewolno — ma zapas objawienia, prawdy, przekonania, ma fundusz, którego nie wyczerpie nigdy. — Ach! ten ś-ty Paweł, to moja pociecha i rozpacz moja — to doskonałość, która mnie ciągle ku zreczywistnieniu swych wzorów popycha, i niepodobieństwo, które mię ciągle ich niedoścignioną wyższością w bezczynności zatrzymuje. —

Kiedy myślę o tem, co czynić trzeba, jak działać powinienam, kiedy nad potrzebami obecności się zastanowię, kiedy zamiary prac ogólnych rozważam; zawsze i z każdej ścieżki do niego wracać muszę. — On jest systematem najdokładniejszym — jeśli dobrego nie wyczerpnął, bo dobre jak Bóg na wieki wieków nieprzeczerpnięte zostanie, przynajmniej wszystkie sposoby dojścia ku dobremu, uzyskiwania dobrego wynalazł, ogarnął i użył. — Za każdym więc pomysłem i życzeniem, bezprześcześnie o świętego Pawła zaczepiam — a za każdym zwrotem na samą siebie, bezprześcześnie własnej nie mocy urągam. — Wiecie przecież, moje najdroższe, jak biegłą jestem w egotycznej parodji. — Mogłabym na palcach zracnować i datami kalendarzowemi oznaczyć te wybrane chwile, w których z siebie samej, przed samą sobą najśmieszniejszej nie układałam karykatury. Toż i pod tym względem, ile razy nieudolność moja z pragnieniami moimi na kopje uderzy, a placu nie dotrwa, sypię jej z własnego mózgu najpocieszniejszymi conceptami — i w salonie niktby lepiej zwyciężonego rewolucjonisty nie wyszydził — ale coż z tego? —

Choć się wysmieję, choć się nazżymam — ludziom z mojej

egofobji, z mego samowstrętu i jednej sylaby nie przybędzie — ten zysk jedyny, że się aby od sylab niepotrzebnych wstrzymuję. — Dawniej, obok zupełnie podobnego sądu więcej jakos miałam lekkomyślności, czy zaufania w prawej intencji natchnieniach, dlatego też łatwiej mi było od czasu do czasu coś bąknąć. — Teraz wypadki mego życia spadły mi na kark jak hrabiowskie tytuły mieścuchowi i rady sobie z nimi dać nie mogę. — Raz tutaj w niedzielę przyszyła mi pokusa, żeby z jakimś dziwaetwem wystrzelić — ej, co to szkodzi księgarzom sprzedać sztuczkę szaleństwa za trzy grosze, kiedy trzech groszy z pewnością dobrze użyję. —

*Vade retro satanas* — oparłam się pokusie. — A szatan szeptał do ucha, że jak St. Just w Paryżu swoją głowę za czasów Robespiera, tak ja wspomnienie mego zamknięcia w Lublinie, z uroczyością niby sanctissimum chcę piastować. — Powiedziałam Szatankowi, że głupi; bo moje zamknięcie, moje uwięzienie a ja, to dwie rzeczy tak różne od siebie, jak różną monstrancja od pijanego karmelity, który ją raz w czasie nieспорów do góry podniósł. —

Nawet pokorą oszukać się nie dam — wiem, że na osobistą wartość jestem pijanym klechą w oczach bożych, ale na wartość zdarzeń biograficznych jestem kapłanem, któremu świętość w ręce dano i z świętością nieść ją będę. —

Sądzcie mnie, jak chcecie, ale póki Duch Święty nie zleje na mnie łaską swoją odpowiedniego łaskom więziennym natchnienia — póki ten Bóg, co mię obdarzył chwilą przesładowania za święte imię Swoje w świętem Polskim imieniu, równocennego daru słowa godnego tej chwili nie zbudzi mi w duszy: póty bodajby i do śmierci milczeć upornie będę. —

## DEMBOWSKI, EDWARD.

(1822—1846)

Jeden z najzapaleńszych u nas zwolenników Hegla i szerzycieli jego filozofji, jeden z najskrajniejszych wyznawców idei demokratyczno-ludowej, krytyk literacki, publicysta i działacz rewolucyjny, przyszedł na świat w Warszawie, w kwietniu r. 1822. Był synem Leona, kasztelana i senatora Królestwa Polskiego, pochodzącego z możnej, arystokratycznej rodziny. Matka, Julja z Kochanowskich, odumarała go, kiedy miał rok. Z wrażeń dzieciństwa zapamiętać musiał moment z rewolucji listopadowej, kiedy wzburzony tłum w poszukiwaniu szpiega dobijał się do bramy domu, w którym mieszkał z ojcem, i rabował mieszczący się w tymże domu sklepik<sup>1)</sup>.

Wychowanie i wykształcenie odebrał niezwykle staranne. Lata chłopięce spędził w Klementowicach w Lubelskiem, w majątku swego ojca; uczył się pod kierunkiem nauczyciela matematyki, Niemca. W r. 1836 przenosi się z nim ojciec do Warszawy i nie szczędzi kosztów i starań na kształcenie syna. Nauczycielem jego jest, między innymi, Adrian Krzyżanowski, były profesor uniwersytetu, sam pan kasztelan wykłada mu literaturę, logikę i filozofję. Chłopak musiał być wyjątkowo złołny i zapalony do nauki, kiedy mając lat 18, kończy studia uniwersyteckie. Późniejsze jego prace świadczą o znajomości języków starożytnych i nowożytnych, filozofji, literatury powszechnej i matematyki, nie mówiąc już o umyśle z przyrodzenia samodzielnym i niezwykle<sup>2)</sup> pojemnym.

W tymże czasie wybiera się Dembowski w towarzystwie ojca w roczną podróż zagranicę, zwiedza Kraków, Śląsk, Niemcy i północne Włochy. Po powrocie, licząc około 19 lat, żeni się z p. Anielą Chłędowską; mając, dzięki ojcu, zapewnione wygołde

<sup>1)</sup> Szczegóły biograficzne czerpiemy z pracy p. M. Steckiej o Dembowski, Lwów, 1911.



i dostojnie życie, może się teraz swobodnie oddać działalności piarskiej i spiskowej.

Ludzie, do których się obecnie zbliżył i z którymi zawiązał bliższe stosunki, to ciocieczny brat jego, Henryk Kamiński, późniejszy autor „Prawd żywotnych” i „Katechizmu demokratycznego”, Skimborowicz, Jan Majorkiewicz, Karol Baliński, grono „entuzjastek” z Narcyzą Żmichowską na czele, wreszcie młodzi poeci i literaci jak: Wolski, Zmorski, Dziekoński, Lenartowicz i inni. Znajdują się między nimi ludzie rozmaitych usposobień i temperamentów, rozmaitych zamiłowań, talentów i skłonności, wszystkich jednak jednocy zapał do wiedzy, pęd ku tworzeniu nowych wartości ideowych i estetycznych, oraz tendencje demokratyczne, rozmaitej oczywiście siły, jakości i zabarwienia. Dembowski jest najgorętszym z gorących, najbardziej entuzjastycznym pośród entuzjastów i entuzjastek, najkrańcowszym wśród heglistów, najbardziej rewolucyjnym wśród spiskowców, do których należy wielu z pośród wyżej wymienionych. Oto jak go charakteryzuje Żmichowska w „Obrazku wstępny” do „Poganki” pod postacią Henryka: „Henryk „zapaleniec” stąd otrzymał swoje przezwisko, że tak żył przedk, chęćwie i gwałtownie, jak gdyby najmłodszemu z nas wszystkich, najwcześniej miała wybić ostatnia godzina. Alchemik, coby wziął trzech ludzi z burzliwemi i sprzecznemi skłonnościami, czterech innych z enotą najwznioślejszą, pomięszał razem, utłukł w móżdżerzu, nalał wodą wiślaną, zagotował przy wulkanie, odcedził przy księżycu, trochę podsycił siarką i saletrą, miałby dopiero dla osobliwości lub dla przestraszenia spokojnych amatorów wista i ojców rodziny esencję, podobniuteńką do takiego, jak Henryk człowieka... Przy nadzwyczaj wątłej postaci, przy dość miękkim wychowaniu, żelazna jego organizacja nie upadała pod żadnem nadużyciem zbytków i tradu, egoizmu i poświęcenia. Ach! żal mi teraz, że napisałem to słowo: egoizm. On i egoizm? On, co tak szafował zdrowiem, majątkiem, szczęściem, co dla przyjaźni lub szlachetnego celu byłby swe dobre imię oddał bez wahania i nazwać go egoistą!... Henryk nie był egoistą. Henryka osobistość tylko była tak wydatną w tem, co czynił, tak zainteresowaną w tem, czego pragnął, tak połączoną z tem, czemu się poświęcał, że byłby się dał zabić dla tego, a jeszcze wielu bardzo ludziom i mnie samej zdawać się mogło, że dał się zabić, bo mu to wielką przyjemność robiło... Strach czasem było tego dziecka z błękitnemi oczyma, z ślepem niedoświadczeniem, a żądzą płomienną. Przeczczuwało się, że dusza jego, silnem pchnięciem Bożem w świat przetrzeni rzucona, musi bez spoczynku i zbroczenia jakieś fatalne, planetarne zakreślić koło...”<sup>1)</sup> Dzięki swojej energii, zapałowi, zdol-

<sup>1)</sup> Pisma Narcyzy Żmichowskiej, Warszawa, 1885, t. II. str. 16—17.

ności organizacyjnej, dużej i wszechstronnej wiedzy, dzięki wreszcie swemu położeniu majątkowemu, zajmuj: on niebawem bardzo wybitne stanowisko wśród tego grona, staje się utalentowanym wyrazi- cielem jego dążeń i hasel. Praca filozoficzno-krytyczno-publicy- styczna łączy się tu ściśle z działalnością spiskowo-rewolucyjną, jedna z drugiej wypływa, jedna drugą warunkuje. Pierwsza znajduje wszechstronny i bogaty wyraz w założonym w r. 1842 przez Dembowskiego wspólnie z Skimborowiczem „Przeglądzie Naukowym”<sup>1)</sup>, druga kryje się w podziemiach. Ale w artykułach filozoficznych i literackich, zamieszczanych przez Dembowskiego w tem piśmie — przybliżają niekiedy wyraźnie (choć ze względu na cenzurę ostrożnie) te zasady, na których opierać się musi w tym czasie jego działalność polityczna.

Praca Dembowskiego w „Przeglądzie Naukowym” odznacza się przedewszystkiem zdumiewającą wszechstronnością, różnorodnością poruszanych tematów i płodnością tego 20-letniego redaktora. Zamieszcza on tu większe i mniejsze artykuły z dziedziny filozofii, krytyki literackiej, estetyki, matematyki, nauk przyrodniczych, spra- wozdania z literatury polskiej, niemieckiej, francuskiej, angielskiej, włoskiej, hiszpańskiej, przekłady utworów poetycznych obcych i własne próby wierszowe. Z taką wszechstronnością nie może naturalnie zawsze iść w parze pogłębienie i przemyślenie poru- szanych zagadnień (zwłaszcza jeżeli się zważy młody wiek pisa- rza) — w każdym razie jednak ujawnia się tu ogromna ruchliwość i pojemność umysłu, pęd niepow-trzymanej gorączki wiedzy, dążność do syntetycznego ujmowania zjawisk duchowych, pomysły ciekawe, poglądy szerokie, wiele spostrzeżeń trafnych, głębokich i sub- telnych.

Najobszerniejsze i najważniejsze są w tym zbiorze artykuły filozoficzne oraz teoretyczno-literackie. W filozoficznych poglądach młodego autora króluje niepodzielnie Hegel; Dembowski uważa się za jego ucznia, nazywa go „nowoczesnym Arystotelesem”, a jego systemat przedstawia mu się jako najwyższy szczyt, do którego myśl ludzka doszła. To przekonanie stara się Dembowski zaszczerpić swoim czytelnikom. W tym celu, w jednym z najobszerniejszych swoich artykułów p. t. „Rys rozwinięcia się pojęć filozoficznych w Niemczech”, daje naprzód ściśle sprawozdawczy przegląd syste- matów filozoficznych przed Heglem (Leibniz, Wolff, Mendelsohn, Jacobi, Kant, Fichte, Schelling), następnie zaś szczegółowe stre-

<sup>1)</sup> We „Wstępie” do I tomu w ten sposób sformułowany program pisma: „Przedstawie ogólnie, a samodzielnie dążenie myślowe, to jest nauko- wość, ubarwioną rajskim pięknosci utrokiem w taki sposób, aby srogoska i zwykle ją odpychająca powszechność stała się jej lubą i miłą; pod o nako- wość, oświetloną różnym zapach promieniem, a ożywioną błogiem mi- łości uczuciem, ku pożytkowi i usłudze ogółu — oto nasz zamiar” („Przegląd Naukowy” 1842, str. 1).

szczenie poglądów „mistrza berlińskiego”. Gruntowne poznanie i przemyślenie Hegla, przyswojenie sobie jego metody dialektycznej dało Dembowskiemu ogólny pogląd na świat, narzędzie badania wszelkich zjawisk i kryterjum do ich oceniania. I trzeba przyznać że jest on w tem stosowaniu filozofji heglowskiej do rozmaitych dziedzin konsekwentny i samodzielny. Uważa ją za najwyższy szczyt, na jaki wdarła się myśl współczesna; ale z tego nie wynika bynajmniej, żeby miała być koncem i zamknięciem wszelkiej filozofji. Właśnie dlatego, że Dembowski jest wiernym uczniem swego mistrza, przypuszcza, że systemat jego nie może zakrzepnąć, ale musi rozwijać się dalej, tworząc na dawnych podstawach nową „filozofję przyszłości”, któraby „weszła w życie”. Już w najwcześniejszych swoich pracach wyraża to wyraźnie, czyni zastrzeżenia co do pewnych poglądów Hegla, polemizuje z niektórymi jego wywodami i podziałami. Zastrzeżenia te i polemiki są niezmiernie ciekawe, świadczą bowiem o tem, jak tu przez dialektykę heglowską przedziera się instynkt społeczny autora, jak domaga się on usprawiedliwienia, uświęcenia i uzasadnienia w filozofji tego, co go łączy ze sprawą rewolucji i co mu każe brać udział w spiszkach warszawskich.

A więc w filozofji przyrody musi nastać dążenie do „strojności“ (harmonji) — w filozofji ducha „układy towarzyskie i życie rodzin musi być oparte na bezwzględnym i zupełnym pojmowaniu się członków i wzajemnej najczystszej miłości, a administracja, opierająca się na sprzeczności wsi i miasta, utworzyć musi organizm — w najdrobniejszej swej cząstce, np. gminie, będącej wotująca, a jednak od innych zależną całością“<sup>1)</sup>. Chodzi tu więc wyraźnie o filozoficzne uzasadnienie dążeń społecznych, a raczej o rozciągnięcie na nie panowania filozofji, tak jak zresztą i na cnotę, uczucie i t. p.

Ogólniej wyraził Dembowski swoje odrębne stanowisko w późniejszych artykułach „Przeglądu Naukowego“ („Piśmienność powszechna“ i „Stanowisko przyszłości filozofji“), kiedy ustanawiał trzy „główne istności ducha“, t. j. uczucie, myśl i czyn — którym odpowiadają: unniectwo (sztuki piękne), wiedza i dzieje — albo w ten sposób formułował swój stosunek do filozofji Hegla:... „Dotychczas filozofja bezwzględna miała usterki, więc nie była zupełnie bezwzględna, miała w sobie zupełny zaród bezwzględności, bo uznała byt i myśl za równoznaczne i zbadała przyrodę myśli; przyszłość filozofji czyli filozofja przyszłości, właściwa wiedza nie tylko myśl za żywioł świata, za istotę świata uzna, lecz dołączy do niej dwa inne czynniki: uczucie i twórczość, które jedno-

<sup>1)</sup> „Wiedza i świat“, Przegląd Naukowy, 1842, tom I, str. 84.

znaczne z myślą i z sobą są zarazem jednoznaczne z bytem i tworzą w swej potrojności jedność, a są istotą wszystkiego<sup>1)</sup>).

Było to oczywiście raczej uczuciowe, aniżeli naukowo-filozoficzne traktowanie tych problemów, raczej uzasadnienie i uświęcenie dla samego siebie swoich własnych uczuć i instynktów, aniżeli tworzenie nowego systematu w znaczeniu ówczesnej filozofii niemieckiej.

Próbował wprawdzie Dembowski w artykule p. t. „Twórczość jako żywioł samorodnej naszej polskiej filozofji“<sup>2)</sup> dać podstawy takiego systematu, opartego o lud i jego myśl, o twórczość jako istotę narodu w dziedzinie umysłowej, a dziarskość jako jego istotę w dziedzinie żywota — ale były to tylko bardzo ogólne rzuty myśli, bez należytego pogłębienia i uzasadnienia.

W dziedzinie estetyki idzie Dembowski również za Heglem, choć różni się z nim w tem, że umieszcza „umnictwo“ nie na najniższym, ale na najwyższym stopniu. „Sztuki piękne (powiada w artykule „Piśmiennosc powszechna“<sup>3)</sup>) są wyrażeniem wejścia w żywot uczuciowy tej prawdy, której wiedzeniem jest filozofja, a wykonaniem w ogólności czyn“. „Umnictwo, będąc jednością myśli i uczucia, jednością doskonałą, strojną, od obydwóch jest wyższem“ („Ułamki z badań o umnictwie“<sup>4)</sup>). Jedynem prawem umnictwa jest to, że „osnowa umnicza powinna ducha wznieść i rozczulić — sposób oddania winien być zupełnie swobodnym, t. j. niezem nie związanym i nie skrupowanym“ (tamże). Hasłami umnictwa są samodzielność, potęga i uczucie — i one to zarazem stanowią kryterjum oceny<sup>5)</sup>. Idealem, który umnictwo wyraża — to poświęcenie celów szczegółowych dla celów powszechnych. Cechą prawdziwego artysty jest miłość ludzkości bez granic<sup>6)</sup>.

W innych artykułach znajdujemy rozwinięcie, względnie dopełnienie tych poglądów. I tak w artykule p. t. „Pedro Calderon de la Barca“ D. pragnie ocenić Calderona „względnie do czasu, w którym działał, stosownie do słuszności lub niesłuszności ideałów, które sobie założył i wykonał, nakoniec względnie do prawdopodobieństwa utworów jego (Przegląd Naukowy, 1842, II, 423). Ideal piękności określa jako „doskonałe zlanie w jedność, zupełną harmonijność wzniosłości i uczucia“ (ibid. str. 425). Nie lekceważy przytem bynajmniej formy. „Forma jedynie stanowi estetyczną doskonałość utworu“ — ale zaraz następuje zastrzeżenie, że forma doskonała a „nieumnicza“ osnowa — to zwidyły kwiat, jak z dru-

<sup>1)</sup> „Przegląd Naukowy“, 1843, tom I, str. 340.

<sup>2)</sup> Ibid. str. 309.

<sup>3)</sup> Przegląd Naukowy, 1842, tom III, str. 854.

<sup>4)</sup> Ibid. str. 889.

<sup>5)</sup> „Piśmiennosc powszechna“, ibid. str. 839.

<sup>6)</sup> „Ułamki z badań o umnictwie“ ibid. str. 891 i 894.

giej strony piękna osnowa o złej formie to kwiat sztuczny („Rozbiór i porównanie Ryszarda Savage Gutzkowa i Torkwala Tassa Göthego”, *ibid.* str. 467).

Stojąc na takim stanowisku estetycznym, w którym również poprzez filozofję Hegla przebijają się własne tęsknoty i marzenia, rozważa Dembowski piśmiennictwo obce i polskie współczesne. Często polemizuje z Michałem Grabowskim, zarzucając mu, że przez nawoływanie do kreślenia obrazów przeszłości i twierdzenie, jakoby każdy taki obraz był poetyczny, ścieśnia zakres twórczości i tamuje rozwinięcie się samoistne piśmiennictwa, gdyż zasada, że tylko to jest poetyczne, co „ducha wznosi i serce rozczuła” musi być zastosowana i do przeszłości. To samo odnosi się i do poezji gminnej. Występuje dalej przeciwko ślepemu naśladowaniu natury, co prowadzi do pospolitości, której oznaki widzi np. w „Zamku kaniowskim”, „Grażynie” (tak!) i w utworach „szanownego i czeigodnego” Wójcickiego, który „za coś godnego pamięci i bardzo szlachetnego — brednie i pospolitości podaje” („O różnych dążnościach w piśmiennictwie naszym”<sup>1)</sup>; za niemniej potępienia godne uważa poglądy Grabowskiego, jakoby zaznajamianie się z literaturą obcą i przekłady z niej zabijały oryginalność; powiada natomiast, że „kto nie chce znać areydział obcych ludów, sam postępować niesamoistnie musi i będzie cofnięty w wyobrażeniach” („O przekładach dzieł Göthego i Schillera”<sup>2)</sup>.

O ile w tych poglądach krytycznych znajdujemy wiele trafnych i głębokich uwag — o tyle w swoich zachwytach i pochwałach jest Dembowski często dziwaczny i niezrozumiały. Jana Nepomucena Kamińskiego nazywa np. „genjalnym Mowo-badaczem, Mędrceem i Wieszezem” („Pedro Calderon de la Barca”<sup>3)</sup> — w powieściach Tyszyńskiego widzi zlanie się wiedzy i poezji najwznieślijszej (recenzja „Moreny”<sup>4)</sup>), Dumasa stawia wyżej od Wiktora Hugo („Ułamki z badań o umnietwie”<sup>5)</sup>), sam tworzy dziwaczny i sztuczny podział poezji polskiej na szkoły: litewską, ukraińską, halicką, wileńską, poznańską i krakowską („Myśli o rozwijaniu się piśmienności naszej w XIX stuleciu”<sup>6)</sup>), popełnia zupełnie niefilozoficzne bałamuctwa w określaniu cech literatury powszechnej („Piśmiennosc powszechna”).

Równolegle z tą wytężoną działalnością pisarską oddaje się Dembowski — jak już wspomnieliśmy — tajnej robocie spiskowej. Nie mamy o niej dokładniejszych wiadomości. Wiemy tylko, że

<sup>1)</sup> Przegląd Naukowy, r. 1842 tom II, str. 452—3.

<sup>2)</sup> *Ibid.* str. 508.

<sup>3)</sup> *Ibid.* str. 421.

<sup>4)</sup> *Ibid.* str. 721.

<sup>5)</sup> *Ibid.* tom. IV.

<sup>6)</sup> Przegląd Naukowy, 1843, tom I.

w r. 1839 wszedł on wraz z Kamińskim i Skimborowiczem do nowopowstałego w Warszawie „Związku Narodu Polskiego”, gdzie wkrótce wybił się na stanowisko jednego z kierowników i dostarczał głównie funduszków na propagandę. Celem „Związku” było wywołanie powstania, którego wybuch naznaczono nawet na wiosnę r. 1844. Jednak w końcu r. 1843 spisek został częściowo wykryty, wielu członków „Związku” aresztowanych, Dembowskiemu zaś udało się uciec do Poznania.

Z przybyciem w Poznańskie rozpoczyna się druga epoka działalności pisarskiej i rewolucyjnej Dembowskiego. Szybko staje się on tutaj jedną z wybitnych postaci publicystyki i demokracji poznańskiej.

Dzięki wolności prasy, a także większemu uświadomieniu ówczesnego społeczeństwa poznańskiego, może Dembowski wypowiadać teraz śmiałej i bezwzględniej swoje skrajnie rewolucyjne i socjalistyczno-komunistyczne poglądy.

W ogólnych zasadach filozoficznych nie schodzi on ze stanowiska heglowskiego, ale silniej obecnie dochodzą do głosu i wyraźniej krystalizują się w jego ogólnym systemacie tendencje społeczne. W dawnej trójce: umniectwo, wiedza, dzieje — te ostatnie zastąpione zostają „życiową społecznością”, którego istotą jest gorąca miłość ku całej ludzkości. Ta znowu jest „poświęceniem siebie i wszystkiego dla dobra ludzkości”, która utożsamiona jest z ludem, a ten na całym świecie ma wspólne interesy. W dalszym rozwinięciu tych myśli widać już wyraźny wpływ współczesnych teorii socjalistyczno-komunistycznych: „wolność tam być tylko może, gdzie niema własności” — stąd konsekwentny wniosek: zniesienie jej, wspólność wszelkich dóbr i ustroj socjalistyczny, którego obszerny, w szczególności nawet wnikaający obraz, daje Dembowski w artykule „Twórczość w żywocie społeczności”, zamieszczonym w „Tygodniku Literackim” poznańskim z r. 1843. Ogniwu, łączące ten pogląd z filozofją polską, opartą o Hegla, stanowi myśl, że twórczość jest to bezwzględna wolność, „stanowisko twórczości w filozofji jest przeto stanowiskiem wolności w żywocie społecznym”<sup>1)</sup>.

Odpowiednio do tego zmieniają się i rozwijają orientacje estetyczno-literackie. „Miarą ważności każdej z gałęzi wiedzy jest jej wpływ na żywot społeczny”. Natomiastem prawdziwym jest miłość wrząca ku ludowi. Poezja powinna być oryginalna i narodowa, a narodowa to znaczy tętniąca miłością ludu i odbijająca ją w sobie. „Lud bowiem, a naród to jedno”<sup>2)</sup>.

Podobne poglądy znajdujemy również w artykule „Kilka myśli o eklektyzmie”, drukowanym w tomie IV „Roku” poznańskiego 1843.

<sup>1)</sup> Tygodnik Literacki, 1843, str. 199.

<sup>2)</sup> „Wyjętek z pomysłów do wiedzy umniectwa”, Tygodnik Literacki, 1843.

„Pamiętajmyż przedewszystkiem, iż każda myśl, nie dążąca pośrednio lub bezpośrednio ku rozwinięciu żywiołów ludowych i nie mająca na celu samodzielności, a szczęścia ludu, tej najenotliwszej, najliczniejszej, a najniezszczęśliwszej części ludzkości, zmarnowaną jest” (str. 29).

Poza „Tygodnikiem Literackim” pisuje Dembowski jeszcze do „Dziennika Domowego” i „Roku”. W pierwszym z nich ogłasza przeważnie feljetyony beletrystyczne jak „Obrazki i szkice”, „Z nołatek warjata”, „Piękna kuzynka”<sup>1)</sup>, w „Roku” zaś obszerniejsze rozprawy, między innymi „Kilka myśli o eklektyzmie”, gdzie zaznacza już wyraźną różnicę swego stanowiska od heglizmu „który cierpi zło społeczne istniejące” — „O dramacie w dzisiejszym piśmiennictwie polskiem” — „Myśli o przyszłości filozofji”, gdzie wypowiada bardzo ciekawe uwagi o mesjanizmie i Mickiewiczu, występuje przeciwko jego „wierze w osoby”, pojmowaniu człowieka pojedynczego jako „zrzeczywistwienia myśli posłanniczej” — co ma być — według Dembowskiego — niezgodne z „filozofją polską”, której cechą jest wiara w społeczeństwo, w masę, w lud; wielcy mężowie zaś są tylko wynikiem niejako postępu narodu, częściami społeczeństwa, a więc tworem drugorzędnym, wtórnym.

Najobszerniejszą z prac Dembowskiego, w tym okresie wydanych, jest „Piśmiennictwo polskie w zarysie”. Stanowi ona ciekawy okaz historii literatury, pisanej z punktu widzenia rewolucyjno-wolnościowego, ujawnionego w artykułach „Tygodnika Literackiego” i „Roku”. W przedmowie powiada autor, że jeszcze w początku r. 1842 miał zamiar opracowania z Hipolitem Skimborowiczem dziejów piśmiennictwa, przezem Skimborowicz miał podać żywoły. Dembowski zaś rozbiór krytyczny i wyliczenie bibliograficzne dzieł i pisarzy polskich. Gdy jednak wówczas nie można było dokończyć „rozpoczętego pisma” — postanowił D. obecnie dać przynajmniej krótki rys piśmiennictwa i wystawić „organiczny, myślowy rozwój literatury, w porównaniu i związku z rozwojem politycznym narodu”, ocenić pisarzy i dzieła „ze względu znaczenia ich politycznego i wpływu ich na żywot społeczński”. będąc przekonanym, iż w ten sposób wykaże, „co jest prawdziwą piśmiennictwa istotą”. Żywot narodu, życie umysłowe, narodowość — stają się tutaj rozmaitemi kombinacjami pojęcia wolności, ona też stanowi kryterjum oceny zjawisk dziejowych i literackich. Stusnie powiada Bartoszewicz<sup>2)</sup>, iż Dembowski „nakreślił (w tej książce) doskonale charakterystykę własnych usposobień i widoków. Literaturę dawną podzielił na 2 kategorie, na 2 postępową i niepostępową, drugą naturalnie odrzucił, więc w postępową bardzo się mało faktów znalazło”. I tak też rzeczywiście przedstawia się

<sup>1)</sup> Obacz bibliografję.

<sup>2)</sup> Historia literatury polskiej, Kraków 1877. t. II.

ideologia i podział literatury Dembowskiego. Z trzech epok, na które dzieli dzieje piśmiennictwa, dopiero epoka trzecia, od 1820 r. zasługuje na nazwę czysto polskiej. Wtedy dopiero wyrabia się społeczność, myśl narodowa i żywioł narodowy. Wszystko, co było przedtem, jest szlachecko- lub łańcisko-polskiem sprzeniewierzeniem się idei wolności i idei ludowej. Duch narodowy został przez oświatę łańcisną zwieczniony, bo rozlała się ona tylko na jedną część narodu. Większość też pisarzy, występujących w tej epoce, musi za to odpokutować. Kochanowski jest niezupełnie polskim poetą, „Odprowa posłów greckich” rzeczą małej wartości, w Reju nawet dostrzega autor „ducha wykształcenia obcego”, treść pi-sm Skargi jest „czcza” zupełnie, choć ubraną w piękną szatę językową. Czartoryscy — to ludzie, „pragnący zmienić na swoją korzysć Rzeczpospolitą na monarchję”, Konarski przez swoje wyobrażenia monarchiczne stał się przyczyną przemiany, która „wyrodziła się w letarg polityczny” — w okresie od r. 1770—1820 „ani jednego poety nie wydała Polska w tym czasie letargu ducha narodu” — wreszcie, jako korona tego wszystkiego, następujące zdanie: „Kasta, przemoc dzierżąca w narodzie, przyjęła ustawą 3 maja monarchizm w łono Polski i tem podała ją w letarg polityczny, który naproźnie dobrze myślący przerwać chcieli zbrojną opozycją”. Z drugiej strony wszędzie tam, gdzie znajduje Dembowski choćby nikły jakiś przeblask po swojemu pojętej „idei wolności” — tam uderza w zbyt wysoki ton pochwały i uwielbienia. Tak się dzieje np. z Klonowiczem i Orzechowskim, tak słuszniej już z Górnickim i Kollątajem. W układzie książki razi kontrast pomiędzy bardzo daleko sięgającymi uogólnieniami we wstępach do poszczególnych okresów — a suchem, bibliograficznym wylizaniem dzieł z wszelkich dziedzin piśmiennictwa, bo i nauk ścisłych, sztuki wojennej, gospodarstwa i t. p., akcentowanie przy każdej sposobności tego, co autor uważa za istotę literatury — a nieumiejętność w uwydatnieniu rozwoju tej idei i jej poszczególnych etapów. W szczegółach znajdujemy naturalnie i tu, jak we wszystkich pracach Dembowskiego, uwagi i spostrzeżenia trafne i głębokie, uogólnienia bystre, charakterystyki przenikliwe, np. szlachty, pieśni ludowych, twórczości Reja, reformacji, stanowiska i znaczenia Mickiewicza, który „stwarza nową literaturę i nowemu życiu Polski daje początek” i t. p. Cenić musimy pozatem „Piśmiennictwo” Dembowskiego jako jedną z pierwszych prób traktowania dziejów literatury z jakiegoś stanowiska ogólnego, która na tle ówczesnego stanu tej nauki u nas wyrozniła się, bądź co bądź, ujęciem tematu, związaniem literatury z życiem narodu i dążnością doszukania się w niej (a raczej narzucenia jej) pewnych tendencji ogólnych.

Z „Piśmiennictwem polskim w zarysie” kończy się właściwa działalność pisarska Dembowskiego. Odłąd poświęcił się on wyłącznie pracy rewolucyjno-agitatorskiej. Jako członek komitetu



poznańskiego Towarzystwa Demokratycznego wysłany zostaje do Galicji (z początkiem r. 1845) celem zorganizowania tej dzielnicy pod hasłem Centralizacji. Działa jednak właściwie na własną rękę, pracując gwałtownie do powstania i przedstawiając w Galicji sprawę tak, jakoby dwie pozostałe dzielnice Polski były już gotowe do wybuchu. Agituje zawzięcie i z poświęceniem się wśród wszystkich sfer społecznych, w krótkim też czasie udaje mu się poruszyć nawet ciężką i nieufną szlachtę. Rozpalony żądzą czynu, przekonany święcie o tem, że „kraj się już pali”, a nie zając sobie sprawy z tego, że to właściwie pali się tylko jego serce — popada nawet w konflikt z komitetem poznańskim, który bynajmniej nie myśli o rychłym powstaniu. Ale rzeczy zaszły już podobno tak daleko, że wybuchu powstrzymać nie można było. W Galicji wschodniej zostaje on stłumiony przez masowe aresztowania w lutym 1846 roku, w zachodniej przez rzeź — jedynie Kraków powstaje i przyciąga ku sobie tych, którzy zdolali uciec przed aresztowaniem lub nożem chłopskim. Wśród nich znajduje się przedewszystkiem Dembowski. W ogniu rewolucji czuje się jak w swoim żywiole, „zdobywa” sam jeden Wieliczkę, poczem przybywa do Krakowa i staje przy boku „dyktatora” Tyszowskiego, udaremnia „zamach stanu” Wiszniewskiego, zakłada klub rewolucyjny, pisze artykuły w organie Rządu Narodowego, w których usprawiedliwia wrocie stanowisko chłopów, i redaguje odezwy w jego imieniu. Wierzy bezustannie i ślepo w powodzenie sprawy — nie daje się zmieszać ani zachwiać niczem. Myśli wciąż o pozyskaniu ludu dla powstania i chce nań oddziaływać przez duchowieństwo. W tym celu organizuje w dniu 27 lutego 1846 r. uroczystą procesję z Krakowa przez Podgórze w kierunku Wieliczki. Sam idzie na jej czele, w sukmanie, z krzyżem w rękę w asystencji 30 duchownych i tyluż uzbrojonych strzelców.

Procesja ta jednak spotyka nie chłopów, ale wojsko generała Collina, który zdołał już zająć rynek krakowski. Dembowski zostaje uwięziony i rozbrojony — chcąc się uwolnić, wrywa jednemu z prowadzących go żołnierzy karabin — „w tej chwili zostaje jednak przez żołnierza, postępującego za nim, przeszyty kulą, poczem, po upadku na ziemię, przeбитý jeszcze trzykroć bagnetem”<sup>1)</sup>.

Tak zginął ten młodeńiec 24-letni, jeśna z ciekawych postaci w historii naszych walk poroborowych. Gdyby był pożył dłużej i mógł pracować w normalnych warunkach, pozostawiłby po sobie niewątpliwie dzieło trwalsze i cenniejsze, niż tych kilkanaście artykułów i jedną książkę o literaturze. Umysł jego bogaty, bujny i w-zechstronny stać było na podejmowanie zadań trudnych i doniosłych. Ale i to, co pozostawił, co zdołał gorączkowo wyrzucić z siebie w przeciągu kilku lat zaledwie intensywnej pracy,

<sup>1)</sup> M. Stecka: „Edward Dembowski“, str. 50.

przedstawia niemałą wartość dokumentu kulturalnego z 4-tego dziesiątka lat ubiegłego wieku. I nie tylko dokumentu. Są w spuściznie piśmienniczej Dembowskiego pomysły, poglądy, rzuty myśli, ujęcia i syntezy, mające wartość trwalszą, a cała jego postać pozostanie w dziejach jako wcielenie młodości, zapału i entuzjazmu.

## BIBLIOGRAFJA.

### Artykuły Dembowskiego:

A. W „Przeglądzie Naukowym” z lat 1842 i 1843: „Wstęp”. — „Stanowisko wiedzowe teraźniejszości”. — „Wielża i świat”. — „Obraz układu wiedzy”. — „Pedro Calderon de la Barea”. — „O różnych dążnościach w piśmiennictwie naszem”. — „Rozbiór i porównanie dzieła Ryszarda Savage Gutzkowa i Torkwata Tassa Göthego”. — „Rys rozwinięcia się pojęć filozoficznych w Niemczech”. — „Wiadomość o poezji hiszpańskiej w początku XIX stulecia”. — „Piśmiennosc powszechna”. — „Jan Nepomucen Kamiński”. — „Ułamki z badań o umniactwie”. — „Morena i pojęcia estetyczne”. — „Uwagi nad źródłami do badań dziejowych”. — „Odczyty berlińskie Schellinga”. — „Myśli o rozwijaniu się piśmiennosci naszej w XIX stuleciu”. — „Rzuty o wychowaniu osob pojedynczych i ludów według filozofji stanowiska twórczości czyli samorodnej polskiej”. — „Twórczość jako żywioł samorodnej naszej polskiej filozofji”. — „Stanowisko przyszłości filozofji. Filozofja samorodna polska czyli stanowisko twórczości w filozofji”. — Ponadto wiele innych, drobniejszych, rozpraw, recenzyj, przekładów, wierszy i t. p.: podpisywane są najczęściej literą „D”, czasem „E” — często zupełnie nie podznaczone w tekście, tylko w spisie rzeczy.

B. W „Tygodniku Literackim” (poznańskim) z r. 1843: „Notatki z podróży”. — „Twórczość w żywocie społeczności”. — „Wyjątek z Pomysłów do wielzy umniactwa”. — „Kilka myśli we względzie rozwijania się dziejów i życia społecznego Polaków”. — „Młoda piśmiennosc warszawska”. — „Djabeł polski”. — Ponadto „Poezje” i urywek z tragedji „Twardowski”.

C. W „Dzienniku Domowym” z r. 1843: „Obrazki i szkice” (przez E.); z roku 1841: „Z notatek warjata” (przez Dem.) — „Piękna kuzynka” (pod artykułem podpisaną „E” — w spisie rzeczy zas „D”).

D. W „Roku”: „Kilka myśli o eklektyzmie” (1843) — „O dramacie w dzisiejszem piśmiennictwie polskiem” (1843). — „Sprawozdanie z piśmiennosci polskiej w ciągu 1842 roku” (1844) — „O postępach w filozoficznem pojmowaniu Bytu” (1844). — „Myśli o przyszłości filozofji” (1845). — „O dążeniach dzisiejszego czasu” (1845). — „Piśmiennictwo polskie w zarysie”, Poznań 1845.

## LITERATURA.

Chmielowski Piotr: D. E. (Wielka Encyklopedia ilustrowana). — Tenże: „Metodyka historii literatury polskiej”. — Tenże: „Dzieje krytyki literackiej w Polsce”. — Tenże: „Historja literatury polskiej”, tom V. — J. Bartoszewicz: „Historja literatury polskiej”, tom II. — Słinks (Skimborowicz): „Gabryela i Entuzjastki” (Bluszez 1880). — Jarochoowski: „Literatura poznańska”. — M. Stecka: Edward Dembowski, Lwów, 1911. — Karwowski: „Wspomnienia” (Biesiada Literacka 1911). — Struve: „Historja logiki jako teorii poznania w Polsce”, Warszawa 1911. — Bolesław Limanowski: Historia ruchu rewolucyjnego w Polsce w 1846 r., Kraków 1913. Ponadto recenzje o „Piśmiennictwie polskiem” w „Orędowniku Naukowym”, 1845 i w „Roku” 1845.

### **Twórczość, jako żywioł samorodnej, naszej polskiej filozofji.**

(„Przegląd Naukowy”, 1843, tom I, str. 309—315)

Biada krajowi i ludowi, który, szukając prawdy na drodze myśli, stara się o samorodność pojętą fałszywie! Cóż zrodzi myślenie tego ludu? Dziwoląga jakiegoś, potwora, bez myśli, bez prawdy, ciemnotę!

Biada krajowi i ludowi, który, szukając prawdy na drodze myśli, nie stara się o samorodność, nie stara się wypełnić posłannictwa swojego, lecz pierwszych lepszych żywiołów się czepia, — myślenie jego zrodzi ciemnotę!

Jeśli chcemy więc działać w dziedzinie myśli, winniśmy, co jest żywiołem samorodności krajowej — poznać, a nie łudzić się pozorem i nie brać mniemań stronnictw, wyrojeń koteryjnych, lub zdań kast, za myśl i samorodność ludu, — lecz pamiętać winniśmy, że myśl ludu w sercu ludu drzymie, że tam jej szukać należy.

Lecz jakież ma być postępowanie myślącego? Czyż chcący poznać filozofję i prawdę, chcący wiedzę rozwijać dalej, jest przykutym do ludu, z którego bierze początek? Czyż całe jego działanie tak nędzne będzie, iż tylko iskry, co dawno pała w umysłach ogółu, rozbudziwszy, nie jej własnego nie doda? — a choćby i dodał! jakże on jeszcze małym będzie, jak nikczemnym całe jego myślenie! Wszak on nic nie stworzy! on będzie

tylko warjanty do danego dopisywał tematu; a temat? ten mu danym, od tego nie godzi mu się na krok odstąpić! — o! takie postępowanie niegodne jest myślącego! Wycinacz zdań i myśli cudzych, kompilator niechaj tak postępuje; będzie on tylko wypisywaczem i przepisywaczem i niczem więcej; dlań samorodność, to wierzytelny odpis z kronik albo opisów obyczajowych; gdy go naród usłucha, gdy uwierzy, że on samorodne jawi żywioły, przestanie mieć własną istność, nie ożywi go młodzieńcze technienie, będzie sam własnym kompilatorem! a biadaż ludowi, co się musi, niepomny, że jest ludem, niepomny własnej godności, aż do kompilatorstwa poniżyć!

Więc jakież ma być postępowanie myślącego? Oderwać się od świata; z siebie, własną potęgą stworzyć? Lecz cóż z ludową stanie się samorodnością? Cóż z pracą wieków ubiegłych? Czyż nato historia olbrzymią swoją rozwijała i rozpoawiała istność, aby być zabawką szperaczom starożytności? czyż dla dla tego dzieje istniały, aby pierwszy lepszy, któremu się zamarzyło, aby też jak i inni pomyślał, mógł z nich się bezkarnie wyśmiewać? Nie! nie! nie można więc z siebie tworzyć, ni z żywota ludu kompilować filozofji; jakąż drogę obrać, gdy się uczuje potrzeba filozofji własnej, gdy się zapagnie, aby wiedza, ów żar najgorętszej miłości od mrozu czasu w bryłę lodu nie stęzał, lecz postępował, rozwijał się? W czym żywot, w czym popęd dla wiedzy?

Postępowania, o których nadmieniliśmy, nie były i nie mogły być dostateczne, jedno było podmiotowe, drugie przedmiotowe; postępowanie bezwzględne może nam tylko być rękojmnią dojścia do prawdy i samorodności indywidualnej i narodowej pomysłów filozoficznych, lub zresztą jakich bądź innych! lecz w czemże owa bezwzględność postępowania polega? Zaiste! na łączeniu w strojną jedność postępowan podmiotowego z przedmiotowym. Nie odrzucajmyż pracy wieków ubiegłych, przyznajmy prawdy, uznane przez przeszłość i społeczność, lecz i osobowości naszej skrzydeł nie wylamujmy, nie zniżajmy się do przepisywań faktów danych! Jakąż droga, by tego dostąpić? Nie lekceważmy pracy wieków. Obieśmy szczyty, do których się wzbili wszyscy Mędrcy przeszłości, zostanmy pracowitymi ich uczniami, a gdy ich wiedza naszą wiedzą się

stanie, spojrzmy w siebie, i z siebie po swojemu, ich wiedzę, która już dla nas jest prawdą, rozwijajmy, a staniemy na drodze bezwzględniego postępu. Zgoda! Lecz cóż się natenczas z samorodnością filozofji jako krajowej stanie? Czyż nie będziemy jak pseudofilozofja p. Bejły radzi, wiedzy ze statutów i praw naszych wystrzygali, by krajową była?

O nie! pomińmy te zbląkania! Filozofja samorodną wtenczas dla kraju będzie, gdy będzie zgodną z charakterem ludu krajowego; o resztę możemy się nie troszczyć. W rozumieniu p. Bejły, do filozofji krajowej należałyby także zdania: „Non est vinum nisi hungaricum, albo się bij, albo pij!” i. t. p., ale nawyknięcia, obyczaje, nawet prawa narodu, o ile nie są z bezwzględnością zgodne, nie są bynajmniej istotą narodową. Filozofji samorodnej pragniemy, lecz jeżeli w niej mamy znaleźć uświęcenie wszystkiego, co w bycie naszym było stanem chorobliwym, to poniżymy i wyraz *Samorodność*, i wyraz *Lud* i wyraz *Filozofja*.

Samorodność filozofji nie z obyczajów płynie, nie z praw krajowych, ale z istoty narodu; były obyczaje z którychbyśmy szatańską filozofję wyprowadzili <sup>1)</sup>, były i prawa takie <sup>2)</sup>; ale istota narodu jest zawsze cnotą, jest prawdą. Cóż tę istotę stanowi? Czyż owe smętne dumki, czyż skoczne krakowiaki?

*Twórczość!* odpowiadamy naprzód. Przypatrzmy się ludowi, przypatrzmy mu się, jakim jest, jakim był kmieć, jest gościnnie, otwarty, szlachetny, wesołość jego nawet w nędzy i niedoli jest do podziwiania, tęskność wyobraźni, barwność, często serdeczność i prostota są jego wybitnymi znamionami, czasami zniechęcenie, wyradzające się w lenistwo, w nieporządek, w pijaństwo; lecz te znamiona nie są kmieciowi naszemu z innych, mianowicie słowiańskich, krain mieszkańcami wspólne? Czyż nie przypomnimy sobie żadnego rysu, nam tylko właściwego? — Jest nim *dziarskość*, a *dziarskość* jest tem w dziedzinie żywota, czem w dziedzinie umysłowej *twórczość*.

Rozważmyż, azali słusznem jest wysnucie naszej myśli.

---

<sup>1)</sup> Np. zwyczaj zaślubiania córek bez zapytania ich woli, lecz jedynie według wyboru (często jednostronnego) rodziców.

<sup>2)</sup> Prawa, nie uznające bytu chłopów, a nadające przeważne przywileje szlachcie.

Któryż lud ma dziarskość, równą naszemu? któryż ma słowo, toż samo wyrażające? Czyż nią nasz taniec narodowy mazur, czyż nią nasz krakowiak nie oddycha? W piosnkach ludu, nie tyle spólny wszystkim Słowianom żywioł rzewności jest rozwiniętym, niżli ta nam właściwa potęga wesołego, a jednak poważnego uczucia, ta sama wiedza własnej potęgi? Nie sądźmy bowiem, aby właściwie dziarskość była wyzuciem się ze smętnego uczucia, jest to uczucie swojej wyższości, swej najwyższej mocy ducha, które pewną swobodą, pewnym uśmiechem, w pół poważnym, w pół bolesnym opromienia istotność naszą! Jesteśmy w biedzie, dzień cały trzeba pracować, a jednak my wyżsi nad tę niedolę! praca, ciężka praca rozkoszą naszą! Nie mamy pałaców, nędzna chata rzewnej nie posłucha skargi, pieśń piewcy ludu ani ma podobieństwa do jakiejś rozpaczki, jest w niej smutek, jest rzewność (w dumkach ukraińskich najwybitniejsza), ale nad te żywioły wyższym jest żywioł uznania własnej godności; muzyka, pieśni, podania i tańce nasze — to uosobiona dziarskość! Gdy wieczorny nadejdzie taniec, spojrzcie, jak przy nędznej łożówce, w ciasnej izbie karczemnej, rznie skrzypek! spojrzcie na pary tych chłopaków, co dzień cały cepem bili lub sochę dźwigali, na te smagłe dziewczyny, które dzień cały ciężką ziemię łopatami rzucały dzień cały, ba! żywot cały w biedzie, w pracy im upłynął; a jak teraz krążą po chropowatej podłodze karczemnej! w jakim wirze uśmiechów wesołych! w jakim serdecznym żywocie. O wiercie mi! więcej tam poezji w tym żywocie, niż w wielu naszych wierszowanych księgach! a duszą tego wszystkiego dziarskość. Zresztą, że ta jest istota ludu naszego, dość go znać, by być przekonanym. Nawet sam piewca smętnych dumek, kozak, gdy wykrzyknie; „Hej, ja kozak z Ukrainy!” a tupnie nogą! zaiste nie będziecie wątpili że i on dziarski, że innym być nie może! Jednym z rysów wybitnych i charakterystycznych i to zdarzenie, które tu przytoczymy; tyle wzniosłych rysów ono zawiera, a duszą jego jest dziarskość; któż w niem charakterystyki naszego ludu nie pozna?

Następnie opowiada autor o bohaterskim czynie pewnego parobka, imieniem Michał, który uratował życie swemu rywalowi, rzucając się bez namysłu w nurty Wisły.

- Jeśli dziarskość za istotę charakteru ludu naszego uznamy, jej jedność z żywiołem, który zwiemy twórczością, nie jest trudną do okazania, bo z samych orzeczeń (definicji) obu już wypływa, że czem ta w dziedzinie umysłowej, tem ta jest w żywocie praktycznym, zastosowanym, w żywocie takim, w jakim nasz lud się rozwija...

## Piśmiennictwo polskie w zarysie.

(Poznań 1845)

(Poniżej zamieszczamy rozdział wstępny, w którym autor określa swoje stanowisko ogólne oraz podaje plan i rozkład swojej pracy.)

Pojęcie piśmiennictwa. Narodowość w piśmiennictwie. Znamię główne piśmienności polskiej. Język. Stosunek literatury polskiej do piśmiennictw słowiańskich. Stosunek ich dziejów i języków. Poddział.

Str. 1—9.

1. Żywot narodu jest osiągnięciem przezeń coraz wyższego stanowiska, pojmowania i zreczywieszczania wolności. Według tego życie narodu rozpada się na życie jego umysłowe, to jest wyrabiające pojmowanie coraz wyższe wolności, i na życie jego społeczne, zreczywieszczające wyrobione w żywocie umysłowym pojmowanie. Życie społeczne uoznaczajone jest więc życiem umysłowem narodu, stopniem rozwoju, który naród osiągnął w umysłowości, w wyrobieniu pojmowania wolności. Życie społeczne pojawia się w stanie społecznym narodu, w nim się rozwija, a wpływem jego jest oznaczenie stosunków prawnych i politycznych w narodzie, są instytucje i ich rozwijanie się, kierunek i rozległość oświaty. Rozwój społecznego stanu w narodzie, czyli czynowego życia narodu, rozważają i wystawiają dzieje. Rozwój przeciwnie żywota umysłowego narodu czyli pojmowania coraz wyższego przezeń wolności, wyraża się w słowie mówionem lub pisanem, a ciąg tego rozwoju jest literaturą czyli piśmiennictwem albo piśmiennością narodową. Rozwaga istoty pojawów piśmiennictwa, z wykazaniem ich następstwa, jest historją literatury.

2. Jak różnicę narodów stanowi narodowość, czyli właściwy kierunek, w jakim naród rozwija wolność, albo właściwe poję-

cia wolności, np. miłość, równość, jedność i t. d., które głównie naród rozwija, tak różnicę życia społecznego i umysłowego, czyli dziejów i piśmiennictwa narodów, stanowi narodowość odbita w tychto konarach.

3. Narodowość, a zatem i właściwość dziejów lub piśmiennictwa narodowego, może być wywiedziona z poznania ubiegłego żywota narodu, bo w tem charakteryzuje się naród pojawami swego ducha. Stąd przed przejściem dziejów nie można udowodnić, że prawdziwym jest żywioł społeczny; przed przejściem piśmiennictwa nie można wywieść właściwości żywiołu umysłowego, którybyśmy uznali za składowy pierwiastek jakiegoś narodu. Chcąc podać charakterystykę i znamię główne piśmienności polskiej, musimy je podać bez dowodu, a dopiero cały ciąg literatury sprawdzeniem być może i dowodem wyrzeczenia naszego. Głównym żywiołem piśmiennictwa polskiego jest miłość całości narodu, to znamię równie jak w każdej społecznej instytucji, jak w każdym dziejowym fakecie się odbija, tak i w każdym dziele. Miłość całości narodu rozwija się w literaturze, nadaje jej kierunek, uoznacznia przebieg, sama się na coraz wyższy stopień wzbija i rozprzestrzenia. Dlatego też pojęcie narodu, za który, nie wyrobiwszy go, brano szlachtę, dziś przychodzi do pełni, i pod narodem już tylko całość ludu rozumieć można.

4. Literatura, wyrażając się w słowie mówionem lub pisanem, ma za rozłogę pojawu swego język, rozwijający się i kształcający w stosunku rozwoju literatury i zależnie od jej postępu. Język ze zdobyciem nowych myśli w narodzie oddaje je nowemi zwrotami i nowemi maluje odcieniami.

5. Stosunek dziejów, literatury i języka polskiego do tychże w innych narodach jest oznaczony w stosunku odpowiednich narodowości, czyli jakości rozwijanych przez narody oblicz pojęcia wolności. W tym względzie uderza szczególnej pokrewność narodowości polskiej z narodowością innych ludów słowiańskich. Duch dziejów i życia społecznego, zwrot myśli ku jednakiem przedmiotom i jednaki sposób pojnowania, pobratymstwo języków, zbliżają bardzo narodowość polską do narodowości każdego ze słowiańskich ludów. Lecz to zbliżenie niknie coraz w miarę rozwijania się żywiołów indywidualności



w narodzie każdym, i dopiero wtenczas znowu nastąpić może, kiedy ludy słowiańskie, wyrobiwszy się, przyjdą do rozwijania każdy w swoim żywiole, niezależnie, wielkiej jakiejś idei, bratającej narody słowiańskie, lecz nigdy nie zlewającej je w jedną całość, lub pragnącej sfederalizować i zbliżyć w życiu politycznym pierwiastki różnorodne. Tę myśl wielką, mającą zająć i zbratać zbliżoną do siebie, odrębnem i samodzielnem wyrobieniem indywidualności w narodach, słowiańską spółkę, podźwignęła Polska. Wyraziła ją w dziejach swoich, w stanie społeczeńskim i w życiu umysłowem. Przeciw niej jednak stanęła myśl inna, wbrew przeciwna duchowi polskiemu i słowiańskiemu — myśl panslawizmu, to jest zamalgamowania w jedną eklektyczną całość żywiołów różnorodnych, zbliżonych do siebie ledwie mechanicznie, żywiołów, przenikających całą Słowiańszczyznę. Myśl polska i myśl panslawizmu rozwijając się, wzbijając do coraz wyższych stanowisk, ścierały się wielokrotnie, przeważały, zwyciężały nawzajem. Cała Słowiańszczyzna brała i bierze udział we walce, od której wypadku zależeć musi przyszłość Słowian, rozwiązanie zadania, czy uspołecznienie, wsparte na oświacie europejskiej, czy też na barbarzyństwie hord tatarskich, zalegnie Słowiańszczyznę. Ten punkt jest bardzo ważnym zbliżenia się narodowości, dziejów, literatury i języka Polski, do odpowiednich Czech, Słowaków i. t. d.

6. Dzieje, stanowiąc jeden ciąg, równie jak życie, nie mają rzeczywistych poddziałów. Podobnież dzieje się z piśmiennictwem. Jednak równie w życiu indywidualnego człowieka, jak w życiu narodów, napotykamy coraz zmienne odcienia, coraz inne stanowiska. Wedle tych dzieje i literatura poddzielane być mogą: na okresy, epoki i t. d. Poddziały te, chociaż nie istnieją rzeczywiście, nie są nieprawdziwemi, bo na jakiejś zawsze oparte są odrębności. Równie dzieje jak piśmiennictwo polskie okazują trzy główne epoki: epokę przed wprowadzeniem chrześcijaństwa, epokę od przyjęcia chrześcijaństwa aż do upadku szlachectwa w Polsce, wreszcie trzecią, dzisiejszą epokę czysto polską, w której duch narodowy rzeczywiście się wyrabia.

Epoka pierwsza może być nazwana słowiańsko-polską. W niej Polska rozlewa się w ogromie Słowiańszczyzny, nie

wyosobnia się w naród stały, odrębny. Dopiero wędrówki ludów naginają społeczeństwo do zawiązania się w całość, mniej na gminności słowiańskiej opartą, więcej do narodu zbliżoną. Parcie Niemców z zachodu, wciskanie się chrześcijaństwa i niedostateczność uspołecznienia bezpośredniego, wyrabia indywidualność narodową. Polska staje się osobnym, w części schrześcijanionym narodem, przyjmującym w łono swe instytucję wojenną rycerstwa, mającego wodza, nazywanego królem.

Parcie instytucyj i wyobrażeń zachodu, rozerwany interes kościoła i państwa, a w wnętrzu państwa samego sprzeczne interesa szlachty i ludu, króla i szlachty ścierają się, równoważą i, walcząc, stanowią pochod dziejów. Wreszcie zwycięża żywioł szlachecki i wtenczas zakwita naród potęgą, oświatą i piśmiennictwem. Żywioł jednak opromieniający naród, nie jest czysto polski, nie wychodzi ze serca narodu, ale z jego części, w demokratyczną uorganizowanej kastę, ze szlachty. Stąd epoka ta nie jest polską, lecz szlachecko-polską, albo, jakbyśmy ją nazwać chcieli, łacińsko-polską, ze względu, że oświata łacińska i obrządek łaciński głównie upiętnowały istotę szlachty.

Żywioł szlachecki i oświata łacińska uległy wkrótce zepsuciu, rozwinięte skarłowaciały. Szlachta dała się intrygami możnych o władnię i fanatyzmem zaślepić — literatura upadła. To zgnędnienie literatury zaczyna się od początku XVII wieku, jej świetność trwa przez wiek XVI, do tego zaś czasu od wieku XI wyrabiała się równie społeczność jak piśmiennosc polska. W połowie wieku XVIII żywioł łaciński i katolicyzm zostaje podcięty w szlachebie przez żywioł francuski, wciskający się mianowicie do wyższych warstw społeczeństwa. Starcie się dwóch obcych żywiołów wyniszcza je obadwa. Szlachta sama zaprzecza swoją istotę, przyjmując króla obieralnego; — literatura staje się czystem naśladownictwem francuskiego klasycyzmu.

Dopiero w początku wieku XIX budzi się duch polski. Z zawitaniem Napoleona zaczyna literatura w poetach legjonistach, oraz w Brodzińskim, zwracającym myśl do ojczyźności, przeczuwać swoje rodzime stanowisko i ducha czysto polskiego, który wyśpiewany przez Mickiewicza, a przepracowany umiejętnie przez myślicieli - mistrzów narodu, wzbija się dziś nad

całym narodem — jako brzask narodowej oświaty, samodzielności i potęgi.

Taki przebieg ducha narodowego, w pojawianiu jego umysłowości, oznacza podziały, które przyjmujemy, i usprawiedliwia je. Dzielimy piśmiennictwo polskie na:

- a) Epokę pierwszą. Zabytki najdawniejsze języka i pieśni, pomniki przedchrześcijańskiej Polski, do r. 1000.
- b) Epokę drugą. Od r. 1000 do 1820.  
Oświata łacińska w Polsce.
- α) Podokres pierwszy. Od r. 1000 do r. 1500. — Epoka wznoszenia się i wyrabiania piśmienności.
- β) Podokres drugi. Od r. 1500 do r. 1600. — Epoka świetności literatury.
- γ) Podokres trzeci. Od r. 1600 do r. 1770. — Epoka znędznienia literatury i jej zupełnej czczości.
- δ) Podokres czwarty. Od r. 1770 do r. 1820. Epoka naśladownictwa francuskiego klasycyzmu.
- c) Epokę trzecią. Od r. 1820. — Rodzimość literatury.
- α) Podokres pierwszy. Od r. 1820 do r. 1825. — Budzenie się poezji narodowej.
- β) Podokres drugi. Od r. 1825 do r. 1830. Mickiewicz i przezeń wzniesiony duch polski do samodzielności.
- γ) Podokres trzeci. Od r. 1830 do r. 1844. — Wyrobienie się myśli narodowej we wszystkich kierunkach i rozpoczęcie życia samodzielnego, umysłowego w narodzie.

## KAMIEŃSKI HENRYK.

(1812—1865).

Jednym z pisarzy, wgardliwie zwykle przez historyków literatury pomijanych lub opacznie przez nich pojmowanych i z uprzedzeniem traktowanych, a który na to nietylko bezwarunkowo nie zasługuje, ale którego, przeciwnie, należy się z honorami wprowadzić w szeregi tych duchów Polski wychodźczej, z pomroki przeszłości przez pisma swoje nam przyświecających — jest autor „Prawd żywotnych” i „Katechizmu demokratycznego”. Wspominali o nim ze zgrozą, półgębkiem nieraz, ci, którzy się twórczością Krasieńskiego i Słowackiego po r. 1840 zajmowali, gdyż dla nich jest on jakby widmem czerwonym, złowrogo z przeszłości wyglądającym (Małeki, Tarnowski, Tretiak), a ci, którzy go bez uprzedzenia czytali, nie uważali za właściwe zwrócić na tego pisarza uwagę badaczy i miłośników literatury: rehabilitacji bowiem on nie potrzebuje. Ci, co go dziś jeszcze potępiają, nie wiedzą może, że ten sam Krasieński, który, gdy pisał swe „Psalmy”, odzęgnywał się od Prawdowskiego, jak od straszdyła, jak od wielonego Pankracego, złożył mu później hołd jako pisarzowi i patriocie. Prawomyślni religijnie wzdyrgali się doniedawna na samo wspomnienie o Towiańskim, bo zamroczyl jakoby umysły Mickiewicza, Słowackiego, Goszczyńskiego: prawomyślni społecznie wzdygają się podobnie na wspomnienie o Prawdowskim, ale żaden z nich nie spróbował zgłębić lub chociażby bliżej poznać wyklinanego: Towiańskiego dopiero niedawno zaczęto bez uprzedzeń badać i wpływ jego na umysły wyjaśniać; czas już oddać sprawiedliwość i Kamieńskiemu <sup>1)</sup>

Urodzony w r. 1812 w Warszawie, był synem Henryka Kamieńskiego, napoleoneczyka, który brał udział w ataku na Samo-

<sup>1)</sup> I p. Kleiner („Zygm. Kras.”) zajmuje się naturalnie Prawdowskim o tyle tylko, o ile on wywołał pewien obaw w twórczości Krasieńskiego lub wywarł na poglądy jego wpływ; i on jednak, pomimo że wspomina przestępował „Prawdy” i „Katechizm”, nie ustąpił się spełnienia z Prawdowskim z punktu widzenia moralizatorskiego (II, 14).

sierra, a w r. 1831 już generał, poległ pod Ostrołęką. Matka, Kochanowska z domu, była córką kasztelana, który ród swój wywodził od Jana z Czarnolasu. Miała to być kobieta umysłowo niepospolita; przezywano ją też warszawską Korynną. Matka Edwarda Dembowskiego była jej siostrą; był więc Kamiński ciotecznym bratem, o 10 lat młodszego od siebie Dembowskiego. Do szkół chodził w Warszawie. W r. 1831, jak podaje biograf Kamińskiego, Limanowski, zaciągnął się do 4-go pułku ułanów; następnie został przeniesiony do sztabu gen. Skrzyneckiego i pełnił przy nim obowiązki adjutanta. Za waleczność został ozdobiony krzyżem *Virtuti militari*. Raniony w nogę podczas bitwy pod Warszawą, znajdował się w szpitalu w Modlinie, w chwili, kiedy wojsko rosyjskie wchodziło do tej twierdzy. Po zagojeniu się rany otrzymał pozwolenie powrotu do domu rodzinnego, ale oddano go pod nadzór policyjny; osiadł w majątności swej Rudzie, w Chełmskiem, nad Bugiem. Po pewnym czasie, zapewne kiedy czujność policji zmniejszyła się, znalazł się Kamiński znowu w Warszawie. Wraz z Dembowskim wstępuje do powstałego w r. 1839, po wykryciu Świętokrzyżców, Związku Narodu Polskiego, którego celem było wywołanie powstania; wybuch miał nastąpić na wiosnę r. 1844. W jesieni r. 1843, gdy Dembowski, zagrożony aresztowaniem, uciekł w Poznańskie, Kamiński objął kierownictwo Związku. Ale już pod koniec r. 1843 podążył i Kamiński w Poznańskie. Co zmusiło go do nagłego opuszczenia Królestwa Kongresowego, czy niebezpieczeństwo, grożące jego osobie ze strony tropiącej Związek policji warszawskiej, czy też, jak sądzi Limanowski, gorące pragnienie swobodnego wypowiedzenia swych myśli — niewiadomo.

Jeszcze przed wyjazdem w Poznańskie, Kamiński oddawał się studjom nad filozofją niemiecką i naukami społecznymi. Myśli swe rozwijał na zebraniach grona entuzjastów i entuzjastek, z Żmichowską na czele, do którego wraz z Dembowskim należał, a które skupiało się około „Przeglądu Naukowego”, wydawanego przez Dembowskiego, a redagowanego przez Skimborowicza. W „Przeglądzie Naukowym” ogłasza kilka rozpraw treści filozoficznej i społecznej; do filozoficznych należą: „Twórczość jako byt” (1843), „Myślę, więc jestem. Tworzę, więc jestem” (1843), „O filozofji w ogólności i systematach filozoficznych” (1843) i „O filozofji praktycznej czyli o filozofji czynu” (1845). W rozprawach tych, jak i w głównem swem dziele filozoficzno-społecznem, p. t. „Filozofja ekonomji materialnej ludzkiego społeczeństwa”, jest pod przemożnym wpływem filozofji niemieckiej, t. j. właściwie filozofji Hegla, ale nie poddaje się jej bez zastrzeżeń. Zdaniem Kamińskiego jest ta filozofja zanadto abstrakcyjna, dlatego więc nie może „przejsię w istotę naszego narodowego pojęcia”. Odrzuca zatem jej założenie „myślę więc jestem”, a przyjmuje inne „tworzę więc jestem”, próbuje stworzyć „filozofję praktyczną, filozofję czynu” —

taka tylko, zdaniem Kamińskiego, może być „odpowiednią naszej narodowości“, taka dopiero bowiem filozofja „w naszych umysłach znaleźćby potrafiła oddźwięk powszechny“ (zob. przedmowę do „Filoz. ekon. mater.“).

Z tego stanowiska wychodząc, rozwija Kamiński na podłożu filozoficznym swój system ekonomji politycznej, czyli, jak ją nazywa, „materjalnej“, w „Filozofji ekonomji materjalnej ludzkiego społeczeństwa“. W dziele tem Kamińskiego jest widoczny pewien wpływ teorii St. Simona, poczęści Comte'a, ale całość jest, jak twierdzą ekonomiści nasi, „traktatem samodzielnie przemyślanym, który postawić można obok najlepszych z literatury europejskiej XIX stulecia“. Zasadnicze myśli Kamińskiego rozwijał jego uczeń, Edward Dembowski, w artykułach swych w „Przeglądzie Naukowym“. Zbijał rozumowania Kamińskiego Libelt w „Filozofji i krytyce“ (I, 1845), dowodząc, że nie schodzi on właściwie ze stanowiska filozofji niemieckiej. Mniejsze już znaczenie mają artykuły ściśle społeczne Kamińskiego, w tym samym czasie, co filozoficzne, ogłaszane w „Bibliotece Warszawskiej“ (1842) i w „Przeglądzie Naukowym“ (1843) („Uwagi nad stanem włościan i produkcji krajowej“ i inne).

Jednocześnie z „Filozofją ekonomji materjalnej“ obmyśla i opracowuje Kamiński główne swe dzieło, książkę, która wielkie wrażenie i wielki wpływ wywarła nie tylko na zapalną młodzież, ale nawet na umysły dojrzałe, samodzielne i niepospolite (Kraśiński, Słowacki) — „O prawdach żywotnych narodu polskiego“. Kończy ją w Poznaniu, drukuje w Brukseli (1844).

Na wstępie, w „Dedykacji do Towarzystwa Demokratycznego Polskiego“, zwracając się do tego zgromadzenia, woła Kamiński: „Ojcowie polskiej sprawy! to wasz uczeń, wasz wychowawca do was się odzywa i składa przed wami swoją pracę w dowód czci i uwielbienia. W latach tułactwa i niedoli wyście myśl ojczyzną pojęli i kształcili na rozmiary olbrzymie demokratycznego żywiołu; wyście ujeli istotę naszej narodowej potęgi, *myśl ludową*, która jedna zdolna przywrócić nam nasze siły, wzniesić je do najwyższej dzielności; wskrziesić i ocucić masę Polski dotąd martwą i bezwładną. Postawiliście kamień węgielny wszelkiego dalszego narodowego kształcenia; na nim wespół się musi, ktokolwiek rękę do sprawy przyłoży, a wasze dzieło jest niesmiertelne i coraz dalej wznosić się będzie. Rzuciliście ziarno, które nie pada na nie wdzięczną rolę; napoczęliście kwestję żywotną, która o własnej sile musi się rozwijać, a naturalny jej postęp powszechność Polski ogarnie. Wy, wskrziesiciele postępu narodowych wyobrażeń, wyhycie się pewnie oburzyli na samą myśl, aby podrastająca młodzież polska nie miała nic nowego do waszej budowy przyłożyć, aby daremnie następowało nowe pokolenie, nie nie przydając do tego postępu, którego wy jesteście twórcami. Posłuchajcie więc, co mówi

młode natchnienie i w jaki sposób pojmuje urzeczywistnienie ludowego przekształcenia naszej Ojczyzny.... Składam przed wami hołd czei i uwielbienia i w wasze zasady wstępuję; lecz wstępuję samodzielnie, bo ja prawdziwy wasz uczeń, a myśl wasza, tak jak każda myśl wielka i prawdziwa, samodzielność obudzać musi".... i t. d.

Zasady swoje Towarzystwo Demokratyczne wykladało w szeregu broszur i artykułów, które ogłaszało w organie swoim, „Demokracie Polskiej“, a zwięźle je sformułowało i wygłosiło w słynnym Manifestie z r. 1836. Kamiński opiera się na tych zasadach, cytuje nawet niektóre artykuły „Demokraty Polskiej“, ale rozwija te zasady po swojemu, do czego, jak widzieliśmy, sam się przyznaje. Książkę swą Kamiński, urodzony propagator, napisał z ogromną siłą przekonania i wyrazu, która musiała podbić od razu młodzież epoki wiosny ludów. Dzieli ją na 3 części. W pierwszej składa hołd Maurycemu Mochnackiemu, „wielkiemu nieśmiertelnemu, genialnej głowie“, jak go nazywa; ale nie jest ślepym wielbicielem jego, jako działacza, ani jego poglądów polityczno-społecznych; krytykuje stanowisko jego wobec rewolucji społecznej, której był przeciwny, a bez której powstanie 1830 r., zdaniem Kamińskiego, udać się nie mogło; zgubiła ją nie kontrrewolucja Czartoryskiego i innych, lecz sami inicjatorzy powstania, którzy dopuścili do kontrrewolucji, a zaniedbali obudzić uspijony żywioł. W części drugiej („Rozwagi nad obecnym stanem Polski“) Kamiński rozwija zasadnicze myśli swoje, „prawdy żywotne“, jak je nazywa, „narodu polskiego“. „Naród wielki nie mógł upaść, jak skutkiem własnej niemocy“. „Przyczyny upadku narodu w nim samym leżą, nie zaś w okolicznościach zewnętrznych“. Przyczyną naszego upadku nie był wadliwy ustrój państwowy, lecz ucisk ludu; upadliśmy, bo nie umieliśmy porwać ludu, a mogliśmy to osiągnąć przez rewolucję społeczną, to jest przez uwłaszczenie ludu wiejskiego; przeciwko zasadzie zniesienia własności indywidualnej, jako niepraktycznej, Kamiński występuje; Edw. Dembowski, głosząc zasady komunistyczne, poszedł dalej od swego mistrza i od Towarzystwa Demokratycznego. — W rozdziale „Stanowisko i położenie Emigracji w narodowości polskiej“ określa Kamiński jej rolę w społeczeństwie. Emigracja, odcięta od kraju i nieznająca stosunków, jakie się wytworzyły w kraju po upadku powstania 1830 r., nie może i nie powinna narzucać się mu na przewodniczkę w działaniach polityczno-społecznych: dotyczyło to i Towarzystwa Demokratycznego, jako części tej emigracji. Podzielał tu Kamiński zdanie Goszczyńskiego, wyrażone w artykule: „Główny żywioł demokracji polskiej“ („Demokrata Polski“ 1842), który znać musiał, oraz w Memorjale jego do Towarzystwa Demokratycznego (ogłoszonym drukiem dopiero w roku 1910 przez Z. Wasilewskiego).

Ale „Emigracji winniśmy *myśl ludową*“, powiada Kamiński dalej, „zupełnie dotąd nieznaną, ani szlacheckiej naszej dawnej Rzeczypospolitej, ani szlachecko-miejskim powstaniom. W imię teraźniejszości i przyszłości cześć wieczna Emigracji, która tę potężną dźwignię krajowi podaje.... Oto jest źródło święte władzy, jaką Emigracja sprawuje *de facto*, naginając i wyciskając jakoby wosk miękki narodowe pojęcia do postępowych kształtów, zapewniających nam świetną przyszłość“.... „Myśl ludowa, przez Towarzystwo Demokratyczne wyświecona, jest sumą całej Emigracji —.... w jego (Tow. Dem.) naukach mieści się ostateczny owoc jej prac“. Jako gorący wyznawca zasad republikańskich, Kamiński potępia „ideę dynastyczną, popieraną w Emigracji przez stronnictwo arystokratyczne“. Wyjaśnia następnie pojęcia: *kontrrewolucja*, *terroryzm* i *kluby*.

Kontrrewolucja Czartoryskiego i komp. zgubiła powstanie 30 r.; lekarstwem na nią był „terroryzm“, który według Kamińskiego odpowiada prawu karności wojennej, a który nie mógłby w Polsce mieć nigdy tego charakteru i tego zastosowania, co we Francji. Zgubna byłaby u nas, tak sądzi Kamiński, forma tego środka, przyjęta niegdyś przez Francuzów, ale zbawienna zasada. Kamiński wcale w dziele swem nie wygląda i nie jest takim czerwonym i krwi chełwym, jakim go sobie Krasinski i wielbiciele jego retorycznych „Psalmów“ wyobrazili; przerazili się tego wyrazu „terroryzm“, który w rzeczywistości rzeczy strasznej w sobie nie ukrywał; wiemy przecież, jakim był ten „terroryzm“ w praktyce, gdy go wypadło niebawem zastosować Dembowskiemu do „kontrrewolucjonisty“ Michała Wiszniewskiego w r. 1846.

Takie są zasady rewolucyjne Kamińskiego; dwie trzecie książki zajmuje część trzecia, praktyczna, zatytułowana: „Wojna ludowa“, która jest systematycznym wykładem, przewodnikiem czy regulaminem dla urządzających taką walkę.

Zasadnicze myśli „Prawd żywotnych“ wyłożył Kamiński w formie popularnej, katechizmowej, z darem propagatorskim wybitnym, w książeczce, która się ukazała wkrótce po wydaniu tamtej, p. t. „Katechizm demokratyczny“ (1845). Jakżeż ona przypomina, i formą, i tendencją antyszlachecką, inną, o lat 50 z góra wcześniej ogłoszoną (1790) książeczkę, wyszłą z „kuznicy Kollatajowskiej“ „Katechizm o tajemnicach rządu polskiego“, piora za jakobina w sutannie uważanego księdza Franc Salezego Jezierskiego! Innej broni tylko, niż romantyk Kamiński, użył ks. kanonik, racjonalista, nieodrodny syn Wieku Oświeconego, — broni sztyderstwa.

Otóż „Prawdy żywotne“ i „Katechizm demokratyczny“ do głębi oburzyły i przeraziły trapiętego wciąż zimą przewrotu społecznego autora „Nieboskiej komedii“. Spirydjon więc Prawdacki odpowiedział Filaretowi Prawdowskiemu „Psalmem imłosc“. Dla



Kraśińskiego „kuźnicą” jakobinckich teoryj była Centralizacja (Tow. Demokr.), a autor „Prawd żywotnych” i „Katechizmu demokratycznego” jej agentem. Agentem Centralizacji Kamiński nie był, nie był bowiem członkiem Towarz. Demokratycznego, ale gorący wyznawca jej zasad, za ucznia tylko duchowego „Ojców polskiej sprawy”, jak wiemy, siebie uważał. Tymczasem Towarzystwo Demokratyczne nie miało odwagi otwarcie i jawnie książek Kamińskiego uznać za wytwory swego ducha, za wyraźnie bowiem zapewne i konsekwentnie rozwijały zasady, przez nie w pismach Centralizacja odrzuciła „wojnę ludową” Prawdowskiego, ale książki jego polecała do czytania, chociaż dlatego tylko podobno, żeby się z autorem nie poróżnić.

W obronie zasad Towarz. Demokratycznego i Prawdowskiego, przeciwko napaści wierszowanej (Ps. miłości) Kraśińskiego, wystąpił nie członek Towarzystwa również, poeta Słowacki (w wierszu, jak wiadomo, „Do autora 3 psalmów”). Goszczyński, tak gorliwy i wymowny niegdyś szerzyciel idei demokratycznej w poezji i w publicystyce (współpracownik „Demokraty Polskiego”), najbliższy duchowo Kamińskiemu, — Goszczyński mileżał; zerwawszy od lat kilku (1842) ze światem realnym, zatopiony był już wtedy cały w towianizmie.

Kamiński zbyt wydatną był indywidualnością psychiczną, aby myśli jego, tak dosadnie i z taką mocą przekonania wygłaszane, nie znalazły swego odbicia w umysłach i w utworach nawet ludzi wybitnych. Dowodem Słowacki, a co ciekawsza, nawet zacięty przeciwnik Prawdowskiego, Kraśiński. Wpływ Kamińskiego na Słowackiego uwidocznił się w wierszu „Do autora trzech psalmów”: apoteoza ludu, składanie dzieła zbawienia w ręce młodzieży, zaznaczenie przeciwieństwa pomiędzy starszem a młodszem pokoleniem — to są echa „Prawd żywotnych” i „Katechizmu demokratycznego” (zob. Tretiak „Jul. Słowacki”, II, 228—35). Nie mógł też, zdaniem Tretiaka, na co zgodzić się można, nie wyrzec silnego wrażenia na Słowackiego rozdział „Prawd żywotnych”: „O stanowisku postępowem poezji ludowej” (46), w którym Kamiński nauczał poetów, jak mają śpiewać do ludu i o ludzie“.... a kończył się apostrofą: „Powstań, piewco przyszłości, poeto ludowy!” i t. d. (Zob. Tretiak, II, 228).

Ale oto niedawno młody badacz, p. J. Kleiner zwrócił pierwszą uwagę na fakt znamienny i wielkiej wagi, że Kamiński wywarł wpływ nawet na swego nieubłaganego przeciwnika. Kraśiński, który z taką zgrozą odzęgnywał się od teoryj Prawdowskiego, nie mógł jednak obronić się od niektórych jego myśli, które przyjął za swoje i w „Psalmie miłości” wypowiedział. „Prawdy żywotne” dopiero rozbudziły, zdaniem p. Kleinera, głośny ton rycerski w twórczości Kraśińskiego — przyjmował on i głosił emigracyjny ideał powstania („Przeciw piekłu podnieść kord“.... i t. d.). Na-

stępnie przyjął Krasieński drugi postulat Kamińskiego — uwłaszczenie ludu; — co więcej, zgodził się na to, że „rewolucja społeczna“ musi złączyć się z powstaniem, — ale pod warunkiem, że przeprowadzi ją w imię miłości szlachta, jako przewodniczka ludu; drażniło bowiem Krasieńskiego to przekonanie Kamińskiego, że ze szlachtą lub przeciw niej dokonać się miała przemiana w Polsce, nie przez nią.

Ostatecznie, „praktyczny program Krasieńskiego na przyszłość najbliższą — wnioskuje p. Kleiner — to był program Henryka Kamińskiego, program „wojny ludowej“ („Dać źniwiarzom wszystkim grunt“... i t. d.) (Kleiner: „Zygm. Kras. II, 145—148).

Tak jest. Nie zwrócono jednak uwagi (i p. Kleiner) na fakt ciekawy, że już sam Kamiński, pisząc w lat 20 niespełna (w roku 1863) po tej polemice popularnie opracowaną książeczkę p. t. „Wojna ludowa“, zwracając się w przedmowie do zmarłego już poety, którego, jak Słowacki, nazywa Irydjonem, stwierdził, że Krasieński w gruncie rzeczy podzielał jego zasadniczy punkt widzenia: „Irydjon przeciwko niej (t. j. „Prawdom żywołnym“) wyśosował swoje „Psalmy“, jakoby przeciwko potwornemu dziełu, sejącemu w narodzie rozłojenie, a przeciwstawił jej to, co było w niej, co samą treść jej stanowiło, „z polską szlachtą polski lud“, a co Prawdowski wyjaśniał, ukazując, na jakiej zasadzie a jakimi sposobami do tego może a musi przyjść, by z polską szlachtą trzymał polski lud“... Wieszczy, twórca „Psalmy“, który na Prawdowskiego rzucił klątwę, ale który go miał za człowieka uczciwego, lecz błędzącego, twórca Psalmów mówił o tej szalonej a upartej walce, która skutkiem popędu i woli na stronę podbitego ludu musiała się rozstrzygnąć, że ta wojna, że ta książka (dosłownie, albo prawie przytaczamy) „jest poematem, lecz poematem strasznym, poematem krwi i mordu“. Wieszczy się mylił“... „Irydjonie, drogi przeciwniku, czemużeś nie dożył tego, byś ujrzał powstający polski lud z polską szlachtą, a przekonał się, że ci, których niesłusznie napałałeś, obrońcami byli zasad, które sprawić miały i sprawiły opiewaną przez ciebie jełkość“.

W kilkanaście lat po ogłoszeniu „Psalmy“, przestał Krasieński Kamińskiemu w liście obszernie „Uwagi“ nad dziełem jego o „Rosji, Europie i Polsce“, które ogłosił w r. 1857, wkrótce po pokoju paryskim. Ocenia to dzieło Krasieński surowo i dokładnie, ale nie może się powstrzymać od wyrażenia swego podziwu i zachwytu dla myśli w niem zawartych i dla sposobu ich wyrażenia. Podziwia Krasieński w tej książce: „czystość patetyczną zamiaru i niestychane z wierzchu panowanie nad rozdzierającą w głębi namiętnością — jasność i ściśłość wykładu — głębokość prawd dziejowych, na jasność wyrwanych — mądrość i wzniosłość idei... Wszystko doskonale przemyślane, wyrobione, napisane — i tem o stopień jeden wyżej podniósł autor filozofję historii“...

„Są kartki, pisze dalej Krasieński, za których czytaniem łzy uwielbienia w oczach się rodzą, łzy, wywołane pięknem i dobrem, na nich wyrytem. Polska wdzięczną być winna za to dzieło... Książka tyłańska co do rozmarów, uroczysta powagą, mądra pojęciami“... (Zob. Pisma. Wyd. jubil. t. VII, 389—396).

Na „Uwagi“ te przesłał Kamiński Krasieńskiemu obszerną odpowiedź, której jednak w papierach poety nie znalazzono <sup>1)</sup>.

W końcu r. 1845 Kamiński wrócił do Kongresówki; został natychmiast aresztowany i osadzony w cytadeli; oskarżono go głównie o napisanie „Prawd żywotnych“, ale mu tego udowodnić nie potrafiiono. Zesłano go do Wiatki, gdzie pozostawał przez 3 lata. Zbliżenie się do społeczeństwa rosyjskiego pozwoliło Kamińskiemu poznać głębiej jego charakter, w którym spostrzegł wielkie zalety; spostrzeżenia wówczas zrobione zużytkował później w dziele, które tak wie kie wrażenie na Krasieńskim uczyniło.

Po powrocie z wygnania, Kamiński osiadł znowu w majątności swej nad Bugiem i zajął się oczyszczaniem włości. W jesieni r. 1851 ciężko zachorował i wyjechał na początku roku następnego (1852) do Szwajcarii. Poprawiwszy się na zdrowiu, ożenił się i osiadł na stałe w wolnej krainie Helwetów; przebywał zwykle w Interlaken, lecz zimą, dla pokrzepienia słabnących sił, wyjeżdżał do Algieru. Po wojnie wschodniej pisał dużo w sprawie polskiej, po polsku i po francusku. Ogłosił najprzód broszurę: „Lettre à M. Léon Plée sur la question européenne“, a niebawem wspomniane wyżej dzieło: „Rosja i Europa—Polska“ (1857), w którym zawarł charakterystykę Rosji, jej rządu i narodu, i stosunku jej do Polski. Opracowanie francuskie dzieła, dokonane przez Władysława Ordeę, o które gorąco wołał Krasieński, ukazało się jednocześnie p. t. „La Russie et l'avenir“. Wkrótce potem (w r. 1858) zaczął Kamiński drukować w Genewie na obszerne rozmiary zakrojone dzieło p. t. „Demokracja w Polsce“, ale wyszło jego tylko kilka początkowych arkuszy. Podniecony wypadkami r. 1859, wojną włoską, Kamiński zaczął w Genewie wydawać pismo p. t. „Prawda“; wychodziło ono od października r. 1860 do sierpnia r. 1861. Rozwijał w niem swoje poglądy polityczno-społeczne, z zabarwieniem, jak zwykle, filozoficznym. Na wiosnę r. 1863, podczas powstania, opracował na nowo dawną rzecz o wojnie ludowej (1844), wydrukował dwa pierwsze arkusze w Paryżu i przesłał je Rządowi Narodowemu, z żądaniem nakładu na dalszy ciąg; ale do ukończenia druku wówczas już nie doszło; wydał dziełko, już po śmierci autora, Agaton Giller.

---

<sup>1)</sup> Dowiadujemy się o tem z dopisku, ręką Kamińskiego do „Uwag“ sporządzonego.

Kamieński zmarł w Algierze, 9 stycznia 1865 r. W papierach po zmarłym znaleziono, jak zapewnia biograf jego. Limanowski, rękopis, przygotowany do druku, p. t. „La Pologne inconnue“.

## BIBJOGRAFJA.

A) Pisma Kamieńskiego. — „Filozofja ekonomji materialnej ludzkiego społeczeństwa“. Część I, Poznań 1843; cz. II, Poznań 1845 (bezimiennie): w skróceniu wyszła w „Bibliotece dzieł społeczno-ekonomicznych pod red. Dr. Z. Daszyńskiej-Golińskiej“. Warszawa 1911 (wydanie niekrytyczne). — „O prawdach żywotnych Narodu Polskiego, przez Filareta Prawdoskiego“. Brusela 1844. — „Katechizm demokratyczny czyli opowiadanie słowa ludowego, przez Filareta Prawdoskiego“. Paryż 1845. — „Lettre à M. Léon Plée sur la question européenne“ przez X. Y. Z. Genewa 1857. — „Rosja i Europa—Polska“, przez X. Y. Z. Paryż 1857 („Wstęp do badań nad Rosją i Moskalami“. I). — Toż po francusku: „La Russie et l'avenir“, 1858. — „Demokracja w Polsce“, przez X. Y. Z. Genewa 1858. (Str. XV i 128; druk dzieła nie ukończony). — „Wojna ludowa“, przez X. Y. Z. Bendlikon, 1866. — W czasopismach: „Uwagi nad stanem włościan i produkcji krajowej“ (Bibl. Warsz. 1842, III i Przegl. Naukowy 1843, III; w „Przełądzie Naukowym“: „Twórczość jako byt“ (1843); „Myszę więc jestem, tworzę więc jestem“ (1843); „O filozofji w ogólności i systematach filozoficznych“ (1843); „Przełąd rozpraw o oczynszowaniu“ (1843); „Obraz porównawczy pauperyzmu“ (1843; „Przełąd I półroczna Biblioteki Warszawskiej z r. 1843“ (1843); „O filozofji praktycznej czyli o filozofji czynu“ (1845); „O obowiązkach właścicieli ziemskich“ (1844). — „Mémoires d'un prisonnier d'état, par Henri Korwin“ (w „Temps“ 1865).

B) O Kamieńskim pisali: J. A. Kamiński: Materjały do monografji i historii rodzin Kamieńskich i Kamińskich, 2 t. Lwów 1854—6. — Jaroehowski: Literatura poznańska w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Poznań 1880, str. 89. — Limanowski: Henryk Michał Kamieński (przy skróconem wyd., „Filozofji ekon. materj.“ Warsz. 1911). — Stecka: „Edward Dembowski“. Lwów 1911 (str. 6—15). — O „Filozofji ekon.-materj.“ pisali: Libelt: Samowładztwo rozumu i objawy filozofji słowiańskiej 1845 „Filozofja i krytyka“ I, Poznań 1845, 167—176; Limanowski: Historia ruchu społecznego w XIX w. Lwów 1890 (str. 463—470; Głębicki: Ekonomika społeczna I (339—41); Daszyńska-Golińska w Przedm. do skróc. wyd. Filoz. ekon. mater. (Warsz. 1911). — O „Prawdach żywotnych“ i „Katechizmie demokrat.“ pisał Sternal. „Z powodu listu Tarnowskiego o Krasieńskim“. Krak. 1893; Matecki: „J. Słowacki“, wyd. 3, t. III, 174; Tarnowski: Hist. liter. pol. V.

394—6; Tretiak: „J. Słowacki, II, 206—235; Polemika Piniego z Lambrem (A. Niemojewskim) w „Pamiętn. Liter.“ 1903; Limanowski: Hist. demokracji polskiej. Zurych 1901 (str. 296 i nast.); Kleiner: Zygm. Krasiński. Lwow, 1912, II, 138—152. — Art. bezim. w Przegl. Poznańskim 1857 p. I. „Pansławizm a Polska“ (ocena dzieła „Rosja i Europa, Polska“). — Z Krasiński: Uwagi nad dziełem o Rosji, Europie i Polsce (Pisma. Wyd. jubil. VII, 387—396; toż w „Myśli Niepodległej“ 1913, kwiecień. — Lambro (A. Niemojewski): Henryk Kamiński i Zygm. Krasiński (Myśl Niepodl. 1913, kwiecień, nr. 240). — Limanowski: Historia ruchu rewolucyjnego w Polsce w 1846 r. Kraków, (1913). — Chmielowski: Hist. lit. pol. IV, 93.

### Filozofja ekonomji materialnej ludzkiego społeczeństwa.

(1843)

(„Filozofja ekonomji materialnej ludzkiego społeczeństwa“. Poznań, 1843—45).

(Część pierwsza. Wstęp. (§ 6) Str. 34—38).

...Czyn nosi cechę, jakośmy wyżej wykazali, obcowania pojedynczego człowieka z ludzkością. Więc samo tworzenie czynu jest temsamem tworzeniem jedności pomiędzy ludźmi; a stąd postęp czynu jest temsamem postępowaniem jedności między ludźmi. Więc ludzka twórczość nie byłaby zdolna wydać czynu, gdyby temsamem nie tworzyła jedności pomiędzy ludźmi, i naodwrot: nie byłoby jedności pomiędzy ludźmi, gdyby nie istniała przez czyn. Tak więc jedność pomiędzy ludźmi jest dziełem twórczości człowieka i wynikłością konieczną powszechnej jedności ludzkiego bytu.

### § 7. Jedność pomiędzy ludźmi, czyli ludzkie społeczeństwo. — Nauki społeczne.

Życiem duchowem człowieka jest czyn; a czyn — wzajemne pomiędzy ludźmi obcowanie — stanowi już ludzkie społeczeństwo, które przeto tam się zaczyna, gdzie duchowe życie człowieka i postęp, jako bezpośrednia wynikłość i pierwotny doskonały utwór absolutu twórczego. Niema zatem ludzkiego przedspołecznego, duchowego życia.

Czyn stanowi ludzkie społeczeństwo, a jak niema czynu, któryby nie był obcowaniem pomiędzy ludźmi, tak niema czynu, któryby nie był postępowaniem ludzkiego społeczeństwa.

Więc społeczeństwo ulega prawu bezwzględnemu koniecznego postępu, a stąd kształty swoje ciągle zamienia na coraz doskonalsze i foremniejsze. Społeczeństwo i wszelkie pomiędzy ludźmi stosunki, jako bezpośrednie dzieło ludzkiej twórczości, — wynikłość bytu — na mocy prawa absolutu przetwarzane być muszą w coraz większej jedności pomiędzy ludźmi. A tak głównie znamię społeczeństwa bierzemy i wyprowadzamy wprost z absolutu, wszystko ludzkie pod najogólniejsze podciągając pojęcie: absolut (byt, twórczość) — wynikłość (czyn).

Społeczność — życie duchowe — czyn, są wyobrażenia nierozdzielne i bez siebie istnieć nie mogące; społeczeństwo ludzkie występuje przeto jako istota zbiorowa, w ludzkości — jako istota zupełnem i doskonałem życiem obdarzona, którego człowiek pojedynczy jest cząstką, atomem składowym, samym przez się niekompletnym i bez rzeczywistego znaczenia. Atom ten odżywa w społeczności jako w swoim żywiole i tu się uzupełnia, jako u właściwego ogniska ludzkiego życia. Stąd więc każdy czyn, każda nauka, tem większym i silniejszym technie interesem, im więcej do tego ogniska zbliża i życia z niego zaczerpuje. Więc tak człowiek, jak i nauka, tem więcej się uszlachetnia, im ściślejszy zawiera związek i obcowanie z ludzkością. Ta stopa zarazem i na ludzi i na systemata naukowe, nad wszystkie inne wywyższa, stawiając u szczytu wykształcenia duchowego, badania i nauki społeczne.

Społeczeństwo więc tam się zaczyna, gdzie duchowe życie człowieka — ludzkość, — i ciąglemu ulega przetwarzaniu nieustającej twórczej genezy. Więc odbywanie wszelkich funkcij społecznych, które niczem innem nie są, jak tylko czynami, bezwzględnem prawem postępu jest rządzone. Człowiek (absolut) wydoskonalać musi i wykształcać to społeczeństwo, które jest jego czynem, jego dziełem; — a tu występują układy społeczne, w nieprzerwanym swoim ciągu i niepochybnem następstwie. Układ społeczny, czyli urządzenie wzajemnych ludzkich stosunków i życia, jest dziełem koniecznem samodzielnego, a zatem wiedzowego stwórcy, który dzieło swoje, społeczność, obejmuje i określa. Układ społeczny jest zawsze wyrażeniem

rzeczywistem idei<sup>1)</sup> jedności pomiędzy ludźmi, a przeto postępuje z wykształceniem tej jedności. Układ społeczny jest więc skalą wszelkiej dzielności duchowej człowieka, która tem bardziej się wzmacnia, im więcej wydoskonalą istotę człowieka-ludzkość przez jedność pomiędzy ludźmi; bo żyjąc tylko z innych i w innych, nie zaś sam w sobie, tem doskonalej żyje. im doskonalsza jest społeczność, w której się uzupełnia, im układ społeczny, którym jest objęty, większą pomiędzy ludźmi jedność przedstawia. Któż wątpić będzie o wyższej duchowej dostojności Amerykanina Stanów Zjednoczonych nad Grenlandczykiem lub Laponem?

— Bo cóż jest życie duchowe? — czyn, — obcowanie z ludzkością, a to leży w układzie społecznym. Więc treść ludzkiego życia — społeczeństwo w najogólniejszem znaczeniu — jest dziełem koniecznem ludzkiej twórczości, bezpośrednią wynikiłością absolutu. Rządzone jest prawem koniecznego postępu, jak wszystko ludzkie, a stąd przedstawia nieustanny ruch. Pojmowanie więc społeczeństwa nie zasadza się na pojmowaniu chwilowych jego kształtów w pewnem danem określeniu ludzkości; lecz na ujęciu jego istoty postępowo ruchomej, a zawsze jednej wśród ciągłego powtarzania powierzchownej jego postaci...

.....  
.....

(Część druga. Rozdz. VII. Praca. Str. 37—39).

#### § 4. Strona moralna pracy. Wpływ naturalnych skłonności na jej urządzenie i rozdział. Praca powołania.

Mówiliśmy, że praca jest niesieniem usług całemu społeczeństwu, — a wszystkie czyny, które cechę tę niosą, liczy potrzebą do rządu pracy, którą powyższa definicja obejmuje dokładnie i zupełnie określa. Praca nie ogranicza się na samej

---

<sup>1)</sup> Wyraz idea bierzemy tu w znaczeniu wyobrażenia ogólnego, abstrakcyjnego, — więc dwoiste znaczenie do niego przywiązujemy: raz to, które obecnie tłumaczymy; drugi raz, idea czyli myśl, tak jakośmy poprzednio używali tego wyrazu.

walce z materją, ale rozciąga się do wszelkich bez wyjątku usług, oddawanych społeczeństwu. Artysta, badacz i wogóle każdy, poświęcający się uprawie ducha, zaprawdę pracuje. Skłają zaś mierniczą pracy do oznaczenia jej zasługi jest ważność usług, niesionych społeczeństwu.

Mówiliśmy, że praca jest obowiązkiem, — że interes własny (że tak powiem, liczebny) strzeże jego wykonywania. Tak się to dzieje i dźać musi w spełnianiu usług, będących przedmiotem wzajemnej wymiany, wspartej na kombinacji interesu wszystkich ludzi; — ale obok takich względów i od nich niezależnie wznosi się strona moralna pracy, której pojęcie zmieścić się nie może w zbyt ciasnych dla siebie korbach wymiennej rachuby. Praca jest nie tylko koniecznością materialną dla człowieka, dlatego, by wzamian własnych usług pozyskał zaspokojenie swoich potrzeb, — ale jest nadto potrzebą duchową jako dla istoty, która tylko w obcowaniu towarzyskiem może znaleźć używalność właściwego sobie życia, — które żyje z innymi i w innych. Zaiste, człowiek najwyższe swoje zadowolenie znajduje w tem, ażeby służyć jak najlepiej społeczeństwu, i ta pobudka umysł jego porywa i gwałtownie naprzód pędzi. Jego własna osobistość znika mu z oczu, a natomiast występuje cała ludzkość, z którą się myśl jego brata i nierozzerwanem łączy ogniwem, — praca przestaje dla niego być środkiem, a natomiast staje się najwyższym celem sama sobie. Obok takiego wyższego natchnienia daremnie interes własny i rachuba wymienna ciągnęłyby człowieka w inną stronę widokiem korzyści, — wszystkie bowiem te ziemskie względy przeważa głos wznioślejszy, z głębi jego ducha twórczego wychodzący, a gdzie on przemówi, tam wszystko inne milczy. Jest to wyższy pęd do danego jakiego przedmiotu, — jest to powołanie. Tenże, w którym się ten głos raz odezwał, dla żadnych materialnych ponęt drogi swojej nie zaniecha, — a przyjmie raczej życie nędzy i poświęceń, byle cel swój mógł spełniać, — byle twórczość rozwinąć i dokonać powołania. Milton, Galileusz, Tasso, nie byliby zamienili swojego losu, kołatanego cierpieniami, za najświetniejszy czysto ziemski żywot.

Odzywa się w człowieku duchowa potrzeba rozwinięcia



swojej twórczości, — potrzeba używalności właściwego sobie życia, a tej zaspokoić nie można żadnym innym sposobem, jak pracując dla ludzkości, która to praca staje się najwzwyższym celem, od wszelkich innych względów niezależnym. Taka praca mieści sama w sobie nagrodę, a wyższa nad interes, nim się nie powoduje. Ktokolwiek ją zamiluje, nie więcej nie żąda, jak to, by mógł jej się poświęcić swobodnie, — a walczy śmiało z potrzebami ziemskimi, i byle miał od społeczeństwa zaspokojenie koniecznych warunków istnienia i pracowania, nie więcej nie pragnie, bo jego życie nie jest tej ziemi, — bo tacy ludzie rodzą się prawdziwie dla całej ludzkości, a ich usługi nie są sprzedajne, ale mają coś boskiego, bo się wynurzają w swoich czynach dla całego rodu człowieczego i rozlewają nań światło, które staje się dobrodziejstwem powszechnem, niepodzielnem nakształt darów przyrody.

### O prawdach żywotnych narodu Polskiego.

(1844).

(„O prawdach żywotnych narodu polskiego, przez Filareta Prawdoskiego“  
Bruksela. 1844).

(Str. 55—60).

...Naród myśleć powinien, aby się nie stawał igrzyskiem biernem zawistnego losu. Nieszczęścia nasze byłyby tylko gorzką ironją, piekielną i niczem wytłumaczyć się nie dającą wypadków kombinacją, gdyby nie miały istotnego powołania i celów do spełnienia w ludzkości. Nasza niewola i rozszarpanie kraju muszą mieć przyczyny swoje koniecznie, i niechybne następstwa; pierwsze posłużyć mogą do wyjaśnienia drugich. Musieliśmy upaść, ale w samych przyczynach naszego upadku dojrzymy, że ten nie pociąga za sobą rozchwiania naszej narodowości, jakoby rzeczy zużytej i do niczego już nieprzydatnej; że życie naszego narodu wyrabiać się musi sposobem sobie właściwym w szkole nieszczęścia i przysposobić go do wielkiego przeznaczenia, bo niędola jest wielką mistrzynią nietylko dla pojedynczego człowieka, ale i dla ludów.

Schodząc do przyczyn upadku Polski, nie będziemy się zadawać w długie historyczne rozbiory, lecz w ogólności chcemy je oznaczyć w pierwotnym ich zawiązku, który w ten lub ów sposób rozwinąć koniecznie się musiał. Naród wielki, jakim jesteśmy, nie mógł upaść, jak skutkiem własnej niemocy; przyczyny więc pierwotne naszych rozbiorów i poniżenia w nas samych leżały, i do tego się ściągają, co nas osłabiło, i siły nasze rozprzęgło, bo słabości następstwem niechybnym jest upadek, a ten w żadnym razie niczem innym wytłumaczyć się nie da. Cała ta kwestja odnosi się do pytania, co stanowiło słabość Polski. Jedni o to winują tron elekcyjny, nierząd szlachecki i liberum veto, inni magnatów i osobiste ich widoki, inni wreszcie złą organizację maszyny rządowej, brak wojska stałego, funduszków publicznych i t. d., lecz to wszystko nie natrafia na główną i zasadniczą przyczynę.

Do wysokiego stopnia dojść musiała nasza słabość, kiedy nas podbili i zawojowali wrogami bardzo nieznaczącymi siłami, a co większa prawie bez bitwy i silnego oporu, bo czyliż utarczki konfederacji Barskiej i bój Kościuszkowski powstania nie były prowadzone na tak małe rozmiary i tak nieodpowiednie wielkości naszego narodu, że tylko za chorobliwe cząstkowe wysilenie, nie zaś za rzeczywiste odpieranie wszystkimi siłami obcej napaści uważane być powinny! Gdyby cały naród był wrzał zapałem niepodległości i miłości ojczyzny, byłby wobec grożącego niebezpieczeństwa siły swoje wszystkie połączył, a tak żaden podbój nie byłby się stał podobnym, a wróg, któryby śmiał na kraj nasz nastąpić, znalazłby niezawodne zniszczenie, ziemia wolnaby się pod jego stopami zapaliła i pochłonęła go niezawodnie, zalewając go masami ludu. To, co narodowi naszemu odjęło naturalną spójność, na mocy której wszyscy jednej ojczyzny synowie w chwili niebezpieczeństwa na ratunek jej śpieszą wspólnym popędem, to było przyczyną upadku Polski, bo zrzuciło powszechną naszę ciałą społecznego niemoc, za którą musiał nastąpić upadek. Dopokąd bowiem despotyzm istnieje jeszcze na ziemi, każdy naród słaby podbitym być musi, tem samem, że słaby, i daremnie jest szukać innych przyczyn wydarzenia, które stąd niechybnie zawsze wynika.

Cóż więc rozprzegło jedność, a tem samym siłę naszego narodu? Co osłabiło święte pojęcia miłości ojczyzny i niepodległości? Nadwątlonemi były niezaprzeczenie, kiedy naród wielki na małe tylko i nieznaczące usiłowania się zdobył. Aby na to pytanie odpowiedzieć, dosyć jest wejrzeć w stan ludu, trzymanego w poddaństwie, na przywilej, który człowieka robił własnością, jakoby rzecz lub bydłę; na stan powszechny ucisku najliczniejszej klasy, na której główna siła narodu i cała nadzieja obrony ojczyzny zależały. Czyliż masa pogwałcona mogła na wzór wolnych ludzi tchnąć zapalem świętym niepodległości? Niewolnik nie zna ojczyzny, która nie jest jemu matką, ale barbarzyńską macochą, która zamiast opieki ma dla niego tylko nędzę i zhańbienie niewoli, ucisk i plagi. Lud nasz, pozbawiony używalności człowieczeństwa, poniżony, znikczemniony cierpliwem uginaniem karku, w nagłej i gwałtownej potrzebie ratunku nie mógł się pokazać czem innem, jak tem, czem był w istocie, to jest masą martwą i bezwładną. Dlatego-to Polska podbitą została bez wielkiej narodowej wojny, po nieznaczących rozprawach.

To więc, co rozerwało jedność, nadwątlilo siłę polskiego narodu, uczyniło go niezdolnym odeprzeć obcą napaść, a tem samym stało się przyczyną naszego upadku, to nic innego nie było, jak ucisk ludu. Zginęliśmy więc dlatego, że nasza jedność, a tem samym siła, pogwałconą została nienawistną stanów różnicą. Upadliśmy we wszystkich naszych powstaniach, bo nie umieliśmy usunąć zgubnych zarodków, jakie nam grzechy pradziadów przekazały w spuściźnie, nie umieliśmy całego ludu z uspienia przebudzić. Uległa Polska obcej przemocy dlatego, że garstka uprzywilejowanych, przewodniczących obronie jej bytu, nie miała nic wspólnego z masą narodu, przechowywała interes własny na niesprawiedliwości oparty, a powszechnemu przeciwny; nie otrzymaliśmy dotąd zwycięstwa dlatego, że ani razu cała Polska, cały lud, nie porwał się do dzieła.

Naturalną misją obcej przemocy jest zawsze zlać w doskonałą jedność wszystkie części narodu, wykształcić go wewnętrznie, jeśli ma tylko zarody żywotne, łącząc wszystkie jego części wspólnym interesem wyswobodzenia, który nad wszel-

kie inne przeważa. Nim do tego przystąpimy, musimy wykazać z przyczyn samych naszego obecnego pognębienia, że nie jest ono stanowczą Polski zagładą, ale upadkiem chwilowym, z którego musimy się podnieść, że nie jest śmiercią, ale przemijającą chorobą. Powiedzieliśmy, że przyczyny upadku narodu w nim samym leżą, nie zaś w okolicznościach zewnętrznych, dalej rozprzestrzeniając tę zasadę, kwestja życia lub śmierci w nim samym podobnież leży, nie zaś w okolicznościach zewnętrznych, które, jeśli są pozornem istotnego życia przeczeniem, jak np. u nas dowolne wymazanie nas z rzędu narodów, jakimkolwiek sposobem, prędzej czy później, ale koniecznie ustąpić muszą niewątpliwym życia pojawom, samodzielnemu gnębionych działaniu; bo równem niepodobieństwem jest naród zapalony do utrzymania swojej niepodległości podbić, jak utrzymać go w jarzmie, skoro zdoła wyrobić i rozpowszechnić zapal miłości ojczyzny, skoro natchnięty zostanie duchem jedności i gotów będzie usunąć wszystko, cokolwiek sprzeciwiać się może tej jedności, której brak go zgubił, a której odzyskanie ocalić go niewątpliwie musi. Narodowość jest to połączenie wspólnym węzłem dzieci jednej ojczyzny; kiedy ten węzeł się zwalnia, natenczas naród słabnie; kiedy ściślej się staje, naród wzmacnia się koniecznie, bez względu na okoliczności, które ten wypadek sprowadzają, i czyli się to dzieje w dobrej albo złej doli; — kiedy zaś ten węzeł znika zupełnie i staje się zbytecznym, wtenczas tylko naród ginie; rozkłada się na pierwiastki, aby wejść w skład nowych ciał społecznych, bo już nie ma żadnego celu do spełnienia w ludzkości. U nas Polaków węzeł ten osłabł, stąd powstała niemoc, nie odpowiednia zewnętrznemu ciśnieniu otaczającego nas despotyzmu, któremu zatem musieliśmy ulec; ale się nie rozprągnął, owszem coraz silniejszym się staje, co nam objawia postępowy ruch naszych powstań, coraz na większą odbywających się skalę, i coraz powszechniejszy i silniejszy urok, towarzyszący słowom: ojczyzna, niepodległość. Odbywa się to pośród zewnętrznego ucisku, który zatem nietylko że nie tamuje naszego narodowego życia, ale nawet nie sprzeciwia się jego rozwinięciu i postępowi. Lecz nie dosyć jest uznawać to niezaprzeczone fak-

tum, trzeba jeszcze przyczyny jego zgłębić i wyrozumować, aby pędzić wypadki, które do zbawienia doprowadzić nas koniecznie muszą.

Naród ginie wtenczas, kiedy nie ma naturą rzeczy sobie wskazanego żadnego celu do spełnienia w ludzkości, kiedy idea cel ten w sobie zawierająca nie jest węzłem jego spójnym. Wszelkie zewnętrzne tamowanie działalności narodu w tym kierunku koniecznym nie jest ani jego zagubą, ani chwilowem nawet zawieszeniem życia, bo to leży w sile jego spójnej, dążącej do spełnienia celu w ludzkości. Jedyńy sposób, którym naród ginąć musi, jest odebranie mu celów, około których cała siła jego się skupia niejako przy jedynem wspólnem ognisku, zastępując je większemi i powszechniejszemi, które tamte pierwsze zbytecznemi uczynią i pochłoną. Wtenczas to narodowość rozwiązuje się, i tak stać się powinno. Jest to podbój duchowy jeden tylko słuszny na świecie, przeciwko któremu nikt nie sarka, bo doskonalej życie ludzkości rozwija i nie odbywa się gwałtem, ale wspólną wszystkich wolą. Takiego to podboju przeciwko nam nie wywarły nasze wrogi i wyrzecć nie mogą, bo to nasza broń, która ich nie posłucha, — bo służyć może tylko ludom w duchu postępu ludzkości idącym, nigdy zaś tyranom, którzy wbrew jemu dowolnie obierają kierunek spreczny. Nato, aby despotci tego dowkazali, musieliby przestać być despotami, bo samo dotknięcie się postępowych środków byłoby skruszeniem ich całej potęgi. Podbój duchowy, który jeden tylko narody prowadzi do zlania się w inne większe całości, podbój duchowy jest naszą bronią nam tylko właściwą, tak jak podbój zbrojny wrogom ludzkości, bo my reprezentujemy duchową, tamci zaś materjalną siłę. Używała już Polska tej broni w czasach swojej wielkości i potęgi i tym sposobem braterska Litwa rzuciła się w nasze objęcia; dwa ludy przedtem różne, a nawet sprzeczne, zawarły święte i niezatarte sprzymierze, dążąc razem do wyższych celów powszechnego postępu, i od-tąd nie już rozerwać ich nie może. Nikt dzisiaj nie przypuści, że to dlatego nastąpiło, że Jagiełło posłubił Jadwigę, bo sprzymierza ludów nie od osobistych stosunków zależy; lecz obyczaje i prawa Polski chrześcijaństwem złagodzone, a stąd wyższa wolność i oświata przyciągnęły do nas więcej młodocianą

Litwę i stanowiły podbój duchowy, którego wypadkiem wieczny związek braterski życia i śmierci . . . . .

### Katechizm demokratyczny.

(1845).

(„Katechizm demokratyczny czyli opowiadanie słowa ludowego, przez Filareta Prawdoskiego“. Paryż, 1845).

(Str. 1—4).

#### I. O miłości ojczyzny.

1. Pytanie: Co to jest miłość Ojczyzny?

Odpowiedź: Jest to miłość wszystkich swoich rodaków i braci — miłość gorąca całego ludu, całego narodu — miłość, którą każda szlachetna dusza czuje i nad wszystko ceni, poświęcając dla niej z radością wszystkie swoje siły, całe swoje życie, walcząc za nią chętnie do ostatniej kropli krwi.

2. Pytanie: Czy można w inny sposób pojmować miłość Ojczyzny?

Odpowiedź: Byle się tylko nad tem zastanowić i pomyśleć, nie można miłości Ojczyzny brać za co innego, jak za miłość całego narodu i ludu. Cóż bowiem innego kochać w Ojczyźnie, jeżeli nie ludzi? Czy piasek, bagno, kamienie lub drzewa?

Stanąwszy zaś na tem, że miłość Ojczyzny jest miłością ludzi, musi być miłością całego ludu. Kto bowiem kocha tylko pewne klasy społeczeństwa, nie kocha istotnie całego narodu, nie zna prawdziwej miłości Ojczyzny, która jest miłością całego ludu.

3. Pytanie: Co pomyśleć o takim człowieku, który mieni, że Ojczyznę kocha, a tej miłości w najobszerniejszem znaczeniu do całego ludu nie rozciąga?

Odpowiedź: Taki człowiek prawdziwie Ojczyzny swojej nie kocha. Albo się nad tem świętem uczuciem nie zastanowił i takowego nie zgłębił, nie wyrozumował — albo też kocha tylko pewne klasy społeczeństwa, nie zaś wszystkich swoich

rodaków i braci, którym Ojczyzna jest wspólną matką — a w tym ostatnim razie jest złym synem Ojczyzny.

4. Pytanie: Jak uważać miłość Ojczyzny ze strony religijnej?

Odpowiedź: Jako najświętsze wykonywanie miłości bliźniego, na większe, na społeczne rozmiary. Właściwie zatem jedno i drugie to samo znaczy; kto bowiem kocha bliźniego, kocha tem samym cały lud, a zatem Ojczyznę. Miłość Ojczyzny niczem innym nie jest, jak miłością bliźniego, czyli spełnianiem boskich przykazań. Słusznie więc mówimy, że miłość Ojczyzny jest rzeczą świętą.

5. Pytanie: Czy miłość bliźniego nie nakazuje nam kochać wszystkich ludzi, nie tylko swoich rodaków? Czy z tego nie wynika miłość całej ludzkości? Jak tę pogodzić z miłością Ojczyzny?

Odpowiedź: Bez wątpienia, miłość bliźniego każe nam kochać wszystkich ludzi, a zatem wiedzie nas do miłości całej ludzkości; — ale miłość ludzkości i miłość Ojczyzny nie są bynajmniej pomiędzy sobą sprzeczne, owszem podają sobie ręce wzajemnie. Lud kochać, czyż to nie jest najczystsza miłością ludzkości? Czyli prawdziwa miłość Ojczyzny prowadzi nas do czarnej zawiści i chęci szkodenia innym ludom, nastawając na święte ich prawa? Tylko despotyzmy, które są pognębieniem ludu, dopuszczają się takich szkaradnych czynów i rozbojów na wielką skalę; — miłość Ojczyzny, która jest miłością ludu, nigdy do niczego brzydkiego przywieść nie może, dlatego, że w samym gruncie swoim jest piękną i szlachetną.

Mniemać, że dla miłości ludzkości potrzeba się wyrzekać miłości Ojczyzny, byłoby równą niedorzecznością, jak utrzymywać, że dla tego potrzeba się wyrzekać ojca i matki. — Nie może kochać prawdziwie ludzkości, kto jest złym synem Ojczyzny, kto nie czyni zadość najbliższemu obowiązkowi — i naodwrot, ten, który nie kłamliwymi i udanymi słowami, ale prawdziwym uczuciem zamilował ludzkość, ten będzie pewnie kochał Ojczyznę ze wszystkiego serca swojego, ze wszystkich sił swoich. Zaprawdę, ci wszyscy, którzy kochają lud i własnych rodaków, jednym słowem Ojczyznę, ci wszyscy, powtarzam, kochają tem

samem całą ludzkość, i są ozdobą, zaszczytem, nie zaś zakałą i wrogami ludzkiego plemienia.

6. Pytanie: Co pomyśleć o człowieku, który mówi, że cały świat jest jemu Ojczyzną i że tam jej szuka, gdzie mu się dobrze wiedzie?

Odpowiedź: Taki człowiek niewart jest żadnego szacunku, ani poważania u dobrze myślących, bo się tylko samolubstwem szkaradnem rządzi; idzie tylko za swoim interesem i dla niego się wyrzeka swoich rodaków i braci, znać ich nie chce, wypiera się nawet swojej Matki Ojczyzny, względem której jest synem wyrodnym. Po takim człowieku nie można się niczego dobrego i poczciwego spodziewać.

Taki człowiek nie czuje w swoim sercu żadnej miłości dla swoich bliźnich, dla nikogo na świecie i dlatego właśnie nic go nigdzie nie wiąże. Niechaj naród jęczy w niewoli, niechaj przepada — dla niego to wszystko jedno, byle jemu dobrze było. — Podobnych ludzi zwą kosmopolitami — od greckiego wyrazu, który znaczy to samo, co obywatel całego świata; — może właściwiej byłoby o nich powiedzieć, że są bez czci i wiary, a niewarci imienia człowieka, kiedy szanować nie umieją węzłów ojczystych. Każdy, do którego wyobrażenia kosmopolityczne przylegają, od tej chwili przestaje być Polakiem i nie ma prawa ani Ojczyznę naszą, ani braterstwem naszym się szczyścić.

.....



## BALIŃSKI KAROL.

(1817—1864).

Ojciec poety, Tomasz Baliński, doktor medycyny wojsk rosyjskich, był przedtem lekarzem legionów w Hiszpanji; tam ożenił się z Hiszpanką, rodem z Madrytu, Marią Anną Orian. Płynęła więc krew południowa w żyłach poety polskiego. Urodził się Baliński 21 maja r. 1817 w Dzierzkowicach, wsi, dzierżawionej przez ojca w Lubelskiem (pow. kraśnicki). Wkrótce potem ojciec przeniósł się do Jarostawca, wsi pod Uchaniami, należącej do Hrubieszowskiego Towarzystwa Rolniczego, której część nabył.

Tu upłynęło Karolowi kilka lat dziecińczych; i później przebywał tu nieraz; dlatego używał przez czas jakiś kryptonimu „Karol z Jarostawca“. W piątym roku życia był już sierotą po obojgu rodzicach; wychowywał się odtąd, wraz z młodszem rodzeństwem, pod opieką babki, pani Orian, i starszego brata, Antoniego. Uczył się najpierw w szkole powiatowej w Hrubieszowie; następnie oddano go do liceum w Warszawie, pod kierunkiem Lindego zostającego. Pod wrażeniem powstania napisał Baliński pierwszy swój podobno utwór poetycki p. t. „Geryla-y“ (niedruk.).

W r. 1833, gdy był uczniem klasy ósmej przemianowanego już urzędownie na gimnazjum gubernjalne liceum, był Baliński więziony za przyznanie się do napisania na tablicy, w dniu stracenia Artura Zawiszy, wiersza z Wirgiljusza („Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor“); napisał go, jak się później okazało, jeden z jego kolegów. Z przepięknego wspomnienia o latach młodości, „wstępu do pieśni“ (wydanych w r. 1849), jak je nazywa, dowiadujemy się o uczuciach, rozpierających serca młodziutkich liceistów „Poezja i miłość ojczyzny skupiła nas, jeszcze wówczas studentów, w małe grono literacko-polityczne. Zbieraliśmy się zwykle wieczorami na poddaszu jednej z kamienic przy ulicy Mylnej w Warszawie. Do tego to Mylnego poddasza odwołuję się w piosence mojej w Moskwie pisanej („Czy pamiętasz?“). Podda-

sze to, inaczej facjata zwane, długie, szerokie, ale ciemne i przez małość okien z dachu wysterczających i od masy tytoniowego dymu, nieustannie tworzącego obłoki, było ogniskiem, zbierającą w siebie całą prawie ówczesną młodzież warszawską, zaczynającą czuć i myśleć po polsku. Tam to czytaliśmy książki, zakazane przez cenzurę, a szczególnie li-torji naszej dotyczące, — i poezje. Tam to nieraz, uniesieni czarodziejstwem wiary i poezji, wykrzyknawszy chórem: „hej! ramię do ramienia!”, stawiliśmy kołem, niby opasując cały świat stary, i kończyliśmy z Mickiewiczem:

Dalej z posad bryło świata!  
Nowemi cię pchniemy tory!...

Och! święć się! święć się wiecznie wieku młody!

Raz wpadły nam w ręce pamiętniki własne Kilińskiego. Cóż to była za uciecha! Dziś jeszcze ją pamiętam! Ten szewc za ny, knujący za warszatem tak wielkie zamiary, ten Polak prawdziwy, wierzący tylko w Boga i szablę swoją, ten pułkownik wojska narodowego, głośno i dumnie przyznający się do swojej dratwy, tak nam głowy zawrócił, taką w nich sprawił rewolucję, że wszyscy jednogłośnie deptąc pergaminowe szlachectwo, przezwaliliśmy się Szewcami. Szewcami — aby jak ów cechmistrz Kiliński z niezego dobić się pocziwej sławy; — Szewcami, aby jak on uragać lalkom uprzywilejowanym; — Szewcami nakoniec, aby jak on uszyć buty Moskalom — bo Niemców zostawialiśmy miotłom i ożogom przekupek warszawskich — i krakowskich“...

W tym czasie zapewne, Felicjan Fałński był, jeszcze przed wejściem do szkół, uczniem Karola Balińskiego (zob. wspomnienia jego w „przedmowie“ do „Pism Teodozjusza Krzywickiego“. Warszawa 1887, str. X).

Wraz z wielu innymi dzielnymi i gorąco miłującymi ojczyznę jednostkami należał Baliński do Stowarzyszenia Ludu Polskiego, które objęło cały kraj. 9 czerwca 1838 r. kilkudziesięciu związkowców, wśród nich Balińskiego, aresztowano w Warszawie i osadzono w cytadeli. W rok potem wywieziono Balińskiego na Sybir. Za miejsce pobytu wyznaczono mu Iszym, o 300 wiorst od Tobolka oddalony, na stepach kirgiskich. Został w Iszymie kilkunastu rodaków wygnańców, między nimi Gustawa Zielińskiego, od r. 1835 tu przebywającego, i Adolfa Januszkiewicza. Przez wyjazdem na Sybir napisał Baliński „Pozegnanie do braci związkowców“ i „Do piewcy“ (druk. w „Demokracie Polskiej“ 1840 r.); w Iszymie: „Obrazek“ (druk. w „Przeł. Nauk. 1844), „Do współwarszysza wygnania“ i „Do majowego wieczyka“. Uwolniony w r. 1842, w drodze powrotnej, w Moskwie, utworzył wzruszający wiersz „piosnkę“ „Czy pamiętasz?“.

Powróciwszy do ziemi rodzinnej, przebywał odład Baliński częścią w Warszawie, częścią u braci w Jarosławcu. Należał wraz z Janem Majorkiewiczem, Henrykiem Kamińskim, Edwardem Dembowskim i kilku innymi, do grona entuzjastów i entuzjastek, którym przewodziła Żmichowska, a które skupiało się około „Przeglądu Naukowego”, przez Hipolita Skimborowicza i Edwarda Dembowskiego od r. 1842 wydawanego. Kółko to, zbierające się „przy kominkowym ogniu” w domu Skimborowicza i jego żony Anny, umieszczeniła Gabryella we „Wstępnym obrazku” do „Poganki”. Karola Balińskiego scharakteryzowała tu Żmichowska pod kryptonimem „Elmonda mistyka”. „Przezwaliliśmy go mistykiem, kończy swą charakterystykę autorka „Poganki”, „bo w tym roku właśnie uwierzył w duchy, cuda i magnetyzm. Poprzedniej zimy był zapalonym beglistą; za przyszłą wiosnę mógł bardzo rozsądnym człowiekiem się zrobić. Jego miękka i wrażliwa natura z otaczającymi ją żywiołami zawsze się do równowagi układała. Ta własność asymilacji, ta własność przyswajania sobie z nazewnątrż wewnętrznych usposobień i przekonań, była w nim nawet zupełnie odrębną oryginalnością. Wymawiano mu ją nieraz, lecz ja się ujmowałam, bo w tem korzyść nasza była — zupełnie jak gdyby co kilka miesięcy przychodził nam kto czytać nową, a zawsze pięknym stylem napisaną książkę”.

W tym czasie wydał Baliński, wraz z Marcinem Ossoryją (Cieplińskim) noworocznik na r. 1844 p. t. „Snopek Nadwiślański”, zawierający szereg utworów, wierszem i poezją, literatów ówczesnych warszawskich młodego pokolenia: „Snopek” ten wyszedł i na rok następny (1845); w obu tomikach umieścił Baliński kilka swoich utworów, mową wiążaną i niewiązaną napisanych.

Jednocześnie z pierwszym „Snopkiem” ukazał się w r. 1844 w „Bibliotece Warszawskiej” najgłośniejszy utwór Balińskiego: „Farys-wieszcz”. Wyjaśniając genezę swoich utworów z przed r. 1850, Baliński podaje, że poemat ten natchnął związek księdza Ściegennego. „Dzięki arabskiemu przebraniu szczęśliwie przeszedł cenzurę. Młodzież warszawska jednakże poznała owego sybirskiego brata pod tą suknią obcą i przyjęła go całym sercem. Ona zrozumiała, że ten huragan stepowy, pochłaniający żywcem tyłu naszych braci — to...! Ona pojęła dobrze, że ci farysy, kochający tylko niebo i słońce — to bracia z Syberji — to ona sama — młodzież polska! I dostała mi się od nich jedyna nagroda, której pragnąłem: „cisza owa — święta, uroczą z której odgadnie, że w duszach wielki zamiar się knowa, co kiedyś światu zagrzmi wszechwładnie! cisza, co mówi, że ziarno wschodzi, i myśl kwiat wkrótce owocczyni zrodzi!”... „Smutek rozlany na „Prośbie o krzyżyk“... jest wiernem odbiciem zawiedzionych wyżej wspomnianego związku nadziei“. W jednym z listów Kornela Ujejskiego czytamy: „Podczas mojej bytności w Warszawie w r. 1844 kipiała ona pod

świeżem wrażeniem „Farysa“ Balińskiego. Nadspodziewanie udało się „Biblijotece Warszawskiej“ przemyścić go przez cenzurę, tym razem o znużonym oku. Na stepach kirgiskich musiał urodzić się ten syn Karola i pustyni. Z uciesnionej piersi skazańca wyleciał on jak płomień na lot, na oddech, na swobodę“ (Boberska: K. Baliński).

Wciągnięty do związku, na dni kilka przed wybuchem 1846 r. (a więc w lutym) napisał Baliński „Naszą pieśń“ — ale „przepowiednia była za wczesna“, powiada we „wstępie do pieśni“. Niebawem został uwięziony i osadzony po raz wtóry w cytadeli, gdzie przesiedział aż do kwietnia r. 1847; uwolnienie swoje zawdzięczał lekarzom więziennym, którzy przepowiedzieli rychłą jego śmierć, co się jednak nierychło sprawdziło. W cytadeli powstają: „Więzień do zbirów“, „To nie miłość“, „Żywy trup“, „Cześć szaleńcom“. W Jarosławcu, dokąd się udał po opuszczeniu więzienia, utworzył Baliński, przygnębiony wypadkami, „Jesień“ i „Kwiat tajemniczy“, poświęcony towarzysze więzienia, Teresie Kosowskiej, oraz w tym samym czasie zapewne wiersz „Do Narcyzy“ (t. j. do Żmichowskiej), natchniony „jej powieściami, w „Przegądzie Naukowym“ umieszczonemi“ (t. j. „Poganką“ i „Książką pamiątek“). Pod wrażeniem rewolucji francuskiej 1848 r. napisał Baliński duchem republikańskim przesiąkniętą „Piosnkę“, ale zagrożony ponownem uwięzieniem, opuścił Królestwo i schronił się w Galicji. Przebywał we Lwowie; wszedł do legjonu gwardji narodowej, składającego się z młodzieży akademickiej, która go uwielbiała i powołała mu odpowiedzialne stanowiska. Zaprzyjaźnił się z Szajnochą, z Ujejskim, z Bielowskim i z Polem. Wraz z Szajnochą i Ujejskim zamierzył wydawać dziennik p. t. „Krzyż a Miecz“, ale wypadki ówczesne udaremniły ten zamiar; zamiast pisma, w nocy po bombardowaniu Lwowa (3 listopada 1848 r.) powstał wiersz Ujejskiego pod tym samym napisem.

Wypadki r. 1848 pobudziły Balińskiego do utworzenia wierszy: „Poeci przed Bogiem“, „Dzisiejszy rycerz“ i „Rękiem staremu światu“; ostatni poświęcony „towarzyszom b. Legjonu Akademickiego Lwowskiego“.

Wydalony ze Lwowa, wyjechał Baliński do Poznania. W r. 1849 wydał tu zbiór swoich poezyj pod skromnym napisem „Pisma“. Od 7 stycznia do 24 czerwca r. 1850 wychodził pod redakcją Balińskiego w Poznaniu tygodnik „Krzyż a Miecz“ (wyszło nr. 25), podpisywany, jako przez redaktora odpowiedzialnego, przez Ewarysta Estkowskiego, a wypełniany przeważnie artykułami piora Balińskiego<sup>1)</sup>. Na czele pierwszego numeru wydrukował Baliński

<sup>1)</sup> Artykuły te pisane w tonie biblijno-apostolskim — „objaw, jak trafnie uważa Ujejski, powtarzający się u naszych poetów po wiekach księskich politycznych, począwszy od Kochowskiego i Woronieża“.

wiersz wyżej wspomniany Ujejskiego. Ohostrzenia prasowe w Prusach uniemożliwiły dłuższe wychodzenie pisma. Ogłosił w Poznaniu jeszcze kolędę „Grosz wdowi” (1851). Prześladowania polityczne zmusiły wreszcie Balińskiego Wielkopolskę opuścić i podążyć do Francji (1851). Osiada w Paryżu, zapoznaje się z Mickiewiczem, wchodzi do Koła łowiańczyków i zawiązuje serdeczne stosunki z Goszczyńskim, Nabelakiem i Karolem Rożyckim (którego apoteozuje w późniejszych utworach swoich: w „Bratnim słowie” i w „Hasle polskim”). Już dawniej mistycznie nastrojony, przewzany przez Żmichowską mistykiem, Baliński łatwo się przejął doktryną Towiańskiego. Wszystko, co napisał w ciągu ostatnich lat dziesięciu swego życia, ma charakter mesjaniczny. Znalazłszy w dramatach sakramentalnych (autosach) Kalderona, jak i Słowacki, nastroj mistyczny, pokrewny nastrojowi, którym się przemawiali wyznawcy łowianizmu, Baliński pod wpływem i z zachęty Nabelaka, postanowił przełożyć niektóre z tych dramatów; ale zamiaru swego całkowicie nie wykonał. — ogłosił tylko „Kochanków nieba” (1858), poprzedziwszy je wielce charakterystyczną przedmową, w formie listu do „brata Ludwika” (t. j. do Nabelaka), w której zdaje mu sprawę z wrażeń, w ciągu pracy doznanych; on bowiem w utworze Kalderona widział „dramat dzisiejszy, odgrywający się nie na deskach teatru, ale na widowni świata — w życiu — na ziemi”. Mistycyzmem przesiąknięte są wszystkie utwory poetyckie Balińskiego, w tych latach emigracyjnych powstałe; jak „Myśli serdeczne” (1854), „Śpiewakowi „Mohorta” bratnie słowo” (1855), „Mądrość polska” (1861), „Głos ludu polskiego w tysiącletnią rocznicę zgonu Piasta” (1861), „Hasło polskie” (1861), pod wrażeniem wypadku z d. 8. kwietnia r. 1861. w Warszawie, na nutę „Przedświtu” i „Dnia dzisiejszego” Krasńskiego wyśpiewane, a „Jaśnie Oświeconej Łaską Bożą, Prześwietłej męstwem chrześcijańskim... Warszawie, ufającej tylko Bogu... w najgłębszej czci, miłości i pokorze” przez poetę złożone. Labędzim śpiewem poety-tułacza był nieukończony poemat „Męczeństwo Zbawiciela”, ostatnia może mesjada w literaturze polskiej.

Po wybuchu powstania w r. 1863 Baliński postanowił wyjechać do kraju i wziąć w niem udział. Na wieść o przywiezieniu do Krakowa rannego w jednej z bitw brata, pośpieszył tam, ale sam już na pole walki udać się nie mógł, zaniemógł bowiem na zdrowiu: czas jakiś redagował jeszcze pismo „Wolność”; w październiku wyjechał do Lwowa. Tu zmarł d. 10 stycznia 1864 r.

Jeden z najserdeczniejszych, najszczerzych liryków naszych, Baliński ujmuje nas gorącym umiłowaniem Ojczyzny, które przenika wszystkie jego utwory. Ojczyzna jest głównym, jest jedynym raczej przedmiotem, jedynym żywiołem, jedyną niemal treścią jego poezji; jej ideał, gwiazda „umiłowanej na wieki”, przyświeca mu

wyłącznie, pochłania jego istotę, — jej niedola przejmując go do głębi, — myśl o niej kieruje nim w życiu i w twórczości. Gotów jest dla tej najpiękniejszej Kochanki w każdej chwili życie poświęcić. Jak później, młodszy od niego, Romanowski, który go bardzo nastrojem swoich poezyj przypomina. Pisząc w r. 1849 we wstępie do poznańskiego wydania swoich poezyj „historję pieśni swoich”, a zarazem, jak się wyraził, „historję dziejeściu lat swego życia”. tłumaczy Baliński, dlaczego ze zbioru tych pieśni wydarł jedną kartkę, kartkę zapełnioną kochaniem, t. j. wiersze miłosne, utwory te bowiem obchodzą jego samego tylko, a nie naród cały; publiczne zatem ujawnianie uczucia, obejmującego jednośćkę, uważał za profanację uczucia szczytniejszego, bo obejmującego naród. ojęzyczną. Nutą miłości ojęzycznej brzmi też nieprzerwanie na jego lutni; zwracając się do współtowarzysza wygnania, mówi: „Spojrzałem wkoło, — wszędzie cichość głucha, lutnie nie dźwięczą i bardy nie pieją; więc chwytam lutnię i w potęgde ducha śpiewałem z wiarą, miłością, nadzieją! Komu tak daszę palily te śpiewy, jak mnie, gdy w sercu powstawały głębi; kto uczuł wrzące mych uczuć wylewy, temu się serce nieprędko oziębi. Słuchacze znikli i pieśni skonały. Dziś, gdy o szczęściu tak trudno nam roić, chęszcie że tony, co w niebo wznosiły, na ziemską nutę przestroić?”. A określając gdzie indziej postannictwo poety, dodaje: „Kto chce dla ludzi płomieniem lśnić, kto chce prawdziwym poetą być; kto chce lud podnieść, kto chce go zbawić, musi jak ogień sam siebie strawić!”. („Poeeci przed Bogiem“.)

Najgłośniejszy utwór Balińskiego, „Farys-wieszcz”, uznany za jeden z najświetniejszych poematów lirycznych w naszej poezji, na współczesnych wywierał tem większe wrażenie, że domysłano się w nim alegorji (jak swładczy Ujejski): sam autor zresztą wyraźnie to zaznaczył, że w tym zamiarze go stworzył. Jak zmales jednak musiała warłość tego areytwora Balińskiego, gdy don po r. 1863 zaczęto, jak do wielu innych tworców nakłonnenta epoki romantycznej, (zob. np. głośny artykuł ks. Krupńskiego z r. 1876: „Romantyzm i jego skutki”), przykładac miary niewłaściwą, gdy go zaczęto oceniać nie ze stanowiska estetycznego, lecz społecznego. Pominąwszy sąd wysore niesprawiedliwy i lekceważący Stan. Tar-nowskiego, który w utworze poety, będącego uosobieniem niemał skromności, szczeroci i głębokoci uczucia, dopatrył się pozy i zarozumiałości (Hist. liter. V, 380), niepodobna nie zwrócic uwagi na sąd Stanisława Szczępanowskiego, wypowiedziany w późnem jego studjum o „Farysie-zwycięzcy”, jedaym z utworów krytyki analitycznej i jednej z najbardziej pouczających t. zw. parafel literackich. Szczępanowski, zestawivszy „Farysa” Balińskiego z „Farysem” Mickiewicza, stwierdza, że „pomimo całej całkowitej poety tego poematu, należy on do tego rodzaju sztuki, która osłabia nasze

sity w walce życia", gdy „Farys” Mickiewicza pokrzepia i utwierdza tę wiarę, „technie poczuciem i pewnością zwycięstwa”<sup>1)</sup>.

Dla nas utwór Balińskiego pozostał pomimo to nietylko odbiciem pięknej duszy poety, ale świadectwem górnych porывów ówczesnej (piątego dziesiątka ubiegłego wieku) młodzieży polskiej, powściągniętych okrutnie warunkami chwili.

Nastroj religijny, przenikający ducha poety i jego twórczość w dobie młodzieńczej, przeobraził się po r. 1849, w atmosferze emigracyjnej, w mesjanizm, który się odbił w utworach Balińskiego z ostatnich lat kilkunastu jego życia. Wysoki, mesjaniczny ten nastrój łączy poezję Balińskiego, jak i poezję Ujejskiego, z wielką poezją wieszczą.

### BIBLIOGRAFJA.

A. Pisma Balińskiego: Wydania zbiorowe wszystkich utworów Balińskiego dotychczas nie mamy. Osobno wyszły następujące: „Kilka prac literackich”. Warszawa 1845 (zawiera „Farysa-wieszczą” oraz kilka pomniejszych wierszy; „Farysa-wieszczą” wydrukowano przedtem w Bibl. Warsz. 1844, t. IV). — „Pisma”, Poznań 1849 (zawierają poezje Balińskiego z lat 1838—1849, poprzedzone autobiograficznym „wstępem do pieśni”). — „Myśli serdeczne”. Jersey 1854 (zbiór poezyj lirycznych). — „Grosz wdowi”, Poznań 1851. — „Wybór dzieł Kalderona. Tom I. Kochankowie nieba, przez Karola Balińskiego”, Poznań 1858; poświęcone Ludwikowi Nabelakowi i poprzedzone listem do niego; dalsze tomy nie ukazały się. — „Mądrość polska”, przez Ludomiła, Paryż 1861. — „Głos ludu polskiego w 1000 letnią rocznicę zgonu Piasta”, Paryż 1861. — „Hasło polskie”, Poznań 1862. — „Śpiewakowi Mohorta bratnie słowo” 1855 (wyd. drugie, Londyn 1863). — „Mężęństwo Zbawiciela”. Poemat, Łwów 1864; (przedtem w „Bibliotece Ossolińskich” z r. 1863, t. II (pieśni I—VII) i z r. 1864 (pieśń VIII). — Wiele poezyj, z których niektóre nie weszły do wydań osobnych, oraz utwory powieściowe i artykuły ogłaszał Baliński w czasopismach: w dwu rocznikach „Snopka Nadwiślańskiego” („Z płodów piśmiennictwa krajowego zebrali Marcin Ossoryja i Karol B. z Jarosławca”) 1844 i 1845; (zawierają m. i. „Życie za uśmiech”, powiastka prozą, i „Wyjątek z pamiętników upiora” prozą); w „Przeglądzie Naukowym” 1843—48 (m. i. w r. 1844 poemat „Obrazek” i „Obrazki”); w „Bibliotece Warszawskiej” 1844, 1857 i 1861 („List do p. Kazimierza r. 1859”); w „Dzwonie Literackim” 1845—53 (tu m. i. art.

<sup>1)</sup> Jak jednak zawodnem jest kryterjum etyczne, czy społeczne, o ile jest stosowane przy ocenie utworów poetyckich, dowodzi tego jaskrawo opinia o obu „Farysach” drugiego społecznika, Bolesława Prusa. (Zob. niżej).

„Kilka słów o komedjach Szekspira“); artykuły w poznań. czasop. „Krzyż a Miecz“ z r. 1850 i w piśmie krakowskiem „Wolność“ (z r. 1863); w lwowskich „Nowinach“ i „Dzienniku Literackim“ (m. i. poem. „Tułacze“ i początek dzieła prozą, p. t. „Myśl narodu i jej koleje“). — W rękopisie pozostały: „Gerylasy“, poemat młodzieńczy, „Pieśni do Bogarodzicy“, poem. (druk. tylko ustępy), „Myśl narodu i jej koleje“. Rękopisy Karola Balińskiego podobno przepadły: brat jego Aureli, umierając w Krakowie, kazał je sobie włożyć do trumny — jak zapewnia w liście prywatnym p. Izabela Zbiegniewska. — Ogłoszone przez Wójcickiego „Powieści ludu spisane z podań“ (Warszawa 1842) zebrane były przez innego Karola Balińskiego, imiennika poety (ur. w r. 1812); niektóre przedtem drukowane były w „Bibl. Warsz.“ z r. 1841).

B. O Balińskim pisali: Ważny jest wstęp autobiograficzny do „Pism“ 1849. — Najdokładniejszy życiorys ułożyła F. Boberska: „Karol Baliński“, Kraków 1882 (toż w jej „Pismach“, Lwów 1893 i odb.) — Bielowski: Spomnienie o K. Balińskim. Biblioteka Ossolińskich 1864, t. IV (toż jako wstęp do poem. „Męczeństwo Zbawiciela“ 1864). — Siemiński: „Michał i Karol Balińscy“, w „Portretach liter.“ i w „Dziełach“ t. III (krótkie wspomnienie). — W. Kociatkiewicz: Życiorys K. B-go, Tyg. Nauk. i Literacki 1866, Lwów. — Słinks (H. Skimborowicz): Gabryella i Entuzjastki. Bluszez 1880. — Chmielowski w W. Enc. Powsz. Ilustr. — K. Przegaliński: „Przyczynki do życiorysu poety K. B-go“, Bibl. Warsz. 1907, listop. — Tenże: „Wspomnienie o znakomitym poecie K. B-im, Ziemia Lubelska 1906, nr. 199—207. — K. Wróblewski: K. Ujejski. Lwów 1902 (m. i. wyjątek z listu do Szajnochy z 1849, str. 284). — Oceny: Zdziechowski: K. B. w dziele „Byron i jego wiek“ II. — Szczępanowski: „Farys-zwycięzca“. („Pisma“ I, Lwów, 1903). — List B-go do Odyńca z 3 paźdź. 1843, w Kron. Rodz. 1883. — Kaśniowski: K. B. 1817—1864. Kronika Powszechna 1914, nr. 14. Kaśniowski: Pamięci Karola Balińskiego. \* 25. V. 1817, † 10. I. 1864. Literatura i sztuka, dod. do Dziennika Poznań. 1914. Mirwiński: K. B. Studium biograficzno-literackie. Przew. Nauk. Liter. 1918.

Charakterystyczny jest sąd Bolesława Prusa o „Farysiewszczy“ Balińskiego, w rozprawie o „Farysie“ Mickiewicza wypowiedziany (w „Książce zbiorowej ku uczczeniu pamięci Ad. Mickiewicza w stuletnią rocznicę urodzin poety“, Petersburg 1898, przedtem w „Kraju“ 1885). Dla Prusa, pozytywisty, oceniającego wszystko ze stanowiska użyteczności społecznej, Farys mickiewiczowski nie jest rycerzem idei, lecz typem awanturnika z krwi i kości, wcieleniem najbardziej krancowego indywidualizmu (bezmiernego egoizmu i próżniactwa); cyganeria warszawska z takich właśnie, jak sądzi Prus, składała się farysów; „idea zatem poe-



matu jest szkodliwa, tacy bowiem farysowie nie są obywatelami, ale pasorzytami społeczeństw". Baliński poszedł, zdaniem Prusa, śladem Mickiewicza i mimowoli pokazał nam skutki farysostwa: toteż kiedy Farys I był rozłukanym, Farys II jest „bredzącym dziadem"... i t. d.

### „Do współtowarzysza wygnania“.

(1840)

(„Pisma Karola Balińskiego". Poznań 1849).

Tytuł wiersza w całości brzmi: „Do współtowarzysza wygnania, żądającego pieśni w Sybirze“; w „Kilku pracach literackich Karola Balińskiego" (Warszawa 1845) wydrukowany p. t. „Do przyjaciela“.

Jeszcze chcesz pieśni? — lubisz pieśń pogrzebu?  
Pogrzebu szczęścia? — innych zapomniałem.  
Inne przebrzmiały. — Patrz — spojrzysz ku niebu —  
Widzisz tę chmurę w przestworzu wspaniałem?

Blyszczy, zachodniem ozłocona słońcem,  
Buja rozkosznie, wznosi się i płonie.  
Lecz zająście słońca i jej blasku końcem,  
Zawieje wieher i w przepaść pochłonie!

Jak promień słońca, tak uśmiech kobiety,  
Gdy po raz pierwszy w mem sercu zaświecił,  
Chwyćłem lutnię i śpiewem poety  
Głosiłem czucia, jakie we mnie wzniecił.

Lecz gdy Adama usłyszałem pienia,  
Któremi Laurę wślawił w czas daleki,  
Rzuciłem lutnię i śród oburzenia  
Przestałem śpiewać — myśląc, że na wieki:

I w głębi serca poezji uczucie,  
Boskie sny duszy, czarowne marzenia,  
Zamknąłem w silne milczenia okucie,  
Śpiewałem w duszy — sam słuchałem pienia!

Jak promień świetny, gdy go słońce ciśnie  
W śnieg lodowaty, a ten go odstrzeli,

W miljon się jasnych gwiazdeczek rozprysnie,  
W miljon się tęczy kolorów rozdzieli, —

Tak kiedy bole mojego plemienia  
Strzeliły w serce współczucia promieniem,  
Promień ten w duszy miljon rozpromienia,  
I miljonowem dręczył mnie cierpieniem!

Spojrzałem wkoło — wszędzie cichość głucha,  
Lutnie nie dźwięczą i bardy nie pieją;  
Więc chwytam lutnię i w potężde ducha  
Śpiewałem z wiarą, miłością, nadzieją!

Komu tak duszę paliły te śpiewy  
Jak mnie, gdy w serca powstawały głębi,  
Kto uczuł wrzące mych uczuć wylewy,  
Temu się serce nieprędko oziębi.

Słuchacze znikli — i pieśni skonały.  
Dziś, gdy o szczęściu tak trudnó nam roić,  
Chceszże te tony, co w niebo wzlatwały,  
Na ziemską nutę przestroić?

Iszym, na stepach kirgiskich 1840 r.

### „Farys-wieszcz“.

(1841)

Wydrukowany po raz pierwszy w „Bibliotece Warszawskiej” z r. 1844, na podstawie tekstu w „Pismach” (Poznań 1849).

O! i ja niegdyś byłem Farysem!  
Lecz czyż wy wiecie, co Farys znaczy?!  
Ha! niech step mówi swoim opsem!  
Olbrzymia, olbrzym niech wytłumaczy!  
On tylko jeden prawdę wam powie,  
Jemu więc wiercie, jak koranowi!

„Farys” — step mówi — „to dziecię moje!  
To duch tęsknotą nieba trawiony —  
Zestany tutaj na ciągłe boje,  
Na ciągłych pragnieniach niezgaszony!  
A tak mu trzeba nieba i słońca,  
Że tylko za niem pędzi bez końca.

I nie go w pędzie wstrzymać nie zdoła! —  
Ani uroczej cennie oazy,  
Ni beduinka głosem anioła  
I blaskiem oczu — miłszym sto razy!  
Próżne pokusy! — bo tacy gońce  
Kochają tylko niebo i słońce!”.

Więc jam był gońcem — i gońców bardem. —  
Cudneż to było to nasze grono!  
Z tą myślą wiecznie w słońce zwróconą  
I z tem ramieniem młodzieńcem, hardem,  
Co krawędz nieba z krawędzią świata  
Sili się spoić — wierząc, że zbrata!

Patrzcie tam — wkoło piaszczyste wzgórza  
Nby umyślnie słane mogiły —  
Czasem się z głębi szkieleł wynurza —  
Spytaj szkieleł, czem one były!..,  
Ha! te mogiły Arabistanu..  
To tylko ślady stóp huraganu!

On to Farysów pochłonał w sobie!  
Pochłonał żywcem braci kochanych!  
Jam tylko jeden został na grobie,  
Na grobie gońców — już zapomnianych!..  
Czy to jest łaska, czy kara nieba:  
Allah żyć kazał, więc żyć potrzeba!

Jak młode orlą z złamanem skrzydłem,  
Co się już nigdy w niebo nie wzniesie,  
Żyć, życiem gadu, gnuśnem, przebrzydłem,  
W tych smutnych murów ciasnym zakresie!..  
Ha! próżne żale! śpiewaj Pajaco!  
Tylko zabańnie — bo nie zaplącą!

O! wieczna hańba! wieczna sromota!  
Ja, Farys, piewca z niebios natchniony,  
Pieśń mą na ziemskie przestrajać tony,  
Pieśń mą sprzedawać muszę za złoto!  
By czem okupić cień cudzej strzechy  
Lub zgłuszyć z nędzy szydzące śmiechy!

Oni nie wiedzą, że wieszczą pienie  
Jest jako słońce na niebios sklepie,  
Co na wszechwładne Boga skinienie  
Świeci wędrowcom błądzącym w stepie —

A przecież słońcu nie płacisz za to,  
Że cię zbawienną poi oświatą!

Oni nie wiedzą, że wieszczą śpiewy  
Jak ów dziewiczej ogień miłości,  
Co za niebiańskie swoje wylewy  
Nic! nie nie pragnie — prócz wzajemności!  
Sprzedawać miłość — hańba kobiecie!  
Sprzedawać śpiewy — hańba poecie!

Przecież tą hańbą wlokę dziś życie!  
Allahu! jakże dręczysz mnie srogo!  
I jeszcze nieraz ktoś niby skrycie,  
Niby pocichu powie: „za drogo“.  
Za drogo mówisz?... powiedźże, bracie,  
W jakiejż wy cenie życie sprzedacie?...

Bo słuchaj! — pieśń ma to cząstka życia,  
Tam jest krew moja, tam są łzy moje,  
I mego serca gwałtowne bicia,  
I uczuć moich i myśli roje!  
A każdą żeby dostać, wyjawić,  
Muszę wprzód serce mocno rozkrwawić!

Więc cóż? za drogo?... O! bądźcie szerszi!  
Gdyby wań przyszło życiem trymarczyć,  
Jak ja, pelikan, rozrywać piersi,  
By krwi za cenę złota dostarczyć.  
W jakiejżby cenie była kropelka  
Krwii lub łzy waszej — choćby niewielka?...

Męczarnia wieszczą w chwili tworzenia,  
To boleść matki w chwili porodu —  
Ile wlał życia do swego płodu,  
Tyle wziął życia z swego istnienia —  
Ile on pieśni dla was utworzył,  
O tyle kroków grób swój przysporzył!

Czasem, w dodatku — słyszę oklaski —  
Szczere czy zwodne — wszystko mi jedno!  
Znam tych błyskawic przelotne blaski!  
Znam ich gruntowność i trwałość biedną!  
Wasze pochwały — toć to sztyderstwo!  
Wasze pochwały — toć to bluźnierstwo!

Gdy syn rozpaczną pięścią kołaczy  
W grób, co mu drogą matkę ukrywa,  
Czem nie mówicie, że sliźnie płacze?  
Czem nie mówicie, że z ezuciem śpiewa?  
Jak ta łza syna na matki grobie,  
Tę samą szecerose śpiew mój ma w sobie!

A więc porzućcie marne pochwały,  
Gdy śpiew mój święty, jako łza syna,  
Nie takie wieńce wieszczom przystały!  
Wieszcz takie wieńce depce, przeklina!  
Duch jego wielki i wiecznie młody  
Innej — o! innej! żąda nagrody!

Nagroda piewcy — to cisza owa  
Święta, urocza, z której odgadnie,  
Że w duszach wielki zamiar się knowa,  
Co kiedyś światu zagrzmie wszechwładnie,  
Cisza, co mówi, że ziarno wschodzi  
I myśl-kwiat wkrótce owoc-czyn zrodzi!

Nagroda piewcy — to te spojrzenia,  
Co świecą całym duszy wulkanem!  
Krótkie, milczące dłoni ściśnienia  
Z westchnieniem długo w piersi stłumianem;  
I owa chmura cieniąca czoła,  
Z której połyska miecz Archanioła!

To mi nagroda!... jam ją odbierał!  
Wkoło mnie stali bracia Farysy,  
Każdy pieśń moją sercem pożerał,  
Pieśń ma wnikała w ich twarzy rysy,  
W krew tych sere wielkich, w ich myśli gniazdo,  
Lśniła im w drodze przewodnią gwiazdą!

Farysy znikli! — głucho na stepach!  
A w stepie życia, och! smutniej jeszcze!  
Czasami tylko wiatr zaszeleszcze,  
Dmąc po wywianych czaszek czerepach!  
On wszystko wywia! — wszystko przewiało,  
Co było cnotą, prawdziwą chwałą!

O! i mnie pora spocząć w mogile,  
Zasnąć snem braci błogosławionych!  
Aż kiedyś, kiedyś, za męczarń tyle,  
Gdy głos Allaha, budząc uspionych,

Na swoje rajskie zwoła ogrody —  
I ja niebiańskiej doznam nagrody!

W tym Boskim raju, w tem siódmem niebie,  
W waszej ojezyźnie, o! prawowierni!  
Allah mnie wielki wezwie do siebie,  
Zdejmie mi z głowy ten wieniec z cierni  
I źmię, tyłą krwi przesiąkniętą,  
Wyrwie mi z serca pamięć przekłętą!

I najcudniejsze wezwie dziewice  
I rzeknie; służcie jak Padyszachu!  
Ja — i nie spojrzę nawet w ich lice,  
Ale z pokorą powiem: „Allahu!  
Jam tylko prawdy szukał na świecie!  
Czyż taką miłość znajdę w kobiecie?!

Nie chcę hurysy! choćby piękniejszej  
Od tej, com niegdyś kochał na ziemi —  
Lecz ja nie gardzę dary twojemi —  
Ja tylko łaski błagam pełniejszej...  
Za wszystkie, wszystkie twoje hurysy  
Niech wstaną moi bracia Farysy!...

I pozwól! pozwól choćby na chwilę  
Zstąpić nam jeszcze w nasz kraj cyprysów.  
I w dawnej naszej młodzieńczej sile  
Pobojać orlim lotem Farysów!  
I piersi dawnem orzeźwić biciem,  
I dawnem naszym zabłysnąć życiem!

Allah wystucha — wnet grzmiące głosy  
Wystraszą w głębi śpiącego tygrysów.  
I okrzyk szczęścia buchnie w niebiosa!  
Widzenież raz w życiu polot Farysów!  
Może wam wówczas, biedne robaki!  
Przyjdzie ochota do jazdy takiej.

„Do Narcyzy“.<sup>1)</sup>

(1847)

(Po przeczytaniu jej powieści, umieszczonej w Przeglądzie Naukowym Warszawskim).

Czyj to głos słyszę po tak długiej ciszy?  
 Czyj śpiew tak silny, że do mnie dolata!  
 Może to który z dawnych towarzyszy  
 Zateśniał do mnie — tam, z lepszego świata?  
 O nie! choć silny, jest to głos kobiety!  
 A ja-ny, świetny, aż serce weseli —  
 Pod skromną szatą tętni pieśń poety!...  
 Taka bogata!... ach, to Gabryjeli!

I nagle brudna zazdrość mnie owładła,  
 I wzięła górę nad sercem, nademną;  
 Myślałem sobie; wkoło mnie tak ciemno...  
 Tak zimno, smutno, i biada bez końca;  
 A ona? proszę! skąd ona wykradła  
 Tyle brylantów, tyle złota, słońca?  
 A tak tym skarbem szasta i swawoli!  
 Ho, ho! znać dobrze, że serce nie boli!...

Myślałem długo — dziś już się nie troszczę —  
 Już się nie dziwię — choć jeszcze zazdroścę —  
 Dziś już wiem wszystko — nie twoje to dzieło!  
 To jakiś genjusz wzniósł cię tak wysoko  
 Nad nasze chmury — że już twoje oko  
 Z kolebką słońca narówni stanęło;  
 I tak się bawisz blaski słonecznemi,  
 Żeś zapomniała o bólach, o ziemi!

A twe brylanty? to jest prosto... rosa,  
 Którą kwiat raję skrapiają niebiosą —  
 Masz ją pod ręką, zrzucasz — a w przelocie  
 Ścięta w kryształę chłodem biednej ziemi,  
 Z wszystkimi swemi barwy tężowemi  
 Spada przed nami, jak brylantów krocie.  
 Widzisz! wiem wszystko — mam twą tajemnicę,  
 Opląć się dobrze — bo wszystkim wyświecę.

Wiek nasz, Narcyzo! wszak wiesz — to nie głupiec,  
 A on naucza: ten człowiek, kto kupiec!

<sup>1)</sup> Żmichowskiej.

Wszystko sprzedawać, nie darmo nie tracić,  
Nawet z sumieniem dla złota się rozstać;  
Więc tajemnicę musisz mi zapłacić!  
Przecież raz w życiu muszę mądrym zostać.  
Rozumni mówią, żem wiek darmo strawił,  
Więc gwałtem trzeba, żebym się poprawił.

A przedewszystkiem potrzebne mi ciepło.  
Bo u mnie zimno! aż serce mi skrzepło.  
Gdy zacznę śpiewać — to stęzałe dłonie  
Wciąż uderzają w jakąś tęskną nutę,  
I z pieśni zaraz takie zimno wionie,  
Takie grobowe, tak gorzkie, zatrute!...  
Rzuć mi garść myśli! — niech błysną przedemną.  
Niech mi choć chwilę nie będzie tak ciemno!

Przy twoich myślach nieziemskim połysku  
Raz jeszcze zajrzę w serca mego tonie,  
Może w tem zgasłych wulkanów siedlisku  
Pod chłodną lawą choć iskierka płonie!  
Może w tej piersi, w tej lutni zgniecionej  
Choć jedna struna wyda dźwięki żywe!...  
Poświeć! bo powiem ciżbie zadziwionej,  
Że wszystkie twoje brylanty... fałszywe! —

P. S.

Rozmowę naszą ludzie usłyszeli —  
Rzekli: — milcz lepiej, bo chwalisz za mało;  
Oni, jak zwykle, i dziś nie pojęli,  
Żem ani myślał czeić Ciebie pochwałą!  
Ja tylko widzę, że masz pełno słońca,  
A u mnie ciemność i ciemność bez końca!  
Idę więc kTobie z tą prośbą serdeczną,  
Choćby o jedną iskierkę słoneczną!



## MAJORKIEWICZ JAN.

(1820 -- 1847).

Pisarz wszechstronny i utalentowany, pracujący w dziedzinie filozofji, prawa, historii, historii literatury i krytyki literackiej, człowiek olbrzymiej pracy, obszernej wiedzy, szlachetnych i szczytnych dążeń — urodził się 1 czerwca r. 1820 w Płońsku, na Mazowszu. Ojciec jego miał tam małą posiadłość i zajmował stanowisko burmistrza. Kształcił się naprzód w szkole OO. Reformatorów w Żurominie, potem w gimnazjum płockiem. Lata swoje szkolne wspomina rzewnie w szkicu p. t. „Młodość moja i przejażdżki po kraju”<sup>1)</sup>. Opowiada o księżach-profesorach „z ich białemi paskami, kręconemi w syplę, któreśmy zwali ogórkami”, o „erratach”, audytorach, rachunku sumienia w sobotę za cały tydzień, poszanowaniu Alwara (choć z niego już nie uczono), uczeniu się konjugacyj i deklinacyj pod okiem „dyrektorów” i innych zwyczajach, „zachowywanych w owem ustroniu z naszej edukacji staropolskiej”<sup>2)</sup>. Płock znowu wywierał nań silne wrażenie malowniczością swego położenia, wspomnieniami historycznymi oraz powagą swych kościołów i klasztorów, z którymi fantazja ludowa wiązała rozmaite straszne baśnie i legendy. I tutaj miał nauczycieli, których wspominał później z żywą wdzięcznością, jak np. ks. Justynjana Strzałeckiego, nauczyciela języka polskiego, który go zachęcał do czytania Skargi i rozbudził w nim zamiłowanie do historii. Wspomina również o prof. Augustjanie Żdzarskim<sup>3)</sup>. Cichy, skromny, pracowity, skupiony w sobie chłopak musiał już wówczas zarabiać (czy też dorabiać) na życie: jako korepetytor odznaczał się łagodnością, sumiennością, zamiłowaniem do nauczania, nie skarżył się nigdy na nic, słynął z religijności i pobożności, która zjednała mu nawet przyjaźń jakiejś sąsiadki staruszki. Napisał dla niej piękną modlitwę

<sup>1)</sup> „Przegląd Naukowy”, 1844, t. II-gi.

<sup>2)</sup> Tamże. (Toż w „Pismach pomniejszych” Warszawa, 1852, II, 11).

<sup>3)</sup> Obacz „Dzieje serca i rozumu”, Warszawa 1851, str. 95 oraz „Historję, literaturę i krytykę”, Warszawa, 1850, str. 216.

do Matki Boskiej, czem ujął ją sobie tak, że kiedy spadło nań pewnego razu niesłuszne posądzenie o jakieś przekroczenie w szkole, starszka udała się do dyrektora i pokazawszy mu tę modlitwę, zdołała go przekonać, że chłopak, który takie rzeczy pisze, nie może dopuścić się żadnych złośliwych wybryków<sup>1)</sup>.

Gimnazjum ukończył Majorkiewicz w r. 1841. Później udał się prawdopodobnie do Warszawy na kursa pedagogiczne i prawne, a w końcu — jak powiada Gliszczyński — „korzystając z wielkiego dobrodziejstwa rządu, który otwierał drogę do nabycia obszerniejszych i osadniejszych wiadomości, pojechał do Moskwy na uniwersytet i tam przez 4 lata słuchał kursów prawnych”<sup>2)</sup>. Podczas krótkiego pobytu w Warszawie zdołał prawdopodobnie zawiązać pewne stosunki z czasopismami warszawskimi, może poznał się już wówczas z E. Dembowskiem oraz kołem entuzjastów i entuzjastek, gdyż od chwili ukazania się „Przeglądu Naukowego” zasila to pismo stale, początkowo korespondencjami, potem artykułami różnej treści, nadsyłanemi z Moskwy.

O jego pobycie w Moskwie niema bliższych wiadomości. Z jednej korespondencji, zamieszczonej w „Przeglądzie Naukowym”<sup>3)</sup>, można wywnioskować, że studiował z zapałem i intensywnie. Informując tam z zachwytem o profesorza encyklopedji prawa, Redkinię, pisze między innymi: „Rozkosz była słuchać Go... z każdej prelekcji wychodziłem szczęśliwszy, oświecenszy, lepszy”. Słuchał tam również prof. prawa, Ignacego Daniłowicza, o którym wspomina w „Dziejach serca i rozumu” (str. 104 i 112). Szeroki zakres i gorączkowość niemal tych studjów widoczna jest z artykułów i rozpraw z rozmaitych dziedzin wiedzy, jakie pisze wówczas, jak również z przygotowywanej w tym czasie większej pracy p. t. „Dzieje serca i rozumu” (uczucia i wiedzy), która ogłoszona została dopiero po śmierci autora<sup>4)</sup>.

Po ukończeniu uniwersytetu powraca Majorkiewicz do kraju i zostaje aplikantem sądowym przy trybunale plockim. W r. 1845 przeniesiono go do Warszawy, a w r. 1846 dostał się do biura Komisji Sprawiedliwości, wszędzie ceniony i lubiany dla swej pracowitości, wykształcenia i słodyczy charakteru. W tym czasie rozwiniął bardzo intensywną działalność pisemną, pisywał stale do „Przeglądu Naukowego”, a pozatem przygotowywał większą pracę p. t. „Historja, literatura i krytyka”. „Choroba pierśsiowa —

<sup>1)</sup> K. Wł. Wajnicki, „Cmentarz piwulowski”, Warszawa 1876, t. I.

<sup>2)</sup> Michał Gliszczyński, „Rozmaitości naukowe i literackie”, Warszawa 1859, t. V, str. 14.

<sup>3)</sup> „Wyjątek z listu słuchacza Uniwersytetu Moskiewskiego” „Przegląd Naukowy”, 1842, t. II g.

<sup>4)</sup> Za pisma była w Moskwie, świadczą o tem liczne wzmianki w tekście, jak również opinja Wajnickiego (l. c. str. 45).

jak świadczy Wójcicki<sup>1)</sup> — spowodowana nadludzką pracą, przy-  
 łąca go do śmiertelnego łoża”. Umarł 23 marca 1847, nie zdo-  
 lawszy wykończyć należycie swego dzieła o literaturze polskiej, ani  
 opracować wielu pomysłów i zagadnień, które nieustannie muto-  
 wały jego bogaty i żywy umysł.

Rozpoczął pisać i drukować bardzo wczesnie, bo jeszcze by-  
 dąc w gimnazjum. W r. 1840 zjawiają się w „Piśmiennictwie kra-  
 jowem” pierwsze jego prace: „O filozofji życia” — „Miasto Płock” —  
 „Rozporządkowanie wiadomości ludzkich”. W r. 1841 drukuje  
 „Nadwiślanin” 6 jego artykułów, z których jeden, a mianowicie:  
 „Myśli i uwagi” nosi adnotację: „Pisałem w Płocku 1839 r.”  
 W tymże roku zamieszcza młody autor w „Przeglądzie Warszawskim”  
 recenzję przekładu Cicerona przez Klemensa Zakowskiego oraz  
 „Obrazu myśli” Bochwica. — Pierwsze te próby trąca oczywiście  
 jeszcze lawą szkolną, ale zadziwiają poruszane w nich tematy  
 oraz zakres zainteresowań i lektury. W artykule „O filozofji ży-  
 cia” pisze o stosunku człowieka do towarzystwa, o jedynym, wiecz-  
 nym i niezmiennym ducelu ludzkości, o konieczności doskonałenia  
 się, które na tem polega, „aby ludzie tracili indywidualność, a dzia-  
 łali jako cząstki, jako organa ludzkości”; wzywa do obudzenia  
 w sobie „tego zmysłu wewnętrznego, tej rozważi, która nie pozwala  
 działać woli, ani wałęsać się myśli bez wiedzy i zezwolenia su-  
 mienia”; oburza się na życie współczesne, w którym nie widac  
 „zeczywistego uczucia, myśli i woli, lecz tylko ich parodje —  
 wreszcie protestuje przeciwko odróżnianiu prawd moralnych od  
 rozumowych, które — według niego — stanowią jedną, nieroze-  
 rwalną całość: prawidła moralności wyryte są w sercu i prowadzą  
 do prawd umysłowych („Piśm. kraj.” 1840, Nr. 40, str. 1—4).  
 W artykule p. t. „Rozporządkowanie wiadomości ludzkich” stawia  
 tezę pożytku jako podstawy życia człowieka i wartości nauki.

W pracach, umieszczonych w „Nadwiślaninie”, zastanawia się  
 nad „perjudami dziejów filozofji” i „rozporządkowaniem dziejów fi-  
 lozofji” (zapewne na podstawie cytowanych w tych artykułach dzieł  
 Dégérauda i Kiesewettera), pisze o filozofie z XVI w. Jakóbie Gór-  
 skim i wzywa do zajęcia się dawniejszą filozofją polską, ocenia  
 „Krótki rys geografji J. Presiowskiego”, zarzucając mu liczne błędy  
 taktyczne i brak metody naukowej, streszcza w rozprawce p. t.  
 „O ciemności piśm filozoficznych niemieckich” przedmowę Schel-  
 linga do przekładu niemieckiego „kursu filozofji” Cousina, przy-  
 czem nazywa Schellinga „najznakomitszym dziś przedstawicielem  
 filozofji w Niemczech” — wreszcie we wspomnianym już artykule  
 p. t. „Myśli i uwagi” daje jakby własne „filozoficzne” wyznanie

<sup>1)</sup> L. c. str. 49 oraz wstęp do „Zwrotu trzeciego literatury polskiej”  
 Majorkiewicza (Hist. lit. i krytyka str. 312).

wiary. Szczęście człowieka polega na harmonijnej uprawie ducha i materji, gdyż jesteśmy „duchem związani z Bogiem, ciałem z materijnym światem”: postępować należy tak, jakżeśmy poznali i uczuli, poznanie zaś nasze i wiedza „zakwita na niwie uczucia“: <sup>1)</sup> oto są główne myśli tej rozprawki, które w związku z uwagami o „filozofji życia” zasługują na uwagę, gdyż będą w późniejszych pismach Majorkiewicza szerzej rozwijane i pogłębiane i staną się jakby pierwszym rzutem, szkicem do własnego poglądu na świat.

Od r. 1842 rozpoczyna się współpracownictwo Majorkiewicza w „Przeglądzie Naukowym”: w ciągu lat 5 zamieszcza tu mnóstwo większych i mniejszych rozpraw, artykułów, szkiców, recenzyj i polemik z najrozmaitszych dziedzin wiedzy: filozofji, historii, literatury, prawa, pedagogji i geografji (obok kilku opisów podróży). Zakres wprawdzie nieco szerszy od współczesnych prac Edwarda Dembowskiego (gdź ten pisywał i o naukach przyrodniczych oraz uprawiał poezję), ale w każdym razie imponujący wszechstronnością i oczytaniem. Majorkiewicz nie posiada może umysłu tak lotnego, a przytem tak pojemnego, jak Dembowski, niema jego wyobraźni bujnej, jego rozmachu i szerokich rzutów — ale jest zato spokojniejszy, gruntowniejszy, głębszy, a w każdym razie samodzielniejszy. Od pierwszego wystąpienia jego znać w nim wyteżoną dążność do objęcia jak najszerszych obszarów wiedzy, zapoznania się z metodami wszelkich nauk i stworzenia sobie własnej filozofji, własnego poglądu na świat, własnych kryterjów oceny i sądu. Praca to żmudna, ciężka, najeżona tysiącem przeszkód, narażająca na wiele prób nieudanych, wahań się, zawodów, pomyłek. Jest ich wiele w pismach Majorkiewicza, wiele też sprzeczności, czasem chaos, trudny do ujęcia, czasem powikłania niemożliwe do rozplątania — ale jest i pewien postęp stały i widoczny, pewne klarowanie się myśli, opanowywanie zagadnień, coraz większa konsolidacja i zwartość wywodów szczegółowych — jest widoczny żywy, pogłębiający się i bogacący umysł, serce zacne i szlachetne. Ostatniego słowa Majorkiewicz wypowiedzieć nie mógł — budowę swej myśli pozostawił nieskończoną, urwaną niemal w połowie, zaokrąglonego, do szczegółów obrabianego systemu nie opracował; ale pewien zarys ogólny pozostał i można go szkicowo z pism jego odtworzyć.

Centralnem zagadnieniem, około którego porusza się myśl Majorkiewicza, jest stworzenie uniwersalnego poglądu na świat, któryby zamykał w sobie wszystkie dotychczasowe zdobycze ludzkości, nieczego nie uronił, a służył sprawie życia. Prowadzi don filozofja, jako „dążność do poznania tego, co jest”, jako „zasada

<sup>1)</sup> „Nadwislaniu” 1841, t. I, str. 137.

wszelkiej nauki" <sup>1)</sup>), jako „rozwijanie się treści" <sup>2)</sup>) — filozofja pojęta jako suma wysiłków umysłowych ludzkości, a bynajmniej nie jako jeden systemat filozoficzny, zamknięty w sobie i wyłączający wszelkie inne. „W myśleniu pokazać potrzeba, — powiada M. — że wszystkie systemata, które istniały w ludzkości i wywierały wpływ jakikolwiek, leżały w naturze człowieka i musiały konieczne pokazać się i zginąć. Tym sposobem nie tylko nie będziemy nie-nawidzili różnorodności pojęć, ale owszem cieszyć się będziemy, że rozmaite systemata zostały na wiekopomną pamięć życia ludzkości umysłowego, a gdy się który systemat odrodzi, przekonamy się, że była konieczna potrzeba odrodzenia się i zmartwychwstania". Nie ten bowiem jest apostołem prawdy, kto ją widzi w jednej sekcie, kto chwali jednego filozofa, a gani innego, ale ten, kto rozumie wszystkich, „widzi jasno powody historyczne wszystkich sekt, stronnictw i systematów" — dla którego imię każdego filozofa jest „tonem tej odwiecznej harmonji, co świat z nieczego wyprowadziła i żyje w różnaitości przeciwieństw, składających życie" <sup>3)</sup>). Wobec takiego zasadniczego stanowiska nie może M. (jak i inni filozofowie polscy) uznać żadnego z tych systematów filozoficznych, które jedną władzę człowieka wysuwają naprzód i ją uważają za równoznaczną z istnieniem. Błędną jest według niego zasada, jakoby człowiek dlatego jedynie istniał, że myśli. „Człowiek — powiada — zdaje mi się dlatego istnieje, że jest duchem, a duch ma oprócz władzy myślenia, władzę woli, zapomocą której przerabia myślenie w tło praktycznego życia" <sup>4)</sup>). I w innym miejscu: „W życiu człowieka uczucie jest jednym czynnikiem, myśl drugim, a wola łączy je w jeden stek i przedstawia pełnię filozoficzną" <sup>5)</sup>). Jakaż jest rola tych wszystkich władz? „Oto myśl wydaje naukę, wola tworzy dobro, a uczucie jest przedmiotem (?) obojga — ogniskiem życia" <sup>6)</sup>). Dziedzin tych odrębnych nie należy mieszać ze sobą. Filozofja ma na celu zaspokojenie naszej myśli na drodze rozumowania, nie zaś zaspokojenie woli — to może dać tylko czyn <sup>7)</sup>). Z drugiej strony jednak istnieje między myślą a życiem ścisły związek.... „Myśl prawdziwa jest owocem prawego życia, zła zasada zaś płynie z życia zepsutego, skąd wa-

<sup>1)</sup> „Encyklopedia i metodologia prawa" — Przegląd Naukowy, 1843, t. III str. 34—35 (toż, Pisma pomniejsze, II).

<sup>2)</sup> „Słówko o uprawie filozofji" ib. t. IV, str. 142.

<sup>3)</sup> „Zasada filozofji w człowieku". Pisma pomniejsze J. Majorkiewicza. Warszawa 1852, I, 210—211.

<sup>4)</sup> „Myśli i uwagi Mazura nad dziełem T. Szezeniowskiego..." „Przegl. Nauk." 1842, II, 1119.

<sup>5)</sup> „Słówko o uprawie filozofji w Polsce", ib. 1843, IV, 138.

<sup>6)</sup> „Rzuty filozoficzne" ib. 1846, I. (Toż Pisma pomniejsze I, 217).

<sup>7)</sup> „Rzuty filozoficzne". Przegl. Nauk. 1845, IV. (Toż Pisma pomniejsze I, 191).

pory zgniłe wchodzą w sferę myślenia. Największe i najszkodliwsze błędy w myśleniu powstały w czasie największego zepsucia<sup>1)</sup>. Dalszy ciąg tego samego zdania świadczy o tem, że w poglądzie na świat Majorkiewicza do życia wszystko się ściąga i jemu powinno służyć. „Życie, a nie myślenie jest zasługą człowieka, życie, nie myślenie uszlachetnia społeczeństwo; bo myślenie jest częścią życia, a życie normalnie, się rozwijające nie pozwala skrzywić się myśleniu“. Życie jest nie tylko podłożem, na którym się wszystko rozwija, ale i sprawdzianem wszelkiej teoryj. „Probiereczym kamieniem wszystkich naszych wyobrażeń, ich prawdy i praktyczności, to jest znaczenia wpływowego, są dzieje. Pojmowanie rzeczy niehistoryczne, nie oparte na dziejach przeszłości ... wprowadza nas na morze błędów“<sup>2)</sup>. I „nauka powinna nie tylko przedstawiać to, co jest, ale posuwać, kształcić i rozwijać życie“, a to przez rozszerzanie doświadczenia, zapalanie chęci do dobrego, rozwijanie charakteru i przystosowanie woli do spraw życia<sup>3)</sup>. „Wszystkie nauki mają jednakie prawo obywatelstwa, bo wszystkie wypłynęły z potrzeb ducha ludzkiego — pierwszeństwo przed innymi mają te, co się najściślej wiążą z potrzebami ciągle rozwijającego się społeczeństwa, t. j. rozwijając władze, dają zarazem wiadomości, przydatne do życia (historja, nauki przyrodzone). Inne nauki są nie mniej ważne, ale nie tyle konieczne, i dlatego stanowią przedmiot zajęcia jakby wyłącznych kast, t. j. specjalnych uczonych, np. matematyka, języki starożytne ...“<sup>4)</sup>. Nie ujmując zupełnie zasług ani nie obniżając cześci dla uczonych, powiada jednak M., że „inna rzecz człowiek, inna uczoney — ostatni należy do kasty, pierwszym każdy z nas być może i powinien“<sup>5)</sup>. Uczonym zaś przypomina, że „mędrcy od ludów się uczą i tylko o tyle posunąć się mogą w rozwinięciu, ile się od nich nauczyli, i o ile sami się tą organiczną siłą rozwijają, a nie zewnętrznymi, sztucznymi, obcymi tej sile żywiołami“<sup>6)</sup>.

Tak się przedstawiają w ogólnem streszczeniu najważniejsze zasady poglądu na świat Majorkiewicza. Nie sformułował on ich, jak już wspomnieliśmy, w sposób wyczerpujący i systematyczny, lecz raczej w szkicach, rzutach, pomysłach, nie wolnych od sprzeczności i niejasności. W każdym bądź razie ogólny bieg jego myśli jest na tyle wyraźny i jasny, że nie można go uważać (jak to

<sup>1)</sup> „Myśli i uwagi Mazura nad dziełem T. Szczeniowskiego...“ *Przeł. Nauk.* 1842, II, 1117.

<sup>2)</sup> „Rzecz o historii powszechnej“ *Przeł. Nauk.* 1847, II (Pisma pomy. I 103)

<sup>3)</sup> „Powaga w myśleniu i działaniu“ (Pisma pomy. I. 226).

<sup>4)</sup> „Rys historii geografii“, *Przeł. Nauk.* 1843, III, 198.

<sup>5)</sup> „Słowno o uprawie filozofii“, *ib.* t. IV, 143.

<sup>6)</sup> „Myśli i uwagi Mazura nad dziełem T. Szczeniowskiego...“ *ib.* 1842, II, 1117.

czyni Struve) za „zajmującego wogóle stanowisko racjonalne filozofji Hegla”<sup>1)</sup>. Broni on wprowadzić rozum i nawet racjonalizm w pewnem znaczeniu, broní go przed obskurantyzmem i ciemnotą różnych pseudofilozofów krajowych — o Heglu mówi zawsze z najwyższem uznaniem, jego metodę dialektyczną uważa za wyższą od wszystkich innych, nazwisko Schellinga łączy się u niego zawsze z entuzjastycznemi okrzykami, od obu tych filozofów wiele korzysta — ale pomimo to wszystko stara się wyjść poza całą filozofję idealistyczną niemiecką, poza jaźń Fichtelego, absolut Schellinga i ideę Hegla<sup>2)</sup> i istoty bytu szukać w bycie samym, w życiu, tej „harmonji przeciwieństw”, od niego uzależnić myśl, z niem związać jej bieg, wysiłek jej uczynić równocześnie wynikiem i źródłem życia, życiem mierzyć jej wartość i trwałość. „Jakże poznać prawdę? Poznasz ją, — powiada — przerabiając w tło życia, gdy na drodze swojego życia siał będziesz nasiona i zbierać owoce dobra, cnoty.... Najwyższą istotną prawdą życia nie są wcale prawdy oderwane od życia, ale samo życie”<sup>3)</sup>.

Ten zasmucony pogląd (coprawda często zaciemniany niepotrzebnem moralizowaniem, rozmaitemi dygresjami we wszelkie dziedziny wiedzy i t. p.) chronić musi Majorkiewicza od miana ślepego naśladowcy filozofji niemieckiej.

Do nakreślonego powyżej obrazu myśli Majorkiewicza (odtworzonego przeważnie na podstawie ulotnych jego artykułów) niewiele nowego dodaje dzieło, napisane jeszcze podczas studiów uniwersyteckich w Moskwie, a wydane po śmierci autora p. t. „Historja serca i rozumu” (uczucia i wiedzy). Jest to obszernie rozwinięta i poprzez całej ludzkości przeprowadzona myśl, którą M. niejednokrotnie poruszał w artykułach, a mianowicie, że niema i być nie może zasadniczej sprzeczności pomiędzy uczuciem a rozumem, wiarą a wiedzą. Zagadnienie to i praca nad niem były wpływem osobistych, wewnętrznych potrzeb autora, w którego duszy kojarzyły się harmonijnie głęboka, szczerza religijność i wiara z niemniej głębokiem umiłowaniem wiedzy, dla której — bez przesady rzecz można — poświęcił życie. To też dwa te uczucia przepelniają karty tej książki i nadają jej dużo uroku — jakkolwiek, obiektywnie rzecz wzięwszy — musi ona ustąpić przed niektórymi artykułami i późniejszą „Historją, literaturą i krytyką”. Układ dzieła jest dość prosty. Po obszernym wstępie, rozważającym naturę ludzką i człowieka, jego pojętność, rozum, uczucie i wolę — kreśli autor początki rodu ludzkiego, poczem przecho-

<sup>1)</sup> Henryk Struve: „Historja logiki jako teorii poznania w Polsce”, Warszawa 1911, str. 277.

<sup>2)</sup> Ob. jego słowa o Heglu w przytoczonym poniżej artykule p. t. Powaga w myśleniu i życiu.

<sup>3)</sup> Tamże (Pisma pomn., str. 238—9).

dzi kolejno dzieje Wschodu, Grecji, Rzymu, wieków średnich i czasów nowożytnych. W dziejach tych narodów i państw zwraca główną uwagę na organizację społeczno-polityczną (wykazując w tej dziedzinie duże odczytanie), tworzenie się wierzeń religijnych i prądów umysłowych oraz ich wzajemny stosunek. Jak to wynika z jego stanowiska ogólnego, traktuje te sprawy z historycznego i tolerancyjnego punktu widzenia, jakkolwiek religię i moralność chrześcijańską uważa za najwyższą i jedyną. Stara się dowieść konieczności tych, a nie innych prądów i wierzeń w danej epoce, a w ich starciach i walkach widzi zawsze zwyciężanie stopniowo form wyższych i trwalszych, stopniowe doskonalenie się ludzkości.

Nierównie większe znaczenie posiada zarys historii literatury polskiej, wydany p. t. *Historja, literatura i krytyka* w r. 1847. Zamiarem autora było — jak sam powiada — przedstawienie dziejów literatury polskiej jako „jednej całości organicznej, żywej”, a zjawisk jej „nie tylko w porządku systematycznym zewnętrznym, ale i wewnętrznym”. Chciał tedy zwrócić główną uwagę na treść zjawisk literackich, a nie na bibliografię (jak to czyniło wielu jego poprzedników, a nawet i rówieśników) — pragnął dać krytyczny i syntetyczny obraz rozwoju piśmiennictwa. W przedmowie „do czytelnika” i we wstępie zaznaczył stanowisko swoje ogólne i poglądy na „zwroty” czyli kierunki literatury polskiej. Zdaje sobie sprawę z konieczności przygotowania filozoficznego i historycznego dla krytyki literatury, z dziedziny literatury wyłącza nauki specjalne, za najwyższe jej „zagadnienie” uważa „życie ześrodkowane, spromienione, t. j. zebrane w uczuciu piękna” (*list. lit.* str. 11); dzieje literatury „to przedstawienie w czasie i miejscu danem rozwinięcia się życia pewnego społeczeństwa w myślach i uczuciach, w dziedzinie duchowości...” (*ib.* str. 25) — historyk zaś „pokazać powinien prawa niezmiennie i stałe natury ludzkiej, a zatem wyjaśnić, dlaczego np. taki, a nie inny zwrot (kierunek) literatura przyjęć musiała, co było powodem, że innego przyjęć nie mogła” (*ib.* str. 25). Całokształt zaś literatury polskiej dzieli na 3 zwroty: 1) epoka rozumu, badania wiary (w. XIV—XVII). — 2) epoka antyrozumowa (od w. XVI) i epoka wszechstronności wyobrażeń czyli zharmonizowania wiary i rozumu (od czasów Krasickiego). Nie określa M. tych zwrotów temi właśnie terminami, ale tak można je zasadniczo rozumieć na podstawie jego dość niejasnych wywodów.

Mimo głębszego pojmowania zadań historyka literatury, gruntowniejszego przygotowania ogólnego i prawdziwego zmysłu historycznego i krytycznego — nie udało się Majorkiewiczowi przeprowadzenie wyrażonych powyżej zamiarów w zupełności. Przede wszystkim dlatego, że nie mógł się ustrzec od narzucenia literaturze z góry pewnych tendencji rozwojowych, umiatając jej dzieje



w 3 epoki czyli „zwroty“, niedość ściśle określone i uzasadnione: poza tem popełniał błędy metodyczne, nazywając pierwszą epokę „badaniem wiary“, podczas gdy była ona raczej epoką „wiary ślepej“, charakteryzującą poezję ludową średniowiecza na podstawie pieśni, zebranych w w. XIX, czyniąc zbyt gwałtowny przeskok od literatury stanisławowskiej do romantycznej, bez uwzględnienia okresu przejściowego i genezy romantyzmu; dalej niezawsze opierał się na źródłach, korzystał z wyjątków, streszczeń, opracowań obcych, nawet tam, gdzie źródła mogły mu być dostępne: wreszcie rękopis części „zwrotu“ drugiego i trzeciego zaginął nieszczęśliwym trafem podczas druku, tak, że dogorywający już autor musiał opracowywać te części na nowo, z konieczności pobieżnie już i w skrócie, skutkiem czego opracowanie literatury w. XVIII i XIX przedstawia się jako szereg luźnych, krótkich szkiców i notatek.

Są to niewątpliwe braki tego dzieła; wynagradza je natomiast talent autora, jego głęboki umysł, umiejętność historycznego i porównawczego patrzenia na rzeczy oraz traktowania literatury, jako odzwierciedlenia życia danej epoki, oceniania jej zjawisk według stopnia ich rzeczywistej wartości życiowej dla danego okresu czasu. W stosowaniu tego kryterjum nie przeszkadza Majorkiewiczowi żadna ciasna doktryna (jak to było up. u Dembowskiego), jasnego spojrzenia na dzieła i twórców nie przyćmiewa mu żadne uprzedzenie lub niechęć, z czasów mu współczesnych przeniesiona na dawniejsze. „Historyk w. XIX — pisał w jednym z dawniejszych swoich artykułów — nie pyta, coby było, ale co jest, dlaczego jest i dlaczego być musi“<sup>1)</sup>. Dzięki temu też mamy w książce Majorkiewicza tak pięknie opracowany w. XVI — dzięki temu tak plastycznie i żywo kreśli on sylwetki duchowe Reja i Kochanowskiego, tak trafnie naogół ujmuje ich cechy charakterystyczne, dzięki temu wreszcie tak poważnie, spokojnie, bez złości, ale trzeźwo i krytycznie sądzi Skargę i tak przedmiotowo określa wartość reformacji. Jest to najlepiej opracowana i najwięcej wartości dziś jeszcze przedstawiająca część pracy Majorkiewicza, choć i w „zwrocie“ drugim znajdujemy wiele ustępów ważnych i ciekawych. „Zwrot“ trzeci nie z winy autora przedstawia się najslabiej.

Ogółem wzięwszy, jest to książka wartościowa, niższa zapewne od współczesnych opracowań analogicznych pod względem materiału faktycznego, ale wyższa od nich rozległością horyzontów, talentem syntetycznym i konstrukcyjnym oraz głębią perspektywy.

Żmichowska w obrazku wstępnym do „Poganki“ kreśli, wśród wielu innych postaci, także i wizerunek duchowy Majorkiewicza —

<sup>1)</sup> Myśli i uwagi Mazura nad dziełem T. Szczeniowskiego...“ Przgl. Nauk. 1842, II, 1118.

„Alberta, filozofa”. Zwraca słusznie uwagę na jego miłość mądrości, „zdolność rozumową” nadzwyczaj trafną w kombinacjach wniosków i wyobrażeń — ciągłą pracę nad zastosowaniem wszystkich czynów do wszystkich pojęć swoich. Wierzyć jej również można, gdy mówi o jego „naiwnej niedomyślności rzeczywistego świata”, niepraktyczności i przypuszczalnej nieumiejętności wykonania jakiegoś planu, a to z powodu zbyt wszechstronnego rozważania go — wreszcie o nie-każonych obyczajach, charakterze prawnym i tak pełnym godności, że mu zjednał ogólny w rówieśników gronie szacunek. „On młody, on ubogi i cichy stał się prawie jakąś moralną dla nich władzą i potęgą”.

Takie niewątpliwie oblicze duchowe przeziiera i z pism Majorkiewicza. Wycisnęło ono na nich piętno wyraziste i niestarte podniosłości moralnej, powagi i skupionej pracy. Te cechy charakteru obok niezaprzeczonych wartości jego spuścizny literackiej, zapewnią mu należne miejsce w dziejach umysłowości polskiej.

### BIBLIOGRAFJA.

Obok artykułów, drukowanych po czasopiśmie, a omówionych lub zaznaczonych w zyciorysie, ukazały się osobno następujące dzieła Majorkiewicza:

1. Nowa metoda uczenia się geografji. Warszawa 1841. 2. Rys historii geografji (odbitka z „Przeglądu Naukowego”), Warszawa 1843. 3. Historia, literatura i krytyka. Literatura polska w rozwinięciu historycznym. Warszawa 1847. Toż, wydanie drugie, pomnożone (Pisma pośmiertne t. D. Warszawa 1850. 4. Historia serca i rozumu (uczucia i wiedzy). Rękopis pośmiertny. Dwie części w 1 tomie (Ogólnego zbioru pism J. M. t. II i III), Warszawa 1851. 5. Pisma pomniejsze tomów II (Ogólnego zbioru t. IV i V — zawierają one artykuły M. przeważnie z „Przed. Nauk.”, ale nie wszystkie), Warszawa 1852.

O Majorkiewiczu pisali: 1) A. Tyszyński: „Historja literatury polskiej przez J. Majorkiewicza” (Pis. Warsz. 1847. Toż w „Rozbiorach i krytykach”, Petersburg 1854, t. II-gó. 2) Tenże: „Historja serca i rozumu” przez J. M. (Rozbiory i krytyki t. D. 3) K. Wł. Wójcicki: „Cmentarz Powązkowski”, Warszawa 1855, t. I-szy. 4) Tenże w Encykl. Powszech. Orgelbranda t. XVII, Warszawa 1864. 5) Michał Głuszyński: „Rozwrotności naukowe i literackie”, Warszawa 1859, t. V. 6) Słuski (H. Skambrorowicz): „Gabryela i entuzjastki”, Bluszczy 1880. 7) Zmichowska: „Poganka” (Obrazek wstępny). — 8) P. Chmielowski: Historia literatury polskiej, t. V-ty. 9) Tenże: Metodyka historii literatury polskiej. 10) Tenże: Dzieje krytyki literackiej w Polsce. 11) H. Strawi: Historia literatury polskiej jako teorii poznania w Polsce, Warszawa 1911.

## Powaga w myśleniu i życiu.

(„Przegląd Naukowy” 1846, tom III. Pisma pomniejszych, część I, str. 225—249)

(W rozprawie tej autor występuje przeciwko nauce „gabinetowej”, nie związanej z życiem i nie służącej życiu, przeciwko bałwochwalczemu czerpaniu „powag” w nauce i filozofii; propaguje natomiast samodzielność i krytycyzm, czerpanie z „dwóch wielkich ksiąg prawdziwej mądrości”: natury i społeczeństwa; poniżej podajemy część drugiej rozprawy, w której autor stara się określić swoje pojęcie nauki i prawdy.)

Dążąc do poznania prawdy bezwzględnej z jednej strony, z drugiej strony usiłujemy poznać dzisiaj stanowisko względne ludzkości, w danym czasie i miejscu. Stanowisko bezwzględne pokazuje się zawsze w duchu czasu i usposobienia społeczeństwa. Nauka dzisiaj zaczyna poznawać dzieje ludzkości w prawdziwym świetle, to jest, nie w oderwaniu ducha ludzkiego, ale w urzeczywistnieniu, we wszystkim w życiu, w czem się tylko duch ludzki wyrazić może: przemyśle i wszelkiego rodzaju pracy, handlu, w zwyczajach i obyczajach, nauce i sztuce. Dawniej historia była spisem nazwisk i bitw, a zatem nie przedstawiała wcale obrazu życia i ducha narodów — dziś przeciwnie; dziś więc nauka nie daje nam prawd martwych, oderwanych od życia, ale żyjące, bijące pulsem, to jest uznanie bytu tak prawdziwe, że to samo uznanie ożywia nas, budzi wiarę w życie i zachęca do działania w swoim obrębie, bez względu na okoliczności, które nas zniechęcają i stłumić ducha usiłują, aby uspić nas, aby znowa przywrócić — powagi światu.

Nauka powinna nie tylko przedstawiać to, co jest, ale posuwać, kształcić i rozwijać życie. Wszakże ostatniem zagadnieniem nauk przyrodzonych jest sztuka, to jest zastosowanie ich do życia, ostatniem więc zagadnieniem nauki w ogólności winno być również zastosowanie jej, to jest strona praktyczna, życiowa. Tej potęgi wpływowej niemasz w pismach, mających skądinąd niezaprzeczenie wielką wartość — największej powagi, w pismach Arystotelesa: bo on nie posuwa życia, bo niemasz w nim wiary w przeszłość, uczucie, siły swoje, co się dotąd rozwijały bez uznania, a uznawszy się w swoim jestestwie, ubóstwiły się i zmartwiały, padając przed bałwanem własnego utworu, apoteozą rozumu. A jednak te

same siły, w czasie ich najpiękniejszego rozwoju, wydały naukę, wydały sztukę i piękne życie Grecji. Jedna uwaga zdolna jest zachwiać wiarę człowieka myślącego w pisma Arystotelesa, chociaż się z nich nauczył niemało: jest to uwaga, że nauka tego olbrzyma umiejętności jest pogrzebem pieniem życia, ostatniem requiem uczucia i poświęcenia i zapada nad grobem najpiękniejszego życia Hellady. To samo zastosowaćby można do Hegla, którego czasem zowią Arystotelesem nowożytnym. Mówmy, co chcemy, o doskonałości metody dialektycznej Hegla, metody, która ma wyższość niezaprzeczoną nad wszystkie inne, co ją poprzedziły — mędrze: wszakże berliński nas nie zaspokoi, bo nam nie daje tła życia, bo nam wrywa wiarę w życie, w potęgę uczucia, to nieprzebrane źródło prawdy żywej, natchnienia i zapału, prawdy i poświęcenia, to jest nie tylko prawdy, ale prawdy i życia razem. Nie Hegel zaiste, nie Kant, nie Arystoteles, Plato, ale natura ludzka, ale świat stworzony, przeistawiają rudę złotego kruszcu, prawdy i życia, w dziedzinie umysłowości, a te potężne umysły, te myślące głowy, o tyle tylko, o ile obejmują uznaniem (mniej więcej niedostatecznem) myśl stworzenia, związek natury i społeczeństwa, ich stosunki z nami, i nasz stosunek z najwyższą wszechmocną Potęgą istnienia, jakkolwiek ją nazwiemy, i jakkolwiek ją uważać będziemy — czyto naturą, czy Opatrznością, czy Bogiem, czy najwyższą siłą istnienia, twórczością, myślą, lub tym podobnie.

Patrz na tych pisarzy, co się wyrwali z powagi, co się zdołali otrząsnąć z przesądów nauki i uprzedzeń wszelkiego rodzaju — jakże ludzkie ich myśli, jakże oni głęboko przemawiają do duszy i jak nas przywiązują do życia? Zdaje się, że oni wszystkie nam z duszy powybiali myśli, bo każdy prawie pomysł, każde uczucie obito się w ich pismach, i dlatego to, czytając ich, zdaje ci się, że żyjesz na łonie natury i przywiązujesz się całym uczuciem młodzieńczej piersi, całą mocą przywiązania do ich dzieł, czyli, co na jedno wychodzi, do świata i życia, czujesz się doskonalszym, lepszym, godniejszym siebie i świata, i nie jako ożywionym, zdolniejszym do działania dla dobra innych — co się zawsze od ugodałstwa, to jest od wykształcenia siebie samego zaczyna. Organiczne

myśli, zasady tych pisarzy światowych, ludzkich, w całym znaczeniu tego wyrazu — prowadzą nas wprost na bujane obszary życia, gdzie nas czeka okwite żniwo uczuć, myśli i czynów ludzkich, godnych nas, jako ludzi. Oni każą mieć rozum i patrzeć w rozum i w naturę, przypuszczając uczucie, jak ów genialny wieszcz nasz, co wyrzekł: „Miej serce i patrzaj w serce!” Mija czas wyłączości, powag uprzywilejowanych i wyłącznych, uprzywilejowanych myśli. Ow wieszcz, co kazał mieć serce, zapomniał o rozumie, gdy znowu niejeden filozof zapomniał o uczuciu i wszedł na pole zimnej obojętności, jak lamten nierozumu. A na świecie ciężko żyć również bez serca, jak bez rozumu.

Przeszły już na zawsze w myśleniu czasy powagi tak dalece, że ani doświadczenie, ani uczucie osobiste, myśl nasza własna, wyłączona od świata, nie może stanowić nic w sprawie nauki, ani życia. Z jednej strony ludzie mimowolnie prawie nie wierzą już w sam rozum, i słusznie, bo powaga li rozumowa doprowadza ludzi częstokroć do największego nierozumu. Z drugiej strony przestają, radzi-nieradzi, wierzyć w samo uczucie, i słusznie! bo to doprowadzało do smutnej niedołężności i bezwładności uspienia, do fantastycznej potworności życia, co nie odpowiadała godności człowieka, jako ciała niebieskie poddanego nieskończonej działalności sił światowych, odwiecznych.

Długo ludzkość, pozbawiona światła rozumu i dlatego nie pojmująca nawet wiary, uczuć swoich, które się bez wykształcenia umysłowego, jak ciepło ziemi bez światła, obejść nie mogły — nie żyła własnem, ale pożyczanem życiem, uczuciem i myślą nie swoją, i dlatego uczuć nie mogła całej potęgi i godności swojego istnienia, i dlatego zobojętniała na los własny, a powaga była dla niej, czem siła ciężenia powszechnego dla świata — siłą tylko! Dziś znikły powagi wszelkiego rodzaju, do takiego stopnia, że nawet nie powinniśmy słuchać powagi własnej myśli i własnego uczucia, jak popędów i skłonności naszych, dopóki się nie zastanowimy i nie przekonamy, że te — do prawdy i życia prowadzą. Dobro jest to prawda wcielona życia, i fa tylko prawda jest życiem, co się przejawia w postaci artystycznej życia. Nieprawdą zaś jest wszystko, co

nie przechodzi w życie, przekonanie, jako wysnute z pajęczej przędzy rozumowania, gorączkowego uczucia lub dumnego poglądu powagi. Od egoizmu w rozumowaniu, od fantazji w uczuciu, nie można czynić zależną sprawę życia, prawd istotnych, świętych dla ludzkości, bo działających w życiu i płynących w niem, jak potoki siły elektryczno-magnetycznej, ożywiającej organizm świata fizycznego.

Jakże poznać prawdę? Poznasz ją, przerabiając w tło życia, gdy na drodze swojego życia siałeś nasiona i zbierać owoce dobra, cnoty — gdy prawdę uświęcać będziesz zawsze czynem i harmonizować uczucie z myślą, w pokoju duszy i błogiem przeświadczeniu, przeświadczeniu ugodniającem, żeś dopełnił twoich powinności. Cnota i pogoda uczuć, spokojność sumienia, jasność i czystość myśli — są kamieniem probierzym wartości wewnętrznej, to jest umysłowej, moralnej, obyczajowej człowieka, są prawdziwie niewzruszoną opoką, na której śmiało wznosić możesz świątynię życia twojego. — Najwyższą istotną prawdą życia nie są wcale prawdy oderwane od życia, ale samo życie.

W nauce prawdziwej gra idzie o życie, nie o urojenia lub myśli czeze, oderwane od świata. Zostawie tu więc każdego powinniśmy własnej wielkości, jak nas Bóg zostawia sobie samym, a wtedy podobni będziemy do Najwyższej Istoty, będziemy obrazem i podobieństwem Bóstwa na ziemi, wystarczając sobie i działając na drugich jedynie wpływem moralnym życia, natchnieniem wewnętrznej potęgi myśli, uczuć i czynów. Zesłannictwem życia jest to samo życie i dlatego to ono wywiera więcej zbawianego działania na innych, niż wszystkie rozumowania, niż wszystkie uniesienia rozmarzonej fantazji lub uczucia.

## Historja, literatura i krytyka. — Literatura polska w rozwoju historycznym.

(Wydanie drugie, pomnożone, Warszawa 1890)

(W zwrocie pierwszym omawia autor najprzód pieśni i podania ludowe, następnie poezję religijną i łacińską prozę do w. XVI, wreszcie poezję liryczną i dramatyczną oraz prozę wieku złotego. Zwrot drugi obejmuje w. XVI i czasy saskie — trzeci zaś literaturę epoki stanisławowskiej i wieku XIX. Podajemy poniżej charakterystykę Skargi.)

Aby ocenić godnie stanowisko tego znakomitego pisarza, trzeba najprzód serdecznie, t. j. szczerze, w chęci nauczenia się czegoś, zdjąwszy pychę z serca, wczytywać się w pisma Skargi. Najlepiej zacząć od kazań, chociaż i Żywota ŚŚ. są, pod względem języka, rudą nigdy nieprzebraną. Język Skargi tem się różni od języka innych współczesnych pisarzy, że kiedy tych ostatnich czytać bez znudzenia prawie niepodobna i nieraz dość przeczytać jeden urywek niewielki np. XVII wiekowego pisarza, aby się odstręczyć od niego, autora Żywotów ŚŚ. dość przeczytać najmniejszy ustęp, aby polubić styl, nabrać chęci do czytania go i zamiłować język swój. Ten to powab czarowny cudnie pięknego, pełnego wdzięku języka Skargi, jednal mu zawsze największe pochwały i zachęcał do wczytywania się w dzieła jego ludzi, piszących najlepiej w języku ojczystym, którzy wykształcenie swoje językowe winni są Skardze. Nieznajomości, nieoswojeniu się z pismami jego przypisać należy niewyrobinie i wszystkie dziwaetwa stylowe dziś piszących młodych i niemłodych pisarzy, nawet nie bez imienia. Skarga pod względem języka zastąpi wszystkich dawnych pisarzy naszych, wyjąwszy Jana Kochanowskiego. Nie tak się rzeczy mają pod względem  $\frac{1}{2}$  ści samej: bo w tym względzie Skarga nie zastąpiłby ani jednego nawet znakomitego z XVI lub XVII wieku pisarza, w nich bowiem jest więcej żywiołów, niż w Skardze, złotoustym Skardze.

Nie był on historykiem, nie był filozofem, ale był człowiekiem z uczuciem, wiarą i wyobraźnią nader żywą, co się pokazuje w jego języku plastycznym, wyrazistym, pełnym obrazowości, okwitości, harmonji i wdzięku niewysłowionego, niewymuszonej lubości i słodyczy, a przytem życia i mocy wyrażenia. Przystępując atoli do czytania dzieł Skargi, nie

powinniśmy tego spuszczać z uwagi: że to była osobistość, wyrażająca jeden zwrot życia, jeden pierwiastek wieku. Skarga był teologiem, kaznodzieją jezuickim, przekonanym żywo i gorąco, wierzącym najmocniej, że tylko powaga zachowawcza, czyli konserwatyzm kościoła, stać się może zbawieniem ludzkości, drogą zjednoczenia społeczeństwa, zlania pojedynczych interesów dla dobra powszechnego. Powstaje on z zapałem i wiarą na wszystkie herezje, widząc, że odszczepieństwa nie prowadziły do niczego stanowczego, a wywiązywały się jedne z drugich bez końca. Herezje te, zasada ich rozumowa, groziły zasadzie uczuciowej katolicyzmu, w obronie którego stanął Skarga z wiarą i powstawał przeciwko wszystkiemu, co naruszało powagę kościoła. Kto się poświęcił szukaniu prawdy i jest bezstronnym zjawisk dziejowych badaczem, przyznać musi, że w Skardze widać przemagającą dobrą wiarę, wszędzie zamiłowanie dobra powszechnego, chociaż się w nim pokazują (i nie mogło być inaczej) uprzedzenia zakonu, do którego należał, i nietolerancja, co pochodziło z braku wykształcenia wyższego, i dlatego nie na drodze miłości i zgody chrześcijańskiej, ale na drodze niezgody dogmatycznej pokazuje się Skarga, tam wszakże jedynie najznakomitszy, natchniony, gdzie każe miłość braterską i poprawę obyczajów, gdzie na życie praktyczne zwraca uwagę.

Skarga miał najlepsze w świecie chęci, ale niedosyć człowiekowi, a mianowicie też pisarzowi, dobrych chęci: trzeba jeszcze zasady woli, myśli i światła, obok uczucia; bo chcieć nie możemy, czego nie znamy, a gdy nie widzimy, do czego nas doprowadzą nasze popędy i chęci, zbłądzić łatwo — trzeba więc światła, nauki, a w nauce wszechstronności, poglądu na świat i życie. Nie miał tego Skarga i dlatego nie jest on wcale wszystkim dla wszystkich, bo nie jest historykiem ani filozofem. Wyborny to wszakże kaznodzieja, a przytem szlachcic polski, który jednak w Polsce najlepiej kocha zakon swój i rozkazy jego, naturalnie, ma sobie za święte: pełen zdolności, pracowitości i świątobliwości życia, Skarga nie wznosił się dlatego nad widoki zakonu, i we względzie naukowym — Bogu duszę winien, w całym znaczeniu tego wyrazu. Rzecz to wielkiej wagi, że ten wielki mówca nie kształcił się na wzorach



starożytności klasycznej i dlatego niemasz w nim tej głębokości i rozległości pojęć, którą spotykamy w innych pisarzach naszych. Nie mając wykształcenia zasadnego, wyższego, nie mógł być Skarga wszechstronnym, a że był mówcą, nie dziwnego. Wszakże do dziś dnia mamy mówców, powstających nie tylko na naukę, ale i na sam rozum w człowieku. Natętnienie samo nauki nie da, bo nauka, jak każda inna praca jest krwawym dobytkiem ludzkości w ciągu wieków doświadczenia. — Stąd to nie wdawał się nigdy Skarga w badania krytyczne zasad prawdy, nie zapatrywał się nigdy wszechstronnie na usposobienie człowieka, naturę ludzką i dlatego nieraz powierzchownym jest, nie może czy nie chce pojąć, o co rzecz idzie, i powstaje na przeciwie myślących nie wprost, ale napada na nich niegodnie czasem. Wogóle, co do walki z różnowiedcami, błędnie aureola, jaśniejąca nad złotoustym Skargą, zwanym młotem na heretyki, gdy się dowiadujemy, że spory ważniejsze wypracowali jezuita włoscy, a słuchając drugiej strony, widzimy, że rozum jego niebardzo był straszny dla uczonych innych wyznań, np. Wolana, Jarosza z Moskorzewa Moskorzewskiego i t. p. W istocie! w pismach polemicznych Skargi wiele est słów, obrazów, rzeczy, wątku mało i tem się odznaczają pisma polemiczne od kazań, pełnych treści i życia. W kazaniach stoi on najwyżej. Powstaje na złe, co się już gnieździło w próchniejącym pniu państwa: potężny wiarą i dążeniem do jedności, którą wszakże sam tamował, powstając bez umiarkowania na wszystkie inne wyznania i nie przyznając zasługi żadnej ludzom pełnym nauk, którzy mogli uczynić dla kraju wiele dobrego, bez względu na wyobrażenie swoje i przekonanie wewnętrzne. Kazania sejmowe są arcydziełem, pomyślnym niepożytym prawdziwej wymowy. Pokazuje się tu w wysokim stopniu miłość dobra powszechnego: mówca się wznosi w zapale świętego natchnienia do wysokości przedmiotu z namaszczeniem religijnem, jużto z łagodnością apostołską, uczy miłości ewangelijnej, jużto z ogniem grozi zgubą społeczeństwu, które o dobru powszechnym zapominać zaczynało. Aby ocenić stanowisko Skargi, pamiętać trzeba z jednej strony, że ten znakomity mówca nie stał na równi z nauką wieku: miał wszakże wiadomości bardzo rozległe pod

względem faktów. Całą przeszłość uważał on za skarbnicę przykładów, a mianowicie też dzieje kościoła, gdzie się przedstawiało tyle ideałów! Bierze on przykłady bez żadnej krytyki i przytacza za nie ulegające wątpliwości rzeczy, zupełnie czasem niewiarogodne. Cel tego wszystkiego najpiękniejszy, t. j. zwrócenie ludzi na drogę prawości i poświęcenia; chociaż cel, rozumie się, środków nie uświęca, lubo je tłumaczy. Pomijając fakta, ze społeczeństwem czytamy ustępy, gdzie mowa o życiu prawem i poświęceniu. Jest to znamię wybitne, odznaczające pisarzy naszych, że dobro powszechne, dobro społeczeństwa, w którym żyją, jest ich najwyższym zagadnieniem. Dlatego to w Skardze, tam nawet, gdzieby się tego najmniej spodziewać należało, widzimy odbite obrazy miejscowości. W Żywotach ŚŚ. maluje Skarga stan kraju, zalety i wady miejscowe, cnoty i grzechy nasze, malując nawet strony obce, nieznanne wieki zapadłej przeszłości. Celem jego była moralność, zbudowanie przykładami przeszłości. Wszyscy niemal kronikarze nasi noszą na sobie charakter pragmatyzmu Liwjusza i nie mogą się wznieść nad cycerońskie pojęcie historii, jako nauczycielki życia (*magistra vitae*). Moralny ten cel, cel zbudowania w Żywotach ŚŚ. Skargi sprawia, że autor przytacza bez braku fakta i widzi tylko materiał do swego celu pragmatycznego — we wszystkim, co przeszłość podała, co fantazja ludzka stworzyła. Fakta wszystkie dla Skargi o tyle mają wartości, o ile wyrażają szczególniejszą łaskę i opatrzność Boga, pokazującą się w cudach i przypadkowości. Myśl autora, czyli raczej uczucie żywe, z gorącą wiarą w Boga, pragnie wszędzie łaski i natchnienia, wszędzie szczególnych dowodów opieki Opatrzności. Filozofja scholastyczna uosobiła myśli ogólne w faktach szczególnych, a uczucie uosobiło Istność Najwyższą w cudach, biegu rzeczy nadprzyrodzonym i wyjątkowym, odrywając zasadę świata najwyższą od ogółu stworzenia i wcielając ją w świat wyłączny i że tak powiem uprzywilejowany. Filozofja przedstawia nam wiele obłądów rozumu ludzkiego, obłądów snadź koniecznych dla dojścia do prawdy życia, kiedy człowiek pojmuje Boga w natchnieniu życia i widzi Go zarazem w prawach ogólnych, odwiecznych i stałych świata tego. Zrozumieć tylko trzeba Skargę, cel jego pisania

(bo celowość jest zasadą myślową piszącego), aby ocenie pisma jego najróżnorodniejsze i czytać je z korzyścią, nawet pod względem treści samej. Skarga, pojęty w tym duchu, w jakim pisał, nabywa dla nas bez porównania większego znaczenia — bo jego wyrażenia już nie będą symbolami tylko, ale obrazami z życiem i treścią, rzeczami zrozumiałemi dla nas, a przytem obrazami najpiękniejszymi, najpoetyczniejszymi, wyrazem pełnym okwitości i wdzięku uczuć i myśli człowieka dobrej wiary <sup>1)</sup>).

Ważna to rzecz, że Skarga nie kształcił się na żadnych innych wzorach, prócz Pisma Ś. (którego niepodobna pojąć bez starożytności, bez wykształcenia zatem klasycznego): ślad to brak wszechstronności, brak tolerancji religijnej. To nam zarazem tłumaczy, dlaczego ten wielki mówca tak się oddalił pod względem treści od pisarzy XVI-wiekowych, których jest koroną i uwieńczeniem pod względem języka.

---

<sup>1)</sup> W rękopiśmie historii literatury polskiej A. W. Maciejowskiego ważny się znajduje dowód, że Żywoty ŚŚ. Skargi napisane były dla dzieci. Rzecz ważna! Może niejeden z czytelników przypomina sobie owe szczęśliwe lata młodości, kiedy czytając Żywoty ŚŚ., zapalał się chęcią zostania pustelnikiem. Tak po przeczytaniu Rynaldyniego, niejeden chciał być zbójcą. Bujna to fantazja umysłów nieletnich. Takim był naród nasz od początku niemal, a mianowicie od połowy XV wieku do połowy XVIII, i w dobrej wierze, w prostocie ducha czytał książki, o których na początku okresu drugiego powiemy, czytał Skargę i Duńczewskiego naprzemiany, dopóki się nie zjawił Krasiecki, Kouarski uczniowie wychowańcy jego epoki, dopóki Wybieki nie zapłakał, po raz pierwszy czytając w życiu — Żywoty Plutarcha.

## BARTOSZEWICZ JULJAN.

(1821—1870).

Zasłużony pracownik na polu badań nad przeszłością ojczyzną i żarliwy tej przeszłości miłośnik pochodził z rodziny, osiadłej zdawna na Litwie. Ojciec jego, Adam, wychowaniec szkół wileńskich, pełnił obowiązki nauczyciela matematyki i języka polskiego w szkole wydziałowej w Białej Radziwiłłowskiej. Zbierał on i ogłaszał przysłowia, przypowieści i podania ludowe. Ożeniony był z Ameliją Sengtellerówną, z której urodził mu się 17 stycznia 1821 syn Juljan.

Młodzieńcze lata spędził on w Białej. Ruiny zamku radziwiłłowskiego i świeże jeszcze tradycje o ks. Karolu „Panie Kochanka” zwracały myśl i wyobraźnię chłopca ku przeszłości. W r. 1829 wszedł do szkoły, w której nauczał ojciec. W grudniu następnego roku bieg nauk uległ przerwie z powodu wstąpienia kilku profesorów do wojska. Po upadku powstania wrócił do szkoły, lecz niebawem skutkiem translokacji ojca przeszedł do szkoły obwodowej w Warszawie. Wkrótce jednak przerwany został wraz z ojcem do Łukowa, skąd znowu wrócił do Warszawy i tu w r. 1838 ukończył gimnazjum na Lesznie.

Związany ze środowiskiem nauczycielskim, obrał sobie ten zawód. Władze naukowe Królestwa, z powodu braku nauczycieli gimnazjalnych, wysyłały wtedy na koszt skarbu najpilniejszych uczniów do uniwersytetów rosyjskich. W ich liczbie znalazł się młody Bartoszewicz. Skierowany do Petersburga, zapisał się na wydział historyczno-filologiczny. „Nasze usposobienie — tłumaczył Bartoszewicz rodzicom — w ogólności znacznie przewyższa usposobienie tutejszych krajowców; możecie zrobić jakiegokolwiek o tem wyobrazenie, gdy wam powiem, że ja o obrazu, pominiawszy trzy oddziały, na czwartoletniego ucznia na wydziale filologicznym przechodzę”. Czteroletni pobyt na uniwersytecie, podczas którego raz tylko odwiedził strony rodzinne, upłynął mu na pracy w obrębie Biblioteki Publicznej, w której — w zbiorach Załuskich — znalazł obfite źródła dziejowe. Całymi dniami przesiadywał tu i gromadził

wypisy z dzieł i rękopisów polskich i rosyjskich. Notatki te zebrane były początkiem olbrzymich zbiorów kartkowych z wyjątkami źródłowymi, a które istotnie dopomogły mu do szybkiego wystąpienia w literaturze z pracami, opartymi na nieznanych dotąd materiałach, i nowego oświetlenia faktów historycznych.

Otoczenie młodzieży, w jakim się znalazł na uniwersytecie, było przeważnie polskie. W listach do rodziców podnosił, że czudziemców na uniwersytecie jest zaledwie czesie dziesiąta, gdy reszta Polacy, głównie z krajów zabranych. Gdy znalazł się w gronie młodzieży, wśród scieraających się wzajemnie opinij, ożywił się i rozprawił gorąco, a wymowa jego, aczkolwiek niepiłymna, nabierała siły i serdeczności. Zdanie swe wypowiadał z odwagą i przekonaniem, bronił go do upadłego. Cechy te zachował do zgonu. Mimo, że był wśród kolegów najmłodszym, przykładem i działalnością swą wpływ wywierał niemały. Zaangażował i urządził studencką bibliotekę polską, wespół z kolegami brał udział w wydawaniu noworocznika „Niezapadka“. Tu umieszczał pierwsze swoje prace, przeważnie tłumaczenia białym wierszem dzieł dramatycznych niemieckich i włoskich. Wtedy też zaczął prowadzić dziennik swojego życia, który w niezwykle skrupulatny sposób ciągnął aż do śmierci. ◆

Uniwersytet petersburski naówczas miał mało cech rosyjskich: profesorów Rosjan było mało; wykłady odbywały się często w języku niemieckim i francuskim, wśród słuchaczy najwięcej było młodzieży polskiej; pomimo to jednak ujemne wpływy obcych warunków życia odbiły się na Bartoszewiczu. Sam się do tego przyznaje. Silne wszakże wrażenia dzieciństwa i głębokie poczucie polskości starły wkrótce obcą naleciałość. Po powrocie do kraju znalazł się napowrót w rodzinnem kole, które z jednej strony skupiało około siebie wybitniejszych pedagogów warszawskich, z drugiej zaś było centrum Podlasian, z którymi rodzina szerokie posiadała stosunki.

To też Julian tu szybko odżył i niebawem począł występować z pierwszymi pracami. Artykuły jego, umieszczane w prasie warszawskiej, odrazu zwróciły uwagę na młodego pracownika. Zrazu przyświecał mu ideał popularyzatora dziejów przez powieść historyczną, zamiłowanie jednak ścisłości w badaniach i wpływ Antoniego Przeszkodzińskiego zwróciły go na właściwą drogę. Jeszcze później niektórzy z literatów warszawskich namawiali go, aby w suchej historii nie zatracił talentu poetyckiego, którego dowiódł w powiastkach i tłumaczeniu „Franczeski z Rimini“, ale namowy te minęły bez skutku. Z literaturą nie zerwał, poświęcał się jej od czasu do czasu, uważał ją wszakże raczej jako środek urozmaicenia wyęfzonej pracy.

W pamiętniku swym stale użala się, że cenzura bądź psuje i zmienia do niepoznania jego prace, bądź też nie dozwala ich

ogłaszać. W roku 1847 pomieścił w „Bibliotece Warsz.“ rozprawę p. t. „Helena Iwanówna, żona Aleksandra Jagiellończyka“, cenzura ją przepuściła, lecz z polecenia władzy nakład cały po wyjściu skonfiskowano. Cenzor otrzymał nagane, autor zaś, który od chwili powrotu pełnił obowiązki nauczyciela łaciny w gimnazjum, dzięki staraniom ojca i stosunkom W. Al. Maciejewskiego, został tylko w sierpniu r. 1847 za karę przeniesiony do szkoły powiatowej w Końskich.

Czas pobytu w małej mieścinie był dla Bartoszewicza okresem „wygnania“, jak to sam nazywa, tem przykrzejszego, że cenzura zabroniła mu drukowania rzeczy historycznych. Przez wypędzenie go z Warszawy chciano go zmusić do zaniechania badań dziejowych, zamach jednak chybił celu. Bartoszewicz w domu Małachowskich, dziedziców Końskich, tudzież w okolicznych dworach szlacheckich znalazł sporo dokumentów, był więc w swoim żywiole. Pozatem zwiedzał i opisywał sąsiednie miasteczka, parafie i kościoły, tłumaczył Bizardièrè'a historjè bezkrólewia po Janie III Sobieskim, często takżè odwiedzał Warszawè. Wtedy też poznał Kazimièrè Zapalowskà, córkè obywatela wiejskiego, bylego kapitana Jana Zapalowskiego, którà pózniej zaślubił.

Na skutek zabiegów ojca w r. 1849 powrócił z „wygnania“ do Warszawy na posadè nauczyciela szkoły powiatowej, którà zajmował przez lat kilkanaście. Muchanów, nastèpca Okuniewa na stanowisku kuratora warszawskiego okrègu naukowego, najrozmaitszych miał siè srodków, aby młodego nauczyciela odciagnà od dotychczasowych badań historycznych. Radził mu wièc pisaç o stosunkach Polski z Piotrem W. i zbieraç w Polsce materiały do jego panowania; kazał mu przygotowywaç ksiàżkè szkolnà na klasè VI, majàcà obejmowaç z historji powszechnej dzieje wieków srodkich, proponował objècie redakcji rządowego miesiècznika, majàcego rywalizowaç z „Bibliotekà Warszawskà“, obiecywał mu pieniàdze i ordery; wreszcie, napotykaç opór, drèczył go i szukał w różny sposób.

B. nie ugiàł siè przed swym zwierzchnikiem, kroczàc wytrwale raz obronà drogà. Gdy Henryk Rzewuski założył w r. 1851 w Warszawie pismo codzienne „Dziennik Warszawski“, B. wszedł do redakcji i brał żywy udział w prowadzeniu tego dziełniska, rozpoczynàcego nowy okres w rozwoju prasy codziennej warszawskiej. Po usunièciu siè Rzewuskiego zmienił „Dziennik“ nazwè na „Kronikè Wiadomosci Krajowych i Zagranicznych“.

Z enwidà ożywienia siè ruchu umysłowego po wojnie krymskiej wszedł B. jako stały współpracownik do dwóch wydawnictw, które rozpoczęły swoje istnienie w r. 1859, mianowicie do „Tygodnika Ilustrowanego“ i „Encyklopedji Powszechnej Orzebranda. Równocześnie prawie został powołany do składu redakcji „Biblioteki Warszawskiej“, która zorganizowała siè w cztery wydania,

mające stanowić zawiązek Towarzystwa Przypięciół Nauk. Pełnił on w wydziale historycznym naprzód funkcje sekretarza, później wiceprezesa, a przez 3 lata do chwili rozwiązania się wydziałów w r. 1865 obowiązki przewodniczącego. Od końca 1860 wykładał przez dwa lata język i historję literatury polskiej w Instytucie Muzycznym, a w r. 1862 otrzymał posadę kustosa Biblioteki Głównej w Warszawie, którą wyrobił mu dyrektor Komisji Oświecenia, Michał Grabowski. W czerwcu 1863 polecono mu wykładać historję i literaturę polską w VI i VII klasie drugiego gimnazjum warszawskiego. W r. 1866 dostał dymisję z profesorsstwa, a następnie i z kustoszostwa w Bibliotece Głównej. Za 27 lat służby rządowej przyznano mu skromną emeryturę.

W ciężkich warunkach rozwijała się działalność naukowa B. Do pracy nauczycielkiej zmuszały go potrzeby materialne i pociągała chęć kształcenia dusz młodzieży. Obowiązki te, jak wszystko, co czynił, wykonywał z wielką żarliwością. Jako nauczyciel literatury przygotował on jako przewodnik dla dojrzałszej młodzieży „Historję literatury polskiej, polecznym sposobem opowiedzianą” (Warszawa 1860). W pracy tej odbiła się samodzielność i niezależność w sądach o pisarzach przy braku poczucia estetycznego i słabem rozumieniu twórczości wielkich poetów; B. ocenia pisarzy i utwory ze stanowiska polityczno-patriotycznego przeważnie. Książka ta wywołała wiele hałasu i protestów.

Do r. 1851 nie występował B. z większemi pracami. Ograniczał się do drobnych szkiców historycznych, życiorysów i ocen, drukowanych w wydawnictwach periodycznych; od czasu do czasu wracał do literatury, podejmował tłumaczenie utworów dramatycznych<sup>1)</sup>, snuł plany opowieści historycznych. Jednocześnie prowadził poszukiwania archiwalne w Metryce koronnej, gromadził notaty źródłowe i porządkował je do późniejszego zużytkowania. Poznał wszystko, co w Rosji pisano o Polsce, przepatrywał gazety polskie z w. XVIII i obec, które o Polsce pisały, tudzież liczne gazety pisane z ubiegłego wieku. Książkom nie wierzył, do dokumentów główną przywiązywał wagę. Czytając dzieła historyczne lub manuskrypty, robił mnóstwo wypisów na tylu kartkach, o ilu osobach i rzeczach była mowa. W ten sposób przy niesłychanej pracowitości zebrał ich tyle, że na przepisanie nie starczyłoby lat kilku. Były w nich dzieje Polski, historia każdej instytucji, miasta i człowieka, który jakkolwiek rolę w narodzie odegrał. Tworzyły one całe słozy, w których jeden autor potrafił się zorientować i wydobyć to, co do pracy potrzebował. Pisał życiorysy, których od niego zażądano, a nie było zdarzenia, aby odmówił komu z po-

<sup>1)</sup> Przetłóżył z włoskiego tragedję „Franceska da Rimini”, z Oehlen-schlägera wierszem miarowym „Hagbart i Sygna”, tłumaczył Puszkina „Borys Godunow” i in.

wodu braku materiałów. Gdy jakie pismo ilustrowane w Warszawie dostało portret znakomitszego człowieka, mało znanego, zaraz udawano się do B., a ten w ciągu niewielu godzin, posiadając dużą łatwość pisania, dostarczał życiorysu, w którym podawał mnóstwo nowych dat i faktów.

Z większą pracą wystąpił dopiero w r. 1851, puszczając w świat po raz pierwszy w osobnym wydaniu dzieło p. t. „Królestwie biskupi”. Było ono początkiem całego ciągu zamierzonych wydawnictw, z których ukazała się nieznaczna tylko część. Cenzura stanęła na przeszkodzie. Tak z pracy p. t. „Hetmani polni koronni i Wielkiego Księstwa Litewskiego” wyszło tylko dziesięć zeszytów, ponieważ dalsze cenzura odrzuciła; przy wydawnictwie „Historji literatury polskiej” autor z trudem wyjednał, aby mu pozwolono nadmienić o Lelewelu; w „Album malowniczym Kijowa” drugi zeszyt wyszedł z samymi rycinami, tekst bowiem został przez cenzurę skreślony. Najcenniejsze ustępy z pamiętnika Rulikowskiego, przygotowanego do druku, cenzura usunęła i t. d. Zmuszony koniecznością, wziął się B. do opracowania dziejów dawniejszych zakładów dobroczynnych. Już po śmierci autora wyszła z druku „Historja szkolna Dzieciątka Jezus”. Wtedy też powstał plan opracowania całości dziejów polskich. Poznańska księgarnia Kamińskiego zwracała się doń weześniej o dopełnienie urwanych na Janie Kazimierzu „Dziejów Rzeczypospolitej Polskiej” Jędrzeja Moraczewskiego, umowa atoli nie doszła do skutku; teraz natomiast stanął w tej mierze układ z księgarzem warszawskim Merzbachem. B. rozpoczął pracę w r. 1863, której wynikiem była czterotomowa „Historja pierwotna Polski”, wydana z rękopisu dopiero przez syna autora.

Trwałym pomnikiem jego erudycji i pracowitości są artykuły o rzeczach polskich w „Encyklopedji Powszechnej” Orgelbraunda. Jest ich tam 1291, a obejmują 3650 stronice w wielkiej ósemce, co najmniej dziesięć zwykłych tomów. Praca ta byłaby znacznie zupełniejszą, gdyby nie pisał pod naciskiem dwóch cenzur. Pierwsza była rządowa, która usunęła wiele cennych rzeczy, druga stanowił wydawca, który określał autorowi rozmiary artykułów.

Znaczna część prac B. znajduje się rozproszona po pismach periodycznych warszawskich, krakowskich i poznańskich; bardzo wiele pozostało w rękopisie, z którego dwanaście już tomów wydał syn historyka. Ponadto zachowała się obfitość materiału niezużytkowanego, która ze śmiercią autora może uchodzić za straconą, ponieważ nie znajdzie się już człowiek, któryby zdołał rozpatrzeć się w labiryncie kilkudziesięciu tysięcy kartek, nadzwyczaj nieczytelnie zapisanych.

Działalność B. w swoim czasie cieszyła się uznaniem i rozgłosem. Już w 1853 r. w uznaniu swych zasług został mianowany członkiem Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego



w Petersburgu. W cztery lata później obrano go członkiem korespondentem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, niebawem zaś członkiem rzeczywistym Komisji Archeologicznej Wileńskiej i Muzeum Starożytności i honorowym w Towarzystwie Przyjaciół Nauk Poznańskim. Testamentem, zdziałanym w Odesie przez zmarłego także Michała Konarskiego, obywatela z Ukrainy, otrzymał wraz z Al. Maciejowskim, Szajnochą i Lompą, działaczem śląskim, po 10.000 złp. na cele naukowe. Ze wszystkich stron Polski nadsyłano mu mnóstwo papierów i dokumentów historycznych. Maciejowski wszystkie swe zbiory oddawał mu do rozporządzenia, posiadając zaś jeden w Warszawie prawo sprowadzania książek z zagranicy, ułatwiał otrzymywanie ich za swem pośrednictwem: Józef Łukaszewicz podnosił, że dozór nad archiwami polskimi godnie spoczywać może jedynie w rękach Lelewela lub Bartoszewicza; Szajnocha przesyłając mu swój „Lechicki początek Polski”, pisał: „Nie wiem, czy na ziemi polskiej znajdzie się kto, o którego zdanie więcej bym dbał, aniżeli o Twoje”.

Michał Grabowski, popierał Bartoszewicza wspólnie z profesorem Przysiańskim i rektorem Mianowskim, jako jedyne go kandydata na katedrę dziejów polskich w utworzonej przez Wielopolskiego Szkole Głównej. Ze śmiercią wszakże Grabowskiego w listopadzie r. 1863 sprawa nominacji została uzależniona od Wielopolskiego, który dla Bartoszewicza był usposobiony nieprzyjaźnie. Słynny proces o dobra sulgostowskie i fundację im. Świdzińskich, w którym B., jako jeden z wykonawców testamentu Świdzińskiego, występował przeciw margrabiemu, był powodem tej niechęci.

W r. 1866, po utracie posady nauczycielskiej, myślał Bartoszewicz o przeniesieniu się do Lwowa, ażeby swobodnie pracować i ogłaszać owoce wieloletnich badań. Zamiar ten nie dał się jednak uskuteczyć. Gdy następnie w Krakowie opróżniła się katedra historii polskiej po Antonim Walewskim, zachęcony przez Józefa Muezkowskiego, w czerwcu 1869 r. zgłosił B. swą kandydaturę. „Szczęśliwym będę, — pisał — jeżeli spełnią się jedyne marzenia całego mego życia, szczęśliwszym daleko, jeżeli Uniwersytet łaskawie ucho na moje prośby skłoniwszy, odda mi tem samem świadectwo, że dotychczasowe prace moje na jaki wzgląd u Niego zasłużyły. To pewna, że sercem i duszą ukochanej nauce oddany, i resztę mego zapatu jej wyłącznie poświęcę”. Zgłoszenie to nie znalazło poparcia. Zwyciężył drugi kandydat: Józef Szujski.

Od początku r. 1870 zaczął B. zapadać na zdrowiu. Wyczerpany nadmierną pracą organizm nie mógł powstrzymać postępów chronicznej choroby; zgon nastąpił w Warszawie dnia 5 list. r. 1870. Okazały pogrzeb i nagrobek w kościele wizytek (kościół młodzieży gimnazjalnej przed r. 1864) były wyrazem uznania zasług historyka i patrioty zarazem.

Ogół pracy, dokonanej przez B., cechuje nagromadzenie olbrzymiego materiału w utkanych z faktów, źródłowych, archiwalnych przeważnie, monografiach i biografiach, których zbiór objąłby zapewne 30 tomów.

W przekonaniach swoich był szczerze religijnym. Katolicką przeszłość Polski i jej dziejowe posłannictwo podnosił zawsze bardzo żarliwie. Katolicyzm uważał za pierwiastek wiele doniosły w organizmie Rzpltej i podnosił zawsze we wszystkich wiekach znaczenie i oddziaływanie hierarchji kościelnej. Wiele też pracy poświęcał dziejom kościoła unickiego i Rusi. Badaniami nad pierwiastkowemi dziejami Polski usiłował udowodnić, że plemię polskie, niezawisłe do końca, miało za posłannictwo przechować gminowładztwo pierwotne, szerzej, niż gdzie indziej je rozwijając i tem stanąć wyżej nad ludy słowiańskie. Niezmordowany w zbieraniu szczegółów, odnoszących się do działalności osób historycznych, przygotował dla późniejszych historyków olbrzymi materiał biograficzny.

Kierunek i system jego pracy płynął z przekonania, że gmachu dziejowego nie można tam stawiać, gdzie do budowy brakuje kamieni węzłowych i cegieł, a mianowicie monografij ludzi, instytucyj, praw, sejmów, wojen, miast i t. d. W pracach swych nie poprzestawał na gromadzeniu ze źródeł czerpanych faktów, szczegółów, ale zabarwiał je gorącemi uczuciami swej duszy: narodem i katolickiem, unoszącemi go za daleko nieraz, stąd też pewien optymizm, niekiedy pewien zapal do przedmiotu, kiedy iadziej znów wyobraźnia i dążność prawowierności religijnej unosi go poza sferę krytycznego chłodu. Objasnienia krytyczne wpłata w tok narracji, obchodzi się narówni z innymi sobie współczesnymi historykami niemal bez przypisków i przytoczeń źródłowych, co uważać należy za wielką wadę jego bogatych w treść prac. W pewnem znaczeniu możnaby go zaliczyć do epigonów szkoły lelewelowskiej, pewne pokrewieństwo z nią da się stwierdzić w jego poglądach, właściwiej jednak będzie przyznać mu stanowisko odosobnione w tak rozbieżnie, tak samopas rozwijającej się naszej historjografji w okresie między r. 1831 a 1870. Prace B., mimo postęp w tej dziedzinie, nie ze swej wartości, jako zbiory materiału źródłowego, nie straciły.

## BIBLIOGRAFJA.

I. Pisma Juliana Bartoszewicza. A) Druki. a) W osobnem wydaniu: Królewicze biskupi, Żywoty czterech królów, Warszawa 1851. Panowie niemieccy na dworze Stanisława Augusta, część I. Wizerunki osob historycznych, Warszawa 1852. O pomysłach historycznych Augusta Erelowskiego, Warszawa 1852 (odb. z Bibl. Warsz.). Bezkrólowie po Janie III Sobieskim, Michała

Bizardière'a, W. maczerie z francuskiego, objaśnione przypisami, Wilno 1853. Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku. Wizerunki historycznych osób, 3 tomy, Petersburg 1853—1857. Kościoły warszawskie rzymsko-katolickie, opisane pod względem historycznym, Warszawa 1855—1857. Pogląd na stosunki Polski z Turcją i Talarami, na dzieje Tatarów, w Polsce osiadłych, na przywileje, tu im nadane, jako też wspomnienia o znakomitszych Tatarach polskich, Warszawa 1860 (o.t.b. z „Alkoranu”). Historyczne pamiątki znakomitszych rodzin i osób dawnej Polski, 2 tomy, Warszawa 1858—1860. (Jest to poprawione i uzupełnione dzieło T. Święcickiego). Codex diplomaticus Poloniae etc., tom trzeci (dalszy ciąg kodeksu Rzysszczewskiego i Muczkwskiego), Warszawa 1858. Królowie polscy, wizerunki, zebrane przez A. Lessera i objaśnione po polsku i francusku, Warszawa 1857—1860. Arcybiskupi gnieźnieńscy i prymasi, wizerunki z galerji łowickiej, objaśnione tekstem historycznym, Warszawa 1858—1865. Hetmani po'ni koronni i Wielkiego Księstwa Litewskiego, wizerunki W. Gersona, objaśnione po polsku i francusku, Warszawa 1860—1866. Historia literatury polskiej, potoczny sposobem opowiedziana, Warszawa 1861. Album malownicze Kijowa, wydane przez R. Raczyńskiego i K. de Belier z opisem statystycznym, Warszawa 1861—1863. Urywek wspomnień Józefa Rulikowskiego, wydany z obszerniejszego rękopisu (1731—1792), Warszawa 1862. Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, wojewody mińskiego (1666—1721), wydane z oryginalnego rękopisu i opatrzone przypisami, Warszawa 1862. Historia szpitala Dzieciątka Jezus, Warszawa 1870. Dzieła Juljana Bartoszewicza, wydane z rękopisu przez Kazimierza Bartoszewicza — tom I i II: Historia literatury polskiej, potoczny sposobem opowiedziana, wydanie drugie, Warszawa 1877; tom III, IV, V i VI zbioru (I, II, III i IV dzieła: Historia pierwotna Polski), Warszawa 1878—1879; tom VII zbioru: Szkice z czasów saskich, Kraków 1880; tom VIII, IX i X zbioru (I, II i III dzieła: Studja historyczne i literackie), Kraków 1880—1881; tom XI i XII zbioru (I i II dzieła: Anna Jagiellonka), Kraków 1882. — Szkice dziejów kościoła ruskiego w Polsce, Kraków, 1880. — Zamek Biały, Lwów 1881.

b) Ważniejsze rozprawy i życiorysy, zamieszczone w pismach periodycznych, z pominięciem artykułów, przedrukowanych w poświęconym wydaniu dzieł historyka, oraz objętych Encyklopedją Powszechną Orgelbranda: 1) W Bibliotece Warszawskiej — Kościół św. Andrzeja i kanoniczek w Warszawie, 1850, I i III; Michał Mniszech, marszałek wielki koronny za Stanisława Augusta, 1852; Rudawski, Historia polska od śmierci Władysława IV, rozbiór, 1855, IV; Ignacy Bohusz, sekretarz Jeneralności w konfederacji barskiej, 1858; Nowa epoka literatury historycznej polskiej, 1853, III; Pamiętniki Łosia, 1859, II; Działosz Mikofaja Hanenki, wnuka

hetmańskiego, jako materiał do dziejów Ukrainy, 1859, IV; Tablice historyczne (dostojnicy koronni i litewscy) 1860, III, 1861, II, 1863, I i IV, 1865, II i IV. 2) W Dzienniku Warszawskim — Seweryna Gołębiowskiego ustęp z przeszłości, 1851 nr. 38; Ks. Jędrzej Poniałowski, 1851 nr. 230; Nowe fakta do życiorysu Mazepy 1853, nr. 150 i 188; Pamiętniki Wydźgi, 1853, nr. 175; Wespazjan Kochowski, 1853, nr. 326; Iwo z Końskich Odrowąż, biskup krak., 1854, nr. 174; Kwestja prawa salickiego, 1854, nr. 90; Osinińskiego Al., biskupa, jeden tom listów, 1856, nr. 37; 3) w Przeglądzie Poznańskim — Rozprawa białocerkiewska, tom XXIII; Szkice dziejów kościoła ruskiego w Polsce, tom XXVI i XXVII; Podział Polski w r. 1772, tom XXXI i XXXII. 4) W Przeglądzie Lwowskim z r. 1880 — Prawodawstwo czteroletniego sejmu względem cerkwi ruskiej i Morderstwa, dokonane na unji po upadku Polski. 5) W dodatku do Czasu (krakowskiego) z 1860 roku — O historii, zainicjowanej w cesarstwie rosyjskiem, Sobory ziemskie, pan Sołowjew i Aksakow. 6) Urywki z pamiętnika i korespondencji drukował Przewodnik Naukowy i Literacki z roku 1901; Listy Juliana Bartoszewicza z Petersburga, — i Biesiada Literacka z r. 1901; Powieść o sercu dobrego człowieka (1847—49), dalsza część z lat 1842—1847 wyszła w 1912 r. w Przeglądzie Historycznym.

B) Rękopisy w posiadaniu p. Kazimierza Bartoszewicza: 1) Histogja Aleksandra Jagiellończyka, 2) Stanisław Poniałowski, kasztelan krakowski, ojciec króla Stanisława Augusta, Rys do dziejów reform politycznych XVIII w., 3) Epistolae historico-familiares Żaluskiego, przełożone częściowo w formie pamiętnika, 4) Adam Kisiel.

II. Prace o Julianie Bartoszewiczu: Gloger Zygmunt, Julian Bartoszewicz, jego żywot i prace, Kraków 1871. Tenże o B. w Albumie zasłuż. Polaków i Polek XIX w. I, 1901. Mosbach August, Serdeczna przemowa do Pana Juliana, Wrocław 1861. Piotr Chmielowski w Wielkiej Powszechnej Encyklopedji Ilustrowanej, Wójcicki w Bibliotece Warsz., 1871, I i w Kłosach, t. IV nr. 81 i 82. Wacław Szymanowski w Tygodniku Ilustr. 1870 nr. 150 i 151. Dobieszewska w Gazecie Narod., 1870. Cezary Biernacki w Gazecie Warsz., 1870. Aleksander Kraushar w Tygodniku Ilustr., 1900 nr. 44 i w Obrazach i wizerunkach historycznych Warsz., 1906. Strzelbaki-Daniłowicz w Wędrowni, 1900 nr. 46 i 47. List Lelewela do Bartoszewicza w Przeglądzie Literackim, 1891 nr. 11. Tegoroczna podróż p. Maciejowskiego i p. Bartoszewicza w Dzienniku Warsz., 1853 nr. 328. Recenzje historycznej literatury polski: Ehrenberg w Bibliotece Warsz., 1851, III; Łukaszczyk tamże, 1861, III; Tyszyński tamże, 1862, II; Bahński tamże, 1861, IV, oraz Dmochowski w Świecie Literatury Historycznej, Warszawa, 1861. Recenzje dzieł historycznych — Schmitt Henryk w Dzienniku L.

Leackim, 1858; Jarochowski w Muzeum Rutowskiego 1881 (odd. Dzieje pierwotne Polski, Kraków, 1881); Tyszyński w Bibliotece Warsz. 1856, I i 1880, II; Sowinski w Kłosach 1879, XXIV; Karłcki w Przewodniku Naukowym i Literackim, 1880.

### Szkice z czasów saskich.

Kraków 1880

Sprawa Karwińskiego, str. 88.

Przeszłość nasza prawie nietknięta, naukowo nieprzejrzana, leży przed nami. Krytyka wniknęła tu i owdzie w kraj faktów i objaśniła to i owo; pod tym względem nawet posiadamy dzieła, któremibyśmy się sprawiedliwie mogli pochlubić przed Europą. Ale up. prawo polskie w swoich rozmaitych odzieniach? Kto je badał? Kto się nad niem zastanawiał tak, jakby należało? I tutaj nauka zebrała fakta i rozpowiadała, że tak a tak było, wtedy a wtedy było, ale dlaczego było, dlaczego tak, a nie inaczej? — o tem nauka milczała i milczy. Nikt organicznie rozwoju zasad naszego prawodawstwa nie prowadził przez wieki, a notował tylko różne jego stanowiska i chwile. Znacomite bardzo dzieło Lengnich'a, prawo polityczne Królestwa Polskiego, ciekawe, zajmujące, jest tylko zbiorem suchych faktów o życiu politycznem narodu. Autor jego pojmował piękne rysy cywilizacji polskiej, na które patrzył, jako filozof-myśliciel. Pisał nawet pochwałę konfederacjom, znajdując w nich dobrą stronę, ale kiedy w samym wykładzie prawa jest nielogiczny i miesza przedmioty jedne z drugimi, tem samem rozwinać nie mógł tajemniczego sposobu, w jaki się poczynały, kształciły i rozwijały zasady publicznego prawa naszego. W nowszym dopiero czasie literatura polska zyskała dzieł kilka, w których ten i ów przedmiot ukazał się w nieznaney postaci, kiedy światło nagle nań spłynęło.

Przy głębszem też badaniu rzeczy swojskich, wiele spraw, które nas dzisiaj zgrozą przenikają albo dziwią, inaczej ukaże się oczom i poznamy wtenczas, jak często w dziejach ojczystych uwodzim się przesądami lub uprzedzeniem. Kiedy świeże były jeszcze podania narodowe, forma rządu Rzeczypospolitej i jej

objawy nikogo nie dziwiły, owszem musiały mieć coś szlachetnego i wielkiego, kiedy taką miłością ku sobie natchnęły szlachtę przez tyle wieków. W naszym przekonaniu każda zasada i myśl, która zatrzymuje się przez kilka pokoleń, godna jest zawsze szacunku, bo musi mieć w sobie jakieś żywioły dodatnie. Dzisiaj, chociaż o miedzę graniczym z naszymi wiekami średnimi, według pięknego wyrażenia się autora „Listopada“, rzadko kto z nas rozumie tę niedawno ubiegłą przeszłość, kiedy nagłem pod nami wstrząśnięciem ziemi zatamowały się narty podan narodowych. Dzisiaj popolicie na to i owo narzekają, mierząc zasadę pojęciami społecznymi, — gruba to nieświadomość. Dla człowieka nauki, który wnika w te labirynty, niema miejsca na uprzedzenia, ależ trzeba długo pracować, zanim się przyjdzie do czyściejszych wyobrażeń o przeszłości. Konfederacje np. nasze w zasadzie swojej niczem się nie różnią od mityngów angielskich, tego podobieństwa jednakże nie upatrują wcale ludzie, którzy mityngi uważają za przynależność pewnej cywilizacji, a konfederacje wyrzucają jako grzech śmiertelny dawnym Polakom. Charakter narodowy to robił, że u nas wszelki opór w rycerskim narodzie większości prawdziwej lub przysposobionej, rozwijał zaraz sztandar rycerski, kiedy w Anglii konczyło się na spokojnej propagandzie i na ligach. Zresztą późno dopiero konfederacje sprawy publiczne rozstrzygały orężem, ale już wtedy machina Rzplitej ruszała się na swoich podstawach, wśród ogólnego zepsucia i nierządu. Kokosza wojna czemuż była, jeżeli nie konfederacją? Skończyła się przecież spokojnie, jak mityng, chociaż tysiące zbrojnej szlachty brały w niej udział. Albo potwarzane tyle razy liberam veto? W zasadzie swojej płynęło to prawo z najszlachetniejszej myśli, że wszyscy obywatele polscy wszystko poświęcają dla ojczyzny, a więc, że i zgadzać się z sobą powinni we wszystkich sposobach i środkach, które za cel mają dobro ogólne. Rzeczpospolita nie przypuszczała, żeby znalazł się szlachetny, któryby się uwodził prywatą w sprawie, która kraj jego jednomyślnie obchodziła, i długo jednak żyła szlachetna tem przekonaniem. Jeden poseł mógł sprzeciwić się całemu sejmowi i zatamować słowem swoim, albo zniszczyć obrady publiczne, i prawo polskie dla tego za nim się oswiadczało, że poseł ten mógł lepiej sercem

swojem znaczeniem, poświęconem wyłącznie dla kraju, przeczuć, przewidzieć niebezpieczeństwa, jakie pewien wniosek wywoływał dla Rzplitej, od przeważnej większości obywateli, którzy wniosek popierając, mogli mimo to być w błędzie, lub którzy, uwiedzeni błędem, upląłani myślą, nie tak jasno pojmowali potrzeby Rzplitej, lubo wszystko i sami gotowi nieść jej byli na ofiarę. A takim sposobem Rzeczpospolita posunęła system reprezentacyjny do ostatnich jego konsekwencji i rządzić się chciała nie większością, ale jednomyślnością. I kto zna historję, przyzna, że różne mogły być w Rzeczypospolitej w senacie i izbie poselskiej zdania, ale mniejszość ustępowała u nas zawsze większości, młodszy zastępował, stan rycerski senatowi, i ten stan rzeczy, świadczący o wspólnej miłości ku sobie całej szlacheckiej rodziny, trwał tak długo, póki nieład nie zaczął kazić obyczajów polskich; fakt faktem, że prawa zawsze stawały u nas jednomyślnością. Przykładów podobnych zgody nie pokaże żadne państwo na świecie. Pierwszy dopiero Siciński użył prywaty dla załamowania sejmu, ale wtenczas za Jana Kazimierza, wśród rozprzęgłej Rzplitej, kiedy w osobnych grupach obok siebie stawali katolicy, dysydenci, kościół grecki, szlachta i miasta, różne narodowości i wiary, duch obywatelski był jeszcze tak silny, że krok ten Sicińskiego wszyscy napiętnowali zgrozą i przekleństwem. Złe rozwijało się piorunem; za Korybuta zrywanie sejmów już nie razi, za Jana III zupełna swawola, za Sasów już paraliżem ścięło naród. Nie zasada więc, ale jej nadużycie było zgubnem dla kraju. Liberum veto złem lekarstwem, trucizną być zaczęło dopiero za Jana Kazimierza. Od swojego z początku aż do tej krytycznej chwili, wyrażając się językiem szlachty, owo liberum veto było prawdziwą źrenicą wolności. A jednak tak mało znamy stosunki naszych przodków, że oto niedawno jeszcze zaśluzony wielce literaturze Fel. Bentkowski, jak zmory nocnej, bał się liberum veto, i tłumacząc swoją pisownię, nie chciał, żeby go o miłość dla tego prawa posądzono <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> W przedmowie do wydania dzieła Łukasza Gołębiowskiego o panowaniu królów jagiellońskiego domu. Warszawa 1846 r.

## Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku.

Wizerunki historycznych osób...

Tom II. Petersburg 1856.

Anna Orzelska, (Pani Błękitnego pałacu) str. 263.

Po Sobieskiego śmierci na tronie polskim zasiadł król młody i piękny, olbrzymiej siły, namiętnego serca. August Moeny lubił wystawność dworu, zabawy rycerskie i miłość dla kobiet. Zalotny, hojny, bogaty, zaćmił blaskiem swoim przepych i świetność, jaką się inne otaczały korony.

I nikt w Polsce tak jeszcze nie kochał, jak król August Moeny. On umiał tak wybrać stosowną chwilę, żeby się podobać, z takim wdziękiem potrafił roztoczyć czary uludy, tak po rycersku rozumiał piękność, że w samej rzeczy trudno się było oprzeć nie ponęcie, a miljonom tych ponęt, coraz więcej namiętnych, coraz więcej tęsknych. Szalały też za Augustem niewiasty polskie. Niejedna głęboko w sercu ukrywała miłość, jakby ją chciała osłonić przed sobą, przed ludźmi, przed całym światem, a jednak wkońcu zadrziała struna tajemna i wydała odgłos, który August zrozumiał. Wtenczas już przywiązanie łamało wszelkie światowe zapory. I rzecz dziwna, — miłość jedna w Augustcie ustępowała prędko drugiej, ale kobiety walczyły z sobą o jego serce i nawzajem prześladowały się z nienawiścią, z całym ogniem szaleństwa. On kochać przestał, a ich westchnienia jeszcze goniły za niewiernym.

Dawniej w Polsce małżeństwa jeszcze były spokojne, a jeżeli zdarzyła się kiedy jaka niewierność, czy i żal długi zamywały płamę, bo niewinność i doświadczenie spoglądały z pogardą na upadłą caotę. W początkach wieku XVIII powoli naknęły te skrupuły. Ziarno, rzucone na ziemię, wschodzi zaczęło. Domy starodawnych zwyczajów nie otwarły podwojów jeszcze dla zarazy, ale kobiety nasze zaczęły powoli przywykać do zbyteków, przechodzących stan, i bawić się z mężczyznami w miłość niepozwoloną. Już nie ukrywały się ze swoim uczuciem w komnatach rodzicielskich, a owszem wychodziły na świat, trefiły włosy mistrzynie, na usta przywoływały uśmiech i w pogardę dumy srożyły swoje oblicze. Nie płakały, jak niegdyś Jadwiga, kiedy jaki Gniewosz z Dalewic domyslał się po nich



błądu, a owszem chlubić się już zaczęły, że w wieku nawet dojrzałszym potrafią czarować swoją pięknnością i obudzić dawne rycerskie wspomnienia. A jednak zaraza ta dotknęła pewnie, tylko wyższe warstwy, a nie tknęła niższych słoju społeczeństwa. A nawet i tam daleko jeszcze było do cynizmu Francji. W Wersalu panie Pompadour, Dubarry w rękach swoich trzywały losy całego narodu. U nas kobiety, oswojone z wyobrażeniami francuskiej i niemieckiej szkoły, chociaż już starły z siebie piętno skromności dziewiczej i niewieściej, przecież nie popisywały się jeszcze ze swoim wpływem. Jeżeli go rozpościerały, to tylko chyba w komnatach, a nie pokazywały narodowi twarzy pięknej, chociaż często zalanej łzami.

We Francji był bezwstyd cynizmu, — a w naszym w. XVIII, w jego początkach, za Augusta Mocnego, panowała, że tak się oryginalnie wyrazim, skromność bezwstydu.

## CYGANERJA WARSZAWSKA. — JÓZEF BOHDAN DZIEKOŃSKI.

(1815 - 1855.)

Po burzy listopadowej i upadku powstania nastąpiła w Królestwie cisza i zanik ruchu umysłowego; po chwilach zapału i porywów nastąpiły długie lata przygnębienia, apacji i zniechęcenia. Zamiast kilkudziesięciu czasopism, dyszących życiem gorączkowym i temperamentem, które wychodziły w r. 1831 w Warszawie, w ciągu dziesięciolecia 1831—1840 węgietowało zaledwie kilka, jałowych pod względem treści, pozbawionych głosu wolnego, pism; i nic dziwnego, najwybitniejsze umysły, najdzielniejsze jednostki, cała niemal młodzież, pełna energii i ducha inicjatywy, wyemigrowała zagranicę, z drugiej zaś strony surowa cenzura Humiata wszelkie przejawy wolnej myśli. Życie umysłowe w kraju, t. j. w Królestwie, było w letargu. Dopiero ok. r. 1841 zaczęło się ono budzić w Warszawie. W r. 1841 powstaje poważny miesięcznik, o charakterze naukowym, pod względem kierunku umiarkowanie postępowy, i staje się jakby kamieniem węgielnym czasopiśmiennictwa warszawskiego, które odtąd żywiej zaczyna się rozwijać. Pismo to — „Biblioteka Warszawska” nie mogło jednak zadowonić młodego pokolenia, które właśnie w tym czasie dojrzało i szukało ujścia dla porywów swego ducha. I oto młodzież ta próbuje założyć własny organ: staje się nim najprzód „Przegląd Warszawski” (1840—41), a następnie „Nadwiślanin” (1841), ale pisma te krótko trwały. Wreszcie, dzięki poparciu materialnemu jednego z tej młodości, Edwarda Dembowskiego, powstaje pismo, które, znalazłszy grunt pod sobą, skupia płody ducha młodych pisarzy ówczesnych i przeciwstawia się „Bibliotece Warszawskiej”, jako organ postępowy i demokratyczny, który nie tylko wyznawał idee postępowe, ale i walczył dla nich postanawia. Jest to „Przegląd Naukowy”, założony przez Edw. Dembowskiego, a redagowany przez Hipolita Skimborowicza; wychodził on przez lat 6 bez przerwy (1842—48) i w ruchu umysłowym dziesięciolecia 1841—50 w Warszawie zaważył немало.

Młodzi pisarze, którzy wystąpili w Warszawie na pole literatury ojęzycznej w tym okresie czasu, skupiali się w różne grona i kółka. Część zapalcenców tworzyła grupę t. zw. *cyganów* czyli *cyganerję warszawską* (pokrewną *bohemji* paryskiej): byli to przeważnie poeci i malarze, pogardzający t. zw. salonowością i konwenansami i przeciwstawiający się jaskrawo „filistrom” czyli t. zw. dziś „burżuom”. Należeli do niej Seweryn Filleborn, redaktor „Nadwiślanina”, Roman Zmorski, Włodzimierz Wolski, Józef Bohdan Dziekoński, Seweryn Zenon Sierpiński, Aleksander Niewiarowski, Józef Miniszewski, Wacław Szymanowski, Józef Kenig (późniejszy głośny publicysta) i kilku innych. Przewodził cyganom zrazu Filleborn, lecz niebawem przewodzą ich stał się J. B. Dziekoński, najgłębszy, jak się zdaje, wśród cyganerji warszawskiej umysł.

Druga grupa czyli kółko t. zw. *entuzjastów* i *entuzjastek*, z Narcyzą Żmichowską na czele, natury wykwintniejsze i podnioślejsze, zbierała się w redakcji „Przeglądu Naukowego”, w domu Hipolitowstwa Skimborowiczów. Składali to grono, oprócz entuzjastek, Edward Dembowski, młody filozof, najzapalniejszy i najradykałniejszy demokrat z całego kółka, założyciel i główny przez dwa pierwsze lata współpracownik „Przeglądu Naukowego”, duchowy ojciec Dembowskiego, Henryk Kamieński, późniejszy autor „Prawd żywotnych”, które tyle krwi napuły Zygmuntovi Krasieńskiemu (Dembowski i Kamieński należeli do tajnego „Związku Narodu Polskiego”), Jan Majorkiewicz, filozof, Karol Bałiński, Julian Bartoszewicz, Feliks Jezierski i kilku innych. Skupili się oni nieco później od cyganów. Niektórych entuzjastów i entuzjastki świetnie scharakteryzowała Żmichowska we „Wstępnym obrazku” do „Poganki”. W lat kilkadziesiąt dopiero po Gabryelli, wzorując się, jak się zdaje, na jej „Wstępnym obrazku”, spróbował odtworzyć duchowe oblicze „cyganerji warszawskiej” jeden z jej niegdyś grona, Aleksander Niewiarowski (Półkozie), również w „obrazku”, p. tyt. „Cyganerja Warszawska” (1881).

W obu tych charakterystykach, skreślonych w formie powieściowej, należy oddzielić zmyślenie od prawdy (jak w Goethego „Dichtung und Wahrheit”), szczególnie w obrazku Półkozieca, powstałym, jakby rzekł Słowacki, z imaginaacji i sennego przypomnienia

Inni pisarze tego pokolenia (t. j. urodzeni ok. 1820 r.), którzy w tem samym dziesięcioleciu wystąpili w Warszawie po raz pierwszy w literaturze, bliżej się nie łączyli ani z jedną, ani z drugą grupą, jak np. rówieśnik Dziekońskiego, Antoni Czajkowski, Ludwik i Cyprjan Norwidowie, Edmund Chojecki; lub też, stroniąc od ożywionych zebrań, trzymali się od nich zdaleka, w sobie się zamykając, jak np. Lenartowicz, jak młodo zmarły Teodozjusz Krzy-

wicki, jak Felicjan Faleński, w tem dziesięcioleciu (przed r. 1851) nie występujący jeszcze publicznie.

Wszystkich tych młodych poetów i pisarzy, skupiających się w kółka i idących samotnie, ożywiały te same mniej więcej aspiracje i te same ideały, wszyscy byli demokratami z przekonani społecznych, ludowcami z upodobań estetycznych, rozmiłowani w ludzie i jego twórczości, wszyscy byli romantykami, drugim pokoleniem romantyków, ale nie epigonami romantyzmu, którzy wystąpią w następnem dziesięcioleciu (ok. 1860). Po paru latach przerzedzają się w Warszawie szeregi tej zapalanej młodzieży: umiera Sierpiński w r. 1843, w parę lat po nim Filleborn (ok. 1847); w 1843—44 wyjeżdżają zagranicę Zmorski, Cyprjan Norwid, Edu. Chojecki; w tym samym czasie (1843—44) udają się w Poznańskie spiskowcy i rewolucjoniści, jak Dembowski i Kamiński; za nimi podąża konspiratorka również, gorąca patrijotka i działaczka, Żmichowska; niekłórczy wkrótce wracają i zostają uwięzieni (Kamiński, a w kilka lat po nim Żmichowska); Dembowski ginie w r. 1846 pod Krakowem; zagrożeni aresztowaniem uciekają za kordon Dziekoński w r. 1847, Baliński i Lenartowicz z Karolem Brzozowskim w r. 1848.

Cyganie nie cierpieli warstw stylizowanych i salonowych i naprzekór im lekceważyli formy towarzyskie i konwenanse, dopuszczając się nieraz dziwactw i ekscentrycznych wyrytków; w ten sposób narazie, w ciężkich warunkach politycznych ówczesnych, wyładowywali zasoby przyrodzonej tężyzny i energii. — chętnie też gromadzili się po knajpach i garkuchniach, gdzie mogli puścić wodze swym bujnym temperamentom, bez skrępowania. Gdy się szeregi ich przerzedziły, zbierali się w domu Wilkońskiego, nieocenionego autora „Ramotek”, i żony jego, Pauliny z Łaucezow, autorki licznych powieści, przybrawszy nazwę „cechu głupców”, cechowi prezydował sam gospodarz, a zapisali się do niego nie tylko „cyganie”, — i Wojcicki, i Antoni Czajkowski, i Lenartowicz; zebrania te naturalnie musiały już mieć inny charakter, niż dawniejsze knajpiane. Wilkoński, który, dopoki był współpracownikiem „Biblioteki Warszawskiej”, nie lubił cyganów, napadających ostro na to pismo, w którym on ogłaszał swoje „ramoty”, w r. 1846 rozpoczął wydawać swój „Dzwon Literacki”, pozyskawszy współpracownictwo Dziekońskiego, Wolskiego, Lenartowicza i innych. Cyganie zbierali się też chętnie w gościnnym domu p. p. Morikowskich, w Rybieniu pod Wyszkiem, nad Bugiem, gdzie nie byli w niczem krępowani.

Cyganeria warszawska składała się przeważnie z ludzi uzdo-  
nionych, ale wykołojonych, z dyletantów, bez uniwersyteckiego  
wykształcenia, nie było bowiem przez lat 30 po powstaniu usta-  
padowem ani jednego wyższego zakładu naukowego w Królestwie.  
Jeśli jnym wyjątkiem wśród tych wykołojenców był przywódca ich

Dziekoński, wychowaniec uniwersytetów niemieckich. Ant Czajkowski, rówieśnik Dziekońskiego, nie należący zresztą do właściwej cyganerii, który się kształcił w uniwersytecie krakowskim, był przybyszem z za kordonu.

Jan Bohdan Dziekoński urodził się w r. 1815 w Warszawie; syn zasłużonego pedagoga Tomasza Dziekońskiego, był on o trzy lata młodszy od Zygmunta Krasieńskiego, którego ojciec jego uczył w liceum literatury polskiej. Matką była Tekla z Błociszewskich. Naukę szkolną odbył J. B. Dziekoński w Warszawie, uniwersyteckie zaś wykształcenie zdobył w Dorpacie (1837-39) i w Królewcu, gdzie studiował głównie nauki lekarskie; w Moskwie otrzymał rosyjski dyplom medycyny, ale nigdy nie praktykował; uniwersytecom niemieckim zawdzięczał Dziekoński nie tylko przyrodnicze, ale i wykształcenie swe filozoficzne: z nauk przyrodniczych umiłowal sobie szczególnie chemję.

Ukończywszy studia uniwersyteckie w r. 1840, osiadł w swem rodzinnem mieście, od czasu do czasu porzucając bruk miejski, aby się schronić w Ustroniu pod Warszawą, majątności swych rodziców. Zrażony fałszem, panującym w życiu towarzyskiem salonów warszawskich, zerwał Dziekoński z niem zupełnie i przyłączył się do kółka cyganów z Fillebornem na czele, stroniącego również od konwencjonalnego życia salonowego. „Ta garstka młodzieży, pracująca myślą i duchem, idąca w przyszłość bez żadnego kierunku, pragnąca coś działać, bez świadomości środków, wiodących do celu, bez samopoznania sił swoich i bez spójni z szerszemi społeczeństwami warstwami, wydała mu się“ powiada jeden z tej garstki (Niewiarowski), „gronem dzieci osieroconych świeżo, lub gromadką marzycieli tylko... Żal mu się zrobiło tych sił młodych, marnujących się w życiu“. Postanowił skierować je ku jakiemuś wyraźnemu celowi, dowodząc, że pisać wiersze lub malować obrazy dla samej sztuki tylko, to zabawki; wezwał więc tych młodzieńców, aby się odrodzili i wzięli się do pracy wśród ludu i dla ludu. I oto rozegrała się podobno, podczas pierwszego zetknięcia się Dziekońskiego z cyganerją, scena wielce charakterystyczna, malująca doskonale nastrój ówczesny wśród młodzieży: Dziekoński w uniesieniu postąpił podobnie, jak jeden z bohaterów jego opowiadań (zob. opow. „Pająk“) — poszarpał na sobie strój salonowy, frak, wstrętny cyganom symbol filisterstwa, i ubierał się odtąd zawsze bardzo skromnie. „Żył też, jak powiada pamiętnikarz, wyłącznie prawie z klasą uboższych rzemieślników, gdzie pomiędzy młodzieżą zwłaszcza posiadał mir i wpływ ogromny“. Dziekoński zawiadnął też odrazu umysłami „cyganów“ i wpłynął na kierunek ich twórczości. Mniemanie, że to on przeszczepił na grunt warszawski z Dorpatu obyczaje burszowskie, wprowadzając je do życia cyganerii, nie zdaje się być uzasadnione, wobec faktu, że w jednym ze swoich szkiców ówczesnych burszerę dorpacką i jej zwyczaje scharakteryzował

bardzo niepochlebnie (zob. „Dorpat” w „Dzwonie Literackim 1846 i w „Spomieniach i marzeniach Bogdańskiego”); był zresztą Dziekoński umysłem głębszym, poważnym, skłonny do mistycyzmu.

Utwory swoje Dziekoński pomieszczał zrazu w „Bibliotece Warszawskiej” (od 1841 r.) i w „Nadwiślaninie” (1841); w r. 1843 wydał wraz z Zmorskim książkę zbiorową (noworocznik) p. t. „Jaskółka”, w którym zebrali obaj utwory wierszem i prozą przeważnie z kółka cyganów. Edw. Dembowski ocenił bardzo surowo „Jaskółkę”, choć sam dał do niej rozprawkę, a nawet ofiarował fundusz na jej wydanie. Główny zarzut, jaki uczynił tej książce, był, że zbiór to bezbarwny prawe, że „dążenia jednego” w niej nie widać, to ma znaczyć kierunku jednolitego. Nie oszczędza i samego Dziekońskiego, który jest za mało dla niego postępowy, że „od czasu kiedy ramotę pełną wstecznych dążeń przełożył (zapewne ma tu na myśli Dembowski przekład z franc. dziełka Roselly’ego p. t. „Chrystus w obliczu wieku”, Warsz. 1842), zrodził w sercach naszych bolesną wątpliwość... Dziekoński „coraz dalej brnie w kał wsteczności, dziś już przez wszystkie myślących wzgardzonej i wyszydzonej...”, i mając na myśli fantastyczną powiastkę Dziekońskiego, umieszczoną w „Jaskółce”. Dembowski wyraża żal, że „takimi bezsensownymi twórcami” marnuje swój talent („Przegląd Naukowy”, 1843, III). Dembowski przesadzał nieraz w swych ujemnych ocenach, o ile dopatrywał się w utworze jakim wstecznego, to zaczął niedość radykalnego dążenia.

W powiastkach swych i obrazkach fantastycznych (zaczął je pisać jeszcze przed r. 1840), w których wzorował się na podobnych utworach T. A. Hoffmana, Dziekoński wyraził najdobitniej hasła i ideje, przyświecające cyganerii, dążenia i aspiracje całego grona młodzieży, któremu przewodniczył. (Na szczególną uwagę zasługują „Wyzwolenie zapalena” i „Pająk”). Zebrał je z czasopiśm i drukiem ogłosił w dwu tomikach A. Wilkoński, serdeczny przyjaciel Dziekońskiego, już po jego wyjeździe z Warszawy, p. t. „Spomnienia i marzenia Bogdańskiego” (1848). Żegnając się niejako z towarzyszami, pisał we wstępie do zbioru Dziekoński: „Może niejedno z rozrzuczonych w następnych kartkach muzeów lub myśli, dobrzy moi koledzy! obudzi w was spomnienie dawno w przeszłości pogrzebanej chwili, spomnienie dążeń i nadziei młodzieńczych. A któż spomnie takich nie wita przyjaźnie?.. Chcąc je więc tylko uważać jakby duchowe odwiedziny i przypomnienie, że dla was zawsze niezmiennym pozostaje pragnę”. W Wilkońskiego „Dzwonie Literackim” (1846—47) umieszcil Dziekoński, oprócz paru obrazków, szereg artykułów krytycznych. Najdogodnym utworem Dziekońskiego jest powieść, na tle historycznem osnuta a mistycyzmem prześląkolega p. t. „Sędziwoj” (1845).

W 1847 opuścił Dziekoński Warszawę i znalazł się we Francji. W Paryżu zapoznał się z Mickiewiczem; został wyznawcą

doktryny Towiańskiego. W r. 1848 zaczął się do legjonu, utworzonego we Włoszech przez Mickiewicza, a walczącego z Austriakami. Następnie udał się w Badenskie, a stąd do Szwajcarii; tu zarabiał na życie porządkami jako rytownik, poczęści jako malarz jarmarczny. Zmarł w Paryżu, w szpitalu Beaujon, na suchoty, d. 3 lipca 1855 r. Nad grobem jego przemówił jen. Dembiński; spoczął na cmentarzu Montmartre.

### BIBLIOGRAFJA.

A. Pisma Dziekońskiego: Powiastki i obrazki Dziekońskiego, drukowane poprzednio w Bibliotece Warszawskiej (1841—43), w Nadwislaniunie (r. 1841), w Jaskółce (1843), w Snopku Nadwislanskim (1845) i w Dzwonie Literackim (1846), wyszły zebrane p. t. „Spomnienia i marzenia Bogdańskiego. Zebrał i drukiem ogłosił Au. Wi.” [t. j. August Wilkoński], 2 tomiki, Warszawa, 1848. (Zawierają: „Siła woli”, „Trupia głowa na biesiadzie”, „Pająk, urywki z listów młodego”, „Ogłoszenie w gazetach”, „Piosuka, fantazja”, „Worek, gawędka z podań ludu”, „Wyzwolenie zapaleńca”, „Moja fajka, marzenie”, „Władysław, niepodobne do prawdy, a jednak prawdziwe zdarzenie”, „Dorpat”). — „Sędziwój”, 3 t. Warszawa, 1845. Nowe wyd. Warsz., 1907, 3 t. w jednym (Dod. do Tyg. Ilustr.) — W czasopismach drukował nadto następujące utwory i artykuły: „Łysa Góra, wspomnienie z wędrówek po kraju”, „Okiennik, wspomnienie z wędrówki po kraju” („Jaskółka” 1843); „Uwagi nad pochwałą poematu „Dzieciątko Jezus” ks. Holiwińskiego, umieszczoną przez J. I. Kraszewskiego w poszybie Biblioteki Warszawskiej za miesiąc lipiec 1846 r.” (w „Dzwonie Literackim” 1846); recenzje powieści: „Spekulanta” Korzeniowskiego, „Pamiętników Nieznajomego” i „Zygmuntowskich czasów” Kraszewskiego i „Kataleptyka” Szyrmera (tamże); „Kilka słów o medycynie hermetycznej” (w Przeglądzie Naukowym 1842), „Gawęda o literaturze i niektórych innych rzeczach (tamże 1843). — Przekłady: „Zaśnięcie księżycy”, Jana Pawła Rychtera (Bibl. Warsz. 1841, III); „Zbrodniarz przez stracony honor”, powieść prawdziwa Fryd. Szyllera (Bibl. Warsz. 1845, IV); osobno: Roselly de Lorques A. Fr.: „Chrystus w obliczu wieku, czyli Nowe świadectwo nauk na obronę Chrystjanizmu. Z franc. przełożył J. B. Dziekoński, Warszawa 1842. — List Dziekońskiego do Mickiewicza, z r. 1848, z Paryża w „Korespond. Mickiewicza” t. IV; wyjątki z innych listów w Wł. Mickiewicza „Żywocie Ad. Mick. IV”; 2 listy z r. 1855 do Pauliny Wilkońskiej w jej „Moich wspomnieniach o życiu towarzyskiem w Warszawie”; list do Mickiewicza z r. 1848, urywek z dziennika z r. 1848 i odezwa — w aneksach do t. III Szpotańskiego „Adam Mickiewicz i jego epoka”. (1923).

B. O Dziekońskim pisali: P. Wilkońska: Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem w Warszawie. Poznań 1871; nowe

wyd. w Bibl. Dzieł Wybor. Warsz., 1907. — Chmielowski w W. Enc. Powsz. Ilustr. i w Hist. liter. pol. V, 141—144. — Półkozie (Al. Niewiarowski): Cyganerja warszawska (Kur. Warsz. 1881, listop. grudz. i 1882, stycz.) — Marrené: J. B. Dziekoński. („Dodatek Miesięczny“ do Przegl. Tygodn. 1889, III i „Świat“ (krakow.) 1894; też w jej książce p. t. „Cyganerja warszawska“, Warsz. 1905 (Bibl. Dzieł Wybor.). — Zdziechowski: Byron i jego wiek, II. Kraków 1897. — Wł. Mickiewicz: Żywot Ad. Mickiewicza IV. — Z. Feliński: Pamiętniki. Kraków 1897.

O Cyganerji warszawskiej pisali:

A. Półkozie, p. wyżej. — Marrené, p. wyżej. — K. Witte: Cyganerja warszawska i Teofil Lenartowicz (Tyg. Ilustr. 1904, II). — Gomulicki: Cygan. warsz. (Wyjaśnienia i przyczynki) Goniec Poranny 1905, nr. 273. — Tenże: Cyg. Warsz. Bajki o niej i prawda. (Tyg. Ilustr. 1911, nr. 42—43). — Al. Półkozie (Niewiarowski) w artykułach o Wolskim (Słowo 1882, nr. 32—38), Lenartowiczu (Słowo 1822, nr. 172—177), Zmorskim (Kłosa 1885), Ludwiku Norwidzie (Echo 1882, 17 stycz.), Cypr. Norwidzie (Wiek 1884 i Kłosa 1886, II). — Sfinx (Skimborowicz): Gabryella i Entuzjastki (Bluszcz 1880). — Wilkońska, p. wyżej. — Bartoszewicz w hist. liter. pol. II. — Faleński w Przedmowie do „Pism Teodozjusza Krzywickiego (Warsz. 1887). — Chmielowski w Historji liter. pol. V, 132—152. — A. Pług: Fi leborn Seweryn (W. Enc. powsz. Ilustr.) — Zmorski: Wspomnienie Seweryna Zenona Sierpińskiego (Tyg. Literacki 1844). — Skimborowicz: Słów kilka po pogrzebie S. Z. Sierpińskiego (Orędownik Nauk, 1843). — Stecka: Edw. Dembowski. Lwów 1911. — Cz. Jankowski: Józef Kenig (w jego „Na marginesie literatury“, Warszaw. 1906).

„Cyganerja Warszawska“, sztuka Adolfa Nowaczyńskiego (1911) wraz z „Parergą do Cyganerji Warszawskiej“ („Świat, 1911, nr. 45) nie jest charakterystyką, z zasadniczych rysów charakteru tej grupy pisarzy naszych wysnutą, lecz karykaturą.

## Pająk.

(1841)

Urywki z listów młodego artysty.

(„Spomnienia i marzenia Bogdanskiego“ w Warszawie, 1848.)

A pfe! c'est du  
mauvais genre.

I ja, gdy wspomnę lękam się,  
a wstrząsa drżenie ciało moje.

Księg. Job. Rozd. XXI w. 6.

Warszawa d. 7 lipca 18...

(Tom I, str. 93—103).

.. Jak Ci wiadomo, nie miałem u żadnego przyjaciela,  
o co nie łatwo każdemu, tem trudniej miłe z dziwaactwami



mojemi; ale co szczególniejsza, że przez cały ten paromiesięczny czas nie znalazłem nikogo, z kimbym mógł szczerze dosyta się nagadać, choćby tylko dla przypomnienia dawnych naszych gawędek. Warszawa okropnie mię nudzi. Wszystko mi tu wydaje się tak zimne, sztywne i bezduszne, iż w czasie upałów dreszcz gotów przejąć serce, gdybym je najaw wyniósł, gdybym je, jak ogrodnicy swe rośliny, nie ochraniał przed powiewem tutejszego modnego świata. Sam nie chcę sobie wierzyć, czy to jest toż samo miasto, którem po 5-letniej nieobecności na nowo powitał. Miałbym się dotyla zmienić, iż co dawniej uwielbienie, dziś tylko ekliwość sprowadza? Zaczynam wierzyć, iż oprócz własnej woli jest druga, jakby odwrotna strona medalu człowieka, bodaj czy nie ważniejsza. Tak mi dziś jakieś tęskne uczucie całe piersi rozpiera, tak namiętnie wzdycham za tą balsamiczną pociechą Twych wyrazów, iż pokonawszy wstręt do bazgrania, co fala kałamarza na pióro przyniesie, rzucę Ci do wspólnego przyjacielskiego spożycia, chociaż na odpowiedź tak długo — długo muszę czekać. A naprzód opowiem Ci jeden ustęp z terażniejszych wypadków dni moich, który, nie wiem dlaczego, co chwila mi staje przed pamięcią — miałożby to być przeczcucie? Kilka dni temu odbieram bilet, zapraszający do pani baronowej.\*\*  
Znają mię tam tylko z rekomendacyjnego listu; a jak Ci wiadomo, polecony byłem z dobrej strony, to jest: jako *un jeune homme bien élevé*, czyli człowiek, nie wychodzący z granic tłumy, grzeczny, przyzwoicie ubrany, nie powstający na modę, mający zdolności umysłowych właśnie tyle, ile potrzeba do zabaw wieczornych, a choćby trochę mniej, to nic nie szkodzi, byle nic, ani na jedną, ani na drugą stronę nie raziło, bo wszelkie odznaczenie to psuje równowagę pięknego parteru kwiatków salonowych.

Pani baronowa, dama nie pierwszej młodości, zachowała jeszcze ślady wdzięków, które jej wiele dodają uroku, właściwego warszawskim gospodyniom zabaw wieczornych. Zbiera się u niej modna młodzież, niedobitki wyższego tonu, a mianowicie artyści i literaci. Przyszedłem za wcześnie, za ledwo było osób kilka, prawie sami domowi, znajomy tylko z gospodynią, nie wiedziałem, co z sobą robić, przedstawiono

mię jednemu, drugiej, trzeciemu, czwartej, klaniałem się rumieniąc, nie mogąc ani jednego wyrazu znaleźć... Bo proszę Cię, odpowiedz mi głośno w dzień, bez zarumienienia się lub śmiechu, gdy kto poważnie odzywa się: „Bardzo mi miło, lub przyjemnie, poznać W Pana“ i t. p., resztę patrz w gramatyce Meidingera. I gdy podobne rozmowy toczą się godzin kilka!

Siadłem w kącie i patrzałem. Rozmawiano: po francusku. Śpiewano: po włosku. Tańczono: po niemiecku. Jedzono kolację: po angielsku; ja milczałem: po polsku. Wreszcie zaczęło się widowisko: wystąpił na środek straszny, z wąsami i brodą, i długą czupryną poeta i deklamował. Daruj, że nie pamiętam o czem, wiem tylko, iż chodził do nieba, rozmawiał z Panem Bogiem, a potem, zjadłszy kawałek chleba z masłem, wstąpił do piekła i damom zaręczał, że tam nie tak źle, jak sobie ludzie wystawiają. Potem drugi błady z podsiniałymi oczami poeta zaklinał się, iż lwu paszczę rezedrzeć jest w stanie, iż gwiazdami jako gałkami rzucać porafi, później znowu jakieś dziecko deklamowało wiersze, nie swoje, niby dla doświadczenia braci literatów i t. p. Damy dziękowały za zabawę głośno, z uśmiechem, mężczyźni sypali estetyczne pochwały, oklaski zewsząd brzmiały, poeci, tocząc oczy dokoła, spoglądali po sobie, potrząsali grzywami, poprawiali czubów, zapewne aby laury nie pospadały, a mnie już brakło cierpliwości; cierpliwości, jakiej zapas obfity na długie dni powszedniego życia byłby wystarczył. Tchu mi nie stało, wybiegłem, choć dopiero była godzina 10. Uf! jak cudem wyleczony astmatyk pełnemi piersiami zaczerpułem wieczornego powietrza. Już lud wracał ze spacerów, tłumy minęły, rzadzi przechodnie i dniowe światło już zaszło, tylko jeszcze złote krzyże i wierzch kościoła Aleksandra rumieniły się odbiciem wysoko czerwieniących obłoków. Czarne aleje brzmiały jeszcze czasem powozami, pragnąłem spokoju, ciszy, chciałem uciec od zabaw i biegłem ulicą Mokotowską, która, że był dzień powszedni, jako bezludna ku sobie mię wabiła. Za mną tylko nucił coraz dalszy głuchy gwar mrowiska miasta, coraz rzadziej warkną koła na dalekiej ulicy i znow cicho — tylko chyba kilka nut przechodzącej katarynki doleci. A nade mną srod ulicznych murów, jak rzeką płyną fale błękitu i chmury

jak duchy złego, dręczące w dzień ludzi, uciekają na noc z miasta i wielka odwieczna iluminacja mirjadami gwiazd zapalała się na pyszną uroczystość nocy. Gdym spojrzał w górę i odkrył głowę, cały żar i niechęć mego życia buchnęły mi do twarzy, jakby duch po promieniach wzroku ulecieć miał w przestrzeń, do swej rodzinnej kolebki, a tu tylko znudzone kroki tak leniwo śród pyłu mię niosty. Jeszcze jedna iskra woli, a zdawało mi się, iż wlecę do nieskończoności!.. tak lekko, tak chętniebym się wyrwał z objęcia ziemi, — aż spojrzę po sobie na ten strój balowy i na nowo całe utrapienie, cała nizeziemność brudu i błota ziemi z szatańskim szyderstwem przed oczy mi wystąpiła; czułem w tej chwili męczarnie dzikiego orła, któremuby skrzydła obcięto i na zabawkę rzucono dzieciom. O wierz, kochany! w tej chwili jakaś wściekłość, szal mi nie opanował, gotówbym rzucić się w sam nurt Wisły, gdyby pod stopami płynęła, gotówbym tarzać się śród błota i pyłu, byle sobie z przed oczu, z przed duszy strącić siebie i te obmierzłe cechy mody bezduszej, sztywnej salonowości! — białe rękawiczki w kawałki poszarpałem... Oh przekłęcie! stokroć przekłęcie, kto w takich chwilach nie ma przyjaciela, nie ma nikogo przy sobie, kto by go przyjął i ukoił w swoim objęciu! Kto zamiast społeczenia spotyka wzrok ludzi porządných, ludzi zajętych spekulacją i zowiących donkiszoterją każdą iskrę przepelnionej miary czucia! Pojmiesz więc łatwo, gdy w najwścieklejszej walce, lecąc jak szalony, o kilka kroków przed sobą usłyszałem szczerą nutę prostego mazura. Nie na salonowej orkiestrze wycedzone małpowanie tej cudnej muzyki *W i e s ł a w a*, ale proste, pełne duszy, wyrznięte od ucha akorda chłopskiego mazura! Wskoczyłem raczej niż wszedłem przez otwartą furtkę do owego niby ogródka, niby szynku, skąd się muzyka słyszeć dawała. Całe to miejsce miało kształt trójkąta kilkanaście kroków długiego. Parę drzew z za płotu zwieszających gałęzie, i kilka obłamaných krzaków około muru, zjednały zapewne nędznemu kątowi nazwisko ogródka. We drzwiach w głębi parę wschodów wiodło do izby, na wschodach ładna, wysmukła dziewczyna siedziała dla posługi gości. Dokoła długie stoły i ławy, zastawione butelkami i kuflami, kilku obdartych ludzi, dalej do-

rożkarz, baba z obwarzankami, weteran, oto był pozór całego miejsca. Spojrzeli się po mnie, i czy mam Ci powiedzieć? zawstydziłem się! wstyd mię było mych sukien. Zazdrościłem im w tej chwili obdartych łachmanów, jakby ten frak czarny był jakimś piętnem, jakąś nieprzepartą zawadą do połączenia się i zbratania z gminem, ich wzrok wyrzucał mi różność kasty, spoglądali na mnie tak, jak spoglądać musieli Piotowie na swych dumnych panów, idących na Forum! Nieśmiało siadłem na uboczu, jak student, co pierwszy raz wyrwawszy się ze szkoły chyłkiem wpadnie do kawiarni. Dziewczyna, nie dowierając, dwa razy się pytała, czego żądam, nie pamiętam, com odpowiedział, postawiła kufelek z piwem i podała szkaradne sygare. Zasypiający Żydzi nowym na przybycie me ożywieni zapałem, z nową mocą fałszywemi akordami uderzyli marsza, objaśniono gasnące i wiatrem miotane długie knoty świeczek i lamp — i ja swobodniej odetchnąłem i wkoło się obejrzałem.

Z szynkownią tą graniczy, dobrze warszawskiej młodzieży znajomy *Wiejski Ogródek*, gdzie wyborne raki, kurczęta, kalteszal, miejskie po wiejsku przestrojone służące, szampan, a przedewszystkiem niemieckie i czeskie kocujące dziewice, jako minstrele z arfami, zabawiają średnią klasę naszej młodzieży. I teraz poznałem po dalekim śpiewie za murem tyrolskie trele i znów jakąś pieśń z Normy, z towarzyszeniem arf. Dzika to była dysharmonja tych dwóch muzyk: tu żydowska, jęcząca basetla, nad którą siwa broda i czerwone oczy ślepego starca w takt się kiwały, a obok mały bachur, może wnuk jego, piszczał na skrzypcach. Tam obok, chłodny powiew wiatru kołysał w powietrzu i śmiechy i niemieckie wyrazy umizgów z drżącemi jękami arfy, co czasem wystrzał korka z butelki szampana przerywał, lub głużyły bliskie, grube głosy i grubsze jeszcze wyrazy pijanej nędzy i upodlenia. Nad nami czarna noc obejmowała nas jako smętarz, dwa groby, gdzie jak upiory pijane trupy bez duszy szukają w uapoku życia, bo tylko mur rozdzielał bogatszych od nędzarzy, a i tu i tam muzyka, nakształt złowrogięgo szyderstwa szatana migła się w dźwiękach śród ciemności. Bo gdy czasem cisze i słychać, jak liście drzew szeptać między sobą zaczęły, to

zuow głuszy je wrzawa śmiechu, dalekich lub bliskich przekleństw. Bo gdy powiew wiatru won kwiatów i ponczu przyniesie, to je wnet zagłuszy zapach wódki i dym prostego tytoniu i odrażający brud nędzy.

Dźwięki i obrazki migały nawzajem jako ćmy nocne kręgamy do jasnych kół, co gasnące świeceki zakreślały w ciemności. I ja śledziłem lot ćmy, a coś do ucha mi szeptało: — spali się — nie, nie spali się — to ty — to ty jesteś, ha, ha! widzieć ogień i nie móc ostrzec!

Trącono mnie po ramieniu.

## Sędziwój.

(1584)

(„Sędziwój“, 3 t. Warszawa, 1845.)

Powieść historyczna i okultystyczna zarazem, osnuta na tle życia Michała Sędziwoja, głośnego w Europie w swoim czasie alchemika polskiego (1566 - 1646).

Sędziwój marzy o zdobyciu najwyższej wiedzy, aby móc uszczęśliwić ludzi. Ale zdobywszy t. zw. kamień filozoficzny, zapomocą którego może robić złoto i staje się posiadaczem niewyczerpanych skarbów, zapomina o swych szczytnych marzeniach i oddaje się namiętnie uciechom życiowym. Sędziwojowi Dziekieński przeciwstawia Sethona, zwanego „Kosmopolitą“, współczesnego mu alchemika; jest on w powieści postacią nadprzyrodzoną, adeptem nauk tajemnych (hermetycznych), żyjącym tylko dla wiedzy i miłosierdzia. Dopiero pod koniec długiego życia dostępuje Sędziwój łaski potęg nadprzyrodzonych i zostaje adeptem wiedzy tajemniczej.

O Sędziwoju (Sendivogius) pisano dużo w Europie Zachodniej. U nas m. i. Wiszniewski: Wiadomość o Michał Sędziwoju (w dod. do „Bakona metody tłumaczenia natury“, Kraków. 1834) i J. bar. Brincken: „O życiu i pismach Michała Sędziwoja (Bibl. Warsz. 1846, II).

### III. Złoty bocian.

„Weź, pasterzu, ten puchar meońskiego wina.

„Poświęć Oceanowi; niech w karnej ofierze

„Ten potężny wód ojciec naszą część odbierze.

*Georgiki Wirgiljusza.*

Na rynku Bazylei, naprzeciw ratusza, stała duża kamienica z przyzbą na słupach murowanych; o ile poważna i ponura zwierzchu, o tyle hałaśna i wesola wewnątrz: biesiadne okrzyki cały dzień do późnej nocy ją ożywiały. Nad wchodowymi drzwiami wisiał zielony wieniec z wplecionym przez środek słomianym krzyżem, co służyło na znak, iż tam wszelkich trunków dostać można. Oprócz tego na wielkiej błękitnej tarczy wyrobiony z drzewa, połączony bocian i podobnemiż literami długi podpis, zapraszały podróżnych do gospody, jednej z największych i najporządniejszych w całym mieście. Podobne karczmy wspólnie dla rozmaitego stanu ludzi urządzone, w owych czasach zastępowały razem kawiarnie, czytelnie, cukiernie, restauracje, resursy i tym podobne cywilizowańszych wieków zakłady; jedynych rywalów posiadały w sklepach golibrodów, których łaźnie i warsztaty były także miejscami schadzek i ogniskami nowin.

W pierwszej długiej i niebardzo jasnej sklepionej sali pod złotym bocianem stały dokoła ścian dębowe ławy i podobneż stoły. Dalej wielki piec z zielonych kafli z wmurowanym do połowy kotłem miedzianym do rozgrzewania napojów. W kącie, niby ołtarz bożka tej świątyni, wznosił się wysoki kredens, na którym rzędami poustawiano naczynia ofiarne, to jest kufle, rostruchany, dzbany, puchary, poprzewracane do góry dnami, wszelkiego kształtu, miedziane, cynowe i szklane. Naprzeciw drzwi, narówni z podłogą otwierał się obszerny komin, gdzie przy sutym ogniu na rożnach kręcone baranie i sarnie ćwierci dawały woń swoją do zapachów piwa i wina. Pau Anzelu, gospodarz otyły, z rumianą twarzą, w tabaczkowym kaftanie, chodził, wydawał rozkazy i z założonemi za pas rękami kłamał się to kiwnięciem głowy, to schyleniem aż do ziemi, stosownie do godności wchodzących gości, i raz rubasznie pochlebiał, to znów, marszcząc brwi nad siwemi oczkami, surowo gromił ne-

dość zwinnie krzątających się piwnicznych chłopaków. A wśród gwaru rozmów, wśród tłumy w różne strony wychodzących i wchodzących, niełatwobyś się odrazu poznać i przypatrzeć wszystkiemu.

Najgłośniejsze kółko składała młodzież, w pośrodku nich wędrowny śpiewak z cechu meistersängerów przygrywał na lutni, kształtu dzisiejszej arfy, końce zwrotek cała czereda powtarzała, długimi rapierami bijąc takt o kamienną podłogę i kuflami o stoły.

Hansa Sachsa piękne pieśni były już tylko wspomnieniem, a wędrowny trubadur chlubił się wiszącym na piersiach złotym medalem z wyobrażeniem króla Dawida, jako nagrodą, otrzymaną za zwycięstwo na publicznym popisie śpiewaków w Norymberdze. Nie opiewał on tu ani piękności dam, o które walczą na turniejach, ani odwagi i awantur rycerskich, ale ożywiony wspomnieniem brata swego kunsztu, Jana Boehma, więcej myślał o polityce. Śpiewał albo ulotne, do okoliczności utworzone satyry, lub pochwały rządzących, albo też sławił ogólny węzeł, łączący biesiadnicze koło, sławił wino.

Skosztowawszy świeżo nalanego z łaski gospodarza puharu, skrzywił się i ze złośliwym uśmiechem brzęknął w lutnię i, naśladując kościelną nutę, uderzył następne zwrotki:

\* \* \*

Oj, wielkie szczęście spotkało Noego,  
Że widzi Boga na ziemi żywego,  
I mówił słudze Pan Bóg dobrotliwie,  
Jakiejby łaski żądał osobliwie:  
Bo, mając, rzecze, twą cnotę na względzie,  
Spełnię z ochotą, co waść prosić będzie.

\* \* \*

Wtem stary Noe rzekł: ach, miły Panie!  
Pić dłużej wodę już mi sił nie stanie,  
Boć ta to woda nieszczęsna załała  
Wszelakich bydła i człowiecze ciała,  
Więc proszęć Panie, o jeden ratunek,  
Racz mi wynaleźć zdrowszy jaki trunek.

\* \* \*

Wtem Pan łaskawy z rajskiej okolicy  
Wyrwie potężny krzak winnej macicy  
I go nauczył mądrymi słowami,  
Jakoby sadzić, co czynić z gronami,  
A Noe, wielmi rad z owej nauki,  
Takei od Boga wyuczył się sztuki.

\* \* \*

Ale patriarcha pobożny był człek,  
I na cześć Boską pił cały swój wiek,  
A jeśli słowa te mają być szczere,  
Nie frasował się, niech mi każdy wiere,  
I tak od czasu, jak był tonął świat,  
Pił jeszcze zdrowy trzysta sześćdziesiąt lat.

\* \* \*

Z tego stateczny zda się ujrzy mąż,  
Że wino snadnie spijać może wciąż;  
I tem ma patrzeć chrześcijanin prawy,  
By wodnej nie lał do wina zaprawy;  
Boć ta to woda nieszczęsna zalała  
Wszelakich bydłał i grzeszników ciała.

Huczne oklaski za zgodną z duchem słuchaczy pieśń  
i docinki gospodarzowi towarzyszyły rzucaniu pieniędzy w nadstawiony beret śpiewaka.

W dalszych komnatach poważniejsi, spokojniejsi goście, po kilku, osobno bawili się rozmową, a nowiny od obcych i podróży opowiadane, stawały się przedmiotem rozpraw, po większej części polityczno-religijnej treści.

Na uboczu siedziało dwóch obcych, ubiorem i postacią odznaczających się od reszty, nie zważając na ogólne rozmowy, w swoim języku zajmowali się ze sobą. Jeden z nich z jasnymi włosami, głową podgoloną, twarzą przyjemną i otwartą, z małemi wąsami, podparty na krzywej szabli, słuchał rozprawiającego towarzysza, był to znajomy nam już Sędziwoj. Współtowarzysz jego, Wacław Rogosz, starszy, bo około trzydziestu lat liczący, na pierwszy rzut oka we wszystkim tworzył sprzeczność z Sędziwojem. Niski i krępy, w ruchach powolny,



przymrużonemi oczami, ciągłym uśmiechem nadzwyczaj szerokich ust, pomarszczonem czołem i rudą, krótko ostrzyżoną brodą, niepociągający nadawał wyraz całej twarzy.

Parę dni, jak przyjechał z Krakowa i chciwemu wiadomości i pociechy Sędziwojowi opowiadał o domowych w kraju wypadkach, stąd wywodził wnioski, układał zamiary, a opowiadał żywo, bo wszystko, jak igłę magnesową do półnoicy, do własnych kierował korzyści.

### VIII. Zakłęcie.

„Bądź ty błogostawionym, czy przeklętym duchem  
przynoś rosę nieba, czy dym piekiel z sobą“.

.....  
Muszę z tobą mówić!

*Hamlet Szekspira.*

Duszne są te cmentarze ludzi żyjących, nazywane miastami. — Wspaniałe pałace i rzędy domów są tylko szeregiem grobowców. Tu nawet wzrok jest spętany, zimne głązy spotyka lub zimniejszą pierś człowieka kupeczającego: tu myśl jest spętana, niebo nawet dym kominowy ei zastąpi; tu musisz zapomnieć, żeś człowiekiem, a żyć, jak jedno kółko maszyny bezduszne, bez woli, bo gdybyś własnem życiem się poruszył, to cały rój wyrzuci cię ze swego mrowiska, jako przestępcę praw, wiszących na szyldach ulicznych. — Żadna pierś czująca nie odetchnie w mieście; tam czołgaj się, jak robak, w ślady za drugimi, a jeśli chcesz skrzydła rozwinąć, lub ulżyć oddechem duszy, uciekaj za miasto!

Sędziwój mijał już bramę Bazylei, czarowny widok okolic rozciągał się przed jego oczami i gwałtem go ciągnął do siebie. Zszedł z głównej drogi i boczną ścieżką udał się w dolinę, wiodącą między góry. Słońce całym blaskiem wypełniało lazurową przestrzeń, jakby złote jskry światła widocznie krążyły w promienistym eterze. Wszystkie świetne barwy i odgłosy z gajów i skał i strumieni rozkosznie łączyły się w jeden obraz, jeden akord i biegły do duszy, dzwoniąc pieśń chwały

i pokoju natury. Śród doliny, nad strumieniem, stały rzędem ładne chaty wieśniacze; młodzieniec spostrzegł je i odwrócił się, tak życzył sam pozostać. Środkiem wąwozu szła ścieżka i gubiła się w łożysku wyschłego potoku. Wszystko było ciche, spokojne, a on z rozpaczą się patrzył dokoła, jakby burze z całej ziemi do jego piersi teraz się schroniły. I wściekle się rozśmiał, a echo i ten chrapliwy śmiech goryczy, oczyszczony i dźwięczny oddało mu napowrót. Podwojonym krokiem postępował wyżej. Wysokie drzewa coraz rzadsze, a z rozpadlin skał zwieszały się karłowate, skąpą żywione ziemią. Jeszcze wyżej już tylko niskie napotykał krzaki, głązy nagimi świeciły grzbietami i gdzie niegdzie między kępami szmaragdowego nieba i siwych porostów rozwijały się świeże, na równinach nieznane kwiaty. I powietrze coraz czystsze, świeższe, zachęcało go do pięcia się wyżej po ostrych skałach. W dolinie drobne zagrody ludzi i chaty traciły wszystko, co brudne i nieforemne, a z tej wysokości uroczych nabierały kształtów i kolorów. Zwolna mgła spuszczała się, jak zasłona przejrzysta, i otoczyła go dokoła. Później chmury zasłoniły Bazyleję i cały widok daleki. Sędziwój spoczął, odetchnął, był sam jeden, dokoła tylko zimne kamienie. Nieznacznie wpadł w głębokie zadumanie. Cała jego przeszłość burzliwa w głębi, a napozor spokojna, młodość, wszystkie żądze, wszystkie chęci tańczyły dokoła, jakby obręb czarodziejskiego kręgu, a on, spętany, nie mógł się wydobyć nazewnątrz. Wezbrane uczuciami serce, myśl rozpalona chciały się gwałtem wydobyć z tego więzienia, a dokoła było wszystko już zasłonięte chmurami. Złożył rozpalone czoło na zimnym glazie, wspominał czas niewinnej młodości, gdzie modlitwa była tarczą wszystkich cierpień, filarem upadającej duszy; i westchnął; ale teraz zimna nauka i gorące jej żądze i modlitwę spłoszyły i lży wysuszyły. I, rozbijając stan swój, szukał koniecznie powodu i winy zewnątrz siebie, szukał, na kogoby mógł zwałić ciężar, przygniatający go.

— Tak jest, — myślał sam w sobie — miłość mogła uwieńczyć moją cierpliwość; w nauce nowych sił nabrałem; byłem bliski szczęścia, od chwili jak Jęgo spotkałem, całe moje jestestwo zostało wzburzone. Tak jest, on przyczyną tej

walki śmiertelnej, z której wyjść muszę, bo bym upadł pod jej brzemieniem.

Po chwili podniósł głowę, gdy oto blisko, oparty o ścianę szarego granitu, stał, wpatrując się w niego, Kosmopolita.

To nagłe i nieprzewidziane zjawienie się odrętwiło młodzieńca.

— Szukałem cię — rzekł nakoniec — i nigdzie znaleźć nie mogłem, nie dbając, iż oskarżony jestem o zabójstwo, chodziłem między tłumem, czy twego śladu nie znajdę, i oto teraz, kiedyym zrozumiał, iż nikt mnie nie spotka, zjawiasz się?

— Wiedziałem o tem i dlatego przyszedł, teraz mogę odejść.

— O, teraz nie opuścisz mnie. Czy jesteś zwodzicielem, czy prawdziwym mędrcem, bodajbyś był duchem, nie człowiekiem, musisz ze mną mówić!

— Wszystko, co byś mi miał powiedzieć — odrzekł Kosmopolita — wiem zawczasu; za całą odpowiedź usłuchaj rady, którą ci podam. Póki pora, unikaj mnie. Palmy, o które się kusisz, zbyt wysoko rosną, i te lodowce byś przebył, a nie ochłodziłyby twójego technienia. Na ich szczycie chciałbyś się piąć jeszcze wyżej, dokąd tylko orle skrzydła doniosą — i nigdzie byś nie znalazł pokoju. Póki pora, wróć się, zapomnij o mnie.

— Więc nazwę cię oszustem, a całą twoją władzę i mądrość występkiem! Bo, jeśli wiesz istotnie, jakiś wpływ wywarł na mnie, i teraz unikasz, to chyba chciałeś mnie uwieść, lub władza twoja dalej nie sięga!

— Wiem, — odrzekł spokojnie Kosmopolita — iż ten duch niespokojny, prędzej, czy później samby się w tobie obudził. Moje spojrzenie rozbiło tylko w tobie iskry, które wyobrażenia z większą szkodą późniejby rozpałiła. Ty zewnątrz siebie szukasz winy, a lękasz się spuścić w głębię własnej duszy i tam samotnie stoczyć walkę i uśmierzyć zło, które cię niepokoi...

— Póki ciebie nie widziałem, — rzekł Sędziwój — póty jeszcze nie mogłem mieć nadziei zostania szczęśliwym; miłość i nauka starczyły mi za świat. — Pociąłeś mnie przekonana, że jest świat wyższy, o którym wątpiłem; stanąłeś na drodze mej miłości, zniweczyłeś urok nauki, jakem ją dawniej pojmował... Dlaczegoż broniłeś mnie od niebezpieczeństw w ten

sposób, iż obrona ta zgubniejszą mi się stała od samego niebezpieczeństwa...

— Odwieczne prawa, którym podlegam, — rzekł Kosmopolita — nakazują nam rozciągać opiekę nad wszystkimi, których tylko dotknie się koło naszej potężnej nauki. Tysiące biednych szperaczy pozostawiamy spokojnie, bo ciasny zakres ich poziomego życia i myśli nie stanie się ani dla nich katuszą, ani dla nas nadzieją zyskania wyznawcy. Lecz są inni szczęśliwi, których dusza stać się może znaczącą cyfrą w ludzkości lub nauce, byłoby występkiem opuszczać ich; gdybyś się zrozumiał, mógłbyś do ich liczby należeć; stąd moja nad tobą opieka. Ale ty chciałbyś, aby kilku wyrazami wcielić cię do tajemnic, które spodziewasz się, że posiadam, aby potem, jak szaleniec, rozrzucić złoto i ogień — żelazo i zbrodnie i klejnoty z jednego rogu obfitości. — Chciałbyś małpować Opatrzność i wedle widzimi się mniemałbyś Boską naśladować władzę; a tybyś ją tylko znieważał! Rozumiałbyś, że mędrzec może być potężnym, nie rozumiejąc odwiecznego porządku!

— Więc, jeśli widzisz, że błędę, ukaż mi powrót na prawą drogę! — Czyż dla mnie niema nadziei szczęścia; ukaż mi, jakbym mógł się stać godnym mądrości i zdobyć ją; przecież i ty jesteś człowiekiem, i tyś się mędrcom nie rodził.

— Mądrość i szczęście! — rzekł spokojnie Kosmopolita — mniemasz, iż oboje w jednej piersi śmiertelnej obrac mogą mieszkanie! — Ty zapomnij o mądrości, a idź drogą do szczęścia, możesz być jeszcze szczęśliwym. Porzuć nauki, o które się kusisz, a które ci tylko hańbę lub zgryzotę zniszczonego napróżno żywota dać mogą! — i o mnie zapomnij, jak o śnie rannym...

— Nie! to niepodobna! piąć się tak wysoko i znowu wracać, rozpoczynać drogę — ha! lepiej zginać w poł kresu. Już teraz całe moje jestestwo jest jak spętane, i leżę w tych więzach, a setnemi żyłami dusza moja krwawi się, jako ramię owego olbrzyma, przykutego do skały, który chciał ludzkości darować boski promień! — a przecież nie jestem zbrodniarzem! a przecież kocham ludzkosć i enotę, kocham sławę, jest już enotą! — I ja mam teraz całe to życie przesiąknięte tyłu czezemi nadziejami rzucić od siebie, jak zużyte odzienie? Mam

patrzeć, jak najgorętsze życzenia moje pękają jako banki na wodzie? — O, nigdy! chociażbym miał szatanowi duszę na wieczność zaprzedać!

— Nierozważny! jakby człowiek był mocen cokolwiek zaprzedać na wieczność, a tem bardziej to, co nie jest jego własnością! — jakby władza, o którą się ubiegasz, z nieczystego źródła mogła pochodzić. Ale przypatrz się swoim myślom, a ujrzysz z przestraczem, że ta twoja żądza sławy, miłość ludzkości, nie cnotą, lecz są egoizmem w innej formie, a ty z niemi, jak wodę z ogniem, chcesz łączyć miłość nauki?

— A więc powiedz mi, jak mam zapomnieć, czem byłem i do czego dążył?

— Jedno słowo — rzekł Kosmopolita — najmniejszego z uczni naszych może tę skałę, na której stoimy, wtrącić w przepaść; może na tę śmiejącą się dolinę sprowadzić jęk rozpacz i zagłady; ale żadna mądrość mistrza nie jest w stanie powiedzieć temu, co raz było w pamięci: nie bądź! nie może wyrzec do jednej myśli człowieka: powrót do nicości, z której powstała.

— Jeśli tak jest, — rzekł Sędziwój, powstając — to w imię potężnych praw, którym podlegasz, wyzywam cię, mistrzu! przyjmij mnie za ucznia!

— Stój! — przerwał nagle Kosmopolita — nie zmierzyłeś otchłani i, szalony, rzucasz się w jej głębię! Jeszcze nie znasz strasznych warunków, którebyś, jak jarzmo, włożyć musiał na swoją duszę. Wiedz, iż nauka nie cierpi żadnego innego współzawodnika. Musiałbyś się rzec i miłości, i przyjaźni, i ojezyny, i ludzkości; musiałbyś się oddać tylko jednej, zimnej nauce. Każde przeniewierzenie się karze ona srogo. Miłość nauki jest, jak ów płomień piorunowy, którego niczem ugasić nie można, dopóki nie strawi swej pastwy i nie uleci tam, skąd wziął początek, do nieba! — A czyż ty zbadaleś własne serce? — czy wywołałeś w uczuciu obraz Adeli? — czyś sobie przypomniał przysięgi, któreś jej uczynił? Ona jeszcze cię może kochać. W miłości i ziemskim szczęściu możesz być szczęśliwym! Wróć się, całą moją umiejętnością doprowadzę cię do portu.

— Nie! — rzekł Sędziwój — już za późno! Przysięgi,

którem jej czynił, natchnęła żądza serca, a nie myśl; myśl, która jedna ma prawo rozkazywać człowiekowi! Ja czyniłem, nie wiedząc; poznaję teraz, iż miłość nauki pochłoneła wszelkie inne przywiązanie.

— Boś nie znał prawdziwej miłości, — rzekł mędrzec — boś w kochance nawet siebie tylko kochał.

— Jeślim jej nie znał, — zawołał Sędziwój — tom ją przeczuwał; miłość, drobne, bezsilne uczucie, które jednego serca zapełnić nie zdoła, gdy mądrością mogę pełnemi rękoma rozsiewać szczęście dokoła: pozioma miłość ukochanej istoty obronić nie umie, gdy ty mądrością nad obcymi czuwałeś! Ja z rozkoszą zrzekam się miłości.

— Nie dosyć na zrzeczeniu się; gdybyś nawet zrzekł się ojczyzny, rodziny, przyjaciół, kochanki, nazwiska nawet własnego i sławy, nieznaną poprzysiągł wszystkie godziny twego życia poświęcić tylko samej nauce, i takbyś jeszcze nie był pewnym korony mistrza; bo na progu przybytku, do którego chcesz się dostać, spoczywa straszliwy wróg rodu ludzkiego, naprzód musisz jego zwalczyć: — taka walka jest okropna! Nie dość na to odwagi chwilowej, jakiej potrzeba, aby zostać bohaterem; ale trzeba natężonej, ciągłej mocy i nieustraszenia, o jakim ci się nie śniło. Kto się potworowi oprzeć nie zdoła, staje się jego sługą; staje się nieszczęśliwym nad znaczenie tego wyrazu; mirjady lat nieoczyszczony, poza grobem, nim dostąpi palmy pokoju, którą prostym życiem i cnotą dostępuje najnieumiejętniejszy wieśniak. Tysiące silnych, potężnych i wytrwałych stawało z nim do walki, a jakże niewiele wyszło z triumfem!

— Adela jeszcze nie zginęła dla ciebie; jeśli ją ukochasz prawdziwie, ja wesprę cię, odzyskasz ją. Jeśli nie tę, to ci dam inny kwiat, pełny miłości, o jakiej nie masz pojęcia; potaniola, półdziewicę, z nią niebo ziemi mieć możesz. W kraju twoim tysiące dróg otwartych dla dusz działających, namiętanych, jak twoja. Prędszej, niż się spodziewasz, dojdiesz znaczenia, wieczystej sławy, będziesz przytomny braciom, a to więcej znaczy, niż kamień mędrców. Majątek twój i tak zniszczony, reszty nie rzucaj niebacznie na szalę losu; nie idę za radami Rogosza,

możesz być błogosławionym i błogosławić tę chwilę, w której posłuchałeś tej rady.

— Już za późno — odparł młody alchemik.

— Więc ciągle rozumiesz — mówił Kosmopolita — że mądrość jest szczęściem?

— Nie, — rzekł Sędziwój — ale jest więcej, niż szczęściem!

— Abyś pojął prawa tego świata, którego chcesz zostać mieszkańcem, abyś je rozważył, zostawiam ci trzy dni do namysłu; przepędź je zajęty jedynie tem, że albo masz wyrzec się na zawsze ziemi, albo się stać jej ozdobą.

W czasie tej rozmowy chmury zbijały się w gęstą masę, ciemny kir okrywał niebo; w dolinach cisza, a nad głowami szumiał głucho wicher. Sędziwój milczał, a w duszy jego powstało dopiero powątpiewanie i obawa, jakby o stratę zbawienia; dreszcz go przejął, zdawało mu się, że cień matki woła na niego: „Synu, wróć się na prawą drogę!”.

Czarna już była połowa nieba, żaden orzeł się nie ukazywał; naprzeciw nich chmura oparła się na szczycie skały; szept ten nie był tak odległy, jak się przy jasnym niebie wydawał; ciemność rozproszyła złudzenie. Szelest dał się słyszeć, na przeciwną skałę przeleciał kruk.

— Patrz, — rzekł Kosmopolita — wszystko w naturze, co wypełnia swoje powołanie, jest mądre, potrzebne i konieczne. — Jeżeli ten oblok spadnie, wszystko, co żyje na tem wzgórzu, zatonie, i kruk zawczasu opuszcza gniazdo, aby dla żarłocznych swoich piskląt zbierał zdobycz. To nocny rozbójnik i ciemność go wypędza, znajduje śpiące istoty, wydziobuje im oczy i porzuca, a potem wieźrzy ścierwo. A jednak kruk idzie za wyższym popędem; wypełnia tu obowiązki, którychby nikt inny nie pełnił; oczyści te dzieje. Teraz jest w niepewności: czarne skrzydła jego ledwo znać na czarnym obłoku; poleciał wzdłuż skalistej ściany. Jedyna żyjąca istota, nie śmie tu siedzieć w gnieździe. Patrz, jak ten oblok pracuje, spada i wznosi się, jakby płuca z ciężkością oddychającego człowieka; oto opada, opada coraz niżej.

Wtem błysk z hukiem piorunu! Wierzchołek skały strącony i kruk zabity upadł pod nogi wędrowców. Niebo otwo-

rzyło się, rozdartą zasłona w płomieniach; cała natura wzburzona, w zamieszaniu.

— I któżby teraz — rzekł Kosmopolita grzącym głosem — powątpiewał o strasznej wielkości Tego, który się na wiatrach przechodzi i burzom rozkazuje! któżby mógł powątpiewać, iż w kołozanie jego są strzały, które, nim najśmielsze oko szerokość włosa przemierzy, potrafią tysiąc światów zburzyć i tysiąc nowych wywieść z nicości? iż jedyna władza od niego pochodzi!

Sędziwój odkrył głowę, wznosił oczy do góry i od lat wielu pierwszy raz do duszy jego zawitała modlitwa.

### VIII. Tortur

„Jałowiec i Cedr, namaszczone olejem, wolne są od robactwa i spróchnienia; podobnież dusza raz ożywiona Boskiem tehniem, nie podpada żadnemu tego świata zepsuciu“.

*Plinusz. Ks. XVI. R. 40.*

Więzienie Kosmopolity mocno było strzeżone; wszystkie pogłoski, dochodzące o nim, nakazywały ostrożność. Przedsiownik więzienia, będący zarazem kurdygardą, zapełniało czterdziestu żołnierzy z kapralem, umyślnie do pilnowania więzienia przeznaczonych.

Późno już było w nocy, na kominie trzeszczący palił się ogień, mały dobosz raz po raz starym rapierem w nim grzebał. Przed ogniem, na wielkim krześle, wygodnie grzejąc się, siedział otyły wachmistrz z wyciągniętymi nogami, podciągając co chwila opadające cholewy obszernych butów ówczesnej mody.

Przy stole słabo oświetlonym od kagańca, na łańcuchu ze sklepienia zwieszono, porozpierzani wojacy grali w kosci, inni patrzyli na grających, lub zabawiali się rozmową, a wszystkim krążące kufle długi czas skracały. Ogorzałe twarze, potężne wasy i brody, odbłysek promienia, odbity od żelaznych pancerzy i naramienników, stosowuy tworzyły obraz do ich rozmów



jaskrawych, przekleństwami kraszonych. A rozmowy wszystkie obracały się ciągle i wracały do jednego głównego przedmiotu, do więźnia, którego strzegli. Nie było zbrodni i czarów, którychby mu nie przypisywano, a rozognione wyobrażenie trunikiem i tajemniczością, otaczającą więźnia, najdziwaczniejszym wierzyły powieściom. Opowiadania i kufle w najlepsze krążyły, gdy na kurytarzu zewnątrz dał się słyszeć odgłos zbliżających się ludzi. Otworzono podwoje, błysnęły pochodnie i całe wnętrze kurdygardy krwawem światłem olśniły; za pachółkami, niosącymi pochodnie, postępowali panowie radni, sędziowie w togach i czarnych beretach, a wkońcu kat, w czerwonym płaszczu, z błyszczącym mieczem i oprawcami.

Cicho się zrobiło wśród żołnierzy, rozstąpili się na strony, a orszak postępował w milczeniu, jak szereg duchów udręczenia. Widok tych zimnych nieruchomych twarzy, posepnych ubiorów, a najposepniejszych spojrzeń, uderzyły wojaków i ci, co z zimną krwią mordowali na polu bitwy, z dreszczem bojaźni patrzyli na sędziów: tak przerażającą była wtedy myśl wszelkiego sądowego badania. W głębi kurytarza łańcuchy, kłódki i drzwi żelazne zabrzęczały, otworzono więzienie, i odgłos kroków całego orszaku zginął w echu ciemnych sklepień lochu. Drzwi zatrzaśnięto i przez chwilę trwało milczenie pomiędzy strażą; gasnącego ognia na kominie i błedącego ka-gańca żaden nie poprawiał.

W pierwszym sklepie, czyli izbie sądowych badań nikt się nie znajdował. Żadne okno nie oświecało tego przybytku jęków i męczarni. W głębi, między dwoma grubemi murowanemi filarami, stał stół, pokryty czarnem suknem, na nim narzędzia do pisania, papiery, zwoje pergaminów, dzwonek, klepsydra i Chrystus na wielkim krzyżu; i tortury bowiem, w owych czasach pobożności, odbywały się w Imieniu Zbawiciela! — Na środku sklepu umieszczona była długa ława z dębowego bala, z obu końców zaopatrzona śrubami i rzemieniami do krępowania i rozciągania winowajcy. Czasami tak rozciągniętemu przez blaszany lej wlewano w usta znaczną ilość zimnej wody, co nadzwyczajne miało sprawiać boleści.

Dalej na podłodze oparte były ciężkie dyby, do zamykania nóg i prażenia ich powolnym ogniem węgla z podsta-

wionych fajerek. Od sklepienia spuszczoney był na bloku łańcuch żelazny z obrączkami na wielkie palce u rąk, za które męczonemu wieszano i smagano rozmaitego rodzaju biczami. Zresztą, aby opisać kształty i użytek wszelkich kleszczy, śrub, pasów, ławek i innych dziwnych narzędzi tortur, trzeba zapytać się średniowiecznego kata (którego nauka była daleko trudniejszą niż dziś), o nazwiska i użytek wszystkiego, o stopień bólu, jaki działa. Procesy, wypadki, zeznania, wymuszone przez tortury, nazwiska osób, to go wszystko nie zajmowało; dla niego ofiara jedna czy druga, wszystko było jedno. Lecz zato dobrze pamiętał, czy cierpiący cienkie i delikatne miał członki kobiece, czy muskularne i męskie nogi i ramiona; za którym obróceniem śruby wydał pierwszy jęk, za jaką torturą trzeba mu było nakładać na usta tak zwaną technicznie drewnianą gruszkę, aby zapobiec zbytńim wrzaskom. Ukazałby krwawe ślady i opisał, jakim sposobem ze złamanych lub rozgnieconych stawów krew trysnęła; a może wreszcie i westchnienia wylczyłby tych, którzy w czasie badania ducha wyzionęli. Wtedy dopiero możnaby dokładnie zrozumieć mechanizm tak zwanych rękawiczek, czyli śrub na ręce, butów, czyli śrub na nogi, lin do spowijania człowieka, drabek ze szpikowanym zajęcem, meklemburskich instrumentów, bamberskich narzędzi, manhecińskich kozłów, siarkowanych nici, lineburskich krzesel, obroży na szyję, pomorskich bandaży i wszystkich przyborów z kleszczami do owej okropnej hiszpańskiej ogniowej tortury, których sam widok zimnym dreszczem przejmował, gdy przy terrycji ukazywano obwinionemu narzędzia i tłumaczono ich użytek, wzywając ostatecznie, aby się przyznał do winy.

Sędziowie zajęli siedzenia za stołem, pochodnie zatknięto w żelazne świeczniki przy słupach przybite; na stole zapalono lampy.

Jeden z radnych i pacholey otworzyli wąskie drzwi właściwego więzienia i weszli do lochu. Przez okienko u góry księżyc rzucał ukośnie bladą wiązkę promieni na kamienie, zresztą było ciemno.

Potrząśnięta pochodnia sypnęła gradem iskier i żywszym zajaśniała blaskiem. W głębi spoczywał więzień na słomie, z rękoma założonemi na piersiach, oczyma zamkniętymi.

Przybliżyli się i radny rzekł:

— Setonie! po raz ostatni sąd zeszedł do twojego więzienia, w imię prawa, wstań i udaj się za mną!

— Chrystus tylko w imię Swoje pozbawionym sił wstać rozkazywał — rzekł więzień. Radny skinął i dwóch pomagaczy ujęli leżącego, a zarzuciwszy mu na ramiona szeroki jego płaszcz, wywiedli do pierwszej izby i posadzili w wielkiem krześle, przed stołami i sędziami.

Prezydujący przewrócił klepsydre, brzęknął w dzwonek, i pisarz czytać począł:

— Setonie! oskarżony jesteś o czarodziejstwo, przepowiadanie nieszczęść kraju, wywoływanie umarłych, niepokojenie dusz chrześcijańskich, rzucanie na nie uroku, a związki ze złemi duchami i robienie za ich pomocą złota i lekarstwa na wszystkie choroby, zgoła o crimina maleficii falsi et perduellionis.

Zeznania świadków są złożone. Prawo, nie potępiając cię ostatecznie, dozwala jeszcze obrony. Przed tym wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela, na św. Ewangelji, wyprzysięgnij się błędów, wyjaw swoje nieme praktyki, a szczególnie robotę złota. Tak chce mieć prawo i wola J. X. M. Elektora, miłościwie nam panującego, jako słusznie jest. A łaski spodziewaj się, tylko oczyściwszy sumienie.

— Sumienie! — rzekł Kosmopolita — jest to kwiat, który się rozwija dla jasnych promieni słońca i głosu przekonania, a zamyka na gwałt i burzę. Sumienie Bogu tylko zdaje rachunek!

— Trwasz więc w uporze? — zapytał prezydujący; pamiętaj, iż upór tylko ci śmierć haniebną przyspieszyć może, gdy wyznasz, zbawisz siebie, zyskasz łaskę i chwałę. Pierwsze godności mogą cię jeszcze oczekiwać.

— Kto pracuje dla prawdy, — rzekł zapytany — ten nie dba o chwałę, a gardzi łaską!

— Po trzeci więc raz, zapytuję cię, czy nie wyjawisz zbrodni?

— Zaiste, — odparł Kosmopolita — nawet nie wiem, o co mnie oskarżono.

— Przystąpić do badań — odezwał się sędzia. — Jeszcze

raz przeczytać ważniejsze zeznania świadków. — Pisarz rozwinął arkusz i czytać począł.

— Aleksandrze Setonie, zwykle zwany Kosmopolitą, to jest obywatelem całego świata, czyli nie mającym ojezyny, więc tułaczem, a zatem podlegającym wszystkim prawom, świadczą przeciw tobie ad primum: iż wielokrotnie robiłeś złoto z podłych metali, zmieniając je zapomocą pewnego czerwonego proszku, zwanego lapis philosophorum, co bez pomocy złego ducha dzieć się nie mogło. Mianowicie Jakób Hannsen, poważany niegdyś i bogaty kupiec holenderski, za sprawami handlowemi przybyły do Drezna, w poufalej rozmowie z Adamem Bodenstemem, lekarzem i profesorem Akademiji w Bazylei, przyznał, iż rzeczony Kosmopolita w domu jego z ołowiu robił czyste złoto. Rozmowę tę słyszający świadkowie i rzeczony Bodenstein zaprzysięgli, dodając nawet, iż poczciwy niegdyś i poważany kupiec, Jakób Hannsen, oczarowany przez ciebie został.

Wspomniany znakomity lekarz Bodenstein, uczeń i ziomek wielkiego Paracelsa, znając cię w Bazylei, miał sposobność poznać wiele twych bezbożnych praktyk, i teraz wiernie służąc nam, został delatorem twoim, aby złe nie rozpeścierało się dalej po świecie.

Jako corpus delicti, oto jest złożony ów kawałek złota, zamienionego z ołowiu.

. . . . .

— Setonie! — rzekł znowu sędzia — wspomnij na Mal-leus maleficarum, straszliwa kara czeka fałszerzy i czarowników!

Obwiniony, po chwili milczenia, z najwyższą niechęcią odezwał się:

— Słowa! ezeze słowa, chociażbym je objawił, czegoż was nauczą! Nędzny przepis, formuła do łamania myśli, paraliżowania cierpliwości, gdy jej ducha nie pojmiecie! — A wtedy dmuchaj na węgle, praż całe lata w tyglach, a zamiast ożywczego blasku kamienia mędrców tylko popiół i pot własny i wściekłość omylonej nadziei zbierać będziesz! — O, prawda, święta prawda, że człowiek silną wiarą w odwieczną przyczynę

związany z wyższą, boską naturą do większych jeszcze zdolny ciałów. I nie zapomocą złych duchów, ale zapomocą Boga, którego bałwochwalczy nie znając, znieważają wyzywaniem Jego imienia! Modlitwa i głębokie, pobożne wejście w dzieła Twórcy stanowią człowieka namiestnikiem tego Boga na ziemi. Ale nie kilka wyrazów bez myśli, plugawemi ustami wyrzeczonych, stanowią modlitwę! Bo szklany wzrok w modlitwie, a nawet szuka zysku i zapłaty, naczynia egoizmu, są posłańcami szatana! — A jeżeli kto chce siłą słowa żywego, zwycięską i twórczą władzą panować nad tworam, niechaj rani togi, birety, niechaj zdepcze własną pychę, oczyści się z brudnych żądź chciwości, która kała jego serce, nie zwalczy własnych szatanów, którzy w duszy jego założyli swoją stolicę, a potem... A potem pod sklepieniem wielkiego Boga, jedno spojrzenie na wschodzące słońce, jeden widok porządku gwiazd, więcej go nauczy, niż cała magja z czystością duszy, wyczyta sam te tajemnice, których tu żadne męczarnie nie wymogą ze mnie.

Prezydujący w czasie tej mowy zbladł i nie mógł wytrzymać wzroku alchemika, skinął na kata, przewrócono klepsydrę i dano znak do tortur.

Kat zbliżył się do stołu i zapytał o coś sędziego zeicha.

— Nie oszczędzać! — odparł sędzia — to ostatni sposób, dziś ostatnia tortura, niech skona, inaczej nie wytłumaczymy oporu. A wreszcie — dodał głośnie, odwracając się do radnych — słyszeliście, iż kazał się modlić do gwiazd i słońca i deptać oznaki naszych dostojeństw, a tak jawnie okazał, że jest czarownikiem i bałwochwalcą.

Pachoły ujęły znowu Kosmopolitę, rozciągnęli go wznak na ławie tortur, twarde rzemienie skrępowały pięście i stopy obwinionego, pokręcane śruby skrzypnęły, ciało jego jak struna wyciągnięte zostało. Już krew z za paznocy sączyła się kroplami, a jeszcze żaden jęk, najmniejszy głos nie zdradził bólu męczonogo. Sędzia rozpoczął pytania, lecz obwiniony najgłębsze zachował mileżenie. Dano znak i coraz mocniej rozciągać członki jego zaczęto. Trzask stawów tylko i wyprężenie się rzemieni było słychać, a oddech jego cichy, spokojny, oczy zamknięte, na twarzy żadnego śladu cierpienia.

Raptownie oblano go zimną wodą, dla zwiększenia drażliwości, i ciche tylko dało się słyszeć westchnienie, pot kroplami okrył mu czoło. Na powtarzane zapytania, przytłumionym głosem, w nieznanym począł mówić języku. Strach przeszedł przytomnych.

Kat obwinął ciało więźnia szerokim, jak skóra jeżowa kołcami nabitym pasem i ścisnął sprzączki pasa razem z pomocnikami, opierając nogi o ławę tortur. Twarz więźnia, dotąd blada, zmieniła się: krwią nabiegłe żyły wystąpiły na czoło, oczy otworzył konwulsyjnie, szeroko i głosem, jak rozbitego dzwonu, wolno począł mówić:

— Męczennicy prawdy, w jej święte imię, wyzywam was, wspierajcie mnie!

— Jakóbie Molay! przez krzywoprzysięstwo i płomień, co pożarł szpik kości twych, natchnij mnie!

— Husie zdradzony! przez męki i nieugaszoną twą zemstę, wesprzyj mnie!

— Hieronimie Praski! wolnym sprażony ogniem, za miłość braci, wzywam cię!

— Galileuszu! potęgę rozumna, przez szyderstwo klątwy twej, wspieraj mnie!

— Torkwacie Tassie! za ukazanie piękności ducha ukarany więzieniem i obłąkaniem, wzmoćnij mnie!

— Kolumbie! za nowy świat, darowany staremu, okuty w kajdany i zapomniany, wzywam cię!

Głos jego coraz słabnął, zamienił się wreszcie znowu w nieznanym języku ciche mruczenie, jakby entuzjasta zakończył cichą modlitwą.

Nakoniec zamilkł zupełnie i wszyscy mieli, że już skonał. Z klepsydry też wysypał się wszystek piasek, to jest upłynęła godzina; a dobroczynne prawo nie dozwala dłużej nad godzinę torturować.

Kat z pomocnikami zdjął obwinionego z tortur i nacieraniem przywracano rozciągniętym i pokaleczonym członkom naturalny ich kształt. Stary oprawca z zadziwieniem zawołał:

— On żyje! — dwadzieścia lat już tu pełnię służbę, i nie dziesięciu, ani dwudziestu ludzi przeszło przez moje ręce, a za-

den jeszcze z tej lawy, po takim torturowaniu, nie zeszedł żywy! — To chyba nie ludzka dusza w tym człowieku!..

Męczony zaczął głęboko oddychać, rozejrzał się, jak człowiek ze snu przebudzony, poruszał rękami i nogami, jakby ich doświadczał; odrzucił wstrząśnięciem głowy długie zwoje włosów, spadających mu na oczy. Sędziowie wstali, chcąc się oddalić, wtedy i on powstał: postąpił pewnym krokiem ku nim i głośno, spokojnym, rozkazującym tonem zawołał do prezydującego:

— Stójcie! jeszcze nie koniec!

Sędziowie spojrzeli się, wzrok jego przykuł ich do miejsca, usiedli.

Kat nawet i siepacze nie śmieli, czy nie mogli się poruszyć.

Pochodnie, rozpalone w żelaznych świecznikach, dziwnym, nienaturalnym blaskiem oświecały posępne twarze sądzących. Zmarszczki na ich czołach wydawały się jakby kreski, wyrokami śmierci znaczone, z oczu ich patrzył jeden tylko wyraz: potępienie.

A wierzyćbyś musiał, iż postaci podobnych, w czarne togi owiniętych, oddychających tylko powietrzem więzień przy słońcu, niepodobnaby było znaleźć, ich widok każdegooby mógł przerazić, a teraz na nich widomie strach wycisnął odrażające swoje piętno. Pomieszanie odbiło się wyraźnie, gdy Kosmopolita błąd, lecz pełen szlachetnej powagi i uderzającym tym kontrastem piękności, przystąpił i rzekł:

— Mojemu życiu tortury miały koniec położyć, chociażbym wydał tajemnicę! I wy mieliście ją tylko dla siebie zachować, a tem podwójnem podejściem chcieliście uniknąć kary. Lecz bądźcie spokojni, nie do mnie należy kara, która was nie minie!

— Powiedzcie tylko teraz, coby było, gdyby wszystkie żądze niegodnych spełniały się na ziemi? Coby było, gdybym dla spełnienia tych żądz sam oddał im w ręce wszechmocne złoto i nadludzką potęgę?

Połowa świata wymordowałaby drugą połowę, aby rozpostrzeć na gruzach panowanie złych. — Ale tak nie jest, nie

każdy może rozkazywać, bo do rozkazywania trzeba mieć serce czyste!

Skazując na palącą się pochodnię, rzekł dalej:

— Patrzajcie; jedno słowo: zgaśnij! i oto płomień posłuszny uleci!

Sędziowie przerażeni, cofnęli się i powstali z siedzeń, bo w istocie, razem ze słowami Kosmopolity, pochodnia zbladła, płomień jej oderwał się od rozżarzonych knotów i znikł w powietrzu, a za chwilę i dym, sączący się wąskim strumieniem, ustał. Więzień znowu się odezwał:

— Ale tej władzy nie nauczy żadna recepta, ani wymogą tortury! Dzięki chciwości, przez te męczarnie otrzymałem to, czegom był bliski utracenia.

— A teraz idźcie i powiedzcie temu, który was przysłał, że gdyby serce moje równie było skalane żądzą, żaden z was jużby światła słońca nie oglądał; bo łatwiej jest zgasić duch, ożywiający człowieka, niż rozkazywać tej pochodni. Ale wola prawdziwego mędrca jest niepodległa, jak Bóg, co ją stworzył!

Słuchający nie przyszli jeszcze do siebie z podziwienia i przestachu, Kosmopolita wszedł do swojego ciemnego więzienia. A w owej chwili podobny był raczej do wspaniałomyślnego przebaczonego winnym, niż do obwinionego więźnia.



## ZMORSKI ROMAN.

(1824 — 1867.)

Mazur z pochodzenia, urodził się Zmorski w r. 1824 w Warszawie. Dzieciństwo lata spędził na Mazowszu, przysłuchując się pieśniom i podaniom ludu. Uczył się początkowo w szkołach warszawskich. Gdy ojciec osiadł na wsi, w powiecie białskim (gub. siedl.), chodził do szkół w Białej Podlaskiej. W Warszawie spędził życie prawdziwie cygańskie; nie cierpiał zebrzań towarzyskich salonowych, unikał towarzystwa kobiet; chodził w stroju zaniedbanym, „po liderlichowsku”, jakby się wyraził Słowacki; był typowym przedstawicielem „cyganerji”. Namiętny, burzliwy, niespokojny, przyrodzone swe zdolności zmarnował, nie mógł bowiem, czy też nie umiał, systematycznie się wykształcić, ani w kraju, gdzie to było wówczas, za rządów paskiewiczowskich, wielce utrudnione, ani później zagranicą; był tym z grona „cyganerji”, na którym współcześni największe pokładali nadzieje, których jednak nigdy wpelni nie ziścił. Marzył Zmorski o utworzeniu w poezji polskiej „szkoły mazowieckiej”, zapewne pod wpływem „Amerykanki w Polsce” Tyszyńskiego, ale z ówczesnej poetycko nastrojonej młodzieży warszawskiej jeden chyba tylko Lenartowicz mógłby naprawdę ją przedstawiać.

Pierwsze utwory swoje drukował Zmorski w „Przeglądzie Warszawskim” i w „Nadwiślaninie”. „Nadwiślanina” rozpoczął wydawać młodzielec poeta (17-letni) w roku 1841, wraz z Fillebernem, ale wkrótce, bo już z wydaniem drugiego zeszytu, z redakcji i od współpracownictwa się usunął, z powodów nie wyjaśnionych, umieściwszy ogółem w tym organie „cyganerji” tylko dwa utwory (w zesz. I). Pierwszy zbiorek poezji Zmorskiego wyszedł już w r. 1842 w Warszawie, kosztem Edwarda Dembowskiego, młodego mecenasa ówczesnej „młodej Polski”, do której sam należał. W r. 1843 Zmorski wspólnie z J. B. Dziekońskim „ulożył” i ogłosił „Jaskółkę”, zawierającą zbiór prac młodych poetów ówczesnych i literatów; na wydanie jejłożył pieniądze również Dembowski. W „Jaskółce”, obok kilku mniejszych utworów, umieścił

Zmorski urywek rozgłośnego swego poematu p. t. „Lesław” („Topielce”), który w tym samym roku ukończył i wywdzięczając się zapewne za wydanie swych poezyj, Edw. Dembowskiemu poświęcił. „Lesław”, nim się ukazał w całości w druku w kilka lat później (1847), krążył po rękach w rękopisie. Ale już przedtem Zmorski ceniony był w Warszawie jako autor popularnych wierszy: „Anioł-Niszczyciel”, improwizacji „Do Liszta” (1843) (utworzonej pod wrażeniem koncertów mistrza w Warszawie i jednocześnie z wierszem Wolskiego na cześć Liszta w „Przeglądzie Naukowym” drukowanej), „Na zwaliskach zamku w Czersku”, „Do młodego poety” (t. j. Teofila Lenartowicza). Dwa żywioły poetyckie, już w zaraniu twórczości, pociągały przedewszystkiem Zmorskiego — baśń ludowa i fantastyka romantyczna; skojarzyły się one w najcharakterystyczniejszym utworze Zmorskiego, w Warszawie powstałym, w „Lesławie”, a przed nim już w poemacie, na „powieści gminnej” osnutym, p. t. „Noe św. Jana”. „Lesław” to plód typowy przesadnej, „szalonej” romantyki, utwór 19-letniego młodzieńca, rozcytującego się z lubością w t. zw. dramatach fantastycznych — w „Fauscie”, „Manfredzie”, „Dziadach”, „Kordjanie”, „Wacława dziejach”, „Nieboskiej” i tworzącego na ich wzór jeszcze jeden polski ultraromantyczny dramat fantastyczny. Długo przeceniano (jak np. Libelt), lub niedoceniano ten poemat; dopiero K. Wojciechowski rzucił właściwe światło na „Lesława” i określił trafnie jego znaczenie. Już Chmielowski rzucił uwagę, że w „Lesławie” najwięcej zastawia myśl, wypowiedziana przez czarta, iż wążkiem istnienia jest nienawiść wieczna, że w całej naturze panuje nieustanna walka o byt. To jakby poetycka zapowiedź przyszłej teorii Darwina, — ale zapomniał Chmielowski, iż to samo można powiedzieć o „Werterze”. I oto Wojciechowski robi spostrzeżenie, że wszystkie te reminiscencje z „Fausta”, „Manfreda”, „Dziadów” i t. d. są w „Lesławie” tylko deko acją, a węzłem tragedji, jej punktem kulminacyjnym, jest myśl, zaczerpnięta z „Wertera”. (Pessimistyczny monolog Lesława i część dialogu z Nieznajomym są parafrazą listu Wertera z 18 sierpnia. — Ks. D. Niemniej jednak, zdaniem Wojciechowskiego, jest „Lesław” w dziejach werteryzmu w Polsce zjawiskiem bardzo ważnem, o pierwszorzędnem znaczeniu. W nim jedynie *weltzmerz* jako objaw spowodowany poglądem na „prawo bytu”, jako okrzyk duszy, przerażonej odkryciem, że niszczenie jest koniecznością, że nie wszechmocną, ale walka wszystkiego przeciw wszystkiemu jest dogmatem — znalazł po raz pierwszy pełny, niżem nie przyrównany wyraz... „Lesław” był ostatnim silnym wyrazem prądu werterowskiego w Polsce, a najsilniejszym sceptycyzmu płynącego z... uświadomienia sobie prawa przyrody”. (Werter w Polsce).

W r. 1844 (1843) opuścił Zmorski Warszawę i odłączył się od życia koczownicze; udał się najprzód w Poznańskie; ogłaszał poe-

zje swoje w czasopiśmie poznanskich (w Tyg. Liter. i in.) w Ocieku, majątności pp. Parczewskich, gdzie bawił przez czas dłuższy, wraz z Lenartowiczem, T. Morawskim, Janem Koźmianem, Wł. Wolskim, poznał i zaślubił w r. 1817 Teklę Parczewską. Stąd wyruszył na zimę do Akwizgranu, a na wiosnę r. 1818 do Brukseli, tu obcował z domami Siemienskich, gen. Skrzyneckich, z Lelewelem, z Wal. Kalinką. Z Brukseli, jak się zdaje, zbiecził do Paryża. Wtedy poznał Mickiewicza i Słowackiego. Słowacki zarzucał poezjom Zmorskiego brak szczerego, serdecznego uczucia; ale kiedy rozżalony poeta odczytał mu piosnkę swoją „Westchnienie z od-dali“, w której wyraził tęsknotę swoją do rodzinnego Mazowsza Słowacki uściskał serdecznie Zmorskiego i prosił go, aby więcej takich pieśni tworzył, przepowiadając im wielką popularność (Nie-wiarowski). W lipcu tegoż roku (1848) był już Zmorski w Sako-nji; 9 lipca poznał w Dreźnie wracającego z Wrocławia do Pa-ryża Słowackiego. Zwiedza Łużyce, wraz z Smolarem zbiera po-la-ma i pieśni z ust ludu. W r. 1849 wydaje w Budyszynie „Tygodnik, rzeczem polskim i słowiańskim poświęcony, p. n. „Stadło“. Tu, pod wrażeniem śmierci Słowackiego pomieszcza gorąco napisany nekrolog wielkiego poety, jedyne wówczas głęboko odczute wspo-mnienie o nim, i trafne, choć zwięzłe określenie jego znaczenia. W kilka lat potem (1855), na cmentarzu Montmartre w Paryżu powstaje piękny wiersz Zmorskiego: „Na grobie Juliusza Słowac-kiego“.

Z Budyszyna robił Zmorski wycieczki do Belgji, Heidelbergu; pod koniec r. 1852 i w r. 1853 bawił czas jakiś w Weimarze; tu obcował często z Lisztem, naówczas kapelmistrzem dworu wei-marskiego, a z którym się zaprzyjaźnił jeszcze w Warszawie w r. 1843. Jak Magnuszewski, niepraktyczny poeta, ożeniwszy się i osiadłszy na wsi, nie umiał sobie dać rady z gospodarstwem, trapił się złym stanem interesów i... podróżował.

Podeczas wojny wschodniej przybywa z Paryża, w listopadzie r. 1855, jako agent ks. Ad. Czartoryskiego, do Konstantynopola, z misją do Serbji; osiada w Belgradzie<sup>1)</sup> po wojnie jest już we Lwowie, skąd, korzystając z amnestji, wraca w r. 1859 do Warszawy. W r. 1861 należał do redakcji „Pszczoly“, wraz z Nie-wiarowskim i Miniszewskim. W r. 1862 uwięziono Zmorskiego, podejrzewając go o redaktorstwo tajnego pisma „Strażnica“. Po dwu miesiącach wypuszczony, wyjeżdża, dla poratowania zdrowia,

<sup>1)</sup> Mickiewicz w liście do Sadyka paszy z 8 listop. 1855 r. pisal: „Wyjeżdża stąd (z Konstantynopola) do was p. Zmorski, wystany od ks. Adama jako agent do Serbji, Berwińskiemu dobrze znajomy. Zdaje mi się dobry człowiek i nie zaszkodzi nikomu jego tam bytność. I owszem, niech prawdę obaczy Służalski, który obawia się Zmorskiego jako nudziarza, gada o nim w swój sposób jako o człowieku straszaym. To są bałamuctwa“. (Pam. Liter. 1912, str. 458).

do Galicji. W Krakowie należy do redakcji tajnego pisma „Wolność”. Po ogłoszeniu stanu oblężenia w Galicji przenosi się do Drezna, gdzie umiera d. 19 lutego 1867 r. Pochowany niedaleko od grobowca Brodzińskiego.

W Osieku napisał Zmorski, w r. 1847 i w początkach r. 1848, najcenniejszy swój utwór, poemat „Wieża siedmiu wodzów” (wyd. w r. 1850 w Poznaniu), który przesłał Mickiewiczowi z wierszem dedykacyjnym<sup>1)</sup>. W przedmowie utrzymuje Zmorski, że osnuł swój poemat na podaniu, zasłyszaniem niegdyś z ust ludu na Mazowszu: poufnie jednak, naciśniony, przyznał, że temat zaczerpnął z sagi skandynawskiej, poznanej w przekładzie niemieckim. Była to więc mistyfikacja ze strony Zmorskiego; ale podobnie zmistyfikował pochodzenie ludowe „Dudarza” i „Grażyny” Mickiewicz, „Lubora” Zaleski i wielu innych. W stylu „Wieży” znać wpływ pieśni serbskich. Niegdyś stawiano bardzo wysoko przekłady pieśni serbskich, dokonane przez Zmorskiego, lecz dziś obniżono już ich wartość. Zdaniem Zygma. Miłkowskiego (Jeża), znawcy piśmiennictwa i ducha pieśni ludowej serbskiej, „jak Zaleski, tak Zmorski zanadto spolszczali. Tłumaczenia ich wielkie posiadają zalety, lecz zalety te właśnie zacierają akcent oryginałów. Zaleski w Serbji nie był. Zmorski się przez nią przesunął jeno i czasu, a snadź i możności, nie miał wstuchać się w brzmienie serbskich akcentów pieśnianych. Tłumaczył bez odczuwania tonów żywych, narodowych, w powietrzu serbskiem drgających” (Wstęp do przekładu pieśni serbskich Izyd. Kopernickiego)<sup>2)</sup>.

Zapalony miłośnik tworów fantazji ludowej, ogłosił Zmorski (pod pseudon. Zamarskiego), idąc w ślady Wójcickiego i Berwińskiego, „Podania i baśni ludu w Mazowszu” (1852). „w stosownem”, jak się w wielce charakterystycznej przedmowie wyraża, „do ogłoszenia obrobieniu”. „Co przed półwiekiem” — pisał w r. 1902 zasłużony etnograf Jan Karłowicz, w przedmowie do nowego wydania „Podań i baśni”. — „nazywano „obrobieniem”, to łatwo wyrozumieć, czytając „Klechdy” Wójcickiego i „Powieści” Berwińskiego. Mniemano wówczas, że bajka surowa, tak jak lud ją opowiada, nie nadaje się do druku, upatrywano w niej bowiem nie materiał etnograficzny, lecz utwór „literatury nadobnej”; skutkiem takiego poglądu retuszowano oryginał, dodawano rozmowy, opisy miejscowości, morały, ba, nawet szczegóły z własnej głowy. Uczęciwy Zmorski przyznaje się do używania tych kosmetyków: „Czuając się żywą ludu swego częścią, zachowałem sobie

<sup>1)</sup> Tekst, jak się zdaje pierwotny, podany przez Wł. Mickiewicza w „Żywoocie Ad. Mick.” IV, str. XXXV, z datą „Osiek, 1-go stycznia 1847”.

<sup>2)</sup> Mimo to prof. miłoścytetu belgradzkiego, Radovan Kesaulitz, przekłady pieśni serbskich Zmorskiego nazywa w swoim (odbitce) „Zbiórku „Wypisy polskie” Belgrad, 1901, str. 219b.

zupelną swobodę w szczegóлах ubocznych lub obojętnych. Wprowadziłem do niektórych powieści akcesorja i koloryt właściwy czasom, do których prawdopodobnie rzecz bajki odnieśćby się dała"... „Porównyując jednak ekliw gadulstwo Wójcickiego i Berwińskiego, którem rozwodniali osnowę bajek ludowych, przyznać na eży słuszność Zmorskiemu, że był daleko wstrzemięźliwszy oł nich w „obrabianiu“: bań jego znacznie bliższa jest formą wiejskiej gadki i nie nuży nienaturalnością. Styl jej wszakże jest nie ludowy, literacki. Czuli to sam Zmorski, mówiąc, że „wziąwszy pióro do ręki, nie mogłem przezwyciężyć natogu książkowego języka; z drugiej strony mniemam jednak, że pisać tak, jak się mówi podobne rzeczy, byłby niezmiernie niewdzięczny sposób“. Wkońcu przyznaje przecież Karłowicz, że „zbiorek Zmorskiego pozostanie ra zawsze drogą nam pamiątką jednego z pierwszych zbieraczy podań naszych, który czuli i przeczuwał doniosłe ich znaczenie“. („Pod. i baśni ludu w Mazowszu“. Warszawa 1902, przedmowa str. 6—8.)

## BIBLIOGRAFJA.

A) Pisma Zmorskiego: Osobno wyszły następujące: „Poezje“. Warszawa 1843. — „Lestaw“, szkic fantastyczny. Ostów 1847; inne wyd.: Pleszew 1849, Lipsk 1854, Lwów 1870 (Bibl. Mrówki). — „Wieża siedmiu wodzów“, pieśń z podania. Poznań 1850; inne wyd.: Lwów 1857, Warszawa 1860, Warszawa 1908. — „Podania i baśni ludu w Mazowszu“. Spisał Roman Zamarski [pseud. Zmorskiego] Wrocław 1852; nowe wyd. Warszawa 1902 (Bibl. Dz. Wybor.) ze wstępem J. Karłowicza. — „Domowe wspomnienia i powiastki. Zbieranina przez Romana Zamarskiego. Warsz. 1854. — „Narodowe pieśni serbskie, wybrane i przełożone przez R. Zamarskiego“. Warsz. 1853; 2 wyd. 1855. — „Król Lewicz Marko. Narodowe pieśni serbskie“. Warsz. 1859. — „Lazarica, ustęp z narodowych pieśni serbskich“. Warsz. 1860. — „Poezje“. Lipsk 1866 (Bibl. Pis. Pol. Brockhousa). — „Pisma oryginalne i tłumaczone“. Warsz. 1899 (Bibl. Najceln. Utw. Liter. Europ.) — W czasopismach, oprócz utworów poetyckich, drukowanych w „Przeglądzie Warszawskim“ (1840—41), w „Nadwiślaninie“ (1841), w „Bibl. Warsz.“ (1842 i 1851—62), w „Przeglądzie Naukowym“ (1843), w „Jaskółce“ („Pamiętnik ułożony przez R. Zmorskiego. J. Dziekońskiego“) 1843, włączonych później do wydań zbiorowych, ogłosił Zmorski wiele artykułów i poezyj w następ. czasopismach: w „Tygodniku Literackim“ (Poznań) 1844, pod pseud. Romaną Mazura: „Wspomnienie S. Z. Sierpińskiego“ i „Rozbiór poezyj Al. Grozy“; w „Gaz. Warsz.“ 1849, nr. 272—98: „Serbskie Łużyce i ich mieszkańcy“;

w „Bibl. Warsz.“ w l. 1851—62, m. i. „Krótki rys nowego piśmiennictwa serbskiego podług Jana Risticza“ (z niem.) (1853, maj); w „Gaz. Codziennej“ 1858 „Listy z podróży po Bośni, Hercegowinie i Czarnogórze“; w „Przegl. Powszechnym“ Kraszewskiego 1866 (Drezno): „Merima czyli powstanie w Bośni“, przekł. tragedji Macieja Bana, poety serbskiego; w „Stadle“ 1849 m. i. nekrolog Słowackiego; wiele artykułów w „Tygod. Ilustr.“ (m. i. o „Dziewczęciu z Sącza“ Romanowskiego (1861); w „Ojczyźnie“ (1864—5, Bendlikon): „Przegląd poezji M. Romanowskiego“; nadto w „Pszezo-le“ (1861), w „Świcie“ (1856—7), w „Przyjaciółu Ludu“ i inn. czasop.; po śmierci Zmorskiego wydrukowała T. Zmorska jego art.: „Serbowie Łużyccy“ w „Kurjerze Poznańskim“ 1880. — W rękopis. pozostały m. i. poematy: „Dzieje Warsza i Sawy, bajecznych założycieli Warszawy“, „Święto Majowe“, obraz liryczny z Piastowskich czasów“, „Potrzeba Grunwaldzka“, powieść rycerska. — List do Maciejowskiego z r. 1853 w „Księżde pamiątk. Mickiewicz. I“ (1898).

B) O Zmorskim i jego utworach pisali: J. I. Kraszewski: Zmorski Roman („Rachunki“ 1867, II, str. 519—528). — Rzązewski: R. Z. Warszawa 1868 (odb. z Bibl. Warsz 1868, I). — Marrené: Grupa poetów z r. 1840. Roman Zmorski (Przegl. Tygodn. 1880). — Taż: R. Z. (Wędrowiec 1901, nr. 8 i nast.) — Taż: „Cyganerka Warszawska“. Warsz. 1905 (Bibl. Dzieł Wybor.) — A. Półkoźic (Niewiarowski): „Jak meteor. (Fragment pamiętnika“.) (Kurj. Warsz. 1882, nr. 1). — Tenże: R. Z. (Kłosa 1885, II). — R.: „Osiek“. (Kłosa 1885, nr. 1057). — T. Zmorska: Przyczynek do wspomnienia o Romanie Zmorskim (Kłosa 1885, nr. 1063). — Kraszewski o „Wieży siedmiu wodzów“ (Bibl. Warsz. 1858, II.) — Libelt o „Lesławie“ w Estetyce I (Filozofja i krytyka, IV, 377) — X: Franc. Liszt i R. Zmorski (Tyg. Ilustr. 1897, nr. 37). — L. Méyet: Z nieznanych pamiątek (Tyg. Ilustr. 1897, nr. 3). — Zdzienchowski: R. Z. („Byron i jego wiek“, II, Krak. 1897). — Pług: Tekla Zmorska (Wędrowiec 1898, nr. 51). — Matuszewski: Djabel w poezji. Warsz. 1899 (str. 254—6). — Chmielowski w Hist. liter. pol. t. V, 136—140). — Zdziarski: Pierwiastek ludowy w utworach R. Zmorskiego („Dodatek miesięczny“ Przegl. Tygodn. 1900 zes. 5; też w „Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX w.“ Warszawa, 1901. — Karłowicz we wstępie do nowego wyd. „Podan i baśni“. Warszawa, 1902, (Biblioteka Dzieł Wyborow.). — Wojciechowski: „Werter w Polsce“. Lwów 1904 (str. 152—158, o „Lesławie“).

## A) Lesław

(1843).

(„Lesław, szkice fantastyczny“ Ostrów 1847.)

Podajemy wyjątki na podstawie tekstu w wyd. lipskiem „Poezji“ (1866).

### Noc pierwsza.

#### III.

Wzgórza urwiste — na szczytach ich wiszą obłoki.

#### Lesław

Krew wre, burzy się w żyłach mych — gorąca  
Jak ołów roztopiony. A po mojej twarzy  
Czuję, jak chłód jesienny zimną rosą wieje.  
I chciałbym, i siłę się odetchnąć tym ostrym,  
Przesiąkłym mgłami wiatrem, — by nim choć na chwilę  
Ostudzić żar, palący piersi me; — napróżno!  
Tak okropnie twój ciężar ciśnie moje łono,  
Nieukojoła żądzo!...

Wszzechmoena, jedyna,

Żądzo miłości! wierniejsza od cienia,  
Tyś zawsze — wszędy ze mną; a sama swym cieniem  
Takeś okryła wszystką moją duszę,  
Że żadna inna żądza wzniść już w niej niezdolna.  
Ty jak zazdrosna żona, na łożu mem w nocy  
Przylegasz i, zawiścią bezsenna, na sennem  
Sercu mojem badawczą rękę swoją kładniesz.  
Okiem łakomie czytasz z twarzy mej myśl każdą,  
Co nie o tobie była; — i wtedy szalona,  
Ciśniesz mnie, by ocucić, w namiętne ramiona —  
By w ciebie tylko patrzeć, słyszeć tylko ciebie.  
Ty wszystkie głosy, wszystką ciszę ziemi  
Zrobić swoim językiem umiałaś; i niemi  
Wolaś mnie, mówisz bez przestanku ze mną...

Pomnę, gdy po tych górach, po dolach tych, wiosna  
Rozwieszała majowe, lekkie swoje sploty.  
Las młodym, bladym liściem dzwięczał, — smug kwiatami  
Błyszczał cały, oskrzony, jak liebo gwiazdami.  
Motyli woniejących powiewów rój młody  
Bujał wśród nich rozkosznie — jak dzieci po łące,  
Jak anieli po niebie; a z gęstwiny boru

Brzmiał chór setny słowików tęskną pieśń wieczoru...  
W pieśń tę cudną tyś wtedy wcieliła twe słowa.  
I poczułem wśród tego niezmiernego hymnu,  
Nuconego harmonją, i wonią, i blaskiem,  
Żem był sam, jako struna zerwana na lutni.  
I samotność ta męczarń była mi torturą.  
Końcam młodzieńczej pory czekał niecierpliwie.  
Zdało mi się, że serca cisnąć tak boleśnie  
Nic nie zdoła, jak rozkosz nie dzielona z nikim...

I oto — wiatr północny gwizdże zimy wiózbą,  
Kołysząc płowe rżyska i traw kity płowe.  
Lasy się rumieni ją krasą suchotnika  
Gorączkową, co śmierci poprzedza godzinę;  
I wieszczbą dla natury zgonu, wieszczka siwa,  
Posępna w leśnem gnieździe sowa się odzywa...  
A ta piosnka zniszczenia sroższą mi trucizną  
Piersi pali, rozdziera, niż wdzięk wiosny cały. —  
Przecież nie śmierci trwoga boleści mej matką;  
Jeśli zwalczyć niezdolny, nie drzeć zdolnym przed nią.  
Ale jakże boleśnie patrzeć na to życie,  
Którego nić co chwila rozerwać się może,  
Niknące jak cień marny, jako śnieg przedwczesny,  
Bez tych rozkosznych, pojących uniesień, —  
Bez niepojętej współczucia radości, —  
Bez twoich palających uścisków, miłości!...

Darmoż? i darmoż po marzenia świecie  
Skrzydlatą myślą twe rozkosze gonię?  
Nigdyż mnie boska woń twa nie owionie,  
Miłości! ziemi najpiękniejszy kwiecie,  
Nigdyż z ust lubej, ustami drżącemi,  
Nie zgaszę żądzy, co w mem sercu pała?  
Nigdzież? i nigdzież nie znajdzie na ziemi  
Duszy, coby się z duszą wieszczą zlała!  
Gdzież ciebie szukać? gdzież znaleźć? aniele!  
Klnę ciebie świętym miłości wyrazem. —  
Do mnie, ach, do mnie! na wieczne wesele, —  
Do mnie, żyć i umrzeć razem!...  
Ja dla twej białej, marmurowej skroni  
Wieniec z gwiazd splotę zerwanych na niebie;  
Ocean blasków i ocean woni  
Rozleję wokół ciebie —  
I wysoko, wysoko, nad światem nieczystym,  
Wzniosłość w harmonji nieskończone morze,  
I za życia niebios ci podwoje otworzę  
W moim uścisku ognistym!...



(wyciąga do uścisku ramiona)

Uścisk mój spada na pierś moją własną,  
Jak kamień w niebo gwieździste rzucony,  
Na skroń zuchwałą. Gorące zakłęcia,  
Z dzikim rozdzwiękiem w proch się rozsypują  
O zimne piaski i zimniejsze serca,  
Żądze i klątwy, daremne — daremne!..

.....  
N o c d r u g a .  
.....

Topielcy <sup>1)</sup>.

W białych kroplistych całunach, o długich, zielonych włosach, wynurzają się tłumem z pod wody i na brzegu wiążą się w taneczne koło.

Dalej! w lotnym, wietrznym biegu, A kto jutro w nasze ślady  
Po zroszonym Wisły brzegu, Wstąpi, wkrótce chłodny, błądy  
W taniec rażno, tłumnie; Położy się w trumnie!

(Płaszając, znikają w mgle.)

Topielice.

Chodźcie, siostry! tam na piasku, Cesać długich włosów warkoczy,  
Przy księżycu złotym blasku, U spokojnych fal przezroczy  
Zasiądźmy dokoła: Zapleść białe czoła.

(Długim szeregiem zasiadają ponad wodą — i schylone, palcami rozczesują włosy.)

1 Topielica.

Jam księżniczką niegdyś była, Przezroczystych sznur perłami,  
W murowanym zamku żyła, Rozmarynu gałązkami  
Gdzie płowieje Bug; . Plołam sobie skroń.  
Co dnia w mlekiem się kąpała, Stroiłam się w drogie szaty,  
Złoty warkocz mi cesała W złotogłowy i szkarłaty,  
Kornych zgraja sług. W diamenty dłoń!

---

<sup>1)</sup> W całej Polsce pomiędzy ludem upowszechnione jest mniej więcej jednakie o topielcach wyobrażenie. Są to ciała utopionych ludzi, zaczynające po śmierci drugi, nieśmiertelny, tajemniczy żywot. W nocy gromady topielców wyprawiają dzikie swoje igrzyska po głębiach i brzegach wód ciągnąc i topiąc każdego, kto wtedy ku nim się zbliży. — Na Mazowszu mają topielcy zielone włosy. Panuje także mniemanie, że kto w ślad ich, na piasku wyciśnięty, pierwszy wstąpi nazajutrz rano, wkrótce umierać musi.

Po z marmuru, po podłogach,  
Przy ochoczych gęślach, rogach,  
Zwodziłam ja tan.

Woniejące mi pochodnie  
Łały blask, jak słońce wschodnie,  
Z zwierciadłanych ścian.

Na tym zamku był myśliwy,  
Młody, krzepki, urodziwy,  
Jak majowe dnie; —  
Jedynaczka ja księżenka,  
Pokochałam wnet młodzieńca,  
A młodzieniec mnie.

Aż raz ojciec zszedł nas razem;  
Serce przebódl mu żelazem  
I porzucił w krwi.  
A mnie biedną zsiękl różgami,  
Włókl w komorę zlaną łzami,  
Zarygłował drzwi.

Cóż po życiu bez kochanka?  
Co bez dziewiczego wianka?  
Wiecznie płacz i płon!...

Skryłam sobie oczy ręką  
I skoczyłam przez okienko  
W bystrej rzeki toń!

Wiek za wiekiem rącho bieży,  
W smutnych gruzach cały leży  
Mój rodzinny gród. —  
Zawsze płynie srebrna woda  
I ja zawsze żyję młoda  
W głębi mokrych wód.

Tam ostrego żwiru łożo,  
Gładkie moje ciało porze,  
Cały jasny dzień,  
Tam ja czekam, cała drżąca,  
Rycł ło błysnie krąg miesiąca.  
Spadnie nocy cień.

A przy bladym nocnym blasku  
Na nadbrzeżnym siadam piasku:  
W wieńcu z trzcini i mchów,  
W przezroczyste krople rosy  
Me zielone plotę włosy —  
Aż zadnieje znów.

## 2 Topielica.

Ja, lat temu dwieście z górą,  
Mieszkałam we wsi nad Bzurą;  
Byłam czarownicą.  
Czarowałam pola, sady,  
Świat straszylał wichry, grady,  
Gromów błyskawicą.

Raz, gdy w polu święcę czary,  
Wypatrzał mnie sąsiad stary!  
• Zaskarżył do groda.

Uwiązali wnet na sznurze  
I zawiedli pławie w Bzurze,  
Czy mnie przyjmie woda?

U brzegu stos czekał smolny —  
Oj, nie rozkosz ogień wolny!  
Lepiej kąpiel chłodna.  
Oderwałam się ze sznurka  
I ze śmiechem dalej, nurka!  
Jak siekiera do dna.

## 3 Topielica.

Moja dola nieszczęśliwa!  
Jam nie znała, jako żywa,  
Co rozkosz, co świat!  
Zaledwiem się urodziła,  
Matka w Wisle utopiła —  
Dziś dwadzieścia lat.

Wodne trawy kołysały.  
Waty, burze pieśni grały  
Nad kolebką mą. —  
Płyną waty, płyną lata,  
Ja nie widzę nigdy świata  
Tylko poza emą!..

#### 4 Topielica.

Ho-ho! do wody, do wody!	Pochwycim za dłoń,
Patrzcie, oto tam —	W mokrą wciągniem toń!
Jasnym brzegiem, chłopiec młody	
Idzie nucąc k nam. —	Chór.
W łódkę wsiedzie,	
Płynąc będzie.	Dalej! do wody, do wody!
Pianą w oczy pryśniem,	Nasz-eś, chłopcze młody! —
Łódź o fale ciśniem,	

(Zanurzają się w wodzie.)

.....

#### Noć trzecia.

I.

Dzikie posępne ustronie. — Wokół nagie pagórki, czerwonym wrzosem pokryte. — Niebo całe zaćmione grubemi, szybko biegającymi chmurami. —  
Zmrok.

#### Lesław.

(Sam — głęboko zadumany, siedzi na pochyłości wzgórza, — u nóg jego strzelba. Zdała słycać głos pogrzebnych dzwonów.)

Jak smutno, boleśnie,

Ostatnie pożegnanie brzmi ci dzwon żalobny —  
Tak niespodzianie, tak straconą wczesnie!  
Na tle dni moich przemkłaś się jak we śnie — —  
Tak piękną byłaś, kochałaś mnie tyle — —  
Przecież ja tylko jeden dziś nie żegnam ciebie,  
Nie uścisnę na wieczne rozstanie w mogile.  
Łez kropli w mojem oku, w sercu kropli żalu  
Nie mam, by je poświęcić na twoim pogrzebie...  
Jakże są niezbadane serc naszych uczucia! —  
W mojem objęciu grom śmierci ją stał — —  
Grzmot jego mściwy zwiastunem mi był  
Obu miłości mych końca — —  
Jednakże grom ten w mojem nie odbił się łonie  
Echem rozpaczy, przerażenia, zgrozy.  
Tylko, że niżli kiedy, dziś mi bardziej miłe  
Dzikiej, samotnej oblicze natury;  
Tylko, że w duszy mojej zwisły jakieś chmury  
Czarne, ciężące... Zresztą pokój taki,  
Taka tam cisza! — jak na tem jesiennem  
Niebie, straszliwej burzy nadzieją brzemienem.

Jak dziwaczniemi kształty niebo to się chmurzy<sup>1)</sup>  
Tu czarny siedmiogłowy smok w obłokach drzymie —  
Tam jakieś wpół człowiecze, wpół mgliste, olbrzymie  
Tłumy: — horda wędrownych duchów, obłąkana  
W swej nieskończonej powietrznej podróży. —  
Owdzie ciemna, roztwarta paszcza dziwotwora  
Wisi z bezdennych mroków. Strzępione jej zęby  
Krwawym błyszczą szkarlatem. Zda się ognia kłęby  
Co chwila na świat rzygnie...

Pole widnokręga

Zaludniło się całe; jakby niespokojne  
Potęgi, piorunnemi pociekami zbrojne,  
Zeszły się tu rozgłosną stoczyć z sobą wojnę. — —  
Któż odgadnie istotę tych zastępów ciemnych?  
Groźnej ich siły, walk, gniewów tajemnych?  
Toż ludy duchów zgniewane na sąd  
Ziemski, co martwem czyni państwo ich,  
Wołają, wściekle trwożny trzęsąc łąd:  
Żyjemy!...

Przed oczyma wojsk czarnych olbrzymów  
Nowa gonitwa: — wysoko, wśród zmierzchu,  
Rozpierzchłe gołębi stado  
Szaremi skrzydły chciwa śeiga kania.  
I coraz chyżej, i coraz bliżej zemi  
Kreśli łup swój obiega, zaskrzydła — dogania — —  
Chwila, a krwią szpony zmaże.  
Stój, krwawy zbójco! — Bóg przez ręce człeka  
Nie dopuści morderstwa i mordercę skaże!

Strzela: — ogromny jastrząb u nóg jego spada. Z poza pagórka występuje

Nieznajomy.

Witaj Lesławie! —

(Potrąca nogą jastrzębia.)

<sup>1)</sup> W różnokształtnych masach chmur, przemykających tłumnie po burzliwym wieczornem niebie, lud nasz widzi cały świat dziwów, petny życia i ruchu. Są tam smoki wielogłowe i stada dzikich, niewidzialnych ptaków i zwierząt, harcujące między sobą. Wśród tych potwornych, bezładnych gromad ukazują się nieraz szybko biegnący na skrzydlatych rumakach zastęp mglistych, olbrzymich jeźdźców. Są to duchy dawnych wojowników, koczujące wiecznie z wicherami po nieskończonej przestrzeni. Kiedy dwa takie zastępy napotkają się ze sobą, często zwodzą z sobą walkę — które to zjawisko jest przepowiednią srogiej między ludźmi wojny. Jak to wyobrażenie kiedyś było głęboko wkorzenione w całym narodzie, dowodzą mnogie wzmianki w dawnych kronikach, przywołujące z zupełną wiarą opisy napełnionych walk i gonitw, poprzedzających wojny i klęski na ziemi.

Krew!!..

Krew ta cóż znaczy?..

Także straszliwym ukochanej zgon  
Zażęł two serce płomieniem rozpaczy,  
Ze go w strugach gasisz krwi?  
W ogniuż tym speliży? Kędyż się podziął  
Promienne uczucia, co świat życia cały  
Świętej miłości wieńcem otaczały?

#### Leśław

Kiedy na tejdzie wiosna, z gór tatrzańskich szczytów  
Pędzą potoki szalone, spienione,  
Rwiąc koziodrzewy i jodły zielone,  
Co się rozrosły w szczelinach granitów, —  
Ale rodzimej nie obalą skały.  
Tak w sercu mojem płomienistym prądem,  
Straszny grom śmierci zwałił wszystko to,  
Twardego życia co zdobiło nagość.  
Uczucia moje błogie, marzenia, nadzieje  
Poszarpał wszystkie ze szczętem.  
Miłości jednej — wielkiej, nieskończonej,  
Skruszyć nie zdołał; bo ona się zrosła  
Ze sercem mojem, jak zrosła się z łądem  
Karpat opoka wyniosła. —  
I żadna postać pojedyncza zbliśka  
Gdy nie przestania więcej jej ogniska,  
Z nową potęgą w nieskończoność błyska. — —  
I mógłżem patrzeć, widz niemy, gdy ptak  
Cheiwy, krwiożerczy biedne stado gnał?  
Widziałem trwożne, rozpaczne wybiegi,  
Śmiertelny poploch n łośnego ptactwa —  
I miałżem przenieść?.. Mój strzał,  
Jak niebios opatrny grom,  
Zbawił gołębia...

#### Nieznajomy

Ugodził jastrzębia.  
Za jedno życie drugieś życie stłukł. —  
A któż cię stawiał sędzią między niemi?  
Nikczemny pyle twej ziemi!

#### Leśław

Kto? — Duch, co życie w piersi mojej nieci,  
I jasnym słońcem miłości w niej świeci.

Co na widok ucisku i zbrodni,  
Gwałtów przemocy i podstępu zrad,  
Burzy się, i wre, i miota;  
Coby świat cały wybawić od nich,  
Coby ceną własnego żywota  
Państwo sprawiedliwości okupić dlań rad.

Nieznajomy.

Na uścich twoich słowo sprawiedliwość,  
Brzmi, jak niewinność w nierządnicy ustach.  
O twardzi, niezblągani wy wszech jestestw sędzie!  
Od samych siebie sprawiedliwi bądźcie;  
Zanim je potępicie, siebie wprzód osądźcie.  
A wyrok wasz straszny będzie! —  
Wszakże w całej drapieżnej, świat krwawiącej hordzie.  
Pierwsze miejsce, człowiecze, tobie się należy;  
Tyś wodzem i mistrzem w mordzie. —  
Wielka ziemia za mała dla twoich łupieży:  
Dla ciebie morze głębokie,  
Tobie powietrze wysokie,  
Równem polem zdobywszy. Kędy dosięć zdolną,  
Ręka twa rzeź wszędy szerzy — —  
Ani zadrży na chwilę. Boś kłamstwem sumieniu  
Milczęc rozkazał. Wszechświata stworzeniu  
Zaparłeś czucia i ducha: — by wolno  
Bez hańby tępić je było.  
Przecież, co żyje, jednym życiem tchnie.  
Zwierzchnia skorupa, zmienna nieskończenie,  
Wszędzie jednakie jądro ducha kryje.  
I każda z istot, najniedołężniejsza,  
Bliżnia stąd tobie, — i tworem od ciebie  
Wyższym, którym-eś imię duchów dał,  
Że wzięty ciała od was subtelniejsze,  
Z błękitnej pary, powietrza, płomienia<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Zapatrywanie się na przedmioty swojskie przez szkła obcych pojęć, jakiego hasła dali pierwsi rzeczy naszych pesatze, upowszechniło u nas niejedną dotąd trwającą fałszywy widzenia sposób. Tak naprzekład istoty, podług wyobrażeń gminnych żywiły zamieszkuje, dotąd uważane bywają bądźto za tychże żywiłów uosobienie, bądź za dawne ich opiekunki bóstwa. Tymczasem kto by sobie zadał (niełatwą prawdą) pracę głębiej w tej mierze wnikać w ducha ludu, przekonałby się, że istoty te — podług nazwy ludowej duchy — nie mają nic wspólnego ze znanymi powszechnie mitologji systemami. Są to istoty równie jak człowiek stworzone i własnym warunkom bytu poddane — wyższe tylko ogniu w łancuchu stworzenia i dlatego świadomsze od nas i potężniejsze. Żywioty, w których zamieszują, są dla nich tem, czem dla człowieka ziemia, z nich składa się ich ciało i w nich tylko znajdują potrzebne istnienia warunki

Zwierzę, roślina, — i te ni rośliny,  
Ni to zwierzęta, ni kamienie, śpiące  
W głębinach mrocznych, — zarówno swą wiosnę  
Mają i chwile rozkoszy miłosne.  
A rozkosz czując, i cierpienie czują;  
Kończą życie, używając życia.  
To też jestestwu wszemu twarz człowieka  
Znana — jak śmierci strach; na sam widok twój.  
Wszystko spłoszone bojaźnią ucieka.  
Wrogu odwieczny wszystkiego, co żywie,  
Wszystkoć żywiące przeklina!... Czy słyszysz?...

#### Lesław

Słyszę — i drzę. — Jak otchłań bezdenna  
Myśl ta rozwarła gardziel swą przede mną.  
I z każdą chwilą, co w nią okiem tonę,  
Tem straszniej widzę jej niezmierną przepaść. —  
Chłód przerażenia wieje z jej głębin,  
I skroń mą tłoczy lodową obręczą. —  
Wszystkie me siły wytężam, by nie paść  
W jej czeluść czarną — — napróżno! pode mną  
Drżą stopy... świat się mgłą obwija ciemną!...

Dzika, straszliwa, wszechwładna potęgo!  
Trzebaż ci było, rzucając mnie w świat,  
Gdzie mordem tylko wolno mi mój byt  
Wąty utrzymać, — trzebaż było ci  
Stworzyć bez czucia i bez serca n nie!  
Niedość, że na mnie zwałeś już mąk,  
Co zewsząd gniotą i zewsząd mnie pieką,  
Żeś we mnie samym ziarno ich posiada?  
Pocóżeś wlała w pierś mą ogień szczytny —  
Miłość i litość!... gdyś chciała straszylem,  
Sobie samemu i ziemi obrzydłem,  
Rzucić mię w miłości świat!...

#### Nieznajomy

Miłości świat! — — Powtarzasz, jak żak,  
Słowa, któremi mówić ci kazano.  
Rzuć okiem w świat — i mów, gdzie w nim znać  
Dzieło miłości?... Od błękitny h chmur,  
Do głębi ziemi — wszędy wojna wrze.  
Co żyje, walczy: — siłą, zdradą podłą, —  
Wzajem się szarpie, rozdziera i zrze. —  
Co bądź istnieje, istnieje tylko bojem. —

Wątkiem jestestwa jest nienawiść wieczna.  
I przeczące światem miłości zwać śmiesz  
Świat nienawiści?

Lesław

W słowach twoich gore  
Okropna prawda! A jednak, prócz tej  
Miłości, którą w sercu mojem mam,  
Ileż — o ileż w świecie tym jej znam!...

Nieznajomy

Miłość! — O, jest! — Bez niej światły już  
Od wieków w martwą zamienił się bryłę. —  
Jest miłość siebie — i swoich — i płci  
Odmiennych skłonność płomienista. Jest! —  
Ona, jak napój z winnych gron ciśnięty,  
Rzucona w życie, by pijanym szalem  
Zaćmiała zmysły i duszy nie dała  
Czasu, rozważną spojrzeć wkoło myślą.  
O, gdybyż nie ten gorączkowy szal,  
Któreżby żywe serce nie struchlało  
Przed okropnością istnienia, — przed sobą!  
Któż potępiony chciałby rodzić plód?...  
Drapieżne bestje szpony zbroczonemi  
Pierśby kosmatą rozdarły z rozpaczy,  
Szaleństwo ludzki wygniotłoby ród. —  
Chwila jedyna, wolna od szalonych  
Chuci, ostatnią byłaby stworzenia;  
I panowanie śmierci wraz z tą chwilą  
Na wiekby wieków przypadło. —

Lesław

Więc tylko swego niepoznanie bytu  
Rozkoszy bytu używać dozwala. —  
Zaiste, smutny, hanbiący to los! —  
Niech, jak chce, straszne przeznaczenie będzie,  
Jakie bądź kazań zdolna na nas zwalcie  
Świadomość, w mękach wznosi ona ducha:  
Chroniąc od cierpień, poniża ślepo'a. —  
I kto bądz jesteś, dzięki ci, żeś mgłą,  
Tajnie stworzenia kryjącą mi zwiat.  
A choć przed słów twych piekielną jasnością,



Wszystkie radości uciekły niezwrotnie, —  
Dzięki ci przecież! —

.....

### B) Do Liszta

(1843).

Cześć ci! władczo, mocarzu  
Nad harmonji państwem tajemniczem!  
Na burzliwych chmur ołtarzu, —  
Z płynącym błyskawicą zapалу obliczem...

\* \* \*

Jakiż to dźwięk — rozuzdany, szalony?...  
Nie! struny nigdy brzmieć niezdolne tak!..  
Odgadłem cię, czarnoksiężniku!  
To chór szatanów, czarami zamkniony,  
Wstał na strunach na twój znak  
I wyje posępny swój śpiew!..  
Piekło całe w tym niesfornym ich krzyku, —  
Každy ton potępienia brzmi echem,  
Jękiem męczarni, rozpaczy śmiechem,  
Iskami ognia parzy, gotuje w żyłach krew..  
Ha! czy słyszycie?... Wicher dziko wrzasł —  
Czarnemi nocy otoczony strasznydły.  
Szatan burzy nad ziemią ciężkimi zwiśł skrzydły.  
Słyszycie dębów druzgołanych trzask?  
Szum olbrzymich jodeł?... Ach!  
Otóż grom nad głową mi trzasł..  
Noc — zgiełk — zamęt — blask —  
Zgroza — strach!..

I patrzcie! Przez gęstwiny, piorunami podarte,  
Wyniosłych puszczy drzew, w akordów koronie,  
Oleń stary król wychyla białe skronie.  
I pieśnią cudowną eolskich harf brzmi —  
Groźbą grzmi —  
I szeroko ramiona wyciąga rozwarte,  
Serce ciśnie w ziębią swe dłonie..  
Trwoga — szal — zgroza — pijaną zgrają  
Po czaszce, po sercu płasają.  
Wichrem tonów duch porwany,  
Niby dziki rumak w stepach,

Wirowym pędem gna przez mrok zamętu.  
I naprzemiany:  
To raz radby na wszystko jednym gromem cisnąć,  
Strzaskać do szczętu,  
I rozśmiać się na ziemi strzaskanych czerepach.  
To znów, radby świat cały do serca przycisnąć —  
Ale tak silnie, że granitby pękł,  
Tak ogniście, że diamentby zmiekl..

---

Cześć ci! ogniem piekła ziejący,  
Burzą, trwogą, grozą grzmiący,  
Szalony i dziki  
Szatanie muzyki!..

\* \* \*

A to? Czyliż strop nieba zarwał się przejrzysty.  
I gwiazd jasnych deszcz złocisty  
Dźwiękami srebrnymi  
Opada do ziemi?..

To rój aniołów, na skrzydłach ze zórz  
Niebieskich, w wieńcach z niebieskich róż,  
Schodzi na ziemię barwną wstęgą tęczy  
I miłości pieśnią dźwięczy.  
A po złoty skrzydeł ich drabinie  
Duch ku górze wstępuje — i na krańcach świata,  
W nieogarnionej wieczności krainie,  
W wiekuistej harmonji koło się zaplata.  
Aż wszystkie, wszystkich światów niezliczone burze,  
I wszystek dźwięk rozkoszy w cały świat rzucony,  
Obejmą go i spleczą swojemi ramiony  
Aż cały utonie  
Miłością w boskiej naturze  
I cały życia świat tchnie w jego łonie..

---

Cześć ci! z świętą uczucia wstęgą koło skroni,  
Z promieniem niesmiertelnej miłości na czele,  
Boski aniele  
Niebieskiej harmonji!..

\* \* \*

A gdy z pod rąk twych potopem wylewa  
Czarodziejskich tonów deszcz,

To widno, jak ich burzą lono twe nabrzmiewa  
I po licu natchnienia jak przebiega dreszcz.  
Widać, jak każde uczucie  
W sereu wieszczą żar wprzód nieci —  
Z ócz jego świeci —  
Aż w uskrzydłonej czarodziejskiej nucie  
Weielone wzleci.

Ty nie samem mówisz brzmieniem —  
Pieśń dogrywasz ócz płomieniem —  
Trzęsiesz serea twojem drżeniem —  
Wiejesz w dusze twojem tchnieniem.  
Cześć ci! namiętych uczuć potępięcze!  
Miłość tobie! bracie zapaleńcze!

### C) Anioł niszczyciel.

Moje tchnienie nie woń,  
Nie gwiazdy mi skroń  
Jaśniejącem obwiodły kołem  
Mój oddech, siarczysty —  
Mój wieniec, ognisty —  
A przecież jam jest aniołem.

Nie anioł, co leci,  
W pieluchach mdłe dzieci  
Rajskiem i snami koleba;  
Sieje miłość, zgodę,  
Wiąże serea młode  
I dusze unosi do nieba. —

Jam anioł-niszczyciel,  
Jam anioł-czyściciel, —  
Jam złego mściciel i wróg!...  
Mnie, gdy czas nadchodzi,  
Nim świat się odrodzi,  
Na ziemię śle Bóg!

Miecz nosę w prawicy,  
Pochodnię w lewicy,  
W gromach oblatam świat:  
Na imię mi: biada!  
Śmierć, zgroza, zagłada  
Biegą mi ślad wślad.

Ja tchnę w piersi ludzi —  
W piersiach żar się zbudzi,  
A ręce im całe krwią ściekną:  
I będą się żarli,  
I będą się darli,  
Jak wilcy, gdy zgłodu się wściekną.

Ja kędy przelecę,  
Skier rżesny deszcz mieczę —  
Skry to niczem niezgaszone!  
Aż wszystko wypalą  
I to tylko ocala,  
Co takie niebieskie, jak ona.

Pychy dzieci wszeteczne!  
W głupstwie swoim bezpieczne,  
Oto przyszedł wasz czas.  
Wasze własne na głowę  
Zamki wam marmurowe  
Runą i pogrzebią was.

I władczyni wnet nowa,  
Okropności królowa,  
Gruz ze stolic waszych zasiędzie.  
Z pośród ciszy, grobowa  
Szydersko z ruin sowa  
Z potęgi się waszej śmiać będzie.

Hej! ludzie! ja lecę, Ogień wszędy mieczę; Bo, by się przyjął siew nowy, By wyczyścić pole, By zniszczyć kąkole, — Wyplenić plon trzeba niezdrowy.	Hej! burze wy! — gromy! Grady! wichrze łakomy! Dalej za mną wślad!... Hej ognie i wody! Mory, wojny, niezgody! Za mną na świat!...
-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------

Nie drzyjcie, nie klnijcie, Głów waszych nie rwijcie, Że spłoną wam pola i włości; Za krótki strach, głód, Wy, i cały wasz ród, Lichwę odbierzecie w przy- [szłości.	Ja anioł-niszczyciel! Ja anioł burzyciel! Anioł zbawiciel!..
----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	--------------------------------------------------------------------

### D) Wieża siedmiu wodzów

(1848).

(„Wieża siedmiu wodzów, pieśń z podania“. Poznań, 1850.)

Siedmiu wodzów, dokonawszy dzielnych czynów, postanawia położyć się w mogiły, ale przedtem wznieść pomnik ni pożyty, któryy aż „o błękit nieba się oparł“. Zaczęto więc budować wieżę, ale co w dzień zmurowano, to w noey zapadało się w ziemię. Aż wreszcie wodzowie, oznajmiwszy, że za lat tysiąc znowu się pojawią, pożegnali drużynę i wstąpiłi na zręby zapadłej w ziemię wieży; wówczas wzniosła się ona w górę aż do niebios. Do dziś istnieje ta wieża, ale jest niewidzialna, tylko nad nią, na niebiosach, błyszczy siedm gwiazd; są to hełny stojących na zrębach wodzów.

Podajemy wyjątki na podstawie tekstu wyd. lipskiego „Poezylj“ (1866).

.....  
I wnet tajniki lasów zielonych  
Zawrzały rogów ochoczem graniem,  
Wesołem łowców nawoływaniem,  
Hukiem toporów i drzew walonych...  
Aż o południu zgiełkliwą zgrają,  
I ci i owi w obóz wracają.

Ci dziwne tury, czarną posoką  
Znaczące drogę, za rogi włoką  
Owi, spętane lipiem i tyki,  
Żywo prowadzą odporne dziki.  
Lub, na wpędzonych między golenie

Drzewcach, dźwigają zwiste jelenie.  
Tanci zaś sosny, z smolnym korzeniem  
Wydarte, silnem ciągną ramieniem;  
Lub dzikie barci, z całemi kłody  
Wycięte, niosą na wielkie gody.

I wnet ogromne wznoszą się stosy, —  
Dymy słupami biją w niebiosy.  
Krwawe mięsiwa, w ćwierci zrąbane,  
Skwierczą, na twarde drzewca nadziane...  
Aż o wieczorze legły spieczone  
Na polnych głazów stoły omszone.

I poza stoły, gwarząc wesolo,  
Siadła drużyna w szerokie koło. —  
W środku zasiedli siedmi wodzowie, —  
Starcowie wiekiem, licem młodzieńce, —  
Złociste hełmy mając na głowie,  
Na hełmach z dębu zielone wieńce;  
Po jednej stronie miecze przejrzyste,  
Z drugiej zwieszono gęśli srebrzyste.  
I wpośród pieśni, śród gęśli dźwięku,  
Róg pełny poszedł z ręku do ręku...

A naokoło, ogniem rzuconym,  
Płoną szałaszy wieńcem czerwonym  
I smolne stosy łuczywa gorzą.  
Niebo się krwawą oblało zorzą  
I biała Wisła cała rumiana,  
Jako gdy jutrznia wstaje z niej zrana.

Z głębin topieli straszne wodniki,  
Łby wynurzywszy wzrok toczą dziki,  
Dzikiemi z sobą gwarzą coś krzyki...  
Z drzew wypłoszone jasnością sowy  
Nad biesiadników tłuką się głowy...  
A z poza dymu, z poza płomieni,  
Z pośrodku puszczy tajemnych cieni,  
Groźne leśniki, leśne-dziewice,  
Przypołudnice, przywieczernice —  
Wszystkie puszczy dziwy, zbiegłszy się zgrają,  
Biesiadzie mężów się przyglądają...

Wtem z za drzew boru, milcząc, wspaniały  
Wszedł pełny księżyc, jak srebro biały.  
Natenczas wodze z siedzenia wstali,

I znak milczenia skinieniem dali:  
A więc powstała drużyna cała  
I cicho słowa wodzów czekała.

Oni zaś siedem, białych jak śnieg  
Czar napelniwszy miodem po brzeg,  
Za srebrne gęśli dłońmi ujęli  
I bijąc w struny, pieśń pieć poczęli.

.....  
.....  
.....

I wpośród zgiełku, wśród uniesienia  
Głośnych okrzyków, wśród pieśni pienia,  
Wśród dźwięku gęśli i grania trąb —  
Wodzowie z miejsca ruszą się przodem,  
Drużyna długim wślad korowodem.  
Szli, kędy Wisły największa głąb, —  
Kędy z pośrodku białego piasku,  
Przy smolnych ognisk czerwonym blasku,  
Szerokiem kołem zapadłej wieży  
Zrąb szarych głązów zębem się jeży.

I na sterzącej ze ziemi ścianie  
Siedmioro wodzów, wstąpiwszy, stanie.  
Ze złocistemi hełmy na skroniach,  
Na hełmach wieńce mając dębowe,  
U boków jasne miecze stalowe,  
Srebrzyste gęśli trzymając w dłoniach.  
Cali w śnieżystej ubrani bieli, —  
Miesiąca blaskiem wpół osrebrzeni,  
Napoły ognisk łuną rumieni,  
Na zrębie głązów w półkrąg stanęli.

I wraz uderzą w gęśli srebrzyste,  
Z pełnej o struny uderzą mocy;  
Dźwięki potężne i uroczyste  
Zabrzmieją nawskroś milczenia nocy.  
I wraz zanucą, gęślom we wtór,  
Pieśń uroczystą we zgodny zbor,  
Niepojętemi jakimiś słowy,  
Jakieś nieznaną, niezemską mową  
Lecz snadź ją znają siły tajemne,  
Snadź ją pojęły potężne duchy.

Zarządzające państwa podziemne...  
Z głębi otchłani huk słychać głuchy,  
Jak odgłos gromów ciągnących zdala,  
I dziwnych głosów gwar pomięszany...  
Tajemną mocą wyparta fala  
Wiślana rośnie w groźne bałwany...  
Ziemia się chwije, i grzmi i wzdyma...  
I wśród grzmienia, wśród ziemi drżenia,  
Przed struchlałemi mężów oczyma,  
Z głębi otchłani naraz widocznie  
Olbrzymia wieża wznosić się pocznie.

I ponad głowy zdziwionej tłuszczy  
Ogromnym słupem w górę się dźwiga.  
Już szczytem drzewa minęła puszczy  
I ku gwieździstym niebiosom śmiga,  
Już w wysokości dalekim mroku  
Ścigającemu gubi się oku;  
Jeno na niebie wyskrzonym długą  
Czarnego cienia znaczy się smugą.

Tylko z jej szczytu w jasne półkole,  
Złociste hełmy na wodzów czole  
Siedmiorgiem kręgów błyszczących gorą,  
Niby miesiące pełnych siedmioro.  
Aż coraz niknąc, coraz w wyżej,  
Coraz to dalej świecąc od ziemi,  
Coraz to niebios gwieździstych bliżej. —  
Nareszcie siedmią gwiazdy drobnemi,  
Pomiędzy gwiazdy staną drugiem...

Naraz ustawa podziemna wrzawa,  
Ustawa grzmienie i ziemi drzenie,  
I olbrzym-wieża w groźnym ogromie,  
Z czołem opartem o nieba stropy,  
Z wrostłemi w piaski wilgotne stopy,  
Staje milcząco i nieruchomie.  
Tylko nurt Wisły, nagle cofniony  
W łoże swe, głucho kipi spieniony.  
Tylko z śród ciszy, gęśli i pienia  
Płyną z wysoka ostatnie brzmienia,  
Zmięszane w ledwie słyszalny dźwięk,  
Jak srebrny muszek wiosennych brzęk.  
Lub szmer kwitnącej trawy na łące,  
Gdy ją rozwija słońce wschodzące...

Ze przechyłonem ku górze czołem,  
Długo milczącym u wieży kołem,  
Dziwem 'spełnionym oczarowana,  
Drużyna męży stała zebrana.  
Aż z zadziwienia snu oeucona,  
Ku górze silne wznosząc ramiona,  
Raz jeszcze, z piersi pełności wiernej,  
Ku wodzom okrzyk wzniesie niezmierny.

Zaś szli milczący, skłoniwszy głowę,  
Gdzie ich mogiły zwały gotowe.  
I każdy nad swój zaszedłszy grób,  
Kładł się spokojnie w piaszczysty żłób;  
Na szary kamień skroń siwą wsparł  
I oczy na sen wiekowy zwarł..

Wtem z głębi ciemnych powietrznych szlaków  
Słysząc śpiew jakiś nad wyraz rzewny.  
Coraz to głośniejszy, coraz to bliżej, —  
Coraz wyraźniejszy, coraz brzmi niżej;  
Aż wreszcie widny łabędzich ptaków  
Ciągający zdala długi sznur śpiewny.  
Nad Wisłą, białej podobne chmurze,  
Stado wędrowne zawisa w górze;  
I zeicha szumiąc nieruchomemi  
Lotami skrzydeł rozwinionemi,  
Roniąc łabędzi przedśmiertny żal,  
Zwolna opada obłok ten biały  
Nad rzeki lekko dyszące wały;  
Piersią wilgotnych dotyka fal...  
I z cichym pluskiem, upadłszy, tonie,  
Z pieśnią zarazem, w mętnej ich łonie...

Na brzeg ogłuchły przyleciał wiatr,  
Mroźny wystaniec od śnieżnych Tatr.  
Trzęsąc drzewami, liść żółkły rwie,  
Olbrzymie piasku tumany dmie:  
Aż zwiędłym liściem i piaskiem społy  
Zawieje grobów otwarte doły;  
Aże ostatniej szczęty biesiady  
I wszystkie stopy człowieczej ślady  
Ruchomych piasków zaspą przywali —  
I z hukiem w puszcze odleci dalej..

Na uroczysku pusto zostało.  
Jakby się nigdy nie tu nie działo. —



Tylko nad brzegiem kamienną, szarą,  
Z wrosłemi w piaski wilgotne stopy,  
Z czołem opartem o nieba stropy,  
Olbrzymia wieża stoi jak mara.  
Ale czar na nią taki rzucony,  
Że jej nie dojrzy człowiek wielony;  
Ni jej śmiertelnem dojrzy spojrzeniem,  
Ni jej śmiertelnem skala dotknięciem.

Tylko w pogodne dni, nocną porą,  
Na głowach wodzów hełmów siedmioro  
Siedmią gwiazd drobnych miga z jej szczytu,  
W pośród gwiazd drugich, z nieba błękitu.  
Tylko czasami z wyżyn podniebnych  
Czarowne echo gęśli ich srebrnych,  
Zmięszane w ledwie słyszalny dźwięk, —  
Jak srebrny muszek wiosennych brzęk,  
Lub szmer kwitnącej trawy na łące  
Gdy ją rozwija słońce wschodzące, —  
Zaleci w pośród północnej ciszy.  
A człowiek, co te dźwięki postyszy,  
Oczarowany, drżący jak listek,  
Staje zdziwiony; — serce i ucho  
Poi tą z niebios muzyką głuchą —  
A potem marzy, przez wiek swój wszystkim,  
O wiekach dawnych, o krwawych bojach,  
O wielkich wojach, o czynach sławnych...

Lecz gdy się tysiąc wypełni lat,  
Gdy zło tak cały oładnie świat,  
I wszystkie serca ludzkie posiędzie,  
Że już dobrego jasnemu Bogu  
Ni jeden wreszcie czciciel nie zbędzie,  
Do boju przeciw czarnemu wrogowi;  
Z niebieskiej wieży, północną porą,  
Zstąpi na ziemię wodzów siedmioro.  
W nieśmiertelności jasnym odbłyску  
Promienni, staną na uroczysku —  
Ze złocistemi hełmy na skroniach,  
Na głowach wieńce mając dębowe,  
U boków jasne miecze stalowe,  
Gęśli srebrzyste trzymając w dłoniach.  
I bijąc w struny, gęślom we wtór  
Pieśń wieszczą w zgodny zanucą zbór.

A na to śpiący wojacy w grobie  
Zbudzą się, sami otworzą sobie  
Mogiły swoje, i odmłodzeni,  
O kruczych włosach, licem rumieni  
Wstaną; u boków z odmłodzonymi,  
Jak sami, mieczmi przezroczytymi.

I wślad za wodzmi pójdą swojemi  
Pode słonecznym proporcem Boga,  
Wznosić cześć Jego świętą na ziemi;  
Walić ołtarze czarnego wroga.  
Siedmiu rzek wielkich przebrodzą łoża,  
O dwa niezmierne oprą się morza;  
Siedm lat ze złemi bój będą wieść;  
W stu krwawych bitwach aż ich powalą.  
Wreszcie zwycięstwa stosy zapalą,  
Upadnie złego władztwo i cześć!  
Zwycięsko wionie chorągiew boża!  
Nad ziemią wielką wśród dwojga mórz,  
Nad wszystkim słowa państwem dalekiem,  
By więcej nigdy nie upaść już,  
I światu stamtąd świecić wiek wiekiem.

I po brzeg obu mórz, ziemia święta,  
Kości walecznych sprawiona cała,  
Krwia bohaterów wskroś przesiąknięta,  
Zabrzmi radością... I będzie chwała!  
Wodzom i dzielnej drużynie chwała!  
Chwała tej ziemi, co ich wydała!..  
I pieśni, co to przepowiadała. —

### E) Na grobie Juljusza Słowackiego.

Klątwy istnienia pęty żelaznemi,  
Orle niebieski! do klatki skowany,  
Krwawiąc pierś własną twarżem kajdany.  
Z krzykiem rozpaczy rwales się od ziemi.  
Aż bezustannem szamotaniem ducha  
Stargane, pękły ogniwa tancucha —  
I ty, na trupie postawiwszy nogę,  
Odszedłeś w duchów tajemniczą drogę.

Gdzieś, — przez milczące wieczności przestworze —  
Kroczysz, stąpając po gwiazdach błyszczących.

Jak pątnik górskich rzek wezbrane łoże  
Po głazach z głębi przebywa sterczących.  
Toż, chociaż w sercu smutno mi po tobie,  
Dziwnie spokojny stoję na twym grobie;  
Tak pewien jestem, że jeśli ta droga  
Ma koniec, dowieść musi cię do Boga.

Wszakże pod kształty jak bądź promiennemi,  
Drogę ci ducha spełniać się dostało, —  
Gdziekolwiek pójdziesz, wiem, przez wieczność całą,  
Smętny że będziesz zwracać wzrok ku ziemi.  
I wszystko niebios wesele tej twojej  
Wielkiej boleści wiem, że nie ukoi,  
Aż nie zobaczysz: że spełnienie wzięło  
Na ziemi święte odkupienia dzieło.

Więc, jeżeli cię zdradziecko nie zwiody  
Życia twojego wiara i nadzieje;  
Jeżeli mają władzę duchów modły  
Na losy ziemi, na ludów koleje;  
Módl się o jedno! którąś był natehiony,  
Niech Bóg rozdzieli miłość na miliony —  
A odkupionej siłą tej miłości  
Drogiej twej ziemi błysnie dzień wolności.

1855.

## WOLSKI WŁODZIMIERZ.

(1824—1882).

Jednym z najbardziej, obok Zmorskiego, typowych przedstawicieli „cyganerii warszawskiej” był rówieśnik Zmorskiego, Włodzimierz Wolski. Włodzimierz Dionizy Wolski, syn Hipolita, majora wojsk polskich, i Józefy z Młochowskich, urodził się w Serocku, w Pułtuskim (gdzie podówczas stał pułk jego ojca), d. 9 października 1824 r.<sup>1)</sup> Matkę utracił w piątym roku życia, ojca w dwunastym; po śmierci rodziców, wychowaniem Wolskiego zajmował się opiekun, u którego był złożony kapitałik po ojcu na edukację; z obowiązku swego wywiązał się sumiennie; umieszczony najprzód w pensjonacie francuskim, a następnie w niemieckim, miał Wolski możność poznania gruntownego dwu języków obcych. Mając lat 16 ukończył z odznaczeniem gimnazjum, ale dalej, wyżej kształcić się już nie mógł, nie było podówczas w Warszawie żadnego wyższego zakładu naukowego. Jeden z biografów utrzymuje, że po rodzicach odziedziczył dość znaczny na owe czasy kapitałik, który jednak po dojściu do pełnoletności w krótkim czasie strwoił na życie wielkopańskie; odtąd żył już po cygańsku. Inny biograf (Niewiarowski) wspomina tajemniczo o pewnym epizodzie z lat młodzieńczych poety, że mianowicie, nim wstąpił w szranki literackie, musiał odbyć „kilkumiesięczne rekolekcje w pewnem dość ciasnem miejscu”.

Na arenie piśmienniczej ukazał się Wolski, jak wszyscy „cyganie”, bardzo wczesnie; już bowiem w roku 1842, gdy miał lat 17, umieścił w „Bibliotece Warszawskiej” przekład noweli Hoffmanna („Don Juan”), ulubionego wówczas u nas fantastyka niemieckiego. Niebawem przyłączył się Wolski do kotka „cyganów”, któremu przewodził Filleborn, i w r. 1843 dał się już po-

<sup>1)</sup> Inne źródła podają jako miejsce urodzenia Pułtusk, a jako datę — rok 1825. Ta data wynikałaby z wiadomości, podanej przez samego poety w przypisku do powiastki „Korepetytor”, że napisał ją w 19 roku życia — w r. 1844.

znać jako twórcę samodzielny; data ta widocznie stała się dlań pamiętna, gdyż po latach (1859), wydając zbiór poezyj swoich, poświęcił je Wolski „przyjaciółom i towarzyszą z 1843 roku”. W roku tym mianowicie ukazały się pierwsze jego poezje w słynnej „Jaskółce” i w „Przeglądzie Naukowym”. W tamtej umieścił kilka mniejszych utworów („Zadumka”, „Noli me tangere”, „Celja” i powiastka „Skrzypce”), w „Przeglądzie”, obok kilku liryków, poemat, który rozgłosił jego imię, jako niepospolitego poety. Był to „Ojciec Hilary”, spowiedź kapłana z grzechów całego żywota; wpływ „Gaiura” Byrona nie po raz pierwszy w nim się uwydatniał; — poprzedził go „Mnich” Stowackiego, poprzedził ks. Robak Mickiewicza. Przyjęła poemat młodzież ówczesna z entuzjazmem; odrazu uznano go za utwór programowy całej grupy, t. j. „cyganerji”. Wyraził w nim Wolski dobitnie, a nawet jaskrawo, tendencje społeczne tej młodzieży, jej gorący demokratyzm. Jest to utwór prawdziwie młodzieńczy, niedojrzały pod względem ekspresji, ale z talentem napisany. W „Ojcu Hilarym”, jak w społecznych mu głośniejszych również wierszach Wolskiego „Zapał”, „Liszt”, „Fantazja wieczorna”, „Genjusz” („Duch”), odbiły się doskonale, z jednej strony namiętne, burzliwe usposobienie ówczesne poety, z drugiej gorączkowe porywy i marzenia, całej tej szlachetnej, ale niechrównoważonej młodzieży, w której gronie Wolski się obracał. W kilkanaście lat później, w przedmowie do zbiorowego wydania swych „Poezycji” (1859) Wolski krytycznie już spoglądał na te utwory, ale skupił je razem pod nazwą „Początkowych poezycji”, „utworzonych jeszcze przed dwudziestym rokiem życia”, nie w nich jednak prócz kilku wyrazów nie zmienił, „żeby (jak się tłumaczy w przedmowie) nie zacierać śladów tej wrażliwości, nie tamować bezładnego, gwałtownego pośpiechu myśli, nie osłabiać jaskrawego koloru i wszystkich innych charakterystycznych niedokładności młodzieńczego utworu”.

„Ojciec Hilary” ukazywał się w tym samym czasie, kiedy Kraszewski rozpoczynał cykl powieści ludowych („Ułana”, „Historja Sawki” 1843), w których tak wymownie występował w obronie poniewieranego chłopca. W ślady Kraszewskiego i Wolskiego pójdzie niebawem Żeligowski („Jordan” 1846), a wszyscy podejmują i rozwijają dalej myśl demokratyczną, rzuconą już przed rokiem 1830 przez wielkich romantyków (Mickiewicza w „Dziadach” II i Goszczyńskiego w „Zamku Kaniowskim”).

W późniejszych swych utworach, na ten sam temat nienormalnego stosunku panów do chłopów osnutych, Wolski, dojrzałszy duchowo, nie wyraża już swego demokratyzmu w sposób tak jaskrawy, jak w „Ojcu Hilarym”; poematy te to: „Położka”, „zakończająca niby myśl, rzuconą w „Ojcu Hilarym”, współczesna mu pod względem pomysłu, pod względem obrobienia znacznie późniejsza i spokojniejsza” (Wolski w przedmowie), i „Halka”, „pa-

miątka z tejże samej epoki młodzieńczej“, w trzy czy cztery dni napisana“; pierwotnie miała być poematem jakby odpowiednikiem „Ojca Hilarego“, ale zamiast poematu napisał libretto dla opery Moniuszki, do którego treść zaczerpnął podobno z jednej ze „Starych gawęd“ Wójcickiego. Wol-ki z zadowoleniem podkreśla, że jego „szkie libretowy, nie mogący rościć prawa do żadnej wyższej wartości artystycznej, dokazał jednak swojego. Skupiwszy w siaki taki dramacik trzy główne żywioły muzyki rodzinnej: kościelny, szlachecki i ludowy, zdołał natchnąć naszego Moniuszkę do muzyki“.

Wolski, choć cygan, nie unikał, jak Zmorski, ówczesnych wykwintnych salonów literackich (Nakwaskiej, Łuszczewskich), ale najchętniej i najczęściej przesiadywał w domu Wilkońskiego, gdzie zbierało się kółko literatów, a między nimi i cyganerka (Dziekoński, Wolski, Niewiarowski, Kenig, Miniszewski); kółko to przezwano się „cechem głupców“ i miało swój organ, redagowany przez Wilkońskiego, — „Dzwon Literacki“; pisał do niego i Wolski (od 1846).

Na wieść o śmierci Chopina Wolski utworzył fantazję p. t. „Fryderyk Chopin“ (1849) (Bibl. Warsz. 1850, I), najdoskonalszy niewątpliwie pod względem artystycznym utwór swój poetycki; wrażliwy na muzykę, Wolski niejednokrotnie próbował ilustrować słowami pomysły dźwiękowe: jedną z pierwocin jego poetyckich była pełna ognia fantazja p. t. „Liszt“, pod wrażeniem koncertów tego mistrza w r. 1843 w Warszawie utworzona; do tej kategorii utworów należy też „Ostatnia myśl Webera“. Odwrotnie, liryki Wolskiego niejednego natchnęły kompozytora, którzy tłumaczyli je na język tonów (wśród nich Dobrzyńskiego, Komorowskiego, Moniuszkę); ułożył też libretta do dwu oper Moniuszki („Halka“, „Hrabina“). W fantazji „Fryd. Chopin“ charakteryzuje Wolski pojęcie tonów twórcy nokturnów i różne jej rodzaje, które mu nasuwają w wyobraźni różne obrazy; jak dalece tego rodzaju „tłumaczenia“, czyli szukanie treści konkretnej w utworach muzycznych, jest dowolne, dowodem tłumaczenie marsza pogrzebowego; dźwięki jego przejmujące nasuwają inne całkiem obrazy drugiemu tłumaczowi — Ujejskiemu. Ale jako fantazja, jako poezja, jest poemat Wolskiego utworem pięknym: odczuł w nim poeta głęboko właściwy charakter muzyki Chopina, tego „mroku śpiewaka“, „który kiedy się rozśmieję, to jak za pokutę, a kiedy zaspiewa, to na smutną nutę“.

Ogłosiwszy poemat w rodzaju gawędy, udatny pod względem formy, „powiastkę“, p. t. „Wielki pan“ (1852). Wolski w dzieściolecieu po r. 1850 oddał się już wyłącznie niemal twórczości powieściowej. Zaczął od mniejszych powiastek i noweli. W pierwszych próbach, współczesnych jeszcze pierwszym porывom poetyckim z przed 20-go roku życia, szedł Wolski w ślady fantastyka Hoffmanna (są to „fantazje“: „Skrzypce“ z r. 1843 i „Dokończe-

nie powieści“ („Korepetytor“) z r. 1844; Hoffmanna był w tych latach zapalonym wielbicielem, jak całe ówczesne rówieśne mu pokolenie; pierwszym utworem, który oddał do druku, był, jak wiemy, przekład jednej z powiastek romantyka niemieckiego. Kilka jego szkiców powieściowych i opowiadań ukazało się następnie w czasopiśmie, jeszcze przed r. 1850, jak „Półświatła, półcienie“ (napis. w r. 1844), jak „Kubus Kulasik i hrabianka Józia“.

Po r. 1850, oprócz szeregu mniejszych „powieści i opowiadań“, ogłoszonych w dwu serjach (1851—58), z których najlepsze są: „Czarna wstążka“ i „La Kaczuca“, napisał Wolski kilka powieści większych, jak „Uśmiech losu“ (1856), „Bakalarz“ (1858) i „Domek przy ulicy Głębokiej“ (1859). „Domek przy ul. Głębokiej“ jest jego najlepszym utworem powieściowym, pisany pod wpływem Dickensa. Jest to pierwsza powieść nasza, poświęcona odtworzeniu życia mieszczan naszych, sfer rzemieślniczych; wprowadził Wolskiego już pod pewnym względem Korzeniowski w „Krewnych“, ale uczynił to epizodycznie tylko; Wolski, współcześnie niemal z Romanowskim, twórcą pierwszego poematu w naszej literaturze, osnutego na tle życia mieszczańskiego, dał nam obraz na szerszą skalę i realistycznie malowany z życia naszych rzemieślników. W przedmowie sam znaczenie pod tym względem swej powieści podkreśla: wprowadził do niej „kilka typów z warstwy niższej mieszczaństwa warszawskiego, której charakterystyczne cechy znikają coraz bardziej, oraz kilka postaci, kręcących się w niższych sferach miejskiego mrowiska“... „A chociaż inni powieściopisarze brali już przede mną z tejże samej warstwy aktorów do swoich kompozycji, nie naznaczając im wprawdzie ról tak głównych i szczegółowych...“ „W zachodniej Europie, gdzie stan miejski pracowity inne ma, niż u nas, znaczenie, utwory, w których on głównie występuje, coraz są liczniejsze, a między innymi olbrzymi talent Dickensa utworzył już tyle dzieł znakomych w tym kierunku. U nas wywołanie takich postaci będzie zawsze pewnym rodzajem odrębności i nowości, bo choć nawykliśmy i widzimy, tak na obrazkach, jak w powieściach — chatę kurną, malowniczy strój chłopka, śpiew dziewczuchy, idącej z dzbankiem po wodę i t. p., — jednak łoskot i warkot warsztatu, spracowane ręce od młota lub raszpli, finansowe zabiegi jakiegoś parętyśiącznego kapitalisty, słowem niższe objawy miejskiego życia, wydawać się nam zawsze będą w powieści, choćby najbardziej swojackiej, czemś nienaszem, jakby cudzoziemskim..“ Udało się Wolskiemu uchwycić kilka typów z warstwy mieszczańskiej Warszawy i namalować udalnie kilka obrazków rodzajowych z życia rzemieślników naszych.

Z prozy życia codziennego wyrwały Wolskiego wypadki lat 1861—63 i natchnęły go do stworzenia kilku pieśni, które zyskały wówczas wielką w kraju popularność, jak „Celne oko, pewna dłoń“,

„Za ojców, braci, kości bielejące“ i inne. Wyszły one w r. 1863 z nutami w Lipsku p. n. „Śpiewy powstańcze“. Próba w kierunku twórczości dramatycznej, pod postacią komedyjki: „We dworku“, nie wykazała w Wolskim nerwu scenicznego. Był on przedewszystkiem lirykiem; takim jest i w poematach swoich, w założeniu epicznych; brakło mu też wyobraźni twórczej, plastycznej.

Po r. 1863 Wolski znalazł się zagranicą; osiadł w Belgji. To, co ogłosił w ostatnich kilkunastu latach swego życia, ma już cechy upadającego talentu, — zarówno „Promyki“, nowy zbiór poezyj lirycznych, jak poemacik „Mosiek“, na wspomnieniach szkolnych osnuty, jak „fraszka sceniczna“ „Mam dwa domy“. Przestał już tworzyć, tylko pisał, wreszcie ugrzązł w prozie wierszowanej, w wierszykach, drukowanych pod pseudonimem *Agrykoli* w „Kurierze Warszawskim“ w r. 1880. W ostatnich latach utrzymywał się Wolski z pensji miesięcznej, którą mu wypłacał za współpracownictwo jeden z autorów belgijskich, Maurycy hr. du Chastel. Zmogła go wreszcie choroba piersiowa. Zmarł w Brukseli, w szpitalu św. Piotra, w którym był umieszczony staraniem przebywających tam rodaków, d. 6 sierpnia 1882 r. Pożegnał go w ich imieniu Henryk Merzbach.

## BIBLIOGRAFJA.

A) Utwory Wolskiego osobno wydane: „Halka, opera w 2 aktach“ (Wilno, 1847); „Halka“, op. w 4 aktach, muzyka St. Moniuszki (Warszawa, 1857, kilka wydań; przekłady czeski, rosyjski i włoski). — „Wielki pan“, powiastka (Warsz. 1852). — „Opowiadania i powieści“ („Czarna wstążka“, „La Kaczusza“). Wilno, 1852. — Opowiadania i powieści. Serja druga („Korepetytor“, „Dobry pijaczek“, „Po północy“, „Pan Zreniczka“, „Ranne odwiedziny“, „Na stogu“). Wilno, 1858. — „Uśmiech losu“, powieść, 3 tomy, Warsz. 1856 (oddruk z „Dziennika Warszawskiego“). — „Domek przy ulicy Głębokiej“, 3 tomy, Warsz. 1859 (druk. przedtem w „Gazecie Codziennej“). — „Bakałarz“, zdarzenie w powieści w 2 częściach (Warsz. 1858). — „Poezje“, 2 tomy, Wilno, 1859. — Meudelson Bartoldi: „Paweł“, oratorjum. Przekład W. W. (Warsz. 1859). — „Urabina“, opera w 3 aktach, muz. St. Moniuszki (Warsz. 1860). — „We dworku“. Sceniczny utwór w jednym akcie. Warsz. 1861. — „Śpiew towarzysów polskich“, Metz (Warsz. 1861) (nuty z tekstem). — „Głos z Paryża i Genui“ (Paryż, 1861). — „Śpiewy powstańcze“. Zeszyt pierwszy. (Paryż, 1863, z nutami) (zawierają: „Przedspiew, Śpiew towarzysów, Marsz 4-go piętra, Modlitwa, Marsz biedaków warszawskich, Śpiewka strzelców, Marsz żuawów, Marsz kosiarzy, Marsz powstańców). — „Promyki“. Nowe poezje



liryczne (Bruksela 1869). — „Mam dwa domy“. Fraszka sceniczna w 3 aktach. (Odb. z Tygod. Wielkop.). Poznań, 1873. — (Libretto do „Verbum nobile“, op. Moniuszki, nie jest utworem Wolskiego, jak mylnie podaje Estreicher w Bibliografji, lecz J. Chęcińskiego.) — Dwa listy Wolskiego do Teofila Lenartowicza z r. 1857 podał L. Méyet w Kurjerze Warszaw. r. 1903, nr. 34. — W czasopismach i wydawnictwach zbiorowych warszawskich (w „Jaskółce“ z r. 1843, w „Snopku Nadwiślańskim“ z r. 1844 i 1845, w „Bibliotece Warszawskiej“ z l. 1842—56, w „Przeglądzie Naukowym“ z r. 1843 i z r. 1845), oprócz wierszy i poematów, zebranych w dwutomowym wyd. wileńskiem „Poezji“ z r. 1859, ogłosił następujące utwory powieściowe i artykuły, nie wydane oddzielnie: w „Jaskółce“ 1843: „Skrzypce“, powiastka; w „Snopku Nadwiślańskim“ 1845: „Opowiadania przy kominku“; w „Dzwonie Literackim“ z r. 1846: „Pół-swiata, pół-cienie czyli kilku ludzi. Szkic ledwo zaczęty“, „Pan Pasożycki, redaktor in spe. Wyjątek z 5 rozdziału powieści p. t. Przejście, „Dominik Magnuszewski i jego pisma“; w „Albumie Warszawskim“ 1845: „Dokończenie powieści“; w „Gazecie Codziennej“ 1848: „Kubuś Kulasik i hrabianka Józia“; w „Przeglądzie Naukowym“ r. 1845: „Ant. Czajkowski i jego poezje“, tłumacz. ustępów z „Fausta“ Goethego.

B) O Wolskim i jego utworach pisali: Marrené: Grupa poetów z r. 1840, Włodzimierz Wolski. „Przegl. Tygod.“ 1878. — Taż: Wł. W. „Wędrowiec“ 1900, nr. 40 i nast. — Taż: „Cyganka warszawska“. Warsz. 1905, (Bibl. Dzieł Wybor.). — Al. Półkoźcie (Niewiarowski): Wł. W. „Słowo“, 1882, nr. 32—38. — W. Korotyński: Wł. W. „Tygod. Powsz.“ 1882. — Kotarbiński: Wł. W. „Kłosa“, 1882, II. — Wilkońska: Moje wspomnienia o życiu towarz. w Warszawie. — K. Kaszewski: o „Wielkim panu“ w „Bibl. Warsz.“ 1852; — tenże o „Halce“ w „Bibl. Warsz.“ 1860, II. — Zdziechowski: Wł. W. w „Byron i jego wiek“, II. — Józefa Anc: Pogrzeb poety tułacza „Tydzień“. (Dod. do „Kur. Lwow.“) 1905 r. — Chmielowski: Hist. liter. pol. t. V, 146—152.

## A) Zapał

(1843).

(„Poezje“, Wilno, 1859. Tom I.)

Moje marzenia — to szczyty Tatrów;  
 A moje myśli — to Wisły fala,  
 Kiedy szalona krami przewala;  
 A me uczucia, to poświst wiatrów.

Nie pragnę złotych piasku wybrzeży,  
Ni spokojnego zacisza w murach,  
Bo ma istota zrodzona w chmurach,  
A moje czoło w piorunach leży. —

Patrzę na ziemię, jak na skład prochu,  
Na który piorun mój chciałbym zwalić,  
Rozżarzyć iskrę, pożar zapalić —  
I sztandar szczęścia zatknąć w popłochu!

Jak szara Wisła, kiedy w wściekłości  
Szydzi z brzegowisk, obala domy, —  
Jabym, ciskając gromy na gromy,  
Szydził, zabijał, nie miał litości.

A gdyby w moim niszczącym uścisku,  
Gwiazda radości nie chciała zablyszczeć,  
Wolałbym wszystko pokruszyć i zniszczyć.  
A sam ostatni skonać na zwalisku;

Bo me marzenia, to szczyty Tatrów,  
A moje myśli — to Wisły fala,  
Kiedy szalona krami przewala,  
A me uczucia — to poświst wiatrów.

---

## B) Fantazja wieczorna

(1843).

(„Poezje“. Wilno. 1859, t. I.)

### 1.

Śmiecie się wiatry z tych wyniosłych domów,  
W których śmiech pusty, po lta zniewiesiałość,  
Wstrząsajecie śmiało szyby kryształowe,  
W sercu ich panów zamarta już żalność.  
Oni na puchach pustą kładą głowę,  
Nie słyszą jęków i przeklęstwa gromów,  
Śmiecie się wiatry! I czasem śród balów,  
Kiedy z wściekłością huczycie przy chatach,  
I tam zahuczcie, i dzika pieśń wasza  
Niech bładem widmem przeszłości nastrasza,  
W nędznych, lecz samą nędzą świętych szatach.  
Z balladą wspomnień i z elegją żalów.

Ale, nie; oni otulą w obłątany  
Wyniosłe okna, jęk wiatrów przytłumią,  
Bo oni tylko tańców znają tony,  
A waszych tonów nigdy nie zrozumią.  
Może tam jeden znajdzie się młodzieniec,  
Może tam jedna znajdzie się dziewica,  
Co postyszawszy głos widma morderczy,  
Pierzehnie im z twarzy chwilowy rumieniec,  
Uśmiech wystąpi na poblądle lica,  
Uśmiech to straszny, wzgardliwy, szyderezy!  
Każde z nich będzie w innej sali stronie  
Pogardy wzrokiem oglądać po gronie,  
Co ciągle pijąc, hucząc w tan ochoczy,  
Nie pojmie śmiechu młodych marzycieli,  
Lecz coraz szumniej, coraz to weselej,  
Pijąc i tańcząc — nawet ich nie zoczy.

2.

Jak dźwięki mazura, gdy nuta ponura  
Wesoły akordy zagłuszy,  
Jak wiatru muzyka szalona i dzika,  
Gdy echo rozniesie jej dźwięki po lesie,  
Uczucia szaleją w duszy. —

I uśmiech kłamany, i wzrok rozkochany,  
I mowa powabna, słodka,  
Niewinność wesoła — nie błysnie u czoła  
Radości znamieniem, pociechy promieniem,  
Oddźwięku w duszy nie spotka.

I świetna biesiada, przyjaciół gromada,  
Przy starym, męskim kielichu,  
I dawne wspomnienia, i młode marzenia,  
Gwarzone ochoczo, — czarem nie otoczą,  
Nie wywołają uśmiechu. —

Uroczę zwaliska, gdzie słońce przeciska  
Mdlejące, tęskne promienie, —  
Krainę dumania, gdzie przeszłość odslania  
Ponure widziadło, jak trumnę rozpadłą  
Bez życia łowi spojrzenie. —

I pieśni uludne, co przedtem w tak cudne  
Osnuły duszę mą sieci,  
Odarte szkielety, bez życia podniety —

Tak powab ich cały, jak grodziec zgorzały  
Bez duszy, w duszy mej świeci. —

I czemże poruszę zwiedzioną już duszę,  
Rozżarzę ogień w iskierce?  
Hej! wichry, świstajcie, zaszumcie, zagrajcie,  
A wtedy zapłonie serce. —

I będzie gorące, jak słońce pałace,  
Straszne jak księżyc w północy.  
Hej! wichry, świstajcie, hej, burze, zagrajcie!  
A dusza nabierze mocy.

---

C) **L i s z t**

(1843).

F a n t a z j a.

(„Poezje“. Wilno. 1859, I.)

Twój ton — to niebo! twój ton — to piekło!  
Słońce i księżyc srebrzysty, —  
Ty tworząc, hucząc melodją wściekłą,  
Obwijasz duszę czarów potęgą,  
A serce w pas płomienisty.

A gdy się nieba z piekłami sprzęgą,  
Gdy jak Bóg trząsas, pomiatasz niemi —  
I każesz płakać, i każesz szaleć,  
I ziębnać, płonąć, ogniem się palić —

O, wtedy dusza ulata z ziemi  
Wyżej od gwiazd i od słońca,  
I pragnie w niebie z tonami twemi  
Bujać w harmonji bez końca!

\* \* \*

Twój ton to chmura! twój ton to grom!  
Zabły ska, huczy i wali.  
Dęby i głązy — na złomie złom! —  
I chwila ciszy . . . . .

Z hukami zawiei,  
Posłyszysz gdzieś wdali,

Jak promyk nadziei  
Piosenkę sieroty...

Znów burza, znów jęk!...

Przez niebios przestworze,  
Jak fale przez morze,  
Jak gwiazd srebrzyste zaploty  
Bieleją duchy —  
I słodki dźwięk,  
Lekki jak wiotkie puchy,  
Miły, jak jaśmin i róże —  
Omija gromy, omija burze,  
Płynąc przez niebios przestworze.

\* \* \*

Twój ton — to uśmiech niemej rozpaczy!  
To piosnka więźnia z za kraty,  
Kiedy dalekie góry zobaczy,  
Dalekie łąki i kwiaty.

Nagle fujara dźwięknie za rzeką  
I cicho popluszcza wody...  
On łamie kratę lśniąca powieka,  
Nuąc piosenkę swobody.

Rodzinne lasy, rodzinne łąny,  
Rodzinne niebo w piosence...  
Ale wtem głucho brzękną kajdany  
I biedak załamie ręce. —

Piorun na niebie, piorun na duszy! —  
Znów cisza — znów piorun i biada,  
Co wszystko łamie i wszystko kruszy —  
I z nią na wieki przepada...

Głucho jak po pogrzebie  
I na sercu i na niebie.

\* \* \*

Mistrzu, na twoje cudowne zakłęcie  
Tysiąc uczuć drzemiących w nicości odmieć  
Jak kształt przyobleczony w wielkiej myśli ciało,  
W tysiąc dźwięków i w tysiąc tonów się przywdziało.

Martwy klawisz uczuciem i życiem oddycha,  
Bo za czarownem dotknięciem twej dłoni,  
To się spojrzeniem anioła uśmiecha,  
To ciche łyzy smutku roni.

Jak Prometeusz ciskasz harmonji iskrami,  
To przestraszasz nas burzą, — to pieścisz rozlogiem,  
Ustrojonym twych cudów tonami, kwiatami! —  
To nas bratasz z szatanem, to nas godzisz z Bogiem!

## D) Ojciec Hilary

(1843).

Szkic poetyczny.

(„Poezje“. Wilno, 1859, 1.)

Jako lilja między cierniem, tak  
przyjaciółka moja między córkami.  
Salomon, Pieśń nad pieśniami.

..... „Chwast podły,  
Com oszpecił gwiazdziste lilji oblicze!  
A chciałem być powojem — chciałem ją jak dziecię  
Przykryć jasną zasłoną w zgięcia tajemnicze,  
Chciałem strzec jej — popieścić — i wznosiłem modły!  
I motyl tak bujałem po krzewie, po kwiecie,  
I patrzałem, tonąłem w jej gwiazdy, w jej lica —  
Ależ z tego motyla... martwa gąsienica  
Konała, spoglądając w słońce jej uroku.“  
— „Na Boga! w imię Trójcy! co, ojcze Hilary?!  
Jakie usta spienione, jaka wściekłość w oku!  
Kropidła!... gdzie mój brewjarz?... lekarstwo na czary?“ —  
— „Cicho, martwy ślimaku! — Precz mi, głupece stary!  
Lub jeśli chcesz, posłuchaj. — Pamiętaj me słowa  
I martwo na papierze martwą przykuj dłonią!  
Może kiedyś biednego mnicha czezej pamięci,  
Jakaś młoda, szalona, zapalona głowa,  
Jak ja oczarowana srebrnej lilji wonią,  
Nie łzę, to choć przekleństwo na grobie poświęci.“

\* \* \*

Ja chłop niewolnik z imienia i rodu,  
Ojca nie znam, a matka żebraczka zgrzybiała,

Psom pana Podeczaszego obiady dawała. —  
Ja, ojcie, miałem urząd piękniejszy, dwojaki:  
Byłem zwierzę, na które panicz strzelał z łuku,  
I jak pies pilnowałem pańskiego ogrodu. —

Bywało, pan Podezaszy przy biesiadzie jakiej  
Przyzwał zwierzę do nogi dla zabawy gości;  
Natychemiast mnie sadzami mazali chłopaki,  
I zawodząc w jadalnię wśród śmiechów rozpuku,  
Śpiewać mi rozkazano — a wtedy ja dziecię, —  
Ja niewolnik, co ledwie marzyłem o świecie,  
Jużem szalał, gryzł ręce i język z wściekłości!  
I pośmiewisko ludzi — szydziłem wzajemnie —  
Wykarmiłem ten zaród nienawiści piekła! —  
Gdyby tonący błagał ratunku ode mnie,  
Zdaje się, że z uśmiechem wtrąciłbym go w przepaść.  
I nieraz, kiedy sroga zaskoczyła zima,  
Czarna głodu martwica pogroziła wściekła,  
Jam to niby wesoło spoglądał oczyma,  
By ręki nie wyciągnąć, na kolana nie paść.

Gdym podrósł potem nieco — siermięgą odziany,  
Stroniłem od szyderców, — i chleb pobutwiały,  
Chociaż łzami w boleści gorzko był obłany,  
Mile jednak smakował, — bo tak mile ze mną  
Przy biesiadzie żałobne jodły rozmawiały  
I tak dobra, spokojna, łagodna kochanka,  
Spoglądając wesoło z chmur srebrnego wianka,  
Niebo śmiało się do mnie twarzą tak przyjemną.

Wkrótce matka umarła!! Własnymi rękoma  
Pogrzebałem jej ciało, krzyżem naznaczyłem —  
I wtedy mi błysnęła myśl cicha, kryjoma,  
Że gorycz upodlenia już, już wysączyłem, —  
Że rzucę te łachmany, — świetne barwy włożę.  
Mówił mi to wzrok dziewcząt, co z zajęciem tonął  
W wybladłem mojem licu — ale pięknem może —  
Mówił uśmiech litośny, co na ustach płonął —  
I niejedna szepnęła, lecz może przez żarty:  
„Piękny chłopak ten Danił, chociaż tak obdarty“.

---

Nagle umarł z hulanki stary pan Podeczaszy.  
Syn jego odziedziczył nas i liczne włości, —  
Czyli się ulitował srogiej nędzy naszej —  
Czyli że miał w swej duszy więcej szlachetności —  
Polepszył stan nędzarzy, wspierał; — w każdej porze  
Wolny przystęp do niego miał każdy poddany.  
Mnie przez szczególne względy zatrzymał przy dworze

Może chciał mi zagoić dawne łuku rany!  
Dość, że mnie kazał uczyć księdzu proboszczowi,  
A na jegom usługach resztę trawił czasu.  
Nibym to był wesoły, — nibym był szczęśliwy!  
Lecz niech wiatry zadrzemią — wścieklej zakotłyszają  
Całym wojskiem szumiącym sosnowego lasu, —  
I znów polecą huczeć i igrać na niwy, —  
Niechaj niebo po burzy popieści się z ciszą,  
Nagle na jej spokojność piorunem odpowie, —  
Tak mnie przyostre słowo, wzgardliwe spojrzenie,  
Paliło piekłem w duszy, — krzyk straszny, przeklęty  
Wyrywał się jak piorun z piersi przyciśniętej.  
Gdym wspomniał dawną wzdargę, dawne poniżenie —  
Wtedy uciekał w lasy, i jak dawniej płaczem  
Chciałem wściekłość pokonać, osłodzić, uśmierzyć —  
W sercu tak było próżno! — zapętnić je chciałem,  
Choć piorunem, — piorunie, nie bój się uderzyć! —  
Choć grzmotem, — błyskawicą... szalałem, szalałem!!  
Ale czegóż pragnąłem i tęskniłem za czem? —  
I jakby przesycony nauki mamidłem,  
Jak starzec, sam dla siebie i ludzi obrzydłem; —  
Ja chłop i dziecko — ale to chwilowo!  
Znów mnie z światem godziło jedno dobre słowo,  
Jeden rozkaz łagodny, — dla mnie było dosyć.  
Wtedybym długo, długo pogardę mógł znosić,  
Pókiby szatan w duszy nie roztlilił znów żaru!

---

### E) Fryderyk Szopen

(1849).

Fantazja.

(„Poezje“, Wilno, 1859, II.)

1.

Czy słyszycie z pod dłoni kobiety namiętnej  
Pieśni jego rozkoszne i dziwne uroki? —  
Czy widzicie w jej oczach ten ogień głęboki,  
Jakby obłąd palący, a jak wiara smętny?  
Czujecie, jak w tej naglej i mistrzowskiej nucie  
Nietylko tonów przemoc duszę jej podbiła,  
Lecz inne, nowe jakieś powstaje uczucie,  
Jak krzywda bolejące, głuche jak mogiła?



2.

A tony się płaczą, jak siecią pajęczą,  
Dokoła nas wiążą wrażenia nitkami;  
I śmieją się, płaczą, i tęsknią, i dźwięczą,  
Drżą w uchu, lśnią w oczach i nikną nad nami,  
Lecz w sercu zostają. Uśmiechem prorocтва  
Daleką gdzieś palmę wskazują w pustyni;  
A potem jak w oczach namiętnej mistrzyni  
Drżą żalem tęsknoty, wrą bólem sieroctwa.

3.

Ból! sieroctwo! — To nie krzyki,  
To wnikliwszej dźwięki mowy!  
Tak jak odźwięk tej muzyki  
Cichy, rzewny, pogrobowy.  
Ból! sieroctwo! — To nie krzyki;  
To jest prawdy dźwięk niemylny!  
Tak jak odźwięk tej muzyki  
Dziwny, smutny — ale silny.

Jak ta matka, co dla córki  
Na wesele przystrajała  
Białą suknię. Lecz martwica  
Wnet poczuła — i zatruta  
Tehem śmiertelnym córki lica,  
Matka białą suknię szyła,  
Toteż w białą przystroiła  
Córki zwłoki — pochowała —  
Śpij, śpij cicho — liljo biała!

5.

4.

Lecz cóż śpiewać wyrazami?  
Gdy muzyka na pamięci,  
Tak wonnemi myśl wieńcami  
Opasuje i tak smęci!..  
Od mazurków wieńca zaczną,  
Co to wrzкомо bałamutne,  
Świetne, lekkie i dziwaczne.  
A tak smutne, a tak smutne..  
Jak to dziewczę, co to brata  
Wciąż z wojenki się spodziewa, —  
I ze łzami warkocz splata,  
I ze łzami piosnki śpiewa.  
W taniec proszą rówiennice,  
Choć do tańca jest ochota,  
Dziewczę smutno skłania lice,  
Bo gdzież tańczyć ma sierota?  
Na bułanym wtem ktoś jedzie..  
Dziewczę biegnie, klaszcze w ręce,  
Obcy człowiek konia wiezie,  
A brat zginał na wojence!!  
Smutne, smutne to mazurki,

Teraz brzmi ów tańca dźwięk,  
Co i w czapkach go tańczono:  
Co na zwrocie w szablę! szcęk,  
Pas podjęto, wąs kręcono!

Już się snują pary tłumne,  
Wygolone głowy dumne,  
Wąs sumiasty, lub ze szwedzka,  
Ale mina tak szlachecka,

Że kto nawet u kielicha  
Jej nie pozna, to zje licha!  
A tu przy nich tanecznicze  
Tak urodne,  
Tak rzewnością tchnące lice,  
Choć w robronach, tak swobodne!

Polonezów jednak tony  
Czasem tworzy dziwaczniejsze!  
Mazur smutny, rozżalony,  
Te bolesne, posępniejsze.  
Jakby dworek modrzewiowy,

Niski, stary, pochyłony;  
A na ganku od ogrodu  
Siedzi starzec pogarbiony,  
Z szramą podłuż tysej głowy  
Patrzy w krwawy blask zachodu.  
A tam, tam, ku zachodowi,  
Wiejski kościół słomą kryty.  
Dalej cmentarz i krzyż wbity  
Tu i owdzie. A starcowi  
Czoło marszczy się powoli,  
Gdy zachodu barwy chyże  
Zrumieniły czarne krzyże.  
Jakby mówił: Jam sierota!  
Krzywda losu człowieka boli.  
W te-m cmentarza proste wrota  
Zawiózł syna mego zwłoki, —  
Drugi gdzieś tam w świat szeroki  
Pierzchł i zniknął; zginął trzeci.  
Starzec! krzywdę mam bez dzieci.

Jeszcze jakby z ust sędziwych  
Wyszło kilka skarg za żywych,  
Ale w niebo spojrział stary  
I zapłakał — pełen wiary.  
Wtem chłopczyzna z jasnym

[włosem

I oczyma niebieskimi  
Wbiegł — i zaczął srebrnym  
[głosem  
Nucić piosnkę. — Starzec z ziemi  
Znowu podniósł wzrok ku

[niebu, —

I tak słuchał piosnki wnuka,  
Jak rozrywki to się szuka,  
Kiedy wróci się z pogrzebu.

7.

A słyszycie marsz żałobny?  
Dzwony dźwięczą śpiew przed-  
[grobnym

I karawan zwolna sunie,  
Ten, co go to dają biedzie.  
Na nim trumna, a na trumnie  
Pałasz z czapką w krzyż złożone,

A za trumną nikt nie idzie; —  
Niebo szare, zachmurzone. —  
Ani trąba nie uderza  
Wojennego marszu dźwięki,  
Ani matki, braci jęki  
Nie zatęsknią na mogile  
Sieroty — żołnierza. —  
Przecie nagle — ktoś na chwilę  
Wyrzał z okien pałacowych;  
Jakaś twarz kobiety błada  
Oczu szarych, włosów płowych,  
I łza po łzie jej upada.  
Czy sieroctwa współcierpienie?  
Znała tego, co chowają?  
Dawnych marzeń, łez wspom-  
[nienie?  
Dość, że płacze... Dzwony grają.

8.

Trzeba pojąć śpiewaka,  
Gdy dla siebie śpiewa,  
I lotem króla ptaka  
Nad te góry i drzewa,  
Nad ludzi skrzydła wzbija!  
A świat pierzcha daleko,  
Jak mgła ranna nad rzeką,  
Jak pył!

I czasem się zatrzyma.  
Gdzieś nad wioską płonąca,  
Dym kłębami się wzdyma,  
Matki z twarzą cierpiącą  
Do piersi tulą dzieci.  
Płomień bucha czerwony...  
On w niebieskie swe strony  
Leci.

Trzeba wpoić się w żale,  
W młodej duszy rozczary,  
I zrozumieć, że w chwale  
Najpiękniejsza korona,  
Ta, co łaźni zroszona  
Ofiary.

11.

Ból, sieroctwo i wiary promieniące koło  
Przędę pieśni w żalobnych kwiatów wieńczą zwoje...  
Tworząc postać z tych pieśni, ubrałbym jej czoło  
W gwiazdy wiary, a w oczy wlałbym smutku zdroje.  
Jednakże, by w nich świecił ten blask przenikliwy,  
Ta moc cierpień, uniesień, co uświęca wzrok;  
Usta ubrałbym w uśmiech tęskny i cierpliwy,  
Dniem za nią, przed nią świecił, — a wokoło niej mrok.

12.

Bo to mroku był śpiewak, tak cichy i łzawy,  
Jak od listka akacji drżący cień na ścianie;  
A czasem tak posępny — lecz mało jaskrawy,  
Jak zachodu nad rzeką powolne konanie.  
On swemi marzeniami, on swemi pieśniami  
Wszak o szarej godzinie najmłej nas pieści;  
On tęsknoty dźwiękami i tęsknoty łzami  
Wyśpiewał chwilę żalu, męstwa i boleści.  
O! to mroku był śpiewak! Dzień za nim daleki  
Przypominał mu słońca swojego odbłyśki;  
I ludził go i nęcił, że świtania bliski,  
Lecz mrok wieszczą swojego omroczył na wieki.

. . . . .  
. . . . .

F) „Domek przy ulicy Głębokiej“

(1859).

(„Domek przy ulicy Głębokiej“. Warszawa, 1859.)

Marcelek, synalek wdowy po urzędniku, Gulmańcewiczowej, lokatorki domku przy ulicy Głębokiej, próżniak i wyzyskiwacz, bałamuci piękną 17-letnią kowalcankę, Marcysię, córkę gospodarza domku, majstra kowalskiego, Szczepaniaka, która ostatecznie zaślubia zacnego rzemieślnika. Przez powieść przewijają się różne z życia pochwycone typy; oprócz dodatnich, głównie z warstwy rzemieślniczej: majstra kowalskiego, jego córki, „majstrówny“, terminatora, czeladnika i innych, takie, jak: pretensjonalna „pani kontrolerowa“, Barbara z Kalbfejszów Gulmańcewiczowa, jak Jakóbową, siwiutka i jak burak rumianiutka babulka, eks-wiwandjerka, lubiąca „bąbnać“, jak Kacper M. B. Jabłuszko, pokątny doradca, jak Fidrykowa, majstrowa owdowiała, właścicielka warsztatu trumniarskiego, jak „pan porucznik“ a właściciel eks-tamburmażor i wiele innych. — Podajemy trzy ustępy, w których autor charakteryzuje głównych bohaterów swej powieści.

(Tom I, str. 22 — 23.)

.....Niespodzianym tym gościem był gospodarz domku, majster kowalski, Szczepan Szczepaniak, wymyty, wyczesany, w długiej granatowej kapocie, białej chustce i kamizelce, z córką panną Marcjaną, całą w bieli. Dźwigała na tacy opłatki, wódeczkę, śledzie i różne postne przekąski.

— Wielmożna pani Kontrolerowa, a dyć to, mospanie, tak mi radośnie, że pani nami nie pogardziła, jakby mi kto serce miodem posmarował — zawołał Szczepaniak, chwytając jej rękę i wyciskając rozgłośnie dwa całusy. Przyjęła je z lukrecjowo litośnym uśmiechem. Cokolwiek milej, ale zawsze litośnie spojrzała na Marcysię, co dotknęła różanemi usteczkami suchych i poźółkłych palców.

— Gwiazdeczka niedługo zaświeci. Kiedy wielmożna pani pozwoli, połamiemy się opłatkiem dosiego roku — dodał Szczepaniak, oglądając się po schludnem mieszkaniu z gospodarskiem zadowoleniem.

— A za małą godzinę prosimy do nas na dół, przyjdziemy po kochaną panią — odezwała się Marcysia.

— Ja to dzisiaj trocha niedyspozyt, moja panno Szczepańska — zaczęła jejmość cedzić przez zęby. Marcelek nie pozwolił jej dokończyć i, szepnąwszy kilka słów, wymógł, że się dała udobruchać.

.....

(Tom I, rozdz. IV, str. 32 — 51.)

W izdebce, gdzie się odbywały lekcje francuszczyzny, przy stole, osypanym siankiem, wystrojonym w kwiecisty obrus, czerwony, zasiedli do wilji u kowala. Łojowe świeceki płonęły w żelaznych lichtarzach, jadła było aż do zbytku (pod względem ilości gastronomja klas roboczych obfitszą jest od możniejszych), talerze fajansowe, miski w kwiaty, łyżki cynowe, prócz jednej srebrnej dla pani Gulmańcewicz, piwa jak wody. Kowal rumienił się z radości i napoju, a Marcysia głównie z obawy, żeby w czem nie uchybić łaskawej pani, co do nich zejść raczyła. Sztynnie jakoś, ceremonjalnie rozpoczęli stukać łyżkami i poruszać szcękami na tej wilji. Gospodarstwo nie

śmieli odezwać się pierwsi, Gulmańcewiczowa nie raczyła, Marcelek z wzorowym apetytem zmiatał talerze, zerkając czasem na Marcysię, zwłaszcza kiedy świeży półmisek przyniosła, bo sama usługiwała. Paweł przyglądał się jej z wytrwałością godną lepszego losu, gosposia nie zwracała na to uwagi. Wyraziste jego spojrzenie tak jednak uporeczywie ją ściagało, że wkrótce to zoczył Marcelek i jego matka. Wysączała właśnie kieliszek lunelku. Skromną buteleczkę tego winka postawiła przed nią przemyślna Marcysia.

— Panno Szczepańska, masz szczęście, siostrzeniec mój prawie nigdy nie obserwuje nikogo, a wzroku od panny nie odlepia — rzekła z niejakiem lekceważeniem do zakłopotanej dziewczynki.

— Musiałeś chyba, Pawle, upatrzeć podobieństwa do kogoś w pannie Marcjannie — wtrącił Marcelek i przestał uczeniwy spojrzeć uwielenienia tak żywe, jak przed chwilą przyglądał się karpiovi, po którym tylko oście na talerzu zostały.

— Tak jest, podobieństwo!

— Do kogo?

— Nie znaliście państwo tej osoby.

— Tośmy się dużo dowiedzieli, jak zwykle od pana Pawła — rzekła jejmość z głośnym uśmiechem, widocznie nakazującym, aby mu zawtórzono.

Jakoż Marcelek, kowal i jego córka natychmiast odezwali się chórem. Pawłowi rumieniec przebiegł po twarzy.

— Czy też ci nie zimno, panie Pawle? Zdaje mi się, że w płaszczu nie przyszedłeś, a pod paltonem nie masz tużurka ani fraka?

— Owszem, ciepło.

— Mama wie przecie, co to za zdrowie żelazne! — wtrącił Marcelek.

— To prawda! ale zawsze trzeba się szanować — dodała po chwili, patrząc jakby litośnie na wytarte palto, pomięty kołnierzyk siostrzeńca i zwracając natychmiast oczy na stary ubiór jedynaka. Za kierunkiem jej wzroku poszły znowu oczy gospodarza, córeczki i nie mogło im pomieścić się w głowie, skąd siostrzeniec pani Kontrolerowej, brat stryjeczny pana Marcelego, ma taki ubiór i tak jakoś wygląda, że można

było nań patrzeć i rozmawiać śmiało, jakby ze swoim: rzemieślnikiem lub rękodzielnikiem, stelmachem, siodlarzem, co najwięcej. Ludzie, odbierający pieniądze od rozmaitych osób za robotę, muszą sądzić o nich koniecznie podług ubioru, a przewija się jednak tylu kupujących, że nie mają czasu zastanawiać się; tylko sobie porównywają w myśli jednych z drugimi. Porównanie mogło tym razem wypaść tylko na korzyść Marcelka. Dla Szczepaniaka wyglądał przynajmniej na panicza, na syna bogatego szlachcica ze wsi, owego summum należności na naszej ziemi, a cóż dopiero w oczach córeczki!

Pani Gulmańcewicz, chociaż niedyspozyt, choć się gorzko słodko krzywiła na gościnne zaprosiny Marcysi, jadła jednak wcale nieźle, co się czasem kobietom w jej wieku przytrafia. Nie zaniedbała przytem lunelka, który przecie oddziałał skuteczniej na płynność jej mowy i humorek, ale tylko ona sama mówiła; drudzy z uszanowaniem słuchali. Popłynęły też niezliczone historie o wiljach, o wielkich domach, gdzie była guwernantką, ale o tem nie napomknęła, o wiljach we własnym domu, zaszczyconych obecnością tylu znakomitych dygnitarzy, o świetnych znajomościach, wykwintnych potrawach, ubiorach i t. p. Nie sympatyzowała niby z tem wszystkim, bo wystawności niby nie lubiła; owszem skromne, bogobojne życie, to jej cel i marzenie, ale wszystko naumyślnie czy też mimowoli tak nakierowała, żeby dać uczuć, co za ustąpienie łaskawe z jej strony, co za dowód dobrego serca, że przyjęła wilję u kowala Szczepaniaka, ona, u której kiedyś taki jegomość zaledwie śmiałyby stać w przedpokoju. Któryś Francuz powiedział, że niema tak głupiego człowieka, coby nie znalazł głupszego jeszcze od siebie wielbiciela. To prawda! Ale niema też człowieka, coby nie potrafił zaimponować drugiemu. Tutaj było to nawet bardzo łatwo, bo tylko przychylnych ujarzmić można zupełnie. Szczepaniak i Marcysia już tych odwiedzin nie pocztywali za łaskę, ale myśląc o nich z religijną czcią i obawą, nie uważali, jak wzrok i nos dostojnej pani błyszczał coraz żywiej i czepek zaczął się nieco na bakier zesuwać. Wytrawna dwórka spostrzegła jednak wkrótce, że lunelka w butelce zaledwie na parę kieliszków zostało i że sufit zaczął nad nią krążyć cokolwiek.

— Moja panno Szczepańska, czyby nie można lufcika otworzyć albo zakadzić, odór od kapusty strasznie mi działa na nerwy — szepnęła do Marcysi, — ale nie, nie otwierajcie lufcika, będzie cug, a kadzidła przyślę wam z góry, królewskiego kadzidła. Odprowadź mię, z łaski swojej, z Marcelkiem, chyba już nie zejde, bo doprawdy, jestem niedyspozyt. Dziękuję bardzo, panie Szczepański. Jak mi będzie lepiej, to bądźcie pewni, że wrócę.

— Wielmożna pani Kontrolerowo!

— W naszym wieku trzeba się już szanować, poczywiu majstrze! — dodała z widoczną łaskawością.

— Ach! Jaśnie wielmożna pani — odparł jak najpokorniej kowal, kłaniając się po wiejsku do stóp lokatorce. Chociaż mu żal było serdecznie, że odeszła, jakby mu jednak ciężar spadł z piersi i gwałtem prawie zatrzymał Pawła, co chciał wyjść z wujenką.

— Marcysiu! zróbcie no tam z Jakubową arbaty — zawołał do córki, wracającej właśnie z Marcelkiem. W oczkach tak jej coś mile błyskało... nauczyciel sprowadził ją pod rękę ze wschodów. — A harak jest? To dla panów arbaty z harakiem, a ja sobie palnę krupnika.

— I ja krupniku, jeżeli łaska — bąknął Paweł, przyglądając s kolejno Marcysi i bratu.

— Jakiego to krupniku? — skłamał zapytanie Marceli.

— Musiałeś przecie pić gdzie na wsi.

— To zaszkodzi panu Marcelowi, lepiej harbaty!

— Strzeżże mnie Panie! — mademoiselle Marceline, żadnej subjekeji dla mnie, bardzo proszę.

— Nic mu nie będzie, może się napić z nami — dodał Paweł.

— Choroba tam krupnik komu zaszkodzi! A panisko kochane widać to lubi, oto mi gość, mospanie! — rzekł Szczepaniak, patrząc z koleżeńskim porozumieniem i nieco jednak zdziwiony na Pawła.

---

V.

Z drugiej izby rozległ się śpiew z kilku głosów złożony, naprzód cichy, potem coraz głośniejszy. Piskliwe i chrapliwe gardło czyjeś, energicznie wydostając tony, przytłumiało zupełnie dźwięki towarzyszków.

— Kolędy! ach jak mnie to cieszy, kolędy! Pewno w tamtej izbie czeladź siedzi przy wilji — zagadnął Paweł.

— A juści! Choroba z tą Jakóbową, huczy jak trąba! — zawołał no, żeby gębę zasznurowała.

— A to poco? Owszem, niech śpiewają! Czemu im przeszkadzać — odparł Paweł.

Szczepaniak spojrział jeszcze bardziej zdziwiony.

— Czemuż nie razem z nami przy wilji?

— Albo im tam krzywda! Pamięta tam o nich Marcysia i Jakóbową. Nie bójcie się, panowie! Starczy dla nas wszystkich, starczy!

— Czy pan tak lubi, jak śpiewają kolędy? — zapytała, po raz pierwszy Pawła Marcysia, przekonana w duszy, że Paweł nie musi mieć wiele rozumu, albo też podehmiełił sobie nieco.

— Jakto nie lubić kolęd naszych?

— Z mojego brata, trzeba wiedzieć, wielki oryginał — młde Marceline! — szepnął Marcelek. Na ten wyraz oryginał, uśmiechnęła się nieco panienska, chociaż znaczenia nie zrozumiała. Po chwili zagadnęła nauczyciela:

— Co to jest oryginał?

— To taki dobry człowiek, qu'on peut rier de lui — odparł pedagog, dokończając mimiką wyrażenia.

Panienska uśmiechnęła się znowu, miała teraz Pawła za człowieka zupełnie głupiego.

— Nie odmówicie nam państwo, jak poprosimy! — zawołał nagle Marcelek.

— O co takiego, o co? — zapytali na wyscigi ojciec i córka.

— Czemu pozeciwi ci ludzie siedzą osobno w drugiej izbie? W dzień ten wszyscy powinniśmy być równi. Wszakże to pojutrze św. Szczepan, gdzie każdy sobie pan — mówił żywo,



powtarzając co do joty słowa Pawła, który go o to na ucho poprosił.

— A z duszyć sereca, onić przecie zawsze z nami, tego roku przy pani Kontrolerowej nie godziło się. Tylko choroba z tą Jakóbową!

— Chodźmy do nich! — wtrącił Paweł.

— A dyć oni tu wnet przyjdą — odparł Szczepaniak. Kulejąc, podszedł ku drzwiom i zawołał ostro: — Chodźcie tu, chłopaczki, wy małe tatałajstwo wara! Ino wy starsi! Józiek, ruszaj się, Maciuś, żywo, no i wy Jakóbowo prędej!

Maciuś, krewniak Szczepaniaka, był to sążnisty chłop. Od chłopaka terminował u majstra i wyzwolił się u niego. Nieco patrzył kluczykiem, twarz miał strasznie ospowatą, cerę żółtawą, bez rumieńców, jak wszysej ludzie pracujący przy ogniu, a choć i ruchy prawdziwie kowalskie, nagłe, przyskakujące, jakby zawsze w rękę trzymał obcęgi lub młot — i miał uderzyć rozpaloną szynę na kowadle. Pokłonił się gościom śmiało, lecz niezgrabnie — i stanął w kącie, dostając głową prawie do pułapu.

Józiek, czeladnik stolarski z tego samego domu, faworyt Szczepaniaka, spisywał mu rachunki i utrzymywał ksiązkę meldunkową. Średniego wzrostu, włosów ciemnych i miękkich, delikatnej cery, rysy tak miał regularne i piękne oczy, że gdyby nie spracowane spore nogi i ubiór niezgrabnie wiszący niepodobna go było na pierwszy rzut oka wziąć za rzemieślnika. Pokłonił się nieśmiało, nieco zgrabniej od Maciusia i zarumienił jak dziewczyna. Po chwili, przyjrawszy się Pawłowi, zbliżył się i całując go pokornie w ramię, zapytał z widoczną radością:

— Czy sobie pan profesor mnie przypomina?

— Poczekajno! A — przypominam, kiedym dawał lekcje w szkole rzemieślniczej. Józef Sierocki, zdaje mi się. Miałeś zdolności do matematyki i rysunków. Jakże ci idzie?

— A dyć szyje kożuchy, jak może, panie profesorze! — wtrącił Szczepaniak z coraz większem uszanowaniem dla gościa wytarto ubranego.

— Jakto kożuchy?

— A trumny robi, panie profesorze!

— Cóż mnie państwo tak niesłusznie tytułujecie?

— On ma lepszy tytuł, który i ja pewno będę miał wkrótce: pan budowniczy, — wtrącił Marcel, łowiąc w przelocie spojrzenie uczennicy, promieniejące uwielbieniem.

— A-noć i tamto słuszny tytuł, kiedy oto panisko pocziwie w szkołach arytymetyki uczyło, bardzo to pięknie młodemu uczyć drugich, mospanie. Józiek galańcie rachuje, a toć to uczeń pana profesora.

— Panie Marcel! jak po francusku pani profesorowa?

— Madame profeseresse — cichutko odszepnął.

— To jakoś nieładnie.

— Zupełnie brzydko.

— A pani budowniczoza jak?

— Madame architecture.

— A to pięknie jakoś.

— Zupełnie pięknie.

— A przenajśodsze imię Jezus! Przenajświętsza Panno Sokalska, trzy świece się palą, zgaścież no jedną, panienko! — zawołała, wchodząc nagle, Jakóbowa, siwiuteńka, czerstwa i jak burak rumieniutka babulka. Niewielkiego wzrostu, ale zato otyła prawie jak ś. p. Andrychiewiczowa, głos miała basowy, chropowaty, wатовany czepiec i na szlafroku jupkę wypłowiałemi lisami obszytą, co to czasem noszą stare możniejsze chłopki na wsiach, stare mieszcзки na prowincji po miasteczkach i u nas niektóre jeszcze przekupki. Obuła męskie buty z podkówkami i stukała niemi aż się szyby trzęsły.

— Oho, widzę, matula jeszcze głowę na karku czują.

— Aj, nie godzi się tak przed gośmi kompromityrować mnie, kumie Szczepanie! Delodwi, diwę, ferm la port, prezant arm, uwrlaport, mersi, bązur, marsz — rzekła do Marcelka, — przykładając po wojskowemu rękę do czoła.

— Skądże jej do głowy przyszły te francuskie wyrazy? — zagadnął Paweł z uśmiechem.

— Krzynę sobie dzisiaj bąbnęła — odparł kum Szczepan — tylko raz do roku babinie się zdarza. Niby to pojutrze, widzi panisko, moje imieniny, ale ho — ho ona z pół świata schodziła za wojskiem, była taką karczmarką, jak się to mówi?

— Wiwandjerka.

— Aha! To krewniaczka nieboszczki mojej żonki, wy-

piastowała oto Marcysię, ale choroba gdzie ona nie była. I w Niemczech, i we Francji, i w Ficzpanji. Matulu! byliście w Ficzpanji?

— O pewno, że byłam, to zdaje się we Francji albo tuż przy Francji. Niechże będzie pochwalony! Niech się dobrodziej nie gniewa, żem pierwej nie przywitała, — ale to człowiek tak się zagawędzi, że i zapomni o świecie — rzekła, zwracając się do Pawła i pocałowała go w ramię.

— Jakóbowa myśli, że pan ksiądz — zachichotała Marcysia.

Paweł nie nosił zarostu, włosy miał krótko ostrzyżone, wzrok zadumany i w sobie skupiony, twarz poważną z wyrazem spokoju i uległości, który zawsze prawie cechuje młodszych, świeckich księży, a do tego jeszcze w paltocie czarnym do góry zapiętym, z wąskim wywiniętym kołnierzykiem, — i wprawniejsze oczy niż Jakóbowej mogłyby się pomylić.

— Przenajświętsza Panno Sokalska! Nie gniewaj się jegomość. Boże mnie skarż, czym w złą myśli powiedziała.

— Nie gniewam się, moja matko! Już mi to nieraz mówili. Ale ponieważ taki podobny jestem do duchownej osoby, wyobraźcie sobie, że to was ksiądz prosi: dokończcie no kolędy, coście w tamtej izbie zawodzili.

— Przenajśodsze imię Jezu, czybym też śmiała?

— Pójdziemy i tak na pasterkę do franciszkanów, kolęd się naśpiewamy — wtrąciła Marcysia.

— A Przenajświętsza Panno! Ktoby tam mógł wyjść na taką zawieruchę. Taki wieher, że cisnąwszy jabłko, niewiadomo, skądby pies zaszczekał, <sup>1)</sup> choć tam po Bogu a prawdzie Marcechna tych czarów nie potrzebuje.

— Co to wam szkodzi, Jakóbowo, zaśpiewajcie; będziemy wam wszyscy wtórowali — zawołał śmiejąc się Marcelek i chcąc odwrócić uwagę przytomnych od Marcysi, która widocznie zmieszała się i zarumieniła

— Bien! très bon! en avant! marche! Zaśpiewajcie! Kiedy państwo tak lubicie kolędy, to juści niech panienka zaczyna!

---

<sup>1)</sup> Zwyczaj podczas wilji, tak jak topienie ołowiu i wosku w wilję św. Andrzeja. Dziewczyna nagryza jabłko i ciska, potem słucha, z której strony pies zaszczeka, stamtąd ma przybyć kochanek i mąż przyszedł.

Po usilnych prośbach Pawła, jakoś nie wywierających wielkiego wrażenia, rozkazie ojca i naleganiu Marcelka najskuteczniejszym, Marcysia powstydzila się, nawzdragala i nareszcie rozpoczęła głosem piskliwym, ale bardzo wysokim:

Anioł pasterzom mówił,  
Chrystus się nam narodził  
W Betleem...

Po tej kołodzie, której wszyscy wtórowali dosyć zgodnie nawet chłopaczki, kowalczyki z drugiej izby, i tylko jeden chropowaty głos Jakóbowej brózdził czasami, kum Szczepan zaintonował: „W żłobie leży;“ — potem Józiek pieśń Karpińskiego, którą już lud w wielu miejscach śpiewa: „Bóg się rodzi, moc truchleje“ — nareszcie na zakończenie Paweł wygłosił: „Święty Boże! święty mocny!“

Po tych śpiewach, a zwłaszcza po ostatnim, co nietylko dla tak zwanego ludu wiejskiego i miejskiego, u którego wiara i pobożność jest prawdziwą potrzebą serca. — ale dla wszystkich nas ma urok rzewny i swobodny zarazem, niewidzialne jakby technienie powiało po biesiadującej gromadce, porozumieli się, zbratali. Zwykle tak bywa, gdy myśl jaka, uczynek lub nawet chwilowe uczucie zjednoczą ludzi rozmaitych położeń, odcienie towarzyskie nie znikają, owszem uwłaściwiają się: każdy mniej więcej poczuje się sobą, lecz uzna i odda słusność drugiemu.

Maciś już nie tak niezgrabnie zasiadł do stolika, Józiek ośmielił się parę słów do Marcysi przemówić, nawet w nieznających oczach Marcelka, zaledwie może nieco filuternych, błysnął promyk szerszy i otwarszy. Jakóbową wniosła triumfalnie krupnik.

— A nie zapomnieliście tam, matko, dać krówce i konikom siana i owsa z pod stołu z tamtej izby, boście przecie nasypali?

— Bogać tam zapomniałam. Z Maciśiem nasypaliśmy i dali, kumie Szczepanie! Najedzą się, najedzą bestyjki i przemówią ludzkim głosem o północy. <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Znany przesąd ludowy, że bydetko w wilgę o północy ludzkim głosem się odzywa.

— Poczciwe panisko to to widać i po Bogu i po ludziom — Bóg zapłać, panie profesorze, a choroba... budowniczy! Prosimy do nas jak najczęściej, kiedy łaska... oto może jutro — zwrócił się kum Szczepan do Pawła.

— Przepraszam, majsterku poczciwy, nie mogę jutro.

— Nie bójcie się, państwo, starczy dla nas wszystkich, starczy, będzie indyk pieczony. Toć to brat pański, to nasz dobrodziej. Poczciwy, oto przestaje zapanbrat z prostymi ludźmi, a co uczony, to uczony! Marcysia po francusku tak już perle — perle.

— Po francusku? — zagadnął zdziwiony Paweł, któremu Marcel mówił, że ją tylko uczył pisać i czytać.

Albo to panisko nie wie?! Tak, tak i dzień w dzień na lekcji mało dwie godziny siedzi.

Paweł zadumał się i na chwilę nie spuszczał oka z Marcysi i kuzynka.

.....

Opracował G. KORBUT.

## WILKOŃSKI AUGUST (1805 † 1852)

i

## WILKOŃSKA Z LAUCZÓW PAULINA (1815 † 1875).

Ulubiony niegdyś, a i dziś jeszcze nie zapomniany ramotkarz. jeden z najbardziej typowych humorystów polskich ubiegłego stulecia, „chirurg filozofji“, „kawaler krzyża naturalnego“, „Łysina Chudeusz“, „literat od ciemnej gwiazdy“, „członek akademji pancanowskiej“, „kawaler wielkiej gwiazdy szlachectwa“ i jak tam jeszcze siebie nazywał ten pisarz, co pod formą lekką, pustą, często rubaszną szerzył szczytne ideały miłości ojczyzny i bliźniego. nie miał August Wilkoński, mimo pozorów beztroski i jowialności. jak to nieraz z humorystami bywa, wesołego życia. Ten, który bawił i śmieszył innych, częściej bywał pod wozem, niż na wozie: życie nie stało mu się po różach, lecz szło, jak po grudzie, grożąc raz po raz wykołojeniem na kamieniach i wybojach polskiego bytowania politycznego i literackiej biedy.

Urodził się Wilkoński w dn. 28 sierpnia 1805 roku w Kąkolewie pod Leszmem w Wielkopolsce. Uczył się zrazu w domu. potem w gimnazjum w Poznaniu, a od r. 1826 do 1828 uczęszczał na uniwersytet wrocławski. Chociaż wykształcenie odebrał niemieckie, do filozofji niemieckiej przekonać się nigdy nie mógł. a i polskim heglistom, gdzie mógł, łatkę przypiął. Zaledwie wszedł w lata młodzieńcze, zaczyna się burzliwy okres jego życia, zaczynają się i tarapaty, przeprawy z policją i sądami. W r. 1828. ujawszy się za swoim przyjacielem, T. Koszutkim, wyzwał i ciężko zranił w pojedynku oficera pruskiego, za co wytoczono mu proces karny. Jeszcze nie ukończyła się sprawa, a już widzimy przyszłego humorystę na innem, szerszem polu walki: w r. 1831 wstępuje do wojska polskiego. O udziale swoim w kampanji tego roku tak sam opowiada: „Pod Grochowem niosł chorągiew z napisem: „za waszą i naszą wolność“, pod W. Dębem zabrał, pod Iganiami zagwoździł działa, pod Ostrołęką, ciężko ranny, dostał się do niewoli, z której uszedł, izby na okopach Woli sypać ogień morderezy“. Pod Iganiami dostał kulę w nogę, przy kościele wolskim otrzymał postrzał w głowę i powtórnie dostał się do niewoli.

z której, jako tako uleczony, z nie wyjętą kulą w głowie, którą dopiero po trzech latach usunięto, wynędział, uszedł z Królestwa w strony rodzinne. Teraz spotyka go uśmiech losu. Pewnego razu w hotelu *Pod złotą kulą* w Poznaniu grono wesołej młodzieży z Wilkońskim na czele zabawiało się wesoło głośną deklamacją, śpiewem, naruszając spokój rezydujących w sąsiednim numerze dwu pań. Dowiedziawszy się o tem, Wilkoński pobiegł przeprosić nieznanym za hałas. Stąd wywiązała się znajomość: była to pani Lauczowa, wdowa po Karolu Lauczu, naddzierżawcy dóbr rządowych swarzędzkich pod Poznaniem, z 16-letnią córką Pauliną, dziewczyną inteligentną i uzdolnioną, choć nie posiadającą wyższego wykształcenia, jakiego nie mogły jej dać ni lektura i wychowanie domowe, ni pensja w Poznaniu. W dwa tygodnie potem August był już z wizytą u pani Lauczowej na wsi o milę od Poznania, a wkrótce zaręczył się z Pauliną, mimo oporu jego rodziny, której nie dogadzał nazbyt młody wiek narzeczonej.

Tymczasem groził Wilkońskiemu dawny proces o pojedynek, i nowy o uczestnictwo w r. 1831: otrzymał wyrok surowy, na 12 lat twierdzy. Poślubiwszy Paulinę, spędza z nią miodowe miesiące w więzieniu. Po czterech latach dopiero uzyskał Wilkoński ulaskawienie i udał się z żoną na wędrowkę po zagranicy. Ta podróż to chwila narodzin twórczości Wilkońskiej. „Tęsknota do stron rodzinnych — jak sama mówi — spowodowała, żem się w obczyźnie wzięta do pióra. Nie mając towarzystwa, stworzyłam je sobie w wyobraźni i przenosiłam te postacie i obrazy na papier. Pisałam na każdym noclegu, na każdym popasie — i tak się skleiła pierwsza powieść moja, „Helena“. August spoglądał na mnie z uśmiechem: czytywałam mu moje rojenia i był zadowolony, żem znalazła lekarstwo na chorobę tęsknoty“. August był istotnie dumny z talentu swej kochanej „Puchny“, jak ją pieszczotliwie nazywał, a potem, podczas pobytu w Warszawie, zabiegał o zamieszczenie jej utworów w pismach i wydawnictwach zbiorowych, przysyłał jej książki w upominku swym dostojnym przyjaciółom, np. Kraszewskiemu; ona zaś nawzajem słodziła mu dobrocią i łagodnością ciężkie nieraz chwile życia. Ale do drukowania prac młodziutkiej literatki nie zaraz jeszcze przyszło, a „Helena“ wraz z drugą powieścią, „Wróżką“, ukazała się dopiero w r. 1855 w Lublinie.

Okolo r. 1835 Wilkońscy przybywają do Królestwa, jakiś czas mieszkają u braterstwa, Klemensostwa Wilkońskich, w Górninie i u wuja Zadolskiego we wsi Bąkowcu; potem August bierze w dzierżawę należącą do dóbr sieciechowskich wieś Garbatkę w Sandomierskiem, pod Czarnolasem, a potem wieś Tyniec, o dwie mile od Radomia. I tak mijają im cztery lata. Gospodarstwo szło dość kulawo, jako że Wilkoński, człowiek wesoły i towarzyski, więcej jeździł po sąsiedztwach i przyjmował gości, zbierając wzorki

do przyszłych swych ramotek, niż pilnował gumna i śpichlerza; pani Paulina zaś czas, zbywający od obowiązków życia towarzyskiego, poświęcała lekturze powieści George Sand, „czarownym piórem nakreślonych“, i romansów angielskich, których ton sentymentalny przypadła jej do smaku. Tak oboje przygotowywali się do przyszłego zawodu literackiego. Jako rys dodatni Augusta, należy zaznaczyć jego serdeczny stosunek do chłopów, których był ojcem i opiekunem, dając wzór okolicznej szlachcie. A dowiedziawszy się o ciężkiem położeniu materialnem swego dawnego nauczyciela, J. F. Królikowskiego, autora „Prozodji polskiej“, Wilkoński pojechał po niego do Warszawy, wyszukał go i zabrał z sobą do Garbatki, gdzie stary profesor bawił przez trzy kwartały. On to podobno zachęcił Paulinę do wytrwania w zawodzie piśmienniczym: jak świadczy Wójcicki, „czytała mu pierwszy swój utwór, „Helenę“, a on zachęcał ją, by na tle domowego życia osnuwała utwory, i widząc ją zajętą obowiązkami gospodyni lub szyjącą czepeczek, siał i z uśmiechem pytał, którą bohaterkę lub bohatera ma na myśli.

W roku 1840 widzimy już oboje Wilkońskich w Warszawie. I odtąd zaczyna się nowy okres w ich życiu, poświęconem od tej chwili wyłącznie pracy literackiej. Kierunek myśli i pojęć zbliżył Augusta do umiarkowanie postępowej „Biblioteki Warszawskiej“, którą właśnie zakładał w r. 1841 Antoni Józef Szabrański, późniejszy tłumacz „Pieśni o Nibelungach“. W tym pierwszym właśnie roczniku nowego miesięcznika znalazła się słynna ramotka, pierwsza z ich długiego szeregu, „Wspomnienie szkolne“, a za nią poszły inne, budząc powszechne zajęcie i jednając swemu autorowi rozgłośną famę pierwszego w kraju humorysty. Kiedy w r. 1844 objął redakcję „Biblioteki“ przyjaciel Wilkońskich, K. Wł. Wójcicki, ramotek zaczęto ukazywać się w tem piśmie coraz więcej. Jednocześnie bierze chrzest druku i pani Paulina: pierwszą jej powiastkę, p. t. „Zasłona księżniczki Elizy Radziwiłłówny“, drukuje wydawany pod redakcją Pauliny Krakowowej i wypełniony wyłącznie utworami piór kobiecych „Pierwiosnek“, drugą, „Rozynę“ — „Biblioteka Warszawska“, dwie następne, „Ucieczkę“ i „Annę“ — „Echo“ E. Chojeckiego, dodatek literacki przy „Gazecie Warszawskiej“. W r. 1841 ukazał się pierwszy zbiorek jej powiastek, p. t. „Wies i miasto“, w następnym roku — dwutomowy zbiorek „Powieści“ i, osobno, „Hanna z Grzymałowa“ i „Natalja“; po nich przyszły nowe powieści i opowiadania, przyjmowane przez krytyków dość chłodno, ale dobrze odzwierciedlające nastroje i pojęcia polskich kół umiarkowanie postępowych między rokiem 1840 a 1848: tak więc występowała Paulina przeciw przesądom kastowym, broniła godności ludzkiej przeciw konwenansom świata, pragnęła względnej wolności dla chłopów w postaci oczyszczenia i zaradczej opieki ze strony dworu, ochronki, szpitala, szkółki wiejskiej i t. d. Umiar-



kwane jej stanowisko w sprawie emancypacji kobiet nie dozwoliło jej zbliżyć się do grona entuzjastów i entuzjastek, z których krainowościami nie sympatyzowała. Pierwszy cykl „Ramoł i ramotek” Wilkońskiego, w czterech tomach, i jedyny przytem za jego życia, wyszedł w r. 1845—6 w Warszawie, złożony z utworów, drukowanych w „Bibliotece Warszawskiej”, której kierunek najlepiej mu zrazu dogadzał. Nienawidził wprawdzie „ukraińskich gorliwców katolickich”, w rodzaju Grabowskiego, Rzewuskiego, Chołoniewskiego, „arystokratów, jezuitów ukraińskich”, którzy „pod osłoną rodowych przyczyn enych wieki średnie, przez ludzkosć wyklęte, z wyobrażeniem feudalizmu, barbarzyństwa i ciemnoły napróżno a niegodnie wskrzesić usiłują”, i „haniebnych zasad” wstecznych pani Ziemęckiej, z której w listach drwi niemilosiernie, ale i wyszydza owoczesną warszawską lewicę literacką, cyganerję: Skimborowicza i „rybaka” Zmorskiego, których nazywa „trutniami”, „hul-tajami”, „pędrakami” za to, iż ośmielili się krytykować „Bibliotekę”, błaga Szabrańskiego, by mu otworzył łamy dla ostrej polemiki, i gniewa się na „cygańskie paszkwile”. Ale już pod koniec 1842 r. ostygł dla „bibliotekarzy”, gotów był wejść w porozumienie z „Przeglądem Naukowym” Skimborowicza, a o jego głównym filarze, gorącym demokracie, Edwardzie Dembowskim, wyrażał się, że należy do „najszlachetniejszych ze współczesnych”. Czas, wolny od zajęć literackich, pochłaniało Wilkońskim, jak niegdyś na wsi, życie towarzyskie. Pani Paulina w ciekawych niezmiernie „Moich wspomnieniach o życiu towarzyskiem w Warszawie” (Poznań, 1871), daje wymowny obraz tego wiru zabaw towarzyskich, zebrań, przyjęć w salonach literackich, w którym znaleźli się oboje małżonkowie w Warszawie. Piątki u pani Katarzyny z Lipnickich Lewockiej, poniedziałki u Niny Łuszczewskiej z produkcjami utalentowanej improwizatorki, młodzietkiej Deotymy, czwartki u Kazimierzostwa Wójcickich, niedziele u państwa W. A. Maciejowskich, wreszcie przyjęcia „u nas” niemało zabierały drogiego czasu. Zato poznali całą owoczesną literacką Warszawę. Wszystko, co zaliczało się do inteligencji stołecznej, przewija się przez te wspomnienia: J. I. Kraszewski, H. Rzewuski, A. Szabrański, K. Wł. Wójcicki, W. A. Maciejowski, J. D. Minasowicz, M. Baliński, F. S. Dmochowski, O. Kolberg, J. Kremer, H. Lewestam, Antoni Czajkowski, Karol Baliński, A. Muczkowski, St. Jachowicz, Al. Tyszyński, J. Paszkowski, Dominik Szulc, Al. Niewiarowski, Tymoteusz Lipiński, J. B. Dziekoński, Romuald Podbereski, Hipolit Skimborowicz, Edward Dembowski, Dominik Magnuszewski, Edm. Chojecki, Edward Żeligowski, Cyprjan i Ludwik Norwidowie, Teofil Lenartowicz, Roman Zmorski, S. Filleborn, Narcyza Żmichowska, Włodzimierz Wolski, Korneł Ujejski, Deotyma, Felicjan Falański, Adam Pług, Wacław Szymanowski, artyści, ziemianie, dawni urzędnicy, dawni wojskowi, cały ten długi szereg postaci, reprezentu-

jących najróżniejsze obozy polityczne, społeczne i t. d., spotykamy w tych „Wspomnieniach“.

Znajdując sympatję i uznanie w licznych kołach czytelników, szczerze i wesoło bawiących się coraz to nowemi ramotkami, sam ramotkarz ciężkie nieraz miał kłopoty. Wiecznie potrzebujący grosza, nie umiejący stosować normy wydatków do nieregularnych zresztą dochodów literackich i zapomóg, jakie otrzymywał od rodziny, wpadł Wilkoński w szpony lichwiarzy żydowskich. Często nie było wprost na obiad i nieszczęsny ramotkarz zmuszony był pisać drwiąco-łzawe supliki do redaktorów o pożyczkę lub zaliczkę, bodaj w rozmiarach — rubla czy „pięciu złotych“. Gorzej jeszcze: bywało, że Wilkoński krył się pod obcym nazwiskiem w Hotelu Saskim, by nie paść ofiarą wierzyteli, którzyby go chętnie bardzo zobaczyli w więzieniu dla niewypłacalnych dłużników na Lesznie. Plany wydawania własnego czasopisma narazie zawodziły: w r. 1842 zamierzał wydawać Wilkoński dwa tygodniki ilustrowane, z karykaturami, „Upiór Literacki“ i „Dziennik dla kobiet“; zawczasu zamówił stałe współpracownictwo znanego sobie wówczas tylko z korespondencji Kraszewskiego, poprosił Cypriana Norwida o winjetę tytułową, przygotował do druku kilka numerów, ale ostatecznie władze przypomniały sobie jego udział w powstaniu, jego pojedynek i odmówiono mu koncesji. Tymczasem, by zaspokoić żywą potrzebę swobodnego, nie pod cenzurą, wypowiedania swych myśli, grono literatów, bywających u Wilkońskich, zawiązało na wzór dawnych wolnomularzy i „szubrawców“ wileńskich, stowarzyszenie p. n. „cechu głupców“, którego Wilkoński był prezesem, ze stopniem uczonym „najgłupszego“: na zebrania przynoszono humoreski, anegdoty i t. p., które odczytywano wspólnie. Ale w r. 1846, w obawie rewizji, zniszczono całe to cenne niewątpliwie archiwum. Z tych zebrań wyłonił się „Dzwon Literacki“, redagowane przez Wilkońskiego wydawnictwo perjodyczne, którego w okresie lat 1846—1849 wyszło 6 tomów (oddział pierwszy zawierał cztery tomy, oddział drugi — z zamierzonych czterech — tylko dwa). Najbliższymi współpracownikami Wilkońskich w redagowaniu „Dzwonu“ byli J. B. Dziekoński, T. Lenartowicz, Wł. Wolski, J. Kenig, Walenty Zakrzewski, Al. Niewiarowski, Józef Ćwierczakiewicz, H. Lewestam, Ludwik Zejszner, Józef Paszkowski, W. A. Maciejowski, Piotr Dubrowski, prof. Jastrzębowski, Winc. Smokowski, Karol Bachman, Oskar Kolberg, Feliks Zochowski, dr. Dworzaczek, Juljan Bartoszewicz, Kar. Baliński, Michał Muczkowski, Seweryna Pruszkowa, honorowi redaktorowie: K. Wł. Wojeicki, Karol Witte, Antoni Lesznowski i inni. Ci też autorowie wypełniali swemi pracami naukowemi, literackiemi, sprawozdawczemi i t. p. zeszyty „Dzwonu Literackiego“. Sam Wilkoński zamieszczał tu, prócz kilkunastu ramotek, kilka sprawozdań, a raczej notatek o ukazujących się świeżo wydawnictwach (m. inn. o „Kollokacji“ Korze-

niowskiego, o „Jordanie” Sowy Żeligowskiego, pani Paulina — kilka obrazków i opowiadań. W końcu drugiego tomu drugiego oddziału „Dzwonu” czytamy następujące zawiadomienie od redakcji: „Z powodu nieprzewidzianych okoliczności” oddział drugi zawierać będzie tylko 2, a nie 4 tomy.

Te „nieprzewidziane okoliczności” to druga przełomowa chwila w życiu naszego humorysty. Niedosć mu było biedy literackiej; niedosć niechęci towarzyszków po piórze (Kraszewski np., którego Wilkoński poznał wreszcie osobiście podczas jego pobytu w Warszawie w r. 1847 i któremu poświęcił popularną ramotkę p. t. „Kraszewski w Warszawie”, miał do niego ukryty żal za niedosć pochlebne recenzje w „Dzwonie”); niedosć żywej nieprzyjaźni tych, którzy byli ośmieszeni lub bali się być ośmieszonymi w ramotkach: tak np. w r. 1844 Wilkoński zażądał od redaktora „Biblioteki Warszawskiej”, Wójcickiego, zwrotu rękopisu jednej z ramotek, pisząc przytem w liście, co następuje: „Dość już mam nieprzyjaciół i nie chcę licznej rodziny Durniewskich przeciw sobie wywoływać. Po napisaniu artykułu o Oślikowskich i odebrałem i mam jeszcze na pamiątkę arkuszowe bezimienne paszkwile! Niechajby się teraz Durniewscy z Oślikowskimi połączyli, mógłbym popaść w jakowe nieszczęście, bo *nec Hercules contra plures*. Proszę więc, zwróć ową ramotę — napiszę inną o Hotentotach”. Trzeba było nowej sprawy politycznej i nowego uwięzienia, by tem więcej pogłębić nieszczęsnego ramotkarza.

Wilkoński, nie sprzyjający krańcowym dążeniom społecznym entuzjastów, chociaż pelen szacunku dla Edwarda Dembowskiego, daleki był od działań konspiracyjnych. Aresztowanie jego było raczej dziełem przypadku. W r. 1848 przybyła do niego pod obcym nazwiskiem niejaka Józefa Majchrowiczówna, trochę awanturnica, trochę manjaczka. Podawała się za wdowę po oficerze rabacji 1846 r., kazała się wozić to do Suwałk, to do Siedlec, a kiedy ją potem, wędrującą po Królestwie bez widocznego celu, aresztowano, powiedziała, że przywiozła Wilkońskiemu do Warszawy proklamację straconego we Lwowie spiskowca, Teofila Wiśniewskiego, wydaną po jego śmierci przez jego przyjaciół, a także listy od emigrantów-rewolucjonistów. Aresztowano Wilkońskiego w dn. 28 września na rozkaz oberpolicmajstra Abramowicza, a na Nowy Rok przewieziono z Ratusza do Cytadeli. A chociaż nie znaleziono żadnych bezwzględnie dowodów na poparcie kłamliwego oskarżenia Majchrowiczówny, Wilkoński przesiedział kilka długich miesięcy w twierdzy warszawskiej, zanim otrzymał wyrok, skazujący go na rok więzienia w Zamościu, gdzie położenie jego znacznie się polepszyło: przychodził na całe dnie do wynajętego umyślnie przez żonę mieszkania, mógł sprowadzać sobie i czytać książki i t. d. Ciężkie chwile przechodziła Paulina w tym okresie przełomowym ich wspólnego życia: niepokój o losy męża, audjencje u dostojników mo-

skiewskich, krótkie chwile urzędowych widzeń z Augustem w więzieniu — oto co wypełniało jej dnię. Przytem rozchorowała się ciężko na zapalenie płuc i tyfus i ledwo powróciła do zdrowia. Kiedy „Dzwon Literacki” przez uwięzienie Wilkońskiego został zawieszony, a „Przegląd Naukowy” również przestał wychodzić, bo Hipolit Skimborowicz też siedział w cytadeli, namawiano Wilkońską, by dla ożywienia stłumionego ruchu literackiego podjęła jakie wydawnictwo zbiorowe: rozpisała listy do znajomych literatów i zaczęła gromadzić materiały do „Wiązanki”, która wyszła jednak dopiero znacznie później, w r. 1858, w Poznaniu (w 2 tomach).

Od powrotu w r. 1850 z Zamościa do Warszawy Wilkoński bardzo się zmienił, tak pod względem fizycznym, jak i duchowym: stracił na humorze, przestał już pisać, a i pojęcia jego i przekonania polityczne przesunęły się znacznie w kierunku konserwatywnym. Dowodem tego objęcie przez Wilkońskiego redakcji stworzonego przez Rzewuskiego „Dziennika Warszawskiego”. Wilkoński zgodził się na propozycję autora „Listopada”, ale pod warunkiem, że sam dobierze sobie współpracowników. Powołał więc do redakcji: Juliana Bartoszewicza, Walentego Zakrzewskiego, Wacława Szymanowskiego, Henryka Lewesstama, Wagnera, a na sekretarza — Konstantego Waligórskiego. Posiedzenia odbywały się u Wilkońskich w niedzielę; przychodzili na nie: Korzeniowski, Wójcicki i inni. Mimo zmiany przekonań nie zapanowała jednak nigdy zupełna harmonja między Wilkońskim a Rzewuskim: Wilkoński zamieścił w „Dzienniku” zaledwie jedną ramotę i wyrażał głośno niezadowolone z powodu artykułu Rzewuskiego „O religji i cywilizacji”. Wtem, bez widocznego powodu, otrzymał Wilkoński w r. 1851 rozkaz opuszczenia Warszawy i Królestwa w ciągu 24 godzin. Starania przyjaciół u ks. Paszkiewicza tyle sprawiły, że uzyskano sześciodniową zwłokę dla załatwienia spraw osobistych. Mówiono powszechnie, że Rzewuski mógłby wszystko odrobić, ale nie zechciał: powtarzano nawet słowa oberpolicmajstra Abramowicza: „To Rzewuski wam zrobił!”. Ile w tem jednak prawdy, trudno zbadać.

Z wyjazdem z Warszawy konczy się literacka działalność Wilkońskiego. Działalność ta zamyka się w czterech tomach „Ramot i ramotek”, wydanych w r. 1845 i 1846 w Warszawie (następne wydania, zupełniejsze, wyszły już po śmierci autora w 5 tomach w r. 1861—2 w Poznaniu, z życiorysem pióra K. Wł. Wójcickiego, oraz w r. 1872—3 w Warszawie, również w 5 tomach, z biografią Wilkońskiego, skreśloną przez W. Szymanowskiego). Na czele tomu I Wilkoński położył wymowne motto: „W usmiechu każdym zaparłem siebie, zaparłem gorycz, com ją wciąż pił; raz tylko jeden na mojem niebie promyk radości jasno się lśnił”. Tom III poprzedza żartobliwa dedykacja: „Wielce uczynnemu Jankłowi Magenfish, wspierającemu piśmiennictwo krajowe, w dowód wła-

ściwej wdzięczności ten drugi oddział Ramot i ramotek literackich przypisuje". W ramotach swych Wilkoński krytykuje przedewszystkiem wady i ułomności szlachty: pijanstwo, obżarstwo, karcmarstwo, ciemnotę umysłową (nie można namówić nikogo z obywateli na zaprenumerowanie za 20 złp. cennego dzieła historycznego), wyzysk chłopów, gorzelnie i propinacje, bezmyślną rozrzutność przecierających się w Warszawie panieży, łowców posagowych, złe wychowanie młodzieży przez guwernerów-Francuzów, dziewcząt przez rozliczne panny Chourgotte, wszystkie te przywary i śmiešności, szeroko rozgałęzione wśród rodzin Durniewskich, Oslikowskich, Byezykowskich, Cielątkowskich i t. p. Niemniej wyszydza dorobkiewiczów, co, z ekonomów, kowali i gorzelanych dorwawszy się majątków, puszą się i dmą swem udaniem szlacheństwem Kukawka-Kukasińskich i Kafarek-Kafarkowskich. Na gruncie warszawskim śmieszy go pretensjonalność salonów literackich, szermowanie źle zrozumianemi terminami filozofji niemieckiej, fałszywie pojęta emancypacja i grafomaństwo, które nazywa to „kotowaczną literacką", „to wściekłą literacką", to znów „mdłościami literackimi". Jego ideałem jest serdeczny, ojcowski, patryarchalny stosunek dworu do chaty: zakładanie po powiatach stowarzyszeń agronomicznych, po wsiach — szkółek, ochron, bibliotek, pomoc sąsiedzka w razie potrzeby oto cel jego marzeń demokratycznych. O potrzebie uwolnienia i uwłaszczenia chłopca nie wspomina nigdy. Wprowadza wprawdzie w kilku ramotach szlachetne postacie ludowe, ale te przedewszystkiem wychodzą z swojej sfery, a potem są tak blade, że nie mogą budzić wiary w swoją prawdziwość. W ramotkach występuje Wilkoński, jako demokrata umiarkowany, pragnący poprawienia doli ludu, bez przewrotu atoli społecznego, jako satyryk, śmiało karcący wady najmożniejszej klasy narodu, jako humorysta, na dzisiejsze wymagania może nieco za nudny i za rubaszny, ale w owe czasy najprzedniejszy i najchętniej słuchany. W tej wesołości bez troski, jaka promienieje z ramot, trudno dopatrzeć się owej „goryczy", której życie nie oszczędziło ramotkarzowi, i dopiero biografia ukazuje nam odwrotną stronę tego dziwnego żywotu.

Z chwilą opuszczenia Warszawy Wilkoński już był złamany na duchu i na ciele. Śmierć ukochanego brata Klemensa, zgasłego w dniu 4 lutego 1851, którą August odczuł boleśnie i gorzko opłakał, dokonała reszty. Nie na wiele się przydał wyjazd do Karlsbadu, ani też powrót do stron rodzinnych do Siekierok pod Swarzędzem. Były zamierzenia wydawania nowego cyklu „Pokrzyw literackich", niby dalszego ciągu ramot; zostały ukończone dwie, zaczęte w Warszawie pokrzywki: „Kubuś się przeciera" i o „Dorobkowiczach". Ale życie już gasło. Dobiły nieszczęsnego humorystę nিকেzemne potwarze, które nie oszczędziły żołnierza z pod

Igań i Ostrołęki i dwukrotnego więzienia. Na kilka miesięcy przed zgonem, dn. 23 sierpnia 1851 r., pisze on z Siekierok do Wójcickiego: „Wszystkich naszych łaskawych przyjaciół i życzliwych najwdzięczniejszem sercem pozdrawiam; a dla tych, którzy mnie niegrzecznie wspominają, ślę przebaczenie, mojemu sercu właściwe, wychodząc z owej chrześcijańskiej zasady: „Przebacz im, Panie, bo Augusta nie poznali i osądzili z pozoru, z ciasnych okoliczności, a nie z serca, które przedewszystkiem zawsze pragnęło i pragnie szczęścia bliźnich“. Do gorączki nerwowej, wywołanej cierpieniami moralnemi, przyłączyły się zapalenie płuc i febra i sprowadziły zgon dn. 4 lutego 1852, w pierwszą rocznicę śmierci brata Klemensa. Spowiadał Wilkońskiego na śmiertelnem łożu ks. Łobodzki, skazany w r. 1848 w Berlinie na śmierć za udział w ruchu wolnościowym. Pochowany w tychże Siekierkach. Nikt nie chciał wierzyć w śmierć ulubionego humorysty; wszyscy myśleli, że szuka on w ten sposób tematu do nowej ramoty. Tak w tem życiu dziwnie spletał się złoty humor z goryczą smutku i niedoli.

Paulina przeżyła swego męża o lat 23. Pisała dużo i chętnie była czytowana, zwłaszcza przez kobiety. Ale na utworach jej po r. 1850 znać ślad ogólnej reakcji w kraju: autorka, jak świadczy Chmielowski, rozmiłowała się w „posągowo pięknych w swej starości miniaturowych Mohortach“, w „ideałach zacnych, rozsądnych, serdecznych matron“, podkreślała „kontrast pomiędzy hulaszczem, bezmyślnem życiem płoczej Warszawy za czasów pruskich, a pełnym cnót patryarchalnych żywotem na prowincji“. Zjawiają się typy rozumnych arystokratów, dobrych dziedziców, kobiety nie marzą już o emancypacji pod jakimkolwiek względem, ale są bierne i zrezygnowane. Ciekawy jest z tego okresu „Obrazek poznański“ (1871), jeden z pierwszych w beletrystyce polskiej głos, ostrzegający przed zgubnem skutkami germanizacji i utraty ziemi w Poznańskiem. Poniósłszy znaczne straty majątkowe, musi utrzymywać się w ciągu ostatnich dziesięciu lat życia z pióra, pisze więc dużo, bezbarwnie i rozwlekle, tłumaczy z obcych języków i t. p.; na krótko np. przed śmiercią, z gramatyką angielską i słownikiem w rękę, bierze się do przekładu „Chaty wuja Toma“ i jakiegoś romansu angielskiego. W poglądach jej w ostatnich latach życia zachodzi pod wpływem budzącego się po r. 1855 ruchu umysłowego w Królestwie korzystna zmiana: tak np. w pojęciach swoich o emancypacji kobiet powraca Wilkońska do swego *credo* z przed r. 1850. Zmarła dn. 9 czerwca 1875 r. w Poznaniu.

## BIBLIOGRAFJA.

A) Utwory Wilkońskiego: Pierwsze wydanie „Ramoł ramotek literackich“, w czterech tomach, wyszło jeszcze za życia autora, w r. 1845—1846, w Warszawie; drugie — po jego śmierci, w 5 tomach, w r. 1861—1862, w Poznaniu, z życiorysem autora, skreślonym przez K. Wł. Wójcickiego; trzecie, też w 5 tomach, w Warszawie, z życiorysem autora, przez W. Szymanowskiego, w r. 1872—1873. Później poszczególne ramoty, jako też i wybory ich były niejednokrotnie przedrukowywane w różnych wydaniach popularnych („Biblioteka Powszechna“, „Biblioteka Uniwersytetów Ludowych“, „Książki dla wszystkich“ i t. d.).

B) Utwory Wilkońskiej: „Wies i miasto“, obrazy i powieści, 2 tomy, Warszawa, 1841; „Hanna z Grzymałowa“ i „Natalja“, Warszawa, 1842; „Powieści“, 2 tomy, Warszawa, 1842 (Hanna, Natalja, Zgliszcza, Chłopka, Anna i inne); „Za późno! i jeszcze dość wczesnie“, 2 powieści, 3 tomy, Warsz., 1846; „Poranki i wieczory, obrazy, szkice i powieści“, Warsz., 1847; „Tak się dzieje“, powieść, 2 tomy, Wilno, 1848; „Godzina rozrywki“, zbiór powieści, 2 tomy w jednym, Warsz., 1849 (I — Marja Wrzostkówna, powieść, Skutki wychowania, powieść; II Idjotka, Białe róże, Po namyśle, Stracone złudzenia, Córka leśnika, Gawęda pani Sierżchulinej, Dwa ustępy z życia nieznanego wieszczka); „Wawrzyna“, powieść, Warsz., 1851; „Helena“ i „Wróżka“, powieści, Lublin, 1855; „Różni ludzie“, powieść, Warsz., 1855, 2 tomy; „Snopek literacki“, dzieło zbiorowe, Poznań, 1857; „Obrazek poznański“, Lipsk, 1857; „Irena“, powieść, Poznań, 1857; „Pani Podkomorzyna“, powieść, Poznań, 1857; „Pisma“, w dziewięciu tomach, Poznań, 1858—1863, (I Pan Wojski, II—III Fata morgana, IV—VI — Skalińce; VII. Na pograniczu, VII—X — Kazimira); „Powieści, w 2 tomach, Warsz., 1859; „Mrowin i Trock“, powieść, 2 tomy, Warsz., 1863; „Gałązka cierniowa“, powieść, 1866; „Dziedziczka Czarnolic“, powieść, Lwów, 1867; „Dziedziczka Jodłowca“, powieść, 2 tomy, Warsz. 1867; „Dziedzic Orłowa“, powieść, Toruń, 1868; „Wnuk, czyli precz z przesądem“, powieść, Toruń, 1868; „Kilka pereł, szkic, Toruń, 1869; „Macocha“, powieść, Warsz., 1869; „Dziś“, powiastka, Poznań, 1870; „Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem w Warszawie, Poznań, 1871; „Za posagiem“, powieść, Lwów, 1871; „Opactwo grodzieckie“, powieść, Lwów, 1872; „Obrazek święty“, komedyjka w I akcie, Lwów, 1872; „Na dwóch krańcach“, powieść, Lwów 1873; „Powołanie“, powieść, Lwów, 1874; „Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem na prowincji w Kongresówce“, Poznań, 1875; „Na teraz“, powieść, Lwów, 1876,

C) O Wilkońskim pisali: 1) Wójcicki K. Wł. August Wilkoński („Biblioteka Warszawska“, 1857, toż przy wydaniu „Ramoł i ramotek“ z r. 1862); 2) Szymanowski W. Życiorys

A. Wilkońskiego (przy wydaniu „Ramot“ z r. 1873); 3) Gawalewicz M. Au. Wi. („Sylwetki i szkice literackie“, Kraków. 1888); 4) Bartoszewicz K.: Wilkoński i Kraszewski („Przegląd Literacki“, 1897); 5) Kraszewski Kaj.: Wspomnienia o Auguście Wilkońskim („Humoreski“, Warszawa, 1909); 6) Wilkońska P. Moje wspomnienia (p. wyżej), Listy Wilkońskiego do Kraszewskiego: w „Przeglądzie Literackim“ z r. 1897 i w „Echu Artystyczno-literackim“ z r. 1913, zeszyt 11—12.

D) O Wilkońskiej pisali: 1) Korotyński W.: Paulina Wilkońska („Tygodnik Ilustrowany, 1875); Chmielowski P.: Literatka polska z przed pół wieku („Tygodnik ilustrowany“, 1894, t. I); Lewestam F. H.: Paulina z Lauczów Wilkońska („Kłosa“, 1875).

### A) „Ramoty i ramotki“ A. Wilkońskiego.

(1861—2)

a) Nadzwyczaj rzadka w kraju naszym osobliwość.

(Ramoty i ramotki wyd. Wł. Wójcickiego, Poznań, 1861 2 t., V, str. 47—65).

W miesiącu maju bieżącego roku 1847 odwiedziłem zacnego obywatela w powiecie Stanisławskim nad rzeczką Liweem. Uprzejmość i szczerą gościnność, widok porządku i ładu w gumnach, we wsi i na polu miłe zbudziły uczucie.

Cały ranek spędziliśmy na oglądaniu inwentarzy, zasiewów, nowych budowli i na przyjemnej pogadance. Około południa poczęli się zjeżdżać sąsiedzi i sąsiadki, był to dzień rocznicy urodzin, w prawdziwym znaczeniu tych wyrazów, czeigodnej matki obywatelki, gospodyni tego domu. Z każdą chwilą zwiększało się nasze towarzystwo i przy drugim śniadaniu naliczyłem osób trzydzieści.

— Któż jest ta pani w atlasowej sukni?...

— Pani S... wdowa, dziedziczka Jagnięcej Woli.

— A ten jegomość łusy?...

— Dzierżawca z Pestkowa.

— A ten wysoki tłusty pan z nosem czerwonym, który konfitury łyżką stołową uprzęta?

— To jest dziedzic Lisiego Krza, obywatel bardzo majątny...

— A ta panna mocno usznurowana, czyjaż to córeczka?...

— To jest córka tej pani, która się w zwierciadle przegląda.



— A ta druga panienka?..

— To jest córka pułkownika K..., który tak starannie przepolszczył Wyzwoloną Jerozolimę Torquata Tassa.

— Pogodnem i szlachetnem jest jej ócz spojrzenie.

— Innem być nie może, bo pogodną i najszlachetniejszą jest jej dusza, a oczy są wiernem duszy zwierciadłem. W majątku swoich rodziców otworzyła szkółkę wiejską i w tej szkółce jest od lat kilku pilną i najgorliwszą nauczycielką. Z jej ust nie posłyszysz terminologii filozoficznej, pomimo że jej naukowe ukształcenie wysokiego doszło stopnia; ale to naukowe ukształcenie skierowała nie do słów, uczenie, górnio brzmiących, lecz do najszlachetniejszego na ziemi czynu, do umiłowania ludu wiejskiego, do hodowania młodych latorośli w chrześcijańskim ogródku, jej wolą stworzonym.

— To jest nadzwyczaj rzadka, a bez zaprzeczenia najznakomitsza i najszlachetniejsza w kraju naszym osobliwość.

Wy wszystkie pseudopostępowe, do urojonej, do niezrozumianej emancypacji wdychające pseudofilozofki, okryjcie się rumieńcem wstydu przed tym przeczystym wzorem chrześcijańskiej dziewicy.

Tem krótkiem wspomnieniem składając publiczną cześć Ludwice, nauczycielce szkółki wiejskiej, pytam nawiasem (bardzo lubię nawiasy) tego wysokiego tłustego pana z czerwonym nosem, który stołową łyżką konfitury zajada, po zł. 60 sukno angielskie kupuje, batystem nos uciera, wyłącznie paryskie czyta romanse, przez złote okulary świat ogląda, a na niewdzięczność ludu wiejskiego utyskuje, jakżeż po dziś dzień wywiązałeś się, uprzywilejowany panie, z duchowego obowiązku względem ludu wiejskiego? He? gadajże przecież!

— Moi ludzie nie pomarli z głodu i na kark im nie ciecze.

— Dla zwierząt pasza i obora wystarczają; człowiekowi, bliźniemu nie uchylajmy praw najwyższych, praw Boskich.

b) Co znaczy, gdy młodzieniec jest dobrze, gdy jest bardzo dobrze i gdy jest skończony.

Wiadomość, w lepszych, ale w nie najlepszych towarzystwach schwycona i stylem grubjańskim <sup>1)</sup> opisana przez Au. Wi. ch. fil.

(Ramoty i Ramotki, wyd. K. Wł. Wójcickiego, Poznań, 1881-2, tom V, str. 59—66).

Bywając niekiedy w lepszych towarzystwach, słyszałem starsze i młode panie powtarzające: „Staś jest dobrze“, „Alfred bardzo dobrze“, i przyznają się, że im sobie dziwaczne, a dla pań nienajkorzystniejsze czynił domysły; „skończony“ zaś Emiljan tak wielką we mnie wzbudził ciekawość, że z narażeniem przyzwoitości zapytałem szesnastoletniej dziewczynki: „Skąd pani wiesz, że pan Emiljan jest skończony?“... Szesnastoletnia Wincencja, spojrzawszy na mnie z zadziwieniem, bardzo dowcipnie odpowiedzieć raczyła: „Pan jesteś nie skończony, gdy się pytasz, co znaczy skończony“, i panna Wincencja umilkła, a ja im pieką raka ze wstydu i z radości, bo, o ilem się upokorzył wyższością wiedzy szesnastoletniej dziewczynki, o tylem się szczerze ucieszył, że jeszcze nie skończony. Podług moich prostych wyobrażeń w życiu ludzkim niemasz nie okropniejszego, jak być skończonym; ja przynajmniej pragnąłbym być w całej mojej ziemskiej wędrówce — zawsze i zawsze nie skończonym!...

Nieskończoność to życie! skończoność to grób otwarty! to śmierć z kosą i łopata! — Brrum! aż mi zimno, gdy pomyślę, że panie, że moi przyjaciele, że świat prawdomówny z litością albo z szyderczym uśmiechem wyrzeknie: „Au. Wi. jest skończony!“

O ty mój opiekuńczy duchu! który mnie szlakiem nieskończoności prowadziłeś aż do tej chwili, nie dozwoł, abym za

<sup>1)</sup> Najznakomitsi recenzenci vel krytycy sądziowie piśmiennictwa w różnych częściach kraju naszego zgodzili się na to, że w moich Ramotach i ramotkach jest szorstkość, ale nie objawili wysokiego zdania, czyli ten zarzut dotyczy myśli czy wyrażań?.. a to jednakże roznieca niemają! Rozsądnie postąpiła ustna krytyka salonowa, wyrzekłszy, że ramotki są pisane stylem grubjańskim; gdy zaś zdanie salonow. jest niewątpliwie i niemiłe, więc tedy wiem z pewnością, że mam styl grubjański (Przyp. Au.)

życia mojego był skończony!.. Ja pragnę żyć jeszcze dla tej ludzkości, którą całym sercem ukochałem, dla siostr i braci, dla bliźnich, dla tych cudnych nieba błękitów, na których zapisane są „wiara! nadzieja! miłość!“ — dla tego słońca, którego jutrzeńki codziennie z korną Bogu wdzięcznością wyglądam; dla tych niw ojcowskich, na których wszystkie moje myśli i wszystko uczucie w jedno zestrzeliłem ognisko; dla Dzwonu mojego, dla rametek, dla salonów, dla moich wierzyieli i — dla was, czarobrewne i jasnowłose miłące się koteczki, dla wszystkiego pragnę i chcę być nieskończony!.. Jam tego w moim grubiańskim stylu wyrazić, wysłowić niezdolny;.. ale trudna rada, odrazu głową muru nie przebiję, więc wracam do porządku.

Bynajmniej odpowiedzią panny Wincencji nie objaśniony, począłem rozmyślać, następnie przez rok cały śledzić i wybadywać: jacy to młodzieńcy są skończeni, którzy są dobrze, a którzy bardzo dobrze. Com zbadał i wysłedził, szczerze opowiem.

Jeżeli zobaczysz wyrostka, który po przymusowem przedukwieniu nauk gimnazjalnych, częstokroć nawet nie skończonych, albo — co gorsza — z pod stempla guwernerów francuskich na Boży świat wychodząc, żadnego nie obiera zawodu pożytecznego dla kraju, ale natomiast z pośpiechem ustroi się w osobliwe sukienki najświeższej mody paryskiej, włosy żelazkiem przypieka, ciasne nosi rękawiczki, przytem umie na pamięć kilka grzeczności francuskich, tańczy polkę z zadzieraniem pięty, nie znyli się w kontredansie i rażącej nieprzyzwoitości nie popełni, płeć piękna zawyrokuje w salonach: „On jest dobrze“, a ludzie rozsądni powiedzą: „To próźniak“, a ludzie naukowii mrukną pod nosem: „To głupiec“...

Jeżeli zobaczysz takiego próźniaka i głupca barczystym, silnie zbudowanym, śmiałym w salonach i stanowczo rozprawiającym o kilku powieściopisarzach francuskich, płeć piękna zapewni cię, że ten pan jest bardzo dobrze.

A jeżeli ów bardzo dobrze napisał kilkanaście rymów w imionniku, jeżeli był zagranicą, widział Wezuwjust! Neapol, Rzym, Paryż i Szwajcaryję; jeździł statkiem parowym na Renie i chociaż przez pół roku słuchał w Berlinie wykładu filozofji, którą w chwilach uczuciowych po salonach ogłasza, i gęsi.

i gąski, i lvice hurmem krzykną: „Skończony młodzieniec!“... A przecież to tylko bałwan, który zagranicą utracił, albo nadwerżył zdrowie i majątek, bałwan, który niczem się do powszechnego dobra nie przyczyni, który się nadyma pokrewieństwem z rodzinami imion sławnych, który w najdroższych hotelach i restauracjach resztki ojcowizny marnuje i skryte zagina parole — na panny milionowego posagu.

O pracowitym chłopku albo rzemieślniku, o obywatelu, który szczerze stara się moralny stan ludu wiejskiego podwyższyć, a rolnictwo ulepszyć; o zacnym kapłanie religji, o dzielnym wojowniku, o biegłych doktorach medycyny, o pocziwych literatach, o gorliwych i sumiennych urzędnikach, o zdatnych profesorach nie usłyszysz, że są dobrze, bardzo dobrze, albo że są skończeni. Te przydomki należą się wyłącznie młodym paniczom salonowym, pasorzytom, bezużytecznym trutniom społeczeństwa... owym hotelowym dobrodziejom, owym filarom restauracyj francuskich, owym gospodarzom pikników — i t. d. i t. d. <sup>1)</sup>

Każdy ojciec, o którego synach mówią, że są dobrze, bardzo dobrze albo skończeni, srodze rumienić się winien, bo przez zły kierunek wychowania swoich gagatków liczbę darmojadów powiększył, krzywdę krajowi wyrządził.

## B. „Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem w Warszawie“ P. Wilkońskiej (1871).

Dnia drugiego marca było dość liczne grono u pani \* na herbacie.

Nikt nie postyszał, że car jest chory. Wtem przybywa pani \*\* i opowiada:

— Coś się dzieje dziwnego. Jenerał Igelström, który ze mną w jednym mieszka domu, jeździł trzy czy cztery razy do

<sup>1)</sup> Jeżeli w czamarze, w ubogiej kapotee albo we fraku nieco dawniejszej mody i gładko po francusku nie paplesz, bez względu na twój charakter i na twoje zasługi skończeni nazwą cię „mauvais genre“; a znów zyskasz u nich nazwę „comme il faut“, jeżeliś w modnem ubraniu kosztowne z nimi odbył bachanalje w jednym z tych ogrodów, w których skończone dziewczyny nad ich sercami panują... Niestety! mamy obecnie wiele skończonej młodzieży (Przyp. Aut.)

zamku, przez księcia wezwany. Za każdym razem z chmurniejszą powracał twarzą — i cicho rozmawiał z żoną, jak służba rozpowiadała po domu. Przybywali do niego wyżsi oficerowie i zamykał się z nimi w osobnym pokoju. A gdy raz ostatni wrócił z zamku, pod wieczór, generałowa rozplakała się głośno.

— Wielka przegrana na wschodzie.

— Cesarzowa umarła.

— Rewolucja pałacowa... — i tym podobne czyniono domysły.

Wtem nadszedł gość nowy i opowiedział, że kasę teatralną i teatr zamknięto nagle, gdy widzowie poczęli się schodzić.

— Niezawodnie cesarzowa umarła!

— Mówią, że car... — wyrzekł nowo przybyły zeicha, boć to groźna była nowina!

— Niepodobna!

— Przecież nie chorował!

— Powozy generałów uganiają się po ulicach.

— Wezmę sanki — odezwał się pan Ludwik — pojedę do Loursa, wbiegnę do resursy, to przecie dowiem się czegoś.

Wyszedł — i niebawem posłyszeliśmy oddalający się dźwięk sanek.

Urywała się rozmowa. Zapomniano o literaturze — o muzyce — bo jedna tylko nas wszystkich myśl zajmowała. W trzy kwadranse niespełna pan Ludwik powrócił.

— A co?

— Co? co? — pytano skwapliwie.

— Car Mikołaj umarł. — Zdumienie owładło wszystkich — i przez sekund kilkanaście głuche potrwało milczenie. Potem ozwały się głosy:

— Żartujesz chyba!

— Niepodobna!

— Nadeszła telegraficzna wiadomość przed trzema godzinami — powiadał pan Ludwik poważnie — umarł!

— A poprzednio telegraf po trzy razy przynosił wiadomość, że chory — że bardzo chory — że jest niebezpieczeństwo życia. Ale to wszystko dzisiaj dopiero.

Niektóre rozjaśniły się twarze. Drugie wyraz szczególnej

przesłonił powagi. Splotły się dłonie — potrząsano głowami. A inni znowu pełniejszą odetchnęli piersią.

I Polska niby swobodniej odetchnąć mogła!!...

.....  
Rozeszliśmy się po godzinie pierwszej z północy. Na ulicach było pusto — cicho — tylko śnieg zmarzły pod stopami skrzypiał.

— Twierdzą, że dusza, opuściwszy ciało, błąka się czas pewien wśród świata pokutnie, w miejscach nie dopełnionych obowiązków — grzechu — winy — występku — zbrodni... — wymówiłam do pana, podającego mi rękę. — Zatem duch cara Mikołaja snuje się teraz może wśród tego grodu łez i ofiar krwawych...

Spojrzałam na cienie długie, niby ciemne tworzące postacie, pociągana w rozmarzeniu chwilowym fantasmagoryjnym widzeniem.

— Duch jego, zaprawdę, mógłby tu pobłąkać... — odrzekł mój towarzysz.

Wtem, gdyśmy z ulicy Wareckiej w Nowy Świat skręcali — nadchodzi oficer rosyjski, wysoki, w szarym płaszczu... stuk jego stopy rozlegał się z głuchym odgłosem wśród pustej ulicy.

— Może to on?! — podszepnął pan z półśmiechem.

— Chi la so? Któż to wie? Potrzebaby zagadać od niego.

— Mam szczerą ochotę. Zapytam o godzinę...

Oficer nas minął, a zdawało się, że był bardzo blady.

— Ale cóż też nie wydaje się czasem!

Jeden ze znajomych moich również o późnej godzinie powracał do domu. Przechodząc obok mieszkania przyjaciela, mieszkającego na piętrze, zobaczył światło w dwóch oknach, znać pracował jeszcze. Domyślił się, że nie wychodził może — że nikt mu dotąd ważnej nowiny nie udzielił — i zastukał we drzwi. Przyjaciel okno otworzył i zapytał:

— Kto tam?

— Stacho. Czy wiesz?

— Nie wiem.

— *Dead! Dead!*

— *Dead! She?*

— *He!* — Dobranoc!

— Dobranoc!

Jeden pobiegł dalej.

Drugi okno zamknął. — Światło z dwóch okien aż niemal do rana biło na plac bankowy. Znajomy mój wszelako już nie zasiadł do pióra — tylko pokój chyżą przebiegał stopą — różnemi gnany myślami.

Nazajutrz rano — dwóch stróżów przed kamienicą, w której mieszkałam, umiatając chodniki, tak powitali się, przydrzeżniając język rosyjski:

— Wot Mikołajuszka pomir!

— Je Boh! haraszo!

Około południa przyszedł do nas Apolinary Zagórski, blade, ponury.

— Umarł! — wymówił, rzucając się, jakby wysiłony, na krzesło, bo zawsze był słaby bardzo.

— Śmierć ta będzie wielkiej doniosłości — odrzekł ktoś z obecnych.

— Chciał umierać... i umarł!

Pan Apolinary niby więcej pobladł jeszcze.

— Byłem sam. Położyłem się wcześniej, zasnąłem. Wtem budzę się nagle... I jak gdybym głos postyszał ponury: „Umarł! A umarł w grzechu!“ — Senne znowu owładło mnie znużenie. Lecz głos ten powtarzał się ciągle. — Rano dowiedziałem się, kto umarł. — Umarł w grzechu! Módlmy się za jego duszę! Módlcie się, panie! — powstał po chwili i wyszedł.

Był to zapewne szczyt najszlachetniejszego, najreligijniejszego uczucia — miłość ewangeliczna, najwyższa miłość chrześcijańska, ażeby modlić się za wrogiego ciemiężcę Polski! — I myśl taka mogła się zrodzić tylko w przeczystej duszy Polaka-katolika.

Jedni nazwali to chorobliwością. Drudzy ramionami ruszyli... — Na mnie wszelako Apolinary Zagórski wyrazami swojemi: „Umarł w grzechu! Módlmy się za jego duszę!“ silnie zrobił wrażenie — i pamięć tej chwili nie zatartą pozostała.

Opracował H. GALLE.

## SCHMITT HENRYK.

(1817—1883).

Syn Wirtemberczyka, przybyłego do Galicji za Józefa II, gorący patriota polski, bojownik o lepszą przyszłość ojczyzny, a jednocześnie gorliwy badacz dziejów politycznych Polski, urodził się we Lwowie 5 lipca 1817 r., jako syn Pawła, kupca lwowskiego, i Katarzyny z Orzechowskich. Od najmłodszych lat okazywał silną wolę i poważne upodobania. Opowieści babki z świeżej przeszłości, wnikać w wrażliwą duszę dziecka, budziły umiłowanie nieszczęśliwej ojczyzny. Około dziesiątego roku życia utracił ojca. Ojczym (gdyż matka wkrótce wyszła za mąż) był przeciwny posyłaniu chłopca do szkoły. Za cichą zgodą matki opuścił więc dom ojczyma, znajdując oparcie bądź u krewnych, bądź też u kolegów.

Ukończywszy w r. 1835 studja w akademickim gimnazjum, pod prefektem Lewickim, wstąpił na dwuletni kurs filozoficzny przy tymże zakładzie. Szkolny system ówczesny, zmierzający ku germanizowaniu młodzieży, pobudzał ją często do przeciwdziałania przez tworzenie kółek, zajmujących się pracą nad literaturą ojczyzną. W takich kółkach Schmitt nawiązał stosunki z młodzieżą obywatelską, usposobioną patriotycznie i demokratycznie. Był to właśnie okres tajnych stowarzyszeń i spisków, które, poczynając od r. 1833, ciągle mnożyły się, i mimo przesładowan policji odradzały się pod coraz to inną nazwą jak: „Stowarzyszenie Ludu Polskiego“, „Młoda Sarmacja“ z przygotowawczą szkołą „Synów Ojczyzny“, „Ogólna Konfederacja Ludu Polskiego“ i t. p.

Schmitt należał do grupy lwowskiej „Synów Ojczyzny“. Uczestnicząc w zebraniach, nie zaniedbywał poważnej pracy nad nauką. Śród kolegów przodował gorliwością w zdobywaniu wiedzy, zwłaszcza w zakresie dziejów ojczystych i literatury. Oddawał się przysiężnie fizyce i matematyce. Prócz języków starożytnych poznał francuski i angielski. W ten sposób przeminał mu dwuletni kurs filozoficzny. Po krótkim pobycie na uniwersytecie lwowskim — w r. 1838 —



przeniósł się w Tarnowskie, gdzie znalazł opiekuna i przyjaciela we Franciszku hr. Wiesiołowskim, odgrywającym rolę wybitną w stowarzyszeniu „Młodej Sarmacji”. Udzielanie lekcji i praktyka gospodarska w dobrach Wiesiołowskiego dawały mu utrzymanie, czas wolny obracał na propagandę patriotyczną.

Wykrycie spisku wojskowego naprowadziło na ślady stowarzyszeń cywilnych, skutkiem czego Schmitt został aresztowany w r. 1841. Cztery lata trwało śledztwo. Dnia 21 stycznia 1845 r. ogłoszono wyrok śmierci na 51 oskarżonych. W tej liczbie był Schmitt. Wkrótce skazanym zamieniono karę śmierci na dożywotnie lub terminowe więzienie. Schmitt należał do ostatniej kategorii, to też po zaliczeniu czasu, przebytego w areszcie śledczym, został puszczony na wolność.

Praca spiskowa mimo to nie ustawała. Schmitt zaledwo opuścił więzienie, rozpoczął zaraz działalność spiskową w związku z kołem, któremu przewodzili: Teofil Wiśniowski, Edward Dembowski i inni. Punkt oparcia znalazł teraz u Ryszarda Hermana w Rzepniowie, pod Milatynem, jako nauczyciel i rządcą dóbr. Tu zapoznał się z Leokadją Mitraszewską, którą później poślubił.

W styczniu r. 1846 rozpoczęła się akcja rewolucyjna. Ustanowiono w Krakowie Rząd Narodowy, a dzień 21 lutego wyznaczono na termin wybuchu w Poznańskim i Galicji. Rząd pruski atoli przez uwięzienie Mierosławskiego i głównych przywódców sprowadził odłożenie terminu rewolucji.

Wiść o tem postanowieniu nie zdołała się jeszcze rozejść, gdy prowokacja rządowa poczęła działać w Galicji, rzucając masy chłopskie na dwory szlacheckie. Tymczasem w Brzeżańskim stanął pod Narajowem oddział 60 ludzi z Teofilem Wiśniowskim na czele i Henrykiem Schmittem w szeregu. Zdrada żyda karczmarza zniweczyła plan rozbrojenia szwadronu huzarów, zapowiedziane skoncentrowanie oddziałów powstańczych pod Brzeżanami zawiodło, z ataku na miasto trzeba było zrezygnować, a gdy wreszcie doszły przerażające wieści z zachodniej Galicji, uchwalono zaniechać dalszej akcji i oddział rozpuścić. Jeden Schmitt do końca się temu sprzeciwił.

Ścigany przez policję, zamierzał przedostać się do Mołdawji. Przez pewien czas ukrywał się w dobrach Piotra Nawratila, gdzie przebywał także Wiśniowski, wydany w ręce policji przez chłopów. Schmitt uratował się i opuściwszy niepewne ukrycie, ruszył ku Mołdawji. Podczas przeprawy przez Bukowinę, 9 maja r. 1846 wpadł w ręce mandatarjusza, Wołoszyna Worobkiewicza. Przywieziony do Lwowa, znalazł się w murach znanych mu dobrze „Małych koszar“.

Podczas śledztwa, przyznając się do zarzuconych mu czynów, gorąco bronił nieprzedawnionych praw narodu do samoistnego bytu.

W sierpniu r. 1846 po ukończeniu śledztwa ogłoszono wyrok, skazujący Schmitta po raz wtóry na śmierć. Wyrok ten z aktami sprawy przestano do Wiednia, skąd wreszcie przyszła decyzja, zamieniająca karę śmierci na 20-letnie więzienie w Spielbergu.

Umieszczony w jednej z kazamat twierdzy, musiał zajmować się robieniem pończoch. Gdy wkrótce nastąpiły pewne złagodnienia w rygorze więziennym, osadzeni tam Polacy utworzyli „Rzeczpospolitą Grajgórską” celem wzajemnego kształcenia się i pożytecznego spędzania czasu. Schmitt pełnił urząd marszałka izby i prowadził wykłady historii i geografii. Wtedy to zaczął odtwarzać swe wewnętrzne przeżycia w utworach poetycznych. Przedtem już, około 1845 r., napisał większy poemat p. t. „Zdzisław”, w którym zobrazował w bohaterach: Zdzisławie i Helenie miłość kraju tak, jak ją sam pojmował. — Podczas długich dni więziennych w Spielbergu utworzył znaczną ilość poezyj (Sowa, Więzień, Zebra, Sąd w piekle, Poważnieni bracia, Wacław czyli powstanie w r. 1846 i t. p.). Część tych prac pozostała w rękopisie, część wyszła z druku, mianowicie opis więzienia we Lwowie i Spielbergu, oraz sonety.

Wypadki r. 1848 przyniosły amnestję. W dniu 23 marca kaźnie Spielbergu stanęły otworem; Schmitt podążył do Lwowa. Zaraz po przybyciu nawiązał przerwane stosunki z patriotami i wziął się do roboty. Przygotowywał w Brodzkiem, Sokalskiem i Żółkiewskiem wybory do sejmu ustawodawczego, organizował Rady Obwodowe, Towarzystwa Braci, mające na celu szerzenie oświaty ludowej, wreszcie Towarzystwa Prywatnych Urzędników. Środki do życia zdobywał nauczycielstwem, a występując jako publicysta, wkraczał w dziedzinę, która obok badań historycznych — najbardziej odpowiadała jego uzdolnieniom.

Z poezją szybko zerwał, zrażony niepowodzeniem tragedji, piętnującej ówczesne stosunki społeczne. To też stopniowo godził się z myślą oddania się pracy dziejopisarskiej. Październikowa reakcja wiedeńska r. 1848 odbiła się echem dział na gruncie lwowskim. Jakkolwiek Schmitt nie brał czynnego udziału w wypadkach listopadowych stolicy, jednak zaledwie uniknął więzienia, a przytem stracił prawo do badań naukowych po archiwach. W r. 1849 ożenił się i otrzymał niebawem posadę bibliotekarza przy księgozbiornie Pawlikowskich we Lwowie, lecz policja nie pozwoliła mu przemieszkwać w tem mieście. Hrabina Dzieduszycka ofiarowała mu miejsce pełnomocnika rodzinnych majątków w Poznaniu. Rząd pruski jednak odmówił mu prawa pobytu, jako politycznie podejrzanemu. Zmuszony zarabiać na chleb udzielaniem lekcyj prywatnych, oddał się jednocześnie pracy dziennikarskiej, pisywał artykuły wstępne, feljetony, korespondencje do polskich i niemieckich czasopism. Zasiłat piórem „Dziennik Literacki” lwow-

ski, „Czas“, „Gazetę Warszawską“, pisma poznańskie, zapraszany był do objęcia redakcji „Gazety Codziennej“ w Warszawie.

Reforma szkół w Królestwie Polskiem obudziła nadzieję Schmitta na pozyskanie katedry historii w Szkole Głównej. Odbywał wtedy podróż naukową zagranicą. Tam doszły go wieści o przygotowaniach do powstania i zamachach w Warszawie. Odgłosy te mocno go zaniepokoiły, był bowiem zdania, że potrzeba dłuższego spokoju, aby się zorganizować, a tu „ciągłe przeszkody, ciągła gorączka w narodzie, usposobienie nieprzyjazne pracom organicznym, bez których żaden zamysł udać się nie może“. Ostatecznie jednak, choć przeciwny chwytaniu za broń, wobec dokonanego faktu — ofiarował swe usługi walczącą. Wrócił do Lwowa i pozostawał w ciągłej styczności z komisarzami Rządu Narodowego. Za artykuł p. t. „Kilka uwag co do sposobu prowadzenia dziś wojny w Polsce“ wytoczono mu proces. Skazany na rok więzienia, wyjechał do Drezna, a następnie do Paryża. Już przedtem nawiązał stosunki z Kraszewskim i Gillerem, wydającym w Bendlikonie dziennik polityczny „Ojczyzna“, i w nim teraz ogłaszał rozprawy w obronie środków, używanych dotąd dla oswobodzenia Polski. W Paryżu obok prac archiwalnych zajął się uskutecznieniem projektu, mającego zaradzić oplakanyom stosunkom emigracyjnym przez skupienie w jedno ciało różnych politycznie żywiołów.

W sierpniu r. 1865 objęty amnestją, powrócił do Lwowa i podjął na nowo prace historyczne, rozpoczęte poprzednio. Początek pracy Schmitta nad historją przypadł na czas, gdy Lwów stał się głównym ogniskiem badań dziejowych, dzięki takim pracownikom, jak Szajnocha i Bielowski. Najpoważniejszym przewodnikiem i wzorem dla badaczów był dotychczas Joachim Lelewel, którego żarliwy demokratyzm i republikanizm stwarzał z materiału dziejowego wspaniałe często, ale fałszywe obrazy, zbliżone do przesiąkniętych doktrynerstwem traktatów politycznych. To też Henryk Schmitt znalazł w nim swego mistrza i doradcę. Stąd to cały pierwszy okres działalności historycznej Schmitta, przepłatanej wydawaniem broszur politycznych, nosi na sobie cechy wpływu teoryj demokratycznych.

Praca Schmitta aż do r. 1863 zmierzała ku przygotowaniu, za wzorem Jędrzeja Moraczewskiego, całości dziejów Polski. Podobnie, jak Moraczewski, planu swego wykonać nie zdołał. Systematyczny zarys dziejów Polski doprowadził zaledwie do r. 1391. Dalej posunąć się nie mógł dla braku materiałów i opracowań monograficznych. Wobec tego Schmitt zabrał się do pracy w tym kierunku. Podjął wydawnictwo materiałów do dziejów bezkrólewia po Augustie III, a w r. 1862 przedsięwziął podróż naukową dla zbadania rozrzuconych po kraju i zagranicą księgozbiorów i archiwów. Zwiedził Wrocław, Poznań, Berlin, Kolonję, Akwizgran, Brukselę, Londyn i Paryż, gdzie przez trzy miesiące skrzętnie

gromadził materiały. W r. 1864 po raz drugi, tym razem przymusowo, udał się do Paryża. Wtedy powstały „Dzieje Polski od jej początków aż do dni naszych“, oraz prace z czasów ostatnich lat istnienia Rzeczypospolitej, szczególnie panowania Stanisława Augusta. Wcześniej nieco wyszła jego monografia o rokoszu Zebrzydowskiego. Miała ona rehabilitować pamięć przywódcy rokoszu przez samo zestawienie surowego materiału źródłowego, obficie przez Schmitta zebranego; w rzeczywistości też zgodnie z ideą Lelewela o demokracji szlacheckiej podniosła Zebrzydowskiego do znaczenia reformatora Rzeczypospolitej, wyrastającego swemi pojęciami nad wiek. Praca ta jest wyrazem historyzoficznych poglądów Schmitta, wyłożonych później w syntetyzującej rozwój dziejowy Polski rozprawie: „Narodowość i jej początki“. Ogłoszona przez Schmitta apologja Kołłątaja dała powód Lelewelowi do bardzo pochlebnej oceny. „Jak Chodźko — pisał on — podniósł Dąbrowskiego bez zarzutu, jak Julian Bartoszewicz obmył z kurzu Naruszewicza, tak Henryk Schmitt dał poznać Kołłątaja“. Po powrocie do Lwowa w r. 1865 Sch. poświęcił się głównie dziejom XVIII i XIX wieku, wyzyskując materiały, jakie zdołał zgromadzić. Prace jego z tego zakresu wartości swej nie utraciły, zawierają bowiem bardzo wiele materiału źródłowego, nieznanego skądinąd. W r. 1867 przybył Sch. do Krakowa w celu założenia dziennika w duchu narodowym i wtedy wysunął swą kandydaturę na opróżnioną wówczas katedrę historii. Młodzież akademicka zamierzała zbiorowym aktem poprzeć jego starania, polityczne wszakże względy, jak twierdzi Libelt, przeważały szalę na korzyść Szujskiego. Sch. natomiast uzyskał pozwolenie na publiczne wykłady porozbiorowej historii polskiej w sali ratuszowej Lwowa, odbywane przez rok cały z wielkiem powodzeniem. Przez kilka lat miewał odczyty o historii polskiej w najrozmaitszych miejscowościach Galicji. W r. 1870 został powołany na członka Rady Szkolnej Krajowej, w której zdobył sobie znaczny wpływ, pracując przedewszystkiem nad organizacją oświaty ludowej. Praca społeczna pochłaniała go coraz bardziej; nie usuwał się od zajęć w różnych towarzystwach, reprezentował je na rozmaitych uroczystościach narodowych, czy to przy otwarciu Muzeum w Rapperswylu, czy grobów zasłużonych na Skałce, czy też podczas pogrzebu odnalezionych szczątków Kazimierza W. w Krakowie; projektował programy polityczne oraz zasilal artykułami pisma, w których poza oświetlaniem zagadnień życia bieżącego obznajamiał czytelników z postępem nauk historycznych.

W działalności publicystycznej ostro zwłaszcza startł się ze stańczykami. Polemizując z ich dążeniami, twierdził, że każdy Polak, począwszy od Kołłątaja, Potockiego i Kosciuszki, pojmował potrzebę i ważność prac organicznych, lecz nie widząc prawdopodobieństwa, ażeby wśród danych okoliczności prace te owoc-

wać mogły, chciał zdobyć pomysłniejsze dla działania warunki. Przy okazji sprawy konfederacji 1847 roku uderzał na reakcję krakowską, odwracając ogół od dawnych ideałów, i podnosił ruch ówczesny za dowód niezłomy, żeśmy przynajmniej narodowej jeszcze nie ulegli śmierci.

Rozległa praca społeczna i publicystyczna Schmitta znacznie wpłynęła na zmniejszenie zakresu jego badań historycznych. Wychodzące w ostatniem dziesięcioleciu jego życia prace historyczne mają charakter okolicznościowy, jubileuszowy, a więc popularny. Poważniejszą natomiast jest jego działalność polemiczna, wymierzona przeciw szkole historycznej krakowskiej. Tendencja niej sprzeczna z dążnościami lelewelowskimi, którym hołdował Schmitt, mająca znamię rezygnacji z dotychczasowych polskich ideałów politycznych, musiała wywołać reakcję z jego strony. Rozumowanie, zwalające katastrofę na samą Polskę wyłącznie, uważa za cyniczne i niedorzeczne. Identyfikując pojęcia znanego renegata Walewskiego z hasłami szkoły krakowskiej, twierdzi, że „dzieła tego historyka to jeden paszkwil na naród polski, jakiego dotąd niej z naszech nie odważył się napisać”. Broni zarazem dawniejszych historyków i podnosi, że pracowali nie gorzej od dzisiejszych, ale pracowali z miłością, szerzyli ją i budzili, a gdyby nie oni, jużby może nie było dla kogo pisać. Nowa szkoła historyków — przypuszcza on — utworzy z przeszłości ojczystej dla sere i dusz naszych straszne pustkowie. Pracą o „Dziejach Polski” Bobrzyńskiego zamknął Schmitt tę zaciętą walkę, w której z obu stron padały ostre pociski.

Zmarł Schmitt dnia 16 października r. 1883 we Lwowie. Żał powszechny towarzyszył mu do grobu. Ceniono w nim głównie człowieka, umiającego z wytrwałością pracować i walczyć w imię wyznawanych haseł. Zasługi jego dziejopisarskie dziś należy znacznie zredukować. Oczytanie szerokie, przy rzutkości, pracy niezamordowanej i znajomość faktów cechują prace Schmitta; zbywało mu natomiast na metodzie i bezstronności przedmiotowej w przedstawieniu i sądach. O dziełach swych z przed r. 1863 sam powiada, że chodziło w nich głównie o ducha dziejów i wyjaśnienie tego, co w fałszywem przedstawiono świetle; prace z okresu drugiego są spokojniejsze, tendencji wszakże nie pozbawione.

Patryjota-polityk górował w nim nad badaczem-historykiem.

---

## BIBLIOGRAFJA.

I. Pisma Henryka Schmitta. „Sonety.. przez lwowianina więźnia stanu z Spielberga“, Kraków, 1848. „Sonety“. Lwów, nakł. Jabłońskiego, 1848. „Materiały do dziejów bezkrólewia po śmierci

Augusta III", 2 tomy, Lwów 1857. „Rys dziejów narodu polskiego od najdawniejszych czasów znanych do roku 1763“, 3 tomy, Lwów, 1855—1860 (niedokończony, dochodzi do roku 1391). „Rokosz Zebrzydowskiego według źródeł rękopiśmiennych“. Lwów, 1858 (przedruk z „Dziennika Literackiego“, 1857, Nr. 123—144). „Rzut oka na projekt bezwarunkowego równouprawnienia żydów, a oraz odpowiedź na zarzuty, z którymi dzisiejsi ich obrońcy przeciw narodowi polskiemu występują“. Lwów, 1859. „Pogląd na żywot i pisma ks. Hugona Koftątaja, podkanclerzego koronnego“. Lwów, 1860 (przedruk z „Dziennika Literackiego“). „Dzieje narodu polskiego od najdawniejszych do najnowszych czasów krótko i zwięźle opowiedziane“. Lwów, 1861—1863. „Kilka słów bezstronnych w sprawie ruskiej“. Lwów, 1861. „Narodowość polska, jej podstawy, rozwój dziejowy i zbożenia, a oraz stosunek do chwili obecnej“. Lwów, 1862. „Uwagi nad projektem statutu dla miasta Lwowa“. Lwów, 1863. „Uwagi, wywołane przez broszurę pod napisem: Kilka słów z powodu odezwy księcia Adama Sapiehy“. Bendlikon, 1864. „Kilka uwag w sprawie rokoshu Zebrzydowskiego“. Poznań, 1865 (przedruk z Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, tom III). „Uwagi bezstronne niewyborcy do panów wyborców w sprawie wyborów poselskich“ — (dodatek do „Dziennika Lwowskiego“). Lwów, 1867. „Dwa posiedzenia Sejmu galicyjskiego z d. 1 i 2 marca 1867“. Lwów, 1867. „Dzieje Polski XVIII i XIX w., osnowane przeważnie na niewydanych dotąd źródłach“ (jako tom drugi dzieła: „Dzieje narodu polskiego“ etc.). 3 tomy, Kraków 1866—1867. „Dzieje porozbiorowe Polski (r. 1795 do 1832)“. Lwów 1868. (Dziejów narodu polskiego tom IV.) „Dzieje Polski od jej początków aż do dni naszych“. Lwów, 1869. „Panowanie Stanisława Augusta“. Lwów, 1869—1870. „Unja Litwy z Koroną, dokonana na Sejmie Lubelskim 1568—1569. Szkic dziejowy“. Lwów, 1869. „O ustroju głównie społeczno-politycznym Rpltej polskiej“. Lwów, 1869. „Kilka uwag w sprawie ulepszenia szkół ludowych w kraju naszym“. Lwów, 1872. „W stuletnią rocznicę pierwszego podziału Polski. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stanisława Augusta, ostatniego króla polskiego“. Kraków, 1872. „Książd Hugo Koftątaj i jego prześladowcy. Szkic biograficzno-krytyczny“. Lwów, 1873. „Kilka myśli na czasie w sprawach publicznych“. Lwów, 1877. „Rozbiór krytyczny pomysłów historjozoficznych i odkryć dziejowych przez Ant. Walewskiego“. Lwów, 1875. „Rozbiór dzieła p. t. Dzieje Polski w zarysie przez Michała Bobrzyńskiego“. Kraków, 1882. „Źródła, odnoszące się do pierwszego okresu panowania Stanisława Augusta po rok 1773“. Lwów, 1884. „Istoria polskawo naroda perewioł s polskawo In. Szrejer“. 3 tomy. Petersburg, 1864—1867. „Einige Worte über den neuerlichen Vorschlag der unbedingten Gleichberechtigung der Juden etc. Aus dem Polnischem von... ski“. Lwów, 1860. Drobne artykuły

historyczne głównie w lwowskim „Dzienniku Literackim” z lat 1858—1870 i w „Gazecie Warszawskiej” przed rokiem 1861.

II. Pisma o Henryku Schmitt. Walenty Ćwik. „Henryk Schmitt, zyciorys, spisany na podstawie dokumentów i korespondencji”. Lwów, 1888 (przedruk z „Dziennika Polskiego”, 1888). Notaty biograficzne: „Ateneum”, 1883, IV; „Przegląd Powszechny”, 1889, XXII; „Biblioteka Warszawska”, 1883, IV. Recenzje jego prac: „Dziennik Poznański”, nr. 55, 250, 290, 293 z r. 1867; nr. 1—4, 11—14, 18—114 z r. 1868 i nr. 19 z r. 1870; „Przegląd Polski”, 1869—70, t. IV, 1871—72, t. III, 1877—78, t. III; „Czas” krakowski nr. 58 z r. 1854; „Nowiny” lwowskie nr. 68 z r. 1854, oraz „Sybels Hist. Ztschr.” w tomach XVIII, XXV i XXIX.

### A) Rokosz Zebrzydowskiego.

(Lwów 1858, w drukarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich; str. XXVII, 594 i dodatek 104 str.; nakładem autora.)

(Str. 74—78.)

Każdy ruch jest następstwem pewnych idei, a odbywa się pod wodzą jednego lub kilku ludzi, którzy, będąc wyobraźciami jego, przyjmują tem samem, chcąc nie chcąc, całą odpowiedzialność za wszystko i wszystkich na siebie, szczególnie w obliczu dziejów i potomności. I słuszna. Jak bowiem zaszczyt i sława w razie powodzenia opromienia ich imię, gdy imiona podrzędnych współdziałaczy nikną bez śladu i wspomnienia, tak uderzają na nich znów wszyscy nielitościwie i szarpiają ich najsrożej, jeżeli zamierzonego nie dopięli celu. Wieki czasem całe przywiązana w ostatnim przypadku do ich imienia niesława, a nieobeznany nawet dokładnie z biegiem sprawy, której byli przewodcami, miota na nich najcięższe obelgi i obarcza ich bezmyślnie klątwą potępienia, gdy współcześni przeciwnicy, podsuwając im z rozmysłem najgorsze chęci, cele i zamiary, piętnem hańby i zbrodni ich cechują.

Taki los spotkał i Mikołaja Zebrzydowskiego, wojewodę krakowskiego, który, widząc najwyższą niechęć i oburzenie przeciw królowi, a przeświadczony moralnie o nieprawym i niestosownym postępowaniu tegoż, przyłączył się do współobywateli, występujących w obronie praw, swobód i całości Rzeczypospolitej i stanął na ich czele, gdy go do tego wezwali...

Mikołaj Zebrzydowski, pan z rodu już swego możny, celował przytem wielkimi przymiotami osobistemi. Jako wojownik odznaczał się odwagą i nieustraszonnością nawet między swymi rodakami, czego złożył dowody pod Byczyną, będąc wówczas starostą krakowskim. Zygmunt zamianował go też niebawem wojewodą lubelskim i dał mu następnie wielkie marszałkowstwo koronne; lecz Zebrzydowski, nie umiejący pochlebiać i zniechęcony przeciw królowi, który nie lubił prawych doradców, zamienił ten urząd na dostojęństwo wojewody krakowskiego. Zawsze śmiały w radzie i zdaniu, był dumny jak każdy republikanin i równie też ambitny. Gdyby chciał był podobnie innym pochlebiać Zygmuntowi i znosić jego widzimisie, mógł się spodziewać największych łask z jego strony i wielu dochodnych starostw. Lecz pochlebstwo nie zgadzało się z jego charakterem, a przeciwnieństwa nie dowiódł nikt z najzacietszych nawet jego nieprzyjaciół. Nie był to człowiek pospolity, a dumy jego nie łechtały zwykłe podniety, jakby w nas chcieli wmówić jego nieprzyjaciele, ponieważ wypadki świadczą inaczej.

Do cech charakteru Zebrzydowskiego należała i pobożność głęboka, spowinowacona z ludzkością, a daleka od owej żarliwości religijnej, co gotowa prześladować każdego, który jest innego zdania w wierze. Dowodem pobożności jest przystąpienie jego do bractwa miłosierdzia, założonego przez Skargę w Krakowie, i fundacja t. zw. skrzynki św. Mikołaja, przeznaczonej na wyposażenie biednych dziewcząt. Że zaś pobożność prawdziwą uniał kojarzyć z wyrozumiałością na odmienne drugich przekonania w wierze, dowiedzie nam rokosz, w którym wielu inowierców znaczny miało udział. Lecz im szczerzej był pobożnym, tem bardziej poczuwał się do sumiennego pełnienia obowiązku senatora, który obejmując, zaprzysiągł, „że wedle sumienia radzić będzie królowi, co pożyteczne uzna Rzeczpospolitej, a ostrzeże go zawsze, gdyby spostrzegł co szkodliwego dobru powszechnemu lub zagrażającego prawom i swobodom narodu”. Ostrzegał też istotnie króla, lecz gdy rady swe widział wzgardzone, złożył naprzód, jak mówiliśmy, wielkie marszałkowstwo, a później chciał i godności zrzec się wojewody.

Że był prawym człowiekiem i dobrym obywatelem, świad-



czy między innymi i przyjaźń ścisła, jaką go obdarzał Zamojski do zgonu swego. Gdyby bowiem mąż ten wielki był wątpił o nieskazitelnosci jego charakteru, nie bylby pewnie umierajac zamianowal go jednym z opiekunów maloletniego syna swego, Tomasza, czem pomnozyl o wiele wplyw jego w kraju. Zdaje sie nawet, ze zestarzaly i bliski grobu hetman i kanclerz czeste z nim miewal poufne narady, jakby Rzeczpospolita zabezpieczyc, lepsze w niej porzadki zaprowadzic, a króla od naduzywania wladzy odwieśc można, poniewaz w rokoszu przebijaja sie niejedno ze zlan Zamojskiego.

Lecz przypatrzmy sie i odwrotnej stronie charakteru Zebrydowskiego, aby i jego, i to, co dzialal, tem sumiennie i bezstronnie osadzic. Dumny i nieugiety, a przytem sam ostrego zdania, unosil sie nadto daleko w swem zdaniu, czem sobie narazil króla i czesc senatu; gdy zaš sam jakiej došwiadczyl urazy, nie przebaczal jej latwo. Wytrwaly wprawdzie w przedsiwzięciu, wahal sie przeciez zwykle w obraniu odpowiednich šrodków, a lubil sie chwytac nawet póšrodków. Z tego tez wzgledu puszczal najnaglejsze czasem sprawy w odwloke, aby tylko za špiesznie nie dzialac. Skryty i nieufny, ostaniel i to nawet tajemniczošcia, co na razie jawnie i dobitnie wypowiedziec nalezalo. Tak wahaniem sie swoim, jak szczegolniej skrytošcia swoja dawal sam przeciwnikom broń na siebie i oslabial rokosz. Nieufnošć jego odejmowala wielkiej czesci szlachty, która sie zbiegla na rokosz, zaufanie bezwarunkowe w sprawe podjeta, czem zwykle najpotężniejsze upadaja stronnictwa. W calym jego postępowaniu bylo coš zagadkowego, a z tego korzystala wlasnie strona przeciwna i oczernila go na podstawie pozornej niby slusnošci, jako podstepnego intryganta, choc wiedziala z pewnošcia, ze nim nie byl. Wiedzieli o tem wszyscy niemal współczesni i nie uwierzyli takiej potwarzy, a dopiero póžniej wystapili najzjadlej przeciw niemu niektorzy z pisarzów naszych, opierajac sie na oskarzeniach Łubieńskiego.

(Str. 593—594).

Zwyciężono rokoszan, zmuszono ich do szukania łaski i przebaczenia, a na wszystkie szczyby w prawach wydano

jako leczący balsam ową wolną elekcję, która nie opisana ściśle ustawami, potęgę ojczyzny tylko osłabiała. Rokoszan nazwano buntownikami dlatego, że nadzwyczajnych chwycili się środków do ratowania zachwianej potęgi narodu, lecz jakże dziś nazywać tych, co przeszkodzili zbawiennej naprawie w żądaniach rokoshu ciągle wyrażanej, który między innymi domagał się i tego, aby spisać ustawy, obowiązujące w czasie bezkrólestwa i przy wyborze króla? Jakże dziś sądzić tych, co nie dopuścili i wielu innych zbawiennych odmian w urządzeniu ojczyzny, jak np., aby sejmy porządnie się odprawowały i nie były zjazdem tylko, gdzie prywatnicy popierali korzyści własne? Tak jest, magnaci pokonali rokosh, obezwładnili usiłowania prawych obywateli, których w dodatku jeszcze mianem buntowników napiętnowali, a podkopawszy potęgę narodu, zawładnęli Rptą, którą najprzód w odmęt nierządu, a następnie do upadku przywiedli. Jeżeli zatem na kim klątwa potomności ciężać powinna, to niewątpliwie na nich, a nie na rokoshu i Zebrzydowskim, którzy chcieli ojczyznę ratować.

**B) Narodowość polska, jej podstawy, rozwój dziejowy przeobrażenia i zбочzenia, a oraz stosunek do chwili obecnej.**

(Lwów 1862, druk Winiarza; 88 str.).

(Str. 58—63).

Idea narodowości polskiej, jako idea czysto słowiańska, rozwijała się nieustannie w Polsce, a mimo zбочzeń nie straciła nigdy swych znamion pierwotnych całkowicie. Gdy społeczność pierwotna wskutek zbiegu okoliczności swe gminowładztwo pod rządem książąt nieograniczenie władających urosła i z sąsiedztwa wiele z jej naturą niezgodnych przyjmowała urzędzeń, zesła tem samem z drogi swego powołania, a zbłąkana na manowcach feudalizmu, była bliską zagłady za takie sprzeniewierzenie się swej idei narodowej. Z tej toni wyrwał ją Władysław Łokietek zwrotem częściowym ku zasadom pierwotnym, które stan rycerski czyli ziemianie jako podantem

przodków uświęcone sobie przyswoili i w życie wprowadzać zaczęli. Po dwuwiekowych blisko wysileniach urządzili znów społeczność ojczystą na podstawie tych zasad, lecz, zacieśniając je do urządzeń społecznych swego tylko stanu, utworzyli Rzeczpospolitą szlachecko-gminowładną. Jak zaś pierwotne gminy słowiańsko-polskie wolność osobistą i równość obywatelską nad wszystko stawily, a nigdy do podbijania drugich się nie zabierały, tak spostrzegamy również to samo w Rzeczpospolitej polskiej wieków późniejszych. Do wojen zaczepno-podbojczych nie był stan rycerski, choć sławny ze swej dzielności, nigdy skłonnym. Rzeczpospolita wzrastała dobrowolnem przyłączeniem się sąsiadów, którym zaraz w zupełności dozwalała używać tych samych praw i swobód, jakie już dla siebie zdobyła. Przyznając im w dodatku autonomję prowincjonalną, nie podkopywała systematycznie ich odrębności miejscowej. Jeżeli zaś współdział w prawach i swobodach zbliżał ludzi różnego pochodzenia do siebie i powoli różnice zacierał, nie można z tego wyprowadzać zarzutu, że z zasad narodowości polskiej wynikało rozmyślnie podkopywanie innych narodowości. Taka z zasad wynikająca chęć wynaradawiania tkwi jedynie w charakterze narodów germańskich, które, wiedzione gorącą żądzą władania, radzi grabią ziemię sąsiadów, a następnie narzucają im przemocą swój język i ustawy, a w dodatku wyzyskują ich, jako podwładnych. Polska przeciwnie udzielała swych praw i swobód nowo przybywającym częściom Rzeczpospolitej, które na tej równości zyskiwały, a odrębność ich miejscową warowała autonomją prowincjonalną o tyle, o ile tylko było można. Jeżeli później polskość wygórowała wszędzie w Rzeczypospolitej, zawdzięcza to wyłącznie owej sile przyciągającej, która tkwi w jej idei narodowej, ponieważ nie narzucała jej nigdzie przemocą. Czyż i dziś, chociaż sama w ucisku, nie upodabnia znacznej części napływowych żywiołów? Cóż skłoniło potomstwo wielu cudzoziemców, którzy w kraju polskim za rządów dopiero obcych osiedli, do przyjmowania narodowości polskiej mimo prześladowań, na jakie była narażoną?

Nie ulega wątpliwości, że zbroczenie u nas z drogi rozwoju narodowego było w wieku XVIII największe. Nikt przecież nie zdoła znów zaprzeczyć, że naród nasz, obdarzony taką

żywołnością, byłby prędzej lub później sam przez się poznać złe w całej rozciągłości. Nie brakło nawet świątlejszych obywateli, którzy, przewidując zgubne następstwa nierządu możnowładczego, podawali rozmaite sposoby wyjścia z tak niebezpiecznego położenia... Lecz gdy jedni chcieli naprawę uskutecznić na podstawie narodowej, czyli w duchu ziemiańskiego gminowładztwa, dążyli drudzy wprost do utworzenia silnej monarchji... Ludzie, przewodniczący nowemu ruchowi, widzieli skutki złego, lecz nie zbadali należycie przyczyn. Obalamuceni obcemi teorjami, nie wniknęli głębiej w ducha urządzeń ojczytych, a miasto je oczyścić i sprowadzić do pierwotnych zasad społecznych, od których na nieszczęście odbiegły, zaczęli krzewić nowe, z usposobieniami narodowemi niezgodne. Tem spowodowali zamiast zwrotu na drogę właściwą nowe zбочenia, uwydatnione najlepiej w ustawie rządowej 3 maja 1791 roku. Chęci twórców tej ustawy były najpocześnie, lecz dzieło ich musiało runąć wraz z ojczyzną, ponieważ nie oparli go na podstawie czysto narodowej. Część wielka ziemian oświadczyła się za przewodztwem kilku możnowładców przeciw nowej ustawie, która zmieniała ich Rzeczpospolitą w monarchję dziedziczną, a inne warstwy społeczne, albo za ciemne, by zrozumieć doniosłość nowych praw, im przyznanych, albo za mało uwzględnione w samej ustawie, nie poczuwały się do obowiązku walczenia na śmierć albo życie z dwoma naraz nieprzyjaciółmi.

Wkrótce nastąpił drugi podział kraju, a powstanie narodowe pod Kościuszką sprowadziło trzeci, którym Polskę wymazano z rzędu mocarstw europejskich. Lecz utrata samoistności politycznej nie może narodom odbierać żywołności, jeżeli ją mają same w sobie. Polska narodowość zmężniała po utracie niepodległości, chociaż z początku ciężkie zwątpienie ogarnęło umysły po ciosie tak strasznym. Ocknięcie się nastąpiło bardzo prędko. Myśl narodowa wyteęzała całą usilność swoją w jednym głównie kierunku, którego ostatecznym celem jest odzyskanie niepodległości ojczyzny, a mimo najszczytniejszych poświęceń i ofiar niezliczonych nie mogła go dopiąć. Rozdrażnienie gorączkowe, towarzyszące temu skierowaniu myśli narodowej ku jednemu celowi, nie dozwalało głębszego wnikania w przyczyny największego z nieszczęść publicznych. Wyobra-

zenia w tej mierze twórców ustawy rządowej 3 maja i powstania w r. 1794 przeszły, jak spuścizna, na ich następców w pracy około odbudowania ojczyzny. Potępiono wszystko w czambuł, co przypominało dawną Rzeczpospolitą, zwalając na jej zasady społeczne, co było złego w urzędzeniach, odbiegających właśnie od tych zasad. Zwolennicy Rzeczypospolitej, splamieni spiskiem targowickim, nie śmieli wystąpić w jej obronie, a tak wyrobiło się przekonanie, że Polska w swem odrodzeniu na całkiem inną wejść musi drogę. Krzewicielami tej teorii byli ludzie, zajęci podnoszeniem oświaty w kraju, gdy inni znów pod sztandarem francuskim walczyli we wszystkich stronach świata, uwodząc się błogą nadzieją, że wysługą krwawą spowodują rząd francuski do odbudowania ich ojczyzny. I pierwsi i drudzy przesiąkali teorjami obcemi, a chociaż z największem poświęceniem pracowali w sprawie narodowej i chcieli najszerszej jej powodzenia, sprowadzali ją przecież z drogi właściwej, a tem właśnie uniemożliwiali sami jej zwycięstwo.

Opracował TADEUSZ KUPCZYŃSKI.

## BALIŃSKI MICHAŁ.

(1794—1864.)

Zasłużony pracownik na polu naukowym, oświatowym i społecznym, jeden z wybitniejszych przedstawicieli i działaczy rozkwitu życia duchowego na Litwie pod wpływem Uniwersytetu wileńskiego, urodził się 14 sierpnia 1794 r. w Terespolu, majątku rodziców, w dawnym województwie wileńskim, z ojca Ignacego, cześnika inflanckiego, komisarza cywilno-wojskowego, matki Anny Korsakówny. Nauki gimnazjalne i uniwersyteckie pobierał w Wilnie. W r. 1813 otrzymał stopień kandydata, a w r. 1815 magistra filozofii. Pierwszą podobno pracą, ogłoszoną drukiem bezimiennie w „Tygodniku Wileńskim“ z r. 1816, jest przekład jednego rozdziału p. t. „Statystyka“ wydanej w Londynie r. 1814 książki: „O pomyślności, potędze i źródłach środków państwa W. Brytanji, we wszystkich czterech częściach świata“. Następnie w „Dzienniku Wileńskim“ z r. 1816 ukazuje się obszerna, na kilka ciągów rozłożona kompilacyjna praca, — wskazująca poważny kierunek zainteresowania się młodego umysłu — p. t. „Obraz państwa Wielkiej Brytanji, wystawujący w krótkości główne szczegóły dla poznania niniejszego stanu“. Na czele pracy motto angielskie z Otella.

Za podstawę służyły młodemu autorowi dzieła: Smolleta, Henry'ego, Gordona, Orntwella, Colquhouna, Gregoire'a, Hume'a, Venderburna. Pierwsza część obejmuje zarys dziejów Anglji, druga statystyczno-kulturalny obraz, trzecia rozwój konstytucji angielskiej.

Przed Balińskim ogłosił ks. Jodłowski, pijar, obszerną „Historję angielską“ (Warszawa 1789—91, w trzech tomach, str. 458, 509 i 697), po Balińskim jednak nikt nie podjął dotąd pracy podobnej. Wziąwszy udział w towarzystwie „szubrawców“, w którym otrzymał miano „Auszlawisa, strażnika porządku, piastującego Łopatę“, pomieszczał w pismach wileńskich: Dzienniku i Tygodniku

drobne utwory, wierszem i prozą, szerzące idee i dążenia tego towarzystwa. W wierszowanej przemowie, wygłoszonej na jednym z zebrań, tak określił te dążenia:

Wnet zbrojni dzielnej satyry orężem,  
Gardząc zdradziectwa i chytrności wężem,  
Zniszczym przekupstwa pozzwary  
I próżności mary.

Niech odtąd miłość nieskalanej sławy  
Podnosi umysł nieczem nieugięty,  
Wszak obywatel enotliwy i prawy  
Jej świętym ogniem winien być przejęty.

On to najsilniej zajmował przed wieki  
Wielkie Rzymiany, jeszcze większe Greki,  
Nim pałał Mucjusz, Arystyd, Katony  
I dzielne Scypjony.

Gdzież nie zawiedzie ten zapal szlachetny?  
Przezeń to wyższy nad samego siebie  
I samym sobą genjusz tylko świetny,  
Żyje na ziemi, nie umiera w niebie!

Tym zasadam pozostał Baliński wierny przez całe życie; odbiły się one w jego różnorodnej, troską o dobro społeczne nacechowanej działalności.

W r. 1820 zostaje pracownikiem Komisji Sądowej Edukacyjnej Wileńskiej i pełni te obowiązki aż do jej zwnięcia w r. 1833. W tym czasie poślubia córkę Jędrzeja Śniadeckiego. Gdy po r. 1831 zaczęło się na nowo budzić życie umysłowe w Wilnie, Baliński wraz z młodszym od niego o lat 18 Kraszewskim biorą czynny udział w zasilaniu noworocznika „Znicz“, ukazującego się od r. 1834. Obadwaj współcześnie biorą się też do pracy nad historją Wilna. Baliński pomieszcza w „Zniczu“, a następnie wydaje oddzielnie „Opisanie statystyczne miasta Wilna“ (1835 r.), a w następnym roku „Historję miasta Wilna“ (Wilno 1836 r.). Kraszewski swą historję Wilna (do r. 1750) ogłosi dopiero w latach 1840—1842 (3 tomy).

W r. 1837 przenosi się Baliński do Warszawy, gdzie otrzymuje urząd komisarza do nadzoru nad handlem księgarskim i zo staje członkiem Komitetu Egzaminacyjnego dla kandydatów na nauczycieli. Prezesem tego komitetu był Leopold Sumiński, jednocześnie zajmujący stanowisko dyrektora kursów dodatkowych, istniejących od 1837 do 1842 r. Jednocześnie rozwija Baliński w Warszawie rozpoczętą już w Wilnie działalność literacko-naukową. Deotyma w swym „Pamiętniku“, wspominając wybitniejszych gości

głośnych zebrań poniedziałkowych, odbywających się w domu jej rodziców od r. 1834, określa Balińskiego słowami: „Złote serce, złoty humor, szacowny pisarz, uroczysty towarzysz zabawy. Szkoda, że po kilku latach powrócił na Litwę i zostawił po sobie niezastąpioną próżnię“. W ciągu dziesięcioletniego pobytu w Warszawie dokonał wielu poważnych prac. Poczet ich rozpoczynają „Pamiętniki o królowej Barbarze“ (Warsz. 1837—40, 2 tomy), z kolei idą dawniej zapewne już przygotowane zbiorowe wydania pism Jana Śniadeckiego (Warszawa i Lipsk 1839, 7 tom.) i Jędrzeja Śniadeckiego (Warszawa i Lipsk 1840 r., 6 tom.), „Pisma historyczne“ (Warsz. 1843, 4 tomy, ponowne wyd. Pamiętników o król. Barbarze i zbiór rozpraw z zakresu dziejów Polski), „Historja polska“ (Warsz. 1844, zarys popularny), „Pielgrzymka do Jasnej Góry w Częstochowie, odbyta przez pątnika XIX wieku“ (Warsz. 1846). Przyjąwszy udział w założeniu „Biblioteki Warszawskiej“, uchwalonem na zebraniu w dniu 12 września r. 1840, pomieszczał w tem czasopiśmie sprawozdania różnorodne, jak np.: „Andrzej Wolan, szkic biograficzny z reformacji litewskiej“, „Wspomnienie z jednego dnia wędrowki po kraju“, „Spytko z Melsztyna i ród jego“, „Zgon Żółkiewskiego pod Cecorą“. Podjął wraz z Tymoteuszem Lipińskim rozpoczęte w r. 1842 wielkie wydawnictwo: „Starożytna Polska pod względem historycznym, geograficznym i statystycznym“ (Warszawa 1843—50, 3 tomy, drugie wydanie — uzupełnione przez F. Martynowskiego — 1885 r. 4 tomy). W dziele tem, odtwarzającym podziały polityczne Rzeczypospolitej za Stanisława Augusta i przedstawiającem dzieje miast i prowincyj do r. 1794, Baliński opracował tom trzeci, obejmujący Litwę. Z okresu pobytu w Warszawie pochodzą też drobniejsze opracowania: „Bożogrobey“ w „Pamiętniku Relig. Moral. (t. XXII) i „Fundacja zakonu i kościoła O. Kapucynów w Warszawie“ w noworoczniku: „Alleluja“ na rok 1840. W r. 1847 porzuca służbę rządową i wraca na Litwę, gdzie pełni po dwakroć, z wyborów, obowiązki honorowego kuratora gimnazjum i instytutu szlacheckiego w Wilnie, tudzież wiceprezesa Komisji Archeologicznej Wileńskiej. W tym drugim okresie działalności swej Baliński ogłasza naprzód „Studja historyczne“ (pomieszczone tu: Paprocki i Pannosza, Spytko z Melsztyna i Dopelnienia do Pamiętników o królowej Barbarze, Wilno 1856), następnie przekład łacinskiej pracy Wassenberga („Carcer Gallicus“) p. t. „Więzienie Jana Kazimierza we Francji“ (Wilno 1858), dalej: „Pamiętniki historyczne, do wyjaśnienia spraw publicznych w Polsce przysługujące“ (Wilno 1859, mieszczą się tu pamiętniki Cedrowskiego i Obuchowiczów), „Dawna akademia wileńska, próba jej historii od założenia r. 1579 do ostatecznego jej przekształcenia w r. 1803 (Petersburg 1862, str. XII i 609. Przedstawiona tu głównie działalność Poczobuta). Najznakomitszą pracą Balińskiego, która ukazała się już po jego zgonie, są: „Pamiętniki o Janie Śniadeckim“ (Wilno 1865 r., 2 tomy).



Jest to ostatnia książka naukowa polska, jaka wyszła w Wilnie w chwili stłumienia życia umysłowego i pracy kulturalnej pod naciskiem systemu murawjowskiego. Baliński zmarł w Wilnie r. 1864. Prócz powyższych dzieł ogłosił on na obcych opracowaniach opartą „Historję Irlandji” (1858), przedstawiającą — z myślą pokrzepienia tym przykładem ziomków — dzieje wiekowego męczeństwa i ostatecznego odrodzenia narodowego tego nieszczęśliwego ludu. Drobniejsze opracowania pomieszczał też Baliński w „Encyklopedji Wielkiej” Orgelbranda, tudzież w „Gazecie Warszawskiej” korespondencje p. t. „Listy z nad brzegów Krozenty”.

Prócz tego ogłosił następne drobniejsze opracowania: „Dwukrotne oblężenie Wilna w w. XIV” (Dzien. Wileń. 1829), „Rys życia Jana Śniadeckiego” (Dzien. Wil. 1830 i osobno), „Żywoć publiczny i uczony Jana Śniadeckiego” (Warszawa 1839), „Wspomnienie pośmiertne o Jędrzeju Śniadeckim” (Magazyn Powsz. 1838 i Tyg. Liter. poznański 1838), „Żywoć Jędrzeja Śniadeckiego” (z popiersiem), Gniezno i Leszno 1840, „Jan Śniadecki w latach 1778—1781” (Wizer. i rozstrząs. nauk t. XI), „Król Jan III jako geograf”, (Wieniec dla Jachowicza — Warsz. 1858), „Krewa na Litwie” (Niezapomnianki Korwella 1842), „Jan Potocki” (Wizer. i roztr. nauk. t. VI, serja 1), „Poczobut” (Teki Wileńska, nr. 5). O księgozbiorze Balińskiego podał wiadomości A. E. Koźmian w „Wyciągach piotrowickich”.

Jak widzimy więc, główną zasługę Balińskiego stanowi praca nad przeszłością Litwy i jej życiem duchowem, skupiającem się w Wilnie. Zarówno poszukiwania, dotyczące się losów Barbary, jak obraz Litwy w „Starożytnej Polsce”, jak „Dzieje Wilna” i jego akademji, a wreszcie działalność dwu świętych przedstawicieli Uniwersytetu wileńskiego — braci Śniadeckich — oto najważniejsze dzieła, odbijające poważną, chrześcijańską i polską duszę historyka, który mimo braku wyższych uzdolnień naukowych i literackich oddał sumiennemi i zacną dążnością napiętnowanemi pracami i wydawnictwami poważną usługę nauce polskiej.

---

## WSKAZÓWKA BIBLIOGRAFICZNA.

Wydań pośmiertnych, zbiorowych czy też przedruków oddzielnych prac B. nie było. Jedynie tylko „Starożytna Polska” ukazała się w ponownem wydaniu (Warszawa, 1885) z dopełnieniami Martynowskiego. Biografij specjalnych i prac, odnoszących się do działalności B., niema. Treściwe życiorysy pomieścili: P. Chmielowski w „Wielkiej Encykloped. Ilustr.”, Ernest Świeżawski w „Złotej przędzy” i J. Bieliński w dziele „Uniwersytet wileński”.

---

## Jan Śniadecki i Tadeusz Czacki

(Studja historyczne, Wilno 1856).

Oba te imiona tkwią w pamięci wszystkich, którzy byli świadkami w początkach XIX wieku znakomitych usiłowań tych potężnego umysłu i serca mężów, w celu rozkrzewienia światła w ziemiach dawnej Polski; tkwią w pamięci ich następców, używających dzisiaj dobroczynnego na swe umysły wpływu nauk i wychowania przez nich rozwiniętego.

Śniadecki i Czacki, powołani wolą wspaniałomyślnego władcy, za natchnieniem żarliwego o pomyślność swoich ziomków ministra, dopełnili święcie i z całym wylaniem się dla dobra publicznego zacnych dusz swoich — obowiązków, przyjętych na siebie. Ale obadwaj, odmienną koleją przebywszy lata młodości swojej, różnego zupełnie hartu odebrawszy wychowanie, na niejednostajnym polu kształceni i niejednostajnie też działali i niejednemi drogami dążyli do tychże samych chwalebnych, tychże samych obywatelskich celów. Jan Śniadecki, walcząc z losem od pierwszej młodości, sam sobie winien wszystko, twardo wychowany, wykształcił w sobie charakter niezem nie zgięty, z uporem i cierpkością nieraz prawdy broniący. Surowej dokładności naukom oddany, pomimo całej żywości wyobraźni swej, jaką z natury odebrał, wszystko najczęściej, nietylko pomysły naukowe, ale i czyny ludzkie w klubach matematycznej ścisłości zawierał. Równie w naukach, jak na drodze urzędowania nie znał żadnych manowców, żadnej dyplomacji, szedł drogą wielką prosto, broniąc do upadłego swojego pochodzenia przeciwko tym, którzy mu stawali na zawadzie. Obrona ta stawała się nieraz uporem, nawet swarliwością, gdy raz się mocno przekonał, że zamiary jego trafiają do pożądanego celu! Stąd i z chęci widzenia w drugich teje samej surowej prostoty w pełnieniu przyjętych obowiązków powstała owa skłonność nagięcia wszystkich do swojego mniemania, ów jakoby despotyzm, który mu zarzucano, kiedy należał do spraw publicznych wychowania narodowego.

Czacki, w dostatkach zrodzony, zaraz od poranku życia już ma wielką zasługę, że sam z własnej dobrej woli puszcza się na pole mozolnej pracy, poświęca wszystkie swe siły i zdol-

ności naukom i służbie publicznej. Prawy i czciogodny mąż, ale od młodości w kształceniu się nawet umysłowem więcej za skłonnością i wolą swą idący, niż za pewnemi przepisami, żadnemi szrankami publicznych szkół nie ujęty; co do fortuny nie chudobę oszczędzać i mierzyć, ale bogatemi dochody szafować przeznaczony; inaczej zupełnie od towarzysza swych prac i zasług usposobiony, wystąpił na widownię publicznych działań. Nie miał on zatem ścisłości tej i nawet porządku, których się wymaga po człowieku, zwłaszcza publicznym. Sprawy też domowe Czacki zaniedbał więcej, niż należało. obok poświęcania się sprawie powszechnej, i przedwześnie osuszył źródło hojności swojej.

Entuzjasta z przyrodzenia, gorącą duszą, a gorętszym jeszcze umysłem obdarzony, wszystko brał ognisto, wiele w żywych kolorach widział, tam nawet, gdzie z zimną rozwałą działać, i tam, gdzie patrzeć własnym wzrokiem, nie zaś powiększającym szkłem należało! Czacki w urzędowaniu, w sprawach publicznych mniej zważał na ścisłość form, na dokładność w wykonaniu; w pismach swych nie miał gładkości, prostoty języka, ani jasności wykładu; ogromem wiadomości zastępował szyk i precyzję myśli. Stąd żywe nieraz spory między nim, a Janem Śniadeckim o tenże sam cel chwalebny, do którego dążyli, stąd owa różnica w sposobie pisania jednego i drugiego! Czacki nie pojmował Śniadeckiego, jak można być tyle wymagającym w pilnowaniu się prawideł raz ustanowionych, i upór jego przypisywał nieraz zarozumiałości, a nawet oskarżał go o zawiść. Śniadecki, nie chcąc nic a nic folgować wybujałym nieraz widokom Czackiego, zagradzał mu czasami drogę do użytecznych, choć mniej legalnych działań. Oba szczerze i serdecznie sobie życzliwi, nawet przyjaźnią ściślejszą połączeni: Czacki zachwycony zawsze nauką, wymową i gorliwością o wychowanie publiczne Śniadeckiego; ten znowu wielbiący z najgłębszego przekonania ogrom erudycji, pracowitość, czynność i poświęcenie się dla oświecenia młodzieży w Czackim; — oba, powiadam, tak słusznie cenić siebie umiejący, zawzięcie jednak stawali nieraz przeciw sobie, gromiąc jeden drugiego w dziełach swego urzędowania.

I.

Pierwsze ich związki, czysto literackie, na wzajemnem poważaniu oparte, były spokojne, obu ich unysł mocno zajmujące. Zabranie znajomości między Czackim a Śniadeckim jeszcze roku 1790 w Warszawie u Kołłątaja zrodziło pierwszy między nimi bliższy stosunek. Oba równie zajęci dobrem publicznem, przedsięwzięli wykonać rozmiar trygonometryczny całego kraju polskiego, Czacki, otrzymując zezwolenia na to rządowe i obmyślając fundusze, Śniadecki, obracając pracę swą i naukę do skutecznienia tak pięknego zamiaru. Zniweczyły go wprawdzie wypadki krajowe, ale między twórcami jego został na zawsze pewien pociąg i spółczucie, które niebawnie w ścisłą przyjaźń się zmieniły. Kiedy straszna katastrofa kraju przeminęła, pozwalając rozpierzebnionym jego mieszkańcom odbudowywać cząstkowie przynajmniej zniszczone ich siedliska, Czacki, coraz większem uwielbieniem przejęty dla nauki i czynów Śniadeckiego, odnowił przerwane burzą stosunki. Od roku 1802 zaczyna się znowu między nimi czynna korespondencja. Czacki powtarza nieraz, że największe czuje ukontentowanie, kiedy list od Śniadeckiego odbiera. Jest to zawsze, pisze on, odezwa przyjaciela, którego umiem szanować i kochać. Utworzone w r. 1800 Towarzystwo Przyjaciół Nauk postanowiło naprzód powrócić sławę i dzieła Kopernika narodowi polskiemu, do którego słusznie należały. Czacki był pierwszym z cenniejszymi grona tego współpracownikami, który, uznając w Janie Śniadeckim odznaczającego się w Europie astronoma, a pierwszego w Polsce matematyka, pośpieszył go zaszczytnemi pismami wezwać do odnowienia pamięci i zasług Kopernika. Kiedy Jan Śniadecki, dokonawszy swojej pracy, przesłał ją Towarzystwu Przyjaciół Nauk, Czacki z uniesieniem ją przyjmując, tak się odezwał do autora, z Warszawy 13 września 1802 roku: „Już tedy odebraliśmy twoje dzieło. Kobiety i mężczyźni, uczeni i uczyć się chcący, równą czcią dla Kopernika i dla ciebie są zajęci. Jednomyślnie mówią, że nie równego w takiej materji i z tą wymową nie napisano. Wschod nieśmiertelności z książki O obrótach, ze zgonem pisarza złączony, jenealogja rozumu, obrona Alfonsa, stały się objektem entu-

zjazdu. Jutro czytamy w zgromadzeniu, bo się oprzeć nie mogą natrętności kolegów, którzy wyprzedzać zdają się w chęci czytania i admiringowania. Wszyscy wołają o przekład francuski. Pytam się ciebie, szanowny przyjacielu, czybyś nie pozwolił, aby Linowski przetłumaczył pod twojemi oczyma. Wszyscy go prosić będziemy. On jest Polakiem, on nie odmówi tej narodowej chluby. Będziesz na to patrzył, będziesz sądził moc wyrazów własnych.

Gdybyś zaś nie chciał poruczyć tej pracy Linowskiemu, to już tutaj będzie przekład, ale kto odpowie za kalectwo wyobrażeń? — Przyłączam list do Linowskiego. Racz go oddać, jeśli pozwolisz, aby on tłumaczył. Kopezyński prosi tylko, aby pamięć nie była in plurali: całe zaś dzieło, jako najpiękniejszy nawet płód gramatycznych prawideł adoruje. — Ja zaś proszę: 1-mo — o wymazanie mojej pochwały. Na nią nie zasłużyłem, i możeż ona być wtenczas, kiedy mówisz o Koperniku, kiedy ty mówisz o nim? Chcesz między sobą i mną okazać ostateczność, jaką dowiodłeś między wielkością sławy księgi Kopernika, a zgonem człowieka. 2-do — Miasto Toruń nazwałś anzeatycznem. Te nigdy niem nie było. Pozwól, aby był wyraz zamiast anzeatyczny, handlowy. 3-o — Wszędzie piszesz Fruenburg. Zawsze nazywa się Frauenburg, bo to nazwisko jest z dwóch słów Frauen-Burg od N. Panny: Liebe Frau, pod której imieniem katedra jest fundowana. Kiedy ten list kończę, zgromadzenia naszego członki, przytomni pisaniu, odmieniają projekt tłumaczenia (pochwały Kopernika) w tym sposobie. Jest tu P. Tęgoborski, człowiek najlepiej po francusku piszący. Był on szefem zagranicznego departamentu ekspedycji. Polecimy jemu tłumaczenie, Mostowski je przejrzy. Tobie pierwsze arkusze pošlemy. Jeśli uznasz je za dobrze tłumaczone, będzie się drukować. Pierwsze to będzie dzieło w drukarni Mostowskiego; i chcemy je rozesłać na cały świat uczony. Abym ci dał krótki obraz ukontentowania, które twe dzieło zrobiło, dość powiedzieć, że dziś o godzinie 10-tej jest mi oddane, a do godziny 9-tej w wieczór, o której piszę, jedenaście razy jest przeczytane. Ściskam cię serdecznie. Dumny jestem z twojej przyjaźni. Molski uprzedza mnie w przysłaniu

ci jednego listu Kopernika. Niesie on ci tę pamiątkę w hołdzie. Moja żona najpiękniej kłania, i równie, jak obywatelka dziękuje.“

Czacki z podobnymże zapalem witał w następnym, 1803 roku Jeografią matematyczną, którą Jan Śniadecki wypracowawszy, przesłał Towarzystwu Przyjaciół Nauk; kłopotił się o dobre przekłady pochwały Kopernika na francuski i włoski języki, tak jakby był jej autorem; nakoniec uderzony nauką i doświadczeniem Śniadeckiego w sprawach publicznej instruceji, rozmyślał nad środkiem sprowadzenia go do Litwy i postawienia na czele uniwersytetu i szkół tamtejszych. Tymczasem, zbierając nauczycieli do gimnazjów na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, swojemu dozorowi powierzonych, wybór i polecenie ich oddawał co chwila zdaniu swego przyjaciela. Śniadecki odpłacał mu szczeremi i dojrzałemi radami, a uwielbienie i życzliwość swą dla Czackiego za każdą zręcznością okazywał publicznie.

## MALINOWSKI MIKOŁAJ.

(1799—1865.)

Historyk, w latach młodych w bliskich z Mickiewiczem stosunkach pozostający filareta, urodził się 6 (18) grudnia 1799 r. w Machnówce (w gub. kijowskiej). Nauki początkowe pobierał w Niemirowie i u bazylianów w Barze, gimnazjalne odbył w Winnicy, poczem w r. 1819 wstąpił do uniwersytetu w Wilnie. Studjował na wydziale literackim języki i literatury starożytne; był ulubionym uczniem Groddecka, z zachęty jego napisał dwie rozprawy seminaryjne: o filozofii stoickiej i o duchu mowy poetycznej Homera. Należał do Związku Filaretów i przewodniczył (po Czeczocie i Kowalewskim) w gronie błękitnem, t. j. literackiem, do którego był przyjęty wraz z Odyńcem d. 1 listopada 1820 r. Z L. Rogalskim i Odyńcem redagował czas jakiś (1823—24) założone (w r. 1820) przez K. Kontryma „Dzieje Dobroczynności Krajowej i Zagranicznej“. Dostarczał Lelewelowi wiadomości bibliograficznych do jego „Bibliograficznych ksiąg dwojga“ (1823—26). Wydał wzorowo „Jerozolimę wyzwoloną“ Tassa w przekładzie Piotra Kochanowskiego, poprzedziwszy ją studjum wstępem. Obok literackiej, oddawał się pracy społecznej i zarobkowej; więc zajmował stanowisko sekretarza Izby Pożyczkowej i sekretarza komitetu egzaminacyjnego przy Towarzystwie dla Wspierania Ubogich Uczniów Uniwersytetu, dawał lekcje jako nauczyciel prywatny.

Zamieszany w procesie Filaretów, kilka miesięcy, od 1 listopada 1823 r. do kwietnia 1824, przesiedział w więzieniu (u Bernardynów). Dzięki jakimś wpływom kara, która tak srodcie dotknęła wielu Filaretów, ominęła go; z Litwy nie został wygnany; ale w parę lat potem, w r. 1827 (w sierpniu) udał się dobrowolnie do Petersburga, dokąd go ściągnęły z jednej strony widoki zostania nauczycielem cesarzewicza, z drugiej możliwość studjowania źródeł do historii polskiej w Bibliotece Załuskich, do stolicy nadnewskiej przewiezionej. Spotkał się w Petersburgu w r. 1827 z Mickiewiczem. Od 24 listopada (6 grud.) 1827 do 4 (16) kwietnia roku następnego spisywał Malinowski pamiętnik swego tu pobytu

w języku łacińskim i umieścił w nim m. i. opis owego wieczoru grudniowego (24 grudnia 1827), w którym Mickiewicz improwizował, na dany mu przez niego temat, tragedję o Samuelu Zborowskim; dał jej też szczegółowe streszczenie. Powróciwszy do Wilna wkońcu roku 1828, ożenił się z siostrą dr. med. Ferdynanda Gutta i został zrazu sekretarzem, a następnie prokuratorem t. zw. Komisji Radziwiłłowskiej. Za pomyślnie dla ks. Wittgensteinów (spadkobierców Radziwiłłów) przeprowadzenie pewnej sprawy majątkowej z Tysskiewiczami otrzymał folwark w dożywocie. Praca Malinowskiego w Komisji trwała do r. 1840.

Obok zajęć archiwalnych oddał się teraz Malinowski w Wilnie poważnej pracy na polu dziejoznawstwa. W przeciągu lat dwudziestu (1844—64) wydał cały szereg źródeł i prac historycznych: a więc: „Źródła do dziejów polskich”, Wapowskiego „Dzieje Korony Polskiej” i W. Ks. Litewskiego” w przekładzie polskim, Strykowski „Kronikę” i inne pisma; Commendoniego „Pamiętnik o dawnej Polsee”, Bużeńskiego „Żywoty areybiskupów gnieźnieńskich”, tom I-szy „Pamiętników Wileńskiej Archeologicznej Komisji” (której był czynnym członkiem) do spółki z A. Kirkorem, Stanisława Łaskiego „Prace naukowe i dyplomatyczne, wraz z dziełami hetmana Tarnowskiego i inne. Wszystkie te wydawnictwa poprzedził źródłowemi i wyczerpującemi rozprawami historycznemi i przypiskami. Z Odyńcem, Ignacym Chodźką i innymi wziął udział w wydany z inicjatywy Kirkora lojalnym „Albumie Wileńskim”, poświęconym cesarzowi Aleksandrowi II, z okazji pobytu jego w Wilnie w r. 1858, za co zgromiony został wraz z innymi przez Klaczkę („Odstępcy” 1860) i Ujejskiego („Listy z pod Lwowa”, 1860). Pomieszczał artykuły w Dzienniku Wileńskim, Tygodniku Petersburskim (1830—35); w Tece Wileńskiej Kirkora (1857—58), w Kurjerze Wileńskim (wstępne artykuły polityczne). W rękopisie (z l. 1840—41) pozostawił „Historję Jagiellonów na Węgrzech”, którą uważał za główną pracę swoją. Pod koniec życia ociemniały, dyktował w r. 1864, „wśród największego srożenia się rządów Murawjewa”, wspomnienia swoje, wydane przed kilku laty przez J. Treliaka.

Zmarł 17 (29) czerwca 1865 r. w Wilnie.

## BIBLIOGRAFJA.

A. Pisma Malinowskiego. Wydał: „Goffred albo Jeruzalem Wyzwolona Torquata Tassa. Przekładania Piotra Kochanowskiego, sekretarza Jego K. M.” 2 tomy. Wilno 1826. Wydanie, sporządzone na podstawie pierwszego z r. 1618. „Przedmowa” (III—CVII) nie podpisana zawiera życiorys Tassa, ocenę poematu



i przekładu polskiego oraz dodany słowniczek archaizmów. — „Kronika...” Strykowskiego, wraz z dziełami jego pomniejszych, przedrukowana z wydań pierwotnych, którą Malinowski poprzedził „Wiadomością o życiu i pismach Strykowskiego. Warszawa, 1846. — „Źródła do dziejów Polski”, 2 tomy, Wilno, 1843—44. Wydał je wspólnie z Aleksandrem Przeździeckim i Michałem Grabowskim, których udział polegał na dostarczaniu mu materiałów. — „Pamiętniki o dawnej Polsce”, 2 tomy, Wilno, 1847—51, przełożone wraz z Józefem Krzeczowskim; zawierają listy Commendoniego, ze wstępem historycznym M-go. — Sl. Bużeńskiego „Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich”, 5 tomów, Wilno, 1852—60, w przekładzie Szyszki. — Wapowskiego „Dzieje Korony Polskiej i W. Ks. Litewskiego przełożył Mal.” 8 tomy, Wilno 1846—49. — „Stanisława Łaskiego wojewody sieradzkiego Prace naukowe i dyplomatyczne. z dodatkiem dzieł Jana Tarnowskiego...” Wilno, 1864 (zawiera m. i. przedruk z pierwodruku „Consilium rationis bellicae”) z obszerną rozprawą wstępną. — W „Herbarzu starodawnej szlachty” Wilezyńskiego (Paryż, 1860) umieścił M. rodowody kilku rodzin litewskich. — Z A. Kirkorem wydał „Pamiętniki Wileńskiej Archeologicznej Komisji”, tom I (Wilno, 1858, po pol. i ros.) — W „Albumie Wileńskim” (Wilno, 1858) pomieścił artykuł po francusku o Litwie p. t. „La Lithuanie depuis l'avénement au trône de Sa Majesté l'Empereur Alexandre II”. — Artykuły drukował w Dzienniku Wileńskim, (tu pierwszy art. „Wiadomość historyczna o szkole aleksandryjskiej” (1821), w „Dziejach Dobroczynności Krajowej i Zagranicznej” (1823—24), Tygodniku Petersburskim (1830—1835), Tece Wileńskiej (1857—58), Kurjerze Wileńskim (1840—63). — Dziennik łaciński Malinowskiego, pisany w Petersburgu w 1827—28, przechowuje się w rękopisie, niegdyś Winc. Korotyńskiego, w Bibliotece Krasieńskich w Warszawie; wyjątki z niego w przekładzie polskim ogłoszono: a) p. t. „Ustęp z pamiętników M. Malinow.” w „Korespondencji Ad. Mickiewicza”, tom IV. Paryż, 1885; przedtem w „Kronice Rodzinnej” 1875, z opuszczeniami cenzuralnymi; b) inny urywek w książce zbiorowej „Sami sobie”. Warsz. 1900; całość w oryginale łacińskim wydał M. Kridl w tomie I „Prac Komisji do Badań nad Historją Literatury i Oświaty”. Warszawa, 1914 (wydawn. Towarz. Nauk. Warsz.); też w przekł. polskim wydał i wstępem opatrzył M. Kridl, p. t. „Dziennik Mikołaja Malinowskiego”. Wilno, 1914. — „Księga wspomnień”, wydał Józef Tretiak. Kraków. 1907 (z rękop. Bibl. Akademji Umiejętności.) — Listy: do Lelewela, dwa z Petersburga z r. 1827 w „Koresp. Mickiewicza” tom III (str. 38) i z r. 1828 w Bibl. Warsz. 1876, I; wyjątki z 15 listów do Lelewela (o Mickiewiczu) z l. 1824—28 w Pamiętniku Mickiew. I. (1887); list do H. Rzewuskiego z r. 1842 w „Księdze Pamiątk. Mickiewicz.” (1898); list do Konst. Rdułtowskiego z r. 1845 w Kurjerze Warsz. z r. 1902, z d. 2

listopada. — Za objaśnienia historyczne, dodane do przekładu Klem. Janickiego (1851), Kondratowicz dedykował Malinowskiemu swą pracę, „w dowodzie czci i wdzięczności“. — Rękopis „Historji Jagiellonów na Węgrzech“ („Panowanie Jagiellończyków w Węgrzech“) przechowuje się w bibliotece, po J. I. Kraszewskim pozostałej; rękopis studjum o Januszu Radziwille w Muzeum Wileńskim (?). Art. „Losy fortuny Radziwiłłowskiej“ (ustęp od r. 1764 do r. 1804) druk. w Kółku Domowem 1866.

B) O Malinowskim pisali: W. Korotyński: „Wspomnienie o Mik. Malin.“ Kółko Domowe, 1865. — Tenże we wstępie do „Ustępu z pamiętników Malinowskiego“. Kron. Rodz. 1875. — F. M. Sobieszcański w Encykl. Orgelbr. — Odyniec w „Wspomnieniach z przeszłości“. Warszawa, 1884 (str. 111—116). — Wł. Mickiewicz w Żywocie Ad. Mickiewicza, tom I. — Uziębło w Kur. Codzien. 1899 z 24 lipca. — L. S. Korotyński: „Urywek z pamiętnika Mik. Malinowskiego“. Sami sobie. Książka zbior. Warsz. 1900. — E. Chw. w W. Enc. Powsz. Ilustr. — Kraushar: Z archiwum b. Trzeciego Wydziału w Petersburgu. Przegl. Histor. 1906 (o liście Malgo do Kaspra Żelwietra, w którym opisał ucztę dla Mickiewicza z d. 24 grudnia 1827; por. Księgę wspomnień str. 76—81). — Wł. K.: List Filaretów. Kurjer Warsz. 1906, nr. 326. — Tretiak we wstępie do „Księgi wspomnień“. Kraków, 1907. — J. Bieliński: Uniwersytet wileński, III. — Chmielowski: Ad. Mickiewicz I, 405 (wyd. 1886). — M. Kridl: we wstępie do Dziennika łacińskiego. Prace Komisji do Badań nad Historją Literatury i Oświaty. (Tow. Nauk. Warsz.), Warsz. 1914.

### A) Z listów do Lelewela

(1827—28).

Z Lelewelem korespondował Malinowski w l. 1824—1828. Oprócz dwu listów, które podajemy, ogłoszono wyjątki z 15 listów. W tych dwu listach z r. 1827 i 1828 opowiada Malinowski o improwizacjach Mickiewicza w Petersburgu w r. 1827. W drugim liście, z d. 19 III 1828. i w pamiętniku łacińskim, współcześnie przez Malinowskiego w Petersburgu spisywanym, mieści się jedyna znana relacja o improwizacji Mickiewicza o Samuele Zborowskim. Szczegółowsze streszczenie improwizowanej przez Mickiewicza tragedji o Sam. Zborowskim, podane przez Malinowskiego w r. 1864 w „Wspomnieniach“, mniej jest wiarogodne, nietylko dlatego, że nie zgadza się w szczegółach z pierwszą relacją, ale że spisane zostało nie bezpośrednio pod wrażeniem tej improwizacji, lecz w kilkadziesiąt lat później.

Tekst listu Malinowskiego do Lelewela z r. 1827 wzięliśmy z „Korespondencji Ad. Mickiewicza“, tom III, 38; tekst drugiego, z r. 1828, z opuszczeniem dłuższego ustępu o improwizacji na temat: Samuel Zborowski, — z Biblioteki Warszawskiej 1876, t. I, 411—417.

...Od trzech przeszło tygodni przybyli tu Adam Mickiewicz i Franciszek Malowski z Moskwy, w orszaku księcia generał-gubernatora moskiewskiego. Malowski może w Petersburgu zostanie, a Mickiewicz za kilka dni nas opuści i nazad do Moskwy wróci. Po tylu latach niewidzenia się, po tylu zobopólnie doznanych nieszczęściach, z braterskiem uczuciem rozrzewnienia witaliśmy siebie nawzajem. Mickiewicz zewnątrznie cokolwiek odmienił się, zapuścił bakenbardy, to go poważniejszym czyni. Cera zdrowsza, nieco zmężniał, odmienił się, ale na swoją korzyść. W towarzystwie nie jest, jak dawniej, ekscentryczny, i owszem, bardzo swobodny i ujmujący. Tych nawet, którzy mniej mają prawa być ze strony jego z uprzedzeniem traktowani, bardzo uprzejmie przyjmuje. Talent jego dojrzał, rozmowa zasilona i tem, co widział, i co czytał, nosi nadto piętno jego bogatej imaginacji. Lubi teraz mówić dużo, jego głos często sam tylko słychać w zgromadzeniu, i każdy skwapliwie ucisza się, aby go słuchał. Prawdziwie napełnia mię uczucie dumy, że byłem kolegą Mickiewicza i że jestem jego przyjacielem. Przybycie jego do Petersburga sprawiło niesłychaną sensację. Rosjanie i Polacy prześcigają się w okazywaniu mu poszanowania. Prowadzimy życie prawdziwie karnawałowe, jedne obiady, aż za północ przeciągające się, szybko idą po drugich, a i tak zaprosin wszystkich przyjmować nie może. Pozostaje mu tylko trudność wyboru. Mickiewicz talent improwizacji doprowadził do zadziwiającego stopnia doskonałości. Gdy czuje się w werwie, dosyć jest zagrać na fortepianie znajomą jakąś piosnkę, natychmiast improwizuje, i to z taką gwałtownością, tak nagle, że zdaje się, iż duch jakiś go dręczy, by co prędzej pozbyć się uczuć serca. Jużem go kilkanaście razy słyszał. Pisać niezmiernie trudno, bo żadne pióro nie poścignie szybkości poety, i przytem nie pozwala on, aby pisać, bo mówi, że to w nim zapał niszczy, gdy piszących widzi. Przynajmniej co wieczór pilnie spisywałem treść każdej jego improwizacji; niech te niezgrabne rysy przedziwnych malowideł przynajmniej w trwałej pamięci zostaną. Mickiewicz przy-

jechał tu jużto dla towarzystwa Franciszka<sup>1)</sup>, już dla osobi-  
stego postarania się o pozwolenie wydawania pisma perjo-  
dycznego, pod tytułem *Iris*, w Moskwie, w języku polskim.  
Miało być to pismo poświęcone literaturze, filozofji, poezji.  
Z wielkim żalem naszym, minister nie pozwolił; żadnej nawet  
przyczyny nie dał. Przywiózł także z sobą rękopism swojego  
nowego poematu *Wallenrod*. Czytałem go zupełnie wiele  
razy; ale, im częściej wczytuję się, tem coraz obfitsze piękności  
widzę. Nie jeszcze podobnego w poezji polskiej niema; śmiem  
rokować, że uwłaczający sławie Adama będą musieli umilknąć,  
albo niesforne wrzaski ze wstrętem odrzucone zostaną. Poemat  
ten ma przeszło 2000 wierszy, autor też próbę uczynił, wpro-  
wadzając w narrację heksametr; nie wiem, jak tę nowość inni  
przyjmą; mnie, oswojonemu z miarą dawnych, mile do ucha  
wpada. Ale tendencja poematu jest górna i zacna. W każdym  
narodzie i wieku podobać się będzie. Tu dla nadchodzących  
świąt i niezgrabnego druku, nie mógł drukować: za powrotem  
więc do Moskwy, zapewne w końcu przyszłego miesiąca z pod  
prasy wyjdzie.

*Mikołaj Malinowski.*

b)

7 (19 marca 1828 r. S. Petersburg.

W ostatnią sobotę list pański otrzymałem, śpieszę na-  
tychmiast z odpowiedzią. W samej rzeczy nie należało mi cze-  
kać, dopóki nie będę proszony o udzielenie obszerniejszego  
opisania improwizacji Adamowych, lecz nie wiem sam, dlacze-  
gom to uczynił. Opieszalskość w pisaniu nie może być przyczyną  
tego, ponieważ nie znam chwil przyjemniejszych nad te, które  
poświęcam rozmowie z moim zacnym i łaskawym przyjacielem.  
Chcę dzisiaj wynadgrodzić to opuszczenie, ale ostrzegam za-  
wczasu, że wierszy samych przysłać nie mogę. Mickiewicz  
improwizował tu otoczony zazwyczaj tłumem słuchaczy, nie  
było nikogo, ktoby chciał pozbawić się przyjemności patrze-  
nia na mówiącego poetę, a jeżeli w godzinach uroczyстых, jak  
np. wtenczas, kiedy improwizował tragedję, znaleźli się tacy.

<sup>1)</sup> Malewskiego. (*Przyp. Red.*)

którzy pisać chcieli, nie zdołali uczynić tego dosyć ostrożnie; postrzegł się Adam i wyraźnie oświadczył, że szelest pióra niszczy w nim złudzenia poetyckie. Nie miałem więc innego sposobu, tylko, powróciwszy do domu, zapisywać to, com sobie ogólnego mógł przypomnieć; ale powracałem najczęściej z biesiad o godzinie 2-ej lub 3-ej po północy, znużony, senny; nie wiem, czy co godnego czytania w moim dzienniku zanotowałem, postarałem się jednakże uczynić zadość rozkazowi pańskiemu, ile ze mnie będzie. Pierwszy raz tu słyszałem improwizującego Adama d. 16 grudnia. Uległ poeta prósbom wszystkich obecnych, ale w skutecznieniu znalazły się przeszkody. Przywykł Mickiewicz improwizować zawsze przy fortepianie, tymczasem instrumentu nie było, sprowadzać zdało się za późno; wynaleziono gdzieś c z a k a n i przy jego odgłosie śpiewał Adam kilkanaście zwrotek wesołych, żartując z różnicy czasów obecnego i przeszłego, kiedy wśród dziewięć, wśród towarzyszków mówić przychodziło, wtenczas, kiedy i rymu brakło, podsuwał go którykolwiek z oswojonych z sercem poety, z rozumiejących jego język i t. d.; teraz śpiewać trudno, pierwszy raz niektórych widzi, lęka się znaleźć romantyków, którzy bez sądu, bez miłosierdzia wołają na niego c r u c i f i g e. Woli więc być poeta na zawołanie, chce śpiewać na urząd, bo tacy lepiej od tandetnych wychodzą. Prosił więc, aby mu podana była treść pieśni. Józef Oleszkiewicz, malarz, człowiek zacny, ale na nieszczęście mistycyzmem zarażony, podał psalmodję stworzenia. Po tylu przykładach wielkich i małych poetów, którzy lub zaczęli lub kończyli swój zawód na śpiewaniu chwały Stworzyciela, nie spodziewałem się nie nowego usłyszeć; ale jak przyjemnie zostałem przerażony, kiedy poeta wystawił Boga w zamieszaniu i w zamęcie wszechrzeczy, rozdzierającego chaos, i w jednej ręce światło, w drugiej obejmującego ciemności.

Nie mogę się odżalować, że tych kilkunastu wierszy nie schwycił i że ich nikt nie spamiętał. Mógłby wytrzymać porównanie, a może wziąć pierwszeństwo nad wspaniałym obrazem Boga, który na wiatrach nieograniczoną przestrzeń przelatuje, którego gromy i błyskawice są posłami, a który Kocchanowski tak godnie wytłumaczył (w Psalmach Dawida).

Przytomny Bułharyn prosił o pochwałę wolonterów naszych. Wyprawa hiszpańska dziwnie wystawiona w kilkudziesięciu zwrotkach była. Nakoniec pieśń do gospodarzy za gościnne przyjęcie skończyła improwizację dzisiejszą.

Dnia 22 byliśmy u zanego młodzieńca Postumjusza Prószyńskiego, gdzie Orłowski swoim sposobem improwizował w mgnieniu oka, prawdziwe dzieła sztuki zapomocą kredy tworząc. Oleszkiewicz nawracał, a Adam ich obydwóch pochwały śpiewał. Miejsce, gdzie o sztukach, jak o siostrach jednej matki, o ich wzajemnej miłości i słodkim rodzinnym związku, o ich wielkiem przeznaczeniu mówił, dziwnej piękności. Tę improwizację zanotował Prószyński, ale hrabina Chodkiewiczowa zabrała z sobą i tak niespodziewanie, że nie miano czasu skopjować.

.....

...Dnia 27 Bułharyn dał obiad dla Adama, znajdowali się na nim: Orłowski, Sapieha, Sękowski, Linowski, Łęski, Jelski, Chodźko, Malewski i t. d. Cały obiad zszedł na kłótni z Sękowskim, który niesłychanym sposobem z nieprzebaczoną zuchwałością rzuca się na to wszystko, cokolwiek ludzie zacni szanować zwykli, a lubo Sękowski bardzo jest mowny, lubo nad dowodami swojemi już oddawna pracuje, często paradoksa swoje powtarza, wielką liczbę fałszywych lub poprzekręcanych faktów ma na zawołanie, nie zdołał jednak oprzeć się Mickiewiczowi, który go kompletnie pobił.

Po stole proszono Adama o improwizację. Sękowski, chcąc się pomścić, dał mu przedmiot bardzo klasyczny: Wyprawę kapitana Parry do bieguna północnego i sam mi do ucha szepnął, że ciekawy jest, jak się poeta pokaże. Adam opisał, jak Anglikom znane były okropne strony oceanu Lodowatego, jak uczeni spodziewali się rozszerzenia wiadomości, a kupcy nowego źródła zysków z odkrycia dróg, dotąd niedostępnych; jak używano ochotników do tego przedsięwzięcia i jak powstał jeden tylko Parry. Opisanie przez poetę budowy okrętu jest świadectwem dostatecznem, jak Mickiewicz zwraca na wszystko uwagę, co ze sztuką jego ma związek. Sam Sękowski przy-

klasnąć musiał. Ale już okręt puszczoney przeszedł za granicę znaną, niesłychane trudności pokonywać, prace ponosić, niedostatków doznawać musieli żeglarze. Parry dzieli z nimi wszystkie niewczasys, ale kiedy inni upadają na sercu, on jeden wszystkim dodaje odwagi; majtkowie grożą buntem, już wpadli do izby kapitana: ten niewzruszony, spokojny, wychodzi przeciwko nim i, wytrąciwszy pistolet z rąk pierwszego zuchwalca, nakazuje milczenie i głos zabiera. Wiele o sławie Anglików w żeglarstwie, o ich wytrwałości mówił, nakoniec, podniósłszy oczy do nieba, ujrzał orła; zwraca uwagę swoich słuchaczów na królewskiego ptaka i mówi, że ten orzeł, którego nad głowami waszemi widzicie, przyleciał tu z nad brzegów Białej-Wody. Naród, co u brzegów tej rzeki mieszka, w okropniejszej od obecnej chwili nie stracił podle — tak jak wy — serca i wielkich rzeczy dokazał sławą przewag swoich na trzech częściach ziemi, na obydwóch półkulach świata, dla potomności zapisał, a wyż ludzie jeszcze wolni, z tego przykładu korzystać nie chcecie?

Dalej są skutki tej mowy: wytrwałość i posłuszeństwo przykładowe i powrót, wtenczas dopiero przedsięwzięty, kiedy natura odmówiła swej pomocy.

Żałuję nieskończenie, że te blade bez życia parafrazy piszę. Nigdy nie żałowałem tyle, żem się stenografji nie uczył, jak słuchając Adama. Rozmowa jego nawet zaczyna przybierać cechę improwizacji, tak jest świetną, tak obfitą w myśli własne, oryginalne. Z serca wieszuję literaturze, że posiada takiego olbrzyma.

Serdecznie dziękuję za łaskawą pamięć o mnie, nie wiem, czy mi wypadnie przenieść się do Warszawy, zależeć to będzie od skutku moich antrepryz petersburskich. W tych dniach spodziewam się otrzymać pozwolenie wydawania tygodnika przy pomocy Malewskiego, Mickiewicza i niektórych innych. Upraszam pana najczulej o ozdobienie tego nowego pisma rozbiorem którego z nieegzaminowanych dotąd dzieł historycznych. Najlepiej gdyby można wziąć pod uwagę pisma Albertrandego wydane przez Żegotę, a nawet Władysława IV pana Kwiatkowskiego; zresztą spuszczaam się na światły wybór pański, bo o skutku mej prośby, ufny w dobroć, nie wątpię. Najle-

piej jednak byłoby, z powodu tłumaczenia Karamzina, dać całą recenzję jego Historji; teraz pewnoby można ją wydrukować *mutatis mutandis*.

Na inne szczegóły listu pańskiego odpowiem w przyszłą środę, bo ten już i tak długi. Powtarzam prośbę o książkę, którą posłałem dnia 22 lutego. Teraz posyłam pieniądze na prenumeratę „Gazety Polskiej“. Racz pan to zrobić, abym mógł ją odebrać przez kancelarję Królestwa, rozumiem, że Hlebowicz to ułatwi.

Bułharyn, który ma córkę i żonę, włożył na mnie usługę sprowadzenia dla nich trzewików. Prawdziwie wstydzę udawać się do pana z taką prośbą, ale nie odmawiaj pan tego podług przyłączonych tu miar i żądań tych dam. Racz pan kupić trzewiki i przesać pod moim adresem do kancelarji pańskiej. Damy nasze chciały wystąpić w trzewikach warszawskich na Wielkanoc, rozumiem, że właśnie w czas otrzymać je będą mogły.

Do pana Niemcewicza napiszę we środę, bo dzisiaj już mało czasu, a nie umiem pisać innego dnia, jak wtenczas, kiedy mam list wyprawić.

Polecam się łaskawej pamięci

*Mikołaj.*

Jest tu Adolf Januszkiewicz, dla interesów, prosił, abym go przypomniał pamięci pańskiej.

## B) Z „Księgi wspomnień“

(1864).

(„Mikołaja Malinowskiego Księga wspomnień“. W Krakowie, 1907).

Wspomnienia swoje polskie dyktował Malinowski pod koniec życia, w r. 1864. O lat kilkadziesiąt wcześniej, w r. 1827, w Petersburgu, zaczął Malinowski spisywać pamiętnik w języku łacińskim, ale doprowadził go tylko do kwietnia r. 1823. Wspomnienia Malinowskiego polskie spisano z ust jego w formie luźnie powiązanych z sobą opowiadań. Podajemy wspomnienie z czasów sprawy filareckiej, w którym Mal maluje obraz życia więziennego.

(Str. 35 - 38.)

... Adam Mickiewicz, po ciężkiej chorobie, przebytej w Kownie, otrzymał od uniwersytetu pozwolenie zamieszkania



w Wilnie, gdzie mógł mieć łatwiejszą pomoc lekarską. Uniwersytet z ojcowską wyrozumiałością zostawił mu pensję nauczycielską, jaką pobierał w Kownie, i przeznaczał dlań po wyzdrowieniu wyższą posadę w swoim gronie. Ale skoro komisja, ustanowiona przez Nowosilcowa, znalazła go na liście Filaretów, natychmiast jak i inni został zamknięty w klasztorze Bazyljanów, zamienionym na więzienie. Śledztwo ciągnęło się leniwie, jesień nadchodziła, trzeba było urządzić na zimę klasztor: bernardyński, pijarski, dominikański, franciszkański i misjonarski. Profesorowie dowiadywali się co rana o tem, że po kilku ich najlepszych, albo dawniejszych, albo teraźniejszych uczniów w nocy zabierano.

Na jednej lekcji zacytował Groddeck, tłumacząc mowę Demostenesa za Ktezyfonem, doszedł do pysznego ustępu, w którym mowca opowiada okropności tej nocy, w której Filip Macedoński wtargnął do Aten i najzaszczeniwszym obywateli Rzeczypospolitej do więzienia powtrącać rozkazał. Wymawiając słowa — „noc była“ — zalał się łzami, bo właśnie przeszłej nocy uwięziono: Mickiewicza, Kowalewskiego, Aleksandra Chodźkę, Jeżowskiego, Wiernikowskiego i jeszcze kilku innych. Ale nadszedł dzień pierwszy listopada; wieczorem, około godziny 10, największą liczbę pochwymano po domach. Wówczas i Malinowski był wzięty i odprowadzony do klasztoru Bernardynów. Cella była nadzwyczaj mała, ówierz jej zajmował jeszcze ogromny piec ceglany; widać, że dawno nie była zamieszkaną, gdyż była nadzwyczaj brudną. Wydała się Malinowskiemu okropną. W rozruchu zabierania osoby i pościeli trudno było pomyśleć o wzięciu z sobą jakiej książki. Co więzienie okropnem czyniło, to, że z początku każdemu więźniowi dodawany był żołnierz, który z nim razem w tej celi musiał się mieścić. W kilka dni jednak to się zmieniło i już żołnierze na korytarzu straż odbywali. Że zaś każdy po pięć cel miał pod dozorem, stanowiło to pęk kluczków, któremi ciągle po korytarzu jak kajdanami brzękali. Pod względem wygod nie było niedostatku, bo mieszkańcy wileńscy dali wówczas dowody wzorowej ludzkości. Właściciele domów zamożniejszych popisywali więźniów po klasztorach i komu do którego klasztoru było bliżej, jeżeli Filareta bliższe związki pokrewieństwa lub przyjaźni

z kim nie łączyły, przyjęli na siebie obowiązek pamiętania o wygodach stołu i bielizny. Uwięzieni u Bernardynów obsyłani byli przysmakami od panien święto-michalskich. Na usilną prośbę, zanesioną do odwiedzających urzędników, a mianowicie do pocziwego policmajstra Szłykowa, każdy dostał po kilka książek, sprowadzonych z domu, albo dostarczonych przez księgarza Józefa Zawadzkiego, który okazywał w tej mierze najszczerzą uczynność. Ale ponieważ odmiana mogła tylko następować przez ręce Szłykowa, szło to bardzo leniwo, tak, że często po tygodniu i więcej nie było co do czytania. Jednego wieczoru w początkach grudnia (1823) Malinowski zgasił świecę i zatopił się w myślach. Wtem coś zlekka poczęło uderzać w szybę tak, jakby zziębnięta ptaszyna dzióbkiem dopominała się o danie sobie przytułku. Malinowski otworzył połowę okna. Długa żerdź wsunęła się do celi; ująwszy ją po ciemku, więzień poczuł, że koniec obwinięty był papierem. Skoro go zdjął, żerdź cofnęła się nazad. Rozniecił ogień i znalazł kilka słów, napisanych ołówkiem przez Aleksandra Borowskiego, młodszego brata profesora Leona, z którym Malinowski ściśle był sprzyjażniony. Śliczny to był chłopiec ten Aleksander. A taki serdeczny, taki miły i usłużny, że równego mu znaleźć było trudno. W papierze, którym żerdź była okreconą, znalazł się mały kawałeczek ołówka i przestroga, że jeśli przyjdzie co odpisać, należy w okno zapukać, a żerdź odpowiedź przyjmie. Donosił też razem, że jako uczeń skarbowy medycyny, mieszka bezpłatnie w klasztorze Bernardynów, na dole, tuż pod Malinowskim, i że co nocy, nim księżyc wejdzie, będzie mógł tą drogą komunikować się z sąsiadem. Malinowski prosił, aby Aleksander poszedł nazajutrz do przyszłej jego żony i poprosił ją o uszycie sporej torbeczki z grubego płótna, aby w nią włożyła kłębek szpagatu, parę ołówków, szczyryk i z pół libry papieru. Tegoż dnia wieczorem usłużna żerdź to wszystko podała. Od tej pory korespondencja szła najregularniej; tą drogą dostały się wszystkie żądane książki, listy, nowy zapas papieru i drobniejsze sprząciki. Koledzy Malinowskiego, może pozbawieni tego środka, mogącego im skrócić czas i osłodzić samotność więzienia, nie zważając na zimno, otwierali okna i leżąc na nich rozmawiali z sobą. Komendant miasta,

obehodząc strażę, postrzegł to, doniósł, kazano popieczetować okna. Kilka dni przerwała się wszelka komunikacja. Szłykow, z obowiązku odwiedzając więźniów, wszedł do celi Malinowskiego, który żalił mu się, że powietrze było nieznośne w tak ciasnym zamknięciu, którego przez odemknięcie okna odświeżyć było niepodobna. Szłykow z uśmiechem odpowiedział, że na to jest sposób wybić niby przypadkiem szybę, a nim nowe szkło wstawią, można celę przewietrzyć, aby zaś nie było zimno, zatkać otwór poduszką. Malinowski zapytując: „czy tak?” uderzył w szybę, która wyleciała z brzękiem. Ledwie na trzeci dzień zastąpiono szkło rozbite nowem, a tymczasem żerdź znowu ukazała się przed otworem i Malinowski mógł napisać, żeby mu przysłano kawałek laku i strunę fortepianową. Odtąd co wieczór, kiedy miał skomunikować się z poceziwym Aleksandrem, nagrzewał strunę nad świecą, potem pociągał ją pod pieczęć policyjną, która odstawała od drzewa, bez najmniejszego naruszenia. Za danym znakiem żerdź zjawiała się i korespondencja szła regularnie na nowo. Malinowski nie doznawał już niedostatku w książkach. Przywykł do swego położenia, nawet to ciągłe odosobnienie poczynało nabierać jakiegoś smutnego powabu. Dla ruchu zażądał od żołnierza, aby za dane mu pieniądze kupił szczotkę i codziennie najczyściej wymiatał swoją celę. Sprowadzonymi w worku ścierkami pył ścierał i cela nabrała nawet pewnego rodzaju elegancji. Przeczytał w więzieniu wszystkie dzieła Cycerona i Ksenofonta, Historję literatury włoskiej przez Ginguené, historję rzeczypospolitych włoskich Sismondi, prócz kilkunastu romansów Waltera Scotta. Dni upływały jednostajnie, ale mile. Często, zaczytawszy się głęboko w noc, usypiał po północy. O godzinie 4-ej żelazna grzechotka budziła Bernardynów do chóru, budził się i Malinowski, ale wnet przy jednostajnym śpiewie zakonników, przy poważnym, a tłumionym głosie organów znowu usypiał i, kołysany tą harmonją, nie pamiętał, aby kiedykolwiek przedtem i później tak słodkiego snu używał. Czasami, kiedy kapral był katolik, niektórzy z bernardynów zachodzili do celi choć na krótką pogadankę. Malinowski raz tylko wzywany był na komisję i wracał w czasie takiej zamieci śniegowej, że świata nie było widać. Przechodząc mimo

księgarni Zawadzkiego, chciał do niego wejść i podziękować mu za obsyłanie siebie książkami. Żołnierz zgodził się na to, a obdarzony przez Zawadzkiego rublem, zapytał: czy jeszcze dokąd zajść nie miał więzień ochoty? Zwrócił więc na prawo i wstąpił do domu Guttów. Sama pani Guttowa (w młodości była cudnie piękną), złotego serca kobieta, była właśnie na dole swego mieszkania w śpizarni. Malinowski wbiegł, aby jej ręce ucałować. Niespodziany widok człowieka, którego jak syna kochała, sprawił, że z radości zemdląła. Zbiegła i bogdanka Malinowskiego. Widzenie się im niespodziane, tem miłsze, dodało Malinowskiemu odwagi do znoszenia swej doli. Ciągnęły się tak dni i miesiące, aż dopiero w Wielki Czwartek w kwietniu (w r. 1824) został uwolnionym. Nazajutrz poszedł odwiedzić znajomych. Naprzeciw księgarni Zawadzkiego zdybał się z Gołuchowskim, który, serdecznie ściskając go, powiedział: „Toż dziś tylko Barabaszów uwalniają“. Malinowski odrzekł, że był już uwolniony wczoraj na Wieczerzę Pańską. Idąc w dół ulicą Biskupią, ujrzał idących naprzeciw siebie państwa Tycjusów. Młoda i śliczna wówczas pani Tycjus tak się ucieszyła widokiem znajomego sobie i sprzyjaźnionego z domem Filaretą, że zapomniawszy się, że to było w dzień biały i na ulicy, rzuciła mu się na szyję. Za przybyciem do Groddeka starzec ze współczuciem rozpytywał go o szczegóły więzienia. A kiedy mu Malinowski powiedział, że całego Cycerona przeczytał od deski do deski, a znakomitsze mowy i Tuskulanki po kilka razy, uszczęśliwiony Groddek uściskał go jak syna....

## LUDWIK KONDRATOWICZ

(Władysław Syrokomla)

(1823 — 1862).

Serdeczny lirnik wioskowy, popularny raczej przez wspomnienie, niż przez bezpośrednie oddziaływanie na czytelników współczesnych, był ongi najrozgłośniejszym i najbardziej kochanym przez mnogie rzesze śpiewakiem, zwłaszcza w rodzinnym swym, nadniemeńskim kraju. Olbrzymią jednak popularność i uwielbienie słuchaczy poezja S. zawdzięczała nie podniosłości i górnoci natchnień lub rozległości pomysłów — nie może się w tym względzie mierzyć z poezją wieszczą — ani nawet strojności i świetności swej szaty — skromnej jej sukienki powstydziliby się dziś każdy, mierny nawet poeta. Ale pieśń ta była taką, jakiej łaknęła ciżba słuchaczy lirnika, był w niej bowiem rzewny rytm, do którego łatwo dostrajały się serca.

Tam, daleko, na obcej ziemi, świetnie się rozwijała poezja mistrzów. Lecz ich głosy zaledwie dochodziły do kraju, do kresów litewskich zwłaszcza. Tu powstawała odrębna literatura, tu zrodziła się falanga pisarzy, których gwiazdy kolejno jaśniały i gasły, tu nieśmiało się odzywały głosy śpiewaków. Tam, poza granicami kraju pieśń wezbrała płaczem ogromnym i rozżaleniem, ale były w niej i gromy przyszłości. Tu — na tej ziemi, która wypiastrawała wielkiego wieszca narodowego, uczucie narodowe skurczyło się w sobie, przypadło nisko do ziemi, chciało trwać, byle trwać tylko. Więc przyłgnęło do wszystkiego, co tchnęło swojskością, co osłoniło czeią religijną rodzinę i jej cnoty, co aureolą otoczyło przekazane przez przeszłość dziedzictwo, bądź w obyczaju, bądź we wspomnieniach chwały. Z dążności takich zrodził się w znacznej mierze nasz romantyzm, lecz sięgnął natychmiast głęboko i rozwinął loty podniebne. Już w młodości ukrywał w sobie rozmach bojowy, ożywiała go nadzieja zduszenia w kolebce hydry, poruszenia ziemi z posad. Po doznanych jednak wstrząśnieniach w nastroju ogółu przeważać musiał pierwiastek bierności, zwłaszcza że

życie zbiorowe zaniknąć musiało, w literaturze zaś skutek bezwzględności represyj nie mógł się ujawniać żaden postęp, żadna śmielsza myśl. W takiej chwili i w takich warunkach dał się słyszeć cichy i drżący głos lirnika. I wnet ujął serca uczuciem rzewnem, szczerością natchnienia, swojskością tematów, prostotą ich traktowania, gorącym umiłowaniem paucizny narodowej. Jakkolwiek przecież mocnymi węzłami związana z tem, co w dniu bieżącym z przeszłości płynęło i do zachowania skarbów zdobytych zmierzało, poezja S. wybiegała również tęsknotą swą i ideałami w przyszłość. W studjum swem o dziełach Ign. Chodźki poeta, mimo ogólnego panegirycznego tonu, nie może powstrzymać się od spostrzeżenia, że „główną ich (dzieł Chodźki) wadą jest to, że zbyt ponętnie malując zachód słońca, odwracają naszą uwagę, która na młodej jutrzni skupić się powinna“. Szczerzy demokratyzm poety, chociaż przeważnie uczuciowej tylko natury, nie oparty o twarde grunty przekonań, jest niewątpliwie owym elementem jutra, którego mu brakło w utworach Chodźki. Ta dążność demokratyczna wydała taki skutek, że ukochanie przez poetę przeszłości dziejowej nie było bezkrytyczne, dostrzegał bowiem w niej strony, które wybaczyć można, ale których niepodobna otaczać aureolą. Z dążności tej również pochodziło, że kołyszając i kojąc znużone dusze miękkością swej pieśni, potraçał jednak często o struny, drżące w sercach młodzieży, tęsknie wyglądającej świtu nowej zorzy. Takie oto okoliczności sprawiły, że pieśń poety i jego osoba otoczone były miłością i uwielbieniem.

Pseudonim „Władysław Syrokomla“ (jedno z imion chrestnych poety i nazwa herbu) przesłonił niemal zupełnie właściwe nazwisko lirnika — Ludwik Kondratowicz. Urodził się K. w dniu 17/29 września 1823 r. we wsi Smolhowie, gub. mińskiej, pow. bobrujskim z ojea Aleksandra i matki Wiktorji ze Złotkowskich. Ojciec, szlachcic ubogi, niegdyś komornik (geometra), był niezasobnym dzierżawcą niewielkich folwarczków. Wkrótce po urodzeniu się syna przeniósł się do pobliskich Jaśkowie, z którymi związane były pierwsze mgliste wspomnienia poety o rodzinnem Polesiu. Od trzeciego jednak roku życia widzimy już małego Ludwika w nadniemeńskiej okolicy, kędy upłynąć miały jego dzieciństwo i młodość (Kudzinowicze pod Nieświeżem). Życie upływało chłopcu w najbardziej poufałym obcowaniu z przyrodą i ludnością wiejską.

Rodzina dała przyszłemu poecie religijność i zamiłowanie do książki. Ojciec bowiem Ludwika, wychowawiec szkół pijarskich, był człowiekiem wykształconym i lubił bawić się piórkami.

W szóstym roku życia był już Ludwik namiętnym czytelnikiem. W r. 1833 oddano go do powiatowej szkoły ks. Dominikańców w Nieświeżu, jak się zdaje, do klasy drugiej. Według Winc. Korotyńskiego pobyt Ludwika w niej trwał od 5-go września 1833 r. do 30 listopada 1835 r. W tym właśnie roku szkołę ska-

sowano, jak o tem świadczy poeta w dziele p. t. „Wędrowki po moich niegdyś okolicach“. Gdzie indziej (podobno w Nowogródku u dominikanów w szkole unieśmiertelnionej przez pobyt Adama) ukończył klasę piątą (w r. 1837). Przez jakiś czas pomaga ojcu w gospodarstwie w Marchaczewszczyźnie, należącej do kompleksu dóbr ks. Wittgensteina (poradziwiłłowskich).

W jesieni 1840 ojciec oddaje młodego chłopca do biura Zarządu Ordynacji Radziwiłłowskiej w Nieświeżu. Okoliczność ta miała doniosłe znaczenie dla przyszłego poety, młodzieniec wszedł bowiem w środowisko ludzi inteligentnych, i to stanowiło dlań podniecie do uzupełnienia luk swego wykształcenia. Pełnomocnik ks. Wittgensteina, Adolf Dobrowolski, utrzymywał w Nieświeżu życie towarzyskie i umysłowe, otaczając się wychowancami uniwersytetu dorpackiego i charkowskiego. „W tej epoce — mówi o sobie poeta — począłem stale czytywać książki polskie i francuskie i poznajamić się systematycznie z biegiem tych literatur“. Studjował również literaturę staropolską. W pracy biurowej wypadło mu nieraz wertować dokumenty archiwalne, co pozwalało mu zaznajamiać się z rysami obyczajowemi minionych epok. Budziło się zamiłowanie do wpatrywania się w zamierzchłe czasy, gromadził się materiał, którym poeta rozporządzać będzie w swej twórczości w kierunku historycznym. Poza pracą samokształcenia i zajęciami biurowemi pochłaniało młodzieńca życie towarzyskie i „uczuciowe“, które dostarczyło pierwszych pobudek do próbowania sił na polu poezji. Za przykładem starszego kolegi, Michała Kątkowskiego, autora satyr obyczajowych p. t. „Gawędy z Ambrożewiczem“, pisuje K. wiersze okolicznościowe, dowcipne żarciki, osnute na śmiesznoścach kolegów lub znajomych, żartobliwe trawestacje i t. p. Naogół biorąc, czasy nieświeskie (od r. 1840—1844) należy uważać za przygotowawczy okres samodzielnego życia poety. Skończył się on z chwilą, gdy K. staje na kobiercu ślubnym z 16 letnią Pauliną Mitraszewską w dn. 16 kw. 1844.

Zapewne względem p. Ad. Dobrowolskiego, krewnego i opiekuna p. Pauliny, zawdzięcza poeta możność zagospodarowania się w Załuczu nad Niemném, w pobliżu Nieświeża. Odstąpił synowi dzierżawę p. Aleksander, przynosząc się do pobliskiej Tulonki. Oba te folwarczki należały do masy dóbr poradziwiłłowskich.

Kulawo szła gospodarka, bo poeta jej nie lubił, a konieczność korzystania z pracy pańszczyźnianej wstrętną mu była. Szczęśliwie to jednak były samotne lata w Załuczu. Tu się rozpoczęła praca literacka, rozpoczęła się i wzniosła do wyżyn dostępnych sobie twórczość. Tu obcował długo bądź z tworam i własnej wyobraźni, bądź z postaciami, z przeszłości przez usilne wpatrywanie się w nią wywołanemi. Wskazując swój stolik, swoją szafkę biblioteczną, poeta z uniesieniem wołał: „zguba moja, szczęście moje“.

Gdy nie pracował przy biurku, szukał S. wytchnienia wśród ludzi, u najbliższych sąsiadów, chętnie też garnąc do siebie ubogą brać kapotową, której myśli, uczucia i dolę w twory swe zamykał. Twórczość oryginalna poety o zakroju poważniejszym nad okolicznościowe wierszyki, którymi zresztą Syrokomła sypał na wsze strony do końca życia, rozpoczyna się sonetami „Wspomnienia z Nieświeża“ w r. 1844. Współcześnie (w kwietniu) rzucił na papier kilkanaście zwrotek pierwszej swojej gawędy p. t. „Pocztyljon“, drukowanej w „Athenaeum“ Kraszewskiego (1844 r. t. 6, str. 205—8; podpis N. N.). Była to chwila pierwszego (beziemnego jeszcze) wystąpienia na widownię. Księgarskie ogłoszenie zakwalifikowało „Pocztyljona“ jako „śliczny wierszyk“. Pochwała ta wypełniła serce S. radością i wznieciła w nim ufność w swe powołanie poetyckie. Odtąd zaczyna mniemać, iż w piosnce swej przetrwa chwilką dzień śmierci i pogrzebu. Narazie przecież twórczość oryginalna nie uczyniła imienia Syrokomli znanem. Parę wierszyków mniejszej wagi umieszcza w r. 1845 pismo zbiorowe „Ondyna Druskienickich Żródła“. W następnych latach paru „Athenaeum“ i „Gwiazda“ Zenona Fisza drukuje inne wierszowane i prozaiczne utwory. Wszedł S. do rzeczypospolitej literackiej inną drogą, przez dokonanie przekładów poetów polsko-łacińskich, których pierwszy tomik został ogłoszony przez autora własnym nakładem w r. 1848 (Janicki).

Według pierwotnego pomysłu S-i, ogłoszonego w „Tygodn. Petersb.“ w r. 1846, przekłady miały być dokonane pracą zbiorową. Tłumaczenia Syrokomli udostępniły czytelnikowi polskiemu nieznanne przedtem skarby literatury. Dalsze tomiki przekładów (6 tomów), ukazywały się nakł. Zawadzkiego od r. 1850 do 1852.

Praca nad przekładami zdecydowała o losie pieśniarza. Imię jego stało się znanem, wydawcy zgłaszają się do niego z propozycjami, redakcje chętniej umieszczają jego utwory. Gdy spostrzeże, iż „poetyczne Załucze chleba nie daje“, a zawsze jakoś tak się układała, że obowiązki rosły, lecz wydatków swych poeta nie umiał zastosować do posiadanych lub spodziewanych zasobów, wówczas S. nie pomyśli o zarządzeniu biedzie — intensywniejszemi zabiegami koło roli — o nią miała się już kłopotać pani Paulina — lecz szukać będzie zarobków literackich, acz te były, przynajmniej w pierwszej dobie, nadzwyczaj liche. Z takich pobudek wyplętnęło popularne (za Wiszniewskim) opracowanie Dziejow literatury (od r. 1850), z takich również inne prace wydawnicze historyczno-geograficzne i tłumaczenia, których wykaz podaje bibliografia. Ściany skromnego dworku w Załuczu oglądały też powstające szeregi gawęd, które rozstawiły niebawem imię poety („Kradzione“, „Dyferencja“, „Lalka“) i były świadkami, jak się zarysowywał pierwszy pomysł znakomitego „Ulasa“ (Czortowy Bród), wśród nich się zrodziło arcydzieło S-i Urodzony Jan Dęborog z jego



pełnym grozy i żalu epilogiem, Hetmanem polnym, one wreszcie słyszały jedną z najpiękniejszych i najrzewniejszych pieśni S-i, Lirnika wioskowego. Nie o te ściany przecież uderzyło ocho sławy pieśniarza.

Pierwszy tom Literatury ukazał się w r. 1851; w r. 1853 wyszedł 1-szy tom „Gawęd i rymów ulotnych“; w końcu tegoż roku (z datą 1854) Ur. Jan Dębioróg. Imię S-i stało się bardzo głośnem nie tylko na Litwie, lecz i w całym kraju. W tym czasie widzimy S. najpierw w Wilnie (koniec roku 1852 i początek następnego), od kwietnia zaś 1853 w Borejkowszczyźnie, w pobliżu Wilna, na trakcie, prowadzącym do Mińska. Poeta z usposobienia samotnikiem nie był, natura i książki wystarczyć mu nie mogły, w zajęciach rolnicze serca nie wkładał, a rozszerzającym się stosunkom literackim nie czynił żadnych krótkich wycieczek do Wilna i w dalsze okolice Załucza. W dodatku boleśnie go zranił los, zabierając mu dwoje dzieci, które spoczęły na cmentarzu w Stołpcach. I oto w rocznicę swych urodzin w dn. 17-29 września 1851 r. poeta opuścił na zawsze „swoje niegdyś okolice“, pożegnawszy je specjalną monografią („Wędrowki po moich niegdyś okolicach“, Wilno 1853 r.). Jak się zdaje, poeta miał widoki otrzymania stałej posady w Komisji Archeograficznej, stworzonej przez Eustachego Tyszkiewicza. Tymczasem sprawa legalizacji instytucji wciąż się odwlekała, był rodziny trudno było oprzeć wyłącznie na pracy literackiej — dopiero za lat kilka S. otrzymywać będzie bardzo wysokie honoraria — wypadło obejrzeć się za dzierżawą. I oto Borejkowszczyzna już do końca życia pozostanie przytułkiem dla rodziny poety i punktem oparcia dla niego samego, gdyż Wilno odwiedzał często i na miesiące całe nieraz opuszczał wieś. Narazie przecież schronienie się do Borejkowszczyzny miało dla poety moralnie kojące znaczenie, bo w Wilnie nie czuł się dobrze. W stolicy prowincji litewskiej zwalczały się dwa obozy, konserwatywny i postępowy, z których każdy szukał sankcji swego kierunku w chrześcijaństwie, tak lub inaczej pojmovanem. Poetę z obozem tradycji łączyło ukochanie przeszłości i przywiązanie do pewnych ustalonych norm życia religijnego, moralnego, obyczajowego. Skądinąd szczere, trwałe i głębokie sympatje demokratyczne, harmonizujące z całą organizacją psychiczną poety, kazały mu odczuwać duchowe pokrewieństwo z falangą młodych. Nie będąc z usposobienia bojownikiem, nie doświadczając konieczności wewnętrznej zajęcia zdecydowanego stanowiska, ceniąc nade wszystko osobiste zalety jednostek, poeta, już otoczony powszechnem uznaniem, zamierzył pogodzić zwaśnionych. Próba ta ściągnęła na S. tylko przykrości z obu stron, co nad wyraz dotknęło czułą jego naturę, zniechęciło go do ludzi i na długie miesiące wtrąciło w apatię. Dopiero wiejska cisza i sprzyjające twórczości poety jesienne miesiące potrafiły zatrzeć ślady przykrych

przejsć i obudzić uśpione natchnienie. Echo epizodu tego słyszymy w wierszowanej przedmowie do nowego pocztu Gawęd, ogłoszonego w r. 1854.

Najbliższe lata są nadzwyczaj płodne; stanowisko S-i jako poety było zapewnione, nie potrzebuje już ze względów zarobkowych ślęczeć tyle, co dawniej, nad dziełami erudycyjnymi. Szybko jelen po drugim ukazują się tomiki jego poezyj. Oprócz mnóstwa drobniejszych rzeczy rok 1853 daje uzupełnienia do ks. Baki, ułamek „Filipa z Konopi“, „Kojec z kurczęty“ i obszerny poemat „Spowiedź Korczaka“. W r. 1854 pracuje nad najulubieńszem dziełkiem swoim, „Margierem“, z którego chciał uczynić epopeję walk Litwy z Krzyżakami. Wykonanie jednak chybiło, chłodne zaś przyjęcie poematu przez krytykę i czytelników boleśnie zraniło autora. Z tegoż roku pochodzi *Kęs chleba*, utwór, zawierający wiele nut osobistych; w postaci Łagody dał poeta wizerunek swego sędziwego ojca, którego po 10 latach wygnano z dzierzawionej Tulonki bez grosza i chleba. W r. 1855 idą: „Córa Piastów“ i „Zgon Acerna“. Objawem związanych z teatrem stosunków jest pierwsza próba dramatyczna S-i „Chatka w lesie“. W tym rodzaju S. nigdy nie doszedł jednak do względnej bodaj doskonałości. Sytuacje i rysy osobnicze zwykle rozplływały się u niego w łzawym sentymentalizmie i deklamacyjnym bohaterstwie. I jeżeli później nieraz, zarówno w Wilnie („Karliński“, „Politycy wiejscy“), jak w Warszawie („Hrabia na Wątorach“)<sup>1)</sup> i Wilnie („Chata w lesie“ w r. 1858) owacje dla S-i łączyły się z przedstawieniami jego utworów scenicznych, musimy widzieć w tem objawy hołdu i miłości dla serdecznego lirnika i poety narodowego, nie dowody uznania dla utalentowanego autora dramatycznego. Z r. 1856 pochodzą „Wielki Czwartek“, różne gawędy, „Stare wrota“, „Królewscy lutniści“, dwa sceniczne utwory „Hrabia na Wątorach“ i „Kalejdoskop jarmarkowy“ i wreszcie jeden z najpiękniejszych utworów tego okresu, ustępujący tylko „Ułasowi“ i „Szkolnym latom“ — „Janko Cmentarnik“. Obfitym też był i rok następny, 1858, gdyż daje poematy „Nocleg hetmański“, „Starosta kopanicki“ i wspomnianego „Ułasa“ kantatę „Franciszek z Asyżu“ i dramat „Kasper Karliński“. Z tych zasługuje na uwagę przedewszystkiem „Ułas“, pierwszy utwór Syrokomli, zawierający w sobie elementy prawdziwie dramatyczne; wypłynął on z mglistych wspomnień dziecięcych (Polesie) i głębokiego uczucia miłości i sprawiedliwości w stosunku do braci w siermiędze. Napisał go poeta w Wilnie, kradnąc rzadkie chwile rozgałęzionym stosunkom towarzyskim, które mu myśl i czas targały w różne strony, jeszcze radsze może udrękom, które nie

<sup>1)</sup> Było to w r. 1856, kiedy Albert Przeździecki wozwał poetę do Warszawy, proponując mu objęcie wydawnictwa *Gazety Codziennej*.

miały go już opuścić do mogiły. Rok 1857 bowiem, to rok ostrego kryzysu, który moralnie wstrząsnął poetą, podkopał zdrowie, a gdy minął, zostawił już tylko ruinę. Przyczyna tkwiła w namiętnem uczuciu, które naraz płomieniemob jeło serce S., i w okolicznościach, z uczuciem tem związanych. Przedmiotem miłości stała się kobieta zamężna, p. Kirkorowa. Spotykał się z nią poeta i w domu A. H. Kirkora, gromadzącego u siebie świat artystyczny i literacki Wilna, i w towarzystwie artystów dramatycznych, p. K. uważaną była bowiem za świetną gwiazdę teatru wileńskiego.

Węzeł uczuciowy zadzierzgnął się w początku r. 1857. Stopniowo zaczęły się ujawniać fatalne dla poety następstwa namiętności. Już przedtem miano mu za złe cygański sposób życia wśród drużyny aktorskiej. Obecnie atmosfera towarzyska wokół niego zaczęła się oziębzać, S. zaś boleśnie to odczuwał, mimo doznawanych owacyj ze strony szerszej publiczności.

Zbyt miękka natura poety nie umiała wystarczać sobie, szukać oparcia w dumnym poczuciu niezależności. Każdy objaw mniej życzliwego, chłodniejszego stosunku ze strony ludzi pozbawiał poetę wiary w siebie, z ręki pióro mu wytrącał, wszelką energję odbierał. Tak było w pamiętnym 1853 r. Obecnie, by się usprawiedliwić może, ogłasza poeta (w końcu roku 1858 z datą 1859) poemat „Stella Fornarina“ w którym pragnął w świetle idealnem przedstawić stosunek mistrza do kochanki: „ona natchnieniem była Rafaela“. Lecz opinija publiczna uznała to za wyzwanie, sobie rzucone, utwór ogłosiła za niemoralny tak pod względem tendencji jak i pomysłu. Opinija publiczna nie miała słuszności by w częsteej najdrobniejszej, ale była potęgą. I w lat kilka znalazła wyraz w naganie osobistemu charakterowi poety, rzuconej nad niezasypanym jeszcze grobem.

Gdy w taki sposób poeta stracił niezbędne dlań moralne poparcie, w sercu jego ciężko się zmagala obłądna miłość z poczuciem obowiązku względem rodziny i z niewiarą w serce kobiety. Współcześni, jak Kraszewski, utrzymują, że tylko „próżnostka“ i „kaprys“ nakazały p. K. przykuć sławnego poetę do swego rydwanu. Lecz i sam poeta niekiedy gorzko się skarży wobec przyjaciół: „Co miałbym pisać zboląły, wyzuty z wiary we wszystko, bo moje wszystko podnosiło, ożywiało jedno uczucie“. Oprzeć się jednak namiętności nie umie. Zapada w bezwład, z którego wyrrywają go na chwilę zewnętrzne podniety, jak w r. 1858, kiedy na żądanie p. K. z Krakowa w ciągu dni 10-u pisze na benefis dramat „Możnowładcy i sierota“, czyli „Księżniczka słucka“. Nagłemi, rozpaczliwemi ruchami krąży wokół nęcącego a zgubnego dla siebie światła. Stąd owe podróże do Warszawy w r. 1857, do Poznania i Krakowa w r. 1858, stąd marzenia o podróży do Włoch. Te lata smutne, lata wewnętrznej rozterki,

kolejne zmiany gorączkowego napięcia woli i zupełnej prostracji. bolesne odczucie klątwy ze strony społeczeństwa, zrujnowały system nerwowy, podkopując wątły organizm, niszczone przez nieumiarkowanie poety. Lubił on bowiem zabawić się wesoło w dobru towarzystwie, powtarzało się to może za często. Obecnie w swem rozpaczliwym położeniu oddał się zupełnie smutnemu nalogowi. Nie pomogły więc wody w Druskienikach (1859) i Birsztanach (1860). Gdy ostry ból minął, nie minęły skutki wstrząśnienia.

Poeta nigdy nie odznaczał się skrupulatnem liczeniem się ze zdrowiem. Obecnie, gdy ze znękaney głowy i zbolatego serca wciąż trzeba było wysnuwać szeregi wierszy, by opędzić się długom i zapewnić sobie i rodzinie chleb, a głowa i ręka odmawiały posłuszeństwa, do domu poety wraz z chorobami zawitał niedostatek, nawet nędza, mimo ratunku, z którym śpieszyli w najkrytyczniejszych nieraz chwilach przyjaciele. Nałóg pracy, konieczność zdobywania środków materialnych sprawiły, że dorobek literacki w latach 1858 i 1859 jest wciąż jeszcze znaczny: „Marcin Studziński”, „Wyrok Jana Kazimierza”, „Wiejscy politycy”, zbiorek „Natura wilka wyciąga z lasu”. Z okolicznościami chwili związane są, jak wspominaliśmy, „Stella Fornarina”, „Możnowładcy”, i „Wrażenia pielgrzyma” (echo podróży z r. 1858). Prawdziwie szczęśliwym czuł się jednak poeta dopiero wtedy, gdy od posepnego dnia dzisiejszego cofał się ku dziecięcym swym latom („Lata szkolne Dęboroga”).

W ostatnie epoce życia, kiedy w sereu przetlało wprawdzie gorące uczucie, zostawiając popioły, lecz kiedy natomiast choroba i zmęczenie chwytają go w swe szpony, pieśń S-i nabiera obcych sobie dotąd głębokich tonów; w jej głosie czuć majestat bólu i rezygnacji. Z tkliwego gawędziarza, jakim był dotychczas, S. staje się lirykiem. W tym czasie wyrzuca z piersi swej grzmiące: „Wstyd mi Wilna, nie chcę być Litwinem i hańba mojej herbowej pieczęci”, na widok kajdan, wkładanych na lud („Wyzwolenie włoscian” 1859). W tym czasie opiewa „Śmierć słowika” (1859), próżno pragnącego z swej drucianej klątki zgłuszyć pieśnią okrutne, hućące po bruku wozy.

W chwilach ostatecznego znękania wyśpiewał prośbę o śmierć („Cupio dissolvi”, 1861 r.); nieważ jednak mglenia ufnej wiary w przyszłość „Przebudzenie” 1861). W różnych ulamkach znać dojrzałą pewność ręki, lecz znać także, że stan fizyczny nie pozwoli już na szerszy oddech.

W końcu marca 1861 r. S., szukając ratunku, po raz ostatni odwiedza Warszawę. Zbliżające się wypadki odbiły się na jego losie. W powrocie podejmowano go owacyjnie w wielu miejscach, co przybrało cechę demonstracji. S-i groziło zesłanie, lecz wskutek starań dr. Titusa u gen. gub. Nazimowa uwolniono poetę z wię-

zienia, i sprawa skończyła się internowaniem poety w Borejkow-szczyźnie. Napisał tam jeszcze „Owidjusza na Polesiu“ i „Melodje z domu obłąkanych“. Stąd posyłał artykuły do „Kurjera Wileńskiego“. Na początku 1862 r. pozwolono mu przenieść się do Wilna. Tu zgasł w dn. 15 września.

Na treści utworów Syrokomli odbiły się niejednokrotnie losy człowieka, na ich kolorycie zaś odcisnęło ślady wewnętrzne usposobienie poety. Natura to była miękka, mało skupiona w sobie, łatwo rozpraszająca się, potrzebująca często podnieć zewnętrznych, gwaru, wesołych głosów ludzkich; natura rozkwitająca wśród atmosfery sympatji, serdecznych uśmiechów i gorących uścisków dłoni. Szczęśliwe i płodne były lata samotne w Załęczu, ale wkońcu znużyły poetę, i gwałtownie na niepewne losy zdał łódź swoją. Podobne tej nagłe decyzje świadczyły o pewnej kapryśności usposobienia, dla którego jednostajność była nieznośna, lecz nie o elementach woli, któraby panować mogła nad okolicznościami i własnymi zachęciami poety.

Dlatego okoliczności nieraz zwyciężały, spotykając się ze zbyt małą opornością; ze źródła tego pochodzi uleganie wpływom towarzyskim, pewien bezład w sprawach życiowych i wkońcu poddanie się smutnemu nałogowi.

Uporeczywa praca samouka sprawiła, że pieśniarz stanął wśród przednich szeregów inteligencji prowincji litewskiej. Zapewne, nie mogła ona zastąpić w zupełności systematycznego wykształcenia, stąd prace literackie S-i posiadają cechę kompilacji, nie pozbawionej braków filologicznych i historycznych, co ściągało na poetę dotkliwie upomnienia znawców. Braki jednak erudycyjne, jako fakt zewnętrzny, nie mogły oczywiście decydująco wpływać na znaczenie pieśni ani obniżać stanowiska umysłowego poety. Była przecież organiczna przyczyna, w zaznaczonym kierunku oddziaływająca. W usposobieniu umysłu S-i nie dostrzegamy uzdolnień do abstrakcji, do refleksji. Dlatego niezawsze umiał zachować swą samoistność wobec przeważającej opinii, choćby ta pozostawała w sprzeczności z głębszemi sympatjami i dążeniami poety, stąd płynie uleganie tradycyjnym poglądom, nieumiejętność zdobycia się na koncepcje głębsze lub oryginalne w zakresie wywodów historycznych, bądź społecznych, stąd nieraz pewna połowiczność i chwiejność stanowiska, co było zresztą znamieniem epoki (np. w sprawie włociańskiej, w sprawie sporu między reakcją a postępem, w\* stosunku do religii i t. p.). Nałóg samouctwa i pewna z natury otrzymana powolność w procesie myślenia sprawiły, że ilekroć wypadło mu stanąć wobec nowych zagadnień, o które się łoczyła walka, co do których trzeba było zająć natychmiast określone bezwzględne stanowisko, tyle razy czuł się nieszczęśliwym i niezdolnym do decyzji i wyboru. Z tą nieśmiałością umysłową harmonizowała nieśmiałość uczuciowa w stosunku do ludzi, ujawniająca się nazewnątrz pozornym chłodem,

niekiedy opryskliwością i maskująca w ten sposób zarówno towarzyskie usposobienie poety, jak jego miękką, spragnioną przyjaźnią naturę. Czuł się dobrze tylko wśród ludzi bliskich, okazujących mu współczucie, i szczęśliwym był wśród natur szczyrzych i skromnych jak sam.

Owa miękkość i szczerokość wewnętrzna odbija się w sentymentalnym nieco kolorycie jego poezji. Cechy te nie miały jednak znaczenia wyłącznie biernego. S. nie tylko pożywał sympatyj ludzkich, lecz i sam bliźnim dawał serce. Z tego gruntu uczuciowego przeważnie wyrasta demokratyczny kierunek poezji S-i. Zasadniczy typ jego utworów — to gawęda. Twórcą nazwy i rodzaju jest W. Pol., czy też — jak utrzymuje właśnie autor „Pieśni Janusza” — K. Wł. Wójcicki. Gawęda jednak S-i wywodzi się bezpośrednio z mickiewiczowskiej ballady; bierze na się pierwotnie znamienne fantastyczno-ponury nastrój („Pocztyljon“, „Trzy gwiazdki“) i zachowuje do końca ukryty pierwiastek cudowności w nieubłaganym, tragicznym splocie zupełnie zwykłych napozór, przypadkowych zdarzeń. Typowemi są pod tym względem „Pocztyljon“, gawęda gminna, i „Hetman polny“, gawęda starożołnierska. Ulubiony ten przez poetę rodzaj jest z jednej strony objawem romantycznych oddziaływań na lirnika litewskiego, skądinąd jednak dowodzi, że w pieśni jego romantyzm obniża swój lot, zastosowuje się do codziennych, powszednich wymogów życia. Wyrok przeznaczenia staje się tu morałem, luźna zaś, poufna forma opowiadania najbardziej była zdalna do tego, by zamknąć w sobie główną treść natchnień S-i, obrazy z życia natur prostych, nieskomplikowanych, ich język, myśli, uczucia, przyzwyczajenia, ich troski i uciechy, ich wyobrażenia, przesady, wiary, do tego, by ukazać nam je w chwilach wezbrania rześkiej energii i w innych — smutnej bezradności. Bracia w kapocie — uboga szlachta zaściankowa, z której sam poeta pochodził, i bracia w siermiędze — gromada wioskowa, nad którą się litował, oto są jego bohaterowie.

Występują tu oni nie jako szereg jednostek — o indywidualnych rysach na tle swego pochodzenia, swych prac, wspólnych cech obyczaju, lecz raczej jako przedstawiciele swej warstwy społecznej i w stosunku do klas innych, uosabiając typowe, zasadnicze znamiona swego stanu. Zależało to od właściwości wyobraźni poety, która chwytala najbardziej zasadnicze elementy charakterów i stosunków, korzystając jeno niekiedy z najłatwiej wpadających w oczy, zewnętrznych przeważnie oznak wyodrębniających, osobniczych. Ale owa typowość określa jednocześnie społeczną wartość pieśni lirnika, decydując o stosunku do niej słuchaczy. Ubogi szlachcic czuł w tej pieśni więcej, niż sympatję dla siebie, czuł swe uobywatelnienie, rozpoznawał w sobie pewną siłę, wyzwalającą się od kaprysów, opieki i przewodnictwa swej starszej braci. Własną pracą i głową miał dla siebie zdobywać przyszłość i służyć ojczyźnie. Zaczynał czuć swą wartość, poeta podnosił jego cnoty rodzinne,

pobożność, przywiązanie do ziemi, prostotę, skromność, ale składającą z upodobaniem kreslił jego dumę, energję, poczucie niezależności... Prawda, nieraz brał w kapocie nie umiał upomnieć się o swoje krzywdy, gdyż próżno już chwycił za szablę u lewego boku. Zostawały mu przynajmniej historyczne wspomnienia. W wywodach swych historjoficznych S. nie był oryginalnym. Nieraz daje się stwierdzić zależność jego od poglądów pisarzy staropolskich. W pewnych okolicznościach jednak samodzielności odmówić mu niepodobna, wtedy mianowicie, gdy swe sympatje w terażniejszości na przeszłość przenosi i w odpowiednim świetle je ukazuje. Według niego w najkrzyźniejszych dla ojczyzny czasach jeden tylko stan nigdy jej nie zdradził, za przewodem panów nie poszedł, ofiarą mienia i krwi ją ratując, — to biedny mieszkaniec zaściankowej chaty. Niekiedy poeta mówi: tylko „mieszczanie i szlachta ubodzy“. Trzeba pamiętać, że z taką syntezą S. występował w chwili, kiedy H. Rzewuski z całkiem odmiennego punktu widzenia przeszłość malował.

Innym jest stosunek S-i do chłopca; nie wprowadza nas już tu poeta do udzielnego, dla siebie istniejącego świata. Wieśniak zawsze występuje tylko w pewnym stosunku do swego pana. Jeżeli nie mówi tego bezpośrednio obraz, nie każe o tem zapominać uczucie poety, w obraz włożone. Wyczuwała to współczesna S-i krytyka zachowawcza, karcąc poetę za to, iż każe chłopom marzyć o innym, lepszym świecie, gdzie „kmiotkowie sami, gdzie ani dworu, ni gospody (karczmy) niema“. Bo też istotnie pieśń S-i stała się nieustającym protestem przeciw krzywdzie, której ofiarą padała ciżba wieśniacza; nie dawała zasnąć sumieniu społecznemu i w tem spoczywała jej wielka zasługa. Niekiedy gorące współczucie dla upośledzonych krzywiło usta S-i w bolesny, gorzki sarkazm, wywołując rzadkie u niego objawy satyry. Najczęściej była to nieśmiała, cicha, niemniej nigdy nie milknąca „do braci prośba za braćmi“. Więc wystawiał idealne postaci ks. Definitora (w „Dęborogu“), ks. Dominika Podolca (w „Spowiedzi Korsaka“), którzy własnym przykładem starają się wpoić w serca ludzkie zasady miłości bliźniego. Więc maluje niedolę wieśniaka, zwłaszcza ponieważ jego godności ludzkiej. Stara się przekonać swoich czytelników, że wieśniak, mimo swego upośledzenia, doznaje tych wszystkich uczuć, co i człowiek na wyższych stopniach drabiny społecznej stojący; z szczególnością zaś upodobaniem kreśli obrazy, w których się uwidocznia w wieśniaku uczucie bezinteresowne ofiarności dla sprawy ogólnej lub przynajmniej przywiązanie i wierność dla tych, którzy mu zbyt często płacą niewdzięcznością. Chłop umie kochać i tęsknić, wogóle zdolny jest do uczuć trwałych, głębokich i szlachetnych, mimo że szlachcic widzi w nim istotę niższą. W taki oto sposób poeta stara się rozrzewnić swoich słuchaczy. W zabiegach tych mniej już dba o prawdę realną, wskutek tego wię-

skim obrazom S-i nie można oszczędzić zarzutu czułościowej idealizacji.

Wszystko to, co powiedzieliśmy o charakterze poezji S-i, jako orędowniczki wieśniaczej, ciżby, wyrasta z gruntu uczuciowego i w zakresie uczuciowym przeważnie pozostaje. Programu społecznego lirnik nasz nie stwarza. Daje niejako sankcję istniejącym stosunkom, iż „szlachcic ma lud boży dzierżyć pod władzą“, wymaga jedynie od szlachcica uznania ludzkiej godności w podwładnym i opieki moralnej i materialnej dla niego. Jedyne niemal argument rozumowy, który mu służył za narzędzie walki z pośepną rzeczywistością, zapożyczył z literatury staropolskiej, mianowicie z Klonowicza, którego postać z wielką sympatją w jednym z poematów wystawił: Chrystus stał się człowiekiem, by zrównać tłum i bogaczy, wszystkich jednak braćmi uczynił. — Dopiero gdy wypadki historyczne przeważały szalę, S. bez wahania, z radością i uniesieniem przyklasnął ich wyrokowi, iż odtąd włościanin ma być wolnym człowiekiem i własną, ciężkim trudem okupioną ziemię posiadać.

Zaznaczone powyżej chwyty i utrwalanie najbardziej powszechnych i zasadniczych rysów jest stałym znamięm wyobraźni i twórczości S-i. W tych wypadkach, kiedy rodzaj utworu i pomysł wymaga właśnie rozwinięcia ogólnego stosunku lub pojedynczego rysu, tam właściwość ta, ogrzana sercem poety, wydaje wartości trwałe. W innych jednak warunkach prowadzi do wyników ujemnych. Tak dramaty S-i (zarówno współczesne jak historyczne) wskutek braku indywidualizacji charakterów i uczuć, cechuje ogólnikowość i deklamacyjność. Również poematy historyczne znamionuje brak indywidualizacji epok i wyodrębnionych na tle czasu postaci. Uwaga ta stosuje się i do Margiera, który w założeniu miał być bohaterskim eposem Litwy. obrońca zamku Pullen, Margier, pomysłany został jako postać głęboko tragiczna, nie tylko bowiem upada broniona przez niego warownia, zagrożona została starożytna, pogańska Litwa w swym istnieniu, w swych bogach, obyczaju, ziemi, w synach swych, ale jednocześnie w serce wodza godzi okrutny cios, ukochane bowiem dziecię jego, piękna, czysta i dobra Egle oddaje się Krzyżakowi, przez nią ginie zamek, jego obrońcy, przez nią zbezczeszczone są ołtarze bogów. Czytelnik pozostaje chłodnym, utworowi brak bowiem szerszego tchnienia epickiego, natomiast panuje tu konwencjonalny, retoryczny ton.

Ujemne wrażenie zaznaczonych stron poezji wzrasta często wskutek powtarzania się pomysłów, braku urozmaicenia sytuacji. Przypisać to należy w pewnej mierze właśnie temu, że umysł S-i chwycił przeszłość i teraźniejszość w pewnych ogólnych, statycznych rysach. Zawinił jednak nieraz i zbyt ni pośpiech w pracy, ów przy-  
mus zewnętrzny, który nakazywał pisać a pisać, mimo chorób,



przygnębienia, a i rozproszonego czasu: Nie dziw, że w takich warunkach wyobraźnia, z natury niezbyt lotna, nie mogła nieraz zdobywać się na większe wysiłki. Ratowała poetę niezwykłą łatwością wypowiedzenia się, co jednak niekorzystnie odbijało się na zaniedbaniu stylowem. I okoliczności, i sama natura poety, nazbyt ruchliwa, nie pozwoliły mu wyzyskać posiadanych zasobów. Brak skupienia, pochodzący zarówno z przyczyn zewnętrznych, jak i organicznych, wydaje ten rezultat, że liryka S-i jest przeważnie okolicznościowa i rzadko posiada głębsze akcenty. Nie umiał i nie potrzebował zwykle schodzić w głębiny dusz swych bohaterów — ich proste dusze i serca leżały na dłoni, — i nie umiał i nie chciał schodzić w głębiny własnej. Przyrodę kocha, zna i rozumie, a jednak nie odgrywa ona w jego pieśni samodzielnego znaczenia, przestania mu ją zawsze człowiek, tej przyrody dziecię; jest mu ona tylko tłem. Zresztą S. umie i lubi marzyć. Ale dla jego usposobienia ruchliwego, lecz bynajmniej nie czynnego, istniał jeden zda się rodzaj marzycielstwa: idealizacja przeżyć w przeszłość odsuniętych, idealizacja minionej chwili. Dopiero po wstrząśnieniach bolesnych, po długich, samotnie z sobą przeżytych godzinach, już na schyłku życia, obnażają się głębsze pokłady duszy, powstaje liryka „Melodji z domu obłąkanych“, „Cupio dissolvi“.

Nie był S. poetą wielkim, mimo uwielbienia, którem go współcześni darzyli, nie był orlem, ani słowikiem, ani feniksem, był skowronkiem, szarą ptaszyną pól. Znalazł przecież własny, oryginalny ton. Jak wielu poetów romantycznych, chce być śpiewakiem duszy ludu i jego doli. Nie staje się jednak łzawym lirykiem, współspiewującym ubłogosławienia i zachwycenia poetyckie wiochen i pacholąt, jak Lenartowicz. Włożył w struny swej liry z czarodziejskiego drewna swe serce współczujące, odczuł niedolę pokrzywdzonych — i oto pieśń jego zabrzmiała nieustającą skargą. I jak inni, chce być śpiewakiem rodzinnego zakątka, jest Litwinem, jak Mickiewicz, jak był Zaleski Kozakiem, Gosławski piewcą Podola i t. p. Więc woła: „Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta!“. Dopiero przez miłość tej szczuplejszej, bliższej ojczyzny staje się wyznawcą ideału ogólnie narodowego.

Ideał ów nasiąka barwami starszlacheckimi, jak u wielu współczesnych, jak u Pola np. Mimo to poeta zachowuje swoją samoistność. Gdy u Pola nawet w Pieśniach Janusza wyczuwać się daje idealizacja Polski konfederackiej z jej wszelkimi atrybutami i zarysowuje się przed nami ideał patryarchalnego stosunku ojca do dzieci, pana do czeladzi, możnych do uboższej braci, świat Syr-i posiada barwy nowocześniejsze; idealizuje on raczej „biednego mieszkańca zaściankowej chaty“, żałuje, że przeszłość nie oparła się na żywiołach, u podwalin gruntu narodowego zostających. Chociaż cichy, skromny i nieśmiały, chociaż bohaterami swymi uczynił ludzi cichych, skromnych i nieśmiałych, nie uświę-

cał nigdy zasady małości i umiarkowania, jak ten, co wyrzekł: „a co małe, to i całe“.

Nie do wszystkich, do wielu jednak utworów lirnika wioskowego można powracać często z upodobaniem, z rozkoszą nawet, mimo że nie szukamy w nich ani podniebnych lotów, ani przepychu. Twórca ich nie powinien być zapomniany, w pieśniach jego bowiem żyje miłość ziemi rodzinnej i jej mieszkańców, miłość człowieka i szacunek jego godności ludzkiej.

## BIBLIOGRAFJA.

A) Pisma. Zbiorowe wydanie p. t. „Poezje Ludwika Kondratowicza (Władysława Syrokomli)“ w 10 tom. Warszawa 1872, opracowane przez Wincentego Korotyńskiego i zaopatrzone przez niego w cenne komentarze i wskazówki bibliograficzne. Wydanie to obecnie wymaga rewizji i uzupełnień. Poza wydaniem został „Sen wieszca“ Wilno 1854, opera do muzyki Moniuszki, przerobiona przez S. z tekstu francuskiego Bosier i de Leuven. Trudności zgromadzenia rozproszonego w pismach lub ukrywającego się w rękopisach materiału, niekiedy względy cenzuralne spowodowały, że do zbioru nie weszła spora wiązanka drobniejszych utworów. Obecnie p. W. Korotyński przygotowuje do druku tom dodatkowy „Poezji“, który ma zawrzeć utwory wierszowane, z różnych powodów w wydaniu z r. 1872 pominięte. W r. 1914 ogłosił „Podróż Swojaka po swojszczyźnie“ Warsz. W dalszym ciągu ma się ukazać, w opracowaniu p. Wł. Korotyńskiego tom, zawierający drobniejsze dzieła prozą i artykuły S-i, wydanie bowiem zbiorowe nie objęło ani powieści S-i (np. „Rywale“ wraz z dalszym jej ciągiem „Stary kawaler“, Athen. 1846t. V i in), ani prac prozaicznych, które dają się ułożyć w trzy szeregi: a) prace historyczno-geograficzne, b) wydawnictwa materiałów historycznych i przekłady, c) studia literackie i dziennikarskie artykuły. Do pierwszej kategorii należą: 1) Wiadomość o Nieświeżu, druk. w III tom. „Starożytnej Polski“ M. Balińskiego, Warsz. 1846. 2) „Wędrowki po moich niegdyś okolicach“ Wilno 1853. 3) Barbara Radziwiłłówna w r. 1853 do jakiegoś rosyjskiego wydawnictwa „Ocerki“. 4) Mińsk „Teki Wileńska“ t. II, Wilno 1857. 5) Wycieczki po Litwie w promieniach od Wilna, 2. t. Wilno 1857 i 1860. 6) Dziennik podróży po Litwie i Żmudzi, Wilno 1858. 7) Niemen od źródeł do ujścia, Wilno 1861. Do kategorii drugiej zaliczyć można: 1) P. Duplessis: Poszukiwanie złota, wspomnienie podróży odbytej po Kalifornji, Wilno 1850. 2) J. Franc. Poujoulat: Hist. rewolucji francuskiej 2 t., Wilno 1851 (przekład i komentarze). 3) Korespondencja Sarbiewskiego z bisk. Łubieńskim (5-ty tom „Przekładów“ poetów polsko-

laciń. Wilno 1851). 4) Wydanie przełożonego przez Dobrowolskiego dzieła G. Fr. Coyer „Dzieje Jana Sobieskiego“ 2 t., Wilno 1852. 5) Kromer, Polska, Wilno 1853. 6) Dwie koronacje Sasów, Wilno 1854. 7) Pamiętniki Solikowskiego i Jakóba Sobieskiego w t. I. „Dziejopisów Krajowych“ i J. M. Fredry, J. Łasickiego i L. Goreckiego w t. VIII. Petersb. i Mohylów 1854—57 i osobno. 7) Przyczynki do historii domowej w Polsce, Wilno 1858. Wreszcie w dziale trzecim mamy 1) Dzieje literatury w Polsce 2 t., Wilno 1851—4. 2) Życie i pisma Ignacego Chodźki, Wilno 1861. Nadto 3) artykuły w Bibl. Warszaw. 1851, 1852. 4) W Gazecie Warsz. 1852. 5) St. Rossołowski, wspomn. pośmiertne, Wilno 1855. 6) Wspomnienie o J. Moszyńskim w Kur. Wileń. 1857. 7) O zbiorku Korotyńskiego, Gazeta Warsz. 1857. 8) Artykuły w Kur. Wileń. 1858 Nr. 88, 1859 Nr. 77 i 88 i 1860 r. Nr. 9. 9) Zarys życia J. B. Rychtera, poprzedzający książkę J. B. Rychtera „O Inie towarowym litewskim“, Wilno i Witebsk 1859. 10) Korespondencje do Tyg. Il. 1861 i 1862 r. 11) Przegląd miejscowy i Przegląd literacki w Kur. Wileń. 1861 i 1862. 12) Dwa artykuły podane w Kurjerze Niedziel. 1897 Nr. 18. W rękopisie pozostają: 1) Moje pamiętniki literackie. 2) Daniel Mikołaj z Łęczycy, studjum histor. 3) Młodość Salomona z Majmonu. 4) Kanwa do historii archeologii w Polsce. Listy i wspomnienia S-i o sobie bądź się ukrywają w rękopisach, bądź są drukowane w studjach o poecie i pamiętnikach współczesnych.

B) Literatura, dotycząca S-i. Wykaz bibliograficzny współczesnych o poecie głosów (1847—1862) musi być ułamkowy wskutek braku spisów treści, obejmujących większe okresy istnienia czasopism. 1) Kraszewski w Athen 1847. I, s. 204. 2) M. Grabowski w Tyg. Petersb. 1847 Nr. 33. 3) Lisowski Bib. Warsz. 1850. I, s. 365 i 1851. I, s. 576, III. s. 551. 4) Kraszewski w Gaz. Warsz. 1851 i 1852 późn. Wyb. pism Warsz. 1894 t. X, s. 535, 720, 723 i n. 5) A. Nowosielski Dzień. Warsz. 1852. Nr. 86—88 i 1853 Nr. 206. 6) A. Tyszyński Bib. Warsz. 1855, II. s. 380, później Pisma, Krak. 1904 t. I, s. 190 i n. 7) Kraszewski Gaz. Warsz. 1855 i Wyb. pism. X, s. 842 i n. 8) L. Siemieński, Czas 1856 i „Kilka rysów“ Warsz. 1859 t. I, s. 308. 9) K. Wójcicki Bib. Warsz. 1858. I, s. 455. 10) K. Kaszewski Bib. Warsz. 1858. IV, s. 760 i 483. 11) Kur. Wileń. 1858. Nr. 10 i 35 i 1859 Nr. 86. 12) Prosper Gromadzki. Pisma urywkowe. Kijów, 1858. 12) St. Budziński Bibl. Warsz. 1859. III, 176. 13) K. Kaszewski, tamże III, s. 701 i IV, 542, 562. 14) Recenzje Bib. Warsz. 1859. I., IV. 15) F. Lewestam „Obraz ruchu“ Warsz. 1859 s. 56 i 169. 16) W. Przybyłski Kur. Wil. 1861 Nr. 38. 17) O śmierci S-i Kur. Wil. 1862. Nr. 69, 70, 71. 18) Fr. Lewestam Tyg. Ilustr. 1862. VI. 141 i 170. 19) Gazeta Polska 1862. Nr. 212. 20) Ad. Pług Bib. Warsz. 1862. IV. 467. 21) Kraszewski, słowo

wstępne do „Poezjy ostatn. godziny“ S-i Wilno 1862. 22) Rodziewicz Przegl. Europ. 1862. 23) Faleński Bib. Warsz. 1863. I. 361. Rozpoczyna szereg biografij, studjów i przyczynków 1) książka Kraszewskiego (Przegl. Europ. 1862 i osobno Warsz. 1863 późn. Wyb. pism X). 2) K. Strasburger Opiek. Domowy 1866 Nr. 18. 3) W. Korotyński. Urywek z pamiętn. Gaz. Warsz. 1870. 4) P. Wilkoński Moje wspomn. o życiu towarz. w Warsz. Pozn. 1871 i w B. Dz. Wyb. Warsz. 1907 t. III. 5) W. Korotyński, Przedmowa i komentarze w zbiorowem wydaniu „Poezjy S-i“ Warsz. 1872. 6) A. Tyszyński, S. i jego poezje, B. Warsz. 1872 i „Wizerunki polskie“ Warsz. 1875. 7) W. Korotyński Tyg. Il. 1874, XIII, s. 35. 8) Spasowicz, Nowe studjum nad S. Aten. 1876, później Studja nie z natury Wil. 1881 i w Bib. Mrówki Lw. 1881, w I t. „Pism“ Petersb. 1892 i Warsz. 1898. 9) Recenzja studjum Spasowicza Tad. Żuliński „Nowe studjum“ i t. d, Lwów 1877. 10) H. Blumenstock Dioskuren Wied. 1877. 11) J. Horain, Gazeta Lwow. i Gazeta Pol. 1880 i osobno, „Z życia poety“ Lwów 1886. 12) W. Z. Kościalkowska W. S. Wilno 1881. 13) S. Tomkiewicz, Przyczynek do biografji S. Tyg. Il. 1882. Nr. 315—8. 14) Z. Librowicz, Stara Polska... historja niewydanego dzieła. Krak. 1883. 15) W. Korotyński. Obrazy z pobrzeżu Niemna. Tygodn. Pow. 1884. 16) A. H. Kirkor. Wspomnienia wileńskie, Kraj (petersb.) 1884. 17) Cz. Pieniązek, S. Wobec rozwoju poezji ostatn. okresu. Krak. 1885. 18) Fr. Suryń, S. i jego poezje Tyg. Il. 1887. Nr. 245—57. 19) Z. Librowicz Klótnia o Dęboroga. Przegl. lit. Kraju. 1890. Nr. 49 - 51. 20) F. R. Gawroński Lirnik wioskowy, Echo Muz. i Teatr. 1891. Nr. 381, 384. 21) Wł. Korotyński Syrokomla o sobie. Warsz. 1896. 22) Książka jubileusz. Kur. Warsz. 1896 i Sprawozd. w Kraju, dział liter. 1896. Nr. 6. 23) W. Gomulicki Kondratowicz czy Kondratt Kur. Niedz. 1897. Nr. 29. 24) Bies. Liter. 1897. Nr. 44. 25) Tyg. Il. 1897. Nr. 41. 26) Listy z Załucza, w książce pamięt. ku uczczeniu. setn. roczn. ur. A. Mick. Warsz. 1898. 27) L. Uziębło książka zbior. „Prawda“. Lwów, Warsz. 1899, str. 465. 28) F. R. Gawroński w „Alb. zask. Pol“. T. I. Warsz. 1901. 29) St. Zdziarski. Pierwiastek ludowy Warsz. 1901, str. 382—99. 30) T. Pini. S. i jego utwory, Lwów 1901. 31) A. Drogoszewski W. S. B. Wr. 904 i osob. Warsz. 905. 32) A. S. Autorowie mało czytani. Tyg. Mód i P. 1905. 33) Artykuły z r. 1906: Kur. Warsz. Nr. 6 i 42, Kur. Litew. Nr. 249, i dod. „Ruch Literacki“ Nr. 2, 74. Słowo Polskie Nr. 176, 178, Lud Nr. 286—70. 34) N. Galle, wstępy i rozbiory w „Urodzony J. Dęboróg“ Warsz. 1907 i Wybór pism S-i Warsz. 1913 (Bibl. Nar. i Ks. dl. Wszyst.). 35) A. Grabowski, Wspomnienia Krak. 1909, t. 2, 59. 36) „Pamięci S.“, Litwa i Ruś 1912 t. III, z. 2 (artykuły Wierzyńskiego, J. Obsta, W. Z. Kościalkowskiej, L. Uziębły i in.). 37) Artykuły z r. 1912. Straż Polska, Lit. i Sztuka, Kur. Warsz., Kur. Litew., Kurjer Wil., Gazeta Lwowska, Tyg. Il., Now. Gazeta.

Przeł. Wil. i in. Fr. Bielak: Wstęp do S-i „Wyboru poezyj” Bibl. Narod. Nr. 54 Wil. 1922. W literaturze rosyjsk. S. Szaszukow przeprowadza paralelę między S. a Szewczenką, Dielo 1880 z. 3.

## Dyferencja. Gawęda zaściankowa.

(1846 r.).

(Poezje. Warszawa 1872. T. 1.).

(Str. 23—24).

### I.

Starzy szlachta tam pod miedzą  
Na naradzie ważnej siedzą,  
A wokół młodzież wrząca  
Tysiąc gniewnych słów wytrąca,  
Lud się na dwie strony dzieli,  
Błyszczą ostrza karabeli.

Pan komornik z sznurem stawa;  
Woźny wznosi papier w górę,  
Słowem jakaś tu rozprawa,  
I de hajda — i de jure.  
At mospanie, któż i kiedy  
Przywileje szlachty zaćmi?  
To jest zatarg między braćmi  
Przy podziale swojej schedy.  
A u szlachty takie chucie:  
Że gdzie sprawa, tam i wrzawa,  
A gdzie wrzawa, tam i bitwa,  
Potem kończą na statucie,  
Potem kielich i modlitwa.  
Szlachcie pocziw — bo ma duszę,  
A wrzaskliwy — bo szlachetny,  
Urodzony — nie sławetny,  
I niestraszne mu ratusze!  
Proces w sądzie — to nie boli,  
A zabawka niezła wcale;  
Więc braf z bratem przy podziale  
Zabijacko się warcholi.

Stefan i Marcin dzielą się spadkiem po ojcu. Komornik skończył swą pracę, podzielił ziemię równo; własność młynka i zatoki przyznał wspólnie obu braciom i zapytuje, czy zgoda na podział.

• (Str. 25—7).

Stefan krzyknął: „Niemasz zgody!  
Bo mi krzywda w oczy kole,  
U mnie piasek — a tu pole,  
Że choć zaraz siej ogrody!

Morg pod lasem... tak daleko...

Co ja zrobię z tym kawałkiem?  
Wezmę raczej morg nad rzeką  
I zatoka do mnie całkiem!...”

„O! zatoka za głęboka!“  
Krzyknął Marcin — „Panie bracie!  
Weześnie siatkę zapuszczacie,  
Nie dam ryby ani oka!  
Morg mój, mości dobrodzieje,  
Co nad rzeczką, tam pod drogą.  
Nie pytając u nikogo,  
Sam zaorzę i zasieję.  
Bó pomiarem“...

— „Co mi pomiar?

Kto się krzywdzić mię ośmieli,  
W klindze mojej karabeli  
Słusznej kary znajdzie domiar“.

— „Panie woźny!...”

— „Woźny płazem!

A mierniczy — w łeb żelazem!  
Niema pana dla Stefana —  
Zaraz wszystkich stąd wypłoszę!  
Morg nad rzeką i toń rybna  
Moje!...”

— „Moje, rzecz niechybna!...”

„Ja zasieję“.

— „A ja skoszę!“

— „No bratuniu, to za śmiało!  
A czy znasz ty moją rękę?“

— „A czy znasz ty, świszczypało,  
Moją szablę damascenkę?“

— „Za mną szlachta!“

— „Bij, kto sprzyja!...”

Szlachta w dwie się strony ścisła,  
Walka w zabój... aż krew tryska...  
Pan komornik wiechę zwija,  
Woźny pozwem broni duszę,  
Papier, wiecha w zawierusze  
Popękaty się od kija.

Aż skrwawiona, zapocona,  
Porąbana, zadyszana,  
Ta i owa padła strona,  
Wypoczywać na murawie;  
Jeszcze w jęku i we wrzawie  
Słychać głosy: — „To Stefana...”  
— „To Marcina... morg przy drodze...”  
— „Morg nad rzeką i zatoką...”  
— „I okopię i ogrodzę...”  
— „Nie doczekasz! nie pozwolę!  
Będę bronił moje pole,  
Jak źrenicę mego oka!”  
— „Nie o pole, nie o szkodę,  
Lecz tu idzie o bezprawie.”  
— „A ja mówię i dowiodę,  
Że na swoim rzecz postawię.”  
— „Ciężko skarzę upór bratni...”  
— „Wara leżć mi w moją grzędę!...”  
— „Krwia słuszości bronieć będę,  
Do kropelki, do ostatniej!”

Stary p. Ambroży powagą i energią swą spór uśmierzył i przelożył, że sporne zagony staną się przyczyną wiecznych waśni i ruiny obu stron; należy więc oba morgi i toń rybną dać Bogu na chwałę. I zgoda stanęła.

(Str. 29—30).

### III.

Oto sto lat już się zaczęła,  
Jak braterskie kości spółem  
Gniją w ziemi pod kościołem,  
A mogiły ani znaczo.  
Ale ród ich gęsty w Litwie,  
I poczciwy i zamożny,  
Bo co miesiąc głos pobożny  
W mszalnej wzmienia ich modlitwie.  
A na morgach w pszennym plonie  
Pleban piękne żął owoce,  
Stawił kopy na zagonie,  
Łowił rybkę na zatoce...

Teraz słyszę inne dzieje,  
Ktoś już inny morgi trzyma,  
I pszeniczkę inny sieje,  
I za zmarłych mszy już niema.  
Słyszał nawet dzwonnik głuchy  
Z pod grobowca u parkana,

Jakieś krzyki i rozruchy —  
Spór Marcina i Stefana.

B) Urodzony Jan Dęboróg.

Dzieje jego rodu, głowy i serca, przez niego samego  
opowiadane.

(1847 — 1851 r.).

(Poezje, Warszawa 1872, t. 1).

(Str. 65—70).

Przedśpiewek do litewskiego czytelnika.

Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta,  
Żółtym piaskiem i drobną trawą przytrząśnięta!  
Niepokażne na oko dzikie tve zaciszę,  
Nie tak jak u Auzońców i Helwetów słyszę,  
Gdzie pola, jak raj ziemski, jako świata dziwo,  
Gdzie lasy zarastają mirtem i oliwą,  
Gdzie góry od Ponarskich wyższe tysiąc razy,  
Takie cudne co chwila stawią krajobrazy,  
Takie rzeki, kaskady i jeziora tworzą,  
Że je Włosi malują i na dziw rozwożą  
Po litewskich jarmarkach, gdzie je naród chwytają...  
Ty nie dojdiesz tej sławy, Litwo rodowita!  
Twoja ziemia posępna, tve niebo bez blasku,  
Ciebie do Włoch na pokaz nie powieźć w obrazku.  
Nie spada w katarakty twoja woda sina,  
Na twych wzgórkach jałowiec, po lasach sośnina,  
Z nieociosanych bierwion klecone domy,  
Kwitnie mech zielonawy na strzechach ze słomy,  
A pod strzechą lud pełen prostoty i dziczy,  
Rzekłbyś, patrząc na niego, że do trzech nie zliczy.  
A jednak do twej treści gdy zajrzeć głęboko,  
Litwo! tyś więcej warta, niż zda się na oko:  
Pieszczota Oceanu, dziwowisko świata,  
Z twych sosen wyciosana brytańska fregata;  
Siermiężny syn twych wiosek poto ziemię kopie,  
Aby głodno nie było pięknej Europie;  
Nie zląkł się prosty szlachcic, karmiony twem żytem,  
Ani Turków pod Wiedniem, ni skał pod Madrytem.  
Cicho Niemen przebiega rodzinne siedziby,  
Nie straszny dla żeglarza i spokojny niby,



Pozwala siebie łodziom deptać całe lato,  
Zimą da się w ciemniejszą zakuć lodowatą;  
Nie stawi groźno czoła — nie rwie się, nie ryczy,  
Taki zda się pokorny, taki niewolniczy!  
O! nie wierz tej pokorze — i patrz, kiedy łaska,  
Gdy się na wiosnę wzburzy i lody potrząska,  
Biada! ocknął się olbrzym — wie, kto go znieważa:  
Gruchoce dom rybaka i statek żeglarza,  
Falą zalewa błonie, echem grzmi po borze,  
A gdyby jeszcze chwila — świat zniszczyłby może.  
Lecz gniew jego przekipiał, już krzywd zapomina...  
Ot, tak samo jak Niemen i serce Litwina.  
Tu, gdzie niebo posępne, gdzie chłodnawe klima,  
Zda się, żadna namiętność wrząca nie wytrzyma,  
Zda się, ludzie drzemali, a całe ich życie  
Upływało powoli i nierozmaicie,

Tak Litwin niepoczesny, tak zwiesił coś głowę.  
Ho! ho! zapytaj dziejów, zbierz wieści domowe,  
I co mędrzec zapisał, i co prządka gwarzy,  
A poznasz, jak na zimnej i spokojnej twarzy  
Odkryć gorącej myśli tajemnicze piętno...

Ej, bolesno, bolesno! — Czemuż to mój Boże,  
Lirników i gęślarzów miało Zaporozie?  
Czemu na naszych polach nie zjawią się tacy,  
Jak bardy kaledońscy, jak greccy żebracy,  
Co to każdą pamiątkę w rodzinnym zakresie  
Zaraz w pieśnię ułoży i na świat rozniesie?...  
Nas Pan Bóg nie obdarzył talentem śpiewaczym:  
My domowe pamiątki kamieniami znaczym.  
Co ten kamień?? — zaginie, jako ziemia marna,  
Zarośnie mchem zgrzybiałym lub pójdzie na żarna,  
A podanie zginęło. — Ejże, jako żywo!  
Lirnik miałby tu piękne i bogate żniwo:  
Opiewać nasze krzyże, kurhany i groby,  
Od czasów mendogowych do dzisiejszej doby,  
Od baszty w krewskim zamku, gdzie leży Kiejstut stary,  
Aż do krzyża nad brzegiem Prypeci lub Szczary,  
Co wzniosła po topielcu wioskowa gromada  
I dotąd o tym krzyżu cuda rozpowiada.  
Ej, każda taka powieść dla piewcy ciekawa!  
Z każdej ludziom nauka, płacz albo zabawa;  
A pamiątka i pieśnia, przywiązana do niej,  
Zawsze duszy litewskiej choć cząstkę odsłoni.

Otoż podanie z jednej litewskiej mogiły  
Składam dzisiaj w twe ręce, czytelniku mity.  
Choć kształtem rymowanym oblokłem to dzieło.  
Nic się gwoli końcówce prawdzie nie ujęło.  
Prawdziwa, w rytmotwórcze koncepta uboga,  
Powieść urodzonego Jana Dęboroga:  
O rotmistrzu pancernym i jego mogile,  
I jako się upiorem błakał przez lat tyle;  
O starym Dęborogów z Brochwiczami sporze  
I o zgodzie serdecznej, — o definitorze,  
O świętych jego cnotach, nauce i pracy,  
(Czemuż częściej kapłani nie bywają tacy?),  
Słowem, całą gawędę z upłynionej chwili,  
Jako niżej ujrzycie, czytelnicy mili,  
Powiedała mi obszernie i w niedawnym czasie  
Urodzony Dęboróg, kiedy na popasie  
Poznałem go raz pierwszy. — Zda się, człek statysta,  
Z oczu widać szlachetność, mina zawieszista,  
A dziś już obywatel, małżonek i ojciec.  
Ale czy prawdę mówił — skąd ja mogę dociec?  
Więc, nie chcąc odpowiedzi brać na własną głowę,  
Żem coś zmyślił lub dodał w powieści osnowę,  
A pragnąc w całym kształcie oddać tę gawędę,  
Własnymi jego słowy opowiadać będę.

---

### Urodzony Jan Dęboróg.

#### I.

Pod niegminną i niepodłą  
Urodziliśmy się gwiazdą:  
Herb Dęboróg nasze godło,  
Stary Poleś nasze gniazdo.  
Z dziadów, z ojców w naszym rodzie  
Zawsze były łaski Boże;  
Szlachta drobna, lecz zasobna,  
Krzywo pisze, prosto orze,  
Procesuje, strzeże kopców,  
Lasy pali, Boga chwali  
I hoduje walnych chłopców.  
W naszym rodzie, jak w ogrodzie,  
Pełno główek, jak makówek;  
Znają ludzie każdą głowę;  
I urzędów mamy dosyć,

Ale cóż się z nich wynosić,  
Kiedy wszystko powiatowe?  
Każdy urząd, chociaż ludzki,  
Ani grzmiący, ani groźny,  
Rotmistrz ludzki lub oboźny,  
Albo cześnik nowogródzki;  
Herb się naszej parenteli  
Ani razu nie doporał,  
By po mieczu lub kądzieli  
Wziął buławę lub pastorał,  
Albo mitrę; naszej tarczy  
Taki luksus nie obarczy.  
Prosto sobie herb dziadowski,  
Przy nim sztandar i armata,  
Hełm lub czapeczka rogata,  
Albo biret proboszczowski,  
Ot i basta.

Dzieje rodu Dęborogów starożytnie, ale niepewne. Najślawniejszym przodkiem był rotmistrz pancerny, który, walcząc na Ukrainie z hajdamakami i Tatarami, poległ, ugodzony w czoło, a przed śmiercią kazał się pochować na miedzy, „gdzie z sąsiadem grunt graniczy“. Ale ów grób rozdzielił zda się na wieki dworki sąsiedzkie i nawet niosła przepowieść, że dopóki świata, nigdy się z Brochwiczami Dęboróg nie zbrata. Gwarno było w gościnnym dworku szlachcica, ojca naszego bohatera, sypał wesół dykteryjki o trockim wojewodzie, przy którym zamłodu chleba kosztował, tylko zachmurzał się na wspomnienie grobu rotmistrza. Gdy syn podrośł, ojciec oddał go na naukę do ks. definitora, choć był przeświadczony, że wraz z jezuitami, Alwarem i różgą wszystko zginęło: mądrość, moralność i wiekopomne czyny przodków.

(Str. 75—9.)

O milę w wiosce był dom plebana:  
Mała świetlica w ziemię schowana,  
Krzyżyk się wznosił na facyjacie,  
I człowiek Boży mieszkał w tej chacie.  
Książd definitor, święty, wymowny,  
Poważny wiekiem, szlachcie herbowny,  
Przybył z klasztoru w wioskowe progi  
I wziął w opiekę kościół ubogi,  
Wziął półwłócz gruntu — i na tej ziemi  
Pracował równo z owieczki swemi.  
Czy raz, bywało, widzieć się zdarza,  
Jak święty starzec w porannej porze,  
Czytając hymny z kart brewijarza,  
Bronuje zagon lub sieje zboże!

Dwa chromiejące kościelne dziady —  
To była jego cała postuga.  
Ksiądz definitor, ojciec gromady,  
Jedzie do lasu, kołków nastruga,  
Ogrodzi cmentarz, przywlecze drzewa,  
Nosi wiadrami wodę ze strugi,  
A idąc, pacierz łaciński śpiewa.  
Gdy chcesz mu oddać jakie posługi,  
Nigdy nie przyjmie — uchyli głowę:  
— „Za dobre chęci zapłać ci Chryste,  
Masz waszeć, bratku, prace domowe,  
Ja sam chcę orać pole ojczyste!“  
I tak, modlitwę szepeząc pobożnie,  
Sam sobie zorze, zasieje, późnie.

Na jego sznurach najlepiej rodzi,  
Jego przekosów nie znosi woda;  
Gdy on na łąkę z kosą wychodzi,  
Pewno dni kilka będzie pogoda.  
Z długich doświadczeń jego żywota  
Jakby wyrocznie mieli kmiotkowie:  
Drożynna, pomór, pogoda, słońca —  
Ksiądz definitor zawsze przepowie.  
I cóż dziwnego? — wszak jego oko  
Na firmamencie tkwiło zwyczajnie,  
Myślamy w niebo wsiąknął głęboko,  
Podpatrzył, przeczuł niebieskie tajnie;  
Może mu nawet w samotnej celi  
I święci Pańscy coś poszepnęli.  
Kiedy śpiew starca zadrzał w kościele,  
Jakoś cię zawsze skrucha ogarnie.  
Rzekłbyś: apostoł — kiedy w niedzielę  
Prostemi słowy uczył owczarnię,  
Kiedy tłumaczył ze świętej księgi:  
„Jak to pokorny Zbawiciel świata  
Sklada majestat Bożej potęgi  
I w ciele ludzkim z człkiem się brata,  
Bóg z nędzarczami żyje pospół,  
Między grzeszniki siada do stołu,  
I daje Siebie przybić do krzyża,  
I składa ciało w człowieczym grobie.  
Bóg się do ludzkiej postaci zniża,  
By nas uzacnił, podniósł ku Sobie;  
A u nas, szlachcie — jasne wielmożę,  
Rad, że mu herby dała ojezyczna,  
Bóg został człkiem, a on nie może,

Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna;  
Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,  
Hańba z rolnikiem siadać do stołu.  
Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,  
Za jeden puhar starego wina  
Głodna i chłodna chłopska rodzina  
Na rokby miała chleba i soli.  
Za jedno słówko w najmniejszej rzeczy  
Pany się waśnią, idą na noże;  
Wieśniak pod chłostą jęknąć nie może,  
Bo nie dla niego honor człowieczy!"

Tak to, bywało, głośno i śmieie  
Ksiądz definitor gadał w kościele.  
Słów jego świętych nigdy nie zaćmi  
Żadna nienawiść lub dzikość sroga:  
W oczach — do braci prośba za braćmi,  
Albo za ludźmi prośba do Boga.  
Ani przeklina, ani się dąsa,  
Lecz z płaczem przyszłość stawia przed oczy.  
Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,  
Lecz do spowiedzi hurmem się tłoczy.  
A spowiedź jego — wieczna nauka!  
Nim rozgrzeszenia krzyżyk nakreśli,  
Nim w trybunału kratkę zapuka,  
Wynajdzie nitkę najskrytszych myśli,  
I tak przekona, i tak poruszy,  
Tak wpoi miłość, wiarę, nadzieję,  
Że, choćby grzesznik miał skałę w duszy,  
Łzami z pod serca trzykroć się zleje.  
A po spowiedzi długo, ach! długo  
Będzie spokojne sumienie twoje,  
Będiesz skwapliwy z bratnią usługą,  
Krzywdę bliźniemu wrócisz we troje;  
Wesołe serce... och! popamięta,  
Że w niem złożona Hostyja święta!

Kiedy wieczorna szarzeje pora,  
On pieszo zwiedzał pobliskie domy,  
Zdala poznałeś definitora  
Po kapeluszu z zielonej słomy.  
Za cieniem wzniosłej świętej postawy  
Szło zawsze wierne, pieszczone psisko,  
Jak owca, biały i kędzierzawy,  
Pamiętam, *Servus* jego nazwisko.  
A ksiądz czeczotką kroki podpiera,  
Idzie powoli i kwiatki zbiera.

On i w pałacu, i w prostej chacie  
Pomagał, radził, krzepił na duchu;  
Z panem i z chłopem za-panie-bracie,  
Jakby ogniwo w bratnim łańcuchu.

Trudno się było ojcu odważyć na prośbę, ks. definitor bowiem zdawna go upominał, by wdowie po Brochwiczu oddał grunta do rzeki, przodkowie bowiem Dęboroga pono skrzywdzili swych sąsiadów; szlachcic nie słuchał, bo musi dzieciom przekazać grunta po miedzę, gdzie grunt rotmistrzowy, od zatargów dziesiąta dawność ziemska minęła, nie on krzywdził, nie on wynagrodzi, ustąpić wreszcie honor szlachecki nie pozwala. Rozważając to wszystko, szuka rady w kabale, wypadło dobrze: „idźmy w imię Boże“.

(Str. 81—82).

## VI.

Ksiądz definitor prośby wysłuchał wesoło,  
Ścisnął ojca, mnie ścisnął, ucałował w czoło  
I rzekł: „Zostań tu chłopcze, ucz się w imię Boże!  
Wszystką miłością w sercu, chlebem, co w komorze,  
I nauką, co w głowie — choć jej tak niewiele,  
Co Bóg dał, wszystkiem chętnie z tobą się podzielę!  
Tylko, że widzi waszmość — rzekł do ojca dalej!  
Ja, stary, mam narowy, a szlachcice mali  
Zwykle przynoszą z domu dwa początki liche,  
Bo dwa grzechy śmiertelne: lenistwo i pychę;  
A u mnie chleb pożywać trzeba w ciężkim trudzie,  
Przekonać się, że równi sobie wszyscy ludzie,  
Czy kto ma herb, czy nie ma — braciaśmy poprostu,  
Czy kto żyje w pałacu, czy w lepianee z chrostu,  
Chłopyśmy i parobki przed Bożem obliczem!  
Nikt cię tutaj nie będzie nazywał paniczem,  
Jeść będziesz razem ze mną, z nami czeladź jada,  
W zakrystyi wyręczać kulawego dziada,  
Na polu mnie się w pracy nieraz dopomoże:  
Ja będę żął, ty w snopy związywał mi zboże;  
A żeby się nie nudzić, to na pole ruszmy  
Z gramatyką łacińską i Wirgiliuszem,  
Z konwią mleka i z chlebem. Toż to będzie cudnie,  
Siadłszy pod kopą żyta we znojne południe,  
Posilając się sobie, póki skwaru chwila,  
*Titire! tu patule...* tłumaczyć z Wirgila!  
Bo sielanki najlepiej w polu się wydadzą,  
A szlachcic, co ma dżierzeń lud Boży pod władzą,

Gdy sam pozna w rolnictwie i róże, i osty,  
Nie będzie się tak lekko porywał do chłosty;  
A gdy razem z czeladzią swą sochę zaprzęże,  
Równiejsze będą skiby..

Ojciec się zadąsał na myśl o takiej poniewierce herbownego dziecka popołu z chamami, uległ jednak wkońcu namowom. Nauka chłopca, przeplatana pracami wiejskiemi, poszła rażno.

(Str. 88—91).

X.

Niekiedy w nocy, gdy maj się pocznie,  
Słowik wieczorną piosnkę zadzwoni,  
Z wiejskimi chłopcy, z tabunem koni,  
Lecim na nocleg, śpiewając skocznie.

Aż za wioskę, aż za zboże,  
Na wygonie lub ugorze,

Konie w paszę z rąk,  
I już chłopcy w jednej chwili  
Stosy chróstu naznosili

I zasiedli w krąg;  
I ziemniaki w żarze pieką.  
Płomień bucha — ej daleko

Widać ogień niesz!  
Co tam śmiechu, co tam wrzasku  
Ktoś upiorem straszy z lasku,  
O to ani dbasz.

Choć kto w dzień się namozoli,  
Choć drugiego serce boli,  
To najmniejsza rzecz.

Bo, gdy ludno, pusto, gwarnie,  
Smutek duszy nie ogarnie,  
Wszelka bojaźń precz.

Na rosnej trawie rozścielamy suknie,  
Zjemy ziemniaki i chleba po kęsie,  
I chór: „Dobranoc, o Jezu!“ już huknie,  
Tak, aż się echo w olszniaku zatrzęsie.

I daleko po równinie  
Świętej pieśni echo płynie.  
Czasem słowik wtór nam poda,  
W sercu rzewność tak głęboka,  
Ani ujrysz, gdy ci z oka  
Lzy poleją się, jak woda.

Człowiek rzeźwiejszy po świętej pieśni  
Do nowych śmiechów, do pogadanek;  
We wsi już kury pieją poranek,  
A o spoczynku żaden z nas nie śni.  
Bo jakże usnąć w majowe noce?  
Tu konie zarzą, tu ogień błysnie,  
A tutaj ptactwo, jak naumyślnie,  
Na tysiąc tonów piosnkę szczebioce.

Chróst na stosie, ogień bucha,  
Księżyc świeci, a gromada  
Pieśni, gadki opowiada,  
Gadek, pieśni bacznie słucha.  
Miłoś w kółko sięść na ziemię!  
Gwarzyć w ptactwa słodkiej wrzawie!  
Jeden, drugi niby zdrzemie,  
Miłoś drzemać na murawie!  
Ptactwo milknie pokolei,  
Ogień zwolna gasnąć zacznie,  
A nam sen powieki klei,  
Ale czujnie, ale bacznie!  
Každy słyszy jako żywo,  
Czy koń parsknie, czy podskoczy,  
Brzęknie trenzlą, wstrząśnie grzywą,  
Albo zarży na uboczy.

Po chwilce drzemki oko-się przetrze,  
Blisko poranek, znać już po wietrze,  
Znać już po gwiazdach, po szumie rzeczki,  
Po głosie drozda i przepióreczki,  
I koń już częściej stuka w kopyta,  
Zroszoną trawę pośpieszniej chwytą.  
Cyt! już i słowik strzela piosenką,  
Juz i skowronek wita się z dzionkiem;  
My za słowikiem i za skowronkiem  
Nucim: „Zawitaj, ranna Jutrzenko!“

Ot i szaro, ot i dnieje,  
Ot i gaśnie blask księżycyca,  
Ot i zorza, jak dziewica  
Miłą barwą rumienieje;  
Ot i we wsi ruch niedzielny,  
Kogut głosi czas świtania;  
Ranny ptaszek, dziad kościelny  
Na pacierze już wydzwania.  
Jakże pięknie dzwon daleki  
W mgłach porannych się rozplywa!  
Rzeźwy chłodek wieje z rzeki,  
Z oczu resztę snu obmywa!



Słońce ognistym błysło promieniem,  
Oblało ziemię światłem i cieniem,  
A niebo w złocie, w różach, w błękicie,  
Ziemia w zieloność strojna wesołą,  
A człowiek wtedy, patrząc wokół,  
Stałby, jak wryty, przez całe życie.  
Z pacierzem w duszy, łzami zalany,  
Aniby sobie przypomniał kiedy,  
Że gdzieś jest ziemia i ziemskie biedy,  
Że on nie więcej — zlepek gliniany.

Hej! do domu czas już pewnie:

Konie syte nocną paszą,

My weseli, hukniem śpiewnie

I porzucim łakę naszą.

I, wtorując trąbką z rogu,

Na wyścigi, hej przez rowy!

Ot i nocleg nasz majowy.

Śpieszmy oddać chwałę Bogu.

Pod wpływem nauk starca wchodzi do serca chłopięcego miłość Boga i ludzi, budzą się marzenia bohaterskie, gorące przywiązanie do ziemi ojczystej. Czynił też postępy w łacinie, mimo że brakło Alwara i dyscypliny. Ojciec przecież ze smutkiem uważał, że szlachectwo syna na nie się rozszasta, a teraz z Dęborigiem wśród chłopstwa wytarte, co kapelusz żydowski tyle będzie warte. Oddał tedy syna do szkoły w mieście. Z płaczem żegnał chłopiec swego mistrza, lecz i w szkole dobrze mu było.

(Str. 98—100).

#### XIV.

Gdzie wy, jasne dni moje, moje szkolne czasy,  
Kiedy serce dziecinne z wiarą i otuchą  
Do grona towarzyszków i do murów klasy  
Przygłło, przyrosło na głucho?!  
Gdzie wy, drobne, a wzniosłe mojej pychy cele,  
By zrównać i prześcignąć najpierwszych w nauce?  
Gdzie owo wśród igraszek serdeczne wesele,  
Kiedy piłkę wysoko... wysoko wyrzucę?  
Kiedy w gronie swawolnem po równinach lecę,  
By schwytać wyrzuconą albo odbić w górze?  
Gdzie pobożność i wiara w najwyższej opiece,  
Gdy się modłę w kaplicy, albo do mszy służę?  
Czy dzisiaj świat postarzał, czy w oczach ściemniało,  
Bóg to wie — krew po sercu ślizga się powoli,  
Serce wiele wymaga, a wrażeń tak mało,  
Dobre niebardzo cieszy, złe niebardzo boli.

Gdy się dusza zbłąkana w niepewnościach miota,  
A książka ich objaśnić, zwalczyć nie pomoże,  
Zapłaczesz: gdzie jest owa dziecinna prostota?  
Gdzie wiara w twoją mądrość, książę profesorsze?  
Wiara, z jaką słuchałem na szkolnej ławicy,  
Kiedy ksiądz Matematyk zadanie rozbięra  
Lub kiedy ksiądz Łacina, mistrz na kazalnicy,  
W błoto strąca Buffona, Russa i Woltera?  
Lub kiedy najdziwniejszą zagadkę przyrody  
Ksiądz Fizyk wnet objaśni przez płyny i gazy?  
Przysiągłbyś, że to prawda, wychowańcze młody!  
Że Pan Bóg księdzowskiemi przemawia wyrazy.  
Dziś, gdy człowiek sam nie wie, choć usilnie bada,  
Co jest białe? co czarno? co prosto? co krzywo?  
Jako chmiel bez podpory, na ziemię upada,  
Aż zginie, przygłuszony ostem i pokrzywą.  
Gdy ludzkość bolejąca zgodzić się nie może,  
Co jest fałsz, a co prawda? co szpetne, co piękne?  
Człek załamuje ręce: O Boże mój, Boże!  
Co mi trzeba podeptać, a przed czem uklęknę?  
Bogdaj to szkolna wiara i nadzieja szkolna,  
Kiedy wierzyłem w przyszłość płomienistą duszą,  
Że, choć nauka trudna, choć praca mozolna.  
Lecz cele nasze wielkie i spełnić się muszą!  
A tu młodzież ohochoza bada, czyta, pisze,  
Złote bryły nauki wydobywa w trudzie;  
Jeno spojrzysz na siebie i na towarzysze  
I pomyślisz: „Doprawdy, będziem wielec ludzie!”  
Jeden — dziecię pobożne, z zapalem na twarzy,  
Będzie doktor kościelny — tak pismo przenika;  
Drugi biegły w rachunku, o przyrodzie marzy,  
Przejdzie z czasem Newtona, dojdzie Kopernika;  
To będzie Archimedes, cześć tutejszej ziemi,  
On kwadraturę koła zgłębi i rozwiąże;  
Inszy stynie na ławach wierszyki zręcznemi,  
Będzie nowy Krasicki, rymotwórców książę.  
Gdzie wy teraz jesteście, towarzysze moi?  
Cicho o was na świecie! bo świat ciężka proba!  
Zal się Boże, bywało, co ksiądz prefekt roi,  
Że przybędzie krajowi światło i ozdoba.  
Spotkasz czasem którego — spojrzysz na oblicze;  
Nie on, nie on szlachetne spodziewania zisci!  
Porwany w namiętności koło tajemnicze,  
Oddał przyszłość za marne obecne korzyści!  
Zszargały mu oblicze nałogi lub nędza,  
Ów, co miał drogę słońca odmienić na niebie,

Ów, co miał zostać wieszczem — w śnie życie przepędza,  
Chodzi mrówczemi drogi — i kontent sam z siebie.  
A toż, bywało, o nim książdz Retoryk szepce,  
Że ów chłopiec rozwija olbrzymie talenta,  
Że Pan Bóg wielkich ludzi naznacza w kolebce,  
Że Cezar dzieckiem jaśniał nad rzymskie chłopięta.  
A ów teraz bohater poluje na zwierza,  
Miłość go rozbydlęca, kielich z nóg obala,  
Pan wioski — srogie chłosty wieśniakom wymierza,  
Albo drzemie po uciecie Helijogabala.

Po ukończeniu szkół młody Dęboróg ku ucieście ojca oddał się namiętnie polowaniu. Raz o zmroku zmylił drogę i zawadził o zakazane sobie progi Brochwiczowego dworku. Odtąd często tam zaglądał, bo pociągała go młodzietka Zosia. Lecz matka wkońcu położyła swe *velo* w obawie, że miłość młodych może być zrozumiana przez ludzi jako intryga ze strony Brochwiczów. Gdy zrozpaczony Jaś powracał do domu, ukazało się mu straszne widmo rotmistrza z raną na czole, wołające grobowym głosem: *redde, quod debes*<sup>1)</sup>. Młody legł na łożo, powalony gorączką. Gdy ojciec się dowiedział o tem, co zaszło, wielce poruszony opowiedział ks. definitorowi, że i jemu w różnych życia chwilach to widmo się ukazywało z wezwaniem do spłacenia długu. Z opowiedzianego przez definitora snu, z rozmowy dalszej dowiadujemy się, że w dawne lata rotmistrz w czasie nieobecności sąsiada kopce przeniósł, grunta zaorał, lamus zaś, w którym się szlacheckie dokumenty Brochwicza przechowywały, spalił. Bogaty, wobec sądów sprawę wygrał. Napróżno przed śmiercią upominał syna, by zagrabione grunty zwrócił, ciało jego przy dawnej granicy pogrzebał... Syn przy nowych kopcach ciało ojca pochował. Nienawiść ojców dziedzicznie spadła na ich potomków aż do dzisiejszego pokolenia. Poruszone sumienie, trwoga o życie syna-dziedzica, namowy definitora sprawiły, że stary Dęboróg dał przyzwolenie na połączenie się syna z Zosią i zakończenie w ten sposób starej waśni i wynagrodzenie krzywdy

(Str. 139—142).

### Epilogos do drugiego wydania.

Kiedym przed dwoma laty (toć niedawne czasy)  
Oddawał Dęboroga pod drukarskie prasy,  
Nie tuszyłem, że pismu poszczęści się w świecie,  
Że je tak dobrem sercem łaskawie przyjmiecie.  
Dziś, kiedy rozrzewniony, jak na dłoni, baczę,  
Że warto dla was śpiewać, litewscy słuchacze!  
Że można choć niekształtnie złożonemi rymy  
Zagrać na waszych sercach, kreśląc kraj rodzimy,  
Rumieniec zawstydenia do twarzy mi bije,  
Żem tak mało ulepszył drugą edycyję.

<sup>1)</sup> Oddaj, coś winien.

Może przynajmniej z łaski posłuchać zechcecie,  
Co się z Dęborogami stało przez dwulecie.

Stary Dęboróg umarł ku powszechnej szkodzie,  
Gwarząc jakąś powiastkę o trockim wojwodzie;  
Ale, proszę aspana, jako człowiek święty,  
Oczyszczony pokutą, wzmocnion Sakramenty,  
Gdzieś na łonie swych przodków, wśród herbowej rzeszy,  
Ze trockim wojewodą pospołu się cieszy.  
Bo tam już stary Brochwicz, niegdyś wódz pancerny,  
Wymodlił mu w niebiosach dekret miłosierny,  
I obaj, z wyżyn patrząc na litewską stronę,  
Błogosławią swych herbów tarcze skojarzone.  
Dąb, godło Dęborogów, jest ozdobą lasa,  
Jeleń w herbie Brochwicza posuwisto hasa  
I troje małych wnuków, nowe pokolenie,  
Rośnie krzepkie, jak dęby, zwinne, jak jelenie.

Lecz może pamiętacie, że Dęboróg stary  
Miał swoje uprzedzenia, miał dawne przywary;  
Naprzykład, wierzył mocno w katechizm jedyny.  
Że szlachcie stworzon z inszej, a chłop z inszej gliny.  
Przebacznym starej głowie — przebacznym tem szczerzej,  
Że dziś po jego śmierci nikt temu nie wierzy.  
Szlachta na całej Litwie jest bracią swej włości.  
Ochronia ją od głodu, od zimna srogości;  
W wioskach, słyszę, dostatek, wypleniono chwasty.  
Zakwitnął bujnem kwieciami nasz wiek dziewiętnasty;  
Obruszać się na szlachtę nie miałby sposobu  
Nawet ksiądz definitor, gdyby powstał z grobu.

Och! bo już upłynęła druga wiosna pono,  
Jak grób jego porasta darnią zieloną.  
Młodzi Dęborogowie i naród zdaleka  
Odwiedzają mogiłę świętego człowieka.  
O nim serdeczna pamięć łączy im sączy z oka;  
A jego miłość bratnia i wiara głęboka,  
A przykład jego enoty nie zaginął marnie,  
Bo długo jeszcze będzie umacniał owezarnię,  
Była to w swoje czasy postać nader rzadka;  
Lecz dzisiaj Kościół święty, prawowiernych matka,  
Liczy garstkę pasterzów sporą a przykładną,  
Co własne swoje dusze za owezarnie kładną,  
Co pracują na polu, znoją się w kościele,  
Dzielią ze smutnym smutek, z wesołym wesele,  
Z ubogim chleb powszedni, a z każdym chleb ducha,  
A lud Boży przykładnie ich nauki słucha,  
Z ich serca, jak ze źródła, czerpiąc dobre wzory  
Dostojnego ubóstwa i świętej pokory.

Grób po grobie pochłania czyjeś stare kości.  
Zapadaj, dawny wieku, na łono przeszłości;  
Ty zaś, strojna w barwę różową, łęczową,  
Młoda jutrznią postępu, świlaj nad mą głową!  
A gdy już twoje słońce u południa stanie  
I oświeci grobowej ciemności otchłanie,  
Gdy promienni twym światłem zajrzym do podziemi,  
Niechaj się nie zawstydzim przed ojcy naszemi.  
Bo biada naszej głowie i twym blaskom biada,  
Jeśli stanie przed nami postać prapradziada  
I głosem uroczystym zagrobowej mary  
Rzecz: „*Redde, quod debes*, pła cie dług wasz stary!...  
Spuściliśmy próstacy naszą piękną stronę  
Na wasze ręce silne, na głowy uczone,  
Od zgonu waszych przodków do dzisiejszej chwili.  
Obliczcie, coście wzięli, coście przymnożyli?  
Musi być w wasze czasy, które postępek budzi,  
I więcej kwiatów w polu, i enót w sercach ludzi;  
Lubiliśmy procesa i pieniacze matnie,  
U was pewnie zakwitło miłowanie bratnie  
Równych synów ludzkości, odkupionych z krzyża,  
U was pycha herbowa pewno nie poniża;  
Porzuciliście puhar, co ku złemu kusi,  
Z trzeźwych piersi modlitwa gorętsza być musi;  
‘A skoro Bóg nagradza enotę zasłużoną,  
Toć i wasze niebiosą błękitniejsze pono...“  
Och! bolesno postyszeć taki głos z mogiły:  
Jeszcze nasze zasiewy kłosów nie puściły,  
A choć, zda się, dokoła zielone przestworza,  
Po trawce nie rozeznać kąkolę od zboża.  
A pieśniarz, co gotuje piosenkę do żniwa,  
Przebaczcie, że niepewnym tonem pobrząkiwa:  
Bo nie zgadnie, do jakiej nastroić się nuty,  
Czy tworzyć pieśń weselą, czy żalu wyrzuty.

---

### C) Hetman polny.

Gawęda starożołnierska.

(1851).

(Tamże I, str. 193—4).

„Bo gdy doma lwami okrutnymi będziecie, w potrzebie staniecie się jako na rzeź owcami“.

P. Skarga.

#### I.

Poza pagórkiem, gdzie wioska stara,  
Wojsko kwarciane czeka Tatara;  
Bo jak ze szpiegów zrozumieć snadnie,  
Hordzie w tych miejscach nocleg wypadnie.  
„Hej! gdy zawita dziec hajdamacka,  
Z poza pagórka wypaść znienacka!  
I broniąc niskie strzechy wioskowe,  
Krymskich bandytów pobić na głowę!“  
Tak już uradził plan całej sprawy  
Wielmożny hetman polnej buławy.

#### II.

Lecz zabezpieczon w stalowej zbroi,  
Nie zawždy rycerz Boga się boi.  
Szlachta pancerna i ciurów tłuszcza  
Oto po wiosce zagon rozpuszcza:  
Rabuje bratnie chaty, śpichlerze,  
Robocze woły rznie na wieczerzę,  
Znieważa kraśne dziewy wieśniacze  
I jeszcze bije, gdy kto zapłacze.  
Jeno się śmieje z płaczów i wrzawy  
Wielmożny hetman polnej buławy.

#### III.

A wtem pod wioskę nocną zaciszą  
Naszli Tatarzy i jęki słyszą:  
„Ej, niemasz Boga jak Allah w niebie!“  
Po bisurmańsku rzekli do siebie;  
„Snadź tu już goszczą nasi Tatarzy,  
Sulejman-Murza od przedniej straży.

Niechże rabują, niech się ochocą,  
Nam tu zajeżdżać już niema pogo;  
Dziś spalim zamek, gdzie wróg nasz krwawy,  
Wielmożny hetman polnej buławy“.

IV.

Na wiosce hula szlachta pancerna,  
Na niebie gore luna obszerna;  
Hetman na niebo spojrział z oddali:  
„Na koń, rycerstwo! mój dwór się pali!“  
Lecz nim dobiegło rycerstwo hoże,  
Wróg gospodarzył w hetmańskim dworze:  
Zamek spalony, służba wyrznięta,  
Żona gdzieś dźwiga tatarskie pęta;  
Na zgliszczach domu modli się łzawy  
Wielmożny hetman polnej buławy.

D) **Lalka.**

Gawęda dziecinna.

(1851).

(Tamże, str. 190—192).

Niech lalka będzie grzeczna, nie płacze, nie beczy,  
Ładnie mi się ukloni i uszko nachyli,  
A ja lalce opowiem wiele pięknych rzeczy,  
Jak mi rodzice mówili.  
W święto — mama mię w nową sukienkę ubierze  
I różową przepaskę zawiąże u czoła;  
Ja wtedy umieć będę francuskie pacierze,  
I pojedziem do kościoła.  
Toż to się dziwić będzie prostaków gromada!  
Bo nie przy nich pisane zagraniczne słowa;  
Mnie się głośno po polsku modlić nie wypada:  
Czy to ja chłopka wioskowa?!  
Lecz cichutko... po polsku... poproszę w kościele:  
Niech mi Bozia da rosnać i wyładnieć prędej,  
A dla mamy i papy... niech da wiele — wiele  
Zółtych i białych pieniędzy!...  
Oni tak lubią grosze, tak modlą się szczerze,  
Dają na mszę dwa złote, całują obrazy,

A Pan Bóg taki dobry, że co dasz w ofierze,

To, słyszę, odda w sto razy.

Więc oni coraz hojniej Panu Bogu służą,

A Pan Bóg więcej płaci za ich chęć pobożną:

To zbierze się pieniędzy tak dużo... tak dużo...

Że i przeliczyć nie można.

Lalko! Jaka ty śmieszna!... nie rozumiesz zgoła:

Pytasz, czy to Bóg przyjdzie we własnej postaci.

Albo przyśle z pieniędzmi swojego anioła,

Co za pobożność zapłaci?

Gdzie tam! — jak mówi mama — z Opatrzności Boskiej

Przyjdzie Żyd brodaty, da groszów, i dosyć...

Za pieniądze kupimy chłopów cztery wioski.

Co będą nam żać i kosić.

Ty tylko tego nie wiesz, że my — to panowie,

A jeszcze jest lud inszy, chłopami nazwany,

Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie,

By pracowali na pany.

Brudne, brzydkie, pijane, często jak nędzarze.

W poszarpanych siermięgach, ledwie włóczą ducha,

Lecz sami sobie winni: to Bozia ich karze,

Że chłopstwo papy nie słucha.

Papa kocha swe konie, mama swego szpica,

A chłopów każdy łaje, każdy kijem kropi;

Doprawdy, że aż szkoda... Skąd taka różnica?

Niegrzeczni muszą być chlopi!..

Ot i wczora... gdy papa zasnął po obiedzie,

Pytam się, czy to pięknie, i jaka potrzeba?

Weszli, zbrudzili pokój, krzyczą jak niedźwiedzie:

„Chleba, panoczek! daj chleba!”

Więc kazano ich obić... I słusznie obici;

Już ja, kiedy wyrosnę i mieć będę zboże,

Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,

Nigdy się spać nie położę.

Bo proszę, jak tu zasnąć, kiedy naród błądy

I do drzwi i do okien ciśnie się z pokorą?

Nie nakarmić ich chlebem, to przysną się dziady,

Jeszcze do torby zabiorą.

Lub co gorsza, w obrazku Pan Jezus się dowie,

Co dla zgłodniałej rzeszy chleb i rybę łamie...

Lalko! zmówmy pacierze o chleb i o zdrowie

Chłopom, i papie, i mamie.



## Lirnik wioskowy.

Sielanka.

(1852).

(Tamże, t. 6, str. 242—246).

### I.

Liro ty moja śpiewna! z czarodziejskiego drewna  
    Snadź ciebie wyrobiono!  
Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączkę zakręcę,  
    Zaraz mi kipi łono.  
Czuję radość nieznaną, jakby na sercu grano,  
    I smutno i wesoło;  
Jam szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty  
    Przechodzę całe sioło!  
Z tobą się nie napieszczę: i dzień, i noc, i jeszcze...  
    Jeszcze grałbym bez końca;  
Aż mi się w piersiach warzy, aż mi do bladej twarzy  
    Uderza krew gorąca.  
Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,  
    Przecię tonów nie zniżę;  
Nie żałuję mej głowy, wszak ja, lirnik wioskowy,  
    Skonam, grając na lirze!

### II.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna,  
    Niebezpieczeńś narzędzie!  
Jakby w piekle, jak w niebie, kto się dotknął do ciebie,  
    Wiecznie pamiętać będzie!  
Wnet go dumka uniesie, wnet sercu kochać chce się,  
    I tęsknota ogarnie.  
Tyś pokaraniem Bożem! z tobą, jak z ostrym nożem,  
    Nie żartować bezkarnie.  
Bo noże ciało bodą, a piosnka duszę młodą  
    Jakby ostrzem przenika;  
A gorsza jeszcze bieda, że świat i wiary nie da,  
    Co tam w duszy lirnika!  
Co oni wiedzieć mogą, że mi tak w piersiach błogo,  
    Że mnie tak chętna bodzie:  
Grać od serca, grać wiele, Panu Bogu w kościele,  
    Dobrym ludziom w gospodzie;  
Grać przed moją jedyną, niech ją piosnki owina,  
    Niech ją dźwiękiem otoczą,

Czy pracuje we żniwa, czy po pracy spoczywa,  
Czy się bawi ochoczo.  
Patrzcie na dziewczę moją! przy niej chłopcy się roją...  
Śmieszne, śmieszne ludziska!  
Jeden wężem się chwali, drugi mieczem ze stali,  
Trzeci srebrem połyska.  
Mnie Bóg więcej przeznacza: znam, co hardość śpiewacza!  
Ja przed nikim nie zniżę  
Ani pieśni, ni głowy — hardy lirnik wioskowy.  
Skonam, grając na lirze!

IV.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!  
Ludzie łzami mię poją!  
Tyś dla mnie ulgą Bożą, a gdy mnie w grób położą,  
Ty będziesz chlubą moją,  
Ej, rozgłośnie, rozgłośnie twoje echo urośnie!  
Zolbrzymięją me słowa,  
Pójdą z kraju do kraju, do samego Dunaju,  
Do samego Kijowa.  
Kiedyś w okno sąsiada cudzych ludzi gromada  
Ciekawie zakolata:  
„Przyszliśmy patrzeć dziwa, gdzie wasz lirnik spoczywa.  
Lirnik głośny u świata“.  
Wtedy z całego siola ciekawość lud wywoła,  
I będą czynić wnioski,  
Szeptać, ściskając plecy: „Skąd ci ludzie dalecy  
Znają pieśni tej wioski?“  
Wiosce chluba urasta; młodzian, dziewczę, niewiasta,  
Przed ludźmi cudzej ziemi  
Westchnieniem i gawędą sławić lirnika będą,  
Co śpiewał i żył z niemi.  
I powiodą przybywszy do ementarnej zaciszy,  
Gdzie przy sośnie trzy krzyże;  
I rzekną, wznosząc głowy: „Tu nasz lirnik wioskowy,  
Skonał, grając na lirze“.

## F) Dedykacja gawęd gminnych

Litwinom.

(1852).

(Tamże, t. 6, str. 247—249).

O bracia moi z nad Wilji, z nad Niemna!  
 Gdy wam swojaacka gawędka przyjemna,  
 Zasiądźcie w kółko — a ja wam pogwarzę.  
 Stukniemy w czarki, rozweselim twarze,  
 A może prawda wynurzy się na dnie,  
 Albo się chwilka smutkowi wykradnie.

Ja czasem wierszyk skleciwszy naprędce  
 Lubię się wylać w niewinnej gawędce,  
 A wy niekiedy serdecznie i czule  
 Dajecie ucho sielskiemu gadule;  
 Będziem wzajemnie radzi — tak mi właśnie!  
 Niechże kto teraz drzwi na klucz zatrzaśnie,  
 Aby snadź jaki panek, czy półpanek  
 Nie przyszedł wysmiać naszych pogadanek.  
 U nas, wiadomo, domowa czeladka,  
 Wiersz od siekiery, robota niegładka,  
 A słuchacz, patrząc w serce gospodarza,  
 Wdzięczzen z przyjęcia, czem Pan Bóg obdarza.

Łatwiej to z wami wywinąć się księdze,  
 Bracia w kapocie i bracia w siermiędze!  
 Gmin nieuczony łatwiej się pozwoli  
 Podkraść, wysłuchać, czy mu serce boli,  
 Czy własna wina, czy boża niełaska,  
 Czy błoga radość po sercu pogłaska.  
 Oblicze gminu błednie, to się ploni,  
 Piersź przezroczyista — widno jak na dłoni;  
 Na sercu grają uczucia otwarte!

Łatwoż je schwycić i przenieść na kartę,  
 A potem w kółku tych samych słuchaczy,  
 Któż niedołącznej piosnce nie przebaczy?  
 Kto zechce śpiewek nicować dziadowski  
 Z myśli do myśli, ze zgłoski do zgłoski?

Z jasnymi pany nie tak idzie składnie:  
 Któż ich oblicza, ich serca odgadnie?  
 Jak dla nich śpiewać? kiedy mają narów,  
 Że za swój pieniądz chcą dobrych towarów?  
 Dla nich się książki w pozłocistych szatach  
 Robią w Paryżu w najpierwszych warsztatach,

Gdzież nam dościgać? Nierówna gonitwa,  
Co insza Paryż, a co insza Litwa.  
Kogo zamorskie pachnidło przynęci,  
Cóż mu aromat naszych sianożęci?  
Po śpiewie oper jak nudną są rzeczą  
Ranne skowronki, co na Litwie skrzeczą!  
Nie żal mi serca i nie żal mi głowy,  
Dla ciebie śpiewam, gminu szaraczkowy!  
O tobie śpiewam i z tobą zespołę  
Nadzieje, radość i smutki i bole;  
Twojem powietrzem orzeźwię oblicze,  
Od twoich ptasząt wyrazu pożyczę.  
Niech się myśl moja z pod serca wygwarzy  
Nutą żniwiarską, w takt brzęku kosarzy.  
Gdzie chata słomą lub darnią pokryta,  
Serdeczny Litwin niech piosnkę przeczyta,  
A gdy swojaka dopatrzy się we mnie,  
Zgrzeszyłbym mówiąc, żem śpiewał daremnie.

### G) Stare wrota.

(1856).

Wątek „Starych wrót“, jak zwykle w poematach historycznych S—i, jest bardzo szczypliwy, utwór się przecież rozrasta, gdyż poeta lubi wprowadzać wiele drobnych rysów, charakteryzujących postaci lub epokę, chętnie wdaje się w dygresje liryczne, refleksyjne, historjozoficzne, nie umiejąc się zaś skupiać, bywa zbyt drobiazgowym lub wpada w ton deklamatorski. Skargę przez lat kilkanaście woził woźnica królewski, szlachcic Szeliga, z którym nieraz kaznodzieja poufnie gwarzył, zasięgając nieraz od niego wiadomości, gdzie jaka niedola czeka na otarcie łez. Szeliga zamłodu opuścił swój dworek szlachecki, wieszając się klamki pańskiej, ale łaska paska na pstrym koniu jeździ... i oto obecnie musi się poniewierać. Skarga nieznacznie pozyskał ufnosć skrytego Litwina, przejrzał jego serce i, by mu zapewnić spokojną i szczęśliwą starosć, wyjednał u króla dla woźnicy skromną donację. Szeliga powrócił do rodzinnych stron i dworek ojcowski odkupił.

(Tamże, t. IV, str. 5—6).

Onego czasu zakon Jezusowy  
Był panem serca i królewskiej głowy.  
Próżno Zamojski zzyma się na sejmie,  
*Pacta conventa* że monarcha targa,  
Król jezuitom serca nie odejmie,  
Bo jego serca pilnował Piotr Skarga.

Święty Piotr Skarga! wśród synów Loyoli  
Wyrósł, zestarzał, — i wierzył w ich cnotę,  
Grzmiał z kazalnicy w słowa szczerozłote,  
Żył i pracował zakonowi gwoli.  
W ręce obłudy dał się nieobłudnie,  
I w piersiach uczuć niezgłębioną studnię,  
I męską wolę, i rozumu siły  
Złożył Piotr Skarga na starszyny ręce.  
Już posiwiwały, już k ziemi pochyły,  
Przechował w duszy wierzenia dziecięce.  
Z wesołą twarzą, w pokornej postaci  
Kwapił się spełnić swych starszych rozkazy  
W świętych źrenicach sam nie mając skazy,  
Nie mógł jej dojrzeć na sereu swych braci.

Czy w Sandomierzu, gdy szlachta zebrana  
Na jezuitów wykrzykuje  *veto* ,  
Czy trzeba wsłodzić błędy Aryjana.  
Albo się ścierać z uczonym Helwetą,  
Czyto rycerstwo na koń się sadowi,  
Czy idzie z wojny z bogatym obławem,  
Czy rokoszaniń zagraża królowi —  
Staje Piotr Skarga z piórem i ze słowem.  
On broni świętych tajemnic ołtarzy,  
Zasłania kościół od błędnej szarańczy,  
W bitnych pancierzach odwagę rozżarzy,  
W togach senatu szczepi duch poddańczy.  
Dwoi się Skarga, i kędyż go niema,  
Gdzie woła kościół lub ziemia rodzima?

(Str. 18—19.)

Ojciec Szeligi był szlachcic ubogi,  
Mieszkał pod Wilnem na Litwie głębokiej;  
Miał włokę gruntu i lasu trzy włoki,  
Orał, polował i rąbał się z wrogi.  
A jak wiadomo — w jagiellońskie lata  
Mniej było szlachty na żołdzie magnata;  
Czy sejm, czy sejmik, czy rycerskie koło,  
Szlachta chowała zbożne obyczaje,  
I częściej panom stawi harde czoło,  
Niżli im swoje sumienie sprzedaje.  
Bywało wtedy u szlachty i braciej  
Ubożej w domach, lecz w sercach bogaciej.  
Swoboda była nie słowem, lecz faktem,  
Bo jej musiano strzec nie po pijanu.

Jeśli kto ziemię trzymał za kontraktem,  
To jeno groszem opłacał się panu;  
Wypłacał czynsze po niedrogiej cenie  
Na święty Marcin lub na święty Jerzy;  
Lecz miał swobodne ramię i sumienie,  
Bo to oboje do kraju należy.  
Rzadko kto służył w nadwornej chorągwi  
U kasztelana albo wojewody;  
Doma sycono i piwa i miody,  
Nie zaglądał do magnackiej stągwi.

Nie błogosławił też ojciec synowi, gdy młody Szeliga jechał do dworu i barwę dźwigał, „bo w niebiesiech pono nad głową szlachty, za grzechy jej pychy, już służebnictwa klątwą wyrzeczono”. Dzięki jednak Skardze na starość przynajmniej zakosztował spokoju i niezależności i miał szczęście witać u siebie świętobliwego kapłana.

(Str. 30—31.)

Wyrocznia króla a Polski ozdoba,  
Filar potężnej jezuitów rzeszy,  
Skarga serdecznie z Szeligą się cieszy,  
W szlacheckim domku snadź wielce spodoba!  
Świętyż był wieczór i pełen radości,  
Z dawnym woźnicą co przepędził społem!  
A gdy wieczerzać siadł za jego stołem,  
Niech mu kasztelan krakowski zazdrości!  
Bo się senator żaden nie poszczyci,  
Że kiedy Skargę przyjmował w gościnie,  
By święte usta umoczył w węgrzynie,  
Choć go prosili mężę znakomici.  
A tu bez prośby, bez żadnej odmowy,  
Przy plastrze miodu i przy misie mleka,  
Nie upokorzył biednego człowieka,  
Wypił z nim miodu puharek cynowy.  
A po wieczerzy, kiedy się krzątano  
Zasłać mu łoże jak najmiękkiej zda się,  
Pod siwą głowę on sam postął dla się  
Ostre i twarde z błot litewskich siano.  
Wszystkich domowych pobłogosławiwszy,  
Kłęknał gdzie zimna ceglana podłoga,  
W gorących modłach błogosławił Boga,  
Że dzisiaj zestał dzień mu najszczęśliwszy.  
Za ciernie życia, co musim prznosić,  
Za ból codzienny, co nam serce targa,  
Jednej nagrody byłoby już dosyć:

Przyśnić sen taki, jak miał ojciec Skarga.  
Bo okiem duszy musiał widzieć żywo  
Bóstwo promienne, a ludzkość szczęśliwą.

Błogosławiąc domostwu Szeligi, zaklął stare wrota jego, by nie wpuszczały złych ludzi do poczciwego domu, by spadły na głowę temu, kto chciałby przez nie wkroczyć z myślą zdradną. Syn jednak dawnego woźnicy królewskiego, Krzysztof Szeliga, wzgardził skromną dolą, na birżańskim dworze rośnie w łaski Radziwiłłów „i przy tureckim stanąłby sztandarze, jeżeli księżę koniuszy rozkaże“.

(Str. 46—8.)

Przeszłości święta! pokój ci niech będzie  
W twym wiekiustym, w twoim sennym grobie!  
Coś nagrzeszyła w niebacznym obłędzie,  
Niech Bóg udzieli przebaczenia tobie,  
A twoim enotom Swą łaską przyczyni  
Plennego wzrostu, co ma ziarno w roli,  
W naszych im sercach krzewić się dozwoli!...  
Przeszłości święta! tyś nasza mistrzyni:  
Nie dla zgorzenia, ale dla poprawy,  
Pozwól w twój obraz przypatrzeć się mgławcy —  
I nie poczytuj nas za świętokradce,  
Nie miej za winnych synowskiej obrazy,  
Jeśli się zdala przypatrując matce,  
Na jej obliczu odkryjemy skazy.  
My dobrze serce naszej matki znamy:  
Ona tam w niebie jedną żądzę żywi,  
By jej synowie byli od niej samej  
Bardziej cnotliwi i bardziej szczęśliwi.  
Nam dla przestrogi ona sama powie,  
Co nabroiła, kiedy była młoda.  
Niewiele grzechów liczy na swej głowie,  
Grzech jej najcięższy miał imię — Swoboda.  
Nie ta swoboda, którą ma od Boga  
I myśl człowiecza i niebieski ptaszek,  
Co nie dla marnych stworzona igraszek,  
Co wie, skąd idzie i dokąd jej droga,  
Pilnując krągu jak słońca na niebie,  
Ciepło i światło sieje wkoło siebie,  
I zna to dobrze, że gdyby w zakresie  
Śmiała przekroczyć choć na jeden atom,  
To zamiast szczęścia, które daje światom,  
Straszliwe światu skończenie przyniesie.

Córka zniszczenia jest inna swoboda,  
Czynem ni słowem w karby nie ujęta,  
Do której hasło najpierwszy ten poda,  
Kto chce narzucić niewolnicze pęta,  
Co aby snadniej zhołdować lud boży,  
Sam się poniży, sam się upokorzy.  
Na nim się wesprzesz jakby na opoce,  
A on się śmieje w głębi swego ducha,  
On weźmie pierwsze swawoli owoce,  
A karę błędu — ten, kto go usłucha.  
Tak niegdyś w Polsce, miłościwe pany  
Mówiły szlachcie: — „Co te nasze prawa?  
Ten król choć przez nas swobodnie obrany,  
Na naszą wolność nieżyczliw się zdawa.  
Nasze statuta, choć własne pisanie,  
Niedobrze płużą braterskiej swobodzie:  
Wszakżeśmy szlachta — a szlachcie, mospanie,  
Choć na zagrodzie, rówien wojewodzie.  
Hej! kogo losy krajowe obchodzą,  
Do mnie niech śpieszy! co żywiej a sporzej!  
Stanę na czele, a pod moją wodzą,  
Król się poniży, prawo upokorzy!  
Nic nie zważajcie, żem ja wojewoda,  
A baczcie we mnie szlachcica i brata:  
Mam chleb i wino, co to ust nie szkoda,  
Przyjmę was chętnie, czem chata bogata!“  
A ślepa szlachta, krzycząc wniebogłoso  
Na ucisk tronu i niesłuszność prawa,  
Pod sztandarami wojewody stawa  
I z jego gwiazdą łączy swe losy,  
Z jego zachceniem łączy swoje modły,  
Z jego orężem swe szable ochoczo, —  
Już się za kruszec zaprzeda podły,  
Za stągiew miodu, za gruntu półwłocze.  
A do pańskiego rydwanu przykuta,  
Już zapomniawszy, co wolność prawdziwa,  
Śni jeszcze szlachta, że swobód używa,  
Obiera króla i pisze statuta.  
Senne rojenia! — niedorzeczne chęci!  
Pomiędzy kilku władza się rozdziela;  
Potężnych domów mnodzy są klienci,  
Lecz trudno w kraju o obywatela.



(Str. 54—8.)

Jak w owe czasy — nim w Polskę strzeliły,  
Cztery pioruny, ze czterech stron świata,  
Pan porozdawał, pogmatwał jej siły,  
Z gościńca przodków odbieżał Sarmata.  
Bezrząd na wszystkim swoją pieczęć kładzie,  
Nosi jej cęchę już Rzeczpospolita;  
A niegdyś baczny na wszystko Lechita  
Stał się porządnym — jedynie w bezładzie.  
Panowie radni oblegają króla  
I za starostwo sprzedają swe wota;  
Szlachta na sejmie po gospodach hula,  
Pijanem słowem na wszystko się miota,  
Rzuca na króla i na senat zakał,  
Każdą myśl jego zabija w jutrzence.  
Och! często, często boleśnie zapłakał,  
Często załamał Jan Kazimierz ręce  
I tęskne myśli posyłał za morze,  
Gdzie tron ojcowski posiadał mu kto inny,  
Gdzie lud monarchom posłuszny, powinny,  
Gdzie król poddanych uszczęśliwiać może.  
A tutaj... tutaj gdzież jest tronu władza?  
Naród do szczęścia sam sobie przeszkadza.  
Tu groźna północ od Szwedów i Rusi  
Dwoma chmurami zdaleka się sroży;  
Tutaj Chmielnicki, prawdziwy bież boży,  
Kraj naddnieprowy oderwać się kusi,  
Krwcią lacką spluskał ukraińskie stępy,  
A niema środków postawić mu czoła:  
Sejm tylko jeden uczynić to zdoła,  
Ale sejm polski, gwarliwy a ślepy,  
Gdzie dola kraju, gdzie obrona dziełek,  
On się targuje z królem o podatek.  
Jęczą na nędzę i szlachta i pany.

(Str. 56—7.)

A patrz po kraju, kędy grosz się trwoni  
Za jedną szczyptę zamorskiego ziela!  
Co sług! co potraw! co psów, a co koni!  
Jak tryska wino! jak huczy kapela!  
Patrz ile kanak z diamentu warty  
W stroju męczyzny, białogłowy, dziecka!  
Jakie sobole, tygrysy, lamparty!  
Rzeczpospolita zbytkuje szlachecka.

Za dwie wieczerze nadwornej szarańczy  
Można uzbroić chorągiew husarzy;  
Lecz szlachta szumi, o swobodach gwarzy,  
Na grobie kraju śmieje się i tańczy;  
Ani chce wiedzieć, że tu wnet naskoczy  
Groźny Chmielnicki, Szwed albo Rakoczy.  
Gdy się na głowę zwała Siedmiogrodzie,  
Kozak i Rusin gdy do walki zowie,  
Na wałach fortec jaśni starostowie  
Sieją warzywa jak gdyby w ogrodzie,  
Mur z bastyonem rozbijając stary,  
Budują z niego śpichrze i browary.  
Rzadko gdzie w domu szlachcica-rycerza  
Był koń, zbroica lub miecz wpogotowiu;  
Żołnierz koronny, zbyt folgując zdrowiu,  
Włókł z sobą łóżka i pościelenie z pierza.  
Na wież obronnych niedawne zwaliska  
Wspina się koza i ogryza chwasty.  
Na straży żołnierz dziesiąty, dwunasty,  
Bo reszta hula albo lud uciska.

.....  
.....

Boleść rwie serce, gdy musimy w pieśni  
Wspomnieć te czasy, kreślić te obrazy.  
Patrząc na Polskę płakali współczesni:  
„Piękna ziemico! zgubionaś sto razy!  
Świetna wśród bitew, nieszczęśliwa doma,  
Nie drżysz przed Szwedem ani Zaporozem,  
Lecz sama własnym zabijasz się nożem,  
Grób sobie kopasz własnymi rękoma!  
Nie winuj obcych, że z chciwym zapalem  
Biegna ku tobie, czując twe niezdrowie:  
Tylko narzędziem Pańskim są krukowie,  
Co lecą martwym nasycić się ciałem.  
Nie oni zgonu twojego przyczyną:  
Kraje przez siebie, nie przez obcych giną.”

Zdrada wprowadziła do Polski Szweda, ten zalał cały kraj.

(Str. 58—60.)

Uszedł król polski ze swojej stolicy,  
Coraz po kraju tułając się dalej.

Pierzehli koronni niegdyś pochlebniicy,  
Co jeno łaski u tronu szukali.  
Opuszczal króla silny i bogaty,  
Szedł i Szwedowi swą przychylności kłamał.  
Biedny mieszkaniec zaściankowej chaty  
Spojrzał dokola — i ręce załamał;  
A obcy pychy podszeptom zdradzieckim,  
Przysięgi nie zdradzić króla i swej ziemi —  
Naostrzył brzeszczot rękami chrobremi  
I szedł do swoich łączyć się z Czarnieckim.

.....

Ruś gości w Wilnie, Chmielnicki we Lwowie,  
Szwed zajął Poznań, Warszawę i Kraków;  
Już wszystkie grody stołeczne Polaków  
W rękach zdobywców jak nędzne pustkowie.  
Trzy wielkie wichry w całej swojej sile  
Kiedy na jedną budowę gruchnęły,  
Zda się dziedzina Piasta i Jagiełły  
Będzie na troje rozdarta za chwilę.  
Niemasz wyboru dla prawego męża,  
Jeno polegnać pod domowem zgłiszczem;  
Lecz mądrzy mówią: — „Może coś uzyszczem,  
Pójdźmy sie kłaniać temu, co zwycięża“.

## X.

Książę Radziwiłł, litewski koniuszy,  
Dawno szwedzkiemu kłania się królowi;  
Jego klienci na wszystko gotowi  
Na stronę szwedzką przeszli z całej duszy.  
Tylko gdzie niegdzie trzymają się na wodzy.  
Kupa mieszczanów lub szlachta ubodzy.  
Pomimo pochlebstw, pomimo popłochu,  
Gdzieś garstka z garstką jeszcze się sprzymierza,  
Ostatni szeląg, ostatnią garść prochu  
Niesie za sprawę Jana Kazimierza,  
Ostatnie takty bolejącej piersi  
Składa w modlitwę za Rzeczpospolitą.

Odwróciło się szczęście od wrogów i zdrajców. Krzysztof Szeliga, teraz już pan możny, z nadto swą dolę skojarzył z losem ks. Bogusława i musiał z kraju uchodzić. Zjeżdża jednak w rodzinne strony, by tam zjednywać stronników dla Szweda. Oś czterokonnej wspaniałej karocy z trudnością się przeciska przez stare wrota, które według zaklęcia Skargi opadły całym ciężarem dębowego dachu na zbrodniczą głowę.

## Ułas.

Sielanka bojowa z błot poleskich

(1857).

Część pierwsza.

(Tamże t. 3, str. 252—3).

### I.

Smutny kraju Polesia! znajomyś mi nieco;  
Mglisto twoje wspomnienia z dzieciństwa mi świecą:  
Snują mi się niekiedy, jakby senne mary,  
Nieprzemierzone okiem trzęsawisk obszary,  
Lasy ciemne i gęste, jak gdyby jaskinie,  
Rzeka, co między łożą a sitowiem płynie,  
Uprzykrzonych owadów drużyna skrzydlata  
I zielony motylek, co nad wodą lata,  
I ta cisza powietrzna, rzadko przerywana  
Oстрым krzykiem żórawia, klekotem bociana,  
Albo pluchaniem czółna po spokojnej fali,  
Kiedy rybak z wężyczem przemknie się woddali.

Tajemny jakiś urok w mych oczach owiewa  
Żółte Polesia piaski i ponure drzewa,  
Czarne podarte chatki na piasku lub mszarze<sup>1)</sup>,  
Słomą kryte cerkiewki i wiejskie cmentarze,  
Ozdobione jedliną lub sosną pochyłą,  
Gdzie sterczy mała chatka nad każdą mogiłą,  
Gdzie w spokojnej mogiłę pomieszał się spolem  
Stary popiół pradziada z prawnuka popiołem.

Tu zastłonięni lasem i oblani wodą,  
Z pokoleń w pokolenia ludzie wiek swój wiodą:  
Żaden nowy obyczaj, żaden wymysł świeży  
Nie przemienił ich mowy, ni kształtów odzieży;  
Żaden nowy duch wieku nie przyłożył ręki,  
By zmienić bicie serca albo takt piosenki.  
Jak przed wieki nosity słowiańskie narody,  
Takie noszą sukmany, takie same brody,  
Takie same siekiery, któremi dąb wala,  
Takie same cerkiewki, w których Boga chwala.

---

<sup>1)</sup> Mszar — miejsce niskie, zarosłe sosną i mchem.

Tak samo ich posila miód, jagła i ryba:  
Nie tutaj nie przybyło — trochę nędzy chyba.

Czasem nową piosenkę żniwiarka ukleci,  
Ojciec nowe podanie opowie dla dzieci,  
Co mu ze starych wspomnień po głowie się kręci,  
Co się działo w tej wiosce za jego pamięci.  
Drobne wspomnienia wioski lub pańskiego dworu  
Dają na wieczornicach treść do rozhoworu.  
Tam przy smolnem lucywie, w wesolej gawędzie,  
Gdy chłopak wiąże siatkę, dziewczę kądziel przędzie.  
Gdy bajki pradziadowskie poczną bając starzy,  
Serce się rozkołysa i głowa rozmarzy,  
Że zapomnieć tych bajął niema żadnej mocy:  
Będziesz myślał dni kilka i śnił kilka nocy,  
Powieść smutną czy straszną nie przestaniesz marzyć,  
Musisz ją złożyć z serca — drugiemu wygarzyć.

Taką powieść słyszałem pomiędzy innemi  
Z czasów jeszcze Francuza na tutejszej ziemi  
Nie wszystkim w niej spamiętał — więc przebaczenie, proszę.  
Jeżeli nie dość wiernie na kartę przenoszę.  
Nie wiem nawet, czy prawda? Sami doświadczycie,  
Gdy wam w piersiach zadzwoni gwałtowniejsze bicie,  
Gdy niechęć poczujesz, jak łaza oko zmywa,  
To już i cała powieść musi być prawdziwa.

Do chaty strzelca Ułasa na skraju lasu u długiej grobli poprzez trzęsawisko  
weszło kilkoro szlachty w późny jesienny wieczór.

(Str. 256—60.)

#### IV.

Lecz drzwi się otworzyły i do chaty wpada  
Ludzi zbrojnych strzelbami niemała gromada.  
Ułas poznał ich wszystkich — i sam był im znany:  
To z okolicznych dworów dzierzawce i pany,  
Gromada ekonomów i dworskich pisarzy,  
I szlachty zaściankowej poznał kilka twarzy.  
— „Co oni tutaj robią po nocy i z bronią?  
Czy polują na wilka, albo sarny goniają?  
Lecz w terażniejszą jesień niemasz wilków prawie.  
Nie słyhać w okolicy o żadnej obławie.  
Chyba w barciach niedźwiedzia odkryła się psota,  
Albo łos z tamtej strony przemknął się od błota.“

Tak sobie stary Ułas przypuszczenia tworzy  
I biedził się w swych myślach, gdzie ich spać położyć?  
A baczenie poglądając na ławy domowe,  
Pokłonił się w pół pasa i poskrobał w głowę.  
— „Dobry wieczór, Ułasie!” — mówił pan przybyły.  
A właśnie był to dziedzic, człowiek pełny siły,  
Choć już siwego wąsa, co był czarny zmlodu;  
Miał polską taratatkę, podkasaną zprzodu,  
Przez plecy długą strzelbę i szpadę za pasem  
(Która się po myśliwsku zowie kordelasem),  
A w rękę długi oszczep, jakby szedł na dzika.

Ułas badawczem okiem dziedzica przenika,  
Pokłonił się raz, drugi, a potem raz trzeci  
I czekał niecierpliwie, co mu pan poleci.  
— „Słuchaj, — rzecze — tyś rodem z niedalekiej wioski;  
Trafisz pewnie po nocy na Ostrów Czartowski;  
Zaprowadź nas do niego, i to zaraz, żwawo!”  
Ułas podniósł na pana żrenicę ciekawą;  
Nie wierząc, że pan mówi przy zdrowej pamięci,  
Przeżegnał się dwa razy jakoś mimo chęci.  
— „Iść na Czartowy Ostrów! a to naco? poco?  
Ani dzika, ni wilka nie dopatrzysz nocą;  
Zresztą, tam gniazdo wilcze nigdy się nie zbierze;  
Jeżeli jest, to chyba przy Zgniłym Jezierze.  
Dzięki Bogu, znam puszcę!”

— „Nie o wilku mowa.  
Oł prędko zjedz wieczerzę, jeżeli gotowa,  
A na Czartowy Ostrów prowadź nas i kwita.  
Na przypadek i strzelba niech będzie nabita!”  
Tak mówił groźnym głosem i w stół pięścią grzmota  
Stary dworski ekonom Baltazar Kapota.  
Ten był zbrojny w dwie strzelby, barczysty, choć mały,  
Niósł na plecach sążnistą baryłę gorzaty,  
A przy torbie, co zda się zwierzyna napozór,  
Miał trzy spore wędzonki i wołowy ozór.

Strzelec wkoło popatrzy, ramionami wzruszy:  
— „Czy oni poszaleli?” — myśli sobie w duszy —  
„Skąd się tutaj wyrwali, jakby kamień z procy?  
Jak żyję, nie słyszałem polowania w nocy!”  
Pokłonił się raz jeszcze i przemówił trwożno:  
— „Czyż tu wielmożnym panom nocować nie można?  
Wygód niema... zwyczajnie... nato polowanie!...  
Jeden zaśnie na ławie, a drugi na sianie;  
A jutro, jak zaświta, ja panów rozbudzę,  
I poszukamy wilków przy Popowej Strudze:

Bo na Czartowy Ostrów choćby pędzić kijem,  
Żaden wilk nie zabieży, i nie nie zabijem“.

Tu potężnie pochwycił za ramię Ułasa  
Szlachciec suchy, sążnisty, z wąsami do pasa,  
W wielkiej czapce uszatej i kurcie baraniej;  
Stuknął trzy razy strzelbą, oparł ręce na niej  
I z szyderczem spojrzeniem, które miał w nałogu,  
Rzecz: — „Ułase, choć stary, a głupi, jak w rogu!  
Jemu lata po głowie na wilki oblawa!  
Tu nie sarny, mój bracie, tu ważniejsza sprawa!  
Nie dziki, nie niedźwiedzie, lecz grubsza zwierzyna,  
Co to się na *k* kończy i na *k* zaczyna,  
Co to lata, jak wiecher, z piką i nahajem,  
Co to wczora szumiła w karczemce pod gajem.  
Jeszcze się nie domyślasz? och, synu pastuszy!“  
— „Cicho, panie Walenty! ściany mają uszy!“  
Przerwał mu drugi szlachciec i półgłosem rzecz: —  
„Tu grobelka — tam lasek — uważasz, człowiecze...  
Oni idą grobelką; a my siedzim w lesie:  
Puk! puk! pięćdziesiąt kroków — toć kulka doniesie.  
A z grobelki do lasu jest błoto pod miedzą,  
Nim się do nas dopadną — pierwaj djabła zjedzą!  
Teraz już zrozumiałeś, pośpieszysz z usługą?“  
Pan wziął na bok Ułasa, szeptali coś długo;  
Strzelec zęgnął się krzyżem, był, jak płótno, błąd:  
Czasem się głośnie słówko wyrwało z narady,  
I Ułase znowu szeptał, pokiwawszy głową:  
— „Dzieci będą sieroty... pani będzie wdową...  
Już to my w oczeretach — nie bój się jegomość,  
I dobytek schowamy, i całą ruchomość,  
A w chacie u Wasila, zaraz przy jeziorze,  
To i pani z dziatkami pomieścić się może.  
Tam szatan nie wytropi — niech tam żyją zdrowi!  
Ale dwór stoi pustką... dwór spalić gotowi...  
Wiadomo... czas wojenny...“ I znów szeptał zeicha.  
Tymczasem ktoś ze szlachty dorwał się kielicha,  
Albo z myśliwskiej flaszy haust pociągnął spory,  
Trzeci zapalił lulkę, poszły rozmowy,  
Rozprawiano o wojny przyczynach i skutku,  
A pan ciągle z Ułasem szeptał pocichutku.  
Wreszcie Ułase przed panem uklęknął przy stole:

— „Tak mi, Boże, dopomóż! panoczku! sokole!  
Że na Czartowy Ostrów znajdziem przechód łatwy,  
A jak oka, jak serca, strzec będziemy twej działwy;

A jeśli komu powiem, gdzie wy? w jakiej stronie?  
Niech mię piorun zabije! niech ziemia pochłonie!  
I całuje go w nogi i, jak dziecko, chlipie.  
Pan podjął — uściskami Ułasa osypie,  
I sąsiedni panowie, i szlachta, co pije,  
Wszyscy hurmem się cisną chłopowi na szyję,  
I w chwili rozrzewnienia, z braterskim wyrazem,  
Łza chłopska i szlachecka spłynęły się razem;  
A w tej łzie (o czem szlachta wątpiła od wieka)  
Był tylko jeden wspólny pierwiastek — człowieka.

(Str. 261—6.)

### Część druga.

Straszne to były czasy — syte pokolei  
Łez, krwi, ognia, rozpaczy i dobrych nadziei.  
Chmury wojsk szły na północ nieprzerwaną smugą.  
Jedna połowa świata ścierała się z drugą.  
Krew lała się na polach, gdzie bój silnych wabi,  
Ale krwawszemi łzami zlewali się słabi.

Smutno w poleskich dworach i po wioskach kmieci:  
Tam codzień zbrojny żołdak bezkarnie nadleci,  
Pokrzywdzi siwą głowę, stodołę zapali,  
Pozarzyna dobytek i polecą dalej.  
W ostatniej straży wojska, z tej i owej strony,  
Waleśał się bezkarnie żołnierz rozproszony:  
Mignie spisa kozacka, czy bagnet Westfala,  
Mogłeś już łzy i jęki przewidywać zdala.  
Z oddalonej wioszczyny nad błotem, nad rzeką  
Wołać o sprawiedliwość — było za daleko.  
Przeklinał syn Polesia swe ojcyste drzewa,  
Gdzie las jęki przytłumia, wiatr skargi odwiewa.

### II.

Wszystka szlachecka młodzież w gorącym zapędzie.  
Pewna, że głową mury skruszy i zdobędzie,  
Że z piersi odmuruje upadłą budowę,  
Niosła pod sztandar Franków i piersi, i głowę.  
Mało kto został doma, na roli, przy żniwie:  
Czyja stodoła z ogniem poszła nieszczęśliwie,  
Kogo mocniej, zelżywiej biec kozaczy dotnie,  
Szedł do lasu ze strzelbą, wyniszczać ich sotnie.



Nieraz synowie Donu, postani z depeszą,  
Gdy przez groblę poleską manowcami śpieszą,  
Z za bagniska, z za krzaków, lub z gęstego żyta  
Gwizdnie kulka szlachecka i serca dopyta;  
Lub czasem na biwaku, by odpocząć nieco,  
Spisy w ziemię utkwivszy, gdy ogień naniecią,  
To, jak chmura komarów, szlachecka gromada  
Pan Bóg wie, skąd się zjawia, na tabór napada  
I wyzywa na rękę, rozbija na głowę,  
Uprawadza zdobycze i konie stepowe,  
Zostawi kilka trupów, gdzie walka zajadła,  
I znowu znika w lasy — jakby w wodę wpadła.

III.

Oddzielone od grobli bagnami i rowem,  
Uroczysko, nazwane Czartowskim Ostrowem,  
Było sotniom kozackim niebezpieczne srodze:  
Gdy się długim szeregiem rozciągną po drodze,  
Stamtąd najgęstszym gradem najcielniejsze strzały  
Zawsze w głowę starszyny, jakby w cel, trafiały.  
Jedno hasło wystrzału kilka trupów kładzie.  
Stary cześnik Belina dowodził gromadzie.  
Przy nim byli panowie okolicznych wiosek:  
Pan komornik Szeliga, pan chorąży Wrzosek,  
Pan mostowniczy Kurdesz, pan podsędek Kościa,  
I szlachta Z Zajezierza, z Zabłocia, z Zamościa,  
Na jej czele chwalebnie znajomy tym stronom  
Pan Baltazar Kapota, z Brzozówki ekonom.

Gdzie się ta banda kryje? w błocie, czy na drzewie?  
Oni wiedzą o wszystkim, a nikt o nich nie wie.  
Kędy ciągną bagaże czy huf słabszy który,  
Oni na kark spadają piorunami z chmury —  
I nie ustąpią z placu, nie popuszczą dłonią,  
Póki łupów nie zgarną, sotni nie rozgonią.  
Dzisiaj tu, jutro owdzie: — drużyną kozacza  
Próżno za nimi pędzi, próżno las otacza,  
Bo oblawa na szlachtę wraca bez połowu;  
Kędyś się przyczaili, by wybuchnąć znowu,

Kto im dostarcza jada i starej gorzały?  
Skąd mają proch i kule na tak gęste strzały?  
Skąd o wojska obrotach wiedzą tak dokładnie?  
Ktoś do nich, ani wątpić, przemyka się zdradnie.

Ale kto? skąd? i kiedy? — rozmaite wnioski  
Wybadywano Żydów, przetrząsano wioski,  
Zawsze stracona praca — pisano do miasta,  
Że ta szaloua szlachta, jak z ziemi, wyrasta.

IV.

Gdzie ich żony, ich dzieci, ich trzody z obory?  
Spustoszały zaścianki, spustoszały dwory.  
Czego ogień nie spali, żołdak nie wyniesie,  
Zakopano do ziemi, zachowano w lesie;  
Ale jak? gdzie? i kiedy? — pytać próżna rada!  
Las tutejszy tajemnic swoich nie wygada.  
Dumni ze swej nad rodem szlacheckim opieki,  
Osocznicy z ostępów, rybacy z nad rzeki,  
Choćbyś ich poił, złocił, albo straszyl władzą,  
Tajemnicy swych lasów pewno nie wydadzą.

Na przepaścistych bagnach, w tajemniczym borze.  
Gdzie tylko człek świadomy znaleźć ścieżkę może,  
Stoi gdzie niegdzie chata, okopcona czarno.  
Tam się pańskie rodziny po przytułek garną,  
Stamtąd trwożliwa żona i dziecię w kolebce  
Za męża i za ojca ciche modły szepee.  
Tam uboga szlachećianka, śpiąc na twardym sianie,  
Marzy sny niespokojne o swoim bogdanie.  
Tam to ręka wieśniacza, gruba, ale szczera,  
Łzy pańskiemu dziecięciu z pod oczek ociera,  
Na chwilę zaniechawszy siekiery i pługa,  
Kotysze niemowlęta, lub cacka im struga.  
Pociesza biedną panią, że Pan Bóg jest wszędzie...

.....

Tak ów naród odarty, siermiężny, wieśniaczy  
Tulił na swoim łonie rodziny tułaczy.  
Dni przepędzano w chatach; — gdy się wieczór szarzy.  
Niebezpieczny pod dachem noeleg dla nędzarzy:  
Bo tu może się napad trafić niespodzianie,  
Może wydać blask ognia albo psów szczekanie.  
Więc się chronią do lasu, albo w kruchej łodzi  
Przewożą się za rzekę, kędy nikt nie chodzi.  
Tam na omszonej kępie, albo w stogu siana,  
Wypoczywa rodzina znekana, splakana;  
A wieśniak czuwa przy niej, nie zmrużywszy powiek,  
By nie napadł zwierz jaki lub niedobry człowiek.

.....

V.

Ale te błogie chwile nieczęsto bywały;  
Czasem minie dni kilka, minie tydzień cały.  
I wieściby nie było od lasa do lasa,  
Gdyby nie służba wierna starego Ułasa.  
On codzień i do rodzin szlacheckich się dowie,  
Codzień odwiedza pana w Czartowym Ostrowie.  
Jednemu przyniósł kartkę, w swoj czapce zaszytą,  
Drugiemu przyniósł w torbie flaszkę z okowitą,  
Trzeciemu smaczny tytuń w ogromnej papuży,  
Czwartemu misą jagły lub wędzonką służy.  
On kupował dla szlachty proch i kule z miasta;  
A chociaż go widziano, że się w lasach szasta,  
Nikt nie miał podejrzania: bo i cóż za dziwa,  
Ze strzelec swoje straże w ostępach odbywa?

Niekiedy Ułas posyłał do „bandy cześnika“ córkę swą, 16-letnią Oksenę, którą ciągnęło do obozowiska własne serce, spodziewała się bowiem tam ujrzeć kochanego i wzajem kochającego panicza, Jaśka z Oczretowa. Tymczasem zbliża się zima, las zaczyna przeświecać. Szlachta myśli o przedostaniu się do zastępów Napoleona. Na przeszkodzie stanęła choroba Ułasa. Partyzanci zostali odejści od świata, a chociaż Oksena dostarcza napoju i jadła, nie dostarczy ani zapasów bojowych ani wiadomości o nieprzyjacielu. Baltazar Kapota sądzi, że Ułas zdradza. Ułasa namawia do zdrady Żyd-arendarz, poturbowany sprowadza przez zemstę kozaków. Stary strzelec, kona-jący już, mimo razów oświadcza, że przysięgi nie zdradzi. Śmierć i przysięgę uszanowali kozacy, za radą jednak arendarza postanawiają śledzić kroki Okseny i wpadają na nieuprzedzoną szlachtę.

(Str. 293—4.)

Kozacy nie zgadują, kto im bitwę przerwie:  
Pan Baltazar Kapota, za panem w rezerwie,  
Przeczytał się w leszczynie... odprowadził kurki  
I już gotów wybuchnąć wystrzałem z dwururki,  
Zatrzymał się i lufę na gałęzi kładnie  
I okiem karkuluje, gdzie wymierzyć snadnie;  
Wreszcie wykarkulował... nie w prawo, lecz w lewo...  
Tam klęczała Oksena, oparta o drzewo:  
Tyle dziś miała wrażeń, tak jej serce darto,  
Że pogląda na walkę żrenicą otwartą;  
Twarz jej zżółkła, szerniała — już biedne niebożę  
Ani się zarumienić, ani zbednąć może;  
A gdy Jaśka-sokoła wiązano we sznury,  
Tylko uśmiech w jej twarzy odbił się ponury,  
Lecz ani drgnęły oczy, ani łyzy jej płyną,  
Dojrzał ją pan Kapota: — „A tuś mi, gadzino!

Wprowadziłaś kozaków na drogę najprościej!  
Otóż jest, panie Janie, cel twojej miłości!  
Dobrze skarkulowałaś sprzedać nasze dusze!  
Ja zginę, ale pierwszej zgubić zdrajcę muszę!“  
Skończył — i jednym palcem pociągnął dwa kurki,  
Huknęły dwa naboje z dwóch lufek dwururki:  
Dziewczę martwe upadło — krwi bryzgnęła struga,  
Jedna z pięknego czoła, a z pod serca druga...  
Pan Baltazar, ukryty w leszczynowej ciszy,  
Za dymem nic nie widzi, za hukiem nie słyszy;  
Lecz, gdy opadły dymy, gdy ujrzął, że kona:  
— „Panie cześniku! — rzecze — już kłeska zemszczona!“  
Jeszcze nie skończył wołać, gdy kozacka pika  
Już mu piersi rozbija, do serca przenika...  
Ryknął straszliwym jękiem, pod włócznią się miota  
I skonał krwią zalany Baltazar Kapota.

---

## l) Wyzwolenie włościan

(1859).

(Tamże t. 7, str. 193—195.)

Czytałem wołę dobroczynną cara,  
Co prawa ludzi ludziom przypomina,  
I byłem pewien, że żadna ofiara  
Nie będzie ciężką dla serca Litwina.  
Wróżąc urodzaj tego roku rzadki,  
Piękne dożynki społecznego żniwa,  
Chodziłem codzień patrzeć za rogatki,  
Czy wielu szlachty do miasta przybywa.  
Gdy mnie obrzucił pył pańskiej kolaski,  
Gdym ujrzał postać znajomą w przezroczu,  
Łzy biegły z oka — czy to gryzły piaski?  
Czy coś z pod serca płynęło do oczu?  
Ja nie wiem, nie wiem, skąd ta łza się kręci,  
Skąd moje czoło hardziej wawrzynem:  
Że mój prapradziad był szczerym Litwinem,  
Że jestem szlachcic, że mam herb w pieczęci.

Myślałem sobie: — Napróžno krzykacze  
Rzucali błotem na szlacheckie miano!  
Jutro, pojutrze na oczy zobaczę,  
Że nas niedarmo szlachetnymi zwano;  
Jutro, pojutrze z uniesieniem powie  
Moskwa i Polska, cała Europa,  
Żeśmy Litwini w dobrowolnej znowie  
Jarzmo i łańcuch rozwiązali z chłopą;  
I że najpierwsze odbiorą oklaski,  
I kartę w dziejach, jako przykład światu,  
Ci, którzy dzierżą marszałkowskie laski,  
Którzy są głową i sercem powiatu;  
Jak Zygmunt August, oni z własnej chęci  
Zrzekną się bicia, nie słowem, lecz czynem...  
I byłem chlubny, że jestem Litwinem,  
Że jestem szlachcic, że mam herb w pieczęci.

.....

Ze starej Lidy, ze starej Oszmiany,  
Z Trok Kiejstutowych, z Wilejki i z Dżisny  
Kwiat naszej szlachty dokoła wezwany  
Wyrok dla ludu podpisze korzystny.  
Z takim oklaskiem w tak niedawnej chwili  
Wybrani świetni powiatów ojcowie

Czyżby się Wilnu wstydzić dozwolili,  
Odjąć koronę paleońskiej głowie?...  
Przecież się stało... Kraju mój rodzony!  
Wieniec twej cześci odarty w tej chwili:  
Ojcowie twoi własnymi imiony  
Kajdany ludu pismem utwierdzili!  
Podali dziejów ohydnej pamięci  
Swoją praktyczną opiekę nad gminem!  
O! wstyd mi Wilna! Nie chcę być Litwinem!  
I hańba mojej herbowej pieczęci!

### J) Cupio dissolvi

(1861).

(Tamże t. 7, str. 281—2.)

Naco mi, Panie, ta suknia z ciała,  
Co mi swobodną duszę skowała?  
Skowała w pancerz, ciśnie i gniecie,  
I zatrzymuje na ziemskim świecie.  
Ja jestem duchem... duchem, nic więcej...  
Poco mam chodzić w szacie zwierzęcej?  
Moje radości, moje katusze,  
Na dzwonku serca wydzwaniał muszę,  
A nieśmiertelnych myśli osnowa  
Musi się ścieśniać bełkotem słowa.

Kiedyś mię stworzył wolną istotą  
Między występkiem a między cnotą,  
Czyż grzech i cnotę przed okiem nieba  
Koniecznie ciałem wyrażać trzeba?  
Jesliś przeznaczył ludziom za brata,  
Czyż tylko ciało braterstwo spleta?  
Czyż tortur ducha nie masz w Twych ręku?  
Czyż nie rozumiesz bólów bez jęku?

Dalesz mi mowę, coż ona znaczy?  
Czyż choc cień myśli mej wytłumaczy?  
Dalesz mi zmysły, coż ich powaby?  
Każdy ulomny, każdy z nich słaby,  
Każdy kłamliwy w swojej osnowie,  
Żaden mi ścisłej prawdy nie powie.  
W uchu i w oku, w smaku i wom.  
Tylko się samo złudzenie chroni,

Tylko przeszkoda duszy człowieczej,  
By doskonalej pojęła rzeczy.

W ziemskich warunkach ciała i kości  
Spada korona niezależności;  
Duch musi stawać na ziemskiej mierze.  
Ziemska namiętność swe prawa bierze,  
Wysokie żądze giną bezpłodne,  
Wzamian rozkoszy, co mnie niegodne;  
Głód i pragnienie, zimno i spieka  
Dają poczucie nędzy człowieka.  
Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,  
Próżność piersiową klatkę wydyma,  
Nienawiść ręce uzbraja w noże,  
Miłość zbydłęca, co było Boże.  
Tak... nawet miłość — uczuć królowa,  
Tutaj świętości swej nie dochowa.

A zawsze bólem serce się kraje,  
Ale ta boleść chluby nie daje;  
Ja, moje ziemskie spłacając długi,  
Cierpię męczeństwo, lecz bez zasługi!  
Kiedy mię ziemskie cierpienie zmoże,  
Z więzów cielesnych wyrwiesz mię, Boże,  
Ale już dusza nie będzie młoda,  
Już jej przeminie dawna swoboda,  
Bo ją bolesna pamięć przygniata  
Grzechu i cierpień-ziemskiego świata.

### K) Chatka w lesie.

Dziwaństwo dramatyczne

(1855).

(Tamże t. 4, str. 250—256.)

W ogrodzie publicznym spotykają się księgarz Czcionka i poeta Henryk. Księgarz się dopytuje o prace, poeta odpowiada, iż próżnuje, napawając się urokami jesieni. Na oświadczenie Czcionki, że przecież widział na biurku gruby poszyt, Henryk wyznaje, że spisuje liryczny pamiętnik swego życia: jako rzecz osobista nie jest on przeznaczony do druku.

HENRYK. Cheę, widzisz, panie Czcionka, moją przeszłość całą  
Owiać takim powietrzem, jak się oddychało  
W moje lata dziecinne. Niech z kart pamiętnika  
Wieje aromat łąki, gdzieś łapał konika;

Chciałbym wydać ten odgłos na rzecznej zatoce,  
Jako fala pienista po żwirze pluchoce;  
Niech olcha gwarzy z olchą swych liści szelestem;  
Niech mi się zda samemu, że ja dzieckiem jestem,  
Że na kiju ojcowskim haruję oboczo;  
Niech mię lube dzieciństwa postaci otoczą,  
Niech mię upominają, żem chłopak swawolny.  
Chcę oddać dźwiękiem słowa pierwszy dzwonek szkolny;  
Niechby moich dzisiejszych czytelników łono  
Zadrgało razem ze mną radością szaloną,  
Gdym pierwszy raz nauki skończył w imię Boże,  
Gdy pierwszy list pochwalny rodzicom przywożę;  
Chcę, aby w pamiętniku ów moment ocalał,  
Gdy ojciec list przeczytał i łzami się zalał.  
Chcę utrwalić piskliwe organy u fary,  
Gdym jeszcze służył do mszy, a nasz pleban stary  
Wyciągał „Święty Boże!“ całą siłą piersi;  
A ludzie w nabożeństwie gorliwsi i szersersi,  
Uniesieni modlitwy władzą tajemniczą,  
W sto głosów niedobranych na odpowiedź krzyczą.  
Lecz Bóg nakłaniał ucha do prostego wrzasku...  
Tak to chciałbym obrazek przesłanie po obrazku,  
Choćby tu nie błyszczały kolorytu dziwy,  
Lecz każdy byłby rzewny, bo każdy prawdziwy.

CZCIONKA (na stronie). Hm! obrazek domowy, nakreślony z duszy.  
Będzie bujnego druku na kilka arkuszy.  
Czuję węchem wydawcy, że to niezła proba,  
Że prześwietna publiczność dziełko upodoba.  
Cóż dalej? Słucham pana.

HENRYK. Dalej, panie Czcionka,  
Kolejno moje oko w przeszłości się błąka  
I czuję niepojęte artysty rozkosze,  
Kiedy wszystkie jej rysy na kartę przenoszę.  
Drży ręka, gdy się biorę za podobną pracę.  
Oko łzami zapływa, a serce kołata.  
A jednak wśród tych wzruszeń odżywam najstodziej,  
A jednak obraz wierny z pod pióra wychodzi;  
Bo obraz w mej pamięci wyżył się pomatu,  
Przystroił się w tęcze barwy ideału.  
Dziś dobitniej się może niż wtenczas odślania  
Kronika mojej wiary, mego wychowania,  
Koleje pierwszych wrażeń: jak? kiedy? dlaczego?  
Rozwój najdroższych uczuć, co mi serca strzegą.



Co mi nie dają zginąć w zwątpienia obłędzie —  
Například: pierwsza miłość...

CZCIONKA. Ho! i miłość będzie!

A przyznam się — począłem był tracić otuchę,  
Bo psychiczne badania zwykły bywać suche;  
Filozof je oceni, lecz ogół nie kupi.

HENRYK. Nie bój się!... mój pamiętnik, to nie ementarz trupi:  
Tam na tle młodych rojeń, we właściwej szacie,  
Ruszają się i żyją prawdziwe postacie,  
Tam postać mojej matki, tam siostry, tam krewni,  
Tam jest niejedna scena, co serce rozrzewni;  
Mój dyrektor, i pleban, i włościanie z wioski,  
I arendarz brodaty, faworyt ojcowski,  
I szlachta, co poluje, i dziewczki, co przędą,  
Jest nawet organista, co jeździ z kołędą.  
Każdą postać maluję tak wiernie, tak świecie,  
Że ją poznasz z oblicza, poznasz po akcencie,  
Każdą łatwo odgadniesz po mowie i głowie,  
Czego się nie domyślisz, serce ci dopowie.  
Jedna tylko jest postać niedokładna nieco,  
Bo serce nadto drżało...

CZCIONKA (ze śmiechem). Tę postać... kobiecą  
(Widzisz pan, że m się rzeczy domyślił w tej chwili)  
Jużbyśmy w edytorskim przypisku skreślili.

HENRYK (z zapalem). Ty skreślisz, panie Czcionka? ty!...  
[harpagon błady?!

CZCIONKA. Ja, com czytał romanse, powieści, ballady;  
Wszak w poetach miłości jednostajna miarka.

HENRYK (z zapalem). Choćbyś serce znał Tassa, choćbyś znał  
[Petrarka,

Choćbyś oczy wysłepił w łacińskim Nazonie,  
Nie zdołasz oddać nieba, co w jej oczach płonie!  
Słuchaj — ja byłem stary... byłem bardzo stary...  
Wśród bolesnych doświadczeń, wśród cierpień bez miary,  
Za życia kamień grobu już czułem nad głową,  
Ona tylko spojrzała... jam odżył na nowo!  
I odrzuciłem wszystkie moich cierpień roje,  
I powagę lat moich, i marzenia moje;  
A wtórując szczebiotom niewinnego dziecka,  
Anim poczuł, jak mija godzina zdradziecka,

Jak mija cały dzionek... przyszedł zachód dzionka...  
Jam przecie człek statysta — znasz mię, panie Czcionka,  
I zadziwisz się pewno: skąd mi zapal służy?  
Jam biegł na wyścigi wpośród malw i róży,  
Bo to było w ogrodzie — był wieczór majowy...  
Wtem — Bóg wie skąd — tęsknota owiała nam głowy,  
I usiedliśmy razem pod wierzbą pochyłą,  
I bolesne westchnienie dwa serca przeszło,  
I nie mogliśmy zgadnąć, choć nam głowę utnij,  
Dlaczegośmy weseli? dlaczegośmy smutni?  
Dziwne serce człowieka...

CZCIONKA. To dalipan dziwno!  
Ja sam, słysząc od pana tę powieść naiwną,  
Czułem, jak dreszcz tajemny przebiegł po mej duszy...  
Co pan chcesz za pamiętnik, licząc od arkuszy?  
Proszę mieć na uwadze, że to wydać myślę  
*In octavo minori*, nie drukując ściśle.

HENRYK. Co pan chcesz? nie rozumiem.

CZCIONKA. Chcę nabyć tę pracę.

HENRYK. Ależ to nie na sprzedaż!

CZCIONKA. Ja dobrze zapłacę:  
Pięć talarów za arkusz... zresztą, mniejsza o to,  
Sześć talarów zapłacę i wydam z ochotą;  
Edycyjka przepyszna, okładka różowa.

HENRYK. Żle, widać, panie Czcionka, pojąłeś me słowa:  
Toż moja osobistość, moja dusza przecie!  
Chcesz, abym własne serce stawił na tandecie;  
Ja tego nie sprzedaję!

CZCIONKA. Widzisz pan, żem skory:  
Za jeden arkusz druku *octavo minori*  
Placę siedem talarów — widzisz pan, że dużo.  
Dzisiaj trudno o pieniądź, dziś czasy nie służą;  
Drukujemy, sprzedajem, a straty ponosim.

HENRYK. Lecz panie...

CZCIONKA. No... pół-ósma — niech już będzie osiem;  
Dawaj prędzej rękopism!

HENRYK (powstając z urazą). Co pana ośmiela  
Grać tutaj jakąś rolę ducha-kusiciela?  
To pismo ciekawości nieczyjej nie wzbudzi:  
Kreśliłem je dla siebie, nie dla obcych ludzi.  
Pan myślisz, że dam spocząć dla marnego zysku  
Świątokradzkiej żrenicy na cichem ognisku?  
Że dla waszej zabawki choć w karykaturze  
Najdroższe memu sercu postaci powtórzę?  
Że dla was własne piersi i serce otworzę,  
Byście anatomiczne zatapiali noże?  
Abyście łzę bolesną, kiedy oczy gryzie,  
Mogli poddać chemicznej ścisłej analizie?  
Ja nie wyjdę na pokaz przed publiczne grono,  
Niegodzienem zaszczytu, by się mną trudniono,  
W serdeczny mój pamiętnik całą duszę włożę;  
Lecz to rzecz nie dla druku, panie edytorze!  
Ja siebie nie sprzedaję.

CZCIONKA. I to mię nie dziwi:  
Ilu znałem poetów, wszyscy są drażliwi.  
Czyż ja panu krzywdzące przełożenia robię,  
Byś wychodził na pokaz we własnej osobie?  
Owszem... jeszcze rzecz dana na wartości zyska,  
Gdy się odmieniają miejsca i osób nazwiska;  
A że tu pozwolona zupełna swoboda,  
Toć pan dla niepoznaki coś ujmie, coś doda.  
W przedmowie się zazwyczaj wiadomość udziela,  
Że to niby pośmiertna praca przyjaciela,  
Odszukana w papierach — zresztą moja bieda!  
Jakoś się wydrukuję, jakoś się wyprzedza.  
Trzeba tylko obmyślić jakiś tytuł gładki,  
Naprzykład: Podróż życia, lub Moje notatki;  
Jak pan chcesz, bo co do mnie, byłbym za Podróżą.  
Widzę dobry punkt wyjścia, widzę ognia dużo;  
Gdy autor o swej pracy rozprawia z zapałem,  
Musi być rzecz niezgorsza — i czarno na białem.  
Prawdaż?!

HENRYK. Gorsza, czy lepsza, ale nie na sprzedaż.  
Nie dam panu tej książki.

CZCIONKA. Jakto!! pan mi nie dasz?

HENRYK. Bo to rzecz osobista, to rzecz dla mnie święta.

CZCIONKA. Pan się, widzę, zbytęcną sumiennością pęta.

Potrzeba tylko dodać wstęp i zakończenie,  
Zmienić nazwiska osób.

HENRYK. Ja nic nie odmienię  
I drukować nie myślę.

CZCIONKA. Nie??

HENRYK. Za nic na świecie!

CZCIONKA. Dałbym panu zadatek w brzęczącej monecie.

HENRYK (z uśmiechem). Schowaj twój pieniądz w worek,  
[ja książkę w zacisze.

CZCIONKA (na stronie). Nie przyjmuje pieniędzy... to pierwszy  
[raz słyszę!

Czcionka wreszcie odchodzi, wziąwszy przyrzeczenie, że rękopis nie przejdzie do rąk współzawodnika wydawcy. Ale niebawem zmienia się postać rzeczy. Marja rozpalila wyobraźnię poety perspektywą błęgiego pożycia w „chatce w lesie“. Henryk zbiera swe zasoby. Rękopis przechodzi do rąk ociągającego się tymczasem Czcionki za pół ofiarowanej poprzednio ceny. Sędzia Płodozmian sprzedaje poecie liche folwarczek, każąc mu zapłacić w czwórnasób. Gdy wreszcie po roku „chatka w lesie“ gotowa na przyjęcie ukochanej, Marja nie może się zdecydować na życie pustelnicze. Nadebitkę Czcionka proponuje uzupełnić drukujący się pamiętnik opowieścią o doznanym zawodzie. W napisanej w roku następnym (1856) 11-giej części „Chatki“, S., jakby przerażony pesymizmem swego utworu, rozwiązuje wszystkie dysonanse (Marja powraca do kochanka, Sędzia w pole wywieziony); w ten sposób założenie utworu *par excellence* romantycznego zostało skrzywione.

## ŻELIGOWSKI EDWARD

(Antoni Sowa).

(1816—1864.)

Edward Witold Żeligowski upamiętnił się w literaturze jedy-  
nem swem dziełem, poematem fantastycznym „Jordan”. Utwór ten,  
dziś nie czytany i trudny do czytania, stanowi jednak ciekawą  
kartkę w dziejach umysłowości naszej, sprawił bowiem w chwili  
ukazania się wstrząsające wrażenie na współczesnych; był głosem  
ich sumienia, na czołach wypalał piętno pogardy, w sercach mło-  
dych niecił uniesienie, krzepiąc je otuchą w walce z biernością  
i ospałością umysłową, z materjalizmem życiowym i kastowymi  
grzechami przewodniej warstwy narodu; wlewał nadzieję w sprag-  
nione pociechy dusze, że nadejdą czasy wielkiej przemiany  
w duchu ludzkości i w jej losach. Należąc do pisarzy, którzy  
w czwartym i piątym dziesiątku lat XIX w. budzili ruch umy-  
słowy na Litwie, Żel. swe demokratyczne dążności próbował oprzeć  
na właściwych epoce idealistycznych podstawach, na przeświad-  
czeniu, że ideały jego są „życia koniecznością”, a konieczność ta  
sama przez się prowadziła do „słodkiej uludy”, do oczekiwania  
cudu i „bajeczności” jutra. Dla wtajemniczonych w dzieło poety  
brzmiały wyraźnie, choć stłumione umyślnie, echa poezji wieszezej:  
ideały jej utwór zbliżał niejako do rzeczywistych warunków życia.  
Ze względu na teren oddziaływania poezji Ż-go, we wspomnianych  
rysach zawierała się wyjątkowość i oryginalność jego czynu poe-  
tyckiego, mimo że talent autora był bardzo skromny. „Sowa” siebie  
nazwał, prorokując sobie los nocnych ptaków, kryjących się z chwilą  
nadejścia dnia.

Ja Sowa jestem, ja latam w ciemności,  
Lecz gdy dzień wejdzie, ja schowam się w cieniu.  
Zostawię życie ptakom jasności...

Jakkolwiek obraz nocy symbolizował tu warunki polityczne  
i stan umysłowy i moralny społeczeństwa na Litwie, zastosować

go można jednak również do braku wybitniejszych talentów i do braku szerszych widnokręgów w poezji. Współcześnie i obok Ż-go rozlega się głos Syrokomli, pieśniarza o pokrewnej tendencji a talentem górującego, lecz skromna poezja lirnika wioskowego nie posiadała tego polotu i uboższą treść ideową zawierała. Jednocześnie w dalekiej od stolicy Litwy, kordonem odciętej Warszawie, wystąpiła inna poetka młodzieży, ale najbliższemu tylko gronu znana, Nareczya Żmichowska. Oto indywidualne okoliczności wystąpienia Żel-go. W tych warunkach chwilowy rozgłos Jordana może stać się zrozumiałym. Niewielki talent i okoliczności zewnętrzne sprawiły, że działalność pisarska Żel-go rozwinąć się szerzej nie mogła. Gdy więc zamiast oczekiwanego przez Sowę dnia nadeszły nowe, bolesne i głębokie wstrząśnienia, imię poety usunęło się w cień; nie zostały też dostatecznie rozświetlone okoliczności jego życia. Urodził się d. 20 lipca 1816 r. w dziedzicznym Marjampolu w pow. wilejskim. Odbывał studia uniwersyteckie w Dorpacie (od r. 1835). Tu przejął się poezją romantyczną, która odpowiadała wrodzonemu jego usposobieniu, był bowiem, jak mówi o sobie

„rzewne, chorobliwe dziecię,  
I pierś mą smutek zaległ nieznany,  
Miałem już w sercu — jeszcze bez blizn rany.  
(Poezje, str. 180.)

Istotnie pierwszy drukowany wiersz Ż-go, przysłany z Dorpatu Nadwiślaninowi w r. 1841 posiada łzawo-melancholijny i romantyczny zarazem koloryt. W Dorpacie poznaje się przyszły poeta z współczesnym ruchem umysłowym, zwłaszcza z filozofją niemiecką; tu rozwinęły się przekonania demokratyczne, które podzielał z gronem rówieśników, uchylając się od zwykłego wśród ówczesnej młodzieży akademickiej burszowskiego sposobu spędzania czasu. Wspomnienie wiosny życia będzie mu w przyszłości umilać posępne dni wygnania. Przez osobę Ż-go i jego poezję przedarło się na Litwę, kraj od świata odgradzony i w lasach za-grzebały, technienie idei z Zachodu.

Sprawa Konarskiego (1838) doprowadziła do wykrycia wśród młodzieży polskiej w Dorpacie tajnych związków, których celem było pielegnowanie narodowości i sposobienie się do przyszłych usług ojczyźnie, sprowadzanie do kraju książek, ogłaszanych na emigracji. Ż., przetrzymany czas jakiś w więzieniu uniwersyteckiem, oddany został pod dozór w Dorpacie, z którego pozwolono mu wyjechać dopiero w r. 1842.

Po powrocie do rodzinnego miejsca, poeta zaczął gospodarować na roli. Przeciwnieństwo między otoczeniem a młodzieńcziemi wyobrażeniami, marzeniami i zamiarami zbyt było rażące, duchów pokrewnych sobie poeta niewiele snadź spotykał, stąd gorycz li-

rycznych ustępów Jordana i jaskrawość w malowidłach życia. Od ogłoszenia poematu (1846) staje się Ż. przedstawicielem demokratycznych, bardzo zresztą nielicznych na Litwie, elementów. Osiadłszy w Wilnie, osobistym wpływem, gorącym słowem oddziaływał na młodzież, budząc w niej poczucie obowiązków społecznych i poważnych zadań życia, jednocześnie powstrzymując (jak podaje biograf poety i przyjaciel jego, Bronisław Zaleski) od lekkomyślnego spiskowania. Lecz i sam Ż. padł ofiarą wzmożonej po r. 1848 reakcji.

W połowie r. 1851 za dzieło swe, dwukrotnie ocenzone i od r. 1848 będące w obiegu, a może także za mglistą wizję Dziewicy z grobu powstającej i na świat cały wyciągającej ręce w również ocenzonej Pamiątniku Naukowo-Literackim R. Podbereskiego, (1849 r.), Ż. został wywieziony do Petrozawodzka. Jednocześnie wywieziono i Rom. Podbereskiego, Zofję Klimauską, współpracowniczkę demokratycznej Gwiazdy i innych. Ż. przypisuje swe wygnanie (w przedmowie do *Dziś i wczoraj*) hałasowi wokół Jordana. „Jedni mię wynosili pod niebiosa, a drudzy — między tymi ostatnimi ortodoksi i heretycy literacy, znaleźli mi tak wiele do wyrzucenia, iż zostałem z literackiej areny i parnasu rzucony tam, gdzie pieprz rośnie“. Szlakiem kibitki Jordana popędziło kilku jego wielbicieli, by mu rękę na drogę uścisnąć, może podróż ułatwić. Dwuletni pobyt na północy podkopał zdrowie poety, skazanego na samotność i pozbawionego środków do życia. Wygnańcy nad Uralem (Bron. Zaleski i inni) uzyskali za pośrednictwem gen. gub. Perowskiego możliwość sprowadzenia go do Orenburga (r. 1853), w którym stosunki dla skazańców były znośniejsze. Stąd jednak nakazany został Ż-mu, obłożnie wówczas choremu, wyjazd do Wiatki, powstrzymany przez Perowskiego na własną odpowiedzialność; na wstawienie się wielkorządcy zamieniono (w styczniu 1854 r.) Wiatkę na Ufę. Tu w r. 1856 przyjęty został do służby cywilnej. Spotykał się w tych latach ze współczuciem przedstawicieli inteligencji rosyjskiej; wdzięczność swą dla przyjaznych osób żywo wyraża w piosnkach. Lecz oprócz tęsknoty do kraju rodzinnego, oprócz bóleści, którą powoduje w tym czasie strata rodziców, próżno wyglądających dalekiego samotnego syna, nęka go także myśl zmarnowanego, bezczynnego życia. Potęguje się w nim nastrój religijny, widoczny i poprzednio, jak np. w wierszach, umieszczonych w r. 1843 w „Noworoczniku Literackim“ A. S. Krasinśkiego. Z tych „Wiara“ rozwija zupełnie mickiewiczowskie motywy przeciwieństwa między wiarą a rozumem. Obecnie na obczyźnie w modłach poety, obok nuty skargi, brzmi też inna, mimo rezygnacji nieugięta, świadcząca o moralnym harcie wygnańca. Prosi jedynie o to, by mógł „sztablar moralnej swobody utkwic i umrzeć na wiernych cmenta-

rzu". Wiernych czemu? Narodowi swemu, społeczności. Zastanawiając się nad pytaniem, jaka droga wiedzie do chwały, woła:

„Bo i najwięksi w jedności zbiorowej  
Znajdują tylko echo swego bytu“.

Nowe panowanie stało się przyczyną zmiany w losie poety. W r. 1857 po 6-letniej tułaczce widzimy go w Petersburgu, gdzie wydaje zbiór swych poezyj i dwutomową powieść p. t. „Dziś i wczoraj“, rysy biograficzno-obyczajowe i bajki przez Onegdajskiego (1858 r.). Pobyt na obczyźnie nie przeminął bez śladu w pojęciowym systemie poety, Zaszedł w nim ten sam proces, co w duszy wielu wygnańców, powracających do kraju w latach 1857—8. Odwraca się stanowczo od czynów, posiadających charakter spiskowy, inaczej ocenia stosunek kraju do państwa, nie wierzy w skuteczność dawnych dróg, — pokłada nadzieje w organicznym rozwoju kraju.

Wobec zachodzących i spodziewanych zmian w początkach panowania Aleksandra II, Ż., pragnąc oddziałać na opinię, zwłaszcza w sprawie włościańskiej, zakłada w Petersburgu pismo p. t. *Słowo*, którego odpowiedzialnym redaktorem był Józefat Ohryzko. Po 14-tym numerze jednak *Słowo* zostało zawieszono (1859). Pragnąc wznowić wydawnictwo, Ż. wyjeżdża wiosną 1860 r. zagranicę, lecz zabiegi jego nie uwieńczyły się skutkiem. Przebywał w Paryżu i w Montmorency, wreszcie osiadł w Genewie, coraz ciężiej zapadający na zdrowiu, rozgoryczony zmarnowanymi wysiłkami życia, lecz chwytający każdą sposobność do czynu. W r. 1863 bierze żywy udział w publicystyce. Po upadku ruchu staje się podporą emigracji, zapominając o własnych potrzebach, zakłada we wrześniu 1864 „Stow. Bratniej Pomocy“, krząta się około urzeczywistnienia projektu wielkiej loterii. Umarł 29 grudnia 1864, pochowany na cmentarzu genewskim.

Trzy wydane przez Ż-go książki znaczą trzy etapy jego działalności pisarskiej. Są to: *Jordan* (1846), *Poezje Antoniego Sowy* (1858), owoc lat wygnania, i wreszcie „Dziś i wczoraj“, ostateczna krystalizacja poglądów autora na wady i winy społeczeństwa i na drogi, wiodące do przyszłości narodowej. Wszystkie te dzieła nie zalecają się wyższemi wartościami estetycznemi, lecz najstarszym w tym względzie tworem jest ostatni. Jest to dowód zbyt rychłego wyczerpania się niezasobnej wyobraźni, mimo że umysł w pracy nie ustawał. Naczelnem dziełem poety pozostał *Jordan*.

O wielkim rozgłosie poematu świadczy fakt dwu wydań w ciągu kilku miesięcy. Nie literackim jednak zaletom i poetycznej piękności zawdzięczał swą popularność, mimo że miara porównawcza w utworach współczesnych poetów nie była zbyt wy-



soka (wielka poezja emigracyjna w rachubę tu nie wchodzi). Nawet strona realistyczno-satyryczna utworu w paru przejawskrawionych scenach nie mogła sama przez się odegrać decydującej roli w przyjęciu dzieła, jakkolwiek krytyka zwykle w niej upatruje tendencję, podkreślając bezwzględność analizy społecznej Sowy. Na czym bowiem polega jego krytyka? Szlachta nie uczuwa żadnych zainteresowań umysłowych, najmarniej spędza czas, drwi z głębszych, szczerych uczuć, wyszydza poetyczne uniesienia; matki, z uwagi na towarzyskie położenie i stan majątkowy konkurenta, zmuszają córki do niemoralnych związków wbrew wymaganom ich serca: pan uważa chłopca za bydlę, wyzykuje go, rozpaja, gnębi. Obrazy podobne, zgruba, niezręcznie zarysowane, nowości bynajmniej nie stanowiły. Tyszyński w rozbiorze utworu mówi wprost: „W scenach towarzyskich Jordana, których treścią ma być ironja, nie znajdujemy zwykle innych przedmiotów tej ironji nad znane powszechnie“. Nie mówiąc o działalności „Przeglądu Naukowego“, Kraszewski w swej „Latarni czarnoksiężskiej“ (1843, 1844) przesunął przed czytelnikami w satyrycznym świetle całą galerję typów społecznych. Obrazy niedoli chłopskiej w „Ulanie“ (1843) i „Historji Sawki“ (w „Latarni“) są wyższe pod względem artystycznym od kartek Jordana, są zresztą rozleglejsze i ukazujące lud bezpośrednio, nie przez pryzmat rozmowy w salonie. „Rywale“ i „Stary kawaler“ Syrokomli (Athen. 1846), jakkolwiek pewnie pod wpływem Jordana napisane, posiadają przecież wyrazistość, której brak utworom Ż-go.

Tajemnica powodzenia utworu ukrywa się w tem, że Jordan był nie tylko obrazem, ale zarazem hasłem i programem; a jeżeli obrazem, to dlatego, by służyć za podstawę programu; był słowem, na które oczekiwała niecierpliwa a demokratycznie nastrojona młodzież, dał wyraz temu, co nieświadomione tkwiło w rzeczywistości, zamknął w pewną formułę rozterkę, istniejącą między bardziej uspołecznionemi elementami a ogółem, biernym, egoistycznym, przystosowującym się za cenę panowania nad chłosem do istniejącego stanu politycznego. To przeciwstawienie idealnych dążeń rzeczywistości marnej i ciasnej stanowi istotę Jordana. W dziele tem oprócz szlachetnych uczuć znajdowano wysokie stanowisko ideowe. Bieg dziejów całej ludzkości załamywał się w pewnym punkcie, by się wznieść na wyższy poziom. Jakiś obrazek Kraszewskiego, doskonalszy pod względem formy, mógł poruszyć strunę ludzkiego współczucia. Dla Ż-go to samo zjawisko stawało się już szczegółem, podporządkowanym pewnej całości i pewnemu prawu. Reforma stosunków społecznych i obyczajowych, do której pobudza poemat, stawała się z jednej strony cząstką ogólnego przeobrażenia, z drugiej jego niezbędnym warunkiem. Trzeba, mówi autor w przedmowie, „spojrzeć w głąb siebie i zabić swoją nizekzemność, oczyścić się. To nasza na dzisiaj naj-

gwałtowniejsza robota, nim wzlecieć zdołamy“. Stosuje się ta prawda do społeczeństwa w całości, lecz i do jednostek także. Podstawa systematu Żel-go jest etyczna. Wewnętrzne udoskonalenie się jednostki i przejście się jej ważnością obowiązków, to jest punkt wyjścia. Potrzebna jest świadomość celu dążenia, dróg i przeszkód.

„Tyle razy tylko udało się (ciałom społecznym) postawić krok naprzód, ile razy organizm społeczny umiał rozeznaczyć się w sobie, zgłębić swoje pierwiastki i elementa, i w tem zrozumieniu swoją umiejętność i ducha swojego do pewnych zrozumianych nakierować celów i dążeń“. Literatura narodowa jest refleksem życia; i Jordan miał być odbiciem podobnem, stawionem przed społeczeństwem w tym celu, by poznało, z jakich win ma się oczyścić, nim będzie mogło w jutro wstąpić.

Z natury obrazów i treści wylewów lirycznych Jordana wynika, że centralną ideą systemu Ż-go, poza stroną etyczną, sięgającą zresztą w głąb stosunków obyczajowych, była myśl o braterstwie z ludem, ukazana jako nakaz woli Bożej i warunek przyszłości narodowej. W tym momencie czasu stanęła ludzkość i naród. W ten sposób wielkie idee romantyczne o przeobrażaniu się świata, o konieczności dziejowej, w duchu boskim poczętej, przeszczepione zostały na grunt rzeczywistości i nabierały realniejszych życiowych barw, pod względem społecznym przynajmniej. Bo co się tyczy perspektywy narodowej, to musiała się ukrywać w obrazach tak mglistych, że tylko uczucie mogło symbolom nadać właściwe znaczenie. Tak np. huragan chęci Jordana „pieśń wieków umarłych mu śpiewa“. Ale to przecie było zasadnicze przeświadczenie epoki, że dzieje ludzkości w duchu są jednolite. Może wyraźniej nieco brzmi ten ustęp, w którym duch, powstający z ementarzy, nuci pieśń „wielkości i żaloby“.

Takie były zalety Jordana, które uderzyły współczesnych. Entuzjastyczny nastrój uczuciowy i nieokreślone rojenia o podniosłych zadaniach życiowych wprawiały w żywszy ruch młodzieńcze serca. Dla nas występują na jaw wady, dostrzegane zresztą i przez współczesnych. Autor nadał utworowi swemu tytuł i barwę fantazji dramatycznej, idąc torem, wskazanym przez Dziady, Kordjana, Wacława, jeżeli pominiemy wzory obecne. Nie dziwią nas tedy częste wylewy liryczne i luźność scen, z których żadna niemal nie staje się punktem wyjścia dla następnej, nie dziwi brak ruchu dramatycznego. Lecz co ważniejsza, w dziele nie znajdujemy ruchu postępowego tej idei, która jest jego osnową. Marzenie o czynie jest wstępnym akordem, lecz także i szczytnym momentem. Ta sama uwaga stosuje się do charakteru głównej postaci. Dramat jest pomysłany na wzór Kordjana. Bohater Sowy przechodzi przez różne doświadczenia życiowe, znajduje się w różnych sytuacjach, stosunkach i t. p. To ma być nieśmą, wiążącą łańcuchem

ogniwa. Mniejsza o to, że związek między bohaterem a przesuwającymi się wobec nas scenami bywa przypadkowy, niedość dobitnie zarysowany, albo zupełnie znika. Lecz postać Jordana, mimo wszelkie wahania, pozostaje w gruncie nieruchomą; jego doświadczenia, jego starcia z zewnętrznym światem nie wzbogacają jego wewnętrznej treści i nie modyfikują jej. Ani z szatańsko dumnego Konrada nie rodzi się pokorny sługa, ani z miotanego jaskółczym niepokojem Kordjana nie powstaje człowiek, próbujący czynu. Jordan po wszystkich przejściach jest takim, jakim był w chwili ukazania się oczom naszym, gdyż jego zadaniem wyłącznym jest wypowiedzenie tez autora. Z tego źródła pochodzą pewne niekonsekwencje, skutek których mgliste zarysy budowy jeszcze bardziej się zacieraają. Jordan up. przeżywa zachód miłosny, doznaje moralnego wstrząśnienia. Otaczają go duchy (jak Konrada). złe i dobre, wależąc o niego. Przy tej sposobności ukazują się mu różne widma, jak w II-jej części „Dziadów“. Wreszcie na widok postaci kochanki (echo „Nieboskiej“) Jordan woła, że przeżył i przezwyciężył cierpienia romantycznych Gustawów i Werterów. W postaci bohatera nie zachodzi zmiana wewnętrzna, gdyż już przed zdradą kochanki, czując, iż życie spokojne i domowe enoty nie dla niego są przeznaczone, wydaje westchnienie: „Ty mnie szukać nie będziesz, ja ciebie nie mogę“. Scena była tedy potrzebna autorowi tylko dla zaznaczenia jego przekonania, iż współczesna epoka musi wznieść się ponad romantyczność — oczywiście rozumianą jako napięcie uczuć egotycznych. Podobnie zbędną i niejasną wydać się może scena, w której Jordan odpycha wyniośle tych, którzy szukają drogi do czynu, a czyn jest przecie hasłem Jordana. Chodziło tu o zaznaczenie wiary, iż w duchu przedewszystkiem ma się dokonać zmiana, i o potępienie chwilowych zapałów. Idea czynu jednak owija się całkowicie w mgłę. Jeżeli dodamy do tego, że materiał frazeologiczny, obrazy, motywy, rytm i tok wiersza przypominają czytelnikowi co chwila Dziady, Kordjana, Przedświt, Psalmi, że zatem dla wypowiedzenia własnej treści nie umie odszukać oryginalnej formy; jeżeli zważymy, że styl jest często niezręczny, przekonamy się, że utwór Żel-go posiada niejedną cechę ujemną. Jeżeli przez współczesnych cechy te były pomijane, świadczy to o tem, jak wielce spragnione było pokolenie Żel-go wlotów poetyckich; w ciężkiej atmosferze natchnienia śpiewaków, dość licznych zresztą, niewysoko się wzbijały. Jordan mógł się wydać olśniewającą gwiazdą.

Dalszym ciągiem Jordana miał być dramat Zorski, w którym idea czynu miała zejść ze swych obłocznych wyżyn. Dramat ten znany jest dotychczas tylko ze streszczenia i wyjątków, podanych przez L. Sowińskiego w Aten. 1884. Materjalną treścią utworu są tu stosunki między dworem a pańszczyźnianym chłopem. Jest tu większy ruch akcji, niż w Jordanie, cała galerja

osób, jaskrawe położenia i sceny, mimo to Zorski sprawia zupełnie takie wrażenie, jak Jordan. „Zdaje się, że widzimy przed sobą książkę, nie człowieka“, mówi Sowiński. Słowo zagadki dziejowej przedstawia się nieco konkretniej. Jakkolwiek zgodnie z doktryną mesjanizmu, „Pan Bóg w narodach przebywa“, narody zaś „żyją w stworzycielu“ i idą „mozolnie każdy głoskę złożyć na słowo wieku, aby w nim ożyć“, przecie to słowo całkowicie spoczywa „w głębi twego (t. j. Zorskiego) ludu Iona“. Religja (rozumie się Chrystusowa) i narodowość są nierozdzielne. Uczucie zaś narodowości to głębokie przejście się bratnią miłością. Lud ukrywa w sobie święte moralności ziarno, które winien z siebie rozwinąć i uświadomić sobie, „Gdy lud ducha światło w czoła, w pierś swą przyjmie, wcieli w życie, na pojęcia stanie szczyt“. Trzeba zejść do ludu, złąć się z nim, wypiastować w sobie jego myśli. Rozpocznie żywot nowy, „po królewsku kto się schłopi i po chłopsku skrólewszczeje“. Ideał Krasińskiego — zbliżenie się warstw społecznych, — lecz demokratycznie odwrócony, a wzięty jako istota, jako cel, nie jako środek.

W r. 1851, t. j. na kilka miesięcy przed wygnaniem, napisał Ż. poemat „On, ona, oni“, umieszczony w wyjątkach w zbiorze poezyj. — Idea etyczna, rozwinięta w paru scenach Jordana, dotknięta została z innej strony. Najszlachetniejszy młodzieniec o temperamentie ognistym i zapalnym zostaje skutkiem despotyzmu rodzicielskiego wciśnięty w sutannę księdza. Staje się niegodnym swego stanu i przyczyną hańby tych, co się z ufnością do niego zbliżają. Wygotował nadto Ż. prozą Wspomnienia z życia i grobu w 2 tomach, Szkielety w jednym. Rękopisy zostały zabrane przy rewizji. W późniejszym czasie najbardziej żałował Ż. tomu drobnych poezyj, owocu młodzieńczego serca i wyobraźni.

Ostatnie dzieło Żel-go, „Dziś i wczoraj“, jest nadzwyczaj bezładną mieszaniną wątków powieściowych, poetycznych a mglistych, i sentymentalnych monologów i rozwlekłych i nużących rozpraw; język zaniedbany, skażony rusycyzmami. Praca ta jest jednak ciekawą ze względu, iż znamionuje stanowczy zwrot na drogę, która otrzymała niebawem miano programu pracy organicznej.

Potępia autor pierwiastek „izraelski“ w naszej umysłowości, t. j. myśl o wybranem stanowisku narodu. Skwapliwie zauważa, że praktyczne formy działalności mają się odbywać za zezwoleniem i, jak autor przypuszcza, przy życzliwym poparciu władz. Propaguje myśl zbliżenia się do inteligencji rosyjskiej. Wiernym pozostał swym sympatjom ludowym, nie marzy już jednak o królewskim schłopienu; jego bohater, nowy Pan Podstoli, sprawia cuda, nie przywdziewając chłopskiej sukmany.

Możnaby tu uczynić ogólniejszą uwagę, iż w działalności pisarzy, stanowiących drugie pokolenie romantyków i występujących po r. 1840, zaznacza się wybitniej pierwiastek demokratyczny.

Wkońcu zbliżają się oni pojęciowo do przedstawicieli nowego, pozytywnego okresu.

Na schyłku życia pracuje Ż. nad dramatem „Mikołaj“, nie wykończył go jednak.

## BIBLIOGRAFJA.

### I. Pisma Ż.:

- 1) Z melodyj litewskich i Tesknota. Nadwiślanin, 1841, II, s. 65.
- 2) Chrześcijanka, wiara, Noworocznik Literacki, Wilno 1843.
- 3) Jordan, Wilno 1846, wyd. 2, 1847, w Bibl. Mrówki, Lwów 1870.
- 4) Z przedmowy do 2-jej części Jordana Gwiazda 4, Kijów 1849.
- 5) Było to dawno, Do J. D. Pamiętn. Nauk. Liter. 1849, t. I., Z III, s. 145—8.
- 6) List do wydawcy, Pam. Nauk. Liter. 1850, t. II, Z. 4, s. 112—16.
- 7) Poezje, Petersb. 1858.
- 8) Dziś i wczoraj. Rysy biograf.-obyczajowe i bajki p. Onegdajszego, 2 tomy, Petersb. 1858.
- 9) Z niewyd. utworów „Nie samochwalecy...“ Kur. Warsz. 1883, N. 219.
- 10) W albumie, Kur. W. 1906, N. 221.

### Wiadomości o Ż. i oceny dzieł:

- 1) G. Bomba (L. Sztjmer): W List. z Polesia (o Noworocz. Liter.), Tyg. Petersb. 1843, s. 365.
- 2) A. Tyszyński (O Jordanie) B. Warsz. 1846, s. 152—9 i Pisma krytycz. Krak. 1904, I, s. 142—9.
- 3) O przedmowie do 2-jej części Jordana. Pam. Nauk. Liter. 1850, t. II, z 5 s. 97—8.
- 4) Z. Ż. (Krajewski) Dziś i wczoraj. B. Wr. 1858, II, 408—15.
- 5) T. Padalica (Z. Fis.) Dziś i wczoraj. B. Wr. 1858, III, 455—66.
- 6) Bolesław Wiktor (St. Budzyński): Poezje Sowy, B. Wr. 1859, III, 179—80.
- 7) B(ron.) Z(aleski) E. Ż. Roczn. Tow. Hist.-Lit. w Paryżu. Rok 1866 s. 368—72.
- 8) J. I. Kraszewski W. Syrokomla (listy o Ż.) Warsz. 1863 i Wybór pism t. X, s. 814, 818. Warsz. 1894.
- 9) Ag. Giller Hist. powstania Paryż 1870, t. III, s. 49.
- 10) P. Wilkońska Wspomnienie 1871 r. i Warsz. 1907 III, s. 145—9.
- 11) A. Sulima Szewczenko na wygn. i Bron. Zaleski Przegl. Powsz. 1884, IV, s. 11—34 i 16 listów Szewczenki do Bron. Zalesk. w „Kijewsk. Starina“ 1883 r.
- 12) L. Sowiński O niewydan. dramacie A. S. Aten. 1884 IV. 466—8.
- 13) Album academ. d. K. Univers. d. Dorpats. Dorpat 1889 r.
- 14) B. Limanowski Hist. demokr. polskiej. Zurych 1890.
- 15) Marjan Zdziechowski E. Ż. Przegl. Liter. 1897 N. 2—3 i Byron i jego wiek, t. 2, s. 595—610.
- 16) Litwin (Jakób Gieysztor) Litwa przed r. 1863, Lw. 1888.
- 17) Tenże Pamiętniki, Wilno, 1914.
- 18) A. (Kraushar): Bajkow. Lw. 1893.
- 19) Limanowski Hist. dem. polskiej, Zurych, 1901.

a) **Z wielkich mych bólów...**

(Poezje, Petersb. 1858, str. 1.)

Z wielkich mych bólów małe piosenki  
Tworzę ja sobie — słyszę ich dźwięki,  
Jak matka głosu swych dzieci słucha,  
Łzami ja nieraz mą pieśń obleję,  
Otulę czuciem, myślą odzieję,  
Tkaną z krwi serca, z mąk mego ducha.  
Nie piękna odzież, co z krwi i męki,  
Toé i wy takie, moje piosenki,  
Nie dla was uczty, wesele świata.  
Lecz tam, gdzie serce samofne płacze,  
Tam, gdzie z nadzieją wależą rozpacze,  
Niechaj was boleść w swój wieniec wplata.

b) **Jordan, fantazja dramatyczna.**

(Wilno 1846.)

Poemat składa się z 3-ich części. Pierwsza, to introdukcja, zawierająca dwie wizyjne sceny. W jednej z nich mamy obraz zapędów młodzieńczego bohatera w sferę ideału nieosobistego. W następnej ukazują się Jordanowi postać kochanki (Anieli). Oto dwa bieguny jego dążeń, dwie podstawy akcji, o ile akcja taka istnieje. Introdukcja mglista, jak cały poemat, gdyż autor musi idealistyczną frazeologją, ogólnikami okryć swe myśli wobec czajnej i nieufnej cenzury. W obu scenach widzimy Jordana w stanie sonnambulicznym na szczycie stromej góry, nad przepaścią. Tuż emientarz i kaplica. Cała treść deklamacji scenerją, akcentami myślowemi i barwą stylową przypominają bądź monolog Korljana na szczycie Mont-Blanc, bądź Improvizację Konrada, bądź wreszcie Odeę do młodości. Chciałby duszą świat opłynąć, wylać się z brzegów, zginać w jedność, ożyć w całości — by myśl jego wcieliła się w świat. Duchy bratnie, wtorują mu, djabły drwią.

Druga, najobszerniejsza część utworu przewalane jest poświęconą obrazom różnych stron życia społeczeństwa sła-

checkiego. Poznajemy stan umysłowy i moralny obywatelstwa wiejskiego, jego stosunek do ludu. Obraz to smutny, nieraz zastraszający. Zarazem poznajemy różnorakie usposobienia, panujące wśród młodzieży. Nie pozbawiona szlachetniejszych uczuć, nie posiada jednak stałej moralnej podstawy. Więc lekomyślnie daje ujście kipiącej energii w niedorzecznych awanturach, to znów czując, iż „życiem użyźnia ziemię, na której podłe zielska wzrosną“, umie tylko marzyć i boleć. Większość, obniżając powolnie swe loty, przystosowuje się do otaczającego świata. Niektórzy tylko bronią się przez jakiś czas ironją i samoironją, aż kiedyś z przekonaniem wygłaszać będą te arcypraktyczne i arcyprozaimne zasady, które dziś jeszcze są zaprawione przez nich szyderstwem. Trzeba poruszyć te obumierające serca, otworzyć przed nimi drogę moralnego odrodzenia. Zadaniem „fantazji dramatycznej“ Sowy jest takimi sercami wstrząsnąć, takie sumienia obudzić. Niech te serca, „w których jeszcze drzemie boskość przeczysta“, które „całą duszą zapagną zbawienia“ — tym poświęca dzieło swe Sowa — niech ci wypędzą szatana, co we własnej ich piersi zagościł, bo

„niech tylko jedna zbrodnia  
Nieskruszoną pierś obwinie,  
To już potem nowa co dnia.“

Jest jeszcze jedna grupa młodzieży — spiskowcy, lecz stosunek do niej autora nie jest zupełnie jasny.

Maluje w powyższy sposób smutny stan społeczności i, wykazując nikłość lub niedostateczność szlachetniejszych nawet odruchów przeciw istniejącym stosunkom, autor jakby uzasadnia niezbędność i naturalność idei Jordanowej. Ideą tą jest przekonanie, iż nadeszła chwila przełomowa, chwila głębokiego przeobrażenia podstaw społecznych. Czują to dzieci wieku, czucie to bowiem sływa na nie ze świata duchów, przemawia do nich głos ojców, głos przeszłości (idea ciągłości przeznaczeń narodowych, rozwinięta w Przedświcie, stąd symbolizm cmentarza i kaplicy w wizjach Jordana). W takim przeciwstawieniu rzeczywistości i ideału ukryty jest pierwiastek dramatyczny utworu. Właściwego przeto ruchu dramatycznego

dzieło nie posiada i ustępy liryczne refleksyjne układają się najdowolniej ze scenami dialogowymi. Jedynie osobista historia miłosna Jordana posuwa się i znajduje tu swe rozwiązanie, co jednak staje się zaledwie jednym z epizodów, służących nadto raczej do charakterystyki ogólnego stanu społeczeństwa.

Oto kolej ustępów i scen.

Po dwu lirycznych tyradach autora, spowiadającego się ze swych zamierzeń, jako pierwszą scenę mamy *Ranek*. Jordan, przebudzony ze snu, дума, jak Konrad w celi nad senami marzeniami (sceny wizyjne w prologu) i wyraża pewność, że marzenia te świadczą o związku świata ludzkiego ze światem duchów. Z tego ostatniego człowiek otrzymuje podniecie do wcielenia idei w czyn. Nowa poczyna się epoka nowej idei, czuje to Jordan, jako „dziecie wieku“.

(Str. 22.)

I rozpięty, umęczony,  
Bolejący duch człowieczy  
Na wiekowych krzyżu bezpraw  
Przez ucisków, jęków tonie,  
Przez głód, nędzę, łzy ludowe  
Duch ludzkości szedł w obronie  
I wywalczy życie nowe.  
Triumfalny, oświecony  
Na dziejowe wbiegł zagony  
W balsamicznych zdrojów ścieku.

Salon marszałka *Ćwika*. Szlachta spędza dni całe przy kartach, urozmaicając czas szampanem, rozmową o kobietach, niewybrednymi żartami, szyderstwem z uczucia, z wzniosłych popędów, z poezji, idealizującej te wszystkie niepraktyczne rzeczy. Poeta *Prot* z odrobiną goryczy bawi zebranych deklamacją, w której utyskuje na niebezpieczne skutki romantycznej poezji, burzącej spokojność, rujnującej zdrowie. Tylko stary rotmistrz z obecnych jest oburzony niewiarą w uczucie, nieposzanowaniem kobiet, i budzi sumienie w *Procie*, iż „dzieli śmiech brudnej zgrai“ i „odbywa wczesny proces gnicia“.

*Aniela* i *Walery*. *Aniela* kocha Jordana, krewny jej *Walery* postanawia dopomagać kochankom.



W pieczarze. Widocznie gromadzą się tu spiskowcy, utyskują, że marnie pędzą życie. Rozbiegają się, gdy wpada nagle nie należący do wtajemniczonych paliwoda Henryk, który stał się po pijanemu bohaterem blabej awantury.

Walery i rodzice Anieli. Walery, używszy podstępny, przekonał się, że rodzice są jak najlepszego mniemania o Jordanie, przeświadczony jest zatem, że sprawa Anieli jest na jak najlepszej drodze. Ale rodzice wydadzą Anielę za szkaradnego i starego hrabiego Fioli, bo choć córka go nie kocha, „czwarte przykazanie wszystko rozwiąże i za miłość stanie“, a interesy rodziców poprawią się. „Świętym zamiarom pomóż, święty Boże!“ zamyka naradę matka.

Monolog Jordana.

(Str. 60.)

Gdybym ja zdołał być różdżką oliwną,  
O przyniosłbym z potopu wam wróżbę pociechy;  
Gdybym ja zdołał być ogniem piekielnym,  
Powypalałbym wszystkie z waszych piersi grzechy,  
Z piersi zrdzawionych, co gangrena toczy,  
I łzami ludów przemyłbym wam oczy!

Cnoty domowe zadowolić go nie mogą. Będzie wielkim lub zginie. Jemu i Anieli los różną wskazał drogę.

Posiedzenie obywatelskie. Szlachta zaniepokojona zamierzonemi przez rząd reformami. Akcyza w browarach (gorzelniach), opieka nad chłopem grozi ruiną. Prot ironicznie zaznacza:

(str. 69)

...do dziś dnia jeszcze jest zagadka,  
Czy chłop człowiekiem, czyli też jest rzeczą?  
Lubo, jak własność, jest pod prawa pieczę.  
Bo w ewangelji, co Chrystus powiada,  
Że wszyscy bracia, to jeszcze jest kwestja,  
Którą się dotąd w Europie bada,  
Czy się w ten szereg liczy i chłop bestja?

Jeden z obecnych dodaje:

Rzecz się najglówniej tyczy propinacji,  
W tem, mi się zdaje, jest glównie zadanie.

Gdy chłop własnością być tylko przestanie,  
Cóżby się wtenczas z całą szlachtą stało?  
Wtenczas dla szlachty kres ostatni klęski,  
Wtenczas szlachectwo jest rzeczą zbutwiałą.

Wchodzi Jordan, zebrani traktują go jak półgłówka, ironicznie, napozór poważnie proszą go o piosnkę. Jordan, rozumiejąc grę, ulega, ale jego piosnka nie przypadła obecnym do smaku.

(Str. 73.)

Chociaż wszystkie życia znaki  
Im na czołach połyskują,  
Ale dusze ich są w trumnie.  
Że trupami są — nie czują.  
Chociaż żyją i uczują,  
Chociaż zgrają ciągną tłumnie,  
Człowieczeństwa noszą znaki,  
Ale to są wilkołaki!  
. . . . .

(Str. 74.)

O, nie! to nie są wilkołaki wcale,  
Ani też wilki, ni psy, ni szakale,  
Ale są ludzie zaci i porządni,  
Rzetelni, akuratni, uprzejmi, rozsądni,  
Przedsiębiorcy, zręczni i ostrożni,  
Mili, weseli, a przytem pobożni;  
Czytają książki bez uszczerbku czasu,  
I są wszechstronni w swych pojęć rozmiarach,  
Bogom ambrozję gotują w browarach,  
A smotę djabłom pędzą z swego lasu.

Idzie dalej niezbyt jasna scena między Protym a Jordanem. Prot domaga się rady, jak „uczucia, myśli w szatę czynów weielić“. Jordan przyjmuje go jednak zimno, w smętnych słowach wykładając historjozofię Psalmów i Przedświtu: „czyn bez ducha — zlepek z gliny“; człowiek tylko „cnotą i miłością ogień tu rozdmucha, inne środki są nicością“; każe pytać o radę zmarłych, gdyż

(str. 84)

Choć w grobowej tanci cieśni,  
Jeszcze karmią dźwięki swemi,  
Swoją cnotą, swoim grzechem  
Jeszcze kończą pieśń z pod ziemi.

W sobie trzeba pielęgnować ziarno, przez Boga dane, a wtedy „w imię Boże, gdy zawołasz, Bóg odpowie: stań się w niebie“. Ze względu na obecność Prota w pieczarze możnaby posunąć się do hipotetycznego wniosku, że program społeczny Jordana, przesiąknięty mistycznymi elementami, przeciwstawia się tu politycznej, spiskowej działalności.

Deklamator. Fragment obfituje w zwroty liryczne i sarkastyczne wycieczki. Autor we własnym imieniu opowiada, jakich sposobów użyła matka, by skłonić Anielę do oddania ręki swej hr. Fioli. Wyzyskała przywiązanie córki ku sobie, przekładała jej, że miłość to wymysł płonny, roztoczyła przed nią widoki przyszłego przepychu, tak, że ta sama nie wiedziała, „czy w jej sercu bezkrólewie, czy królują konie, cugi“, a wreszcie dała jej radę: gdy młoda małżonka nie pokona wstrętu, niech wyobraźnią wystrzeli w świat, gdzie serce panowało, i tam zleje się z kochankiem.

Tu dotyka Sowa jednego z najistotniejszych punktów swego systemu, punkt ten bowiem posiada dla niego nie tylko etyczne, ale i społeczne znaczenie, gdyż

(str. 98—99)

...narodu treść, początek.  
Jak szczep wielki z zdźbła i z rostka  
Są zamknięte w każdej parze  
.....  
Wszystkie dzieci takich związków  
Jak robactwo w gnojej ranie  
Toczą łono społeczności

(str. 103)

A wyż to przecie, wy, w śródki bogaci,  
Powinnibyście w duchowej krainie  
Zamieszkać, wzrastać w umyśle dziedzinie,  
I krzepić wzrost i siły ubogich swych braci!

I cóż stąd, żeście wy bardziej pieniężni,  
Gdyście słabi umysłem, mali, niedołęzni?  
Wy wierzycie w materję, bo nie macie ducha;  
I pierś jak kufer sztabą zamknęliście twardą.  
Wszystko, co jest szlachetne, wita was z pogardą;  
Tylko podłość płaszcząca w próżność waszą dmucha.

Na zakończenie niewielki ustęp, z którego się dowiadujemy, że imiona Prota i przyjaciół jego zostały wyrte „w jakimś lasku, na brzozowem drzewie“ — „przed drogą daleką“, przed wygnaniem.

Ostatnią część utworu stanowi jedna wielka scena, w której widzimy bohatera, otoczonego duchami złemi i dobrymi i widmami (na wierzchołku tej samej góry, co w prologu). Jordan monologuje, skarży się na ból zawodu, stacza walkę z pokusami, wysłuchuje nauk duchów czystych, że Bóg przyszedł na świat, „by różności ziemskie sprostać“ (różnice stanów wyrównać), by najmniejszych bratem zostać. Trzeba zostać bratem chłopą, dzielić się z nim w duchu.

(Str. 143.)

Człeku, wielka twa potęga  
Gdy się władza twego ducha  
W gromy wolnej woli sprzęga!

I wszystkie doświadczenia Jordana miały doprowadzić go do takiej potęgi, do skupienia się władz ducha w gromy wolnej woli. Marzył, poznał ból gorzkiego zawodu, spotkawszy na drodze swej marne serce. Ale z bólu osobistego się otrząsnął, zwalczył pokusy i zwątpienie. Wziął w pierś nakaz z nieba, a tym — przemienienie świata na podstawie powszechnego braterstwa. Z kontemplacji przejdzie obecnie do czynu.

(Str. 143-4.)

Gdy pierś taką zagrzmie wolą,  
Gdy się chęci tak zespolą —  
Ja chcę! — powiesz ty do siebie,  
A Bóg — Stań się! — powie w niebie!

Bo głos Boga i głos ludu  
Zlewają się w jedno brzmienie.

Lecz ma Boskie być twe chcenie,  
Kiedy pragniesz doznać cudu!

c) **Boże mój...**

(Poezje, str. 26—27.)

Boże mój, pomóż, bo któż wytrzyma  
Stromą, ciernistą podróż pielgrzyma?  
Kto celu dojdzie? Serce zachowa?  
Czyja wystarczy wola i głowa?  
Choćby kto czuwał i bezustanku,  
Bez Twojej pomocy nie minie szwanku;  
Rozum go zbłąka, krewkość uniesie,  
Bo człowiek w życiu, jak dziecię w lesie;  
Bo człowiek w życiu owca zbłąkana,  
A grzechy — dzikie lasów zwierzęta,  
A losy ludzkie — to mórz okręta,  
A rozum ludzki — to morska piana!

Lecz miłość k'Tobie — to kompas duszy,  
A wiara w Ciebie — duszy kotwica,  
O Ojczy ojców! nie odwróć lica,  
Bo łódź zatoni albo się skruszy.  
A kto w upadku do Ciebie woła,  
Ten Ciebie pragnie, ten Ciebie kocha,  
O, w walkach jego pomóż mu trocha,  
Bo siłą swoją on nie podoła!

Zginam to czoło, które dumnie wznoszę  
Przed możnych świata, i o jedno proszę:  
Przyjmij łzy moje, przyjm moje męczeństwo,  
Przedłuż je tyle, ile Tobie zda się,  
Bylebym wkońcu wywalczył zwycięstwo,  
Był dobry żołnierz i w duchu i w czasie.

I żadnej Ciebie nie proszę nagrody,  
Ani o imię w świętych kalendarzu,  
Lecz daj mi sztandar moralnej swobody  
Utkwić i umrzeć na wiernych cmentarzu.

---

Opracował A. DROGOSZEWSKI.

## GROZA ALEKSANDER KAROL.

(1807—1875).

Jeden z najmłodszych przedstawicieli t. zw. szkoły ukraińskiej, Aleksander Groza, przyszedł na świat, wychowywał się i kształcił, jak Goszczyński i Zaleski, na Ukrainie i, jak oni, z przeszłości krwawej tej ziemi, z podań i pieśni ludu tamecznego czerpał natchnienie, tem tylko od tych swoich przewodników duchowych różny, że do końca życia z ciasnego zakresu kierunku ukraińskiego nie wyszedł, że, choć w ostatnich latach rozstać się musiał z ziemią rodzinną, los nie uniósł go tak daleko, jak tamtych, nie zniewolił do zerwania tych żywych związków uczuciowych z krajem i z ludem, jakie zadzierzgnęły się w latach dziecięcych i młodzieńczych. Groza pozostał do śmierci poetą i beletrystą ukraińskim, o dość szczupłym, jednostronnym horyzoncie twórczości.

Przyszły autor „Starosty kaniowskiego” przyszedł na świat w r. 1807 w powiecie taraszczańskim, we wsi Zahraniczach, z ojca Pawła i matki Teofili z Kopeczyńskich. Starszy od Aleksandra o 5 lat brat jego, Sylwester, adwokat, potem rolnik, również próbował pióra, był współpracownikiem wydawanej przez Aleksandra „Rusatki”, potem „Athenaeum” Kraszewskiego, wydał osobno kilka powieści, wiernie, choć bez wielkiego talentu malujących stosunki i obyczaje na Ukrainie. Nauki początkowe pobierał Aleksander w znanej szkole humańskiej, w owym właśnie okresie, kiedy wśród jej wychowanców spotykamy imiona: Zaleskiego, Goszczyńskiego, Grabowskiego Michała, Krechowieckiego Jana, Mianowskiego Józefa. Groza był o 6 lat młodszy od Goszczyńskiego, o 5 — od Zaleskiego, pomimo to jednak dobrze zachował w pamięci ich rysy, obyczaje, sposób ubierania się, czego dowód złożył potem w „Mozaice kontraktowej”. Po 3 latach pobytu w Humanii został Groza przeniesiony do gimnazjum w Winnicy, które wydało takich uczniów, jak: Aleksander Jełowicki, Mikołaj Malinowski, Franciszek Kowalski, Tomasz Padura, Jan i Karol Sienkiewiczowie, Tytus Szczeniowski, Walery Wróblewski (Koronowicz). Nauczycielem literatury polskiej

w tej szkole był w owe czasy Jan Zakrzewski, zapalony miłośnik piśmiennictwa ojczyźnego, wydawca pamiętników Samuela Maszkiewicza, autor wypisów polskich dla młodzieży. On to namawiał swych uczniów do zbierania podań i pieśni ludu miejscowego i pod jego to okiem powstawały podobno pierwsze rymy Grozy, które zjednały sobie uznanie Aleksandra hr. Chodkiewicza i wroźbę dla autora, że „będzie poetą”. Po ukończeniu gimnazjum w r. 1826 Groza wstępuje do uniwersytetu wileńskiego na wydział literacki, poczem rok jeszcze (1829—1830) spędza, jako wolny słuchacz, w uniwersytecie dorpackim. Pierwsza próba poetycka Grozy, wiersz p. t. „Poeta obłąkany“, część poematu „Melancholja“, utworzonego pod niewątpliwym wpływem IV części „Dziadów“, ukazała się w druku w tym samym „Noworoczniku Literackim“ na rok 1831, wydawanym przez Hipolita Klimaszewskiego w Wilnie, w którym 18-letni Kraszewski zamieścił dwa pierwsze swoje obrazki: „Biografję sokalskiego organisty“ i „Wieczór czyli przygody peruki“.

Po ukończeniu studiów uniwersyteckich osiadł Groza w odziedziczonej po rodzicach Sołohubówce na Ukrainie, a odświeżając wspomnienia z lat dziecięcych, z zapalem począł zbierać motywy twórczości ludowej, by na nich oprzeć swą własną. Dumy i powieści poetyckie zaczęły powstawać jedne po drugich. W r. 1836 wyszedł pierwszy tomik „Poezji“ (w Wilnie), zawierający powieść poetycką o „Staroście Kaniowskim“. Współcześni wysoko cenili ten utwór: Grabowski pisał o tej powieści, że „Groza, jak i inni pisarze tej naszej szkoły, umie rozwikływać poetyczność ukraińską i z jej elementu tworzyć“. Trudno podzielać te zachwyty: „Starosta kaniowski“, chociaż ma niektóre sceny dość silne, razi wadliwą budową, wysuwaniem na pierwszy plan epizodów i szczegółów drugorzędnych, z ujmą dla schodzącej tem samem w cień figury tytułowej, przesadną tajemniczością, wzorowaną na „Zamku kaniowskim“ Goszczyńskiego. W r. 1838 Groza wydał w Wilnie pierwszy tomik pisma zbiorowego p. t. „Rusałka“, w którym zamieścił kilka swoich utworów poetyckich i „Szkice kontraktowe“, Michała Grabowskiego artykuł o „Pisarzach francuskich“, „Piąty akt“ Józefa Korzeniowskiego i t. d. „Rusałka“ wychodziła potem jeszcze przez cztery lata: na rok 1839, 1840, 1841 i 1842, zasilana piórami obu Grozów, Aleksandra i Sylwestra, Michała Grabowskiego, ks. Hołowińskiego, wreszcie Henryka Rzewuskiego, który drukował w noworoczniku ustępy „Pamiętnika starego litewskiego szlachcica“, t. j. przeróbki z „Pamiętek Soplicy“, i wielu innych. Idąc wzorem innych poprzednich wydawnictw tego rodzaju, „Rusałka“ dążyła do zaspokojenia wyższych potrzeb duchowych inteligencji i szlachty polskiej na Litwie i Rusi, trwalszych jednak śladów po sobie nie pozostawiła: z rozwojem prasy periodycznej noworoczniki ustąpić musiały miejsca czasopismom, częściej i stalej informującym pu-

bliczność czytającą o sprawach politycznych, społecznych i literackich.

W r. 1843 wychodzi nowy zbiorek poezyj Grozy w dwu tomach (w Wilnie). W pierwszym zawiera się kilka wierszy ulotnych i okolicznościowych, przekład jednej sceny z „Fausta” (rozmowa Fausta z Wagnerem), kilka ballad z podań ludowych wysnutych („Alina”, „Wacław i Helena”, „Maryna”, „Mogiły”), oraz poemat liryczny „Kniaźnin”, przedstawiający poetę puławskiego przed zgonem, jak opowiada Franciszkowi Zabłockiemu dzieje swego serca. W drugim tomie, prócz kilku pieśni ukraińskich i dum („Zaporoziec”, „Śpiew zaporozców”, „Bohdan”, „Lacki”), czytamy trzy większe powieści poetyckie: „Pierwsza pokuta Żeleźniaka”, oparta, wedle zeznań samego poety, „na żywym opowiadaniu starca z wierzbowieckiego futoru, naocznego świadka wielu, bardzo wielu wypadków”, bierze w obronę lud ukraiński, podobnie jak „Zamek kaniowski”: nienawiść Żeleźniaka do szlachty i żądę krwawej zemsty tłumaczy poeta krzywdą, którą mu wyrządzono, skazując ojca na upalenie rąk, a matkę na wyrwanie języka za wtargnięcie do kościoła i znieważenie Przenajświętszego Sakramentu. Druga powieść, „Soroka”, ma za tło podanie ludowe, związane z mogiłą Soroki, na trakcie z Daszowa do Iliniec, którą poeta w latach młodości niejednokrotnie oglądał, jeżdżąc z domu do szkół w Winnicy; trzecia zaś to „Starosta kaniowski”. Grabowski i te utwory podniósł bardzo wysoko, jedną z dum nazwał nawet „małem arcydziełem”.

Po r. 1842 poeta zamilkł na czas jakiś: przez pięć lat, prócz powiastki prozą „Bankructwo” i wiersza „Prządki”, zamieszczonego w „Atheneum” Kraszewskiego w r. 1844, nie więcej nie pisał i nie wydawał. Dopiero w r. 1848 ukazał się w Wilnie nowy utwór Grozy p. t. „Władysław, wyciąg z pamiętników niebardzo starych” (w 2 tomach w wydaniu „poprawnem” ukazał się w r. 1858 w Wilnie pod zmienionym nieco tytułem „Pamiętnik niebardzo stary, wyciąg z notat Władysława N.”, także w dwu tomach). Pierwsza to próba Grozy w zakresie beletrystyki, chociaż, ściśle biorąc, powieścią utwór ten nie jest: czerpiąc obficie z własnych wspomnień i wrażeń, poeta przedstawia tu kontrakty kijowskie z całą różnorodnością przewijających się scen, obrazów i typów charakterystycznych: obywateli ziemskich, kontraktowiczów, złotych młodzieńców, wysokich urzędników, kupców, faktorów, oberżystów, rzemieślników, artystów-malarzy, aktorów i t. d. Obfitej wiązanki epizodów, luźnych scen (cyrk pcheł, koncert Lipińskiego, przedstawienie teatralne), rozpraw, dyskusyj w przeróżnych przedmiotach, nawet wierszy, nie obejmuje mocnem wiazadłem akcja uboga i szczupła, mająca, zgodnie z tytułem, raczej charakter pamiętnikarski, niż powieściowy. Po wydaniu „Władysława” Groza raz jeszcze próbował stworzyć noworocznik, któremu tym razem



dał tytuł „Grosz wdowi“; to pismo zbiorowe wychodziło tylko dwa lata (Kijów, 1849 i 1850).

Rok 1855, prócz wydanego po raz pierwszy w Warszawie dwutomowego zbioru „Powieści ludu i dum“, powtórnego w r. 1858 i przynoszącego, prócz dawniejszych utworów (tom II wypełnia „Starosta kaniowski“) kilka nowych dum i ballad (np. „Martyn“, „O duszach umarłych“ i inne), wydał cykl „Obrazków ukraińskich“ (Wilno, po raz drugi opublikowanych w Żytomierzu w r. 1860 p. t. „Trzy powieści“). Z trzech zamieszczonych tu powiastek czy nowel najstarsza jest pierwsza, melodramatyczny romans kapitana wojsk rosyjskich, grafa, i Julji-Lilji, córki profesora gimnazjalnego, w jakimś miasteczku podolskiem; druga, „Pan Grzegorz“, ma dobrze zarysowane typy: starej panny, która, wyszedłszy zamąż, bierze pod pantofel swego małżonka i męża uległego, ale wreszcie buntującego się przeciw wszechwładzy swej magnifiki; trzecią wreszcie, p. t. „Gość nieoczekiwany, powieść fantastyczna“, wypełnia gorączkowa, bezładna opowieść pana Seweryna, przyrodnika-entomologa i panteisty, którego zawód miłosny przyprowadził o utratę zmysłów.

W r. 1856 wydaje Groza w Kijowie, na pamiątkę powtórnej koronacji obrazu Matki Boskiej w kościele karmelickim w Berdyczowie książkę pobożną, p. t. „Ołtarzyk berdyczowski. Zbiór modlitw ku czci Trójcy Przenajświętszej, Najświętszej Marji Panny i Świętych Pańskich, Modlitwy na wszystkie niedziele i znaczniejsze święta, nauki i modlitwy o Sakramentach, Nabożeństwo Pasyjne, Nabożeństwo na Wielki Tydzień, Pieśni i t. d., ułożył dla pożytku katolików...“; w r. 1857, też w Wilnie, „powieść ze Wschodu“ p. t. „Trzy palmy“, oraz w tymże roku, tamże, rzecz p. n. „Mozaika kontraktowa, pamiętnik z r. 1851“. „Mozaika“ jest jakby jednym rozdziałem z „Władysława“, z tą tylko różnicą, że autor przemawia tu w pierwszej osobie: przedstawia kontrakty, jako ośrodek nie tylko życia ekonomicznego całej prowincji, ale i ruchu umysłowego, tu bowiem spotykali się najwybitniejsi działacze polscy z Ukrainy, Wołynia, Podola, a także literaci, wydawcy, muzycy, aktorzy, malarze i t. p. W „Mozaice kontraktowej“ występują: Michał Grabowski, Padalica, Dołęga Marcinowski, Józef Konti, Michał Jezierski, Spirydjon Ostaszewski, Jan Wileczyński, wydawca „Albumu Wileńskiego“, profesor Fonberg i inni; koncerty Frankensztajna, Apolinarego Kątskiego (dla którego uczenia Groza zamieścił potem, w r. 1860 we lwowskiej „Czytelnicy dla młodzieży“ i wydał w osobnej odbitce wiersz p. t. „Muzyka“), braci Wieniawskich przeplatają się z barwnymi scenami kontraktowemi. „Mozaika“ przeznaczona była zrazu dla pisma zbiorowego „Dniestrzanka“, mającego być dalszym ciągiem „Rusalki“ i „Grosza wdowiego“; gdy zaś to pismo nie doszło do skutku, ukazała się w osobnej odbitce.

W r. 1858 wyszedł w Wilnie „dramat ukraiński“ w pięciu aktach p. t. „Hryć“, uzupełniony dumą historyczną p. t. „Marek Jachimowski“ (o szlachcicu, który dostał się do jasyru po klęsce cecorskiej). „Hryć“, wysnuty „z podań ludu i z wydarzenia pod koniec XVIII wieku“, ma za motyw główny znaną pieśń ukraińską: „Ne chody, Hryciu, na wieczernicy“, ale nie wyróżnia się ani pomysłem (możny dziedzie Alfred przebiera się za parobka Hrycia), ani melodramatycznymi efektami miłości i obłąkania, zazdrości i zabójstwa, ani niefortunnym wprowadzeniem pierwiastka nadprzyrodzonego w postaci Złego i Dobrego Ducha.

Po długoletnim pobycie w Sołohubówce Groza zmuszony jest opuścić to gniazdo ojezyste i zamieszkuje zrazu w Berdyczowie, gdzie oddaje się pracy nauczycielskiej, potem zaś w Żytomierzu, który stał się naówczas jednym z ognisk ruchu umysłowego i gdzie miejscowa inteligencja polska, z zasłużonym i niezmordowanym Kraszewskim na czele, podjęła wyteżoną działalność narodowo-kulturalną. Groza nie pozostał za innymi w tych zabiegach owocnych: podjął w roku 1859 myśl wydawania dzieł pożytecznych przy pomocy Karola Kaczkowskiego i Leona Lipkowskiego. Tak powstała spółka nakładowa, która puściła w świat: „Piegrzymą w Dobromilu“ Czartoryskiej, „Pamiętkę starego szlachcica litewskiego“ Rzewuskiego, „Koliszczyznę“ M. Grabowskiego, „Chronologję polską“ Szymona Konopackiego, „Jana III“ Szajnochy, pierwszą część „Kobiety w Polsce“ Ż. Kaczkowskiego, wreszcie — trzy elementarze Grozy („Elementarz większy“, „Elementarz mniejszy“ i „Elementarzyk“ — wszystkie trzy w Żytomierzu w r. 1860). Spółka rozwijała się zrazu pomyślnie: miała swoje księgarnie w Żytomierzu i Kijowie, drukarnię oraz dwanaście filij prowincjonalnych. A chociaż całe to przedsięwzięcie nie przyniosło spodziewanych zysków inicjatorom, chlubnie świadczy o ich zaangażowaniu i duchu obywatelskim.

Ostatni raz do wspomnień z krwawej przeszłości Ukrainy powraca Groza w powieści poetyckiej p. t. „Smieciński“ (Wilno, 1850). Tem historycznem, jak i w „Pierwszej pokucie Żeleznika“, jest rzeź humaniska, z której poeta posiadał wspomnienie badawcze: matka jego podczas tej strasznej zawieruchy zawdzięcza ocalenie pozostawiona miynarzowi ze wsi Szarówki, który ją i jej brata, niemowlęta, ukrył w swym futrze, gdy tymczasem inni szedłszy ze starszymi dziećmi uciekli na Podole. Bohaterem powieści jest podziwzasty Mikołaj Cyryl Smieciński, nad którego wychowaniem, zrazu pod okiem ojca, a potem, po jego zgonie, pomysłoweli starych i osadzonego Tymka Zozuli i krebitarza Martina, wspaniałego parocha Pankratego (analogiczne postacie występowały Groza na scenie w „Hryciu“), poeta rozwodzi się dość długo. Długo milusi Cyryla do Haliny, córki szlachetnego miłośnika z polk Włodzy, a wreszcie punkt kulminacyjny, rzeź humaniska, wypowiada

resztę utworu: w krwawych tych rozruchach Halinę ocalała żona Gonty, a Cyryl zawdzięcza życie również Goncie, który kładzie jednak jeden warunek: młody szlachcic musi ustrzelić celnie trzy głowy: psa, żyda i szlachcica. Cyryl dopełnia tej hanbiącej umowy, za co spotyka go potem powszechna wśród szlachty pogarda, Halina zaś wstępuje do klasztoru.

Ostatnim utworem Grozy było „misterjum z podań narodowych“ w dwóch częściach p. t. „Twardowski“ (Brody, 1873), pisane w Chałajmgródku pod Berdyczowem, u Eustachego Iwanowskiego, w grudniu 1872 r. Pierwszą część, złożoną z 9 „zmian“, poświęcił autor, przez wdzięczność za gościnę, Iwanowskiemu w tych słowach: „Pod Twoim dachem i na Twojej ziemi znalazłem spokój i myśl swobodną do napisania większej części mego Twardowskiego, bo tu moje Eumenidy do snu zakłęte zostały enotami i starym ojców obyczajem“ i t. d., poczem za Bekwarkiem, występującym w drugiej części misterjum, powtarza jedno z ośmiu błogosławieństw Chrystusa: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą“; część drugą, w 5 aktach, przypisał Groza p. Izabeli Czezelowej. „na pamiątkę mego pobytu w Chałajmgródku“. „Twardowski“ zdradza słabnący talent poety, który zresztą w formie dramatycznej nigdy nie godniejszego uwagi nie stworzył. Prócz Twardowskiego występuje tu szatan pod imieniem Experiens, a także mnóstwo postaci historycznych: Bona, Zygmunt August, arcybiskup Gamrał, Rej, Kochanowski, Bekwark, Stańczyk. Zresztą, utwór ten jest zlepkiem scen, naśladowanych z „Fausta“, ballad Mickiewicza („Lilje“, „Pani Twardowska“) i wzorowanych na podaniach ludowych o Twardowskim. Mętnej i splecionej myśli przewoźniej utworu nie wyjaśnia dostatecznie ani przedmowa, ani ostatnie wyrazy dramatu: „Wszystko przemija krom Duszy i — Boga!“ Napisane również podobno w Chałajmgródku utwory: „Wanda“ i „Mysza wieża“ nie dochowały się. Na dwa miesiące przed śmiercią rozpoczął Groza druk nowego pisma zbiorowego p. t. „Rocznik“, gdzie chciał zamieścić opuszczony jeden akt „Twardowskiego“, uzupełniający całość utworu i wyjaśniający jego ideę zasadniczą. Do wykonania tego przedsięwzięcia, jak również i skutecznienia zamierzonego 10-tomowego wydania pism, nie przyszło: prace te przerwała śmierć w 1875 r., w 68 roku życia.

Groza wyższego talentu nie posiadał: nie miał tej płomiennej wyobraźni swych wielkich mistrzów, Mickiewicza i Goszczyńskiego, przetapiającej szczyry kruszec wspomnień rodzinnych, podań miejscowych, pieśni i legend ludu ukraińskiego i białoruskiego w metal szlachetny, nie umiał tworzyć z nich kunsztownych kształtów istotnych dzieł sztuki. Utwory Grozy dziełami sztuki, mimo zachwyków Grabowskiego i publiczności współczesnej, nie są: dłuższe — grzeszą rozwlekłością, rozbieżnością epizodów, brakiem zharmonii-

zowania poszczególnych części z całością, wadliwą kompozycją, mniejsze, o wiele lepsze, nie posiadają dostatecznej plastyki, nie utrwalają się należycie w wyobraźni czytelnika. Ale jako poeta, jeden z ostatnich, zapóźnionych przedstawicieli „szkoły ukraińskiej”, utrwalający w swych powieściach poetyckich i dumach cechy znamienne kultury miejscowej, korzystający obficie z twórczości ludu tamtejszego oraz ze wspomnień bliższych i dalszych, z dziejami tej nieszczęsnej krainy związanych, jako beletrysta i pamiętnikarz, odtwarzający życie dworów i dworzków polskich na Ukrainie, ciche partykularze tamtejsze i szumne kontrakty, jako obywatel wreszcie i wydawca, przyczyniający się noworocznikami swemi i działalnością autorską do obudzenia ruchu umysłowego i szerzenia kultury polskiej w tej dzielnicy między rokiem 1831 a 1863, Groza zasługuje na pamięć rodaków i ma osobną kartę w dziejach nie tylko piśmiennictwa, ale i kultury polskiej na kresach południowo-wschodnich u schyłku stulecia.

### WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

Wydania zbiorowego pism Grozy nie było; daty zaś i miejsca wydań poszczególnych utworów zostały zaznaczone w powyżej podanym życiorysie, powtarzać więc ich na tem miejscu niema potrzeby. Pisali o Grozie następujący krytycy i biografowie: Grabowski M.: Literatura i krytyka, I (1840 Wilno); tenże: Korespondencja literacka (Wilno 1842—1843); tenże: „Do p. Aleks. Grozy” („Rubon”, 1845); Siemieński L.: Charakter poezji ukraińskiej i poemata Grozy („Kilka rysów z literatury i społeczeństwa”, Warszawa, 1859); N... z „Hryć”. Dramat Al. Gr. (Pismo zbiorowe J. Ohryzki, II, Petersburg, 1859; ocena „Śmiecińskiego” („Bibl. Warsz.”, 1861, III, sierpień); Nowosielski A. o Twardowskim, (Wiek 1873); Sztjerner o Grozie (Tyg. Petersb. 1873); Ordon Wł. o „Twardowskim” („Strzecha”, 1874 w Nr. 11—12, Lwów); Pług A.: Aleksander Groza („Kłosy”, 1876); Rzychowski: Kilka słów o Aleksandrze Grozie i jego pismach („Album Muzeum Narodowego w Rapperswyłu z r. 1876”, Lwów, 1876); Zawadyński T. Al. G. (Tyg. Ill. 1876 V); Nowosielski A. Al. G. (Kronika Rodzinna 1876); Zdziarski St.: Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX wieku (Warszawa, 1899); Chmielowski P.: Aleksander Groza (w „Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej”); Korotyński Wł. (W. K.) Wieszcz-podrózny („Kur. War., 1908, Nr. 320); Brzostowski A. R.: Aleksander Groza (w jego zbiorze p. t. „Ci, których znałem”, Warszawa, 1910, Biblioteka Dzieł Wyborowych); Pamiętniki dr. M. Gallego (Przegl. Narod. 1913).

## A) Starosta kaniowski

powieść ukraińska z podań ludu (1836).

Postacią tytułową jest ostawiony w dziejach Ukrainy Mikołaj Potocki, starosta kaniowski i bohustawski, bezczelny warchol i krwawy ciemiężca ludu. Powieść Grozy przedstawia długi szereg gwałtów i bezprawii tego dziwnego człowieka: jak dokonywa napadów i toczy wojny domowe, jak kradzieże wiejskiej drapać się na drzewo i kukać jak kukulka, a sam strzela do niej z rusznicy, jak porywa piękną dziewczynę Hannę, wybram serca swego wiernego sługi Szulaka, i więzi ją w swoim zamku i t. d. Po dokonaniu zaś tylu najokropniejszych zbrodni pod koniec życia kuje się, dźwiga z gruzów klasztor poczajowski i hojnie go obdarza, wreszcie także umiera. Z tą akcją główną (grzechy i pokuta Potockiego) płacze się drugorzędna: krwawe i okrutne współzawodnictwo o łaski pańskie dwu zaufanców starosty: kozaka Szulaka i żyda Arona. Nie brak wreszcie i motywów fantastycznych, wysnutych częściowo z podań ludu, porządki zaś z utworów naszej poezji ludowej, którym Groza wiele zawdzięcza: są więc duchy, djabły i upiory, jak u Goszczyńskiego, rusalki, jak u Zaleskiego, zle i trwożne przeczucia, jak w „Mariji”. Są też widoczne ślady oddziaływania motywów miekiewiczowskich („Ucieczki”, „Pana Tadeusza”). Przytaczamy poniżej pierwszy rozdział części pierwszej, stanowiący zamknięty w sobie epizod.

Tatarskimi zagony wkoło opalony,  
Kozackimi szablami wkoło poszezerbiony,  
Posiwał stary zamek, jak ta stara głowa,  
Co wygląda: skąd przyjdzie śmierć, co ją pochowa?  
Z trzech stron wał go otaczał, a z czwartej staw długi  
Podlewał, olchowemi uciekając ługi;  
Wkoło wału i stawu zielone wypasy  
Ogrodziły odwieczne futory i lasy.  
Na wypasach kozackie tuczyły się konie,  
Jak ich pany, co, ciężkie porzuciwszy bronie  
I zasiadłszy z starostą do misy, do dzbana,  
Jedli, pili, hulali od mroku do rana.  
Niekiedy ze swych śmieci chętką ich poniesie  
Na szajki hajdamackie, kryjące się w lesie,  
Lecz to rzadko.

Dziś w zamku niezmierna ochota:  
Dwieście koni w triumfie wchodziło we wrota,  
Wiodło działa zdobyte i brańców na smyczy.  
Pewnie Pan Bóg poszczęścił na tatarskiej dziecizy?  
Gdzie tam! oto powracał zajazd z Żywotowa.  
Pan starosta Wyżycką i Krasieckich wspierał,  
Złamali Komargrodzkich, więc hołdy odbierał.  
Przebóg! domowa wojna... jednak bez niesławy,  
Bo tą razą starosta bronił słusznej sprawy.

Choć prawem odsądzony od wszelkiej własności,  
Nie chciał kniaź Czetwertyński ze swej posiadłości

Wypuścić Żywotowa, a z nim imion siła <sup>1)</sup>;  
Zamek, którego Rośka oblewem broniła,  
Otoczył sporym wałem, palami osadził,  
Różnej strzelby i ludu wielką moc zgromadził.  
Nad tym ludem i strzelbą dał za pułkownika  
Na Łużnach Łużyńskiego, w wielu bitwach ówika.  
Wyżycka z Krasickimi wieździe pięćset koni;  
Ci dzielnie nacierają, a tamten się broni.  
Niejedna ze stron obu precz poleci głowa.  
A wtem i pierwsza roku upłynie połowa,  
Możeby upłynęła napróżno i druga,  
Gdyby nie ta starosty sąsiedzka przysługa.

Z mnogimi popleczniki, w odświętnem odzieniu,  
Ochoczy pan starosta stał na podniesieniu  
I spozierał wesoło; snaćby triumfował  
Tak, jak jego przodkowie, tylko że nie chował  
W piersiach takiego serca, jakie u nich biło.  
Ci z sułtanem rej wiedli i swoim Mohiłą  
Moldawski tron okryli, a orężem wsparli;  
Ten się cieszył, że jego kozacy wydarli  
Zameczek u szlachcica, i przed całym światem  
Rozgłaszał swoją radość dzwonów, dział wiwatem.

Za harmatkami, co tam z zamku wyłamali,  
Za niewolnikiem, co tam na sznur nawiazali,  
Na wozie czworokonnym, wśród dziełek kąkolu,  
Łużyński, mąż waleczny, leżał; a choć bolu  
Nie zdradził żadnym jękiem, lecz z ran, krwią kipiących  
Ze spojrzeń obłąkanych, odetchnień gorących,  
Znać tam wielkie cierpienie. W augustowskich czasach  
Nie na takich triumfy odnosił zapasach,  
Nie takie on forteczki zdobywał i bronił!  
Pułk jego ze Szmigielskim o lepszą się gonil,  
Bruchowiecki publicznie poklask mu uderzył,  
A żołnierz, takie cuda widząc nieraz, wierzył,  
Że szatan miał z nim spółkę, bo ludzkim żelazem  
Tego zdziałać nie można. Dzisiaj jednym razem  
Tyle męstwa, odwagi czyż pojdzie na niee?  
Po wojnach, gdyby jaką miał w spadku dzielnicę,  
Spocząłby, jako inni, na swej milej grzędzie;  
Nie miał jej, więc na dworskim musiał się urzędzie.

---

<sup>1)</sup> Żywotów, miasteczko w gub. kijowskiej, powiecie łanuzzańskim  
O tym szturmie Żywotowa i jego obronie opowiadał mi starzec, naczyn  
świadek (*Przyp. poety*).

I pana z Komargrodu trzymać lud w komendzie.  
Czarne oczy w małżeńskie zawiodły go stadło;  
Lecz i tu przeszło szczęście, jak ślepe widziadło.  
Zmarła żona, oddawszy drobiazg mu na łono;  
Nie rozstał się z nim nigdy, i teraz wieziono  
Razem ojca i działwę: tak na swoim łonie  
Pająk niesie swą działwę. Bohaterskie skronie,  
Które niegdyś hełm zdobił, stroił wieniec chwały,  
A teraz krwią pluszczące z płaczem otulały  
Dwie maleńkie córeczki drobnemi rączkami.  
Krew ojca z jego córek zlewała się łzami  
I spadała na synków, co u piersi wiszą.  
„Wstawaj, tatu!” wołają; tata piersi dyszą  
I ciężko, i powolnie; jako olów, oczy...  
A wóz, gdzie tam! — katafalk, powolnie się toczy  
Poprzed panem starostą. Ten spojrział z uśmiechem.  
Jak na wertep zapustny, wielkanocą kozę.  
Dzielny mąż doumierał i śmierć swoją zgrozę  
Płaczem dziątek jak dzwonu rozgłaszała echem.

Była w zamku wysoka, przestronna komnata,  
Jakby jego prababka. Pożary i wojny  
Nieraz zamek na długie zabierały lata,  
A ona zostawała, jak ziarnko w popiele:  
Z wchodzącą wiosną z ziarna odrastało ziele,  
Z tych szezątków znowu zamek wstawał w czas spokojny.  
Wiekі wiekom, plemionom podając plemiona  
Tę relikwije razem w posagu dawały  
Porosłe w sławę drogie dziedziców imiona.  
Ciche wieko dębowe, cicha darń zielona,  
Zamknęły żywot pełny i cnoty, i chwały.  
Blask życia zagasiła śmierć grobowym cieniem,  
Jednakże oni pod tej komnaty sklepieniem  
Żyli pendzlem malarza w czerstwym, młodym wieku.  
I pięknie było spojrzeć od ściany do ściany  
Na ich warowne zbroje, malowne żupany,  
Na oblicza naszemu niezwyčajne człeku.  
A kiedy bracia szlachta, pokrewni, sąsiady,  
W jakiej ciężkiej potrzebie szukali porady,  
Jak do owej świątyni, kędy bóstwo mieszka,  
Prosta ich w tę komnatę prowadziła ścieżka;  
I wobec sławnych przodków orężem i głową  
ducha pokrzepiali, i radzili zdrowo.

Pan starosta przybytek tak drogi, tak święty  
Zamienił na piwnicę: z pólek piękne sprzęty,  
Złożone z ksiąg i zbroi, wyniósł na poddasze,

A stawił roztruchany, gąsiory i flasze.  
Ogromny stół dębowy o dwunastu nogach,  
Ze czterma Bachusami w czterech jego rogach,  
Osadził w samym środku. Myśliwskie zdobycze  
Że łbów, rogów i skóry zwierza rozlicznego  
Rozwiesił na obrazach, jakby chciał oblicze  
Zakryć każdego z przodków, by na sprawy jego  
Nie ciskali swym wzrokiem; a niemy szyderca,  
Wstyd, by czasem nie zechciał przemówić do serca.  
Raz przemówił, starosta powstał, jak mąż prawy,  
Lecz wiek winy nie zgasił jeden dzionek sławy.  
Z swą tłumną służbą-družbą wszedł do tej komnaty  
Pan starosta; natychmiast zagrzmiały wiwaty.  
Bachusy z srebrnych beczek trysnęły krynicą,  
Kufel z kuflem, szklanica zadzwoni z szklanicą,  
Pójdą śmiechy i żarty, rozwiązane usta  
Prawią, co niesie ślina, co rodzi myśl pusta.  
W górze starosta z swymi bliższymi kompany  
Uracza się i bawi; szary koniec stołu  
Bawi się z sobą. Piją, gwarzą pany,  
Pije i gwarzy szlachta; czasami pospołu  
Hukną: wiwat! i znowu każdy po swojemu.  
„Tak, wielmożny starosto! jużby mnie samemu —  
Rzekł pułkownik Świdorski — głowy nie stawalo!  
Łużyński — czart wielony! Co się nie strzelało  
Do tego piekielnika, zawsze wyszedł cało.  
Jaż nie kiep, dobrodzieju: umiem, Bogu dzięki,  
I dobrze okiem zmierzyć, i przyłożyć ręki,  
I mam takich kozaków, co dla swej igraszki  
Kulami w lot strzelają najdrobniejsze ptaszki;  
A zaś do tego djabła cośmy nie strzelili,  
Zawsze pudło i pudło. Kuleśmy święcili:  
Mówią, że poświęcona kula djabła bierze;  
W niego zmierzysz i palniesz — kula jakby w pierze.  
Utonie w nim, on przecie stoi czerstwy, zdrowy,  
Biada temu, do czyjej przyceli się głowy!  
Rozgłos szedł, że Zabokrycz, sławny sotnik w Sieczy.  
Dobrze takich ichmościów, jak Łużyński, ćwiczy;  
Że znachor z niego wielki, w Turczach wyuczony.  
Nuż ja do niego z memi niskiem pokłony,  
Nuż złotkiem pobrzękiwać! Zabokrycz się stawi  
o swoim strzelaniu cudne rzeczy prawi.  
Wtem patrzymy, Łużyński ot na wale stoi;  
Zabokrycz do rusznicy przymierzył się swojej,  
Palnął, lecz po naszymu z pudłem leci kula.  
Łużyński się naodwrot do strzelby przytula:



Huknął wystrzał — nasz sotnik już nieżywy leży.  
Wszystkie się me kozactwo po polu rozbieży,  
I sam dałem drapaka, bo z piekłem niełada!  
Kłopotę się, co robić? Wtem do mnie dopada  
Jakiś Wołoszyn, w dziele puszkarskiem uczony,  
O swem z puszki strzelaniu rozprawia androny;  
Daję mu jedną; prawda, że gracko z niej strzela!  
Już nam trochę do serca przybyło wesela,  
Ale i ten, po udzie wzięwszy basarunek,  
Musiał się udać z pola do bab po ratunek,  
Gdyby nie pański Szulak, nie pańskie kozaki,  
Dotychezasbyśmy tylko pełzali jak raki,  
Albo, nie nie zdziaławszy, wrócili do domu  
Wśród śmiechu przeciwników i własnego sromu.  
Niechaj mnie djabli porwą, jeżeli rzec mogę,  
Którędy oni w zamek znaleźli sy drogę:  
Tutaj Rośka, tam kanał, palisada, wały.  
Łużyński to nie człowiek, ale djabeł cały!  
Chytry jak lis; u niego tylko w myślach zdrada“.

Na szarym końcu Szulak szlachcie rozpowiada  
Swe z Łużyńskim sukcesą: jako z jednej strony  
Fałszywy szturm do zamku został przypuszczony,  
A z drugiej jak on kosze po grobli prowadził  
I własną ręką bramę petardą wysadził;  
Jak w starą woskobojnię Łużyński się schronił  
I do ostatka z kilku swoimi się bronił,  
A kiedy już budynek cały w ogniu płonął,  
A Łużyński, rzec można, wszystek we krwi tonął,  
Dopiero go zabrali.

Powstał rum za drzwiami,  
Z stukiem i hukiem ciągnion czterma kozakami,  
Wpadł jakiś szlachcic błądy, drżący, oszarpany.  
Porwała się z miejsc swoich i szlachta, i pany;  
Starosta, zobaczywszy szlachcica, zawoła:  
„Panowie bracia! szukam u waszego koła  
I porady, i zdania, aby nie mówiono,  
Żem impetus despota. Ichmościa złowiono  
Na gorącym uczynku: pozew wojewody  
O tem, żem mu żydowskie dwie utopił brody,  
Podrzucił mi do zamku i sam czmychnął w nogi;  
Zgoniono jenerała. Cóż? Bracia!“ — „Batogi!“  
Jedni krzyczeli, drudzy, nietyle sierdzici,  
Co innego radzili, wrzeszczeli ci i ci.  
Po długich wrzaskach, sporach postawiono na tem,  
Że jegomość jenerał lub dostanie batem,

Lub zje pozew. Nieborak na drugie się zgłosił.  
Starosta na swe miejsca gości swych zaprosił,  
Zaszumiał złoty węgrzyn, zapieniły miody,  
A biednemu woźnemu dano kufel wody;  
Jadł więc swój szorstki pozew, gęsie wino chlipał,  
A każdy, kto chciał tylko, żartami go szczypał.

Wieczór się ściemnił, rzęśne światło zapalono,  
Wszelakiem jądłem długie stoły zastawiono,  
Służba się uwijała, woźny pozew kończył  
I ostatnią kropelkę wody z kufła sączył:  
„Szulaku!” — rzekł starosta — „nie lubię być w długi:  
Po czasie weźmiesz cztery konie z mego cugu,  
Dobrze wóz napakujesz naszymi Żydami,  
Odwieszysz wojewodzie; niech więcej pozwami  
Nas nie obrzuca. Kto wie, czy za drugim razem,  
Jak dziś, panu woźnemu ta rzecz ujdzie płazem?  
Mogą być kryminały. Myż nibyto swoi.  
A teraz, jenerale, marsz z moich podwoi!  
Nie wtykaj więcej nosa!” I, jasnego pana  
Woźny trzykroć pokornie ścisnąwszy kolana,  
Poszedł za drzwi, ścigany szyderstw i śmiechy.  
Wino, miód biesiadnikom dodają uciechy;  
Coraz huczniejsza wrzawa. Poczujesz dym w głowie,  
Swe różne dykteryjki sławni gadułowie  
Prawią jeden za drugim; starosta ochoczy  
I za boki się chwyta, i ociera oczy:  
Radość nieopisana! — A wtem dwa brytany,  
Co dotąd sobie mleczkiem leżały u ściany,  
Zawyją przeraźliwie i pod stół się wtłoczą.  
Biesiadnicy zdziwionem okiem wkoło toczą,  
Umilkną gwary, śmiechy. Brytany pod nogi  
Cisną się, warezą, skomlą z wzrastającej trwogi.  
Co to jest? — każdy pyta — co to? Przy kominie  
Stoi błądy Łużyński, krew mu z czoła płynie,  
Ręce złożył na piersiach, a oczy wyzwierzył,  
Raz jeden niemi w pana starostę uderzył,  
Drugi raz w Świderskiego, a w Szulaka rzeci.  
„Dzieci moje!” — zawołał — „biedne moje dzieci!”  
I zniknął; a wtem kozak od warty się stawil,  
O zgonie Łużyńskiego staroście objawił.  
„Co ty” — fuknie starosta — „wydziwasz przed nami  
On tutaj był i jeszcze musi być za drzwiami”.  
„Łużyński” — przerwał kozak — „własnymi rękami  
Oczy jemu zamknąłem, za duszę pacierze  
Zmówiła kurdygarda, i dzwonnik na wieżę

Pozzedł w dzwony uderzyć". Właśnie w tejże chwili  
Ozwał się dzwon na wieży. Smutnie popatrzyli  
Biesiadnicy po sobie, strach podniósł im włosy,  
A dzwon coraz i coraz brzmiał smutnemi głosy.

### B) Mozaika kontraktowa.

Pamiętnik z roku 1851. (Wilno, 1857 r.)

Upłynęło nam wówczas kilka godzin na przypomnieniach przeszłości. Mówiliśmy dużo o Bohdanie Zaleskim, Goszczyńskim, Grabowskim, także humańcach, tylko od nas starszych, bo oni podobno już byli w klasie czwartej, kiedyśmy dopiero zaczynali.

Objaśnialiśmy sobie fatalną katastrofę ks. Proniewicza, profesora pierwszej klasy, który odważył się dać piątoklasiście Kuflewiczowi siedm batogów, a za to dostał od piątoklasistów na korytarzu przed pierwszą klasą plag trzydzieści. Za ten eksces połowa piątej klasy otrzymała ekskluzję ze szkół i na drogę od 30 do 40 boćkowców na osobę. Jaką tu dyplomację ks. prefekt Skibowski rozwinął, jak zbuntowaną piątą klasę upokorzył i rozgromił, opowiedzą kiedyś pamiętniki.

Dobrze pamiętam Zaleskiego i Goszczyńskiego, byli oni w przyjaźni z moim bratem Augustynem. Zaleski blondyn, twarzy białej, pięknej, oczu błękitnych, wzrostu miernego, chodził w bajówce zielonej. Goszczyński wzrostu wyższego, także blondyn, twarzy ospowatej, jak on nazywał, rabej, ale przyjemnej, oczów niewielkich, żywych. Przed naszą stacją leżał duży kamień, Goszczyński wchodząc zawsze musiał skrzesać ognia podkowami; nosił bajówkę koloru piernikowego. O nich już w szkołach mówiono, że najlepsze wiersze pisali.

.....

Pierwszy rok moich szkół w Humanu zacząłem pod najpomysłniejszą wróżbą. Nauczycielem domowym, czyli, jak wówczas nazywano, dyrektorem, był u nas Jan Tomaszewski (później doktor medycyny w uniwersytecie wileńskim i stale mieszkający w Humanu), łagodny, rozsądny, szlachetny, dość

że jego przyjaciółmi, którzy ciągle naszą stancję odwiedzali. byli Seweryn Gałęzowski <sup>1)</sup>, Krynicki <sup>2)</sup>, Grotkowski <sup>3)</sup>, Jurewicz <sup>4)</sup>, z młodszych Goszczyński, Zaleski, Krechowiecki <sup>5)</sup>, Grabowski.

Dziesięcioletni dzieciak, przypatrywałem się i przysłuchiwałem tym zdolnym, szlachetnym młodzieńcom, którzy swem życiem dowiedli, że chcieli i umieli wyższym się celom poświęcić.

Zwyczajnem miejscem do zabawy studentów w piłkę był obszerny plac, zwany Cegielnią, leżący z jednego boku murów bazylikańskich. Tu widywałem Goszczyńskiego w mecie i w palancie. Piłka, silną dłonią puszczana, leciała trafnie i daleko.

leż raz słyshałem Zaleskiego, wiersze deklamującego. bo on przecie ciągle coś deklamował. Raz w pierwszej stancji brat mój siedział na łóżku, a Bohdan Zaleski stał przed nim w pokornej postawie i deklamował; wkońcu obadwaj rzucili się sobie w objęcia, nie rozumiałem, o co im szło, ale to, co mówił Bohdan, było bardzo czułe, bo i mnie się łzy z oczu puściły; potem dowiedziałem się, że to była prośba Priama za ciałem Hektora, a mój brat prezentował Achilleśa i widać, że prośba skutek wzięła, kiedy proszący i proszony tak serdecznie się uścisnęli.

---

<sup>1)</sup> Seweryn Gałęzowski. Jeden z najslawniejszych naszych chirurgów-lekarzy (*Przyp. poety*).

<sup>2)</sup> Krynicki, były profesor mineralogji w charkow. uniwersytecie (*Przyp. poety*).

<sup>3)</sup> Grotkowski, doktor medycyny, powszechnie szanowany w Kijowie jako umiejący lekarz i człowiek najzaciejszy (*Przyp. poety*).

<sup>4)</sup> Jurewicz, za weześnie zgasły, był w uniwer. wileń. zastępcą prof. anatomji porównawczej (*Przyp. poety*).

<sup>5)</sup> Krechowiecki kończył nauki w uniwer. wileńskim i warszawskim. Gruntowne i piękne artykuły, bezimiennie podawane, znajdują się prawie we wszystkich naszych pismach czasowych. Przyjaciel Zaleskiego, Goszczyńskiego i Grabowskiego. On pierwszy pisał o „Zamku kaniowskim” Goszczyńskiego, a jego zdanie wyższa krytyka przyjęła (*Przyp. poety*).

## WIELOGŁOWSKI WALERY.

(1805—1865.)

Publicysta i pisarz ludowy, gorący patriota i rewolucjonista a następnie wyznawca i szerzyciel zasad katolickich i zachowawczych, urodził się 6 grudnia 1805 r. w Proszówkach nad Rabą, w pobliżu Bochni, w domu swej babki, z ojca Ignacego i matki Marjanny z Wielogłowskich. Brat ojca, Kasper, prezes senatu Wolnego Miasta Krakowa, zmarł w Warszawie 1845 r. Dziecięce lata swe opowiedział w skreślonym na lat dziesięć przed śmiercią utworze: „Dom mojej babki“, odtwarzającym wierne tradycjom przeszłości życie patriarchalne dworku proszowieckiego, oddziaływające swoją pogodą i powagą na przyszłe ideały i przekonania pisarza i działacza społecznego, zwracającego się myślą i sercem w burzliwych kolejach żywota ku „sielsko-anielskiemu“ dzieciństwu, spędzonemu pod czułą opieką babki (z domu Badenianki) i rozumnej, zacnej matki. Ojciec odumarł jedynaka bardzo wcześnie. Wielogłowscy, h. Sarykoń, tegoż co i Wielopolscy, wywodzili się z Wielogłów w Sądeckiem, sąsiadujących z Wielopolem. Węzły pokrewieństwa łączyły rodzinę Walerego z Popielami. Stosunki te wprowadzały młodzieńca w atmosferę zachowawczo-katolickich przekonań i polsko-ziemiańskich tradycyj. Początkową edukację jedynaka prowadził w Proszówkach wychodźca francuski ksiądz, kapelan i guwerner jednocześnie. Następnie chłopak umieszczony został w Krakowie, w pensjonacie prof. Sołtykowicza. Tutaj kolegował z Pawłem Popielem i trzema Jełowickimi. Po złożeniu egzaminu dojrzałości w 18 roku życia, wskutek śmierci ojca powrócił do domu i objął zarząd pozostawionego mu w spuście Zborowa (w pow. stopnickim) i jednocześnie poślubił 17-letnią Konstancję Wesslównę, córkę starosty lubartowskiego i Marjanny z Gostkowskich, przedmiot uczuć, trwających od lat dziecińczych. Młody dziedzic dał się porwać wirowi życia hulaszczego bogatszej młodzieży szlacheckiej. Przegrawszy w karty znaczną sumę, dał sobie słowo, że więcej do gry nie usiądzie. Mimo młodego wieku w 22 roku życia został wybrany przez ziemian kieleckich na radcę dy-

rekcji świeżo powstałego Towarzystwa Kred. Ziemskiego i, osiadłszy w Kielcach, oddał się żarliwie nowym obowiązkom. Wciągnięty jednocześnie do udziału w szerzących się po kraju związkach tajnych, zaraz po wybuchu listopadowym wszedł do służby cywilnej nowo zorganizowanego rządu, a następnie zaciągnął się do szeregów. W wojsku doszedł stopnia majora w korpusie Rózyckiego i pozyskał krzyż zasługi. Opuściwszy kraj po upadku sprawy, utracił dobra zborowskie (12 wsi), które podpadły konfiskacie. Nie słabnąc na duchu, mimo takiej zmiany warunków bytu, osiadł w Galicji, wziął w dzierżawę Dębno pod Tarnowem i prowadził tu patrijotyczno-demokratyczną propagandę, podobno w radykalnym wielce kierunku. Towarzyski, ruchliwy, pełen zapału, umiał sobie jednać ludzi i pozyskał wielką popularność i wpływ na okolicę. Zagrożony aresztowaniem i wydaniem władzom rosyjskim, musiał w r. 1836 bez paszportu i pieniędzy uciekać wraz z nieodstępnią w złej doli małżonką, i po licznych przygodach dotarł po kilkotygodniowej podróży do Strassburga, gdzie dopiero uczuł się bezpiecznym. Spotkał tu Bohdana Zaleskiego, bawiącego tu z bratem Józefem, i kilka miesięcy spędził w tem towarzystwie. Pod ich wpływem, a głównie przez nawiązanie bliższych stosunków i korespondencji z Bohdanem Jańskim (od r. 1838), odrodzicielem ducha chrześcijańskiego i katolicyzmu wśród emigracji, Wielogłowski z radykalnego demokraty staje się chrześcijaninem-katolikiem. W pięknym liście, pisanym z Wersalu, do przebywającego w Alzacji Wielogłowskiego, stara się Jański hamować zapaleńca, krańcowego zawsze w swych uczuciach i przekonaniach. „Jako poseł i reprezentant całej naszej duchowej rodziny z tyłu i tak szanowanymi braćmi z kraju, staraj się, żeby ciągle mówiła przez ciebie Caritas. Strzeż się egzagerowania naszych przedsięwzięć i co powiesz, mów w duchu najszczerzej pokory chrześcijańskiej, prostoty i nieograniczonej ufności nie w naszych siłach, ale w Bogu, w duchu ścisłej, rzetelnej prawdy“.

„I rzeczywistość i roztropność radzi, żeby prócz uczuć patrijotycznych i narodowych — nie szukać dla nas żadnej politycznej roli — nie wchodzić w żadną utarczkę ze stronictwami, ale główną rzeczą jest prowadzenie życia chrześcijańskiego, o ile można doskonałego, a to bez względu na stan duchowny czy świecki, małżeński czy bezżenny, tę lub inną profesję. Dokładajmy wszelkich sił i środków ku naprawie naszych współbraci. Gdy wszyscy zatopieni w interesach i pasjach — my starajmy się łączyć ku obronie prawdy, mimo naszej słabości i niedoskonałości. Nie powinniśmy wchodzić do żadnej partji, czy demokratycznej czy arystokratycznej, bo w obu stare natchnienia, stare myśli niechrześcijańskie“. — Mimo najgorętszego uwielbienia dla swego mistrza, którego dogląda w chorobie śmiertelnej, nie pozostanie Wiel. wiernym jego mądrym i wzniosłym radom. Krańcowość w przekonaniach, gwał-

lowność i wojowniczość w ich propagandzie i obronie cechować go będą aż do śmierci. Po zgonie Jańskiego, pod wpływem i za przykładem Mickiewicza zostanie uczniem Towiańskiego, lecz wystąpi z koła, skoro przekona się, iż kościół nie uznaje tej nauki. W tym czasie odbył z żoną pielgrzymkę do Rzymu i miał sposobność na przyjęciu u papieża udzielić Grzegorzowi XVI szczególów o ciężkim stanie katolicyzmu w Polsce. W czasie tego pobytu córeczka Wielogłowskich zachorowała niebezpiecznie i przez przywołanych lekarzy uznana została za konającą. Zrozpaczony ojciec biegnie do pobliskiego kościoła augustjanów i, zastawszy tam świeżo wprowadzone nabożeństwo majowe ku czci Matki Boskiej, robi ślub, iż w razie ocalenia dziecka postara się zaprowadzić je w Polsce. Wróciwszy do domu, zastaje córkę śpiącą spokojnie po przezwyciężeniu przez organizm choroby. Spędziwszy czas jakiś w różnych miejscowościach Francji południowej, wraca Wielogłowski do Paryża, gdzie zakłada dom komiśowy. W swoim skromnym mieszkaniu gromadzi on co czwartek przedstawicieli różnych kół emigracji. Pod wpływem prądów demokratycznych, radykalnych, rozwijających się wśród emigracji i w kraju przed wypadkami r. 1846, które rzuciły tak jaskrawe światło na tę propagandę, pisze Wielogłowski i ogłasza w jesieni tegoż roku swą pierwszą pracę: „Polska wobec Boga“ (Paryż 1846). Książka ta jest wynikiem wieloletniego procesu ścierania się w gorącej, wrażliwej duszy autora różnorodnych przekonań i ideałów, którym kolejno hołdował. Proces ten zakończył się stanowczym zwrotem do wierzeń katolickich i przekonań zachowawczych. Osnowę książki stanowią rozważania religijno-moralne nad pytaniami polityczno-narodowymi. Rozstrząsa on tu właściwości charakteru narodowego, śledząc w nim kolejno objawy siedmiu grzechów głównych. Rozdziały o lenistwie i zazdrości wyróżniają się prawdą i doniosłością spostrzeżeń i sądów. Zajmując wysokie stanowisko moralne, z równą surowością piętnuje błędy i występki tak arystokracji, jak demokracji. Przy prawowierności katolickiej czuć jednak wpływ „Ksiąg pielgrzymstwa“ i pojęć „Przedświtu“ i „Psalmów“ w upatrywaniu idealnej doskonałości w Polsce wieków dawniejszych (przed w. XVI), zawdzięczającej to szczególnej łasce Boga, z której utratą wskutek osłabienia wiary nastąpił upadek Rzeczypospolitej. Rewolucja r. 1848, którą przeżył Wielogłowski w Paryżu, otworzyła emigrantom polskim wstęp do Galicji i Poznańskiego. Wielogłowski przez Brukselę, gdzie korzystał z gościny w domu generała Skrzyneckiego, udał się do Wrocławia i tam, spotkawszy się z kilku rodzinami spokrewnionymi z nim, udał się z całym tem kołem do Altwasser na Śląsku, gdzie napisał książkę: „Emigracja polska wobec Boga i Narodu“ (Wrocław 1848, str. 232), poświęconą gen. Skrzyneckiemu. Jest to owoc rozmyślań i doświadczeń „zakończono-ego okresu życia emigracyjnego. Podniosłość stanowiska religijno-

narodowego łączy się tu z trzeźwością pojęć i sądów. Przy parciu Pawła Popiela, dawnego kolegi szkolnego z zakładu Sołtykowieza, — który przebywał współcześnie w Altwasser, — uzyskał od Gołuchowskiego, świeżo mianowanego namiestnikiem Galicji, pozwolenie powrotu w strony rodzinne i osiedlił się w Krakowie. Pierwszym czynem po powrocie było spełnienie ślubu, wykonanego w Rzymie. Z pobudki Wielogłowskiego duchowieństwo krakowskie zaprowadziło w r. 1849 nabożeństwo majowe w kościele P. Marji. On zaś wydał książeczkę („Nabożeństwo majowe“, Wrocław 1849) z odpowiedniami modlitwami i pieśniami. Pożar Krakowa w r. 1851 staje się bodźcem dla spotęgowanej działalności całego koła ludzi, pragnących odrodzenia podupadłej stolicy Jagiellonów. Zgromadziwszy, przy pomocy życzliwych, skromny fundusz, rozpoczyna Wielogłowski różnostronną działalność obywatelską i przedsiębiorczą. Zakłada Towarzystwo Sztuk Pięknych, którem, jako sekretarz, aż do śmierci kieruje energicznie, walcząc z powszechną wówczas obojętnością dla sztuki i niewiarą w możliwość rozwoju sztuki polskiej. Zajmuje się również gorliwie zbieraniem składek na dom Towarzystwa Naukowego, budzącego się wtedy do życia. W zawiązanem później Towarzystwie Rolniczem zostaje dla swej energii i ruchliwości powołany na członka komitetu. Z jego inicjatywy i starania powstaje szkoła rolnicza w zakupionym na ten cel Czernichowie. Świeżo powstała rada miejska krakowska ma w Wiel. pracowitego, skorego do inicjatywy, członka. Jednocześnie zakłada dom komisowy, zakład picia wód mineralnych na Plantach, litografię i księgarnię nakładową dzieł katolickich. Wydaje dzieła Dzieduszyckiego (Zbigniew Oleśnicki, Piotr Skarga), pisma ks. Antoniewicza, „Podróż na Wschód“ Manna, Kazania ks. Goliana i długi poczet książek treści religijnej, dla ludu przeważnie. Nie wyczerpany w pomysłach, mających na celu podniesienie kulturalne życia narodowego, projektuje urządzenie wystawy przemysłowej na Błoniach krakowskich, żeglugi parowej na Wiśle. Kupiwszy pod Krakowem wieś Rybnę, nawiązuje z ludem przyjazne stosunki i umie sobie tak ująć wieśniaków całej okolicy świadczonymi im przysługami, że go przez długi czas w latach późniejszych będą wybierać na posła do sejmu. Zetknięcie to z ludem pobudzi do pracy nad szerzeniem oświaty przez rozwój pismienictwa ludowego. Zakłada szkółkę w Rybnie, projektuje sobie wydanie taniej książeczki do nabożeństwa, kilkokartkowej, po cencie sprzedawanej, któraby w miljonie egzemplarzy rozeszła się po Polsce, sięgła Śląska i Łużyc.

Młodzińczy demokracizm, przekształcający się stopniowo pod wpływem chrześcijańsko-katolickich przekonań i uczuć wieku dojrzalszego, zwraca teraz działalność Wielogłowskiego ku oświecaniu i umoralnianiu ludu. Jako autor licznych i wielką popularnością cieszących się książeczek ludowych, był on w swoim czasie naj-



wybitniejszym i najzasłużeńszym pracownikiem na tem polu, pokrewnym duchowo ze współczesnym mu ks. Antoniewiczem, a poeżęści i z ks. Janem Koźmianem. W przeciwstawieniu do działalności demokracji ówczesnej i jej doktrynerskiego radykalizmu, działacze powyżsi są pionierami późniejszej demokracji chrześcijańskiej. Rok 1846 popchnął ich do pracy w tym kierunku, a praca ta znalazła moralne, a stopniowo i materialne poparcie społeczeństwa i rozszerzy się stopniowo na cały obszar ziem polskich. Ks. Antoniewicz rozwija między r. 1846 a 1852 niezmierną działalność misjonarską i oświatową wśród ludu polskiego w Galicji, a od r. 1848 na Śląsku i w Wielkopolsce, jednocześnie zaś w Krakowie rozpocznie Wielogłowski działalność swą jako pisarz i wydawca różnorodnych książeczek, kalendarzy dla ludu tudzież obrazków życia ludowego, odtwarzających różne postacie ludowe i warunki ich życia dla poznajomienia klas wyższych z potrzebami i położeniem ludu. Najważniejszym i największym rozmiarami z tych obrazków jest „Komornica czyli tajemnice życia wiejskiego“ (Kraków, 1862, str. 384). Jest to obraz ciężkiej doli bezrolnych komorników, odtworzony ze znajomością życia ludu i jego mowy, lecz pozbawiony artyzmu i głębszego wnikięcia w dusze wieśniacze. Dla rozbudzenia ducha katolicko-polskiego wśród klas wyższych ogłasza książkę: „Polska na drodze pokoju i miłości“ (Kraków, 1850), wydaje cały szereg książek do nabożeństwa, książek religijno-moralnych oryginalnych i tłumaczonych, kalendarzy, noworoczników. Wspomnienia swego dzieciństwa bierze za materiał do obrazka „Dom mojej babki“, obejmującego pod szerszą całość zapowiadającym tytułem: „Zwiady świata i ludzi“ tylko część I od r. 1800 do 1816 (Kraków, r. 1856, str. 425). Jednocześnie prowadzi Dom Handlowo-Komisowy interesów ziemiańskich. Pośredniczy w sprzedaży zboża i produktów wiejskich na rynkach niemieckich, sprowadza z Anglii maszyny i narzędzia rolnicze. Brak fachowego przygotowania, nieakuratność ziemian w dostawie sprzedanych produktów i wypłatach należności przeszkadzały do pomysłnego rozwoju tego przedsiębiorstwa. Rozwijające się po wojnie włoskiej (1859) życie polityczne w Galicji i współczesny ruch na obszarze ziem polskich w granicach państwa rosyjskiego pobudzą Wielogłowskiego do czynnego udziału i zabierania głosu. Kwestja rzymska i wywołany przez nią adres katolików polskich do Piusa IX, broniący władzy świeckiej papieża wbrew pragnieniom i dążeniom patriotów włoskich i opinii publicznej, sympatyzującej w Polsce z temi dążeniami, ściągnął na Wielogłowskiego, jako jednego z promotorów adresu (Paweł Popiel, M. Mann, Adam Potocki, Leon Rzewuski), piętno wsteczніка i ultramontanina. Potępienie przeważnej części ówczesnego ogółu oświeconego wywołało w duszy namiętnego i skłonnego do krańcowości działacza oburzenie i nienawiść dla przeciwników, a więc i potępienie dla

rozpoczynającego się wtedy ruchu narodowego, który, choć nie wywieszał hasel rewolucyjnych i przybrał poważny, religijny charakter, to jednak wiązał się dążeniami i sympatjami ze współczesnym, za podjętą i wzór mu służącym, ruchem włoskim wyzwolenia i zjednoczenia całej Italji. Garibaldi silnie oddziaływał na wyobraźnię i serca polskie, niż rozważny kierownik i główny twórca jedności włoskiej, Cavour. Stąd w kwestji rzymskiej sympatje ogółu, niezdolnego pojmować doniosłości tej sprawy dla kościoła, zwracały się ku dążeniom włoskim. Zajęte w tej kwestji stanowisko zachowa Wielogłowski z całą zwykłą mu bezwzględnością i krańcowością i wobec ruchu narodowego polskiego, w którym będzie widział pojaw i wynik dążeń i usiłowań rewolucyjnych, radykalnych, zagrażających przyszłości narodu, zaczynającego się normalniej i żywiej rozwijać i brać do pracy kulturalnej, dzięki przyjaźniejszym warunkom, wytwarzającym się w Austrii i Rosji. Stąd za główny obowiązek obywatelski uważa on teraz walkę z ruchem patriotycznym, przyjmującym postać szeroko rozpościerającej się organizacji tajemnej, mającej na celu przygotowanie zbrojnego wybuchu. W wydawanym przez siebie tygodniku — a wkońcu miesięczniku — „Ognisko“ (1860—1865), poświęconym sprawom rolnictwa, przemysłu i handlu, sztuk i rzemiosł, tudzież w „Kalendarzu dla rodzin katolickich“ występuje przeciw rosnącemu gwałtownie ruchowi i jego rozmaitym objawom, walcząc bronią ironji, satyry, ostrzegając przed zgubnymi skutkami środków rewolucyjnych, potępiając rolę, jaką w ruchu odgrywała niepełnoletnia młodzież i kobiety, piętnując zamachy w r. 1862 i terrorystyczne środki, stosowane w późniejszej fazie ruchu zbrojnego. W „Kalendarzu“ z lat 1862 do 1864 umieścił trzy części swego „Dramatu spraw obecnych“, odtwarzającego w formie dramatycznej, w szeregu postaci charakterystycznych, cechy ujemne ruchu ówczesnego (od 1861 do 1864). Bezwzględnością swych wystąpień i potępień wywołał w roznamiętnionych i przeczulonych duszach ówczesnych oburzenie i potępienie. Nawet przedstawiciele konserwatywnego obozu uważali wystąpienie Wielogłowskiego za niewłaściwe, przedwczesne conajmniej. W liście, pisanym na kilka tygodni przed śmiercią, wyraża on zamiar opuszczenia Krakowa, gdyż widzi, iż praca jego jest bezskuteczna, a „współwiercy polityczni dobrzy ludzie, ale trwożliwi, poświęcają prawdę, umizgając się do popularności... Widzę z boleścią, iż idzie społeczeństwo w przepaść, bo brnie w nieprawość ducha i zatrute jest w sercu“. Wzburzenie opinji, drażnionej ostrością ataków i szyderstw publicysty, poniewierającego ówczesny patriotyzm na podstawie bolesnego doświadczenia, nabytego przez udział w wypadkach 1831 i 1848, wyraziło się wreszcie zniewagą, wyrządzoną Wielogłowskiemu na ulicy. Wywołana przez to zajście silna gorączka spowodowała, w trzy dni później (4 czerwca 1865 r.) śmierć osamotnionego głosiciela idei, które przeżył w rok

po jego zgonie zaczęną zyskiwać sobie uznanie i poparcie w umysłach nie tylko przeciwników, ale i niedawnych uczestników dogasającego wtedy ruchu. Powstający w r. 1866 „Przegląd Polski” podejmie, tylko w zmienionych warunkach i nastrojach ogółu, idee głoszone przez Wielogłowskiego, adres sejmu galicyjskiego uczyni z nich szlandar dla powstającego wtedy stronnictwa konserwatywnego, a „Tekę Stańczyka” będzie posługiwać się, z większą może ciętością i ironją, argumentami, jakie ściągnęły wybuchy oburzenia i gromy potępienia na redaktora „Ogniska”.

## BIBLIOGRAFJA.

Ani zbiorowego wydania pism, ani pośmiertnych wydań (z wyjątkiem dziełka „Kraków przed 40 laty”) nieogłoszonych za życia utworów Wielogłowskiego nie było. Ponieważ w ciągu biografji nie można było omawiać długiego szeregu licznych, mniejszego znaczenia zwykle, prac i broszur, książeczek ludowych, niedostępnych przytem piszącemu, bo nie znajdujących się w księgozbiorach warszawskich, przeto podajemy tu możliwie pełną bibliografię, wedle charakteru pism rozklasyfikowaną, mającą dać obraz różnorodnej a obfitej działalności tego publicysty i pisarza ludowego.

A) Polityczno-moralne: „Polska wobec Boga” (Paryż, 1846), „Emigracja polska wobec Boga i Narodu”, (Wrocław, 1848 u Schlettera, str. 232), „Polska na drodze pokoju i miłości” (Kraków, 1850 r., 2 wyd. 1865 r.), „Westchnienie pobożne za dynastją Czartoryskich w Polsce, postane z ziemi ucisku do synów jej w rozproszeniu” (Paryż, w księg. słowiań., 1840, str. VIII i 192), „Godła rewolucyjne wobec prawdy” (Wrocław, Storch, 1849 str. 44), „Dramat spraw obecnych w kilku odstonach” (Kraków, 1863, część I, str. 61, część II, 1864, str. 106, dalszy ciąg 1864, str. 84, część III 1865, str. 108).

B) Obrazy obyczajowe: „Trzy powieści moralno-obyczajowe” (Kraków, 1853), „Zwiady świata i ludzi. Oddział I od r. 1800 do 1816. Dom mojej babki — Kraków 1856, str. 425, „Jarmark w Dobrowej” w trzech obrazkach (Kraków, 1857, str. 97), „Obrazek wiejskich rozkoszy. Żniwo dworskie”, (Kraków, 1857, str. 94). „Obrazek oderwany. Pisarz prowentowy, kucharz, lokaj, panna” (1857), „Obrazki z obyczajów domownictwa wiejskiego” (gospodyni, fornale, dziewczki), przypisane braci Szlachecie (Kraków, 1857, str. 223), „Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego” (1856—1857, zeszyt. 7, 2-e wyd. 1857, trzecie w tomie jednym), „Jedynaczka czyli walka uczucia z rachubą”, powieść (Krak. 1858, str. 316). „Kucharki, obrazek z obyczajów domownictwa miejskiego” (Krak. 1858, str. 102), „Komornica, czyli tajemnice życia wiejskiego” (Krak. 1862, str. 384, trzecie wyd. Lublin. 1908).

C) Gospodarczo-przemysłowe: „Plan do Towarzystwa Akcjonariuszów w celu założenia kąpieli w Solcu“ (Kraków, 1830, str. 8), „Bekanntmachung von der Mineralquelle zu Solec“ (Breslau, 1830), „Kalendarz rolniczo-przemysłowy na r. 1859“ (Kraków), mieszczący rozprawy o miłości ziemi rodzinnej, szkole rolniczej w Czernichowie i Banku rolniczym. Zapewne ta sama rozprawa wyszła r. 1860 osobno p. t. „O potrzebie banków, rolniczych“; „O szkole politechnicznej i górniczej“ (1861), „O żebractwie“ (1861), „Kraków jako główne targowisko zbożowe“ (1860, str. 58).

D) Różnej treści: „Kościoły krakowskie (staloryty z opisem, Krak. 1855, w 12-ce), „Kościół św. Katarzyny w Krakowie“, (Krak. 1858, str. 110), „Kraków przed czterdziestu laty“ (wyd. pośmiertne, dopełnione przez L. Siemieńskiego — Krak. 1871, nakł Jaworskiego, str. 298), „O poruszaniu i wróżbiarstwie stołów“ (Krak. 1853), „Pożary“, obrazek (1859), „Historja o komecie“ (1857), „List posła z gmin wiejskich do wyborców“ (1861), „Wiadomość o sejmie galicyjskim“ (1861), „Groszówka czyli nauka czytania dla wiejskich dzieci“ (Krak. 1863, str. 56), „Groby polskie w Irkucku“ (Krak. 1863, str. 72), „Podróż do Rzymu i Paryża w r. 1861 odbyta przez Feliksa Borunia“ (1862 i 1890), „Podróż na szerokim świecie“ (1864), „Lalka od dziadunia“ (Kraków, 1856, str. 104, 2-e wyd. 1868), „Medycyna wiejska“ (1859 i 1865). Wielkie powodzenie miała: „Niewiasta“ (Krak. 1855 — piąte wyd. 1860).

E) Książki treści religijnej: „Nabożeństwo majowe“ (Wrocław, 1849, str. 516), „Książka do nabożeństwa katolickiego“ (Kraków, 1851, str. 261, 2-e wyd. 1861, 3-e wyd. p. t. „Ołtarzyk mały polski“, Krak. 1862, str. 282), „Modlitwy i obchody kalwaryjskie“ (1851, str. 216), „Książka parafjalna rzym.-kat. nabożeństwa“ (1858, str. 450), „Ołtarz rzym.-katol. nabożeństwa“ (1859, str. 404), „Ołtarzyk rzym.-katol. naboż.“ (1859, str. 285), „Żywot błogost. Andrzeja Boboli“ (1853), „Żywot Najśw. Panny Matki Zbawiciela“ (1856), „Poczet świętych i błogosławionych patronów polskich“ (1858, ze stalorytami, wyd. 2-e 1862), „Żywot panny de Lamourous, zw. Dobrą matką, założycielki i przełożonej w Bordeaux“, Hum. z francusk. (Kraków 1858), „Pokarm duchowny dla młodzieży katolickiej“ (1862, 1867), „Pokarm duchowny dla małych dzieci“ (1868, str. 126), „Święty Izydor oracz za wzór rolnikom podany“ (Krak. 1863, str. VIII i 144).

F) Kalendarze i czasopisma: „Kalendarz dla rodzin katolickich“ (od r. 1854 do 1865 przez lat 12. Tu pomieszczał w latach: 1863, 1864 i 1865 swój „Dramat spraw obecnych“), „Noworocznik katolicki dla dam na r. 1855“ (str. 140), „Kalendarz rolniczo-przemysłowy na r. 1859“, „Ognisko“, pismo tygodniowe, poświęcone interesom rolnictwa, przemysłu, handlu, sztuk i rzemiosł“ (od r. 1860 do 1 lipca 1861 — wznowione od 1 stycznia 1862, wycho-

działo później w zeszytach miesięcznych i przybrało charakter polityczny, przestało ukazywać się w r. 1865 w jakiś czas po śmierci redaktora).

Biografię Wielogłowskiego wkrótce po śmierci ogłosił Ludwik Dębicki w „Kalendarzu na r. 1866” (Kraków). Obszerne, pamiątkowe, dalekie od ścisłości, wspomnienie pomieścił także sam pisarz w książeczce: „Portrety i sylwetki z dziewiętnastego stulecia” (Lwów. 1905, od str. 28 do 114). Znaleźć można też szczegóły o Wiel. w listach Andrzeja Koźmiana.

## Emigracja polska wobec Boga i Narodu.

Str. 204 — 217.

Rozdział X.

### Wczoraj, — dzisiaj — i jutro.

Zdać sobie rachunek z tego, co było wczoraj; wiedzieć, co czynić dzisiaj, — przeczuc, co będzie jutro — oto jest cały rozum człowieka, zajmującego się politycznym w kraju działaniem. Czyli wyraźniej: Znać pierwotne i plemienne źródło narodu, a zarazem jego słowo twórcze, — pojmwować też usposobienie kraju w chwilach obecnych i drogę, na której się społeczeństwo rozpędziło, — a z tych dwóch prawd znajomych domyślać się trzeciej — przyszłych kraju przeznaczeń... oto jest drogowskaz dla tych, którzy rządzą, lub którzy posiadają w narodzie przewagę.

Lecz niestety! Dzisiaj (w całym świecie podobno), a tem bardziej w Polsce: mało kto wie, skąd wyszedł, gdzie ma iść i gdzie zajdzie? Jedni wprawdzie znają przeszłość, bo z niej i w niej wyrosli, w niej jeszcze całem jestestwem żyją; lecz, nie pochwyciwszy w czasie obecnym wątku dalszego rozwoju myśli ludzkiej, ani zapuściwszy wzroku w krainę przyszłości, kończą bezowocnie na granicy nowej epoki żywot swój moralny i wśród boleści skonania żadnej już nie mają siły ani odwagi.

— Nie patrzą oni na zmiany jako na kolebkę nowego porządku, ale raczej jak na grób otwarty dla całej ludzkości. Nie widzą odrodzenia się w nowej latorośli, ale śmierć dostrzegają w starym pniu społecznym. — A stąd sami przerażeni: sięją też wszędzie strach i obawę; sami o wszystkim wątpiący,

roztrącają zaufanie powszechne; i jak ptaki przed burzą, wypełniając powietrze rozpaczliwym piskiem, nie umieją cięższej nad światem odwrócić chmury, ale w błędnym i nieoznaczonym polocie sami się płaczą i giną.

Inni zaś jako proste najemniki teraźniejszości: nie nosząc na sobie tradycji narodowej i nie czerpiąc z przeszłych dziejów szlachetnego natchnienia do sprawy wieku, ale jak niskie i ślepe narzędzia tajemnych wyroków opatrności (bez jaśniejszego w cel wyższy spoglądu) stoją z młotem i siekierą na świata porębie, a w sążeń rozmiarząc ciało narodowe, rąbiają go i piłują w trzaski i trociny, w myśli szczerej lub nieszczerej, że są ogrodnikami społecznego sadu i suche obcinają gałęzie, albo szczepią zraz rodzajny w dziką wieku płonkę.

Inni wreszcie: ani w gruncie przeszłości, ani na powierzchni teraźniejszych potrzeb nie czerpiąc żywiołu, kwitną pomysłami, mniej lub więcej trafnymi, przyszłych świata przeobrażeń. — Oni to prawdy odwiecznej poronione dzieci... chybione proroki, są w społeczeństwie jakby bukiet w szklance, który choć ładny i pachnie, to przecież rychło więdnije i nie zostawia po sobie ani pożytku ani zasiewu. — A tak społeczeństwo targane jest między trzy myśli, odnoszące się do trzech kresów czasu, które zamiast płynąć jedna z drugiej, zaprzeczają się nawzajem. — Ciężkie i smutne położenie szczególnie dla Polski, którą potrójny nieprzyjaciel wewnętrzny prześladowuje. — Dziwne bo też między nimi jest podobieństwo!...

Teraz zaś: abyśmy głównemu w tym rozdziale założeniu odpowiedzieli, rozbierzemy ważniejsze zadania dla Polski i dla emigracji ze względu na: wczoraj, dzisiaj i jutro.

## W i a r a.

Wiara chrześcijańska — katolicka w przeszłości narodowej była słowem twórczym, urządzającym i łączącym nas w społeczeństwo, była więc źródłem życia, porządku, siły, postępu i jedności i stała się panującą: bo jakiejżeby myśli, jeśli nie

Bożej (w narodzie, który w Bogu jest poczęty) panowanie nie należało?... — Ale później wiara nasza słabła, a my, zniżając się w duchu, staliśmy się ludźmi obrzydka, a nie wiary. — W czynach gorszący, w mowie puste, zuchwali i kłamcy, traciiliśmy wiarę naszą i miłość, a zachowaliśmy tylko wiedzę i tytuł. Dlatego to z wystudzeniem miłości wiara nasza cierpka nie pobłażająca i prześladowcza dla innych wyznań (przy myśli polskiej się wiążących), odstręczyła ich i od wiary i od Polski.

Dzisiaj nie ma żadnej wiary w Polszcze: a chociaż są ludzie jeszcze wierzący, to w ogólności społeczeństwo niereligijne. — Duchowieństwo jest upadłe, poniżone, zależne i nicoswiecone. Większa część służy nietylko rządowi, ale i wszelkiej innej wyższości ziemskiej, lub też poddaje myśl Bożą opinjom wieku. Zniża się ze wzgórza wieczystych w świecie przeznaczeń do padoleu dziennych zwad ludzkich i teoryj wędrownych. — Chce to niby znaleźć się w postępie, a rzeczywistość jest w upadku. — Dlatego też nie ma u ludzi ani szacunku ani budzi w nich wiary, ale, piastując tylko urząd duchowny, wyrzeka się pasterstwa dusz i świętego kapłaństwa. Rządy są pogańskie, a gorzej jeszcze: bo judaszowskie. — One to, ciemiężąc kościół, udają fałszywą wiary protekcją. — Panowie są rozpustni, a lud idąc za przykładem: rządów, księży i panów — stracił wiarę serdeczną, a nie nabył rozumowej i został bez żadnej zasady religijnej.

Jutro wiary przewidujemy szczęśliwsze: ale nie na tej już drodze, co pierwej. Religja katolicka będzie wprawdzie panującą, ale w skutku wolności, a nie urzędowego lub duchownego przymusu. Będzie panującą, chociaż nie rządzącą, i wpływać tylko będzie na społeczeństwo jako prawda, w zupełnej wolności ducha przyjęta. Stanie się ona owszem rozwiązaniem niewoli duchowej, będzie oświeceniem i uświęceniem sumienia, ale urzędową nie będzie doktryną, służącą jak dotąd rządowi do uciemniania ludów, a ludom do rokoshu przeciw władzom. Bogu bowiem poddani wszyscy być powinniśmy, ale Bóg w służbę iść nie może, ani do rządów, ani do ludów.

Pragnąc przeto wolności sumień dla wszystkich, postara się najprzód Polska o wolność dla wiary katolickiej. — o swo-

bodne jej rozwijanie się przez słowo-pismo i naukę, o uwolnienie duchowieństwa z pod jarzma zależności od władz cywilnych, o wolność dla stowarzyszeń duchownych i świeckich, słowem: o swobodę dla rozwoju myśli Bożej na drodze moralnej i religijnej, a razem: znajdzie środki, iżby młode duchowieństwo w zakładach, na ten cel przeznaczonych, zupełniejsze i wyższe odbierało wychowanie. Inne, a nader ważne pod tym względem przeczcucia w tej chwili podać nie mogę, a dziś się tylko o wolność dla sumień naszych przedewszystkiem upominając, winszować będę narodowi, jeśli wolności od wiary i wiary od wolności nie odłączy. Co się tyczy Emigracji, zdaje nam się, iż ona, zaniedbawszy się z początku w obowiązkach religijnych — a chwiejąc się dzisiaj między wspomnieniem fałszu a przeczcuciem prawdy, niezadługo już oburącz uchwyci się kotwicy wiary i w najwyższej przed Bogiem i narodem stanie zaśludze. Jakaś tajemnica Boża ukrywa się wśród tej emigracji: tajemnica, która leży pod głębokimi warstwami myśli napływowych. Ale niechżeby się kiedy jak w artezyjskiej studni dokopała dna swoich przeznaczeń, a ręczymy, iż z niej tryśnie bogaty źródło prawdy na cały naród — a może i na wiele narodów.

### Władza świecka.

Wszelki urząd w Polsce płynął dawniej z jedyne go tylko pojęcia ojcowskiej Boga nad światem władzy, a tem samem był w naturze swej patrijarchatem:

Król był ojcem narodu, tak jak szlachcic, będąc krolem swojej wioski, był także ojcem włóscian swoich. Stąd to i tytuły, dawane z początku władzom świeckim, odnosiły się do ojcostwa jak do potęgi. I tak np. królowi mówiono „Miłosciwy Panie“ a do szlachty: „Jego Mość“ czyli, „Jego Miłość“. Widzimy dotąd jeszcze pomiędzy ludem, iż włóscianin, żądając jakiej pomocy lub rady, tak się odzywa: „Udaję się najprzód do Boga“, a potem do Pana, jako do Ojca! Słyszałem również wielu właścicieli wsi, nazywających włóscian swoich dziećmi i mówiących np. „Szczęść wam Boże, dzieci“ i t. p.



To ojcostwo wszakże, które nie płynęło z krwi, ale tylko z ducha, opierało się wyłącznie na wierze i było tylko prawdą o tyle, o ile wiara urządzała wzajemny w społeczeństwie stosunek; ale po upadku wiary i w ojcach i w dzieciach stało się fałszem, który to fałsz tak rządy, jak i niebaczne propagatory podniosły i przeciwko wszelkiemu zwierzchnictwu rodzinnemu obróciły.

Dzisiaj: niema żadnej władzy ani urzędu prawnego w Polsce, ale tylko przemoc, lub władza z buntu (która jest rodzajem przemocy, jenó mniej porządnej, a więcej dzikiej). Stosunek ojcowskiego zwierzchnictwa skończył się u góry z ostatnim królem polskim, a stosunek szlacheckiego ojcostwa skończył się z pierwszym słowem, wyrzeczonym do włościan „bierz“, a ze słowem zbójeckim, wyrzeczonym przez władze obce: „rznij“. Te dwa wyrazy, powiedziane na ziemi polskiej, odbiły się żałobą w niebie, a w piekle radością, bo panowanie Boże zniżyły, a podniosły rząd szatana i, tem samem zgasiwszy w sumieniach światło Boże, oświeciły Polskę pochodnią, w ogniu zawiści zatloną. I od tej chwili skończyło się ojcostwo i braterstwo, a stanęli wobec siebie sknercy i rabusie, a w pośrodku nich obce szatany jako szczwacze, a pod nimi kałuża krwi, a nad nimi przekleństwo Boże. I stanęły dwa obozy, z których jeden wyobrażał przeszłość niepowrotną, a drugi przyszłość zwichniętą. Kto się zaś do żadnego z tych zastępów nie zaciągnął, skrył się i uchylił, aby siebie ratować, choćby kosztem Polski: a przecież powinien był stawić z siebie i z drugich zastęp pojednawczy w imieniu miłości i prawdy Chrystusowej, aby walczące rozbroić, a ginące ratować. Powinna się była już z ludzi rozsądnych i poczciwych, a Boga w sercu mających, utworzyć silna opinia publiczna, tyle sprawiedliwa, pośrednia, ile godząca w sobie różnicę dwóch ostatecznych zasad, które się do walki na śmierć wyzwały. Lecz dotąd ciało polityczne, myśl pojednania w duszy piastujące, nie pojawiło się w Polsce i dlatego: przesadzone wymagania demokracji obudziły strupieszalą odwagę jakiegoś zbiegowiska upartych zachowawców, którzy ze swego państwa, w próchno się sypiącego, nie ustąpić nie chcą, ale, zasiadłszy na popiołach dawnych praw i przywilejów, budzą ostatniem technie-

niem szkielet swojej władzy i bronią się pismem i bełkotaną mową. Wszakże nie nie poradzą ci panowie przeciwko dokonanemu czynowi, — przeciwko duchowi czasu, — przeciwko temu, co jest dzisiaj. Demokracja panuje... przyjąć ją trzeba jako niezbędną konieczność, ale poprzestać na niej nie można, jako na zasadzie wysanej równie jak i arystokracja z ziemskiego błota, a więc niedostatecznej. Demokracja panuje... i zwyciężyła na głowę stare społeczeństwo, które się ze wszystkich cnót wyzuło, a tylko wszystkie wady przeszłości zachowując, upornie ich do dziś dnia broni. Stare społeczeństwo niech się szamoce, jak chce, to już demokracji na drodze zapastnictwa nie zwalczy;... mogłaby starszyzna posunąć młode społeczeństwo naprzód (gdyby umiała), ale że nie umie, więc go też wtył nie cofnie. Cóż wszakże ta walka starego rozpustnika naszej arystokracji z młodym szaleńcem wyrosłej u nas demokracji w kraju sprowadzi?... oto mężobójstwo!...

Zatną się w zaciekłości obydwaj szermierze: ojciec zapomni, że walczy z synem, i syn zapomni, że walczy przeciwko ojcu. Brat młodszy ze starszym na miecze się zetną i tryśnie krew jednorodna, ze źródła rozbratu. W piekło więc dwa stronnictwa na siebie zajadłe nieszczęśliwą Polskę pędzą. A dlaczego tak jest, mój Boże! bo pogańskie jest społeczeństwo tak demokratyczne, jak i arystokratyczne. Każde z nich chce Polski dla siebie, a nie chce poświęcić siebie dla Polski. Żadne z nich nie ma miłości chrześcijańskiej, wyrozumiałości, polubowności, ale uparte w głupstwie: fałsz swój uwielbiło, a w tym fałszu siebie. Każde chce rządzić, a żadne z nich nie wie, że wedle słów Chrystusa Pana ten tylko ma prawo rządzić społeczeństwem, który szczerze, w pokorze ducha i miłości zupełnej jest i chce być sługą braci swoich. Że zaś rządy zaborecze dzisiaj myśl demokratyczną w Polsce wzięły na swoją rękę i obracają na własną korzyść, a przeciw ją kładą na nasz rachunek i demokracją polską skutkami własnej propagandy obciążają, przeto do życzenia byłoby Towarzystwu Demokratycznemu w emigracji, jak również mało — niebezpiecznemu, ale niepotrzebnemu Towarzystwu Monarchicznemu, aby się rozwiązały, a nie dawały pozoru utrzymywania w kraju

gorszących rozdwojen. Zrobiłyby w tem rzetelną krajowi przysługę.

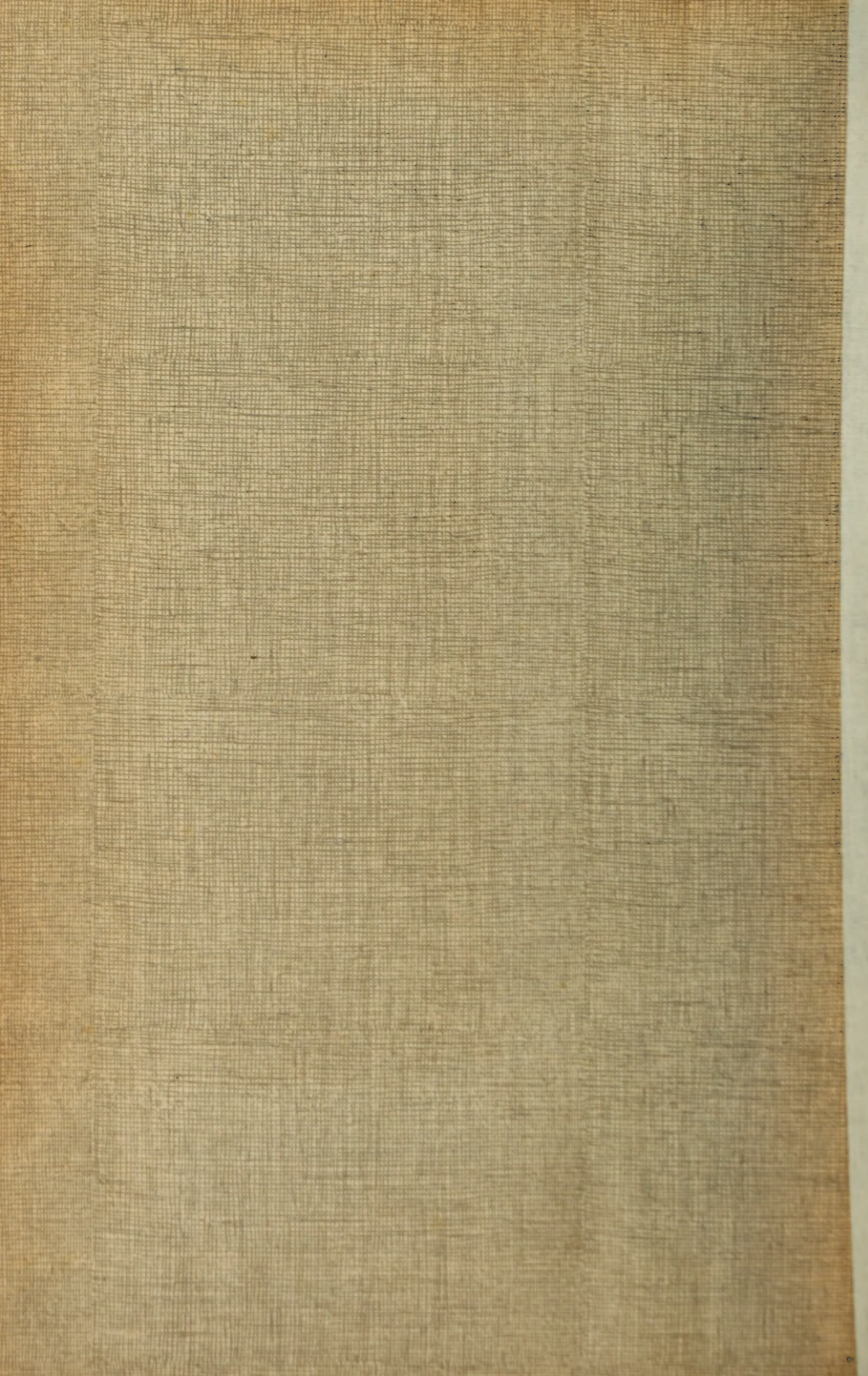
Jutro społecznego w Polsce układu: zaciemnia mi się w widzeniu, bo nietylko przegradza mi go czarny obłok obcej jeszcze siły, ale tuman wewnętrznej w kraju kurzawy nie dozwala mi widzieć jasno. A przecież: jako chrześcijanin rozumiem i czuję, co być powinno. Ołóż do ojcostwa już królewskiego nad narodem, ani do ojcostwa szlacheckiego nad ludem nie powrócimy. Stało się!... Tej zasady najmoralniejszej i najwyższej, ale na prostocie tylko wiary opartej, nadużyliśmy grzesznie... i zużyliśmy ją... bo włością, dzieci nasze wedle ducha, zamieniliśmy na własność rzeczową i gorzej jeszcze!... Bóg więc odebrał nam władzę nad człowiekiem i chwala Jemu za to: bo z ciężaru, któregośmy nosić nie umieli, uwolnił nas; a szafarstwo, któreśmy niewiernie spełniali, także z rąk nam odbiera, rozdzielając dary swoje między wszystkie dzieci.

Ale czy dlatego, że się skończyło ojcostwo i państwo, kończyć się mają nasze względem ludu wiejskiego obowiązki? i czy koniec urzędu ma też być końcem naszych z ludem stosunków?... Nie daj tego Boże! Oh, nie daj! bo drugi grzech byłby od pierwszego cięższym i rozdział ducha stratniejszym od rozgraniczenia własności! Szafunek dóbr materialnych odebrał nam Bóg, ale szafunek wyższych rzeczy jeszcze przy nas został. Wiele i bardzo wiele dać ludowi możemy; dużo więcej jak ziemię: bo miłość naszą, bo uczucie braterskie, — bo oświatę — i ducha polskiego a rycerskiego, któryśmy wiekową pracą wykształcili. Ojcami więc i panami już nie będziemy, ale starszymi braćmi długo nam jeszcze być należy;... a stąd też: już nie krzyżem ludu, ale tragarzami krzyża ludowego staniemy się. I w ten to tylko sposób da się zawiązać nowy, wolniejszy, a swobodny, bo w braterstwie chrześcijańskim poczęty stosunek.

Nie żałujmy więc tego, co było, ale uczmy się zastosować do tego, co jest i co będzie, i postępujmy tak: iżby lud, jako nasz brat młodszy, dorastał i wychowywał się przy pomocy naszej do tej towarzyskiej i obywatelskiej równości, która już w drugim pokoleniu stawić go może w pełnej sile tak moralnej, jak i politycznej.

W rzeczy zaś narodowej: gdy lud nie może nam już być narzędziem, ale tylko współpracownikiem, lub nieprzełamaną przeszkodą, przeto nie wyzywajmy go zawczas, nie bądźmy mu natrętnymi w duchu,... ale dając sami z siebie przykład miłości naszej i poświęcenia się dobru powszechnemu, muiej dbajmy o formę, ale się pytajmy, jaki duch sumieniem naszym rządzi? Albowiem szatan nad świętymi panować nie może, ale tylko rozsiada się w grzesznem społeczeństwie. Bądźmy więc świętymi, a przynajmniej sprawiedliwymi, i zaprowadźmy u siebie w duchu rząd miłości i prawdy, a Boga wzywam na świadectwo, że szatanom berło z rąk wypadnie i władza będzie doskonała, bo pochodząca z ramienia doskonałego narodu.





LP.C  
W6455

630966

Wiek XIX, sto lat myśli polskiej.  
t.9

UNIVERSITY OF TORONTO  
LIBRARY

DO NOT  
REMOVE  
THE  
CARD  
FROM  
THIS  
POCKET



